Paweł
Zuchniewicz

Ojciec wolnych ludzi

„Od siebie trzeba
wymagać najwięcej”

Wydawnictwo STACJA7

Redakcja
Zuzanna Marek

Korekta
Mateusz Czarnecki

Transkrypcja
Katarzyna Zawodnik

Projekt okładki i łamanie
Agnieszka Kozioł

Copyright by Fundacja Medialna 7

Za zgodą Archidiecezji Warszawskiej

ISBN: 978-83-962589-0-8
Wydawnictwo Stacja7
Wydanie I, Kraków 2021

Stacja7.pl
Złap pociąg do wiary
e-mail: redakcja@stacja7.pl

Fundacja Medialna 7
ul. Miodowa 17-19
00-246 Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Ostatnia 1C/B16
31-444 Kraków

Zamówienia:
+48 511 827 700
www.dobroci.pl

**Paweł
Zuchniewicz**

Ojciec wolnych ludzi

"Od siebie trzeba
wymagać najwięcej"

Wydawnictwo STACJA7

SŁOWEM WSTĘPU

„Pójdź za Mną"

Na początku czerwca 1981 roku, niedługo po śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego Maria Okońska i Krystyna Szajer z Instytutu Prymasowskiego pojechały do Rzymu. Zostały zaproszone na obiad z Janem Pawłem II.

– Słyszałyście naszą rozmowę? – zapytał papież. Ojciec Święty pytał o rozmowę telefoniczną, którą odbył z Prymasem w niedzielę, 24 maja. Papież przebywał wtedy w Poliklinice Gemelli po zamachu na Placu Św. Piotra. Prymas powalony chorobą gasł w swoim domu na Miodowej.

– Tak.

– No to słyszałyście, co mówił prymas, ale nie słyszałyście, co ja mówiłem. Właściwie powtarzałem jedną rzecz. Wolno, tak żeby na pewno do niego dotarło: „Całuję twoje ręce, całuję twoje najdroższe dłonie". Już od Wielkiej Nocy czułem, jak ten mocarz odchodzi. A wiesz dlaczego mówi się, że to był prymas tysiąclecia? – zapytał Marię Okońską, najbliższą współpracowniczkę Prymasa i jego duchową córkę.

– Chyba dlatego, że rządził w tysiąclecie od chrztu Polski.

Jan Paweł II pokręcił przecząco głową.

– To dlatego, że taki Prymas zdarza się raz na tysiąc lat.

– Ojciec Święty bardzo go kochał – Maria Okońska pomyślała, że to dobry moment, aby poruszyć temat, który bardzo ją nurtował.

– Tak, masz rację.

– A czy myślisz, Ojcze, że on był święty?

– Tak.

– A nie mógłbyś go beatyfikować i kanonizować bez procesu? – szybko przeszła do meritum.

– Marysiu, mam takie prawo, ale z niego nie skorzystam.

– A można wiedzieć dlaczego?

– Bo by nas posądzili o nepotyzm.

– Co to takiego?

– Cóż, mniej ładnie nazywa się to kumoterstwem. Więc tego nie zrobię.

Rozmowa ta miała miejsce niemal cztery dekady temu. W tym czasie wiele się wydarzyło: zakończył się pontyfikat papieża z Polski, potem został on beatyfikowany, następnie kanonizowany, a dziś, w roku setnej rocznicy urodzin Jana Pawła II Kościół ogłasza, że także Stefan Wyszyński cieszy się chwałą w niebie. Rok 2020 z pewnością na długo zostanie zapamiętany. Nie tylko dlatego, że to również stulecie cudu nad Wisłą, ale przede wszystkim z powodu pandemii koronawirusa, która dosłownie zatrzymała świat.

W Polsce, w samym środku Wielkiego Postu zagrożenie chorobą uwięziło ludzi w domach, spowodowało zamknięcie szkół i wielu zakładów pracy. I – zupełnie nieoczekiwanie – z pomocą przyszedł nam właśnie Prymas Wyszyński, który na własnej skórze doświadczył także nagłego odcięcia od codziennych obowiązków, izolacji, poczucia skrajnej niepewności co do przyszłości oraz zagrożenia zdrowia i życia. Podczas trzech lat odosobnienia potrafił zachować spokój

i tak zorganizować sobie dzień, by rzetelnie zająć się pracą, a przy tym nieustannie pogłębiać swoją wiarę. Gdy dziś patrzymy na jego historię, widzimy, że ten ciężki okres niewoli był dla niego niczym bloki startowe dla biegacza. Wybił się z nich tak mocno, że przeprowadził polski Kościół i Polaków przez ogromne zagrożenia. Prymas nie tylko ocalił wiarę, ale też w pełni zasłużył sobie na słowa, które usłyszał od Jana Pawła II pamiętnego 23 października 1978 roku, w czasie audiencji dla Polaków:

Czcigodny i umiłowany księże Prymasie! Pozwól, że powiem po prostu, co myślę. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża-Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem.

Książka, którą oddajemy w Państwa ręce, jest dwuwymiarową próbą przybliżenia tej niezwykłej Postaci, jaką był (i jest) kardynał Stefan Wyszyński. Jej pierwsza część to beletryzowana biografia Prymasa Tysiąclecia, która – mam nadzieję – pomoże poznać go w jego codzienności, czyli pozwoli (umysłem, wyobraźnią i sercem) stanąć obok niego, znaleźć się w jego towarzystwie w różnych okolicznościach i sytuacjach jego życia. Druga część to ponadczasowa rozmowa z Prymasem, w której pytania zadają czytelnicy portalu Stacja 7, a odpowiedzi udziela sam kardynał Wyszyński, gdyż stanowią one wyszukane przeze mnie fragmenty różnych jego pism, do których dotarłem dzięki pomocy pani Anny Rastawickiej i pań z Instytutu Prymasowskiego – za co serdecznie dziękuję! Dziękuję również pani

Anecie Liberackiej, redaktor naczelnej portalu Stacja 7, oraz księdzu Przemysławowi Śliwińskiemu, rzecznikowi prasowemu arcybiskupa metropolity warszawskiego Kazimierza kard. Nycza za inspirację i wsparcie.

Błogosławieni i święci to ludzie, którzy odpowiedzieli twierdząco na zaproszenie Pana Jezusa: „Pójdź za Mną". W praktyce oznaczało to, że w swoim życiu starali się iść śladem Mistrza i próbowali Go naśladować. Ewangelista Łukasz pisze na początku Dziejów Apostolskich takie słowa: Pierwszą Księgę napisałem, Teofilu, o wszystkim, co Jezus czynił i czego nauczał (Dz 1, 1). Tę metodę przyjąłem w książce. Czytelnicy ciekawi tego, co czynił naśladowca Jezusa — Prymas, znajdą opowieść o tym w pierwszej części. O tym zaś, jak te czyny wynikały z głębokiej i bogatej duchowości kardynała Wyszyńskiego połączonej z jego niezwykłym doświadczeniem życiowym, będzie można przekonać się podczas lektury części drugiej. Zapraszam.

Paweł Zuchniewicz

Warszawa, 10 kwietnia 2020, Wielki Piątek

Część I
Powieść

...był człowiekiem wolnym i uczył nas,
swoich rodaków, prawdziwej wolności

Jan Paweł II

Prolog

Initium finis

1

Było jeszcze dość chłodno, chociaż coraz dłuższe dni nieomylnie zwiastowały koniec zimy. „Niedługo się zazielenicie" – pomyślał, patrząc na ogołocone z liści drzewa. Ostry podmuch wiatru przypomniał, że zmaganie pór roku wciąż trwa. Przeszedł go dreszcz. Ze ścieżki zawrócił do domu.

Do Choszczówki przyjechał przed trzema dniami. Potrzebował trochę odpoczynku. Przede wszystkim jednak miał poprowadzić dni skupienia dla Instytutu.

Każdy dwudziesty piąty dzień marca był dla niego ważny, ale w tym niełatwym roku był to dzień wyjątkowy. Dokładnie trzydzieści pięć lat temu przekroczył próg rezydencji prymasa Augusta Hlonda w Poznaniu.

– Ojciec Święty mianował księdza profesora biskupem lubelskim – powiedział Hlond.

Nogi ugięły się pod nim z przerażenia.

– Eminencjo, mnie? Ale... – miał tak wiele argumentów, które dowodziły, że jest najmniej odpowiednim kandydatem na to stanowisko.

– Ojcu Świętemu się nie odmawia.

– Eminencjo, czy mogę przynajmniej poprosić o jeden dzień do namysłu?

Kardynał skinął głową.

Jeden dzień. Wśród wielu tysięcy dni, które minęły od tamtego czasu, ten jeden ciążył mu najbardziej, tym mocniej, im głębiej uświadamiał sobie, że zachował się zupełnie inaczej niż Ona. A przecież spotkał się

z Hlondem w dniu, w którym Kościół upamiętniał najważniejsze TAK w dziejach świata.

Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi
I poczęła z Ducha Świętego…

Spojrzał na siedzące przed nim w kaplicy kobiety. Ogarnęło go wzruszenie.

– Pamiętajcie, że najcięższym grzechem, jaki popełniłem w życiu, było to, że nie od razu zgodziłem się z wolą papieża, gdy kardynał Hlond zwiastował mi objęcie biskupstwa w Lublinie – powiedział, walcząc z drżeniem głosu. – Nie mogę sobie tego darować, gdyż myślałem wtedy o sobie, a nie o tym, że Bóg jest mocny w mojej słabości.

Barbarą wstrząsnęło. Znała Ojca od tylu lat, ale nigdy nie zdarzyło jej się widzieć u niego takiego wzruszenia. Był dla nich zawsze jak ciepła ściana, o którą można się oprzeć – jego spokój i dobry humor dawały jej zawsze poczucie bezpieczeństwa, którego nie były w stanie zniszczyć ani podchody bezpieki, ani uszczypliwości czy złośliwości ze strony niemałej liczby księży, a nawet biskupów. Tymczasem teraz widziała w jego oczach łzy – była tego pewna i była też pewna, że nigdy nie zapomni tego widoku. Dlaczego tak się przejął? Może to wiek? A może sytuacja w kraju? Wielkie nadzieje zrodzone po strajkach sierpniowych w ubiegłym roku doznały poważnej próby w następnych miesiącach. Porozumienia podpisane w Stoczni Gdańskiej wcale nie zakończyły napięcia między komunistyczną władzą a narodem. Co chwila dochodziło do konfliktów, najgorszy miał miejsce niespełna tydzień temu, gdy milicja pobiła w Bydgoszczy działaczy Solidarności. Związek zagroził strajkiem generalnym. To już za sześć dni... Ojciec musiał się tym przejmować.

Znała go jednak zbyt dobrze, by to niezwykłe wyznanie sprowadzić do czysto psychicznej reakcji. Był człowiekiem z krwi i kości, który zarazem nauczył się odnosić do Boga wszystko, co go spotykało. I robił to w konkretny sposób, per Mariam. Dzisiejsza, trzydziesta piąta już, rocznica biskupiej nominacji Stefana Wyszyńskiego musiała poruszyć jakąś ukrytą strunę jego duszy. Słowa o „największym grzechu" brzmiały mocno i jakby nieadekwatnie, ona jednak zaczęła rozumieć ich głębokie uzasadnienie. Jeśli Ojciec rzeczywiście chciał jak najwierniej iść śladami Maryi, to jego sumienie mogło mu wyrzucać brak zaufania do Boga, który każdemu daje łaskę na miarę zadania, jakie przed nim stawia. Maryja zaufała całkowicie i od razu powiedziała „tak", gdy Archanioł zwiastował jej, że ma zostać matką Boga. Przyszły biskup i prymas nie uczynił tego. Nie od razu. Bał się, że nie podoła. Czy nie mógł widzieć w tym grzechu pychy, która podpowiadała mu, że jego słabości są większe niż potęga Pana? Czy nie było w nim niewiary w to, że moc z góry pomoże wypełnić mu jego misję?

Dziś uchodził za mocarza w oczach ludzi, także tych kobiet, które skupiły się wokół niego w kaplicy w Choszczówce. Może dlatego im to powiedział? Aby nie myślały, że jest nim swoją własną mocą, ale że jest to siła „wypożyczona" czy może raczej „udzielona". Trwa ona tak długo, jak długo ten, kto jej używa, wie, że jest jej dzierżawcą, a nie właścicielem.

Obiad zjedli wcześnie, jak zwykle wspólnie.

– Błogosławiony między niewiastami – śmiał się Ojciec, patrząc na otaczające go kobiety.

Barbara cieszyła się, widząc jego dobry humor. Jeszcze bardziej się uradowała, gdy zobaczyła, jak wraca z popołudniowego spaceru. Kontakt z przyrodą, choćby tak uśpioną jak w tych dniach przednówka, zawsze dobrze mu robił i teraz wyglądało na to, że czuje się jakby nieco lepiej. A może tylko chciała go takim widzieć? Bo ostatnie

tygodnie przyniosły zdecydowane pogorszenie się jego zdrowia – widziała to i swoim kobiecym szóstym zmysłem przeczuwała, że zbliża się coś niedobrego. W Choszczówce powinien odpocząć, nabrać sił, szczególnie że niedługo miał iść do szpitala na badania.

Kiedy późnym popołudniem zobaczyła samochód na drodze prowadzącej do domu rekolekcyjnego, niedobre przeczucia powróciły. Z auta wysiedli trzej mężczyźni. Wszystkich znała. Biskup Bronisław Dąbrowski był sekretarzem Konferencji Episkopatu i to on odpowiadał bezpośrednio za kontakty Kościoła z państwem. Obok niego szedł ksiądz Alojzy Orszulik. Przyjechał też Romuald Kukołowicz, którego Prymas mianował swoim osobistym delegatem przy Solidarności. Nie wyglądali na odprężonych.

2

– Generał chce się ze mną widzieć? – Wyszyński spojrzał na Kukołowicza występującego w roli głównego posłańca.

– Propozycja wyszła od Cioska – odpowiedział zapytany. – Byłem w Urzędzie Rady Ministrów. Podszedł do mnie na korytarzu i zapytał, czy nie uważam, że warto doprowadzić do spotkania Ojca z Jaruzelskim. Powiedziałem, że to rzecz godna rozważenia. Ponieważ nie miałem żadnego upoważnienia do takiego działania, zażądałem jasnej deklaracji samego generała. Otrzymałem ją bezpośrednio od niego kilka minut później.

– W obecnej sytuacji nie jest to dobry pomysł – powiedział kardynał. – Nikt teraz nie może być pewnym partnerem dla Kościoła. Ani rząd, ani partia, ani nawet Solidarność. Gdy wejdziemy bezpośrednio w obecny konflikt, Kościół stanie się jeszcze jednym uczestnikiem

tego niepokoju. A szanse mediacji przy takim stanie rozchwiania w partii i w rządzie są właściwie żadne. Nie, nie spotkam się z nim.

– On sam prosił o rozmowę – zauważył Dąbrowski. – Może warto.

– Co z tego wyniknie?

– Uspokojenie nastrojów. Ludzie są nastawieni bardzo wojowniczo, uważają, że dysponują potężną siłą. A władza się boi. Człowiek w strachu popełnia różne głupstwa. Upadające drzewo niejednego może zmiażdżyć.

– W tym lesie, który nazywa się Polska, stoi teraz wiele drzew. Większość się chwieje. Kościół jest jak dąb. Musi trwać, aby ludzie mogli schronić się pod nim przed nawałnicą. Oby jednak ona nie przyszła...

– Ojcze, Polska jest w niebezpieczeństwie – odezwał się Kukołowicz. – Groźba prowokacji, a za nią sowieckiej interwencji nie minęła. Czy możemy ryzykować rozlew krwi?

Prymas milczał przez chwilę. Przed kilkoma dniami do Kukołowicza zgłosił się człowiek, który przedstawił mu plany sowieckiej interwencji. W rejonie Bydgoszczy, gdzie sytuacja była najbardziej zaogniona, widoczne były ruchy wojsk.

– Chodźmy się pomodlić – zaproponował Prymas.

W kaplicy ukląkł, a z nim pozostali. Jutro minie dokładnie siedem miesięcy od wygłoszenia sławnej, a raczej niesławnej homilii na Jasnej Górze. Kiedy w Stoczni Gdańskiej robotnicy negocjowali z rządem, on wygłosił kazanie, w którym wzywał do spokoju i powściągliwości w żądaniach. Ludziom nie mogło się pomieścić w głowach, że ich Prymas, dawny więzień komunistów, staje teraz przeciwko nim. On zaś obawiał się sowieckiej interwencji i rozlewu krwi. Nie doszło do tego, a kazanie zostało wykorzystane propagandowo przez komunistów. Porozumienia Sierpniowe wydawały się wielkim sukcesem narodu. Po trzydziestu latach dyktatury partii komunistycznej

powstał niezależny od władzy związek zawodowy, który przyjął nazwę „Solidarność". Następne miesiące przyniosły jednak eskalację konfliktu między władzą a związkiem, do którego zapisało się dziesięć milionów ludzi – czyli większość pracujących. Polacy znaleźli się na ruchomych piaskach: niepewność, brak podstawowych towarów, ciągła walka między „nimi" (komunistami i rządem) a „nami" (narodem). I oto znowu pojawia się groźba wkroczenia Sowietów... Czy to kolejna gra, czy realne niebezpieczeństwo? A jeśli przez jego odmowę miałby zginąć choćby jeden Polak? Matko, pomóż!

Wstał z kolan.

– Przedstawcie ponownie wasze racje – powiedział do gości, gdy powrócili do pokoju.

– Po rejestracji Solidarności mówił Ojciec, jak ważne jest jej istnienie – zauważył Kukołowicz. – Jeżeli przetrwa trzy, cztery lata, to tak przeorze świadomość społeczeństwa, że nie sposób będzie zawrócić z tej drogi. Ojciec ocalił Kościół, pertraktując ze stalinowskim rządem przez kilka lat. Czy ten Kościół wydałby papieża, gdyby został zniszczony?

– Napięcie w ludziach naprawdę jest ogromne – dodał Orszulik. – Wszyscy szykują się do strajku generalnego, ale też myślę, że nie wszyscy tego pragną. Zwykli ludzie chcą po prostu żyć w spokoju, nie chcą konfliktu. Jednak poczucie doznanych niesprawiedliwości jest zbyt silne. Spotkanie z Jaruzelskim mogłoby być sygnałem, że Kościół, że Ojciec chce wywierać wpływ na tych, którzy są u steru władzy. A naród ma do nas zaufanie, ma zaufanie do Księdza Prymasa.

– Tak sądzisz?

– Ojciec Święty w Rzymie i Ojciec w Polsce są teraz jedynymi filarami, na których to wszystko tak naprawdę się trzyma. Lepiej, żeby generał rozmawiał z Prymasem niż z Breżniewem.

Milczeli przez chwilę. Kardynał spojrzał na Kukołowicza.

– Pojedziesz do generała i ustalisz z nim nasze spotkanie na jutro.

3

– Powiedziałem panu generałowi na pożegnanie w Natolinie, że gdyby w wyniku jakichkolwiek zaniedbań z mojej strony albo też nieodpowiednich posunięć zginął choćby jeden Polak, choć jeden młody chłopiec, nigdy bym sobie tego nie darował.

Odwrócił się w stronę Wałęsy, który patrzył na niego, unosząc wzrok w górę. Prymas stał, wszyscy inni siedzieli. Miał taki zwyczaj, że przemawiał na stojąco – z szacunku do słuchaczy – i nie zmienił tego, mimo że z dnia na dzień czuł się gorzej.

Od spotkania z Jaruzelskim minęły dwa dni. Szefowie Solidarności przebywali w Warszawie, gdzie w Pałacu Namiestnikowskim toczyli rozmowy z przedstawicielami rządu. Przyszli do niego dzień po ogólnopolskim strajku ostrzegawczym, który był próbą przed zaplanowanym na 31 marca strajkiem generalnym. Zapowiedziano bezterminową okupację zakładów pracy. Napięcie sięgało zenitu.

Spotkanie z Jaruzelskim, tak naprędce zorganizowane, zaczęło się niefortunnie. „A więc jestem na życzenie pana premiera" – przywitał się. Chwilę potem ze zdziwieniem dowiedział się z ust swego rozmówcy, że to Jaruzelski zgodził się przyjąć Prymasa na jego prośbę. Nie był to czas na dochodzenie prawdy. Mógł odwrócić się i odjechać, czy jednak miał prawo to zrobić? Rozmowa z generałem potwierdziła jego obawy. Ćwiczenia wojskowe państw Układu Warszawskiego były przymiarką do interwencji. Padały sugestie, że idzie tu o coś więcej niż tylko o Polskę. W Moskwie ścierały się dwie frakcje – zwolennicy polityki siły rozważali wojnę konwencjonalną na terenie Europy. Rosjanie dysponowali przewagą militarną nad państwami NATO, byli zarazem świadomi, że z roku na rok trudniej jest im ją utrzymać. Gdyby uderzyli teraz i opanowali Europę, mogliby dyktować warunki Amerykanom.

Czasy pod pewnymi względami ciągle są podobne.

Inne może o tyle, że wówczas toczyła się walka o los Kościoła w Polsce dziś chodzi o los Polski.

Rozruchy w Polsce były dobrym preludium do takiego ataku. Czy to realne zagrożenie, czy tylko gra generała obliczona na wykorzystanie autorytetu Prymasa w negocjacjach z Solidarnością?

Ogarnął wzrokiem solidarnościowych negocjatorów. Dużo przeszli, nie pamiętają jednak czasów, gdy on zaczął dopiero zasiadać na prymasowskiej stolicy. Jak wielu dobrych ludzi wówczas zginęło, walcząc o słuszną, ale w tym momencie przegraną sprawę? Na jak wiele zarzutów naraził się, prowadząc rozmowy z komunistami, którzy gwałcili wszelkie zawarte przez siebie porozumienia? A jednak po trzydziestu latach był pewien, że zrobił dobrze. Kościół w Polsce ocalał, mało tego, pomógł ocalić przestrzeń wolności, o której nie mogli nawet marzyć Czesi czy Węgrzy.

Był przekonany, że strajk generalny oznacza podjęcie wielkiego ryzyka, być może na miarę ryzyka powstania węgierskiego w 1956 roku lub praskiej wiosny roku 1968. Każde z tych wydarzeń zakończyło się udzieleniem „bratniej pomocy", która czołgami przywróciła jedynie słuszny porządek.

– Na razie jeszcze jesteśmy u siebie w domu, lecz kto zaręczy, jak długo tak będzie? – powiedział. – Kto zaręczy? A my mamy obowiązek być u siebie w domu. Mamy obowiązek ojczyźnie naszej, rodzinom, kulturze narodowej, pokojowi społecznemu i gospodarce zapewnić, abyśmy jak najdłużej byli u siebie w domu.

4

– Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie serdecznie żałuję – Andrzej szeptał do kratek konfesjonału, a raczej do ucha księdza, który siedział po drugiej stronie. – Jest jeszcze jedno. Stara, przepraszam, żona się boi, nie chce mnie puścić. Mówi, że może polać się krew i że głupi jestem, mając zamiar się narażać. Ale ja muszę iść. Ksiądz rozumie?

Ksiądz Jerzy Popiełuszko skinął głową. W tę ostatnią niedzielę marca w kolejce do jego konfesjonału ustawiło się niemało robotników z Huty Warszawa. Szykowali się do opuszczenia domów i spędzenia wielu, nie wiadomo jak wielu, dni w hucie. Do rozpoczęcia strajku ogólnopolskiego brakowało jeszcze dwóch dni.

Bardzo się związał z tymi ludźmi w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, od dnia gdy przyszedł do nich odprawić mszę w sierpniu poprzedniego roku. Przyłączyli się do strajków, które ogarnęły całą Polskę i które ostatecznie wymusiły na władzy podpisanie porozumień sierpniowych w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu.

– Bądź dla niej dobry i módl się dużo. Wszystko w ręku Boga.

– Ksiądz ma dużo wiary. Ale przecież wszyscy widzą, co się dzieje. Jak im nie pokażemy, że potrafimy się postawić, to nas rozgniotą.

– Bóg jest silniejszy. Zobacz, nasz Prymas przeszedł przez więzienie siłą swojej wiary i jak wiele dobra z tego wynikło.

– Ksiądz Prymas to wielki człowiek, ale on już swoje lata ma i nie jest tak bojowy jak kiedyś. A z tymi łobuzami trzeba zacząć mówić ich językiem. Innego nie zrozumieją.

– Za pokutę odmów „Pod Twoją obronę"... – powiedział Jerzy i udzielił rozgrzeszenia.

Zapukał w ściankę konfesjonału i podał stułę do ucałowania.

5

– Ciągle obradują? – zapytał Prymas.

– Tak – odpowiedział biskup Dąbrowski.

– Nie mają wiele czasu.

Do rozpoczęcia strajku generalnego zostało kilkanaście godzin, a negocjacje wciąż trwały. Przez twarz Prymasa przebiegł skurcz bólu.

– Ojciec źle się czuje?

– Od dawna nie czuję się dobrze. Ale to nie jest teraz istotne.

– Myśli Ojciec, że się dogadają?

– Modlę się o to. Jestem przekonany bardziej niż kiedykolwiek, że dążenie do konfrontacji jest strasznym błędem. Człowiek potrzebuje trzydziestu lat, aby się ukształtować, wykształcić, by móc służyć innym. A zginąć może w ciągu sekundy. Kto będzie pracował dla tego kraju, jeśli najwartościowsi ludzie staną się męczennikami?

– Ojciec też cierpiał dla sprawiedliwości...

– Po wyczerpaniu wszelkich możliwych środków. Gdybyś wiedział, co o mnie mówili biskupi, gdy podpisałem porozumienie z komunistami w 1950 roku. „Czerwony prymas" to było najłagodniejsze określenie.

– To były inne czasy.

– Czasy pod pewnymi względami ciągle są podobne. Inne może o tyle, że wówczas toczyła się walka o los Kościoła w Polsce, dziś chodzi o los Polski. Ale te dwa losy nierozłącznie się z sobą splatają. Ci ludzie, od których tak wiele dziś zależy, nie pamiętają tamtego okresu i ufają swojej sile. Martwię się, że pragnąc wiele, stracą to, co już mają.

– Może włączymy telewizję? Powinni coś powiedzieć o rozmowach. Kilka minut później zobaczyli na ekranie Lecha Wałęsę, Andrzeja Gwiazdę i członków rządu.

Po długich i trudnych negocjacjach strona rządowa przyznała, że doszło do naruszenia prawa podczas zajść w Bydgoszczy, i zapowiedziała ukaranie winnych – oznajmił Gwiazda. – Wobec powyższego podpisaliśmy porozumienie, na mocy którego zapowiedziany na jutro strajk generalny zostaje odwołany. Porozumienie nabierze mocy z chwilą zaakceptowania go przez Komisję Krajową Solidarności w Gdańsku.

– Bogu niech będą dzięki – westchnął Prymas.

Ciężkim krokiem poszedł do kaplicy. Biskup Dąbrowski obserwował go z niepokojem. W ciągu ostatnich dwóch tygodni bardzo schudł, twarz wyrzeźbiły nowe zmarszczki, a najmniejszy wysiłek podejmował z wielkim trudem.

6

Samochód skręcił w lewo i wyjechał z Banacha na szeroką aleję Żwirki i Wigury, która łączyła lotnisko Okęcie z Trasą Łazienkowską – jedną ze sztandarowych inwestycji PRL za czasów Gierka. Przed niespełna dwoma laty jechał tą drogą z Janem Pawłem II, który przyleciał do Polski pamiętnego drugiego dnia czerwca, w przeddzień święta Zesłania Ducha Świętego. Wówczas cała trasa wypełniona była tłumami szczęśliwych, wiwatujących ludzi, z nieba przygrzewało słońce, a drzewa i trawniki syciły oczy soczystą zielenią. *Gaude Mater Polonia – Raduj się, Matko Polsko* – od pierwszego do ostatniego dnia była to pielgrzymka niesłychanej radości, zastrzyk nadziei, który przyniósł tak wspaniałe owoce w postaci polskiego Sierpnia – bezkrwawej rewolucji trwającej już siedem miesięcy. Każdy z tych miesięcy był na wagę złota, a raczej na wagę wolności. Takiej, jakiej pragnął dla tego kraju przez cały czas od dnia, kiedy jako nowy arcybiskup przyjechał do zamienionej w gruzy stolicy na początku 1949 roku.

Trzydzieści dwa lata. A przed nimi trwające znacznie dłużej przygotowanie – co do tego nie miał wątpliwości. Z nadbużańskiej wioski Zuzela, przez Warszawę do Włocławka, przez zabór rosyjski, pierwszą wojnę światową i odzyskaną niepodległość, a potem... Okupacja, wyzwolenie, które szybko okazało się nową niewolą. I brzemię prymasostwa, jakie spadło na niego, gdy Polska wpadła ostatecznie w otchłań stalinizmu.

Szybko minęły te lata. Tak jak szybko minęła droga ze szpitala na Krakowskie Przedmieście. Samochód minął Pałac Namiestnikowski, gdzie przedwczoraj zakończyły się negocjacje rządu z Solidarnością, i przejechał przed kościołem Świętego Józefa. Tutaj miał ingres w 1949, bo katedra leżała jeszcze w gruzach. Po chwili – kościół Świętej Anny. To tu wygłosił swoje ostatnie kazanie przed aresztowaniem. Skręcili w lewo, w Miodową. Jeszcze kilka minut i będzie w domu. Wracał tu tyle razy, chyba najradośniejszy był powrót z Komańczy po trzech latach uwięzienia.

Miał przeczucie, że tego domu już nie opuści. W każdym razie nie po to, aby spełniać swoje biskupie obowiązki. Czuł się coraz gorzej. Gdyby tak udało się dotrwać do czerwca. Ojciec Święty miał w Rzymie zawierzyć świat Maryi, bardzo chciał być przy tym obecny. A Polska? Czy zawarte porozumienie coś zmieni? Na pewno da jeszcze trochę czasu, pytanie, jak zostanie on wykorzystany. Ci ludzie, którzy stanęli na czele Solidarności, powinni się przygotować do wzięcia odpowiedzialności za naród, uczyć się, organizować. Zbytnio przejmują się walką, za mało pracą. A raczej walka stała się ich pracą.

Tuż po wojnie wydał niewielką książeczkę pod tytułem Duch pracy ludzkiej. We wstępie napisał:

Kartki te, pisane w latach niszczenia przez najeźdźców dorobku pracy narodowej, wychodzą intencjami swoimi ku temu wołaniu myśli, woli, serc i dłoni polskich: spokojnej, wytrwałej, owocnej, błogosławionej pracy!

Pisanie książki skończył 25 marca – tego samego dnia dowiedział się od Hlonda o nominacji. Z profesora stał się biskupem.

Teraz, po trzydziestu pięciu latach, znowu coś się zmieniało. Wjeżdżając na dziedziniec pałacu prymasowskiego przy Miodowej, zrozumiał, że nie wraca już do miejsca zwykłych zajęć biskupa – spotkań, decyzji, obrad, ale do domu, w którym dokona swoich dni. Od dziś jego pracą jest choroba.

Tego wieczoru jak zwykle usiądzie, aby zanotować, co się wydarzyło.

„Dzień dla mnie doniosły – napisze – wydaje mi się, że jest to *initium finis*"[1].

[1] Początek końca.

Rozdział I

Najcenniejszy testament

Będziesz miłował bliźniego swego. I to każdego! Tego, co ma serdeczne oczy, i tego, co ma oczy szklane. Tego, co ma żar w piersi, i tego, co nosi w piersi kamień. Tego, który ma ku tobie wyciągniętą braterską dłoń, i tego, który cię dźga oczami.

Stefan Wyszyński

1

– Panie ministrze, ja jechać nie mogę, to wykluczone, wracam do Włocławka – powiedział ksiądz Stefan Wyszyński.

– Księże profesorze, droga na zachód jest odcięta – argumentował Eugeniusz Kwiatkowski. – A lada moment i na południe się nie przedostaniemy. To naprawdę ostatnia chwila.

– Stefan, skorzystaj z okazji – ksiądz Adolf Kukuruziński przyłączył się do ministra.

Siedzieli w jego mieszkaniu w Łucku Wołyńskim, gdzie Wyszyński dotarł z klerykami szóstego roku seminarium włocławskiego. Od wielu dni tułali się po Polsce. Po wkroczeniu Niemców opuścili Włocławek, w nadziei że kleryków ostatniego roku uda się wyświęcić na księży w Lublinie. Ale wojenna pożoga przeszła i przez to miasto. Weszli do niego, brodząc w szkle z szyb, które wyleciały po ciężkim bombardowaniu. Zdecydowali się iść dalej na wschód, przeszli przez Bug i znaleźli się na Wołyniu. W Łucku dowiedzieli się, że 17 września Sowieci wkroczyli do Polski. Tutaj też Wyszyński spotkał ministra Kwiatkowskiego, wicepremiera i ministra skarbu, słynnego menedżera Drugiej Rzeczypospolitej, twórcę portu w Gdyni i autora budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego. Rząd szykował się do opuszczenia Polski przez Rumunię, aby podtrzymać ciągłość państwa mimo zajęcia go przez okupantów – hitlerowskie Niemcy i stalinowski Związek Radziecki.

– Muszę wracać – upierał się Wyszyński – cokolwiek by się miało zdarzyć.

– A jak my wyglądamy? – zapytał retorycznie Kwiatkowski.

– Pan minister jedzie z urzędu: wyjeżdża rząd i pan minister jedzie z rządem. A ja nie należę do rządu i dlatego też jadę z powrotem do Włocławka.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział ksiądz Kukuruziński.

Wszedł Kazimierz Majdański, jeden z włocławskich seminarzystów.

– Księże profesorze, wszyscy już się zebrali – powiedział. Wyszyński wstał.

– Panowie wybaczą, muszę iść do moich kleryków. Panie ministrze, będę się za pana modlił. Tacy ludzie jak pan będą Polsce potrzebni, gdy to wszystko się skończy.

Kwiatkowski serdecznie uścisnął księdzu rękę.

Wyszyński wyszedł i prowadzony przez Majdańskiego, skierował się do budynku, gdzie przebywali klerycy.

Kiedy to mogło być? Chyba ze dwadzieścia lat temu, tak, zaraz po odzyskaniu niepodległości. Kończył wtedy Liceum Świętego Piusa X, niższe seminarium we Włocławku. Mieli wykład z liturgii teologicznej z księdzem Antonim Bogdańskim. Do dziś pamiętał jego poważne spojrzenie zza dużych okularów i słowa, które bardzo głęboko zapadły mu w serce:

„Przyjdą czasy, kiedy będą wam, tu obecnym, wbijać gwoździe w tonsury".

Wszedł do obszernej sali, gdzie czekali na niego klerycy.

Wszyscy ci chłopcy mieli już komplet święceń potrzebnych do przyjęcia kapłaństwa. Przyjęli też tonsurę, kiedy biskup ostrzygł im kawałek włosów, aby zaznaczyć, że kapłan jest oddzielony od świata.

– Wiecie, że Sowieci wkroczyli do Polski – powiedział. – Rząd wkrótce się ewakuuje i my musimy podjąć decyzję, co robimy dalej. W obecnej sytuacji nie sposób myśleć o święceniach. Niebezpiecznie też byłoby przemieszczać się w tak dużej grupie. Powinniśmy wracać

do Włocławka. Burza wojenna przejdzie i niewykluczone, że będziemy mogli uruchomić seminarium na nowo. Proponuję, abyśmy szli w małych grupkach, ufając, że Opatrzność nas przeprowadzi.

– Ksiądz profesor wraca? – zapytał jeden z diakonów. – Nie pojedzie ksiądz do Rumunii?

– Nie możemy opuścić Polski. Naszą ojczyznę czekają cierpienia. Trzeba być z nią. Pomodlimy się, pobłogosławię was i w drogę.

Sub Tuum praesidium confugimus,
Pod Twoją obronę
uciekamy się,
Święta Boża Rodzicielko – zaczął.
Naszymi prośbami
Racz nie gardzić w potrzebach naszych,
Ale od wszelakich złych przygód
Racz nas zawsze wybawiać,
Panno chwalebna i błogosławiona

– odpowiedział mocny chór męskich głosów. Modlitwa ta sięgała czasów Cesarstwa Rzymskiego.

2

– Wio! – cmoknął na konie.

Ruszyli.

– Stefan, masz całkiem niezłą rękę do powożenia – pochwalił go jego towarzysz.

Było ich w sumie czterech księży. Od Włodzimierza jechali wielkim fornalskim wozem, który razem z dwoma końmi kupił w mieście Wyszyński.

– Wychowałem się na wsi, choć jako syn organisty – uśmiechnął się. Wóz, skrzypiąc trochę, przejechał pod wielką bramą ustawioną naprędce przez mieszkańców Kowla witających wkraczającą Armię Czerwoną. Wczoraj były tu tłumy. Masy Ukraińców, w tym bardzo liczni młodzi Żydzi, pozdrawiały bolszewików. Księża stali w pewnym oddaleniu, patrząc na polskich żołnierzy pędzonych przez Sowietów. Jeńcy wyglądali strasznie, byli obszarpani, często bez butów. Wyszyński zobaczył, jak Ukraińcy rzucili się na jednego z nich i zdarli z niego mundur.

W Kowlu po raz pierwszy zobaczył też bolszewicką armię, która wkroczyła na wschodnie tereny Polski. Odżyły wspomnienia z dziecinnych lat. Kiedyś, jeszcze w Zuzeli, stanął z matką nad brzegiem Bugu. Widział, jak po drugiej stronie rzeki kozacy z carskiej armii biją polskich chłopów. Tego wieczoru długo nie mógł zasnąć. „Mamusiu, czy oni przyjdą też do nas?" – pytał, a matka uspokajała go, że nie, żeby się nie martwił. Ale tej nocy spać i tak nie mógł.

Księża postanowili jak najszybciej opuścić Kowel. Do Lublina mieli stąd jeszcze ponad 150 kilometrów. Tam byli już Niemcy.

Słońce stało wysoko i mocno przygrzewało. Wrzesień tego roku był wyjątkowo piękny i suchy – przedwojenne buńczuczne zapowiedzi, że niemieckie czołgi ugrzęzną w polskim błocie, brzmiały przy tej pogodzie jak gorzka ironia.

– Proszę księży, proszę księży! – usłyszeli okrzyki jakiegoś Polaka. Siedział w rowie i ściągał mundur. Chwytając leżący w pobliżu sweter, zaczął nim wymachiwać.

– Prr! – ksiądz Stefan pociągnął za lejce. Zatrzymali się. Żołnierz podbiegł do nich.

– Jakie to szczęście widzieć katolickich księży w tych stronach – powiedział. – Nie boicie się tak podróżować?

– Z pomocą Opatrzności jakoś posuwamy się naprzód – odparł ksiądz Stefan.

– Dokąd jedziecie?

– Wracamy na zachód.

– W objęcia Niemców? Może i słusznie, lepsze to niż być tutaj. Sowieci katolikom nie przepuszczą, a do tego to prawdziwa dzicz.

– Co możemy dla ciebie zrobić?

– Chciałbym się wyspowiadać.

– Pójdę z tobą – powiedział Wyszyński. – Zaczekajcie, proszę – zwrócił się do współtowarzyszy podróży.

– Nie ma obawy, bez ciebie nie pojedziemy! Przycupnęli w rowie.

– Proszę księdza, co oni z nami zrobili, co oni z nami zrobili – żołnierz zaczął płakać. – Dwa miesiące temu byłem z rodziną na wakacjach, nad Bałtykiem. Było tak wspaniale, a potem... Wszystko runęło! I na co było gadać, że jesteśmy silni, zwarci, gotowi? Przez Zaleszczyki cały rząd uciekł, a nas zostawił! Zdrajcy! Przepraszam, chciałem się wyspowiadać, a takie rzeczy opowiadam. I za to żałuję, ale najbardziej to się boję tej rozpaczy. Księże, chyba straciłem nadzieję.

Wyszyński słuchał i patrzył na nieodległe pole. Zdumiał się już w chwili, gdy zmierzał wraz z żołnierzem od drogi do rowu. Przez pole szedł powoli rolnik i co chwila sięgał do dużej torby, zagłębiał w niej rękę, po czym spokojnym ruchem rozrzucał ziarno.

– Mówisz, że tracisz nadzieję – powiedział do żołnierza. – A spójrz na tamtego człowieka. Nie siałby, gdyby jej nie miał.

Żołnierz odwrócił głowę.

– Nasza ojczyzna cierpi, ale dzięki temu bliżej jesteśmy naszego Pana, który poszedł za nas na mękę – ciągnął ksiądz Stefan. – Nie wiadomo, jak długo jeszcze będziesz się tułał, ale za każdym razem, gdy zobaczysz

przydrożny krzyż, pomyśl o tym, że On najbliżej jest cierpiących. A teraz okaż swój żal.

Żołnierz uderzył się w piersi. Ksiądz wypowiedział formułę rozgrzeszenia i pobłogosławił penitenta. Potem podszedł do wciąż pracującego rolnika.

– Pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków!

– Panie gospodarzu, nadziwić się nie mogę. Wszyscy uciekają, wszyscy się boją, a pan sieje?

– Ksiądz też się boi? – zapytał rolnik.

– Pewnie, że tak.

– Nie inaczej ja. Ale powiem księdzu, że jakbym to zboże zostawił w spichrzu, to spłonie. A jak wrzucę w ziemię, to zawsze ktoś z tego chleb będzie jadł.

– Nawet wróg?

– Chleb je człowiek.

3

Józef Piwowarski nie mógł spać tej nocy. Razem z setkami innych polskich jeńców siedział w kościele w Wąwolnicy nieopodal Lublina i modlił się. Czy Maryja wysłucha jego prośby? Słyszał, że znajdująca się w tej podlubelskiej miejscowości figurka Madonny słynie z cudów, a on prosił o cudowne ocalenie. Bardzo pragnął wrócić do domu, tymczasem wszystko wskazywało na to, że najbliższe lata spędzi w stalagu.

Jeszcze kilka tygodni temu myślał, że rozstanie z rodziną nie potrwa długo, bo wojna skończy się szybko. Dziś pozostała tylko modlitwa. Niemcy zajęli już większość Polski, jego oddział wzięli do niewoli kilka dni temu. Teraz pędzili ich na zachód. Na nocleg zatrzymali się tutaj.

Świtało.

– *Alles raus!* – rozległ się okrzyk pilnującego ich żołnierza. Józef wstał i przeżegnał się.

Tłum Polaków ruszył do wyjścia. Weszli na drogę prowadzącą od położonego na wzgórzu kościoła do wsi. Józef rozejrzał się. W pobliżu nie było żadnego z pilnujących ich esesmanów. Ma szansę. Znalazł się na wysokości starego drewnianego domu, znajdującego się po prawej stronie drogi. „Teraz albo nigdy" – pomyślał i wyrwał się z szeregu.

– *Halt!* – usłyszał, wpadając na podwórko. Kątem oka zauważył wychodzącego z domu księdza, nie zatrzymując się, ominął dom, przeskoczył przez płot i gnając ile sił w nogach, dobiegł do drugiej drogi, za którą stały kolejne zabudowania i jakieś zarośla. Gdy w nie wpadł, nie słyszał ani okrzyków, ani – na szczęście – strzałów.

– Gdzieś go schował? – wrzasnął oficer, celując z pistoletu prosto w pierś księdza Stefana.

Wyszyński stał, milcząc. Patrzył w wymierzoną w siebie lufę pistoletu, uświadamiając sobie, że za chwilę może go dosięgnąć pocisk. Podniósł wzrok na Niemca. Jego oczy nie wróżyły niczego dobrego. Twarz wykrzywiał grymas wściekłości.

– Panie oficerze, on nic nie widział – usłyszał znajomy głos – ten człowiek skoczył przez płot i pobiegł dalej, w tamtą stronę.

Obok niego pojawił się miejscowy organista, ojciec jego przyjaciela, księdza Zdzisława Ochalskiego, z którym poznał się w czasie studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W tamtych latach często tu razem przyjeżdżali i dlatego, uciekając z Kowla, postanowił zatrzymać się właśnie w Wąwolnicy.

– *Donnerwetter!* – zaklął Niemiec i schował pistolet do kabury. Obejrzał się za siebie. Jeńcy wciąż maszerowali. Jeden mniej, jeden więcej, co to ma za znaczenie. Wzruszył ramionami i poszedł za nimi.

– Uratował mi pan życie – powiedział ksiądz Stefan.

– Nie przesadzajmy – uśmiechnął się niepewnie organista. Teraz dopiero poczuł, że ma nogi jak z waty, a przez usta przechodzi mu nerwowe mrowienie. – Swoją drogą Matka Boża Kębelska nie opuściła nas w potrzebie.

Miejscowy przekaz głosił, że w pierwszych dniach września 1278 roku Tatarzy rozbili obóz w położonym nieopodal Wąwolnicy Kęble. Tam zbierali łupy i trzymali jeńców. Na ogromnym głazie ustawili figurę Maryi, zaczęli z niej szydzić i obrzucać ją błotem. Nagle figura uniosła się w górę, a nad jeńcami zapłonęła wielka jasność. Widząc to, Tatarzy uciekli w przerażeniu, miejscowy dziedzic Otto Jastrzębczyk zaś w tym samym czasie pokonał wojska chana. Od tego czasu rzeźba otaczana była głęboka czcią. W 1700 roku została przeniesiona do Wąwolnicy.

– Myśli ksiądz, że to dobry znak? – zapytał Ocholski. – Wygramy? Co miał mu odpowiedzieć? Od dwóch tygodni widywał tysiące polskich jeńców – najpierw w rękach Sowietów, a teraz Niemców. Polska walczyła samotnie. Chociaż od 3 września Francja i Anglia formalnie były w stanie wojny z Hitlerem, to jednak żadne z tych państw nie przyszło Polakom z pomocą.

– Z Matką Bożą po naszej stronie prędzej czy później wygramy – powiedział. – Nie wiem jednak, czy będzie to takie zwycięstwo, jakiego dziś oczekujemy.

– Co ksiądz ma na myśli?

– Pewnie mógłby nam to dobrze wyjaśnić święty Wojciech – powiedział Stefan, wskazując głową w stronę kościoła, który nosił wezwanie pierwszego głównego patrona Polski. – Choć poległ, to przecież zwyciężył. Zdobył chwałę w niebie, a Polsce otworzył drogę do chrześcijańskiego świata.

Organista westchnął. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Dobrze, że choć temu żołnierzowi udało się przechytrzyć szkopów – powiedział. – Mam nadzieję, że bezpiecznie wróci do domu[2].

– I ja ją żywię.

◇◇

Biskup Michał Kozal i ksiądz rektor Franciszek Korszyński mówili: Nie możesz zostać we Włocławku, wyjeżdżaj. Posłuchałem ich i wyjechałem / **Stefan Wyszyński**

1939, listopad

4

Niemal na progu seminarium zobaczył rektora, księdza Franciszka Korszyńskiego, który z notatkami pod pachą zmierzał do sali wykładowej. Na widok Stefana rektor zatrzymał się.

– Wpadnij do mnie na chwilę po wykładzie – poprosił.

– Ojciec ma dla mnie jakąś nową pracę? – zapytał, uśmiechając się lekko.

Pod koniec września powrócił do Włocławka. Miasto znajdowało się pod niemiecką okupacją, ale w seminarium wciąż przebywali klerycy młodszych roczników. Wraz z Korszyńskim i pozostałymi profesorami postanowili wznowić zajęcia. Skoro Niemcy nie zakazali, trzeba było to wykorzystać.

[2] W sierpniu 1998 roku przyjechała do Wąwolnicy pielgrzymka autokarowa z Radomia. Uczestniczka tej pielgrzymki Kazimiera Kącka zgłosiła się do proboszcza i oświadczyła, że wypełnia wolę zmarłego przed trzema laty ojca Józefa Piwowarskiego. Na łożu śmierci polecił jej, aby odbyła pielgrzymkę dziękczynną do Wąwolnicy – za jego ocalenie z niewoli niemieckiej w 1939 roku.

– Wyjaśnię ci, gdy przyjdziesz.

Godzinę później ksiądz pojawił się w pokoju rektora.

– Stefku, chciałbym, żebyś się spakował i natychmiast opuścił miasto – powiedział krótko Korszyński.

Wyszyńskiego zamurowało.

– Ojcze, co takiego zrobiłem?

– Spójrz, co się dzieje. Ta wojna jest inna niż poprzednia. Niemcy już aresztują ludzi, to kwestia czasu, gdy przyjdą i do nas. A jeśli wpadną im w ręce sierpniowe numery „Ateneum", to po tobie.

Tuż przed wojną z pras włocławskiej drukarni zszedł najświeższy numer redagowanego przez Wyszyńskiego „Ateneum Kapłańskiego". Znalazł się w nim krytyczny artykuł o Hitlerze napisany przez księdza, który w obawie przed Gestapo uciekł z Niemiec. Egzemplarze pisma nadal leżały w zapieczętowanej przez Niemców drukarni.

– Jestem przygotowany na najgorsze – odparł Stefan. – Nie po to wracałem ze wschodu, żeby teraz uciekać. Jeśli wszyscy wyjadą, to i ja wyjadę. Jeśli zostanie choć jeden profesor albo kleryk, to i ja zostanę.

– Z twoim zdrowiem nie wytrzymasz więzienia.

– Nie ja jeden.

– Stefku, musisz się ratować. Jesteś potrzebny dla przyszłości.

Wyszyński milczał. Mniej więcej to samo mówił dwa miesiące temu ministrowi Kwiatkowskiemu. Jakże świetnie rozumiał teraz jego opór. Ale sytuacja ministra naprawdę była inna. On jest księdzem, jego miejsce jest tu. Poza tym minister wyjechał z rządem. On też by wyjechał, gdyby wszyscy...

– Ojcze, nie mogę.

– Spodziewałem się tego. A zatem skoro nie chcesz po dobroci, to idź do biskupa Michała.

Michał Kozal od niespełna trzech miesięcy był biskupem pomocniczym we Włocławku. Sakrę przyjął w miejscowej katedrze nieco

ponad dwa tygodnie przed wybuchem wojny. Nie opuścił miasta w obliczu nadciągających Niemców.

– Czekałem na księdza profesora – powiedział, gdy Wyszyński wszedł do jego gabinetu. – Proszę bezzwłocznie wyjechać z Włocławka.

– Ależ, Ekscelencjo...

– Nie ma żadnego ale... To polecenie.

– Na jak długo?

– Aż wszystko się tu uspokoi – Kozal spojrzał na kalendarz leżący przed nim na biurku. – Poczekajmy miesiąc, powiedzmy, do początku Adwentu. Ma ksiądz jakieś miejsce, gdzie mógłby się zatrzymać?

– U księdza Michała w Grabkowie? Przyjaźnimy się.

– Dobrze.

– Ksiądz biskup nie zmieni zdania? – podjął ostatnią próbę.

Michał Kozal spojrzał mu głęboko w oczy. Stefan zobaczył w nich determinację i jakiś dziwny smutek.

– Zgadzam się w całej pełni z księdzem rektorem – odpowiedział biskup. – W razie odkrycia zawartości „Ateneum" ksiądz jest najbardziej zagrożony. Pozostanie w tej sytuacji we Włocławku byłoby kuszeniem Pana Boga. Nie mogę księdzu na to zezwolić.

Kilkanaście minut później był już w swoim mieszkaniu. Spojrzał na półki wypełnione książkami. Sięgnął po kilka – jak mu się wydawało – najpotrzebniejszych. Włożył je na spód walizki. Niewiele miejsca po- zostało na rzeczy osobiste – koszula, trochę bielizny, resztę ma na sobie. Wychodząc z domu, zobaczył niemiecki patrol – trzech żołnierzy: jeden szedł z przodu, dwaj pozostali nieco z tyłu. Na piersiach trzy- mali pistolety maszynowe. Stukot ich podkutych butów stawał się co- raz głośniejszy, w miarę jak się zbliżali. Serce zaczęło mu bić szybciej. Jak żywy stanął przed nim obraz innych żołnierzy, którzy też mieli na klamrach pasów napis *Gott mit uns*[3]. To było w czasie

[3] Bóg z nami.

pierwszej wojny światowej. Mieszkał wtedy w Łomży, z której Prusacy wyparli Rosjan. Szedł raz ulicą w czapce szkolnej przypominającej francuskie kepi. Nie przyszło mu do głowy, że dla Niemców Francja była głównym wrogiem. Dwaj żołnierze strącili mu czapkę z głowy i chwycili go pod ręce. Trzeci stanął przed nim i wymierzył cios. Poczuł w ustach słodki smak krwi. Potem dostał w brzuch i padł na ziemię, zwijając się z bólu. Ich buty stukały tak samo, gdy się oddalali.

Tym razem nic się nie wydarzyło. Patrol minął go, a on poszedł dalej. Uszedł już spory kawałek, gdy przypomniał sobie o Katolickiej etyce wychowawczej ojca Jacka Woronieckiego. Że też o tym zapomniał! Zatrzymał się i zawrócił. Skręcił w ulicę prowadzącą do domu i niemal wpadł na stróża.

– Ksiądz profesor! – wykrzyknął stróż.

– A gdzie ty tak pędzisz?

– A gdzie ksiądz idzie? Chyba nie do domu? Ksiądz wyjeżdża – dodał, widząc walizkę w ręku Wyszyńskiego.

– Tak, na parę dni. Dlaczego nie miałbym iść do domu?

– Tam jest Gestapo! Przyszli przed kwadransem. Kazali mi otworzyć drzwi do mieszkania księdza. Wszystko wywalają do góry nogami! Proszę uciekać. Jak najdalej stąd!

– Dziękuję ci.

5

– Chodź, zajrzymy do Zdanowskich, dowiemy się, co się dzieje na świecie – ksiądz Michał Szwabiński wziął pelerynę z wieszaka. – No, Stefan, nie daj się prosić, chodźmy.

Ociągając się, wstał i włożył palto. Nie nosił sutanny, ksiądz Michał przedstawił go jako „pana Stefana", swojego dobrego znajomego.

Z Grabkowa do Ossówka pojechali bryczką proboszcza. Mimo niemieckiego nakazu oddania prywatnych odbiorników Zdanowscy ukrywali w domu radio i co wieczór nasłuchiwali wiadomości ze świata. Ludzie wciąż żyli nadzieją, że Anglia i Francja, które wypowiedziały wojnę Niemcom po ich agresji na Polskę, zaatakują Hitlera.

W domu było już kilkoro gości z okolicznych miejscowości. Siedzieli przy stole, na którym rozłożone były karty. Formalnie spotkali się, aby zagrać partyjkę wista, ale tak naprawdę przychodzili, aby rozmawiać o tym, co się dzieje.

– Zobaczycie, jak Francuzi się ruszą, to ten malarz będzie zmykał aż na Krym – powiedziała jedna z uczestniczek gry.

– Jeśli tak, to dlaczego nie ruszyli się, kiedy w Polsce toczyły się działania wojenne? – zapytał Wyszyński.

– Co pan sugeruje?

– Większość wojsk niemieckich była związana walką u nas. Zachodni alianci mogli uderzyć na wroga i wkroczyć do Niemiec. Jednak tego nie zrobili. Oni nie są gotowi do walki, przynajmniej nie do takiej, która może nam przynieść szybkie wyzwolenie.

– Co pan opowiada! Przecież wypowiedzieli wojnę!

– I nic nie zrobili. Można Hitlera wyśmiewać, ale ten malarz – jak pani mówi – precyzyjnie ocenił możliwości Francuzów i Anglików. Szczególnie Francuzi nie chcą walczyć. Zbudowali potężną Linię Maginota i myślą, że za nią będą bezpieczni. Ale nie zaatakują. Zbyt się wykrwawili w czasie poprzedniej wojny.

– Chce nas pan załamać czy co?

– Nie, łaskawa pani, tylko spojrzeć prawdzie w oczy. A prawda jest taka, że Polska, jak zwykle zresztą, jest zdana tylko na siebie. Owszem, inni będą nam pomagać o tyle, o ile to będzie służyć ich interesom. Ale nie poświęcą się za nas. W ich oczach uchodzimy za upartych romantyków, którzy nie rozumieją realiów życia.

– Skąd taki wniosek?

– Wie pani, akurat teraz mija dziesięć lat od czasu, gdy studiowałem w Rzymie, na Angelicum. Był tam pewien profesor, bardzo uczony dominikanin z Francji, ojciec Gillet, na którego wykłady przychodzili Anglicy, Francuzi, Holendrzy, a także Murzyni. Ci ostatni siedzieli na końcu. Obok nich było jedno wolne miejsce, ale nikt nie chciał go zająć. W końcu ja to zrobiłem. „Po co tam siadasz?" – pytali mnie. „Bo nikt nie chce" – odpowiadałem. „Słaby motyw" – stwierdził jakiś Francuz. „To ty usiądź" – odparłem. Nie usiadł. Raz na korytarzu poprosiłem ojca Gilleta: „Niech ojciec tak przemówi do słuchaczy, aby wszyscy zechcieli usiąść przy tych Murzynach". A on, jako że umiał trochę po polsku, powiedział: „Polaki zawsze walczą za wolność waszą i naszą". My tak, inni nie – poza jednostkami, bo szlachetnych ludzi wszędzie można spotkać. Ale państwa, całe narody nie są gotowe, aby narażać się teraz dla innych, a zwłaszcza dla takiego małego narodu jak nasz.

– Przecież są podpisane układy!

– Pierwsza wojna trwała cztery lata. Jeśli Francuzi zbudowali tak potężne umocnienia, to znaczy, że są nastawieni na długą obronę. Przypuszczalnie liczą na to, że Hitler albo połamie sobie zęby na Linii Maginota, albo zadowolony z podboju Polski, poprzestanie na tym i nie podejmie działań zbrojnych wobec silnego przeciwnika, którego nie da się rozjechać jak nas. To znaczy, że to wszystko będzie trwać, i to długo.

– Stefan, pozwól na chwilę – ksiądz Michał przerwał rozmowę i wskazał głową drugi pokój, dokąd udał się przed chwilą właściciel domu Feliks Zdanowski.

Wyszyński poszedł za przyjacielem.

– Nie jesteś tu bezpieczny – powiedział Szwabiński. – Jesteś zbyt blisko Włocławka, a Gestapo na pewno z ciebie nie zrezygnowało.

Powinieneś stąd wyjechać, chyba najlepiej do rodziny. Pan Feliks zaofiarował się, że zawiezie cię na stację kolejową do Krośniewic. To dość daleko, ale nie ryzykowałbym wsiadania do pociągu w Czerniewicach. Tam mieszka jakiś volksdeutsch. Może cię zauważyć i donieść na Gestapo.

– Też myślałem o wyjeździe. Im dłużej tu jestem, tym bardziej cię narażam. A teraz mam jeszcze narażać pana? – Wyszyński zwrócił się do Zdanowskiego.

– Znam te strony jak własną kieszeń. Nikt nawet nie zauważy, że pana wywiozłem.

– Skoro tak, to nie ma sensu dalsze ukrywanie się. Nie jestem żadnym panem Stefanem, lecz księdzem. Moje nazwisko Wyszyński. Kiedy ruszamy?

– Pociąg do Warszawy przejeżdża przez Krośniewice około piątej nad ranem. Powiedzmy, że będę w Grabkowie koło drugiej.

– Zgoda. Będę gotowy.

– Proszę się ciepło ubrać. Noce są już bardzo zimne.

6

Do Wrociszewa dotarł późnym popołudniem. Idąc w stronę domu, zobaczył ojca podnoszącego przewrócony krzyż. Ojciec dostrzegł go również.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Stefan, jakeśmy się o ciebie martwili! Dobrze, że jesteś.

– I ja się cieszę. Chciałbym zatrzymać się u was na parę dni.

– Nawet na długo. Chodź, pomożesz mi, sam już nie mogę dać rady – Stanisław Wyszyński schylił się do krzyża.

Stefan chwycił z drugiej strony. Podnieśli go wspólnie.

– Pamięta tatuś, jak w Zuzeli jeździliśmy nocą na mogiły powstańców stawiać na nich krzyże? – zapytał, gdy wracali do gospodarstwa.

– Że ja pamiętam, to nie dziwota, ale że ty? Mały z ciebie był pędrak.

– Nie tylko to pamiętam. I szkołę, i łapę od nauczyciela, tego Rosjanina, co za karę dawał do wyboru: albo zostać bez obiadu w klasie, albo wziąć uderzenie linijką w dłoń. I mamusię pamiętam... Stefek, ubieraj się...

Ostatnie słowa, które powiedziała do niego przed śmiercią. Myślał, że każe mu po coś iść, więc chwycił za paltko. A ona na to: „Nie, nie tak, inaczej się ubieraj". Nie rozumiał wtedy. Dopiero po pogrzebie ojciec wytłumaczył mu, co miała na myśli: „Masz się ubierać w cnoty, gotować się do twojej przyszłej drogi".

Chwycił go kaszel.

– Stefku, co z tobą? Chory jesteś? – zaniepokoił się Stanisław.

– Pewnie jakieś przeziębienie. Nocą jechałem, zimno było.

– U nas odpoczniesz, nabierzesz sił.

– Nie zatrzymam się długo. Biskup kazał mi wyjechać z Włocławka, ale pozwolił wracać po miesiącu. Parę dni posiedzę u was i pojadę.

– Najpierw cię wykurujemy.

Przez kolejne dni nie opuszczał łóżka. Zaczął się Adwent, a on wciąż miał gorączkę. Spadła po tygodniu, po dwóch tygodniach mógł wreszcie pójść do kościoła.

Matko, wróć mi siły, abym mógł pojechać do Włocławka – modlił się pełen niepokoju. Miał złe przeczucia. Czy Niemcy znaleźli numery „Ateneum"? Czy nie będą się za niego mścić na tych, którzy tam zostali? Musi wracać, dłużej już nie wytrzyma tej niepewności.

Ktoś dotknął jego ramienia. Obrócił się. To był stróż z seminarium!

– Co ty tu robisz?

Podniósł się z kolan. Stróż poszedł za nim.

– Długo księdza profesora szukałem, ale w końcu znalazłem – powiedział. – Ksiądz rektor prosił, aby to oddać – zza pazuchy wyciągnął kartkę.

Stefan rzucił okiem na kilka słów, skreślonych w wyraźnym pośpiechu.

Stefan, nie wracaj.

Podniósł oczy na stróża.

– Co z nimi?

– Niedobrze, księże profesorze. Niemcy wzięli wszystkich profesorów i alumnów. Księdza biskupa Michała też. Ksiądz rektor dał mi tę karteczkę, kiedy zaczęły się aresztowania. To było 7 listopada. Po południu zabrali biskupa. Wiele godzin stał na placu przed seminarium. Przyprowadzali kolejnych księży i kleryków aż do późnej nocy. Potem zamknęli ich w dawnej kaplicy więzienia. Tam siedzą, przynajmniej byli tam, gdy wyjeżdżałem z Włocławka.

Słuchał w milczeniu. Niemal widział swoich kolegów i kleryków stłoczonych na dobrze mu znanym miejscu, przez które tylekroć przechodził. W zimnie, przerażeniu, niepewności. A on jest tu, bezpieczny! Tylko dlatego że ojciec Korszyński i biskup Michał chcieli go ratować!

Czuł się podle, jak dezerter, który uciekł z pola walki. Co z tego, że spełnił polecenie przełożonego? Czyż nie lepiej było okazać nieposłuszeństwo i teraz dzielić ich los? Jak on spojrzy w oczy tym chłopcom, którym w Łucku mówił, że trzeba wracać do Polski, która będzie cierpieć i z którą muszą być?

Spojrzał na rozciągające się kilkanaście metrów dalej polanę i las, pod którym pasły się owce.

Czy to będzie jego ostatnie wspomnienie z wolności?

Bóg nie tworzy granic, nie przeprowadza ich między ludźmi. Ten zwycięża – choćby był powalony i zdeptany – kto miłuje, a nie ten, kto w nienawiści depcze. Ten ostatni przegrał. Kto walczy z Bogiem miłości – przegrał! / **Stefan Wyszyński**

1941, czerwiec

7

Niestety, miał rację. Ani po miesiącu, ani po dwóch, ani nawet po pół roku Francuzi i Anglicy nie ruszyli się. Za to w maju 1940 roku uderzyli Niemcy. Nie robiąc sobie nic z neutralności Belgii i Holandii, przeszli przez te kraje, ominęli Linię Maginota i w ciągu miesiąca rzucili Francję na kolana. Na placu boju pozostała tylko Anglia oddzielona od Europy kanałem La Manche. Po roku już nie tylko on był przekonany, że ta wojna potrwa bardzo długo.

Drugie wojenne lato zastało go w majątku Zamoyskich w Kozłówce. Przyjechał tu na prośbę swojego ojca duchowego księdza Władysława Korniłowicza, który prosił go o opiekę nad mieszkającymi tam siostrami z Lasek i dziećmi z prowadzonego przez nie Zakładu dla Niewidomych.

Przez tych kilka miesięcy nabrał wprawy w sztuce powożenia. Często brał z majątku jedną z bryczek i podróżował po okolicy. Dziś chciał zajrzeć do księdza Michała Słowikowskiego, proboszcza parafii w Kamionce. Parę minut temu opuścił pałac i skierował swój pojazd w stronę Siedlisk.

– Pochwalony Jezus Chrystus! – pozdrowił go jeden z miejscowych chłopów. Znał go, przychodził czasem pomóc do majątku, przed wojną pracował tu jako fornal.

– Na wieki wieków, Janie! – odpowiedział, machając do niego przyjaźnie.

Chłop skłonił się jeszcze niżej, najwyraźniej poruszony, że wielebny gość jaśnie państwa pamięta jego imię.

Po trzech kilometrach wjechał do Kamionki. Ściągnął cugle i zatrzymał bryczkę przed plebanią. Nie zdążył jeszcze zejść z kozła, gdy z domu wyskoczył ksiądz Michał.

– Księże profesorze, Hitler uderzył na Sowietów!

– W imię Ojca i Syna, kiedy?

– Wczoraj rano. Dlatego tyle wojska szło na wschód.

– Nasi wrogowie rzucili się sobie do gardeł.

– Teraz na pewno coś się zmieni. Myśli ksiądz, że Niemcy ich pokonają?

– Hitler ma się za wielkiego wodza, ale Napoleon też się za takiego uważał. To ogromny kraj, a zimy są tam bardzo ciężkie.

– W każdym razie dla nas to dobra wiadomość.

– I tak, i nie. Znaleźliśmy się na bezpośrednim zapleczu frontu.

W drodze powrotnej z Kamionki zastanawiał się, czy nie czas już opuścić to miejsce. Kiedy przyjeżdżał do Kozłówki, wydawało się, że jest tu stosunkowo bezpiecznie. Niedawno jednak aresztowano ordynata hrabiego Aleksandra Zamoyskiego za udział w konspiracji. Na pewno Gestapo będzie się bacznie przypatrywać wszystkim mieszkańcom pałacu. Szczególnie teraz, gdy na wschód będą podążały tędy transporty w bronią i wojskiem.

Od dawna miał ochotę opuścić Kozłówkę. Nie czuł się najlepiej wśród mieszkających tu ludzi, z wyjątkiem sióstr franciszkanek z Lasek, które z taką troską zajmowały się niewidomymi dziećmi.

Pałacowe rozmowy wypełnione były nostalgią za przedwojenną Polską, postrzeganą przez jego współmieszkańców niemal jak utracony raj. Nie podzielał ich zdania. Bolał nad utratą niepodległości i nad cierpieniami narodu, nie mógł jednak nie pamiętać, że w tamtej wolnej Polsce wiele rzeczy wymagało radykalnej naprawy. We Włocławku, dużym ośrodku przemysłowym, miał dobry kontakt z robotnikami i z bliska patrzył na ich życie. A nie było ono łatwe, i to nie tylko dlatego że ci ludzie ciężko pracowali za niewielkie pieniądze. Pamiętał, jak w czasie kryzysu gospodarczego związkowcy chcieli zorganizować konferencję z pracodawcami. Poszedł wówczas z zaproszeniem do jednego z akcjonariuszy fabryki celulozy.

– Proszę księdza, ja na tę konferencję nie pójdę – oświadczył na wstępie przedsiębiorca.

– Dlaczego?

– Bo na pewno robotnicy będą żądali, żeby dać im więcej pieniędzy.

– Niech pan przyjdzie – przekonywał ksiądz Stefan. – Warto ich posłuchać. Zobaczy pan, że ich pan nie zna.

Po konferencji człowiek ten przyszedł do niego.

– Dziwne, ale faktycznie nie mówili o podwyżkach. Prosili, żeby ich szanować i nie poniewierać nimi.

Ówczesny jego rozmówca, tak jak liczne rzesze polskiej inteligencji, był oficerem rezerwy i po wybuchu wojny znalazł się nad Bzurą. Został ciężko ranny. Prosił, aby go pochować w polskim mundurze. Jego pragnieniu stało się zadość.

W Kozłówce Stefan spotkał podobnych do niego ludzi – niewątpliwie wielkich patriotów, którzy jednak nie dostrzegali, że oprócz blasków przedwojenna Polska miała również cienie, i to poważne. Gdy on mówił o szacunku, jaki należy się robotnikom i innym nieuprzywilejowanym członkom społeczeństwa, oni patrzyli na niego

z nieufnością, jakby był komunistą w sutannie. W ich oczach księża należeli raczej do wyższej warstwy społecznej, a Kościół stanowił niezbędne spoiwo jedności narodu. Ksiądz Stefan nie mieścił się w tym schemacie. Mimo całej życzliwości Zamoyskich coraz bardziej czuł się nieproszonym gościem w tym podlubelskim Wersalu. Jeśli go coś trzymało, to siostry, którym naprawdę był potrzebny, choć siostra Nulla, poetka o wrażliwej duszy, napisała o jego przymusowej sytuacji kapelana:

Spojrzał na lewo, a tu same Szwaby
Spojrzał na prawo, a tu same baby.

Nie chciał ich zostawić także ze względu na księdza Korniłowicza. Ostatnio ojciec Władysław sugerował mu wyjazd do Zakopanego, aby podleczył trochę nadwyrężone gruźlicą płuca. Przemyśli to jeszcze.

1941, październik

8

Zatrzymał się na mostku i spojrzał na potok wypełniony mniejszymi i większymi kamieniami. Rwąca woda szlifowała ich powierzchnię, która stała się gładka jak szkło. Dolina Olczyska o tej porze roku wyglądała przepięknie. Złoto i czerwień liści przeplatały się z zielenią jodeł i sosen, a szum potoku dawał poczucie głębokiego spokoju. Przyroda nic sobie nie robiła z grozy wojny.

Odetchnął głęboko i ruszył naprzód. Ojciec Korniłowicz dobrze mu poradził – kilka tygodni w Zakopanem sprawiło, że czuł się znacznie lepiej. Górskie powietrze służyło mu, kontakt z naturą uspokajał, widok gór pomagał myśleć o Bogu. Podpierając się znalezionym

kijem, wyszedł na drogę i skręcił w lewo, w stronę domu urszulanek na Jaszczurówce. Kilkanaście minut później wchodził na podwórze. Przed domem zobaczył czarny samochód. Zdziwiło go to. Jednak, nie zastanawiając się zbytnio nad tym, kto składa siostrom wizytę, nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Zobaczył człowieka w czarnym skórzanym płaszczu i czarnej czapce z trupią czaszką. Gestapo!

– Co tu robisz? – warknął Niemiec.

– Mieszkam tutaj, przyjechałem na odpoczynek – powiedział.

– Ach, tak, odpoczynek? A może partyzantka? Pokręcił przecząco głową.

– Pójdziesz z nami.

Stojąca obok siostra spojrzała na niego z lękiem. „Pójdziesz" mogło oznaczać tylko jedno – zabiorą księdza profesora do siedziby Gestapo: hotelu „Palace". Było to najbardziej przerażające miejsce w Zakopanem. W podziemiach tej katowni gestapowcy torturowali i zabijali setki Polaków, mało kto wychodził stamtąd żywy. Z „Palace" trafiało się przeważnie albo na cmentarz, albo do Oświęcimia.

Niemiec chwycił go pod ramię i wyprowadził z domu. Stefan spojrzał na rozciągającą się kilkanaście metrów dalej polanę i las, pod którym pasły się owce. Czy to będzie jego ostatnie wspomnienie z wolności? Gestapowiec położył mu rękę na głowie i zmusił do schylenia się, tak aby mógł wejść do samochodu. Usiadł obok, zatrzasnął drzwi i polecił ruszać.

W drodze Stefan usiłował pozbierać myśli. Czy to możliwe, aby przyszli specjalnie po niego czy też zabrali go przypadkowo? Jeśli to pierwsze, to po nim. Dołączy do profesorów i seminarzystów w Dachau, o ile nie rozstrzelają go natychmiast. Jeśli to drugie, to miał cień szansy.

Sub tuum praesidium…

Nie skończył jeszcze modlitwy, gdy samochód wjechał na Chałubińskiego. Taką nazwę nosiła ta ulica przed wojną, Niemcy przemianowali ją na Tatrastrasse (Tatrzańską). Zatrzymali się przed murowanym budynkiem, niegdyś pensjonatem. O jego obecnym przeznaczeniu informował napis:

Der Kommandeur der Sicherheitspolizei und des SD im Distrikt Kra- kau. Grenzpolizeikommissariat Zakopane (Komendant Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w Dystrykcie Krakowskim. Komisariat Policji Granicznej w Zakopanem).

Wprowadzili go do celi. Zobaczył w niej człowieka w sutannie. Stał przy ścianie, na rękach miał kajdany przytwierdzone do ściany łańcuchem. Jego zakuto w podobne narzędzie. Gestapowcy wyszli, zatrzaskując drzwi.

– Ksiądz skąd? – zapytał Wyszyński.

– Z Łodzi. Erwin Grochocki – odpowiedział tamten.

– Stefan Wyszyński – przedstawił się. – Pan Bóg czuwa nad nami, skoro umieścił nas razem w tym miejscu. Przynajmniej możemy udzielić sobie absolucji na wypadek śmierci. Czy ksiądz mógłby...?

Grochocki szeptem wypowiedział słowa rozgrzeszenia. Potem powtórzył je Stefan. Po jakimś czasie usłyszeli zgrzyt zamka. Drzwi się otworzyły i do Wyszyńskiego podszedł gestapowiec. Zdjął mu kajdany z rąk.

– *Komm* – powiedział krótko.

– Słucham? – zapytał po polsku ksiądz.

– *Verstehst du nicht?* – zapytał Niemiec.

Wyszyński rozumiał doskonale. Ale spojrzał zdziwiony. Postanowił nie przyznawać się do znajomości języka okupanta. „Jak będą tłumaczyć, zyskam czas na zastanowienie" – pomyślał.

Po chwili znalazł się w zaciemnionym pokoju. Gestapowiec skierował światło lampy prosto w jego oczy.

– Skąd jesteś? – zapytał po niemiecku. Pytanie przetłumaczył stojący obok góral.

Odetchnął z ulgą. A więc nie wiedzą o Włocławku! A może tylko udają? Musi zaryzykować.

– Z Kozłówki pod Lublinem – powiedział. – Mieszkam tam w majątku hrabiostwa Zamoyskich.

– *Ach, so* – w jego głosie ksiądz Stefan wyczuł szacunek. – Czym się tam zajmujesz?

– Jestem księdzem, służę jako kapelan. W pałacu państwa Zamoyskich jest kaplica, odprawiam tam msze dla domowników.

– Mówisz, że mieszkasz u Zamoyskich? Słyszałem o Kozłówce. Podobno to piękny pałac?

– To prawda. Zamoyscy to jeden z najznamienitszych rodów. Mają szerokie koligacje w całej Europie.

Już w Kozłówce zauważył, że na Niemcach duże wrażenie robiło wysokie pochodzenie jego gospodarzy. Niestety – ostatecznie nie uchroniło to ordynata przed aresztowaniem, ale o tym najwyraźniej przesłuchujący go oficer nie wiedział.

– Od jak dawna w Zakopanem? – rzucił Niemiec.

– Od początku września.

– Dlaczego tu przyjechałeś?

– Leczę się na płuca.

– Masz na to jakiś dowód?

– W pensjonacie sióstr mam dokumentację lekarską. Mogę ją okazać. Niemiec machnął ręką.

– Mógłbyś dla odmiany skorzystać z naszego pensjonatu. Tym bardziej że, jak widać, lubisz mieszkać w pałacach – zaśmiał się, widocznie to miał być żart. – Niestety. Chwilowo wszystkie miejsca zajęte,

akurat aresztowaliśmy polskich bandytów. Tym razem więc cię nie zatrzymamy. Jesteś wolny.

– Czy mam zostać w mieście? – zapytał.

– Można zostać.

– Można zostać, lepiej jechać – dopowiedział po polsku tłumacz. Wychodząc z budynku, natknął się na Niemców tarasujących schody.

Przed nim schodził jakiś Polak. Skulił się w sobie, mijając ludzi w mundurach. Jeden z nich wymierzył mu cios, drugi dołożył, Polak zaczął biec, gdy ostatni Niemiec podłożył mu nogę. Padł jak długi przy akompaniamencie śmiechu swoich prześladowców. Wyszyński przypatrywał się tej scenie, stojąc w drzwiach. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął rękawiczki. Powoli, starannie, naciągnął je na dłonie i zapiął na zatrzaski. Czuł na sobie spojrzenia tych ludzi. Podniósł głowę i śmiało ruszył naprzód. Rozstąpili się, jeden z oficerów nawet przyłożył rękę do czapki. Wolnym krokiem ruszył w kierunku Jaszczurówki. Wyjedzie jeszcze dziś. Nie wróci do Kozłówki, nie pojedzie też do rodziny. Najlepiej, jeśli zatrzyma się w Żułowie, gdzie jest ojciec Korniłowicz. Najpierw jednak podziękuje Bogu.

◇◇

Chodząc dziś po ulicach Stolicy, pamiętajmy, że jest to miasto, w którym zginęło 300 tysięcy warszawian. Najlepsza młodzież obmyła krwią swoją bruki tego miasta. Tak się miłuje. Nie ma miłości bez ofiary. Przez taką miłość zyskuje się prawo do Ojczyzny. Dlatego młodzież była gotowa na wszystko. Zdolna była walczyć o wolność i zarazem wybraniać się przed nienawiścią / **Stefan Wyszyński**

9

1944, koniec lipca

– Nie wiemy, co robić. Niech Ojciec nam powie – Maria Okońska spojrzała z nadzieją na księdza Stefana.

Siedziały przed nim – pięć dziewczyn z wielkim marzeniem, które jego słowo mogło podtrzymać lub...

– Marysiu, jakże ja mogę za was zadecydować? – odpowiedział pytaniem.

– Ufamy Ojcu.

– Ufajcie Bogu. Módlcie się, módlcie się dużo. Ja też będę się modlił. Od dwóch dni patrzył na mękę tych dziewcząt, które przyszły do niego szukać pomocy w podjęciu decyzji. Poznał je przed dwoma niespełna laty, kilka miesięcy po tym, jak przeniósł się z Żułowa do Lasek pod Warszawą. Było ich osiem. Każda wybrała jedno z ośmiu błogosławieństw Jezusa z Kazania na Górze. Postanowiły, że gdy wojna się skończy, założą Miasto Dziewcząt – instytucję, która będzie wychowywać młode Polki na święte. Tak miała się dokonać odnowa Polski. Zrezygnowały z własnych rodzin, byleby tylko zrealizować ten ideał.

Niedługo potem spotkały księdza Stefana. Wywarł na nich ogromne wrażenie. One na nim również. Poprosiły, by został ich kierownikiem duchowym. Zgodził się. Te młode, niemające jeszcze dwudziestu lat kobiety wierzyły, że myśl o Mieście Dziewcząt nie jest ich pomysłem, ale natchnieniem od Boga. Jeśli jednak miała zostać zrealizowana, to potrzebowały prowadzenia, przygotowania, dojrzewania. Chciały, by polskie kobiety były wykształcone i pobożne, ofiarne i praktyczne, pełne uczucia i zarazem rozsądku. Wyczuwały, że z jego pomocą same mogą się takie stać. Pod jego kierunkiem intensywnie pracowały nad sobą. Uczyły się, modliły, przyjmowały wskazówki dotyczące życia w świecie i życia wewnętrznego. Uczył je, jak organizować sobie

dzień, aby mieć czas i na modlitwę, i na zwykłe zajęcia, pokazał metodę „schedulki" – kartki z planem czynności, dzięki której mogły robić rachunek sumienia: co z postanowień wyszło, co nie i jak to poprawić nazajutrz. „Jeśli chcecie ofiarować Bogu swój czas, to musicie go dobrze wykorzystać" – mówił.

Uczyły się cenić czas także dlatego, że żyły w poczuciu nieustannego zagrożenia. Często dowiadywały się o aresztowaniu lub śmierci kogoś znajomego. Każda chwila była cenna, bo każda mogła się okazać ostatnia.

Ten czas niewątpliwie miał się ku końcowi i zbliżało się upragnione rozpoczęcie właściwej pracy. Oczyma wyobraźni widziały już rzesze dziewcząt, które budują szczęśliwe rodziny, zajmują ważne stanowiska w społeczeństwie, wpływają na to, że Polska staje się bardziej ludzka i... bardziej Boża.

Tymczasem kilka dni temu z hiobową wieścią przyszedł do Marysi Zdzich, kolega jej brata Włodka.

– Wkrótce wybuchnie powstanie – powiedział. – Jesteśmy do niego zupełnie nieprzygotowani: nie mamy broni ani amunicji. Sam zapał nie wystarczy. Będzie to wielki mord stolicy. Z Warszawy nie pozostanie kamień na kamieniu.

Poradził jej, aby uciekała. Uciekać? Przecież to będzie jak dezercja! Wszystkie przeszły konspiracyjne szkolenia na sanitariuszki. Będą potrzebne. Ale z drugiej strony, jeśli zginą, to kto zrealizuje zadanie, które – jak wierzyła – postawił przed nimi Bóg? Sanitariuszek będzie w powstaniu wiele, a więc czy one mają prawo ryzykować swoje życie, tak potrzebne, gdy wojna minie?

Jedno nie ulegało wątpliwości. Warszawa szykowała się do powstania. Do Wisły zbliżał się front, oddziały Armii Czerwonej podchodziły do Pragi, słychać było odległe detonacje.

Zdecydowały dostać się do Lasek, gdzie przy prowadzonym przez siostry franciszkanki Zakładzie dla Niewidomych mieszkał ksiądz profesor. Tutaj też zagościła już przedpowstańcza atmosfera. W domu rekolekcyjnym miał powstać szpital, znoszono lekarstwa, sprzęt chirurgiczny, w salach poustawiano łóżka czekające na rannych.

Gdy się przybliżył Jezus do Jeruzalem i ujrzał miasto, zapłakał nad nim, mówiąc: „Gdybyś i ty poznało i właśnie w ten dzień twój to, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryte jest przed oczami twymi. Albowiem przyjdą na ciebie dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblegną cię, i ścisną zewsząd, i na ziemię powalą ciebie i dzieci twe, które w tobie są, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dlatego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego.

Z Ewangelii wg św. Łukasza na IX Niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego, która w 1944 roku wypadała 30 lipca, dwa dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego[4]

10

Po rozmowie z Ojcem przeszły przez polowy szpital do kaplicy znajdującej się w tym samym budynku. Wkrótce będą tu leżeć, a pewnie i umierać ludzie, przede wszystkim ich rówieśnicy, którzy również mają swoje pragnienia.

[4] Przekład według Mszału Rzymskiego benedyktynów tynieckich, Poznań 1963.

Ostatnia niedziela lipca. Za chwilę Ojciec wyjdzie z mszą.

In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti.

Znak krzyża.

Introibo ad altare Dei…

Przystąpię do ołtarza Bożego. Do Boga, który uwesela młodość moją.

Wymierz mi, Boże sprawiedliwość i broń sprawy mojej przeciw ludowi niezbożnemu, wybaw mnie od człowieka podstępnego i niegodziwego…

Po obiedzie przyszły do niego powtórnie.

– Mogłybyście zostać w Laskach, tu byście się na pewno przydały, szpital będzie potrzebował sanitariuszek – powiedział na wstępie. Chciał im ulżyć, sądził, że może to będzie jakieś wyjście. Przerwał jednak, widząc zupełnie inne niż w ostatnich dniach spojrzenie Marii. – Znalazłyście same rozwiązanie? – domyślił się.

– Ojcze, chcemy pójść do powstania, ale po to, by zanieść tam Matkę Bożą – odpowiedziała z jakąś niesamowitą siłą. – Warszawa będzie cierpieć, my musimy nieść ludziom nadzieję, że Maryja, że Pan Bóg ich nie opuścili. Czy Ojciec nam pozwoli?

Szlachetne dusze!

– Kiedy bolszewicy szli na Warszawę w 1920 roku, wszystkie kościoły były otwarte, a ludzie ciągle się modlili – powiedział. – Arcybiskup Ratti, nuncjusz Ojca Świętego, jako jedyny z dyplomatów nie opuścił Warszawy i również się modlił. Pamiętacie, jak modlił się Mojżesz?

Skinęły głowami. Kiedy Mojżesz trzymał ręce w górze, Izraelici zwyciężali Amalekitów, gdy ze zmęczenia mu opadały – przegrywali. W końcu Aaron i Chur musieli podtrzymywać jego ręce i ostatecznie bitwa została wygrana.

– Tak modliła się też Warszawa – ciągnął. – Byłem wtedy klerykiem, chodziłem od domu do domu z obrazkami Matki Bożej.

– To jest dla nas odpowiedź. Idziemy do powstania. Tylko skąd weźmiemy więcej obrazków? – zasmuciła się.

Uświadomił sobie, że jego słowa przypieczętowały ich decyzję. Czyli jeśli którejś z nich coś się stanie... – przeszedł go dreszcz. Całą wojnę dowiadywał się, jak bliscy mu ludzie ginęli. A teraz jeszcze te dziewczęta? I to z powodu tego, co powiedział?

– Moje dzieci...

W jego oczach dostrzegły lęk.

– Niech Ojciec będzie spokojny – zapewniła Maria. – Matka Boża nie dam nam zrobić krzywdy! Wiem, co zrobimy. Zorganizujemy punkt modlitwy. Gdy powstańcy będą walczyć, a sanitariuszki opatrywać ich rany, ktoś musi błagać Boga o ratunek przez przyczynę Matki Najświętszej.

– Kiedy ruszacie?

– Jutro, zaraz po mszy świętej.

– Odprawię ją za was.

Stał na drodze prowadzącej do Warszawy i patrzył na oddalające się postaci dziewcząt. Jego ręka wykonywała jednostajny ruch: w górę, w dół, w poprzek. Doszły do zakrętu, obejrzały się, pomachały na pożegnanie. I znikły mu z oczu.

Poszedł w kierunku domu rekolekcyjnego. W tę samą stronę zmierzali lekarze i pielęgniarki. Szła też fundatorka tego dzieła matka Elżbieta Czacka. Niewidomą zakonnicę prowadziła jedna z sióstr założonego przez nią Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża. Za nimi podążał Antoni Marylski. On był jej oczami, wcielał w życie jej przesłanie: służyć niewidomym i sprawiać, by stali się apostołami wśród widzących, zwłaszcza tych „niewidomych na duszy" – ludzi oddalonych od Boga.

Dzieło to rozwijało się mniej więcej od czasów, gdy on przyjął święcenia kapłańskie. W okresie międzywojennym stało się, także dzięki księdzu Korniłowiczowi, tętniącym życiem ośrodkiem polskiego katolicyzmu. Teraz rola Lasek zmieniała się. Zmieniała się też jego rola. Będzie kapelanem powstańczego szpitala, pseudonim „Radwan III".

Wszedł do środka. Założył komżę i stułę, wziął kropidło. Swoją pracę rozpocznie od poświęcenia tych ścian.

Późnym wieczorem powrócił do kaplicy. Ukląkł, a następnie położył się krzyżem przed tabernakulum. Za kilka dni, 3 sierpnia, minie dwadzieścia lat od jego święceń kapłańskich. Przystępował do nich samotnie – jego koledzy zostali wyświęceni 29 czerwca, on tego dnia poszedł do szpitala. Po miesiącu był nieco, ale tylko nieco, zdrowszy. Jakoś doczłapał się do włocławskiej katedry. Spotkał starego zakrystiana, który był w lepszej formie niż on, dwudziestotrzyletni kandydat do kapłaństwa.

„Proszę księdza, z takim zdrowiem to chyba raczej trzeba iść na cmentarz, a nie do święceń" – powiedział mu wtedy zakrystian. Z ulgą położył się krzyżem na posadzce. Słuchał Litanii do Wszystkich Świętych i zastanawiał się, czy zdoła wstać i utrzymać się na nogach. Udało się. Prosił wtedy Boga, aby pozwolił mu odprawić choć kilka mszy w życiu. Otrzymał znacznie więcej.

Panie, jeśli ocaliłeś mnie tyle razy, ocal teraz je. Nie pozwól, by przydarzyło im się coś złego. Matko, one idą w Twoim imieniu. Monstra te esse Matrem, okaż się im Matką!

Przez otwarte okno dochodziło cykanie świerszczy. Noc była gorąca lipcowym upałem.

A zwyciężył już dziś – choćby leżał na ziemi podeptany – kto miłuje i przebacza, kto jak Chrystus oddaje serce swoje, a nawet życie, za nieprzyjaciół swoich / **Stefan Wyszyński**

1944, wrzesień

11

– Boli, strasznie boli, aaaaaaaaaa – przeraźliwy krzyk zawibrował w powietrzu, docierając do każdego kąta polowego szpitalika w Laskach. – Niech ktoś do mnie przyjdzie, szybko! – Teraz w głosie żołnierza było już mniej cierpienia, więcej zaś gniewliwego żądania.

– To Jurek – powiedział doktor Cebertowicz. – Może ksiądz do niego pójdzie?

Wyszyński skinął głową. Chłopak leżał u nich już prawie miesiąc. Przywieziono go z akcji na niemieckie lotnisko na Bielanach. Dostał w brzuch. Trzeba było mu wyciąć część kiszek. Cierpiał, ale przysparzał też cierpienia innym. Wszyscy wiedzieli, że Jurek jest jedynakiem, i długo usprawiedliwiali jego grymasy, choć przecież takich jak on – po resekcji jelit – było tu kilku. Co chwila wołał o wodę albo przyzywał sanitariuszkę, ot tak, żeby pogadać, gdy one uwijały się jak w ukropie. Gdzieś w połowie sierpnia, przed Wniebowzięciem, siostry poprosiły księdza Stefana, żeby z nim porozmawiał.

– Jurek, byłeś taki odważny, walczyłeś na froncie i nie bałeś się kul, a tu jesteś taki grymaśny, że nikt z tobą wytrzymać nie może – powiedział mu. – To chyba wstyd.

– A bo, proszę księdza, mnie się sprzykrzyło leżeć, ja chciałbym iść na front.

– Jurek, pójdziesz na front do Matki Bożej. Chłopak nie odzywał się przez chwilę.

– Proszę księdza, ja... nie myślałem o tym.

– To pomyśl.

Przestał grymasić. Aż do tej chwili.

– Aaaaaaaaa – Wyszyński usłyszał, jęk wchodząc do izby, gdzie leżał żołnierz. – O, ksiądz Stefan – chory ucieszył się na widok kapelana. – Ksiądz o mnie zapomniał! – powiedział z wyrzutem.

– Jurek, znowu jesteś nieznośny.

– A bo ksiądz powiedział, że będę u Matki Bożej – Wyszyński miał wrażenie, że rozmawia z małym rozpieszczonym dzieckiem, które uważa, że wszystko mu się należy. Jego ojciec zginął w tej samej okolicy we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Matce został tylko syn. – Za dwa dni święto Matki Bożej. Nie zdążę – szepnął ze smutkiem.

– Dlaczego nie zdążysz?

– Niech ksiądz zobaczy, jeszcze jestem taki silny – chwycił go za rękę.

W tych dniach trzymał już wiele dłoni umierających ludzi. Ta była równie słaba jak tamte.

– Jurek, nie bój się, zdążysz – powiedział.

– Naprawdę? Zdążę? To już będę grzeczny.

Pokropił zawinięte w prześcieradło ciało i rzucił na nie grudkę ziemi. Trumien już od dawna nie było. W lesie przybywało natomiast krzyży znaczących mogiły zmarłych od ran żołnierzy powstania. Jurek był młody, byli jeszcze młodsi od niego. Nieopodal znajdował się kopczyk, pod którym znajdowało się ciało szesnastoletniego Janka. Cały poszarpany od kul, przez trzy dni leżał na polu walki. Przyniesiono go do Lasek właściwie tylko po to, by tam umarł. Zdążył się jeszcze

wyspowiadać i przyjąć komunię. Potem ciągle śpiewał pieśni maryjne. Tracił przytomność, majaczył, ale śpiewał. Tak odszedł, ze śpiewem na ustach.

Minął grób łączniczki, też chyba nie miała dwudziestu lat. A co z nimi? Co z Marysią, Janką, Lilką i pozostałymi, które opuściły Laski w przeddzień powstania? Wszyscy mówili, że walka będzie trwać kilka dni, tymczasem minął już ponad miesiąc. Sowieci zatrzymali się nieopodal Warszawy i najwyraźniej nie mieli zamiaru iść dalej. Nad miastem unosiły się kłęby dymu, ciemności nocy rozświetlała łuna pożarów. Płonęły domy, biblioteki, muzea, kościoły.

Silny podmuch wiatru przyniósł ostry zapach dymu. Jutro 8 września, święto Narodzenia Maryi. Jurek zdążył.

12

– Myślisz, że Ojciec jest bezpieczny? – zapytała Janina.

– On nie może zginąć. My możemy, on nie – odparła Maria.

– Zastanawiam się tylko, czy wystarczająco się za niego modlimy.

Janka milczała. Codziennie błagały Maryję, aby chroniła księdza profesora. Ostatecznie znalazły się w powstaniu we trzy: ona, Marysia Okońska i Lilka Wantowska.

Pogodziły się z myślą, że zginą, oddały też w ręce Maryi Miasto Dziewcząt. Może Ojciec, który tak dobrze znał ich ideę, zgromadzi nowy zespół, który się tym zajmie? Tak czy inaczej, on musi żyć.

– Pamiętasz ślady? – zapytała Maria. Janka skinęła głową.

Kiedyś w Laskach szły za księdzem Stefanem, któremu towarzyszyły dwie osoby. W piasku zostawiali ślady. Jak małe dziewczynki postanowiły iść, wkładając w nie swoje stopy. Ale które ślady wybrać? „Idźmy po śladach księdza profesora – powiedziała Maria – bo to są ślady biskupie".

Noch ist Polen nicht verloren!

- „Jeszcze Polska nie zginęła”.

– Dziś Narodzenie Matki Bożej. Myślę od rana i coraz mocniej jestem przekonana, że Ona czegoś od nas oczekuje.

– Czego, Marysiu? – Janka zaciekawiła się.

– Ofiary za Ojca. Ofiary z naszego życia.

– Dziś?

– Czy może być lepszy dzień? Lilka? – Maria zapytała siedzącą obok towarzyszkę.

– Zgoda.

Uklękły tam, gdzie stały.

Matko Boża, Niepokalana Maryjo – zaczęła Maria. – *Przyjmij moje życie w ofierze za życie Ojca…*

– *… przyjmij moje życie w ofierze za życie Ojca* – powtórzyły.

– *… zachowaj go dla Kościoła i Ojczyzny naszej; a nas, Twoje służebnice, zabierz z tego świata, kiedy chcesz i jak chcesz.*

– A teraz, skoro już jesteśmy gotowe na nasz pogrzeb, to musimy zrobić stypę – powiedziała wesoło, wstając z kolan.

Poszła do kuchni, gdzie pani Janicka, mama ich dobrego znajomego Andrzeja, piekła placki z zapasów zostawionych przez właścicieli mieszkania, w którym znaleźli schronienie. Tego dnia wielu warszawiaków opuściło stolicę, wierząc zapewnieniu Niemców, że nic im się nie stanie.

Następna godzina upłynęła na rozkosznym obżarstwie.

– Może byście już przestały – powiedziała w końcu mama Janicka. – Co będziemy jeść jutro?

– Jutro te zapasy będą pod gruzami.

– Z reszty ciasta upiekę chleb – stwierdziła Janka.

– Skoro mamy zginąć, to powinnyśmy być czyste, zróbmy sobie przedśmiertną kąpiel – zaproponowała Lilka.

Wody w kranie od dawna nie było, ale na podwórku na szczęście znajdowała się studnia.

Lilka wstała i poszła do łazienki.

Wieczór był wyjątkowo spokojny. Marysia siadła do rozmowy z panią Janicką, Janka wzięła się do pieczenia chleba.

Przed samą północą w ciszy rozległ się przerażający gwizd. Umilkł. Znały ten odgłos. To była gruba berta – ciężki pocisk burzący, który mógł zniszczyć całą kamienicę. Widocznie nie wybuchła. Za chwilę usłyszały drugi gwizd, a po nim charakterystyczny chrzęst. Maria zaczęła liczyć. Bomba wybuchnie, gdy dojdzie do siedmiu. Cała skuliła się w sobie... Cztery, pięć, sześć... Huk, potworny wybuch. Wszystko zaczęło się walić. Pomieszczenia wypełniły kłęby dymu i kurzu. Zaczęła się dusić. Chwyciła chusteczkę, aby móc oddychać.

– Nie ruszajcie się – krzyknęła.

Ktoś zapalił latarkę. W miejscu gdzie znajdowała się ściana, zionęła przepaść. Za nią schody – a raczej to, co z nich zostało – przypominały skręconą gigantyczną harmonijkę. Ściana runęła o krok od łazienki. Lilka trzymała w ręku klamkę od drzwi – kompletnie zniszczonych. Kuchnia, gdzie Janka z jeszcze jedną dziewczyną, Marytką, piekła chleb, też ocalała, tylko mała szybka w drzwiach poraniła plecy Marytki. Poza tym nikomu nic się nie stało.

Schodząc po gruzach pozostałych po stojącej tuż obok siedmiopiętrowej kamienicy, zobaczyły kobietę, która w obłędzie krzyczała: „Moje dzieci, moje dzieci!". Pod zburzonymi murami zostały jej dwie córki. Obok stał mężczyzna. Znały go, mieszkał tu z żoną i sześciorgiem dzieci. Stał i patrzył na zwalisko, pod którym znaleźli śmierć.

◇◇

Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę,

w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu / **Jan Paweł II**

1944, październik

13

– *Deinde ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen* – pobłogosławił klęczącego przy konfesjonale i zapukał.

W tym momencie je zobaczył. Weszły do kaplicy w Laskach równo jak żołnierze. Zmierzając prosto do ołtarza, przy którym odprawiała się msza. Z rozłożonymi rękami położyły się krzyżem. W kaplicy rozległ się płacz sióstr.

– *Deo gratias* – wyszeptał. Przeżyły!

Janka wtuliła twarz w dywan przed ołtarzem. Nie zastanawiały się, jak to będzie, gdy dotrą do Lasek. Jeszcze parę dni temu w ogóle nie myślały, że się tu znajdą. Wyszły z powstania jako jedne z ostatnich, dwa dni po kapitulacji. Wepchnięte do bydlęcego wagonu na Dworcu Zachodnim, nie ujechały daleko. Pod Warszawą pociąg się zatrzymał, wtedy udało im się uciec.

Matko, dziękuję, że nas przeprowadziłaś. Że nad nami czuwałaś, że nas ocaliłaś.

Msza dobiegła końca. Podeszła do nich jedna z sióstr.

– Ksiądz profesor zaraz wyjdzie z mszą – powiedziała. Usiadły w ławce.

PER IPSUM, ET CUM IPSO ET IN IPSO EST TIBI DEO PATRI OMNIPOTENTI IN UNITATE SPIRITUS SANCTI OMNIS HONOR ET GLORIA

Przez Niego, i z Nim, i w Nim jest Ci składana, Boże Ojcze Wszechmogący, w jedności Ducha Świętego, wszelka cześć i chwała…

Stały kilka kroków od niego, ale wciąż trudno mu było uwierzyć, że są tutaj. Żywe. Stopniowo zaczął się godzić z myślą, że podzieliły los swoich rówieśników, którzy legli pod gruzami Warszawy. Przed kilkoma dniami stwierdził, że jeśli nie wrócą do 7 października, to od siódmego będzie się modlił za nie jako za zmarłe. Dziś był szósty...

Podał im komunię. Jakie to dziwne. Pragnęli paść sobie w objęcia, cieszyć się i opowiadać sobie o minionych przeżyciach. Jednak pierwsze słowa, które wymienili, były słowami liturgii mszalnej, a pierwszym gestem podanie i przyjęcie komunii. Upragnione spotkanie mogło się odbyć dopiero koło południa.

– Dzieci moje kochane, dzieci moje kochane – brał je za ręce, a z jego oczu ciekły łzy.

– Mówiłyśmy Ojcu, że wrócimy – powiedziała Marysia. – Matka Boża nas uratowała, i to niejeden raz.

– Siadajcie. Opowiadajcie.

– Pierwszego sierpnia byłyśmy na Chłodnej, u zmartwychwstanek, w pokoju pani Haliny Dernałowicz, tam gdzie Ojciec miał wykłady z katolickiej nauki społecznej. Przed piątą modliłyśmy się kaplicy. A tu jak nie gruchnie. Odezwały się syreny, strzały, straszne to było. Z dnia na dzień gorzej. W Przemienienie była msza.

– Matka przełożona zniosła Najświętszy Sakrament do piwnicy – dodała Janka. – Ileż tam było pajęczyn! Postawiłyśmy stół, na nim rozłożyłyśmy serwetkę, za kielich księdzu służyła szklanka.

Zamilkła. Tej mszy nie zapomni do końca życia. Była może o pół metra od księdza i patrzyła na przemienienie. Chleb stawał się Ciałem, wino Krwią. Bez szat liturgicznych, bez paramentów, bez splendoru. Dookoła brudne ściany i stłoczeni do niemożliwości ludzie.

– Gdy msza się kończyła, w dom uderzyła bomba – ciągnęła Janka. – Wyrwała bramę i zniszczyła kanalizację. Do piwnicy zaczęła się lać woda. Musiałyśmy wracać na parter. Tam już nie było szyb. Od pożaru wiało niesamowitym gorącem. Zakryłyśmy otwory czym się dało: papierami, kocami, kołdrami. Tabernakulum stało na środku, na taborecie, my klęczałyśmy obok.

– Jak żołnierze na posterunku – z dumą dodała Maria.

– W pewnym momencie zobaczyłyśmy przebiegających ludzi – do opowiadania włączyła się Lilka. – Oni zobaczyli nas również. „Uciekajcie, uciekajcie jak najdalej stąd! – krzyczeli. – Własowcy zajmują Wolę. Czy wyście rozum postradali? Tyle tu dziewcząt, młodych, niewinnych, wy wiecie, co oni wyprawiają? Gwałcą i mordują".

– Matka przełożona nie wiedziała, co robić, modliłyśmy się wszystkie – ciągnęła Janka. – Ludzie poradzili nam, żeby pozbyć się wszystkich znaków powstańczych. Z bólem zebrałam nasze biało-czerwone opaski i orzełki, wrzuciłam to do pieca i w tym momencie słyszę odgłos kroków na podwórzu. Szli po potłuczonym szkle, jeszcze mam w uszach to skrzypienie. Któryś z nich zaczął wołać: „Stiepan, Stiepan".

– Pomyślałam sobie: „Boże, to imię naszego Ojca. To imię nas ocali" – w głosie Marii był ten sam zapał co wtedy, gdy wychodziły do powstania. – Przebiegali przez podwórze, wystarczyło, żeby wiatr uniósł te papiery i kołdry w oknie, a natychmiast by nas zobaczyli. Miałam przeświadczenie, że jeśli tego dnia do północy nie zginiemy, to nie zginiemy w ogóle. I ocalałyśmy.

– Bóg was ustrzegł i Matka Najświętsza – powiedział ksiądz, próbując zapanować nad wzruszeniem. – Dobrze, że wróciłyście. Będziemy mieć dużo czasu na rozmowy. Zostaniecie tu, rozmawiałem z siostrami, znajdzie się dla was jakaś praca, a ja zajmę się waszą formacją. To będzie taki nowicjat.

Nic nie odpowiedziały. Zapanowała kłopotliwa cisza.

– Co się stało? – zapytał zdezorientowany.

– Ojcze, my nie możemy teraz zostać. Musimy iść na Jasną Górę.

– Na Jasną Górę? Teraz? Kochane moje, nie dość wam ryzykować? Na drodze roi się od Niemców. Częstochowa jest okupowana, a wy – widać po was, że wyszłyście z powstania – chcecie wędrować przez kraj?

– Ojcze, myśmy to obiecały Maryi. Do tej pory byłyśmy Ojcu posłuszne, przecież już przed powstaniem chciałyśmy tam iść, Ojciec zabraniał, więc zostałyśmy. Jednak teraz to co innego. Nie mówiłyśmy jeszcze o tym, ale w czasie powstania obiecałyśmy Matce Bożej, że pójdziemy do Niej, i idziemy tak już od Wniebowzięcia. Ona ocaliła nie tylko nasze życie, ale i wiarę.

Patrzył wciąż jeszcze nierozumiejącym wzrokiem.

– Piętnastego sierpnia rozpoczęłyśmy wielką mobilizację modlitewną Warszawy. Przekonywałyśmy ludzi, żeby modlili się, spowiadali i przystępowali do komunii w intencji zwycięstwa. Przecież tylko czyste dusze mogą zostać wysłuchane. Zwycięstwo jednak nie nadeszło. Było ciężko. I wtedy, 26 sierpnia, Matka Boża dała nam poznać, że choć Warszawa ginie, to ginie w stanie łaski. Ludzie umierają, ale ich dusze idą do nieba. Ojcze, ty wiesz, że przed wojną wielu ludzi w Warszawie żyło w stanie łaski, ale było też wielu takich, którzy pozostawali w grzechu ciężkim. A teraz ta Warszawa się zbawiała.

Jej wiara od dawna go zadziwiała.

– Przyzwoite dziewczęta nie pozostają poza domem dłużej niż dwa tygodnie – powiedział.

– Ojcze, wrócimy, obiecujemy.

Tego wieczoru w swoim pokoju otworzył szufladę i wyjął z niej małą, opaloną ze wszystkich stron białą kartkę. Znalazł ją pod koniec powstania w lesie. Pełno takich spalonych kartek przywiewał wiatr z Warszawy. Ocalały na niej tylko dwa słowa: „Będziesz miłował". Był to dla niego najcenniejszy testament ginącej Warszawy.

◇◇

Ten, kto zamknął się w nienawiści, już się skończył! A narodził się do nowego życia ten, kto z piekieł nienawiści wyszedł na światło Boże, spojrzał ku wszystkim dzieciom Bożym, bez wyjątku, i powiedział: Przyjacielu! Bracie! Mój bracie nieszczęśliwy, ale jednak – Bracie!
/ **Stefan Wyszyński**

1945, luty

14

Ledwo wsiedli do pociągu, a teraz z trudem torowali sobie drogę wśród ludzi. Panował niemiłosierny ścisk. Stefan szedł pierwszy, za nim jedna z sióstr z Lasek. Najwięcej ludzi zbiło się przy wejściu do wagonu, w środku zobaczył nieco więcej wolnego miejsca. Przed nim stał odwrócony plecami mężczyzna.

– Czy mógłby się pan trochę przesunąć? – zapytał. Człowiek nie odwrócił nawet głowy.

– Gdzie tu się posunąć? – odwarknął. – Ale pan głupi.

– Oj, żeby pan wiedział jaki głupi – odparł.

Recenzent poziomu inteligencji księdza Wyszyńskiego odwrócił się zdziwiony. Zobaczył koloratkę wyzierającą spod szalika. Poczerwieniał jak burak.

– Proszę księdza, tu jest miejsce – powiedziała jakaś kobieta.

– Dziękuję. Siostro, proszę usiąść – zwrócił się do zakonnicy.

– Księże profesorze, postoję, niech ksiądz usiądzie.

– Może potem. Mawiają „stary, a głupi" – z tym drugim się zgodzę, ale z pierwszym nie. Jeszcze mam trochę siły, żeby postać.

– Niech ksiądz usiądzie, proszę – jakiś młody chłopak zerwał się na równe nogi. Miał na sobie skórzaną kurtkę i oficerki. Wyglądał bardzo podobnie do żołnierzy AK, których tylu widział w sierpniu i wrześniu.

– Byłeś w powstaniu? – zapytał.

– Tak. Skąd ksiądz wie?

– Byłem kapelanem w szpitalu w Kampinosie. Widziałem wielu takich jak ty.

– Dużo księży poległo w Warszawie – powiedział chłopak. – Byli z nami. W odróżnieniu od innych. Wszyscy nas zdradzili. I Anglicy, i Sowieci – dodał ponuro. – Nienawidzę ich bardziej niż tych przeklętych szkopów.

„Nienawidzi". Tamtego popołudnia po powrocie do Lasek Marysia poprosiła go o spowiedź. Zwierzała się z tego samego. „Żywiłam nienawiść do Anglików – nie pomogli nam" – mówiła.

– Strzeż się nienawiści – powiedział chłopakowi. – Chrystus z krzyża uczył nas, jak przebaczać. Mówiono mi, że powstańcy okazywali wielkie serce, także wrogom. Słyszałem, że raz złapali Niemca

i prowadzili go triumfalnie, ale gdy chcieli zapalić, mieli wątpliwości, czy dobrze robią, bo może on też by chciał. I dali mu papierosa.

– Naiwniacy. Pewnie teraz leżą gdzieś pod gruzami.

– Być może. Lecz ich dusze są w niebie. A ty żyjesz. To cię zobowiązuje. Także wobec tych, którzy odeszli.

– Zobowiązuje do czego? Chyba do tego, żeby dalej walczyć. Po szwabskiej okupacji szykuje się nowa, czerwona. Za jakie grzechy my to cierpimy?

Pozwolił mu się wyżalić. Słuchał jeszcze dość długo: o powstaniu, o poległych kolegach, o alianckich zrzutach, które trafiały przede wszystkim do Niemców, i o Sowietach wyczekujących na śmierć miasta.

– Stalin chciał się zemścić za klęskę w 1920 roku, jestem pewien – ciągnął młodzieniec. – Ale jeszcze zobaczy, psiajucha jedna! O przepraszam, księże, zapędziłem się.

– Kiedy w styczniu ruszył front przez Laski, przechodziła grupa sowieckich żołnierzy. Rozmawiałem z jednym z nich.

– Ksiądz zna rosyjski?

– Chodziłem do carskiej szkoły w czasie zaborów. Wiesz, o co mnie pytał? Chciał się dowiedzieć, kto to jest Chrystus. Starałem się mu to wytłumaczyć, ale nie rozumiał. Nigdy nie słyszał o Bogu. Męczyłem się i męczyłem, wreszcie pytam: „A wiesz, kto to jest Matka Boża?". „Wiem – odpowiedział – u mojej babci była ikona". Tyle pamiętał. Mówię mu więc: „Jezus Chrystus jest Jej Synem". Zrozumiał. Widzisz, ci ludzie nie znają Boga, więc jak mają postępować zgodnie z Jego prawami? Musimy im pomóc Go poznać, wtedy wiele rzeczy się zmieni. Oczywiście najpierw musimy starać się Go poznać sami.

– Ksiądz tak mówi, bo jest księdzem. Życie nie jest takie proste.

– Masz rację, życie nie jest proste. Opowiem ci jeszcze coś. Po upadku powstania w naszym szpitalu pojawili się niemieccy oficerowie – lekarze. Szedłem akurat do chorego, gdy jeden z nich mnie zatrzymał.

Wyciągnął jakąś fotografię. Nie bardzo miałem ochotę to oglądać, spieszyłem się, tylu ludzi cierpiało. A on trzyma mnie i mówi: „Patrz!". To było zdjęcie powalonej figury Chrystusa sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu. Pamiętasz ją?

Chłopak skinął głową.

– Jezus jedną ręką trzyma krzyż, drugą ma podniesioną. I co widzę? Ta podniesiona dłoń wskazuje na napis na cokole: *„Sursum corda"* – „W górę serca". Wciąż jeszcze nie rozumiałem, dlaczego on mi to pokazuje. I wtedy ten Niemiec, okupant, mówi: *„Noch ist Polen nicht verloren!"* – „Jeszcze Polska nie zginęła".

– Dziwne rzeczy ksiądz mówi...

– Żyjemy w dziwnych czasach. I musimy nauczyć się w nich żyć. Pomyśl o tym wszystkim, o twoich poległych przyjaciołach, o tym, że twoim obowiązkiem jest żyć, i to nie byle jak, ale po Bożemu. Proszę cię, nie chowaj nienawiści w sercu. Bóg jest większy od Hitlera i Stalina, musimy tylko w to uwierzyć.

Zamilkł. Koła pociągu stukały miarowo. Zaczęli zwalniać.

– Moja stacja – powiedział chłopak. – Ksiądz daleko jeszcze?

– Do Włocławka.

– Chętnie bym jeszcze kiedyś z księdzem porozmawiał...

– Przyjedź. Szukaj w seminarium księdza Stefana Wyszyńskiego.

– Dziękuję.

15

Pod koniec roku 1942 w bloku 30 wybuchła epidemia tyfusu. Biskup Michał Kozal zachorował. Po jakimś czasie nie opuszczał już łóżka. Majaczył. Kiedy odzyskiwał przytomność, modlił się, a potem znowu tracił przytomność. Miał świadomość nadciągającej śmierci. Pożegnał się z nami: „Wiecie, że życie moje już do mnie nie należy. Świta jutrzenka wolności. Już wam nie będę potrzebny. Odejdę od was".

Ksiądz Bolesław Kunka usłyszał pukanie.

– Proszę – powiedział i odłożył pióro. Od czasu powrotu z Dachau do Włocławka wolne chwile poświęcał na pisanie memoriału o męczeństwie biskupa Michała Kozala. – O, Stefan, wejdź proszę – powiedział, widząc w otwartych drzwiach Wyszyńskiego.

– Pomyślałem, że możemy popracować nad listą ofiar. Wkrótce rocznica waszego aresztowania. Chciałbym odprawić w katedrze nabożeństwo za poległych.

Kunka wziął listę. Porządkowali ją według kolejności alfabetycznej.

– Na czym stanęliśmy ostatnio?

– Na R. Teraz szukamy tych na S – sunął palcami po nazwiskach. – Jest. Michał Szwabiński. Biedak, pamiętam, jak go przywieźli.

– Mój Boże, Michał. Ukrywał mnie w Grabkowie. Kiedy go wzięli?

– W 1940 Niemcy zamknęli Józia Domagałę z Kowala. Michał jeździł tam z Grabkowa i odprawiał za niego msze. W czterdziestym pierwszym hitlerowcy wdarli się nocą do kościoła i zdarli z obrazu Matki Bożej srebrną sukienkę. Michał wygarnął im na kazaniu i poszedł do Dachau. Wytrzymał rok.

– Świeć Panie nad jego duszą.

Od czasu gdy wrócił do Włocławka, niemal codziennie dowiadywał się o kimś, kto zginął. Zastał straszliwe spustoszenie. Ponad połowa duchowieństwa zniknęła z diecezji. Zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych, głównie do Dachau. Niektórzy, jak Bolesław, wrócili i przywieźli wiadomości o tych, którzy przeżyli i czekają na powrót do kraju. Z ulgą przyjął wiadomość o ocaleniu ojca Korszyńskiego. Dowiedział się, że przeżyli niektórzy klerycy. Tymczasem starał się jak najszybciej uruchomić seminarium. Zastał je w opłakanym stanie, do tego stopnia, że pierwsze kursy trzeba było prowadzić w niedalekim Lubrańcu. Wziął na siebie dodatkowo obowiązki proboszcza w dwóch parafiach i objeżdżał cały teren, powożąc dwukółką zaprzęgniętą w konia. Dni wolnych nie miał, wieczorów też nie, lecz nie przeszkadzało mu to – raczej był bardzo zadowolony. Za każdym razem gdy skrajnie zmęczony padał na kilka godzin do łóżka, myślał o kolegach uwięzionych w hitlerowskich obozach, o tych, których poddawano pseudomedycznym eksperymentom i których palono w krematoriach. Po powrocie księdza Kunki przystąpili do tworzenia listy poległych księży z diecezji. Doliczyli się dwustu dwudziestu.

– Myślałem, że odetchniemy po tej tragedii, ale chyba się na to nie zanosi – powiedział Bolesław, wpisując kolejne nazwisko.

– Co masz na myśli?

– Czerwonych. Myślisz, że zerwanie konkordatu to przypadek?

We wrześniu tak zwany Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej wypowiedział Watykanowi umowę konkordatową zawartą z Drugą Rzeczpospolitą w 1925 roku.

– Ma to swoje dobre strony. Na mocy konkordatu rząd mógł zatwierdzać biskupów. Nie wiem, czy w obecnej sytuacji byłoby to pożądane...

– A co powiesz o ślubach cywilnych i możliwości rozwodu?

– Intencja jest jasna – uderzają w Kościół. Może to nawet gorsze niż zerwanie konkordatu. Ludzie na to nie pójdą.

– Dziś może nie, ale za rok, dwa... Jedyna nadzieja, że władza komuny skończy się tak szybko, jak się zaczęła. Przecież w Londynie jest legalny rząd. Anglicy, Amerykanie nie mogą tego zignorować.

– Tak sądzisz? Myśleliśmy tak już w trzydziestym dziewiątym...

– Teraz jest inna sytuacja. Wojna się skończyła.

– Wojna była krwawa i wyniszczająca. Nikt nie będzie zabiegał o zmianę układu sił. Tego jestem pewien: możemy liczyć tylko na siebie. Tego wieczoru Stefan usiadł nad kartką papieru i naszkicował schemat kazania, jakie miał wygłosić we włocławskiej katedrze w czasie nabożeństwa za zmarłych kolegów.

Vivit victor sub gladio

Zwycięzca żyje mimo zadanej mu śmierci mieczem.

Był to dawny hymn ku czci drugiego obok świętego Wojciecha patrona Polski – krakowskiego biskupa Stanisława, zabitego na rozkaz króla Bolesława Śmiałego. Jak głosiła legenda, jego posiekane ciało zrosło się, co stanowiło zapowiedź zjednoczenia rozbitej na dzielnice Polski.

Spodobało się Bogu, aby doprowadzić mnie po wielu latach służby kapłańskiej do pełni kapłaństwa. W 1946 roku otrzymałem powołanie na biskupa lubelskiego / **Stefan Wyszyński**

16

Ojcu Świętemu się nie odmawia.

W drodze powrotnej z Poznania słowa prymasa Hlonda wracały do niego jak bumerang. Lecz im bliżej był Włocławka, tym większe ogarniały go wątpliwości.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał o nominacji na biskupa lubelskiego, stwierdził po prostu, że się do tego nie nadaje. Każdy, tylko nie on. Nigdy nie myślał o takiej godności, nie marzył też o kościelnych zaszczytach. Pasjonowała go praca naukowa, duszpasterstwo wśród młodzieży i robotników. W czasie okupacji jego kontakt z ludźmi jeszcze się pogłębił. Duszpasterstwo wciągnęło go bardzo, pewnie także dlatego że w tych czasach każdy ksiądz był na wagę złota. Tym bardziej po wojnie.

Uśmiechnął się mimowolnie. Spowiadał wtedy podczas pierwszych po okupacji rekolekcji dla włocławskich licealistów. Kościół już opustoszał, księża opuścili konfesjonały, tylko przy jednym – jego, wciąż stała kolejka. Koło pierwszej w nocy uznał, że pora kończyć. Wyszedł i zaproponował:

– Przyjdźcie, proszę, jutro rano, księża też będą spowiadać. Wówczas zobaczył tę uczennicę. Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, aby zauważyć, że jest wściekła. Podszedł do niej.

– Mogłabyś przyjść jutro?

– Tak, ale tylko do księdza!

– Dlaczego tylko do mnie?

– Nie wiem. A ksiądz wie, dlaczego tylko do księdza jest taka kolejka?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Ja wcale nie miałam zamiaru się spowiadać – mówiła. – Przyszłam tu z koleżankami, z ciekawości. Ja... ja... ksiądz sobie nie wyobraża, ile mam problemów. Bóg wcale mi nie pomaga, choć Go prosiłam. Już więc nie proszę! Bo niby po co? On – jeśli istnieje – ma pewnie ważniejsze sprawy.

Spowiadał ją do rana. Nie tylko ten jeden raz. Bunt wygasał powoli, przeradzając się w coraz dojrzalszą wiarę.

Co będzie teraz? Zostawi tych ludzi? A seminarium? Dopiero co przenieśli się do Włocławka z tymczasowej siedziby w Lubrańcu. Było coraz więcej studentów, brakowało rąk do pracy, bo wielu wykładowców jeszcze nie wróciło. Ojciec Korszyński, ksiądz Adamiecki, ksiądz Biskupski wciąż byli na Zachodzie. I w takim momencie on ma wyjechać? Każdy wie, że nominowany na biskupa może nominację przyjąć lub nie. To w końcu jego decyzja. Może ktoś pomyśli, że zmęczył się ciężką pracą minionego roku, a może wyjdzie na to, że bliższe mu biskupie splendory niż ludzie, którzy związali z nim swój los.

Przez okno pociągu ujrzał pierwsze zabudowania Włocławka. Godzinę później był już w seminarium.

– Jest telegram do księdza profesora – powiedział dyżurujący przy furcie kleryk.

Wziął podaną przez niego kartkę.

Ojciec Władysław będzie miał operację. Prosimy o modlitwę. Matka Róża.

Z ciężkim sercem poszedł do mieszkania. W czterdziestym drugim, jeszcze w Żułowie, ksiądz Korniłowicz uderzył się o futrynę niskich drzwi. Pojawił się guz, okazało się, że to nowotwór. Dwa lata później miał operację i guz wycięto. Jednak choroba wróciła.

17

Janka wyjęła z szuflady broszę ze wspaniałym ametystem i podała ją Marii.

– Stało się – powiedziała smutno.

Broszka, z której chciały wziąć ametyst na pierścień, pochodziła z zawiniątka wyniesionego przez nie z Warszawy. W czasie powstania dotarły do domu jednej z nich i wydobyły rodzinną biżuterię ze schowka w piwnicy. Dzięki tym kosztownościom mogły przetrwać pierwsze miesiące po powstaniu, obiecały sobie jednak, że choćby miały nie jeść przez miesiąc, to broszki nie sprzedadzą, bo ametyst będzie na pierścień biskupi dla księdza profesora.

Kiedy jednak dowiedziały się o nominacji, uzmysłowiły sobie, że to może oznaczać koniec jego opieki nad nimi.

– Co z nami będzie? – zapytała Janina.

– Jak to co? Ojciec będzie dalej z nami – stwierdziła Maria z niezachwianą pewnością. – Przecież to Pan Bóg nam go dał. Musimy tylko gorliwie się modlić do Matki Bożej. Ona tego dokona.

Janka nie była tego pewna. Z jednej strony ufała przeczuciom Marii, które już tyle razy się sprawdzały, z drugiej... Wszyscy dookoła powtarzali, że niemożliwością jest, aby ksiądz profesor był dalej ich kierownikiem duchowym. Im bardziej to do niej docierało, tym silniej uświadamiała sobie, kim stał się dla niej ten poznany zaledwie kilka lat temu człowiek. Jej własny ojciec był wojskowym, zginął w trzydziestym dziewiątym, miała wtedy dziewiętnaście lat. Teraz czuła się trochę tak, jakby miała stracić ojca po raz wtóry. Ksiądz Stefan był wobec nich bardzo wymagający, polecał im uczyć się, pogłębiać wiarę, planować swój dzień i swoje życie. Z czasem zrozumiała, że wymaga tak dużo, ponieważ widzi wielkość sprawy, której chciały służyć,

a zarazem ufa, iż temu podołają. To czyniło ją silniejszą. Marysia ze swoim zapałem i spontanicznością wnosiła do zespołu serce i jakiś nadprzyrodzony poryw, Ojciec dawał oparcie, w jego obecności czuła pewność i siłę. To również pomagało jej rozumieć, dlaczego najważniejsza modlitwa chrześcijanina rozpoczyna się od słów „Ojcze nasz".

– Marysiu, on sam chyba nie jest pewien, jak powinien postąpić.

– A nie pamiętasz, jak było, gdy prosiłyśmy go o opiekę w czasie okupacji? Jak mówił, że pracował tylko z młodzieżą męską i że nie bardzo widzi siebie w roli duszpasterza kobiet? Ile czasu kazał nam czekać?

Jesienią czterdziestego drugiego wyjawiły mu swe zamiary, ale dopiero w sierpniu następnego roku przekazał Marysi list, w którym przyjął obowiązki ich duchowego ojca. „Idę z wami łowić Boże ryby" – napisał. Znały te słowa na pamięć.

Wiedziały już, że 3 maja miał zacząć na Jasnej Górze rekolekcje przed sakrą, a dwunastego przyjąć święcenia. Będą tam na niego czekać.

18

– Nnnnno, Stefek – przerwał na dłuższą chwilę – mmmusisz... się... brać... do... roboty.

– Ojcze, sam nie wiem, co robić. Przyjąłem nominację, ale nie jestem przekonany. We Włocławku jest tyle pracy, tylu ludzi...

Ksiądz Władysław Korniłowicz nieco obrócił obandażowaną głowę i spojrzał prosto w oczy biskupa nominata. Stefan wyrwał się z Włocławka i przyjechał do Lasek.

A więc stało się. Na długo przed wojną też był świadkiem wahania swojego ucznia, który wówczas myślał o rezygnacji z pracy w diecezji i wstąpieniu do zakonu paulinów. „To nie twoja droga" – powiedział mu wtedy. Stefan pozostał tam, gdzie był – we Włocławku.

– A co będzie z zespołem? – pytał Wyszyński. – Jak się mam nim teraz zajmować? Mój spowiednik we Włocławku radzi mi, żeby to zakończyć – głos mu zadrżał.

Korniłowicz wiedział o więzi duchowej łączącej Stefka z ósemkami. Kiedy w czasie okupacji zgłosiły się do niego z prośbą o kierownictwo duchowe, długo się wahał. Bliższe mu były duszpasterstwo młodzieży męskiej, praca z robotnikami, działalność naukowa. Ojciec Władysław skwitował to krótko: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma". W ciągu dwóch lat Wyszyński stał się ich powiernikiem i duchowym przewodnikiem.

– BBBóg dał... ci... zespół iii... biskupstwo. Zzznajdzie... się... sposób.

Ksiądz Stefan wziął go za ręce. Były słabe i dość chłodne. Takie same były dłonie księdza Antoniego Bogdańskiego, który u progu odzyskanej niepodległości zapowiedział uczniom niższego seminarium we Włocławku, jakie czasy nadchodzą dla księży. Ksiądz Antoni zakończył życie zaledwie rok przed wybuchem wojny. Stefan odwiedził go tuż przed śmiercią. I wtedy wysłuchał drugiego proroctwa. Kapłan ten powiedział mu, jak będzie wyglądać jego życie. Jak dotąd wszystko sprawdzało się co do joty.

Miał wrażenie, że ojciec Władysław jest w analogicznym momencie. I też mówił o jego przyszłości. A zatem uważa, że powinien pójść do Lublina.

– Mam więc zostawić Włocławek?

– Wwwiem... że... ci... ciężko. Nnnie... jest... łatwo opuścić... Nazaret.

Nie myślał o tym w ten sposób. Ksiądz Korniłowicz potrafił wprowadzić człowieka w inny wymiar, w zupełnie inną perspektywę. Kiedyś zobaczył go na łące, gdy klęczał pochylony. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny. A ojciec wciąż klęczał. Bał się do niego zbliżyć. „Może tam są osy? – myślał – może ojciec ma do nich kazanie?"

W końcu podszedł. Stanął obok, ale ksiądz Władysław i tak go nie zauważył. Wreszcie zapytał: „Co ojciec tu robi?". Korniłowicz wskazał na mały niebieski kwiatek. „Czy ty pomyślałeś kiedy, jaki on jest piękny?" Nie, nie pomyślał. Pewnie podeptał wiele takich kwiatków. Wtedy zaczął inaczej myśleć o grzechu. Bóg daje łaskę, człowiek może ją przyjąć lub zmarnować. Czyż to drugie nie obrazą Pana? Jak wiele codzienne otrzymuje takich „kwiatów"? Czasem przechodzi obok, nie zauważając ich, czasem po prostu depcze. Jak wiele łask nie przyjmuje, bo wydaje się, że to raczej kłody pod nogi, a nie podarunki? Drogi moje nie są drogami waszymi. To, co w oczach człowieka jest przeszkodą, może być pomocą, którą Bóg daje, aby zbliżyć do siebie wybraną duszę.

Nazaret. Miejsce, w którym anioł zwiastował Maryi, że ma się stać matką Boga. Miasto, w którym żyła szczęśliwie z Józefem przed narodzeniem Jezusa. Dom, w którym wzrastał Syn po powrocie z Egiptu. Innym imieniem tego miasta mogłoby być: „Opuszczam cię". Po zwiastowaniu Maryja udała się w długą i niebezpieczną drogę, aby odwiedzić swoją krewną Elżbietę, potem ruszyła razem z Józefem i nienarodzonym Jezusem na spis ludności do Betlejem, w końcu żegnała Syna, który opuścił Nazaret, aby rozpocząć swoją działalność publiczną zakończoną Męką. Zaiste, Włocławek był dlań takim duchowym Nazaretem. Gdy wybuchła wojna, opuścił go razem z klerykami i powędrował na wschód. Potem – drugi wyjazd, aby ratować się przed Gestapo. Wojna minęła, a on wrócił, po to by teraz zostawić to miasto po raz trzeci – już na zawsze.

– Ojcze, czy mogę się wyspowiadać? – zapytał.

19

– No proszę, ksiądz profesor w biskupy idzie – z pewnym przekąsem powiedział jeden z księży.

Siedzieli w kilku w seminaryjnym refektarzu i jedli cienką zupę. Choć od wojny minął rok, kraj był pogrążony w straszliwej biedzie, której doświadczali klerycy i nieliczni wykładowcy włocławskiego seminarium.

Stefan nie odpowiedział. Księża też byli ludźmi, wielu było takich, którzy bardzo do siebie brali słowa świętego Pawła o tym, że „kto pragnie biskupstwa, pragnie czegoś dobrego", i trudno im się było pogodzić z tym, że ominął ich awans.

– Andrzejku drogi, w dzisiejszych czasach to nie to samo co przed wojną – powiedział siedzący obok ksiądz Kunka. – Czeka go ciężki kawałek chleba.

– Nam tutaj nie będzie lżej. Kleryków przybywa, a profesorów... ubywa.

W tym jego kolega miał rację. Stefan wciąż nie potrafił rozwiązać poważnego problemu – był rektorem seminarium, nikt nie zdjął z niego tego obowiązku. Kilka dni temu powiedział o tym biskupowi Karolowi Radońskiemu.

– Ekscelencjo, nie mam komu przekazać seminarium. Co mam robić?

Odpowiedź biskupa nie posunęła zbytnio sprawy naprzód.

– Może ksiądz profesor jakoś to urządzi – powiedział z nadzieją. Gdyby wrócili profesorowie... Ale oni wciąż byli za Zachodzie.

Mieli problemy z otrzymaniem pozwolenia na powrót do Polski i ich przyjazd odwlekał się z tygodnia na tydzień.

Panie Boże, jeśli wrócą przed moim wyjazdem na rekolekcje, to pojadę i przyjmę sakrę. Ale jeśli nie, to się zbuntuję i zostanę – pomodlił się po rozmowie z Radońskim.

Myśl ta powróciła do niego i teraz. Był już drugi maja, a on nie zaczął się jeszcze pakować. Fakt, nie miał zbyt wiele rzeczy. Cała, licząca kilka tysięcy tomów biblioteka, jaką zgromadził przed wojną, została rozgrabiona i zniszczona, rzeczy osobiste mieściły się w jednej walizce. Znacznie trudniej będzie zostawić to miejsce...

Drzwi do refektarza się otworzyły i wpadł kleryk dyżurujący na furcie.

– Wrócili! Profesorowie wrócili! Zerwali się na nogi.

Stefan zapomniał o powadze urzędu rektora, chwycił sutannę, aby się nie potknąć o jej fałdy, i pierwszy wybiegł z refektarza.

Wpadł prosto w objęcia ojca Franciszka.

– Stefek, nic się nie zmieniłeś! – krzyknął uradowany Korszyński.

– Ojcze...

– Nic nie mów, już wiem. Mówiłem ci, że będziesz potrzebny, kiedy to wszystko się skończy.

– Ojciec uratował mi życie.

– Teraz będziesz mógł je dobrze wykorzystać. Jak dobrze, że wreszcie udało nam się wrócić.

„Pan Bóg nie wystawia człowieka na pokusy większe, niż może on znieść" – pomyślał Stefan. Przed półtora rokiem konkretna data miała być odpowiedzią, czy dziewczęta przeżyły, czy zginęły, teraz – czy ma zostać biskupem, czy... zbuntować się.

– *Deo gratias* – powiedział głośno.

– I ja Mu dziękuję – dodał Korszyński.

Jeżeli na czele swojego programu służby Ludowi Bożemu, naprzód w diecezji włocławskiej, później w lubelskiej, a następnie w gnieźnieńskiej i warszawskiej, przyjąłem zawołanie Soli Deo, które umieściłem na szczycie odbudowanej katedry lubelskiej, to wyboru dokonałem w dziecięcej wierze, iż człowiek śmiertelny najskuteczniej życie swoje spędza w łączności z tym, który nie umiera. Jeśli ku Bogu kieruje swoją dobrą wolę, choćby słabą, w Nim odnajduje wszystko, co było przedmiotem jego trudów, wysiłków, osiągnięć czy przegranych całego życia
/ **Stefan Wyszyński**

1946, maj

20

Usiadł zmęczony w fotelu i popatrzył na ściany ozdobione portretami jego poprzedników.

Do tej pory nie miał czasu przyjrzeć się swojemu nowemu domowi. Cały maj spędził w drodze – najpierw na Jasną Górę, gdzie uczestniczył w rekolekcjach i przyjął sakrę, potem z powrotem do Włocławka, stamtąd do Kalisza na uroczystości piętnastolecia koronacji obrazu Świętej Rodziny i znowu na Jasną Górę na swoją pierwszą konferencję episkopatu. Wreszcie dotarł do Lublina, aby objąć rządy w diecezji i odbyć ingres do katedry. Przywitano go wspaniale, a Pan Bóg postarał się o piękną pogodę.

Co by dziś powiedział Zdzisiu Ochalski, gdyby przyszło mu pracować pod zwierzchnictwem swojego dawnego kolegi? Ale Zdzisław,

przed wojną kanclerz lubelskiej kurii, nic nie powie. Jego też Niemcy wzięli do Dachau, gdzie zginął.

Usłyszał pukanie.

– Proszę.

Wszedł służący.

– Janek, jeszcze nie śpisz?

– A kto by tam spał, Ekscelencjo. Godzina jeszcze młoda. Ktoś przyniósł list, pewnie z gratulacjami, więc chciałem od razu przekazać.

Wziął zaklejoną kopertę. Na odwrocie nie było nadawcy. Położył ją na biurku. Słuchał dziś tylu zdań, nierzadko wzniosłych, czasem trącących pochlebstwem, czasem wyrażających pragnienie powrotu do normalności. Wypowiadało je wielu ludzi: przedstawiciele duchowieństwa, władz, uczelni, najróżniejszych instytucji. Gratulowali, wyrażali swoje zadowolenie, życzyli powodzenia, zapewniali o modlitwie. Miałby trudność, aby powtórzyć konkretną frazę z tej kanonady słów, jaka towarzyszyła ingresowi.

A co jest w tym liście, pierwszym, który otrzymał jako biskup lubelski? Może Bóg przysyła mu jakąś wskazówkę pozwalającą rzucić światło na to, co ma robić, w co najpierw włożyć ręce...

Sięgnął po kopertę i po nożyk do rozcinania papieru. Wyjął złożoną kartkę.

Ty przebrzydły klecho!

Przyszedłeś tutaj, żeby szczepić zgniliznę, która cię toczy. Wszyscy wiedzą, jak jesteś zepsuty i zły. A ci, co nie wiedzą, dowiedzą się wkrótce: o tym, że gdy inni ginęli dla ojczyzny, ty dekowałeś się na wsi, trzęsąc się ze strachu przed zbrodniczym okupantem, o tym, że lubisz towarzystwo młodych dziewcząt, z których zrobiłeś swój haremik, o tym, że

masz w głębokiej pogardzie tych, którzy cierpieli przed wojną od burżuazyjnych panów, a teraz służą sprawiedliwości i demokracji.

Strzeż się, pachołku watykański!

Ksiądz Zdzisław Goliński wziął podaną mu przez Wyszyńskiego kartkę. Przychodząc po dyspozycje do pracy, nie spodziewał się, że nowy biskup da mu coś do czytania.

Przebiegł wzrokiem treść anonimu. Milczał wstrząśnięty. Niepewnie podniósł wzrok na Wyszyńskiego.

– Trudno mi wyrazić wdzięczność za zaufanie księdza biskupa wobec mnie. Ekscelencja nie musiał mi pokazywać tego plugastwa.

Biskup uśmiechnął się pogodnie. Doszedł już do siebie po wczorajszym wieczorze. Nie spodziewał się, że tak szybko staną się aktualne słowa, które napisał na Jasnej Górze do księży diecezji lubelskiej: *Boć nie oczekujemy łatwego życia. Kapłaństwo wiąże nas z krzyżem, który jest ofiarowaniem siebie.*

Z samego rana postanowił, że pokaże list Golińskiemu, który miał go dziś odwiedzić. Cel anonimu był jasny – wzbudzić w nim strach, niepewność, zasugerować, że ci, którzy są wokół niego, mogą otrzymywać podobne listy. Musiał liczyć się z tym, że ktoś zechce wbić klin między niego a lubelskich księży, zasiać ziarno nieufności, które będzie kiełkować później nieposłuszeństwem, pomówieniami, nieporozumieniami. Nie mógłby sprawować urzędu biskupa, nie ciesząc się zaufaniem powierzonych mu księży. Uzyskać je mógł tylko w jeden sposób – okazując im zaufanie. List od nieznanego nadawcy stworzył mu tę szansę niespodziewanie szybko.

– Obaj wiemy, że słowa potrafią być czasem gorsze niż kule. Na szczęście nasze pancerze są mocniejsze. Zabierajmy się do pracy. Co słychać na KUL-u? Jak księdzu idzie praca naukowa?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Pracy mam dużo, bo wykładam na trzech wydziałach, ale cóż – takie czasy.

– Wiem, że za kilka dni otrzyma ksiądz tytuł profesora nadzwyczajnego. Gratuluję. Lublin ma wielki skarb w postaci uniwersytetu katolickiego. W nadchodzących czasach może się on okazać wyjątkowo cenny. Cieszę się, że mogłem tu wrócić. Ksiądz spędził wojnę w tych stronach?

– Tak.

– Czym się ksiądz zajmował?

– Pierwsze kilka miesięcy okupacji spędziłem w więzieniu. Wzięli mnie w listopadzie, z ulicy i trafiłem na Zamek.

Lubelski zamek miał równie złą sławę jak „Pałac" w Zakopanem czy gmach w alei Szucha w Warszawie. Tutaj urzędowało Gestapo. Tu również trafił hrabia Zamoyski, którego na oczach Wyszyńskiego Niemcy aresztowali w Kozłówce.

– Znalazłem się na liście do rozstrzelania. Rodzina dokonywała cudów, żeby mnie wydobyć. Pan Bóg widocznie miał inne plany, bo zamiast pod ścianę trafiłem na wolność. Wyszedłem w Wielką Sobotę 1940. Zamieszkałem w Wierzchosławicach u mojego krewnego, także księdza. Internowany w Nowym Sączu biskup Fulman polecił mi zająć się zaopatrzeniem nowo organizowanego seminarium, które uruchomiliśmy w Krężnicy Jarej. Dowoziłem klerykom jedzenie furmanką oraz dawałem wykłady. I tak aż do końca wojny.

– Jak funkcjonuje seminarium?

– Szczęśliwie na brak powołań nie narzekamy.

– To dobrze. Dobrze, że mogliście zacząć pracę już w czasie wojny. Odbudowa wszystkiego od początku jest zawsze najtrudniejsza. Z wykładowcami i klerykami chciałbym się spotkać jak najszybciej. No i KUL. Czy mógłby ksiądz zająć się zorganizowaniem tych spotkań?

– Naturalnie, Ekscelencjo.

W najgorszym nawet
człowieku
tli się
iskra
człowieczeństwa,
czasem wystarczy
dmuchnąć,

aby zamieniła się
w płomień.

Trzeba podejść do młodzieży z sercem. Za serce będą wdzięczni. Serce zrozumieją, kija – nie! Przed kijem nie ustąpią, ale przed sercem – ustąpią! / **Stefan Wyszyński**

1947, styczeń

21

Krzysztof Mogilnicki wpadł pędem do katedry. Było tu już pełno jego rówieśników, młodzieży gimnazjalnej, która uczyniła to samo, ratując się przed milicyjnymi pałkami.

– Staszek, Franek, Władek – ucieszył się, widząc, że jego koledzy też się tu dostali.

Zdyszani i mimo styczniowego mrozu spoceni, spojrzeli niemal jednocześnie w kierunku drzwi, przez które wbiegali kolejni gimnazjaliści.

– Myślicie, że wejdą? – zapytał.

– Nie odważą się.

Podeszli do drzwi i wyjrzeli na zewnątrz. Katedra została otoczona kordonem milicjantów, który jednak nie mieli zamiaru wchodzić do środka. Od kilku dni w Lublinie wrzało. Przed zbliżającymi się wyborami do Sejmu ustawodawczego komuniści zmobilizowali wszystkie siły. Ludność była przymusowo gromadzona na wiecach. Pięć dni przed wyborami na jedną z takich „masówek" spędzono gimnazjalistów.

– Wrogowie władzy ludowej oskarżają Związek Radziecki o odebranie Polsce Wilna i Lwowa! – krzyczał na spotkaniu agitator z PPR.

– Bo tak było! Bo tak było! – skandowała w odpowiedzi młodzież. Do akcji wkroczyło UB, aresztując kilkanaście osób. Nazajutrz ich

koledzy zebrali się pod gmachem milicji, żądając zwolnienia uwięzionych. Funkcjonariusze odpowiedzieli pałkami. Następnego dnia wszystkie szkoły zastrajkowały. Młodzież demonstracyjnie spacerowała po ulicach. Kolejne aresztowania i bicie. Dzień później gimnazjaliści ruszyli pochodem przez Krakowskie Przedmieście. Przed Bramą Krakowską uderzyły na nich silne oddziały milicji i ORMO. Ktoś krzyknął: „Do katedry!".

Młodzież wypełniła świątynię. Ktoś zaintonował pieśń „Boże, coś Polskę"... Kiedy skończyli, zaczęły się debaty, co robić dalej. Katedra jest kościołem biskupa, naturalne wydało się, że do niego powinni zwrócić się o pomoc.

Krzysztof z trzema kolegami przecisnęli się do bocznych drzwi, uchylili je i wyjrzeli na zewnątrz. Od tej strony droga była wolna. Wyślizgnęli się i pobiegli do ogrodu, a stamtąd do pałacu biskupa.

Wojewoda Rózga był wściekły. Przez tych cholernych smarkaczy sytuacja w mieście wymykała mu się spod kontroli. Przed chwilą zadzwonił do niego dowódca UB.

– Towarzyszu wojewodo, rozbiliśmy manifestację – zameldował – jej uczestnicy schronili się w katedrze. Czy mamy interweniować?

Bał się wydać taką decyzję. Za dwa dni wybory. Wieść rozejdzie się bardzo szybko. Ludzie nie darują tego nowej władzy. Może nawet nie wypalić misternie przygotowywany plan sfałszowania wyników, w razie gdyby PSL Mikołajczyka uzyskało większość.

– Zaczekajcie – polecił.

Nacisnął na widełki i kazał połączyć się z biskupem Wyszyńskim. Po chwili usłyszał w słuchawce spokojne „słucham".

– Rózga Wacław. Wojewoda lubelski.

– Witam pana. W czym mogę pomóc?

– Ksiądz biskup przetrzymuje młodzież w katedrze, a ona powinna być w szkole. Ostrzegam, że zastosujemy wszelkie środki.

– Panie wojewodo, proszę mnie nie straszyć.

– Będziemy strzelać!

– My, Polacy, nie boimy się strzałów, ale proszę przyjąć do wiadomości, że biskup lubelski będzie wtedy z młodzieżą.

Rózga ze złością rzucił słuchawkę na widełki.

Ledwo skończył rozmowę, Janek wprowadził czterech młodzieńców. Stali w progu, ściskając w rękach szkolne czapki. Podszedł do nich i podał dłoń. Każdy przyklękał i całował pierścień, na którym znajdował się wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

– Spora gromada was się zebrała w katedrze – powiedział biskup.

– Cieszyłbym się, gdyby taka frekwencja była na rekolekcjach. Mówcie, z czym przychodzicie.

– Ekscelencjo, wszystkie szkoły strajkują, chcemy uwolnienia naszych kolegów. Wielu z nich pobito, wielu aresztowano, niektórych wywieziono za Lublin. Oskarżają nas, że knujemy z Mikołajczykiem, ale to nieprawda. Strajk jest spontaniczny, bronimy naszych przyjaciół. Pro- simy księdza biskupa o interwencję.

Słuchając mówiących trochę bezładnie chłopców, pomyślał o ich rówieśnikach, którzy ginęli na ulicach Warszawy w czasie powstania.

– Moi drodzy – powiedział – podziwiam wasz patriotyzm i odwagę i jestem do głębi wzruszony waszą postawą. Młodzi potrafią żarliwie kochać ojczyznę i nawet oddać życie w jej obronie. Dziękuję wam za to. Nie traćcie waszego patriotyzmu, ale też nie pozwólcie odebrać sobie nadziei. Przed nami ciężkie czasy, kto wie, może będzie to trwało wiele lat, pamiętajcie jednak, że Pan Bóg nigdy nie daje człowiekowi ciężarów większych, aniżeli może on udźwignąć. Opatrzność czuwa nad Polską i czuwa nad wami. Jestem pewien, że przyjdzie taki dzień,

kiedy zwyciężą prawda i sprawiedliwość. Obiecuję, że będę interweniował u władz i będę się za was modlił. A teraz pobłogosławię was.

Uklękli.

– *Adiutorium nostrum in nomine Domini*[5]

– *Qui fecit caelum et terram*[6] – odpowiedzieli.

– *Benedicat vos omnipotens Deus, Pater, et Filius, et Spiritus Sanctus*[7].

[5] Wspomożenie nasze w imieniu Pana.
[6] Który stworzył niebo i ziemię.
[7] Niech was błogosławi Bóg wszechmogący, Ojciec i Syn, i Duch Święty.

22

Czerwone litery tytułu biegnące przez całą szerokość pierwszej strony głosiły bezapelacyjne zwycięstwo „bloku demokratycznego", jak oficjalnie nazywała się koalicja komunistów z innymi ugrupowaniami lewicowymi.

„Demokratyczny. Ci ludzie mają poczucie humoru" – pomyślał. Wiedział aż nadto dobrze, w jaki sposób osiągnięte zostało tak miażdżące zwycięstwo w wyborach do sejmu, co działo się w punktach wyborczych, jak podmieniano urny i aresztowano, a czasem mordowano członków opozycyjnego PSL-u, którego liderem był Stanisław Mikołajczyk.

W ciągu dwóch lat od tak zwanego wyzwolenia nowy ustrój rozsiadł się w Polsce na dobre. Jeszcze po lasach kryli się partyzanci, jeszcze toczyły się walki, byli wciąż tacy, którzy liczyli na wybuch trzeciej wojny światowej i klęskę Sowietów. On był przekonany, że kwestią czasu jest, aby każda oznaka oporu została zduszona przez nowych władców kraju. Dobrze, że chociaż wypuścili aresztowaną młodzież i pozwolili na powrót wywiezionym za Lublin gimnazjalistom. Interweniował u wojewody, zachęcił też młodzież do powrotu do szkoły. Wiedział, że może narazić się „gorącym głowom". Napisał list, w którym jasno stwierdził, że najważniejszą pracą dla ojczyzny jest wytrwała, cierpliwa, spokojna praca w ławie szkolnej.

Może posądzą go o serwilizm, może o tchórzostwo. Może przyjdą nowe anonimy. Może...

Jeśli moje dobre imię nie jest Ci, Panie, potrzebne, na cóż mi ono.

Miał głębokie przekonanie, że konflikt, którego jednym z przejawów był strajk szkolny, sięga znacznie głębiej i jest to nie tylko walka o polityczną władzę w Polsce. Była to walka o rząd nad duszami.

Młodzi ludzie schronili się do kościoła, bo instynktownie czuli, że tu – blisko Boga – znajdą wolność. Ich prześladowcy nie mieli odwagi przekroczyć przestrzeni *sacrum*. Jeszcze nie mieli...

Odłożył gazetę i spojrzał na stojący na biurku krucyfiks. U jego stóp stał niewielki wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Obok znajdowała się mała poczerniała kosteczka. Zabrał ją z wielkiej pryzmy ludzkich szczątków na terenie byłego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego na Majdanku. Pojechał tam, gdy powiedziano mu, że nikt nie troszczy się o hałdy kości, wśród których rosną buraki i kapusta. „Oto, co świat niewiary potrafi zrobić z człowieka, gdy straci wiarę, że człowiek jest dzieckiem Bożym" – myślał, chodząc po tym miejscu. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że znajduje się na polu opisanym przez proroka Ezechiela.

Potem spoczęła na mnie ręka Pana, i wyprowadził mnie On w duchu na zewnątrz, i postawił mnie pośród doliny. Była ona pełna kości. I polecił mi, abym przeszedł dokoła nich, i oto było ich na obszarze doliny bardzo wiele. Były one zupełnie wyschłe. I rzekł do mnie: „Synu człowieczy, czy kości te powrócą znowu do życia?". Odpowiedziałem: „Panie Boże, Ty to wiesz". Wtedy rzekł On do mnie: „Prorokuj nad tymi kośćmi i mów do nich: Wyschłe kości, słuchajcie słowa Pana! Tak mówi Pan Bóg: Oto Ja wam daję ducha po to, abyście się stały żywe. Chcę was otoczyć ścięgnami i sprawić, byście obrosły ciałem, i przybrać was w skórę, i dać wam ducha po to, abyście ożyły i poznały, że Ja jestem Pan". I prorokowałem, jak mi było polecone, a gdym prorokował, oto powstał szum i trzask, i kości jedna po drugiej zbliżały się do siebie. I patrzyłem, a oto powróciły ścięgna i wyrosło ciało, a skóra pokryła je z wierzchu, ale jeszcze nie było w nich ducha. I powiedział On do mnie: „Prorokuj do ducha, prorokuj, o synu człowieczy, i mów do ducha: Tak powiada Pan Bóg: Z czterech wiatrów przybądź, duchu, i powiej po tych pobitych, aby ożyli". Wtedy prorokowałem tak, jak mi

nakazał, i duch wstąpił w nich, a ożyli i stanęli na nogach – wojsko bardzo, bardzo wielkie. I rzekł do mnie: „Synu człowieczy, kości te to cały dom Izraela. Oto mówią oni: »Wyschły kości nasze, minęła nadzieja nasza, już po nas«. Dlatego prorokuj i mów do nich: „Tak mówi Pan Bóg: Oto otwieram wasze groby i wydobywam was z grobów, ludu mój, i wiodę was do kraju Izraela, i poznacie, że Ja jestem Pan, gdy wasze groby otworzę i z grobów was wydobędę, ludu mój. Udzielę wam mego ducha po to, byście ożyli, i powiodę was do kraju waszego, i poznacie, że Ja, Pan, to powiedziałem i wykonam" – wyrocznia Pana Boga[8].

[8] Ez 37, 1–14 (Biblia Tysiąclecia).

Niechaj lud Warszawy wie,

że kardynał **prymas**

przygotowuje się

na śmierć.

Rozdział II

Z diabłem nie, ale z człowiekiem tak

Wspólnota ludzka przez naturę ludzką jest tak silna, że w kogokolwiek ugodzą, w nas uderzają. Gdy pałką gumową bity jest jeden człowiek – cios godzi w całe społeczeństwo. W skopanym, zawieszonym na słupku, torturowanym bracie naszym krzywdzona jest cała ludzkość. Skrzywdzona podwójnie. Nie tylko w cierpiących prześladowanie dla sprawiedliwości, ale bardziej jeszcze w oprawcach, którzy do takiego upodlenia doszli.

Stefan Wyszyński

1

– Będziesz śpiewał jak z nut – Julia Brystygier dotknęła podbródka więźnia i uniosła jego głowę ku górze. Ich oczy spotkały się. – Hardy jesteś, ale spokorniejesz – powiedziała jakby łagodnie, w jej głosie było jednak coś złowieszczego.

– Baczność! – wrzasnęła.

Milicjanci złapali aresztanta pod boki. Poderwali go z krzesła.

– Spodnie! – Gwałtownym szarpnięciem zerwali z niego dolną część ubrania. – Dawać go tu! – stała przy biurku.

Otworzyła szufladę. Chwyciła więźnia za genitalia, wepchnęła do szuflady i zatrzasnęła z całej siły. Rozległ się przerażający krzyk.

– Jeszcze raz? Będziesz gadał?

Młody akowiec jęczał.

– Nie nawykłam do czekania. Chciałeś, to masz. – Otworzyła szufladę i zatrzasnęła ją powtórnie.

Kolejny krzyk. Torturowany zemdlał i zawisł na ramionach oprawców.

– Ocućcie go i powiedzcie, że jak nie zacznie mówić, to wrócę.

Wyszła z celi przesłuchań i energicznym krokiem wróciła do swojego biura. Lubiła zaczynać badanie. Słynęła ze skuteczności. W ogóle lubiła odnosić sukcesy, a od czterech lat nazbierała ich całe mnóstwo. Wspinała się szybko po szczeblach kariery w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Była jedyną kobietą, która stała na czele departamentu. Szczyciła się stopniem pułkownika. Nie musiała już robić tego, co zrobiła przed chwilą, nie potrafiła sobie jednak odmówić od czasu od czasu tej przyjemności. Wiedziała, że nazywają ją Krwawą Luną, i sprawiało jej to satysfakcję.

Na biurku czekała na nią teczka aresztowanej parę miesięcy wcześniej Marii Okońskiej. Otworzyła ją i sięgnęła po leżące na wierzchu pismo biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego.

Do Pana Ministra
Bezpieczeństwa Publicznego
Pana St. Radkiewicza
w Warszawie

W środę, dnia dwudziestego czwartego marca br. o godzinie 20.15 zatrzymana została przez funkcjonariuszy UB w Lublinie p. Maria Okońska, mgr filozofii, studentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (aresztowana) i przewieziona do Warszawy. W kilka dni później została zatrzymana w Warszawie p. Maria Wantowska, mgr fil. Uniwersytetu Warszawskiego. Obie akademiczki zostały umieszczone w Urzędzie śledczym przy ul. Koszykowej.

Brystygierowa sięgnęła po papierosa. Niedawno Radkiewicz przekazał jej list od tego biskupa z Lublina. Na Wyszyńskiego miała oko już od pewnego czasu, wyglądało na to, że cieszy się zaufaniem Hlonda. Raporty lubelskiego UB przedstawiały go jako zapiekłego wroga socjalizmu, było w nim jednak coś, co ją zastanowiło. W donosach pisanych przez lubelskich księży wracały narzekania, że biskup zbyt wiele od nich wymaga, że gdyby słuchać tego, czego żąda, to „proboszcz nie miałby już czasu dla siebie". Wyglądało na to, że ten starszy od niej zaledwie o rok klecha jest niebezpieczniejszy niż ci, którzy otwarcie krytykują nową władzę i sprzyjają kontrrewolucyjnej partyzantce.

Wróciła do akt Okońskiej. Trzy miesiące spędzone w więzieniu niespecjalnie ją zmiękczyły. Wręcz przeciwnie, wciąż prowadziła wrogą

propagandę wśród współwięźniarek, a nawet wobec przesłuchujących ją oficerów. Wariatka jakaś czy co? Zdarzyło się jej poznać różnych więźniów – jedni pękali od razu, innych trudno było złamać, wszystkich łączyła nienawiść do władzy ludowej. Okońska była inna. Z zapisu przesłuchań wyłaniał się obraz kobiety, która jakby była zadowolona. Co gorsza, wpływała na inne więźniarki. Stawały się odważniejsze, lepiej znosiły przesłuchania, nawet jeśli były bite.

Najwyższy czas, aby ją poznać...

2

Maria przysiadła na zydlu i spojrzała na pustą pryczę z równo zasłanym kocem. Nad nią następna: też równo zasłana. Urszulę zabrali wczoraj, pewnie na Rakowiecką. Została zupełnie sama.

Do oczu napłynęły jej łzy. Może teraz, bardziej niż kiedykolwiek, czuła przemożne pragnienie wolności, wyjścia z tej pozbawionej okien piwnicy, spaceru po pobliskich Łazienkach, powrotu do Ojca.

Przecież chciałaś tego, przeczuwałaś, że cię zamkną, i powiedziałaś Bogu, że się zgadzasz.

Ogarnął ją wtedy spokój, który nie opuścił jej na żadnym przesłuchaniu ani podczas długich dni spędzanych w celi z innymi kobietami zamykanymi w kazamatach przy Koszykowej. Urszula była jedną z nich. Początkowo nieufna, wkrótce otworzyła się całkowicie. Wyznała jej, że żyła już z pięcioma mężczyznami, a ten, z którym żyje teraz, też nie jest jej mężem. Zupełnie jak Samarytanka, którą Jezus spotkał przy studni Jakubowej. Urszulę zamknęli, bo jej kochanek był w konspiracji.

Jednego dnia wróciła z przesłuchania pobita. Przez łzy wyznała jej, że jest... szczęśliwa! „Bo, Marysiu – mówiła – Pana Jezusa przecież

też bili i poczułam, że jestem tak blisko Niego. Ja po to przyszłam tu do więzienia, żeby Jego odnaleźć. Jeśli wyjdę, to zerwę z tym życiem, wrócę do Boga, a jeśli mnie nie wypuszczą – to On przyjdzie po mnie".

Patrząc na pustą pryczę, pomyślała o Ojcu. Widziała się z nim na dzień przed aresztowaniem, powiedziała mu wtedy, żeby się nie martwił, jak ją zamkną, on wydawał się zaskoczony i nawet zbeształ ją trochę, że mówi takie absurdy. Gdy nazajutrz wieczorem wsiadała do samochodu UB, uważała, że nadchodzące cierpienie ma być ofiarą za niego i za wolność Kościoła w Polsce. Powzięła też silne postanowienie, że idzie do więzienia, aby tam apostołować, tak jak w czasie powstania warszawskiego. Do tej pory znakomicie się jej to udawało. Teraz pozostała sama... Zaczęła szlochać. Usłyszała odgłos odsuwanej zapadki przy judaszu.

To pewnie ten sierżant, który od dłuższego czasu co chwila ją obserwował. Wyjątkowo ohydny, bezwzględny komunista z Francji, słabo mówiący po polsku.

Otworzył drzwi celi.

– Co się stało? – zapytał. – Dlaczego ona tak płacze?

Patrzył na nią bezradny. Spojrzała na niego. W jego oczach nie było tej zwykłej zaciętości, raczej smutek. Współczucie? Czy to możliwe?

– Jaki pan jest dobry! – powiedziała, ocierając łzy rękawem. Człowiek wyglądał tak, jakby tuż przed nim strzelił piorun.

– Co ona mówi?

Wyszedł. Po jakimś czasie znów się pojawił.

– Ja bym coś dla niej chciał zrobić – oświadczył. – Może ma jakieś życzenie. Niech szczerze mówi.

– Może mógłby mi pan zwrócić różaniec. Zabrano mi przy aresztowaniu, jest w depozycie. Od tego czasu modlę się na palcach.

Zniknął. Wrócił z różańcem. Wzięła go wzruszona i przycisnęła do ust. Dostała ten różaniec od Ojca.

– Jaki pan jest dobry! Dziękuję, bardzo, bardzo dziękuję. Sierżant wyglądał na wzruszonego.

– A może coś jeszcze by chciała?

– W depozycie jest krzyż, też mi zabrano. Mogłabym...?

– Z tym może być trudniej.

Chyba rzeczywiście było trudniej, bo nie pojawił się w celi aż do następnego dnia. Kiedy przyszedł, wyglądał na zadowolonego.

– Ja coś mam, niech zgadnie – rękę trzymał schowaną za plecami.

– Mój krzyż!

Wyciągnął dłoń, a drugą ręką wziął jej rękę i włożył w nią krzyż.

– Jak ja się panu odwdzięczę? – zapytała.

Odwrócił się szybko i wyszedł.

Położyła krzyż na zydelku. Tyle razy Ojciec powtarzał im, że w najgorszym człowieku tli się iskra człowieczeństwa, czasem wystarczy dmuchnąć, aby zamieniła się w płomień. Czy mogła przypuszczać, że te słowa spełnią się, gdy zostanie uwięziona? To nie był przypadek, tak samo jak nie było przypadkiem, że została aresztowana w Wielkim Tygodniu, a pierwsza noc spędzona w celi MBP na Koszykowej była nocą z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek.

Jej rozmyślania przerwał zgrzyt zamka. Tym razem w drzwiach stanął jakiś nieznany oficer.

– Proszę ze mną – powiedział zaskakująco uprzejmie.

Wykonała polecenie. Doszli do schodów i wtedy poczuła, jak ogarnia ją słabość.

– Nie dam rady.

– Pojedziemy w takim razie windą.

Zdziwiła się. Taka kurtuazja? Na górze dowiedziała się, że za chwilę będzie rozmawiać z pułkownik Julią Brystygierową. Nie znała tego nazwiska. O tym, czym się zajmuje jego właścicielka, dowiedziała się już z jej ust.

– Jestem szefem wydziału, który panią więzi – powiedziała Luna.

– Rola raczej niemiła.

– Chciałam panią poznać.

– Oto jestem w całej okazałości.

Pozwoliła sobie na tę odrobinę zgryźliwości. Zawsze przywiązywała wagę do osobistego wyglądu, zresztą Ojciec też wpajał im, że powinny dobrze się prezentować. Skromnie, ale schludnie. Tymczasem po trzech miesiącach spędzonych w celi, bez świeżego powietrza i możliwości zachowania higieny, wyglądała chyba gorzej niż przed czterema laty, gdy wychodziła z powstania.

– Proszę usiąść – Brystygierowa była nawet całkiem miła. – Wygląda pani na inteligentną osobę.

– Pani również – mówiła prawdę. Uderzyło ją, już przy wejściu, że jej rozmówczyni ma bardzo inteligentną twarz.

– Jestem doktorem filozofii.

– Ja też bym mogła nim być, gdyby to aresztowanie nie przerwało mi pracy naukowej.

– Będzie pani mogła ją skończyć, jak pani wyjdzie na wolność.

Czyżby chcieli ją wypuścić?

– W sumie to nie mam do pani żalu, że mnie pani zamknęła. Więzienie jest dla mnie wielką łaską. Tak, nawet jestem pani wdzięczna.

Brystygierowa wyglądała na zaskoczoną.

– Nie zajmowałam się polityką – ciągnęła Okońska – pracowałam wśród dziewcząt tak bardzo zmarnowanych przez wojnę, aby pozyskać je dla Pana Boga i dla Polski. Siedzieć więc za taką rzecz to dla mnie zaszczyt.

– A co pani myśli o nas?

– To znaczy o kim?

– O tych, którzy budują socjalizm w Polsce, i tych, którzy tu pracują.

– Źle myślę. Wiem, co robicie z ludźmi, więc jak mogę myśleć dobrze? I nie wiem, czy ja rzeczywiście jestem w Polsce. Na korytarzach widziałam wielu sowieckich oficerów, w sowieckich mundurach...

– To jest owoc przyjaźni polsko-radzieckiej.

– Nie mówmy o tym. Niech mi pani lepiej powie, czy pani wierzy w Boga.

– Chyba pani żartuje!

– Wcale nie. Przecież jest pani filozofem, zatem pani myśli. A człowiek, który myśli, nie może nie dojść do istnienia Boga.

Przydały się wykłady, które dawał im Ojciec jeszcze w czasie okupacji. Zawsze podkreślał, że katolikowi nie wystarczy wiara, choćby najżarliwsza, jeśli nie towarzyszy jej podbudowa intelektualna. Dlatego po wojnie poszły na KUL. Nie bez znaczenia było i to, że w Lublinie miały do Ojca znacznie bliżej.

Patrzyła Brystygierowej prosto w oczy. Widziała w nich coś na kształt niedowierzania. To dodało jej odwagi.

– Pani walczy z wiarą pewnie dlatego, że nie wie pani, jaka to wspaniała rzecz. Gdyby pojechała pani na Jasną Górę, gdyby pani poczuła tę macierzyńską miłość Maryi...

– Niechże pani da już spokój.

– Dobrze. Jak pani sobie życzy. Mam tylko jedną prośbę. Niech pani codziennie wieczorem, przed spaniem pomyśli, że jest ktoś, kto się za panią gorąco modli. Niech mi to pani obieca.

– Niby dlaczego? Przecież ja nie wierzę. Jakie więc to może mieć dla mnie znaczenie?

– Modlitwa to jest po prostu serdeczne myślenie o pani. Proszę tylko, aby pani wspominała, że jest ktoś, kto najserdeczniej o pani myśli.

– To obiecuję. I bardzo dziękuję – powiedziała.

„Nawiedzona, ale nieszkodliwa" – pomyślała, widząc, że Okońska wstaje i zbliża się do niej z promiennym uśmiechem i wyciągniętymi

dłońmi. Była tak zaskoczona, że nawet nie zareagowała, gdy aresztantka pochyliła się i ucałowała ją w policzek. Było w tym pocałunku dawno zapomniane ciepło pocałunku matki, bezinteresowna życzliwość, której próżno by szukać w tym gmachu. Uświadomiła sobie, że ta dziewczyna jest zaledwie rok starsza od jej jedynego syna Michała. Mogłaby być jej córką. Może lepiej, że nie jest... Wyciągnęła z biurka karteczkę.

– Moje dziecko – powiedziała – To jest mój zastrzeżony numer telefonu. Proszę go zapamiętać i dzwonić zawsze, gdy będzie pani miała jakąkolwiek sprawę.

Wezwała oficera.

Po ich wyjściu znowu sięgnęła po papierosa. Zaciągnęła się z wyraźną ulgą.

3

Samochód minął Lubartów i skręcił w lewo w dobrze mu znaną drogę prowadzącą do pałacu w Kozłówce. Minęli Skrobów, który zasłynął przed trzema laty z brawurowej ucieczki pięćdziesięciu żołnierzy AK, więzionych w obozie zorganizowanym tu przez NKWD. Po kolejnych kilku kilometrach dotarli do Kozłówki. Wiedział, że pałac został opuszczony w 1944 roku. W obliczu nadciągających wojsk sowieckich Jadwiga Zamoyska zabrała najcenniejsze dzieła sztuki i wywiozła wszystko do Warszawy. Tam cały jej dobytek spłonął. Marysia mówiła mu, że spotkała Jadwigę w czasie powstania. Prowadziła kuchnię polową. Ocalała, ocalał też jej mąż, którego aresztowania był świadkiem przed siedmiu laty. Podobno uratowała go interwencja fińskiego generała Carla Gustawa Mannerheima, z którym hrabia Aleksander służył – jeszcze za caratu – w Korpusie Paziów.

Przejeżdżając przez okolice, zobaczył, że pozbawiony właścicieli majątek bardzo zniszczał. W nowym ustroju nie było miejsca dla takich ludzi jak Zamoyscy. Szybko za to tworzyła się nowa „elita", z wszechpotężnym aparatem bezpieczeństwa na czele. Już nikt nie miał złudzeń, że Polskę czeka długa i mroczna droga pod rządami władzy ludowej. On również ich nie miał. Dlatego spieszył się, aby nadrobić kolosalne zaległości spowodowane okupacją.

Jego poprzednik biskup Marian Fulman został przez Niemców internowany w Nowym Sączu i nie mógł wizytować parafii. Przez sześć lat nikt nie bierzmował młodzieży. Nowy biskup ruszył więc w drogę. W ciągu ostatnich dwóch lat Stefan wybierzmował przeszło osiemdziesiąt tysięcy ludzi, zdarzało się, że jednego dnia ustawiało się w długich rzędach i dwa tysiące osób. Ciężka praca. Kto z nich mógł się domyślać, że przyjmują sakrament z rąk człowieka, któremu kiedyś radzono iść na cmentarz, a nie do święceń? Dziś też jechał bierzmować w starym kościele w Kamionce, gdzie odwiedzał w czasie okupacji księdza Michała Słowikowskiego.

Uśmiechnął się na wspomnienie tych licznych bierzmowań. Sakramentalne „masówki" różniły się jednak od masówek organizowanych przez komunistów. Tam dominowały agresja i pustosłowie, ludzie zaś byli na nich gromadzeni pod przymusem. Gdy na wizytację i bierzmowanie przyjeżdżał biskup, wierni zjeżdżali się z całej okolicy, pokonując nieraz znaczne odległości. I robili to z własnej woli. Bardzo lubił być blisko nich, szczególnie blisko dzieci, takich jak pewien chłopiec, który usiadł sobie na wzgórzu piachu, nie zważając na to, że mama wystroiła go na przyjazd biskupa. Pomyślał wtedy: „To jest ochrzczone dziecko! W tej chwili nie interesuje się bierzmowaniem, biskupem i Kościołem widzialnym, ale siedzi sobie na wzgórzu i pięknie się zabawia. Nie jest samo, bo jest to dziecko ochrzczone, na pewno bez grzechu, chyba że za »grzech« mogłaby mu matka

poczytać jego »inicjatywę własną«, iż uciekł spod jej opieki. Ale tego nie zrobi. Jakie ono jest szczęśliwe! Nie samo tam siedzi, po prostu usiadło na piachu z Trójcą Świętą i siedzi sobie z Nią".

Takie obserwacje pomagały mu potem rozmawiać z dziećmi, które katechizował. „Tatuś pojechał w pole – mówił. – Wiezie nawóz i siedzi na jego stercie. Powiedz mi, mój drogi, czy w twoim tatusiu jest Trójca Święta?" Widział zakłopotanie na twarzy chłopca. Nawóz? Ale przecież Słowo Przedwieczne leżało w stajni betlejemskiej na kupie gnoju. Dlaczego więc miałoby zmienić swoje zwyczaje? I dzieci chórem krzyknęły: „Jest!".

Przed wjazdem do Kamionki stała przystrojona kwiatami brama powitalna i napis: „Witamy arcypasterza!". Wśród oczekujących go ludzi zobaczył znajomą twarz. Jan! Fornal, który pracował u Zamoyskich. Machał do niego ręką, drugą trzymał na ramieniu może dziesięcioletniej dziewczynki. Pewnie przyprowadził córkę do bierzmowania. Pozdrowił go uśmiechem. Czasy się zmieniają, ludzie zostają.

Kardynał Hlond należał do prymasów – więźniów stanu. Był więźniem dla Imienia Chrystusowego. Jest to największy zaszczyt i łaska, jakiej mógł doznać, albowiem radością jest cierpieć dla Imienia Chrystusowego. Kardynał Prymas Hlond cierpiał za kościół w Polsce i za Ojczyznę. Wraz z duchowieństwem, które zapełniło w latach okupacji obozy koncentracyjne, wraz z całym narodem cierpiał za Polskę, w której prawo do wolności nigdy nie zwątpił / **Stefan Wyszyński**

4

– Niechże się Eminencja rozgości. Pewnie Ksiądz Prymas zdrożony? – biskup Wyszyński wprowadził kardynała Hlonda do obszernego salonu w domu biskupim w Lublinie.

– Ładnie sobie ksiądz biskup mieszka – powiedział Hlond, siadając w fotelu. – Chyba nie jest tu aż tak strasznie?

Wyszyński uśmiechnął się zakłopotany. Przed dwoma laty tak bardzo opierał się przyjęciu nominacji biskupiej do Lublina.

– Przywykłem – powiedział. – Na szczęście pracy jest tyle, że nie mam czasu na gdybanie.

– To dobrze, że jest jej dużo. Moja matka – świeć Panie nad jej duszą – zawsze nas do niej goniła i mawiała, że próżniactwo jest początkiem wszelkiego zła i że za każdą minutę trzeba Bogu zdać rachunek.

Wszedł Janek z dzbankiem kawy i dwiema filiżankami. Postawił je na stoliku, ukłonił się z szacunkiem i opuścił salon. Wyszyński nalał gościowi czarnego płynu.

– Zostało jeszcze trochę z zapasów „cioci" UNRR-y[9] – powiedział. – Trzymamy dla specjalnych gości.

– Bardzo dziękuję – prymas wziął filiżankę i skosztował. – Całkiem niezła. Jeśli mi czegoś brakuje z Italii, to właśnie kawy.

– Ksiądz Prymas wybiera się do Rzymu?

– Wystarczająco dużo czasu spędziłem poza krajem. Co było tam do zrobienia, zrobiłem.

Wyszyńskiemu wydało się, że słyszy w głosie rozmówcy twardszą nutę. Znał przeżycia Hlonda na emigracji.

[9] * UNRRA – United Nations Relief and Rehabilitation Administration – międzynarodowa organizacja zajmująca się udzielaniem pomocy krajom najbardziej dotkniętym przez wojnę.

Kościołowi
potrzeba było

silnego
człowieka
który mógłby
stawić
czoło

tak trudnej sytuacji.

Prymas opuścił Polskę w połowie września 1939 roku po to, by przedstawić Piusowi XII prawdę o agresji Niemców i o losie swojego narodu.

Wówczas nie wiedział jeszcze, że czeka go pięć długich lat spędzonych na obczyźnie. Już w październiku chciał wrócić do Polski, ale mimo dwukrotnych interwencji Watykanu Niemcy nie zgodzili się na wpuszczenie go do kraju. Spędził cały ten czas we Francji, a przez ostatni rok wojny był więziony przez Gestapo. Po wyzwoleniu przez Amerykanów pojechał do Rzymu, gdzie Pius XII udzielił mu nadzwyczajnych pełnomocnictw do prowadzenia Kościoła w Polsce.

– Czy Rzym rozumie naszą sytuację? – zapytał Wyszyński.

– Na papieża możemy liczyć. Naciskał na aliantów w czasie powstania warszawskiego, aby pomogli naszym. Nie pogodził się z konsekwencjami sojuszu Anglosasów i Sowietów. No i nie przyjął postanowień Jałty. Dla niego to po prostu oddanie Sowietom połowy Europy. Polsce bardzo sprzyja. Jest przekonany, że na naszej ziemi rozgrywa się walka przepowiedziana przez Maryję w Fatimie. Rzeczywiście, wszystko się spełnia. Z Rosji bezbożnictwo rozlewa się coraz szerzej.

– Już dwa lata mijają od aktu oddania – powiedział z zadumą Wyszyński – i jest coraz gorzej.

W 1946 roku Hlond przeprowadził szeroko zakrojoną akcję zawierzenia Polski Niepokalanemu Sercu Maryi. Pius XII powiedział mu o liście, który otrzymał od siostry Łucji, jedynej żyjącej wizjonerki z Fatimy. Zakonnica pisała, że trzeba poświęcać Maryi poszczególne narody. Tam gdzie się tego dokona, wiara zostanie ocalona.

– Ufam głęboko, że akt ten odegra swoją rolę – powiedział. – Nie możemy tracić nadziei.

– Prześladowanie nasila się. Kościół jest tak strasznie osłabiony po wojnie, a przychodzą nań kolejne ciosy.

– Martwi się ksiądz biskup o Marysię? Wciąż nie ma żadnej wiadomości?

Prymas Hlond dobrze znał Marię Okońską. Odwiedzała go często, opowiadając o swojej pracy z dziewczętami i o obozach letnich, które organizowała. Kiedyś zapytał ją, czy mają na to pieniądze. „Ufamy księdzu prymasowi" – powiedziała po prostu. A on na to: „Słusznie, bo prymas musi mieć pieniądze dla was, a nie dla siebie". Wsparł je hojnie. Za organizację tych obozów Maria została potem aresztowana.

– UB trzyma ją w Warszawie – powiedział Wyszyński. – Pisałem do Radkiewicza. Bez odpowiedzi.

– Oni nie zwykli stosować się do reguł grzeczności. Bądźmy dobrej myśli. Pomodlimy się za nią w Krasnobrodzie.

Nazajutrz, w święto Nawiedzenia Maryi[10], obaj mieli wziąć udział w uroczystościach ku czci słynącego łaskami wizerunku Matki Bożej w położonym za Zamościem sanktuarium maryjnym.

[10] Według obowiązującego w tamtym okresie kalendarza liturgicznego Nawiedzenie Najświętszej Maryi Panny obchodzone było 2 lipca.

5

Spojrzała na zegarek. Minęła już dwudziesta pierwsza. Brama wjazdowa była jeszcze otwarta, weszła więc na dziedziniec i podeszła do drzwi. Zapukała kilka razy. Wzdrygnęła się, słysząc odgłos klucza przekręcanego w zamku. W ciągu ostatnich trzech miesięcy ten dźwięk oznaczał, że zaraz zacznie się nowe przesłuchanie. Kilka dni temu usłyszała go po raz ostatni.

Kiedy przed trzema z górą miesiącami wpychali ją do samochodu UB pod pocztą w Lublinie, usłyszała wewnętrzny głos: „Aresztują cię w Zwiastowanie, wyjdziesz w Nawiedzenie". Wieźli ją koło tego domu, przed którym teraz stała, a którego gospodarz nie wiedział jeszcze, że została aresztowana. Czy jego interwencja sprawiła, że opuściła celę przy Koszykowej? Być może. Maria była jednak przekonana, że najwięcej w tej sprawie zrobiła Matka Boża. Kiedy opuszczała więzienie, oficer, który ją zwalniał, powiedział: „Nie wiem, czy ma to dla pani jakiekolwiek znaczenie, ale nakaz zwolnienia został podpisany wczoraj". To był drugi dzień lipca – Nawiedzenie. Maryja dotrzymała słowa.

Po krótkim odpoczynku u matki w Warszawie pojechała do Lublina.

Do domu Ojca dotarła wieczorem. Otworzył jej Janek.

– Panienka Marysia! – wykrzyknął.

– Cii, chcę zrobić niespodziankę! – szepnęła konspiracyjnie, kładąc palec na ustach. – Ojciec jest?

– Tak, w zeszłym tygodniu trochę jeździł, był u nas prymas Hlond, razem pojechali do Krasnobrodu. Ale teraz już jest. Pracuje w bibliotece.

Poszła tam. Stał odwrócony plecami.

– Ojcze – powiedziała.

Odwrócił się. Rzuciła mu się w objęcia. Objął jej głowę i przytulił do piersi.

– Marysia, Marysia.

– Mówiłam Ojcu, że nic mi się nie stanie.

– Boże drogi, ależ się martwiliśmy. Siadaj dziecko, mów, kiedy przyjechałaś.

– Dzisiaj. Wypuścili mnie w sobotę. To cud Matki Bożej. I wielka łaska dla mnie.

– Wielka łaska, zaiste, że zostałaś uwolniona.

– Najpierw, że mnie zamknęli. Mogłam dużo apostołować. Także z ubekami. Ojciec miał rację. W każdym tli się płomyk człowieczeństwa.

Przyjrzał się jej uważnie. Trzy miesiące więzienia wyniszczyły ją, ale wewnątrz miała wciąż tę samą energię, którą pamiętał z pierwszych spotkań, jeszcze w czasie okupacji.

– Jak się z tobą obchodzili? – zapytał.

– Czy mnie bili? Nie, i w tym Maryja mnie ocaliła. Uniknęłam też nocnych przesłuchań, choć na początku, zaraz po aresztowaniu, straszyli mnie nimi. Wiedziałam, że to okropne, więc im powiedziałam, że bardzo się cieszę, bo najlepiej się czuję w nocy i wtedy mam najsprawniejszą głowę. Nie wiem, czy to dlatego, lecz ani razu nie brali mnie na noc.

– Będziemy musieli przemyśleć sprawę działalności wśród dziewcząt – powiedział. – W tych warunkach to zbyt wielkie ryzyko.

– Ale Ojciec nie zrezygnuje z opieki nad nami?

– Nigdy, Marysiu. Obiecuję.

– I my Ojca nie opuścimy.

– Wiem. Liczę na to. Co zamierzasz teraz?

– Jak to? Pojadę na Jasną Górę.

A chociaż przez śmierć pasterza nie słabnie w swej mocy więź nadprzyrodzona Kościoła, zespolonego w swej niewidzialnej Głowie najwyższym Pasterzem, Jezusem Chrystusem, to jednak wzrok owiec pilnie wypatruje ludzkiej postaci papieża w Watykanie, a swego biskupa w diecezji, nasłuchując jego głosu / **Stefan Wyszyński**

1948, październik

6

W rezydencji prymasa Polski przy Narbutta zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł sekretarz prymasa ksiądz Antoni Baraniak.

– Słucham.

– Tu Maksencja – usłyszał. – Eminencja prosi, aby przywieźć ceremoniał biskupi, stułę, biret i pierścień.

– Dobrze, niedługo u was będę.

Baraniak ze spuszczoną głową poszedł zebrać potrzebne rzeczy.

Czy to możliwe? Jeszcze kilkanaście dni temu kardynał był w znakomitej formie. Przed tygodniem, w nocy z wtorku na środę, poczuł się źle i od tego czasu zaczęła się gehenna. Na początku wszystko wskazywało na wyrostek robaczkowy. Później stwierdzono niedrożność jelit, lekarze postanowili operować. Jednak z dnia na dzień było gorzej. Prymas właściwie w ogóle nie spał, wciąż wymiotował. Wczoraj sam zadecydował, że pora na ostatnie namaszczenie. Wkrótce do Szpitala Sióstr Elżbietanek, gdzie leżał, miała dotrzeć procesja z Eucharystią. Takie

było jego życzenie: „Niechaj lud Warszawy wie, że kardynał prymas przygotowuje się na śmierć" – powiedział.

– Wszystko przyniosłem, Eminencjo – powiedział, gdy godzinę później stanął przy łóżku chorego.

– Bardzo dobrze, dziękuję – Hlond mówił cicho, był zupełnie wyczerpany. – Przejrzymy ceremonie. Niech ksiądz odczyta ryt przyjęcia ostatnich sakramentów.

Baraniak uczynił to, z trudem opanowując wzruszenie.

– Spowiednik już jest? – zapytał Prymas. Ksiądz Antoni skinął głową.

– Sprzątnijcie to, proszę – szepnął, wskazując na strzykawki i lekarstwa. – Niech teraz wyjdzie stąd wszystko, co doczesne, a wejdzie wieczność.

Biskup Stefan zatrzymał się przed kaplicą i podziwiał przez chwilę tę perełkę architektury zakopiańskiej zaprojektowaną przez Stanisława Witkiewicza. Wyglądała malowniczo na tle strzelistych jodeł i sosen, wśród których gdzieniegdzie złociły się liście buków.

To był jego ostatni spacer przed wyjazdem z Zakopanego. Nic się tu nie zmieniło przez te siedem lat, od tamtego, tak dramatycznie zakończonego pobytu w czasie okupacji. Pewnie dlatego też miał wrażenie, że przebywał tu dokładnie w tym samym czasie co wówczas.

Musiał przyjechać w góry, aby dojść do siebie po operacji wyrostka, której poddał się pod koniec sierpnia. Nie był to odpoczynek pozbawiony trosk. Trzy tygodnie po przyjeździe w góry przyszła wiadomość o śmierci drugiej żony jego ojca. Był jeszcze zbyt słaby, by pojechać na jej pogrzeb. Nie mógł też uczestniczyć w siódmej po okupacji konferencji episkopatu. Jakiś czas potem z Warszawy przyszły wiadomości o problemach zdrowotnych prymasa. Zmartwił się, ale nie sądził, że może to być coś groźnego – sam przecież przeszedł operację wyrostka i wracał do zdrowia.

Spokojnym krokiem udał się w stronę domu urszulanek na Jaszczurówce. Na parkingu przed domem stał samochód – tym razem znajomy. Przyjechali po niego z Lublina. Jutro rano ruszą w drogę powrotną.

Siostra Maksencja przysiadła na krześle obok łóżka prymasa. W ręku trzymała różaniec i odmawiała tajemnice bolesne. Był piątek rano.

Wczoraj wszystko przebiegło zgodnie z życzeniem chorego. Po spowiedzi przyszedł ksiądz z wiatykiem[11] i sakramentem ostatniego namaszczenia. W praktyce kapłańskiej zdarzało się nieraz, że ludzie wracali potem do zdrowia, teraz jednak nic nie wskazywało, że może być lepiej. Sam kardynał zdawał się już pogodzony z rychłym odejściem.

Po ceremonii długo błogosławił ludzi przechodzących przed otwartymi drzwiami jego pokoju.

– Niczego mi nie żal – powiedział jej, gdy zakończył się trwający ponad pół godziny pochód. – Do nikogo i do niczego się nie przywiązałem, więc odchodzę z radością. Żal mi tylko moich grzechów, bo nie zawsze dopełniałem wszystkiego, co mi Bóg zlecił. Ale ufam i mam nadzieję, że dobry Bóg weźmie mnie za uszy i wciągnie do nieba, bo niejedną dla Niego ofiarę wykonałem i Jego tylko chwały szukałem.

Chciała go pocieszyć, lecz zaczęła płakać.

– Niech siostra nie płacze i pogodzi się z wolą Bożą. Bóg najlepiej wie, co robi. Ja odejdę, przyjdą inni. Będą moje dzieło prowadzili, a może lepiej ode mnie gospodarzyli. Siostro, mam prośbę. Gdyby agonia się przedłużała, niechaj przyjdą klerycy i śpiewają *Miserere*.

Wieczorem przyszli do niego jeszcze pracujący z nim księża. Antoś Baraniak, zawsze wierny, zawsze przy nim – i na tułaczce emigracyjnej, i w ciężkiej pracy w Polsce; Hieronim Goździewicz, Władysław

[11] Wiatyk (łac. viaticum – zaopatrzenie na drogę) – komunia święta podawana choremu znajdującemu się w stanie agonalnym.

Kulczycki, Stasiu Bross. Ten ostatni był szczególnie poruszony. Przed wojną kardynał darzył go wielkim zaufaniem, niestety, z czasem okazało się, że na wyrost. Obaj o tym wiedzieli. Przygarnął go jednak i zaufał powtórnie.

– Chodźcie, chłopcy, podnieście mnie – powiedział, a oni dźwignęli go na łóżku. – *Nil desperandum! Nihil desperandum! Sed victoria, si erit – erit victoria Beatae Mariae Virginis. In hoc certamine, quod certatur inter satanicos conventus et Christum, aliquis eorum, qui ipse disponet. Gratias vobis, benedico vos!*[12]

Tak zakończył się czwartek. Noc była krótka. Siostra czuwała przy chorym do czwartej rano. Po kilku godzinach snu wróciła.

Ktoś zapukał. Maksencja podeszła do drzwi i otworzyła je. Za nimi stali lekarze. Weszli do środka.

– *Laudetur Jesus Christus* (Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus) – przywitali się.

– *In saecula saeculorum. Amen* (Na wieki wieków. Amen) – odpowiedział Hlond i uśmiechnął się blado. – Dzień dobry! Panowie, co wy powiecie po mojej śmierci, na co ja umarłem? Co podacie jako powód mej śmierci?

– Ależ Eminencjo...

– O nie. Umrę. Tu już nie ma ratunku. Dzisiaj jest 22 października, dzień Matki Boskiej szczęśliwej śmierci. *Beati mortui, qui in Domino moriuntur!*[13] Niedługo napiszą: *Die vigesima secunda Octobris Cardinalis Augustus Hlond obiit*[14].

[12] Nie smućcie się, nie rozpaczajcie, bo zwycięstwo, gdy nadejdzie, będzie zwycięstwem Matki Najświętszej. W tej to obecnej walce, która się rozgrywa między szatańskimi zastępami a Chrystusem, oto jeden z tych, który uważał się za powołanego do zwycięskiego boju, zostaje już odwołany i wszystko stanie się tak, jak Bóg sam postanowił. Dziękuję wam, błogosławię was.

[13] Błogosławieni, którzy umierają w Panu.

[14] Dwudziestego drugiego października zmarł kardynał August Hlond.

– Przecież Eminencja taki pogodny?!

– Tak! W obliczu śmierci trzeba być radosnym. Wszystkich nas to spotka. Trzeba śmierć pogodnie przyjmować: ona jest przejściem do lepszego życia. Jest drogą do wieczności. Dziękuję panom za wszystkie zabiegi. Nie mam do nikogo żalu. Bez żalu odchodzę. Bóg zapłać za wszystko.

Stefan odprawił mszę wcześnie rano w przytulnej kaplicy urszulanek na Jaszczurówce. Po niej dłuższy czas spędził w klęczniku.

Dziękuję Ci, Matko, za te półtora miesiąca odpoczynku, za to, że wróciłaś mi zdrowie. Pomóż, bym mógł gorliwiej pracować, służyć, jak Ty służyłaś Twojemu Synowi.

Podniósł się z kolan i poszedł do refektarza, gdzie posilali się już ksiądz Wojciech Olech – kanclerz kurii, i ksiądz Franciszek Trochonowicz z lubelskiej Caritas. Mieli mu towarzyszyć w drodze powrotnej do diecezji.

– Podobno z prymasem nie najlepiej – zauważył Olech.

– Słyszałem, że w niedzielę w czasie mszy radiowej wzywali do modlitwy o jego zdrowie.

– Należy mu się zawsze modlitwa i nigdy jej dosyć, szczególnie że jest prymasem Polski – powiedział Wyszyński. – Możemy dziękować Bogu, że mamy takiego człowieka na tym stanowisku.

– Pius XII dokonał wielkiej zmiany, łącząc Gniezno z Warszawą – do rozmowy włączył się ksiądz Trochonowicz. – Kardynał Hlond przyszedł co prawda do stolicy, ale stał się pasterzem gruzów.

– Wydaje mi się, że sam sugerował to Ojcu Świętemu – powiedział Wyszyński. – W tych czasach prymas musi być blisko bieżących wydarzeń i tych, którzy decydują. A miasto... Ludzie do niego wracają, powoli dźwiga się ze zniszczeń.

– W Lublinie przynajmniej ocalał dom biskupi. W Warszawie cała Starówka zniszczona. Biedny prymas, nawet nie ma godnej rezydencji.

– To nie jest dla niego najważniejsze. Byłem świadkiem, jak cieszył się z powrotu do Polski. Lepiej ubogo w domu niż bogato na obczyźnie – mówił. – Jak wyzdrowieje, przyjdzie czas i na przeprowadzkę do własnego domu – spojrzał na zegarek. – No, trzeba nam się zbierać, jeśli mamy za dnia dotrzeć do Lublina.

Odmówili modlitwę po posiłku. Kilkanaście minut później wsiedli do samochodu.

Hlond skinął na siostrę Maksencję. Zakonnica zbliżyła się do niego.

– Proszę zatelefonować do seminarium i poprosić kleryków, by się modlili za konających – powiedział.

– Ależ oni się modlą o zdrowie.

– Nie! Nie! To byłoby przekreślenie woli Bożej! Przymknął oczy. Twarz mu się rozpogodziła.

– Słyszę śpiew – szepnął. – Już śpiewają. Otwórzcie drzwi, żebym lepiej słyszał.

Siostra spojrzała na niego zdumiona. W pobliżu nie było żadnych kleryków. Seminarium znajdowało się przy Krakowskim Przedmieściu, kilka kilometrów od Szpitala Sióstr Elżbietanek. Potem dowie się, że o tej porze klerycy rzeczywiście śpiewali psalm *Miserere*.

Skinął na księdza Baraniaka. Ten nachylił się, niemal dotykając uchem do jego ust.

– Proszę powiedzieć Ojcu Świętemu, że zawsze byłem mu wierny. Listy ma ksiądz przygotowane? – Baraniak skinął głową. Tylko prymas i on wiedzieli, że Hlond napisał do papieża, kto powinien zostać jego następcą – *Miserere mei, Deus* (Zmiłuj się nade mną, Boże).

Zmierzchało już, gdy stanęli przed Pałacem Biskupim w Lublinie. Wyszyński miał wrażenie, że ta droga – długa i męcząca – pozbawiła go wszystkich sił, które odzyskał w czasie półtoramiesięcznego wypoczynku.

Janek otworzył im drzwi. Wyglądał na zafrasowanego.

– *Laudetur Iesus Christus* – powiedział, a zaraz potem dodał: – Ksiądz prymas umarł dziś rano. Przed chwilą przyszła wiadomość.

Wyszyński przeżegnał się. Przez dłuższą chwilę stał w milczeniu. Tego wieczoru zapisał:

Tak często radowałem się myślą, że w niezwykle trudnej sytuacji Kościoła w Polsce błogosławieństwem jest jego Sternik, pewną dłonią prowadzący poprzez męki. Człowiek czuł się dziwnie spokojny w pobliżu prymasa Hlonda.

A teraz coś się zawaliło. Runął mur oporowy. Kto teraz będzie antemurale[15]*? Po cóż to pytanie! Kardynał Hlond żyje!*

1948, listopad

7

Gdy wychodził z pociągu, przeniknęło go dojmujące zimno. Listopadowe poranki nie należą do najprzyjemniejszych, a świt po całej nocy spędzonej w niewygodnej kuszetce był jeszcze bardziej przykry. Dworzec tonął w ciemnościach, nieliczne lampy rzucały blade światło na perony, na których kręciło się trochę ludzi.

– No, księże Wojciechu, poszukajmy jakiegoś transportu – powiedział do towarzyszącego mu kanclerza.

[15] przedmurzem.

– Ma czekać samochód z kurii – odpowiedział Olech. – O, jest!

Kierowca usłużnie wziął od nich bagaże, a oni usadowili się na tylnym siedzeniu. Ruszyli w kierunku Pałacu Biskupiego na Franciszkańskiej.

Biskup Wyszyński patrzył na budzące się do życia miasto. Kraków niemal nie doznał uszczerbku w wyniku działań wojennych. Ocalały zabytkowe kościoły, Stare Miasto, Wawel. Inaczej niż w Warszawie.

Dokładnie dwa tygodnie temu szedł w kondukcie pogrzebowym kardynała Hlonda. Podążali wśród gruzów – z kościoła pokarmelitańskiego przy Krakowskim Przedmieściu, Miodową do Długiej, potem Freta i Rynek na Starówce. Martwa stolica ożyła, wychodząc na spotkanie zmarłego pasterza. Hlond przed śmiercią życzył sobie, aby pochować go „gdziekolwiek", a potem, po odbudowaniu katedry, przenieść ciało do jej podziemi. Chciał być pochowany w Warszawie jako pierwszy prymas będący jednocześnie biskupem tego miasta. Zdecydowano, że od razu spocznie w katedrze, którą z jego inicjatywy odbudowywano w stylu gotyckim. Na razie zrekonstruowano tylko fasadę.

Wyszyński z trudem przetrwał uroczystość pogrzebową. Z jeszcze większym wysiłkiem udał się po południu na posiedzenie biskupów do seminarium. Był strasznie słaby. Skutki operacji dawały o sobie znać, wszystkie siły nagromadzone w czasie wypoczynku w Zakopanem jakby z niego wyparowały. W czasie tamtego posiedzenia biskupi postanowili, że spotkają się w Krakowie, u kardynała Sapiehy, aby zaproponować papieżowi kandydata na następcę zmarłego.

Samochód minął okazały gotycki kościół Franciszkanów i skręcił w bramę, przez którą wjechali na dziedziniec kurii.

Trzęśli się z zimna, doskwierały im głód i pragnienie. Na śniadanie będą jednak musieli jeszcze poczekać. Przepisy liturgiczne nakazywały ścisły post od północy poprzedzającej przyjęcie komunii.

Dyżurny kleryk zaprowadził biskupa Stefana do zakrystii przy kaplicy. Szczęśliwie nie musiał zbyt długo czekać na swoją kolej, by odprawić cichą mszę. Sprawował ją w intencji matki. Dziś było święto Matki Bożej Ostrobramskiej, którą Julianna gorliwie czciła. Jego tata miał wielkie nabożeństwo do Matki Bożej Częstochowskiej, mama – do tej z Ostrej Bramy. Ojciec jeździł na Jasną Górę, matka do Wilna. Potem wymieniali się wrażeniami i spierali się o to, która jest skuteczniejsza: czy Ta, „co w Ostrej świeci Bramie", czy ta, co „Jasnej broni Częstochowy".

Nad jego łóżkiem wisiały obrazy jednej i drugiej. Jako dziecko nieraz zastanawiał się, dlaczego jedna jest czarna, a druga biała.

W miarę dorastania zaczął odkrywać, że jest znacznie więcej wizerunków Maryi, więcej jej sanktuariów i wielkie bogactwo tytułów, którymi została obdarzona. Był to dla niego dowód na bogactwo Jej ludzkiej osobowości i tak wielu przymiotów, jakimi została obdarzona przez Boga. Dziś czczona była jako Matka Boża Miłosierdzia.

– Ekscelencje, przed nami dzisiaj tylko jeden punkt obrad – kardynał Adam Stefan Sapieha mimo swoich osiemdziesięciu jeden lat wyglądał bardzo rześko. Stał u szczytu długiego stołu, przy którym siedzieli biskupi z całej Polski. Po śmierci Hlonda był jedynym w Polsce kardynałem i bez wątpienia największym autorytetem w gronie episkopatu. – Proszę o opinie, kogo z naszego grona powinniśmy wskazać Ojcu Świętemu jako kandydata na stolice w Gnieźnie i w Warszawie.

– Za pozwoleniem Eminencji – odezwał się arcybiskup Walenty Dymek z Poznania. – Najpierw powinniśmy się zastanowić, czy będzie to jedna kandydatura czy dwie. Chodzi o rzecz kluczową – czy Gniezno ma nadal pozostać złączone unią z Warszawą, czy też należałoby rozdzielić stolicę prymasów od stolicy archidiecezji warszawskiej.

– Kardynał Hlond zabiegał u Ojca Świętego o połączenie Gniezna i Warszawy – głos zabrał biskup Michał Klepacz z Łodzi. – W obecnej

sytuacji Kościoła w Polsce konieczne jest, aby prymas rezydował w stolicy. Pierwszy spośród biskupów musi być w centrum życia kraju.

– Stoimy wobec możliwości ostatecznego rozwiązania sporu, który toczy się jeszcze od czasów przedwojennych – argumentował Dymek. – Pamiętamy wszyscy, że w czasach niewoli narodowej i rozbicia Polski między trzech zaborców arcybiskup Warszawy używał tytułu „Prymasa Królestwa Polskiego". Nastąpiło rozmazanie jakże ważnej funkcji prymasa, będącego za czasów Pierwszej Rzeczypospolitej nie tylko głową Kościoła w Polsce, ale również interreksem w czasie między elekcją królów. Podkopana została rola prawdziwego prymasa, łączącego urząd arcybiskupa Gniezna i Poznania. Pamiętamy z czasów przedwojennych gorszący spór między Warszawą a Poznaniem o to, któremu z biskupów przysługuje tytuł prymasa. Przyszła wojna i położyła temu tymczasowo kres. Rozwiązanie wprowadzone obecnie – unia Warszawy z Gnieznem i odłączenie Poznania – działa zaledwie od kilku lat, ale działa niezbyt sprawnie. Jak biskup Warszawy może się troszczyć o Gniezno, leżące tak blisko Poznania?

Wielu biskupów, a właściwie znaczna ich większość, kiwało głowami, przyznając słuszność mówcy.

– A co powiedziałby nam ksiądz biskup z Lublina? – zapytał Sapieha. – Ksiądz biskup jest najmłodszy w naszym gronie, patrzy na sprawę być może w sposób bardziej przyszłościowy.

Wyszyński wstał. Nie był już tak onieśmielony jak na pierwszych konferencjach episkopatu, pewnie też i dlatego że prymas Hlond często angażował go do różnych zadań. Z pewnym wzruszeniem wspomniał poprzednie zgromadzenia biskupów pod przewodnictwem kardynała. Nieraz omawiano na nich dokumenty przygotowywane przez młodego biskupa z Lublina na zlecenie Hlonda. Przeważnie dotyczyły one problematyki społecznej, przeważnie były mocno dyskutowane i zmieniane i... nigdy nie ujrzały światła dziennego. Hlond

domyślał się, że była to szkoła pokory dla Wyszyńskiego. Kiedyś – w tym samym miejscu, w Pałacu Biskupim w Krakowie – po długiej debacie zapytał go: „Czy biskup lubelski poznaje swój projekt?". „Przyznaję się do przecinków i kropek" – odparł Wyszyński, budząc rozbawienie przewodniczącego. Teraz na miejscu, z którego wtedy mówił do niego Hlond, siedział leciwy krakowski kardynał.

– Eminencjo, Ekscelencje – zaczął. – Jako odpowiedzialni za dobro Kościoła i jego misję duszpasterską powinniśmy wziąć pod uwagę przede wszystkim ten ostatni wzgląd. Od dwóch z górą lat jestem pasterzem diecezji lubelskiej i jak dotąd udało mi się zwizytować zaledwie jedną trzecią parafii, a zapewniam, że nie czynię tego rzadko. Widzę, jak ogromne znaczenie ma dla kleru i dla wiernych bliski kontakt z biskupem, szczególnie w tych czasach gdy na skutek wojny ludzie cierpią nie tylko z powodu braków materialnych, ale i ogromnego spustoszenia moralnego. Biskup musi być blisko swojego ludu i swoich księży, tak jak ojciec musi być blisko rodziny. Gdy brak ojca, rodzina marnieje, rozmywają się zasady, które stanowią o jej kośćcu moralnym i jej zdrowiu. Nie muszę mówić w tym gronie, jak ogromne spustoszenie w polskich rodzinach poczynił brak mężczyzn – walczących na frontach, w konspiracji, wywożonych na roboty. Owszem, mamy heroiczne kobiety i matki, jednak pozbawione męskiego wsparcia, często nie są w stanie podołać ciężarom wychowania. Widzimy na własne oczy, jak postępuje demoralizacja młodzieży. Wiemy dobrze, że Kościół stoi rodziną i Kościół sam jest po trosze jak rodzina, a biskup jak ojciec. Obecna sytuacja jest taka, że Warszawa i Gniezno mają jednego ojca, a są oddalone od siebie o 300 kilometrów. Świętej pamięci kardynał prymas podjął się zadania heroicznego, a do tego, z powodu zerwania konkordatu i braku nuncjusza, doszło wykonywanie obowiązków specjalnego legata Ojca Świętego. Jestem zdania,

że to właśnie ta ogromna praca wtrąciła go do grobu. Dlatego opowiadałbym się za rozdzieleniem obu diecezji.

Liczni biskupi nie kryli zadowolenia. Dobrze mówi ten Wyszyński. Widać, że jeszcze idealista, życie nauczy go w przyszłości, że nie wszystko jest takie piękne jak obraz, który nakreślił przed chwilą, ale – fakt – głowę ma nie od parady. Zaskoczyło ich trochę, że nie bronił linii Hlonda, którego przecież był pupilem, ale to może i lepiej – potrafi być niezależny.

– Głosujmy zatem – zaproponował Sapieha. – Kto jest za rozdzieleniem Gniezna i Warszawy?

Nie trzeba było liczyć głosów, aby stwierdzić, że większość głosuje za tym rozwiązaniem.

– To teraz sprawa kandydatur. Kogo przedstawimy Ojcu Świętemu na stolicę w Gnieźnie?

Biskupi spojrzeli na Walentego Dymka. Głosowanie potwierdziło wybór.

– A w Warszawie?

Wyszyński wzdrygnął się, widząc utkwione w nim spojrzenia.

– Biskup lubelski? Kto jest za? Znowu uniosła się większość rąk.

Nie myślałem, że wypadnie mi pożegnać Lublin po raz trzeci w swoim życiu, tym razem prawdopodobnie ostatecznie. Ale jestem tylko Bożym chłopcem na posyłki / **Stefan Wyszyński**

8

Kardynał Sapieha sięgnął do sterty gazet leżących na jego biurku. Nie miał ostatnio zbyt dużo czasu na lekturę – okres Bożego Narodzenia należał do najpracowitszych. U progu nowego roku postanowił nadrobić zaległości. A ciągle coś się działo. Tuż przed Bożym Narodzeniem skończył się w Warszawie Kongres Zjednoczeniowy PPR i PPS. Nowe ugrupowanie nazwało się Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. Sapieha nie miał złudzeń, co to oznacza. Popierani przez Sowietów komuniści robili porządek u siebie. Po rozprawieniu się z legalną opozycją w postaci Mikołajczykowskiego PSL-u zabrali się do ostatecznego skupienia władzy w swoim ręku. Przed wojną Polska Partia Socjalistyczna miała stosunkowo spore poparcie społeczeństwa. Nic dziwnego, skoro hasła równości społecznej łączyła z przywiązaniem do niepodległości Polski i respektowała porządek demokratyczny. Komuniści nie akceptowali ani jednego, ani drugiego. Nadzieję widzieli w Związku Radzieckim i opartej na użyciu siły rewolucji, która miała doprowadzić do zmiany władzy. Rewolucja została przeprowadzona – co prawda, nie przez proletariat, lecz przez żołnierzy Armii Czerwonej, NKWD i rodzimą bezpiekę, która bezlitośnie tropiła i wtrącała do więzień prawdziwych i urojonych przeciwników nowego wspaniałego świata.

Polska Partia Socjalistyczna od dłuższego czasu była konsekwentnie czyszczona z osób, do których komuniści nie mieli zaufania. Kongres zjednoczeniowy stał się formalnością, ostatnim gwoździem do trumny, w której pogrzebane zostały nadzieje na jakikolwiek przejaw wolności w Polsce.

Teraz cała siła uderzenia władzy zostanie skierowana na Kościół. Że też Hlond musiał umrzeć. Sapieha powiedział niedawno, że prymas zrobił w życiu dwa błędy: był nieobecny w Polsce w czasie okupacji i zbyt wcześnie umarł.

Ktoś zapukał.

– Tak?

Wszedł sekretarz.

– Jest już ksiądz biskup lubelski – powiedział.

– Prosić.

Wyszyński przyjechał w sprawie – jak powiedział przez telefon – niecierpiącej zwłoki. Książę wstał zza biurka i wyszedł na spotkanie gościa.

– *Laudetur Iesus Christus* – przywitał się Wyszyński. Źle wyglądał.

Czy to tylko z powodu nocy spędzonej w pociągu?

– *In saecula saeculorum*.

– Biskup Klepacz przywiózł z Rzymu bullę nominacyjną. Ojciec Święty mianował mnie arcybiskupem Warszawy i Gniezna – mówił to takim tonem, jakby informował o wydanym na siebie wyroku śmierci. – Kładzie to kres naszym poczynaniom w kierunku rozdzielenia Gniezna i Warszawy. Bulla nosi datę 16 listopada. Ojciec Święty podjął decyzję w dniu, gdy spotkaliśmy się tutaj, aby omówić tę sprawę.

– Nie czekał zatem na naszą opinię. Widać musiał mieć już wyrobione zdanie. Czyżby prymas przekazał mu jakieś sugestie przed śmiercią? W każdym razie wskazał na księdza biskupa podobnie jak nasze grono – tyle że w trochę innej roli – następcy kardynała Hlonda i prymasa Polski.

Twarz Wyszyńskiego stała się jeszcze smutniejsza. Zrobił kilka kroków w kierunku Sapiehy i niespodziewanie runął na kolana.

– Księże kardynale, ja błagam, jeśli Eminencja może to uczynić, proszę oddalić ode mnie ten ciężar.

– Niechże ksiądz biskup wstanie – Sapieha ujął go pod łokcie.

Wyszyński podniósł się szybko, lecz nadal patrzył błagalnie na pooraną zmarszczkami twarz Księcia. Ten przypatrywał się uważnie swojemu gościowi. Współczuł mu głęboko. Nie tylko oni dwaj byli zdania, że Kościołowi potrzeba było silnego człowieka, który mógłby stawić czoło tak trudnej sytuacji. Do tego nie wystarczyło noszenie tytułu prymasa – trzeba było jeszcze cieszyć się dużym autorytetem wśród innych biskupów. Ten warunek spełniali tylko dwaj hierarchowie: Sapieha i Hlond. Ale Hlond nie musiał się już o nic martwić, Sapieha zaś przekroczył osiemdziesiąty rok życia. Wyszyński był z kolei najmłodszym biskupem w Polsce. W jaki sposób zapewni tak ważną teraz jedność episkopatu? A będzie ona niewątpliwie narażona na ataki. Przed kilkoma miesiącami władze odmówiły paszportów na wyjazd do Rzymu kilku biskupom, dwóch wypuściły.

„Ukarani" zostali ci, których uważano za wrogi element, „wyróżniono" tych, którzy uchodzili za ugodowych. Sapieha nie podejrzewał komunistów o znajomość łaciny, ale z pewnością zasadę *divide et impera*[16] potrafili stosować równie skutecznie jak starożytni Rzymianie.

A jednak... Ten młody biskup dał się poznać jako sprawny pasterz bardzo zniszczonej przez wojnę diecezji. Pracował wśród robotników i rozumiał ich, czego nie można było powiedzieć o innych członkach episkopatu. I doskonale znał się na marksizmie – a znajomość wroga jest bezcenna na polu walki.

– Ojcu Świętemu się nie odmawia – powiedział Książę.

Ojcu Świętemu się nie odmawia. Dalekim echem odezwały się w pamięci Wyszyńskiego te same słowa usłyszane przed niespełna trzema laty z ust kardynała Hlonda. Czy to przypadek? Bóg mówi także przez innych ludzi.

[16] Dziel i rządź.

Uważałem,
że to jedyny
sposób,

aby ratować
Polskę.

W tym wypadku przemówił do niego ustami dwóch kardynałów należących do nielicznego grona, spośród którego był wybierany następca Piotra.

– Dobrze więc – w jego głosie zabrzmiała rezygnacja.

– Jak zdrowie księdza biskupa? – z troską zapytał Sapieha. – Zdaje się, że ostatnio trochę ksiądz niedomagał?

– Miałem operację wyrostka, potem odbywałem rekonwalescencję. Ale to nic nowego. Prawdę rzekłszy, kiedy szedłem do święceń, byłem w jeszcze gorszym stanie. Modliłem się, żeby Bóg pozwolił mi odprawić choć kilka mszy. Pozwolił na znacznie więcej.

– W każdym razie spoczywa na mnie teraz obowiązek wzmocnienia nowego prymasa. Chodźmy na obiad.

Przeszli do refektarza. Kilku księży pracujących w kurii czekało już przy stole. Wstali na widok wchodzących.

– Przedstawiam księżom prymasa Polski – powiedział Sapieha. – Ojciec Święty mianował nim biskupa lubelskiego.

Zabrzmiały nieśmiałe oklaski. Tylko ktoś z wielką wyobraźnią potrafiłby dostrzec na tych twarzach cień radości. Niektórzy z nich pamiętali jeszcze przedwojenne kontrowersje związane z tym księdzem o radykalnych poglądach na sprawy społeczne. Wówczas na żądanie niezadowolonych ziemian biskup Radoński zakazał Wyszyńskiemu okresowo głoszenia kazań. I teraz głową Kościoła w Polsce miał zostać ktoś taki?

Obiad przypominał raczej stypę niż radosne świętowanie. Wyszyński miał wrażenie, że dopuścił się jakiegoś przestępstwa.

9

– Która godzina?

– Dochodzi szósta.

– Pospiesz się, kurwa, bo nie zdążymy.

Czterech mężczyzn zdjęło z półciężarowego samochodu grubą stalową linę. Rozciągnęli ją w poprzek drogi. Według informacji dostarczonych im z Gniezna wkrótce miał się na niej pojawić samochód wiozący nowego prymasa. Od pięciu dni odbywał on triumfalną podróż po północno-zachodniej Polsce. Mimo mrozu i zamieci śnieżnych wszędzie witały go tłumy. Owszem, podjęto różne środki zapobiegawcze, nie wypuszczano dzieci ze szkół, wielokrotnie zatrzymywano samochód Wyszyńskiego, kontrolowano dokumenty jego pasażerów, a w Solcu, gdy przemawiał na Rynku, wypuszczono samochody ciężarowe, które rykiem silników zagłuszały jego słowa. Kiedy jechał z Solca do Bydgoszczy, wóz milicyjny co jakiś czas wyprzedzał jego samochód, a potem wracał i znowu powtarzał manewr. Skończyło się tragicznie – milicjanci wpadli na drzewo. Były ofiary.

– Dostaniesz za swoje, przeklęty klecho – mruczał jeden z ubeków, oplatając linę wokół drzewa.

Pozostali naciągnęli ją na wysokości kabiny samochodu i umocowali do drugiego drzewa. Sposób ten stosowali partyzanci w czasie okupacji. Skutki bywały straszliwe: siedzący w samochodzie ludzie byli przecinani wpół lub pojazd lądował w rowie.

– Sprawdźcie mocowania – polecił dowódca, zacierając zgrabiałe z zimna ręce.

Jeden z członków oddziału nacisnął linę. Stawiała opór.

– W porządku, szefie – powiedział. Wsiedli do samochodu i odjechali.

– Niech żyje Prymas! Niech żyje! – mieszkańcy Witkowa krzyczeli entuzjastycznie, gdy nowy arcybiskup Gniezna wchodził na mównicę wzniesioną na miejscowym Rynku.

– No, panowie, pospieszmy się. Jeśli mamy zdążyć, to musimy już jechać – dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku zachęcał swoich kolegów stojących w ostatnich rzędach tłumu.

Wspinali się na palce ciekawi tego człowieka, który niedawno został ich biskupem. Przyjechali tu w kilka osób – grupa gnieźnieńskich kupców, którzy postanowili zobaczyć, jak Wyszyński będzie przyjmowany w mniejszych miejscowościach. Gniezno przywitało go godnie. Mimo siarczystego mrozu ludzie wylegli gromadnie na ulice, a po uroczystej mszy w katedrze długo trwali na placu przed domem arcybiskupów, aby wysłuchać przemówienia Prymasa z balkonu.

Kupcy opuścili witkowski Rynek i wsiedli do ciężarówki, którą tu przyjechali. Zanim samochód Wyszyńskiego opuści miasteczko, oni będą już na drodze do Wrześni, gdzie jak słyszeli, miał przyjechać tego samego wieczoru.

– Młody ten nasz Prymas, ale chyba dobry z niego człowiek – zauważył jeden z pasażerów ciężarówki.

– Widać musi być wartościowy, skoro papież go mianował – dodał drugi.

– Też palnąłeś. A co papieża obchodzi Polska? Nie pamiętasz, co napisał o Ziemiach Odzyskanych? Przecież on popiera tych cholernych szwabów.

Przed niespełna rokiem Pius XII napisał list do biskupów niemieckich, w którym skrytykował wysiedlenie Niemców z terenów przyznanych po wojnie Polsce. „Czyż jest może nierealne – pisał – jeśli my życzymy sobie i wyrażamy nadzieję, że wszyscy zainteresowani mogliby spokojniej rozpatrzyć to, co zostało dokonane, i cofnąć w tej mierze, w jakiej da się to jeszcze cofnąć?”

Na tej wypowiedzi komuniści zbudowali kampanię propagandową, oskarżając papieża o chęć odebrania Polsce prawa do ziem zachodnich. Organizowano masówki w zakładach pracy, rozdawano ulotki, a partyjni aktywiści śpiewali:

Wara od Odry, od Nysy wara, od naszych granic precz,
Ziemia to nasza, piastowska, stara, Zachód to nasza rzecz.
Nie papież nam te ziemie dał, nie Śląsk biskupów był,
Ziemię tę polski żołnierz krwią zlał, na niej praojciec żył.

– Wierzysz komuchom? – zaoponował trzeci z kupców. – Nie pamiętasz, co mówił świętej pamięci prymas Hlond? Przecież oni kłamią w żywe oczy!

– Prymas Hlond był wielkim człowiekiem i prawdziwym patriotą, ale on był tu, a papież jest daleko stąd.

– Hlond miał jednak wielki autorytet. Szkoda, że tak szybko umarł. Ciężkie zadanie stoi przed tym Wyszyńskim. Skąd on się w ogóle wziął?

– Przez ostatnie dwa lata był biskupem w Lublinie. A przed wojną profesorem w seminarium we Włocławku.

– Profesora nam przysyłają, na takie czasy. Jakiś praktyk by się przydał. W każdym razie jedno jest pewne: za wiele w Gnieźnie nie będziemy go oglądać. Będzie siedział w tej swojej Warszawie, a my tu będziemy klepać starą bidę.

– Franek, spójrz – kierowca wypatrywał czegoś przez usuwające śnieg z szyby wycieraczki – Czy mi się zdaje, czy tam coś jest na drodze?

– Ja nic nie widzę, nie, o choleraa!

Kierowca nacisnął pedał hamulca, ale było już za późno. Poczuli mocne uderzenie i metaliczny dźwięk stali. Ciężarówką zarzuciło,

szczęśliwie jednak nie jechali na tyle szybko, aby pojazd wpadł do rowu. Trwało to kilka sekund.

– Co to było? – zapytał Franek, podnosząc się z podłogi.

– Wyjdźmy sprawdzić.

Reflektory ciężarówki oświetlały pomalowaną na czarno linę. Mimo solidnego uderzenia trzymała się mocno.

– O, niech mnie! Mordercy.

– Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby na nią wpadł osobowy? Ścięło by ich jak kosą.

– Jak myślicie, dla kogo to?

Spojrzeli po sobie. Jeśli oni słyszeli, że Prymas ma jechać na Wrześnię, to UB słyszało to także.

– Wracajmy do Gniezna. Trzeba powiadomić kurię.

10

Emilia spojrzała na umieszczony za oknem termometr.

– Minus dziesięć – powiedziała głośno. – Weź ciepłe palto.

– Minus dziesięć? Przecież to tropiki – roześmiał się jej mąż Antoni. – Minus trzydzieści albo czterdzieści – to jest prawdziwy mróz.

– Nie dworuj waść sobie – pogroziła mu palcem.

– Nie dałem się ruskiemu mrozowi, nie dam się i naszemu – Antoni był w doskonałym humorze. – A nawet jak trochę podmarznę, to przecież przywrócisz mnie do życia.

Spojrzał jej w oczy. Od trzech lat codziennie dziękował Bogu, że pozwolił mu powrócić do żony i syna z syberyjskiej zsyłki. W grudniu czterdziestego czwartego, dokładnie ósmego, w święto Niepokalanego Poczęcia, zostali oboje aresztowani przez NKWD. Żonę po dwóch

miesiącach wypuszczono, on znalazł się w pociągu towarowym jadącym na wschód. Te dwa tygodnie zawsze będzie wspominał jako najgorsze w życiu. Do dziś nie rozumiał, jak wytrzymał podróż w nieogrzewanym wagonie przy trzaskającym mrozie i następne dziewięć miesięcy w obozie pracy w Stalinogorsku. Wrócił we wrześniu czterdziestego piątego. Odnalazł żonę i dziecko tam, gdzie ich zostawił – w Otwocku. Krótko potem przenieśli się do ocalałego z powstania mieszkania rodziny w Warszawie. Od trzech lat oboje pracowali tu jako lekarze.

– W każdym razie Julka ubiorę ciepło – zapowiedziała Emilia.

– Żałuj, że nie możesz pójść z nami, mówię ci, to historyczny dzień.

– Miluś, przecież wiesz, że mam dyżur.

– Specjalnie ci go wlepili, żebyś nie mógł pójść na ingres. Znam ich. To nic, opowiem ci.

Antoni sięgnął po palto.

– To ja już pójdę – powiedział.

– My też będziemy się szykować. Uważaj na siebie.

Po wyjściu męża zabrała się do ubierania Julka. Nie wyobrażała sobie, żeby nie pójść na ingres nowego arcybiskupa. W to niedzielne popołudnie Stefan Wyszyński miał objąć oficjalnie rządy w Warszawie. Kim jest ten człowiek? Jak poradzi sobie w coraz bardziej dramatycznej sytuacji Kościoła w Polsce? Bo nie miała najmniejszej wątpliwości, że staje się ona coraz gorsza. Nie było dnia, aby nie wydarzyło się coś złego. Od kilku miesięcy nie mogli już z mężem czytać „Tygodnika Warszawskiego", katolickiego czasopisma, które zostało zamknięte latem czterdziestego ósmego. Jego redaktorzy zostali aresztowani przez UB. Likwidowano szkoły prowadzone przez zakony, wyrzucano katechetów ze szkół państwowych. Pogarszały się stosunki w pracy, także w służbie zdrowia. Coraz mniej liczyła się jakość pracy lekarza, coraz bardziej jego przynależność partyjna. Drogę do awansu otwierało

zapisanie się do PZPR, przyznawanie się do przekonań religijnych tę drogę zamykało.

Nagła śmierć prymasa Hlonda wstrząsnęła nią. Szczególnie w tak trudnej sytuacji Kościół potrzebował dobrego pasterza. Czym kierował się papież, wybierając na następcę Hlonda tego młodego biskupa z Lublina? Chyba nie tylko ona zadawała sobie to pytanie. Idąc Krakowskim Przedmieściem w stronę kościoła Świętego Józefa, widziała setki ludzi zmierzających w tym samym kierunku. Im była bliżej, tym tłum gęstniał. Jednak ludzie przepuszczali ją, widząc, że idzie z kilkuletnim dzieckiem, tak że udało się jej przecisnąć i ustawić zaraz przy ośnieżonej ulicy, którą miał przechodzić orszak z nowym prymasem. Większość kamienic była zniszczona i, podobnie jak w czasie pogrzebu Hlonda, gruzy oblepili gapie. Tyle że teraz ulica, drzewa i część ruin były otulone grubą warstwą białego puchu. Wyglądało to surrealistycznie – piękno przyrody i zniszczenia. Emilia uświadomiła sobie, że ten dziwny paradoks był mocno zakorzeniony w jej osobistej historii. Zawsze fascynował ją cud życia – dlatego postanowiła zostać ginekologiem. Z cudem tym stykała się jednak w okolicznościach pełnych grozy. Tak było we wrześniu trzydziestego dziewiątego, gdy znalazła się w szpitalu polowym w Lubartowie pod Lublinem. Przywieziono ciężarną kobietę do amputacji nogi. Przed operacją lekarze chcieli dokonać aborcji. Emilia sprzeciwiła się i dziecko zostało uratowane. Tak też było tamtej dramatycznej nocy, 8 grudnia 1944 roku, kiedy ich dom został otoczony przez żołnierzy NKWD, a do środka wszedł kapitan Józef Światło. Właśnie przeprowadzał rewizję, kiedy przybiegł jakiś mężczyzna, prosząc ją do rodzącej żony. Poszła tam pod eskortą czterech żołnierzy, udało się jej zostać sam na sam z kobietą i przekazać gryps ostrzegający o „kotle".

Tak rozmyślając, oczekiwała na pojawienie się Prymasa.

– Mamo, zimno mi – poskarżył się Julek.

Od strony kościoła Świętej Anny dochodziły coraz głośniejsze okrzyki. Zobaczyła czoło procesji.

– Już niedługo, synku.

Pochód zbliżał się. W pewnym momencie dostrzegła go. Dość wysoki, okryty płaszczem, na głowie miał czerwony biret. Szedł powoli, co chwila unosząc rękę do błogosławieństwa. Urzekła ją jego twarz pełna łagodnej szlachetności.

– To prawdziwy książę Kościoła! – nie mogła powstrzymać się od okrzyku.

– Książę, książę, nigdy nie widziałem prawdziwego księcia! – krzyknął Julek, wyciągając do niej ręce.

Dźwignęła go, choć kosztowało ją to sporo wysiłku. W końcu miał już sześć lat.

W tym momencie Wyszyński przeszedł obok nich. Po chwili znalazł się na placu przed kościołem, gdzie wiwatujące tłumy zatarasowały wejście. Stanął spokojnie i czekał.

Zobaczył tę kobietę z dzieckiem wśród tysięcy ludzi wiwatujących na jego cześć. Przeniósł wzrok dalej, na zburzoną kamienicę z uczepionymi jej murów ludźmi. Bał się tragicznego wypadku – ktoś mógł spaść albo oberwać oderwaną cegłą. Ale bardziej jeszcze bał się zapomnieć, że ludzki entuzjazm gaśnie równie szybko jak płomień pozbawiony tlenu. Patrząc na zwaliska kamieni, nie mógł nie pomyśleć o triumfalnym wjeździe Jezusa do Jerozolimy w Niedzielę Palmową. „Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą" – powiedział wtedy Pan. Tylko On wiedział, że za kilka dni ci sami ludzie będą wołać: „Na krzyż z nim". Okrzyki ucichną, pozostanie praca i trud. Bóg jednak dozwolił, aby była godzina okrzyków, a po niej nastała cisza. Cisza sprzyja modlitwie i pracy.

Wracał więc do Warszawy. Nigdy nie przepadał za tym miastem, nie mówiąc już o miłości do niego. Ale to właśnie z niej zostanie rozliczony, gdy – nie wiedział kiedy, lecz wiedział na pewno, że to nastąpi – stanie przed Bogiem, aby zdać sprawę ze swojej pracy. Zniknęła Warszawa, którą znał z czasów pierwszej wojny światowej, kiedy chodził tu do szkoły, i ta, którą pamiętał z okresu okupacji. Umierając, przysłała mu swój testament zawarty w dwóch słowach na nadpalonej kartce papieru: „Będziesz miłował".

Inne miejsca były bliskie jego sercu: rodzinna Zuzela, Włocławek, nawet Lublin, wszędzie tam jednak czuł się przechodniem. Teraz było inaczej.

11

– Dziękuję, że ksiądz zechciał mi towarzyszyć – powiedział Prymas, zamykając brewiarz i spoglądając na księdza Baraniaka. Siedzieli w samochodzie zmierzającym z Warszawy do Częstochowy. Na Jasnej Górze Wyszyński miał spędzić najbliższe pięć dni, odprawiając rekolekcje. – Kiedy ksiądz planuje powrót do Warszawy?

– Jutro rano. Czeka nas jeszcze sporo pracy przy przeprowadzce.

Nowy prymas miał zamieszkać w dawnym gmachu nuncjatury przy alei Szucha, która teraz otrzymała nazwę I Armii Wojska Polskiego.

– Cieszę się, że w ostatnim miejscu pracy kardynała Hlonda powstanie parafia pod wezwaniem Świętego Szczepana – powiedział z zadumą Wyszyński. – Bardzo nam jest potrzebna opieka pierwszego męczennika Kościoła.

– A ja się cieszę, że nie będę musiał mieszkać na Narbutta. Wszystko tam przypomina gwałtowną chorobę i śmierć prymasa. Nie spodziewałem się, że tak szybko się to skończy.

– Nikt się nie spodziewał. Ksiądz był z nim bardzo związany...

– Piętnaście lat byłem przy jego boku. Cała okupacja na emigracji, więzienie, powrót do ojczyzny. Wspólne cierpienia bardzo łączą.

– Tym bardziej doceniam, że zechciał ksiądz pozostać przy mnie. Sądzę, że nie czeka księdza łatwiejsza dola.

– Wszystko w ręku Opatrzności.

– I Najświętszej Panienki. Chciałbym, aby po powrocie do Warszawy ksiądz zajął się sprawą mojej pieczęci i herbu. Pragnę, aby znalazły się na nich trzy elementy: w dolnych polach lilie oraz wizerunek ściętej głowy Jana Chrzciciela, patrona katedry warszawskiej, w polu górnym zaś Matka Boska Jasnogórska, Królowa Polski. Ale bez korony.

– Bez korony? Przecież to Królowa.

– Każdy wie, że jest Królową. Ale Polska jest dziś zbyt uboga, aby jej królowa miała chodzić w koronie.

Z oddali zobaczyli znajomą wieżę górującą nad klasztorem Paulinów. Prymas przeżegnał się.

Sub Tuum praesidium...

Chyba nigdzie ta modlitwa nie brzmiała tak wymownie jak tu, w miejscu słynnym z bohaterskiej obrony opisanej przez Sienkiewicza w *Potopie*. Ten „kurnik" – tak miał nazwać klasztor dowódca Szwedów – stawiał zażarty opór i tu czarna passa Polaków odwróciła się. Wyszyński zdawał sobie sprawę, że przyjmując urząd prymasa, stanął na czele innej obrony – tym razem już nie zbrojnej. Czas wojen dobiegał końca. Wyniszczył on fizycznie Polaków. Najlepsi ludzie zginęli lub zapełniali komunistyczne więzienia. Ten los podzieliło duchowieństwo.

Przyjeżdżał na Jasną Górę, aby głęboko przemyśleć drogę, którą zainicjował jego poprzednik. Trzeba było bezwarunkowo wzmocnić szeregi duchowieństwa, zadbać, by przybywało księży. Wszystko jest ważne – i budowa kościołów, i prasa katolicka, i katecheza, ale to jest

najważniejsze. Bez pasterzy owce się rozproszą i poginą. To uważał za priorytet – główny bastion. Wróg też o tym wiedział i pewnie będzie chciał jak najszybciej uderzyć na tę pozycję. Co można zrobić? Nie tylko wybitni stratedzy wojskowi, lecz i mistrzowie życia duchowego radzili, aby walkę prowadzić jak najdalej od głównych umocnień. Trzeba zatem mieć z czego ustępować i trzeba wiedzieć, z czego i kiedy ustąpić można.

Virgo prudentissima
Sedes sapientiae
Auxilium Christianorum
Ora pro nobis[17].

Samochód był już na Rynku Wieluńskim. Po chwili wjeżdżali na górę, by po kolejnych kilkuset metrach skręcić w lewo. Zatrzymali się na dziedzińcu, gdzie czekali ojcowie paulini z generałem i przeorem. Po krótkim przywitaniu poszedł do kaplicy, w której znajdował się obraz Maryi.

◇◇

Nie jestem ci ja ani politykiem, ani dyplomatą, nie jestem działaczem ani reformatorem. Natomiast jestem ojcem waszym duchownym, pasterzem i biskupem dusz waszych, jestem apostołem Jezusa Chrystusa
/ Stefan Wyszyński

[17] Panno Roztropna/ Stolico Mądrości/ Wspomożenie wiernych/ módl się za nami.

12

Maria Okońska zajrzała do torebki, upewniając się, że książka na pewno jest na miejscu. Wychodząc, wstąpiła jeszcze do kaplicy, przyklęknęła przed tabernakulum i spojrzała błagalnie na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Nie miała daleko, przejdzie się. Poza tym było tak ładnie – na drzewach pojawiały się pierwsze pąki, w powietrzu pachniało wiosną. W tym roku Wielkanoc wypadała późno, bo w połowie kwietnia.

Wyszła z rezydencji Prymasa i poszła w kierunku Alej Ujazdowskich. Po kilkunastu minutach zobaczyła budynek, w którym spędziła trzy straszne miesiące.

Zwolniła nieco. Od wczoraj myślała, żeby tu przyjść i porozmawiać z kobietą, która mówiła do niej „moje dziecko". Poprzedniego dnia, w Wielką Środę, uświadomiła sobie, że przed rokiem została aresztowana. Co się dzieje z Julią Brystygierową? Modliła się za nią, zgodnie z obietnicą. Wciąż miała w pamięci zadbaną, inteligentną kobietę o dużej wrażliwości. Czując przemożne ponaglenie do złożenia jej wizyty, Maria postanowiła przynajmniej zapytać Ojca. Po południu zapukała do jego gabinetu.

– Mam prośbę – zaczęła.

– Ja też mam do ciebie prośbę – te słowa zaskoczyły ją i jak się okazało, nie było to zaskoczenie największe. – Dziś jest rocznica twojego aresztowania[18] i chciałem cię prosić, żebyś poszła do pani Brystygierowej.

[18] Maria Okońska została aresztowana w Wielką Środę 1948 roku, czyli 24 marca. W następnym roku Wielka Środa wypadała 13 kwietnia, chodzi więc o rocznicę w sensie liturgicznym (roku kościelnego), a nie czasowym (roku kalendarzowego).

Jej oczy zrobiły się bardzo, bardzo duże. Ułamek sekundy później uśmiechnęła się szeroko.

– Ojcze, ja właśnie w tej sprawie! To mam *placet*[19]?

– Tak. Pójdziesz do niej w moim imieniu. Zaniesiesz jej Nowy Testament i powiesz, że to od Prymasa... I że codziennie się za nią modlę.

Od gmachu MBP dzieliło ją już tylko kilkanaście metrów. Weszła śmiało i zatrzymała się przy strażniku.

– Ja do pani Brystygier – powiedziała – mam do niej osobisty numer telefonu.

Wartownik podał jej aparat. Wykręciła, oczekując z napięciem na znajomy głos po drugiej stronie.

Najchętniej czyta Ewangelię Świętego Mateusza? Tę skierowaną szczególnie do Żydów? Chce się z nim spotkać? To było jeszcze bardziej zaskakujące, choć znając Marię i jej małe szaleństwa, mógł się spodziewać, że wróci z tej rozmowy z czymś niezwykłym...

Prymas Wyszyński spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Ta Godzina. Gdy Maria opowiedziała mu o swojej rozmowie z Julią Brystygier i o propozycji spotkania, niewiele się zastanawiając, wyznaczył dzisiejszy dzień. Wielki Piątek.

Usłyszał silnik samochodu. Wyjrzał przez okno w samą porę, aby zobaczyć elegancką kobietę wysiadającą z auta na rządowych numerach. Kilka minut później witał ją w swoim gabinecie.

– Dziękuję, że Ksiądz Prymas zechciał mnie przyjąć – powiedziała.

– Przyjmuję każdego, kto tego potrzebuje.

– Nie sądziłam, że również wrogów ideologicznych.

– Ja nie mam wrogów.

[19] Placet (łac.) – zgoda, przyzwolenie.

– Jak to, chyba nie chce ksiądz powiedzieć, że należymy do grona przyjaciół.

– Aby mieć wroga, trzeba kogoś za takiego uważać. Ja tak nie myślę. A jeśli ktoś sądzi, że jest moim wrogiem, to już jego sprawa. Napije się pani czegoś?

– Chętnie, herbaty.

Poprosił siostrę Maksencję. Podobnie jak ksiądz Baraniak, zgodziła się zostać po śmierci kardynała Hlonda.

– Siostro, proszę przynieść filiżankę herbaty dla naszego gościa.

– Ksiądz Prymas nie pije? – zapytała Brystygierowa.

– Proszę wybaczyć, ale dziś Wielki Piątek. Post ścisły. Milczeli przez chwilę.

– Chciała się pani ze mną zobaczyć...

– Tak, przyznaję, że wczorajsza wizyta pani Okońskiej zaskoczyła mnie, a jeszcze bardziej jej propozycja, aby spotkać się z księdzem. Pomyślałam, że to dobra okazja – przeciwnicy powinni się poznać. No i wypada podziękować osobiście za prezent.

– Bardzo proszę. Oby służył. Maria mówiła mi, że czytuje pani Ewangelię.

– Taak. Komunista może tam znaleźć wiele inspirujących myśli. Jeśli pominąć te oczywiste bajki o Bogu i cudach, można by powiedzieć, że to pierwsza książka o równości społecznej. Jezus jest otoczony ludźmi z nizin, ubogimi, pomaga pokrzywdzonym, w końcu sam ginie z ręki władców – jak wielu naszych rewolucjonistów.

– Ale On nie stosuje siły.

– I dlatego przegrał. Zginął, a jego uczniowie stworzyli tę bajkę o szczęściu wiecznym, żeby odwieść ludzi od walki o sprawiedliwość społeczną. Bardzo użyteczna historyjka – dzięki niej pokrzywdzeni nie domagali się swoich praw, wierząc, że sprawiedliwości doświadczą po śmierci. W końcu pojawili się Marks, Engels i wreszcie towarzysz

Lenin, którzy otworzyli oczy masom pracującym. Rewolucja przeobraziła Związek Radziecki, a teraz przeobrazi Polskę.

– Kosztem tylu istnień ludzkich?

– Ci ludzie stoją na drodze rewolucji. Ich likwidacja to konieczność. Jestem dumna, że wielu z nich przeszło przez moje ręce. Nie będą już szkodzić. W walce rewolucyjnej nie może być kompromisów. Albo my ich wyeliminujemy, albo oni zatrzymają postęp. Państwo ludowe nie cofnie się na tej drodze.

– Co pani rozumie przez postęp?

– Nie widzi ksiądz zmian? Reforma dała ziemię małorolnym chłopom, dzieci robotników idą na uniwersytety.

– A jednocześnie zmuszacie chłopów do kolektywizacji[20] – wbrew ich woli.

– To następna, wyższa forma gospodarki i przywracania sprawiedliwości społecznej. Marksizm-leninizm naukowo rozpracował reguły postępu ekonomicznego – teraz przyszła pora na ich wprowadzenie.

– I dlatego tak walczycie z Kościołem? Wyrzucacie siostry zakonne ze szpitali, katechetów ze szkół, zamykacie prasę katolicką, aresztujecie księży. A może myśli pani, żeby i mnie zamknąć?

Patrzył na nią poważnie, ale w jego oczach nie dostrzegła strachu.

– To zależy od księdza Prymasa. Jest wielu dobrych księży, którzy popierają demokratyczne przemiany. Niestety, w swej masie kler, nie mówiąc już o biskupach, myśli tylko o tym, jak zatrzymać postęp. Książeczka, którą mi ksiądz dał, opowiada o przeszłości sprzed wieków i pozostaje utopią. Wy dziś twierdzicie, że głosicie naukę Jezusa, ale za plecami trzymacie w ręku nóż i tylko czekacie, kiedy się obrócimy do was tyłem. Wtedy go nam wbijecie.

[20] Kolektywizacja – zazwyczaj przymusowe scalanie indywidualnych gospodarstw rolnych w przedsiębiorstwa rolnicze; w Związku Radzieckim tworzono w ten sposób kołchozy, a w PRL Państwowe Gospodarstwa Rolne (PGR).

Wybuchł śmiechem. Patrzyła na niego zdumiona tym bardziej, im dłużej się śmiał.

– Proszę pani – powiedział w końcu. – Pani nie ma pojęcia, co to jest Kościół i kim są ludzie Kościoła.

– Wiem, aż nazbyt dobrze. Nasz departament ma głęboką orientację w poglądach duchowieństwa.

– Żyję w Kościele od pół wieku i znam go od innej strony. Znam kapłanów męczonych i mordowanych w obozach koncentracyjnych, znam siostry zakonne ofiarnie pracujące w szpitalach, z których ich teraz wyrzucacie, znam wielu ludzi, którzy z narażeniem życia ratowali pani rodaków skazanych przez Hitlera na zagładę. To jest Kościół, który znam i który dzieli los swojego Założyciela – prześladowany, niszczony, jednak żyje.

– Ksiądz też chce zostać męczennikiem?

– To jest łaska i stosunkowo prosta droga do nieba. Czasem trudniej jest żyć i pracować.

– Dziwnie się z księdzem rozmawia. Pójdę już. Mam jeszcze sporo pracy.

Może się mylił, ale nie wyczuł w tym ostatnim słowie zamiłowania.

– Przyłączam się do obietnicy Marii. Będę się za panią modlił.

– Za ateistkę? O co? O nawrócenie?

– O szczęście dla pani i dla pani bliskich. Ma pani rodzinę?

– Syna. Ma dwadzieścia siedem lat. Mąż zmarł przed wojną.

– W takim razie będę się modlił za obu. Za obu... Dla niego Natan wciąż żyje...

Wstała. Wyszyński podał jej rękę. Uścisnęła ją w szybkim, żołnierskim geście. Odwróciła się i skierowała do wyjścia. Patrzył za nią, gdy odchodziła. „Tylko czekacie, żeby nam wbić nóż w plecy" – powtórzył w myśli. Ledwie dostrzegalnym gestem nakreślił za nią znak krzyża.

13

Stanisław Radkiewicz stuknął w spód paczki, z której wysunęło się kilka papierosów. Wyciągnął ją do Luny, a gdy się poczęstowała, sięgnął po złoconą zapalniczkę.

– Jak towarzyszka go ocenia? – zapytał, podając kobiecie ogień. Zaciągnęła się głęboko.

– Na pewno nietuzinkowy – odpowiedziała.

– Twardy? Da się złamać?

– Ech, towarzyszu, złamać da się każdego, ale przecież nie o to tylko chodzi. Pracujemy w innych warunkach niż nasi radzieccy przyjaciele. Z Kościołem w Polsce nie da się zadziałać tak jak z Cerkwią. Musimy się nastawić na długofalowe i przemyślane działanie.

– Działamy już od dawna. I to zgodnie z wytycznymi, które opracowała sama towarzyszka.

Dwa lata wcześniej, w październiku 1947 roku, w MBP odbyła się konferencja, na której Brystygierowa nakreśliła plan walki z Kościołem. Już wtedy była zdania, że duchowieństwo jest najpoważniejszym przeciwnikiem nowego ustroju. Zarzuciła funkcjonariuszom bezpieki mało przemyślane działania sprowadzające się do bezpośrednich represji i aresztowań, co było przeciwskuteczne. „Trudność zwalczania wrogiej działalności kleru – twierdziła – leży w pierwszym rzędzie w tym, że Kościół może prowokacyjnie wykorzystać każdy krok skierowany przeciw niemu, przedstawiając go jako walkę z religią, i w ten sposób mobilizować wierzące masy przeciw rządowi i państwu. Dlatego w wyborze metod walki z klerem jako wrogim czynnikiem politycznym należy kierować się największą ostrożnością". Poleciła kłaść główny nacisk na rozpracowanie Kościoła. „Żeby wroga

móc bić – mówiła – a tym bardziej takiego wroga jak kler, trzeba go znać, rozpracować wszystkie jego kanały, formy i metody działania".

– Towarzyszu generale, my dopiero zaczęliśmy. Dwa lata to nic.

– Wiem, że towarzysz Lebiediew[21] nie jest zadowolony z efektów naszej polityki wyznaniowej.

– I ja to wiem, towarzyszu. Ale uczyniliśmy olbrzymi krok naprzód. Nasze placówki terenowe działają coraz sprawniej, pozyskują kolejnych informatorów, poznają środowisko. Okazuje się, że księża mają masę słabych punktów. Jedni narzekają na biskupów, inni mają skłonność do kieliszka albo do kobiet, albo do pieniędzy. Można z nich sformować całkiem pokaźną grupę. Jeśli uda nam się rozbić duchowieństwo, sukces mamy w kieszeni.

– A nowy prymas? – Radkiewicz wrócił do punktu wyjściowego rozmowy. – Co z nim?

– Najpierw musimy więcej się o nim dowiedzieć. Niestety, z tego, co zebrali towarzysze w Lublinie, nie uda się wiele wykorzystać. Chodziłoby o znalezienie jakiegoś słabego punktu, czegoś, co mogłoby go zmusić do większej uległości. Z pewnością z jednej strony nie jest to człowiek strachliwy, z drugiej strony nie jest to typ dążący do konfrontacji. Kręcą się koło niego te kobiety zwane ósemkami. To fanatyczki religijne, ale może na tym dałoby się zbudować jakąś historię kompromitującą go w oczach duchowieństwa i wiernych. Kler ma w pogardzie kobiety, z pewnością wielu księżom nie będzie się podobać, że Prymas jest z nimi tak blisko. Popracujemy w tym kierunku, to jednak wymaga czasu. Na razie powinniśmy kontynuować nasze działania, tak, nawet zwiększyć nacisk na Kościół. Niech Wyszyński czuje, że wszystko mu się zaczyna walić. Zaraz, zaraz, czy jego poprzednik nie chciał powołania wspólnej komisji rządu i episkopatu w celu rozwiązywania spornych kwestii?

[21] Wiktor Lebiediew był w tym czasie ambasadorem Związku Radzieckiego w Polsce.

– Tak. Minister Wolski powiedział mu, że nie widzi takiej potrzeby i że wystarczy zwyczajne działanie naszej administracji.

– Taka komisja jednak mogłaby się nam teraz przydać. Widzielibyśmy na bieżąco, jak oni reagują na nasze działania. Czy się boją, czy trzeba jeszcze bardziej nacisnąć.

– Podoba mi się wasza sugestia, towarzyszko. Przekażę ją na posiedzeniu rządu.

◇◇

Dlaczego prowadziłem do „Porozumienia"? Byłem od początku i jestem nadal tego zdania, że Polska, a z nią i Kościół święty, zbyt wiele utraciła krwi w czasie okupacji hitlerowskiej, by mogła sobie obecnie pozwolić na dalszy jej upływ. Trzeba za każdą możliwą cenę zatrzymać ten proces duchowego wykrwawiania się, by można było wrócić do normalnego życia, niezbędnego do rozwoju narodu i Kościoła, do życia zwyczajnego, o które tak w Polsce ciągle trudno / **Stefan Wyszyński**

14

– Jak się Eminencja czuje? – zapytał Wyszyński.

– Ciągle mnie o to pytają – z lekkim zniecierpliwieniem odpowiedział Sapieha. – Przynajmniej ksiądz arcybiskup mógłby pofolgować.

Książę nie wyglądał zbyt dobrze, choć i tak czuł się o niebo lepiej niż w październiku ubiegłego roku. Wyszyński przyjechał wtedy do Krakowa na wieść o zawale nestora polskiego episkopatu. Było już tak źle, że Sapieha zażądał ostatniego namaszczenia. Po Krakowie rozeszła się wieść o jego śmierci. Ale zaraz potem nastąpiła gwałtowna poprawa. Prymas uspokojony powrócił do Warszawy, a Książę zaczął zimową rekonwalescencję.

– Pytają, bo się troszczą – powiedział Prymas. – Bo potrzebują Eminencji. Ja też liczę na Księcia.

– Ksiądz arcybiskup dobrze wie, co ma robić.

Prymas milczał przez chwilę. Cenił lojalność Sapiehy, który dawał mu wolność, mimo że nie do końca zgadzał się z jego linią działania. Kiedy przed półtora rokiem minister Wolski zasugerował mu powołanie Komisji Mieszanej Rządu i Episkopatu, zarówno on, jak i Sapieha byli zdania, iż należy podjąć tę propozycję. Krakowski kardynał uważał jednak, że rozmowy trzeba ciągnąć jak najdłużej i nie dążyć do żadnego konkretnego ustalenia, natomiast Wyszyński chciał określenia na piśmie modus vivendi stosunków między państwem a Kościołem. Represje wobec Kościoła stawały się coraz dotkliwsze. Na początku roku 1950 zniszczono powołaną przez Sapiehę w 1945 roku organizację charytatywną Caritas, osadzono w areszcie domowym biskupa chełmińskiego Kazimierza Kowalskiego, który najbardziej starał się o rozpowszechnienie wśród wiernych listu

biskupów protestujących przeciw temu posunięciu. Komuniści nie ukrywali, że zależy im także na podzieleniu duchowieństwa, bardzo aktywizowali tak zwanych księży patriotów, którzy otwarcie występowali za władzą ludową, krytykując zarazem biskupów.

Przed rokiem władze postawiły episkopat wobec alternatywy: albo podpisujecie porozumienie, albo zaczynamy aresztowania biskupów i pokazowe procesy. Na początku marca 1950 roku Sapieha napisał odręczne oświadczenie: *W razie gdybym został aresztowany, stanowczo niniejszym ogłaszam, że wszelkie tam złożone wypowiedzi, prośby i przyznania się są nieprawdziwe. Nawet gdy one byłyby wygłaszane wobec świadków, podpisane, nie są wolne i nie przyjmuję je za swoje.*

Niespełna miesiąc później gościł u siebie Radę Główną Episkopatu z Prymasem. Wyszyński powiadomił wtedy biskupów o zamiarze podpisania porozumienia z komunistami. Wybuchła burza. Także Sapieha był zdania, że młody i niedoświadczony Wyszyński popełnia bardzo poważny błąd. Jeśli już podpisywać, to przynajmniej nie od razu, nie okazywać strachu i słabości, bo wtedy komuniści zobaczą, że to właściwa droga postępowania, i wzmocnią represje. Prymas był odmiennego zdania. Ostatecznie Rada Główna uznała jednak, że porozumienie należy podpisać, dążąc do złagodzenia jego brzmienia.

Zaraz potem Sapieha wyjechał do Rzymu na pielgrzymkę z okazji Roku Jubileuszowego. Tam dowiedział się, że porozumienie zawarto. Od prosekretarza stanu monsignora Domenica Tardiniego usłyszał ostrą krytykę posunięcia nowego Prymasa. *Mi sono addolorato* [Jestem przejęty bólem] – powiedział mu Tardini. Ani on, ani inni kurialiści nie rozumieli i nie akceptowali tego posunięcia. Niektórzy wręcz uważali, że Kościół w Polsce jest od krok od schizmy. W tłumaczeniu na język włoski porozumienie nazywano *accordo* (układem), a to oznaczało, że Wyszyński wszedł w kompetencje Stolicy

Apostolskiej, która jako jedyna ma prawo zawierać akty tej rangi. A jak rozumieć punkt piąty owego *accordo*:

Zasada, że Papież jest miarodajnym i najwyższym autorytetem Kościoła, odnosi się do spraw wiary i moralności oraz jurysdykcji kościelnej, w innych natomiast sprawach Episkopat kieruje się polską racją stanu.

Czy to nie znaczy, że polscy biskupi już nie darzą zaufaniem Ojca Świętego?

Sapieha starał się bronić racji Wyszyńskiego i zapewniał Piusa XII o wierności Kościoła w Polsce, ale widział, że jego argumenty nie trafiły całkiem do przekonania watykańskim dostojnikom. Z cieszących się wolnością Włoch trudno było wczuć się w sytuację Kościoła w Polsce.

Podpisanie dokumentu nie zatrzymało fali represji. W styczniu 1951 roku pod zarzutem szpiegostwa aresztowano biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka.

To tylko potwierdzało obawy, że Wyszyński popełnił wielki błąd.

– Eminencjo, jadę do Rzymu – Prymas podjął rozmowę. – Ksiądz kardynał doskonale zna tamtejsze stosunki, ja jestem nowicjuszem. Czy mogę otrzymać jakąś wskazówkę?

– No cóż, byłbym kłamcą, gdybym powiedział, że czeka tam księdza Prymasa ciepłe przyjęcie. Kardynał sekretarz stanu nie zmienił, o ile wiem, swojego stosunku do porozumienia.

– Chcę powiedzieć Ojcu Świętemu o motywach tego kroku. Uważałem, że to jedyny sposób, aby ratować Polskę.

– Po roku Ksiądz Arcybiskup jest tego samego zdania? Nawet teraz, kiedy aresztowano biskupa Kaczmarka?

– Jestem pewien, że czeka nas jeszcze wiele cierpień, i jestem zdecydowany je przyjąć, jeśli będzie taka potrzeba. Ale nadrzędnym zadaniem jest ratowanie tkanki narodu i Kościoła. Twarde „nie" oznaczałoby

przyspieszenie prześladowań, porozumienie daje nam szansę funkcjonowania i daje czas...

– Tak, czas to wielki skarb. Mówi to księdzu człowiek, którego czas dobiega już końca. Pytanie, za jaką cenę można go zyskiwać.

– Ceną może być moja osobista reputacja. Nigdy wierność Bogu i Ojcu Świętemu. Czy da się przekonać papieża, że do tego zmierzamy?

– Musi Ksiądz Prymas wyłuszczyć mu wszystko osobiście. Proszę maksymalnie wykorzystać audiencję. Każdy pośrednik w kurii (choćby to był nawet kardynał sekretarz stanu) oddali Ekscelencję od celu. I proszę postarać się uzyskać takie oświadczenie papieża, które da księdzu arcybiskupowi maksymalnie dużo wolności w podejmowaniu decyzji tu, na miejscu. Odpowiedzialność będzie olbrzymia, ale to chyba jedyna droga w tej sytuacji.

– Byłoby dobrze, gdyby ksiądz kardynał też pojechał do Rzymu i poparł nasze sprawy, tak jak kiedyś.

– Za Piusa X? To był wielki człowiek. Przyjaźniliśmy się. Ale to były inne czasy. Mnie trzeba się szykować w inną podróż.

– Wkrótce jego beatyfikacja.

– Bardzo chciałbym na nią pojechać, choć nie wróciłem jeszcze do sił po zawale. Lekarze twierdzą, że nie powinienem opuszczać domu. Ale w głębi duszy marzę o tej podróży.

– Będę polecał Bogu tę intencję. I dziękuję za wskazówkę. Z pewnością nie uda mi się zaprzyjaźnić z Piusem XII, tak jak to się udało Eminencji z Piusem X, lecz z pomocą Bożą wyjaśnię naszą sytuację.

Wyszyński wstał. Zbliżył się do Księcia i z szacunkiem uścisnął mu dłoń.

Lata płyną naprzód, już wielu nie pamięta księcia kardynała Adama Stefana Sapiehy. Ci, którzy pamiętają tak jak ja, mają obowiązek przypominać, aby ta wielkość trwała i tworzyła przyszłość narodu i Kościoła na tej polskiej ziemi / **Jan Paweł II**

1951, lipiec

15

Ksiądz Karol narzucił komżę i zajął miejsce w długim szeregu księży. Strzeliste sklepienie gotyckiego kościoła Franciszkanów tonęło w półmroku, chociaż na zewnątrz było jeszcze zupełnie jasno. W głównych drzwiach świątyni widział trumnę spoczywającą na ramionach kilku duchownych. Procesja ruszyła. Pochód skręcił w prawo, we Franciszkańską. Śmierć Księcia, choć spodziewana, wywołała wstrząs w Krakowie.

Już w maju lekarze twierdzili, że Sapieha jest w stanie preagonalnym. Ale na początku czerwca poczuł się lepiej. Ósmego w Rzymie został beatyfikowany Pius X. W tym czasie Książę modlił się w swoim domu, trzymając w dłoni piuskę nowego błogosławionego. Kilka dni później zapadł w śpiączkę. Mijały tygodnie, chory od czasu do czasu odzyskiwał przytomność, modlił się, czytał, a gdy już nawet na to nie miał siły, poprosił, aby zawieszono mu na szyi różaniec. W poniedziałek 23 lipca rano jego serce przestało bić. Od wtorku tłumy krakowian przechodziły przed katafalkiem w kościele Franciszkanów.

W czwartek przyjechał z Warszawy prymas Wyszyński. Stanął na czele procesji pogrzebowej zmierzającej na Wawel.

Rząd księży opuszczał franciszkańską świątynię. Karol znalazł się na wysokości Pałacu Biskupiego. Spojrzał w okno nad bramą opatrzoną numerem trzy. Pod koniec okupacji to był i jego dom. Razem z innymi klerykami z konspiracyjnego seminarium mieszkał pod jednym dachem z Księciem, który był rzeczywiście kimś wyjątkowym. Człowiekiem wielkiego formatu, a zarazem ludzkim i ciepłym. Kiedyś, podczas ostatniego okupacyjnego sylwestra klerycy wpadli na pomysł, aby pierwszemu koledze, który wejdzie do sali, zarzucić koc na głowę i wysmarować go pastą do butów. Zasadzka była już przygotowana, kiedy drzwi się otworzyły... W ostatniej chwili ktoś krzyknął: „Książę!". „Ale mi się udało" – powiedział Sapieha, gdy wyjaśnili mu przyczynę zamieszania. Mimo skromnego wzrostu miał w sobie jakąś siłę, która nie wynikała tylko z piastowanego stanowiska i wysokiego szlachectwa. Jeden ze starszych księży opowiedział niedawno Karolowi, jak kiedyś późnym wieczorem wszedł do kaplicy Pałacu Biskupiego. Było ciemno, a on, trochę na pamięć szedł do zakrystii, tuż przed ołtarzem. I nagle potknął się. Z podłogi podniósł się jakiś cień. To był Sapieha! Leżał krzyżem na posadzce i modlił się.

Pochód skręcił w Bracką. Na tej ulicy, węższej od Franciszkańskiej, ludzie ścisnęli się jeszcze bardziej. Panował nieprawdopodobny tłok. Dopiero na Rynku Karol zobaczył procesję w całej okazałości. Wyglądała imponująco. Trumnę poprzedzali ludzie niosący setki wieńców, orszak pogrzebowy musiał liczyć wiele tysięcy ludzi.

Prymas szedł pierwszy, w pewnym oddaleniu od podążających za nim biskupów. Zajmował zwyczajne, przewidziane w liturgii pogrzebowej miejsce, Karola uderzyła jednak ta jego samotność. Na barkach tego człowieka spoczywała odpowiedzialność za cały Kościół w Polsce. W ciągu trzech lat katolicy stracili dwa największe autorytety, liczące

się nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami – kardynała Hlonda i kardynała Sapiehę. A autorytet nowego prymasa? Nie raz i nie dwa Karol słyszał ostre krytyki pod adresem Wyszyńskiego, i to nie tylko ze strony księży, którzy sprzyjali władzy ludowej. „Nasz Książę nawet wobec Hansa Franka potrafił zachować klasę, a ten syn organisty idzie na układy z komunistami" – wielu duchownych miało za złe Prymasowi kolejne koncesje na rzecz władzy ludowej. Co prawda, po powrocie Wyszyńskiego z Rzymu wydawało się, że odniósł on tam jakiś sukces i przekonał Piusa XII do swojego sposobu działania. Udało mu się nawet namówić papieża do mianowania biskupów tytularnych na ziemiach zachodnich. Oznaczało to umocnienie obecności Polski na terenach przejętych od Niemców. Co z tego, skoro Bierut natychmiast utrącił ten pomysł.

Trudno było zazdrościć Prymasowi.

Z oddali dochodziły miarowe uderzenia dzwonu Zygmunta. Orszak zmierzał w kierunku Wawelu.

Nazajutrz

Wyszyński wstał wcześnie, jak to miał w zwyczaju. O piątej był już na nogach, ogolił się i poszedł do kaplicy Pałacu Biskupiego w Krakowie.

Za dwie godziny w katedrze rozpoczną się ostatnie uroczystości pogrzebowe Sapiehy. Na ich zakończenie wygłosi kazanie.

Był świadom, że w Krakowie nie cieszy się popularnością. I to nie tylko z powodu resentymentu żywionego przez mieszkańców dawnej stolicy Polski do stolicy obecnej. Ta niechęć miała korzenie starsze niż ostatnie lata, dawała się odczuć także w okresie międzywojennym, chyba najmocniej w czasie słynnego sporu o miejsce pochówku Józefa Piłsudskiego. To wtedy Sapieha naraził się władzom, przenosząc bez ich zgody ciało Marszałka z krypty Świętego Leonarda do krypty pod

Wieżą Srebrnych Dzwonów. Tamta Warszawa i tamte władze przeminęły, niechęć pozostała. Od kilku lat była skutecznie wzmacniana. Konserwatywnemu Krakowowi Warszawa kojarzyła się ze wszystkim, co najgorsze. Tam miał siedzibę komunistyczny rząd, tam narodził się straszny pomysł wybudowania Nowej Huty, wzorcowego osiedla socjalizmu, które zrównoważy – jak to się mówiło – nierówności klasowe w Krakowie. Warszawy przychodziły też dyspozycje dotyczące walki z Kościołem, a ten nowy Prymas – kto o nim zresztą słyszał wcześniej? – najwyraźniej zupełnie nie potrafił stanąć na wysokości zadania.

Teraz miał mówić do ludzi, którzy opłakiwali największy autorytet Kościoła ostatnich niezwykle trudnych lat – okupacji hitlerowskiej, po której przyszła niewola komunistyczna. O czym? I przede wszystkim: jak?

Wczoraj zastanawiał się nad tym. I pomyślał, że przemówi do nich jak ktoś, kto chce się uczyć. Będzie pytał.

Gdy więc my, goście i przyjaciele wasi, patrzymy na was, najmilsi bracia kapłani, jak zwartym wieńcem uczuć otaczacie tę trumnę kryjącą szczątki drobnej postaci, która nie mogła zniewalać was ani wzrostem, ani siłą fizyczną – to pragnę was zapytać dla własnego doświadczenia, dla pogłębienia własnej mądrości pasterskiej: powiedzcie nam, biskupom, kapłani krakowscy, coście w nim miłowali?

Każde ze słów Prymasa zapadało Karolowi w serce i w pamięć. Nie widział go, jedynie słyszał, stojąc na dziedzińcu przed katedrą wśród tysięcy krakowian, którzy przyszli pożegnać swojego kardynała. Najsławniejsza polska świątynia nie należała do gigantów, do środka mogli wejść tylko nieliczni za okazaniem specjalnych zaproszeń.

„Dla własnego doświadczenia, dla pogłębienia własnej mądrości pasterskiej". Prymas przemawiał z namaszczeniem, chciałoby się powiedzieć: dostojnie, a jednak użyte przez niego słowa nie były tylko figurą

retoryczną. „Coście w nim miłowali?" – pytał i z pewnością pytanie to stawiał też sam sobie. Był teraz człowiekiem dzierżącym najwyższą władzę w Kościele polskim, lecz nie mówił jak ktoś będący u władzy. „Królestwo moje nie jest z tego świata, gdyby Królestwo moje było z tego świata, moi słudzy biliby się o mnie" – te słowa Jezusa przyszły Karolowi na myśl, gdy słuchał kazania Prymasa. Stawiał on pytania nie o władzę opartą na sile czy nawet na dyscyplinie, ale o władzę miłości.

Co was brało za serca, coście w nim widzieli, że tej duszy, jak Polska cała, poddaliście się? Wszak można tu mówić śmiało o powszechnej miłości kapłańskiej do swojego Arcypasterza.

Karol potrafiłby odpowiedzieć na te pytania. Tak, krakowianie kochali Księcia za wszystko – za to, że był niezłomny i zarazem ojcowski, za to, że potrafił być niezależny, ale również otwarty na innych, za to, że był prawdziwym arystokratą, który miał jednocześnie niesłychanie wyczulone serce na potrzeby bliźnich – i to tych najmniej uprzywilejowanych. Był realistą, a jednocześnie człowiekiem wielkiej modlitwy. Miał poczucie humoru i dystans do samego siebie. No i był z nimi tak długo – prawie czterdzieści lat.

Będzie im go brakowało.

Prymas sięgnął po grudkę ziemi i rzucił ją na umieszczoną w krypcie trumnę. Kardynał Sapieha spoczął przed samą konfesją Świętego Stanisława. Wyszyński odsunął się, robiąc miejsce dla innych biskupów, którzy również brali ziemię i rzucali ją w otwór w posadzce.

Święty Stanisławie, wstawiaj się za nami, za naszą ojczyzną – modlił się w duchu. Pobiegł myślami do innego ołtarza i do innej konfesji – relikwiarza ze szczątkami świętego Wojciecha, który spoczywał w katedrze gnieźnieńskiej. Wojciech i Stanisław byli – obok Najświętszej Maryi Panny – głównymi patronami Polski. Pierwszy zginął w czasie misji wśród Prusów, drugi – niespełna sto lat później,

z rozkazu (a być może i z ręki) króla Bolesława Śmiałego. Wojciech poniósł śmierć dlatego, że chciał poganom zanieść wiarę, Stanisław – ponieważ upominał własnego króla za jego gorszące zachowanie. Po prawie tysiącu lat postać krakowskiego biskupa zyskała nowy wymiar – stał się on symbolem relacji między władzą polityczną a Kościołem. Zabawne, że na czele państwa znowu stanął Bolesław, tyle że Bierut, a nie Śmiały.

Z towarzyszem Tomaszem – jak nazywali prezydenta Polski Ludowej jego zausznicy – spotykał się kilkakrotnie. Chyba najbardziej utkwiło mu w pamięci spotkanie po powrocie Bieruta z Moskwy, z uroczystych obchodów rocznicy rewolucji październikowej.

– Jak się udał pobyt? – zapytał go wtedy.

– Rozmawiałem o księdzu z towarzyszem Stalinem – odparł Bierut. – Powiedziałem Józefowi Wissarionowiczowi, że chcę wsadzić księdza Prymasa do więzienia.

O mało nie zerwał się z fotela. Opanował się jednak.

– I co on na to? – zapytał, starając się nie dać po sobie niczego poznać. Bierut spochmurniał.

– Powiedział mi: „*Wot ty durak*. Co za sztuka wsadzić Prymasa do więzienia, to każdy dureń potrafi. Ty zrób z Prymasa komunistę. To dopiero będzie sztuka!".

To im się jak do tej pory nie udało i – tego był pewien – nie uda. Ale w oczach wielu ludzi uchodził już niemal za czerwonego biskupa, człowieka, który idzie na coraz większe ustępstwa wobec komunistów. Nie to co bohaterscy biskupi z innych krajów, jak prymas Węgier József Mindszenty, który od trzech prawie lat siedział w więzieniu, chorwacki arcybiskup Zagrzebia Alojzije Stepinac czy biskup kielecki Czesław Kaczmarek, którzy siedzieli w komunistycznych więzieniach. A on wciąż się cofał. Po podpisaniu porozumienia ktoś go zapytał, czy należy negocjować z diabłem. „Z diabłem nie, ale

z człowiekiem tak" – odpowiedział. Jednak w ludziach, którzy sprawowali władzę, człowieczeństwa, było jakby coraz mniej...

Święty Stanisławie, czego oczekujesz ode mnie?

Podniósł oczy na srebrną trumnę umieszczoną pod baldachimem osadzonym na czterech filarach. Czy spełni się przepowiednia ojca Korniłowicza? W czasie jego konsekracji ciężko chory ojciec Władysław miał sen, w którym los Stefana miał być podobny do losu biskupa krakowskiego. Powiedział mu o tym pewien młody ksiądz krótko po objęciu urzędu pymasa. Nie przyszedł wcześniej, bo bał się reakcji biskupa Wyszyńskiego.

A ten obraz, który dostał w drodze na ingres do Gniezna? Malowidło przedstawiało Chrystusa ze skrępowanymi dłońmi. Otrzymał je na toruńskim Podgórzu, zaraz po przekroczeniu granicy archidiecezji gnieźnieńskiej.

Rozdział III

Zapiski więzienne

Gdy będę w więzieniu, a powiedzą wam, że Prymas zdradził sprawy Boże – nie wierzcie. Gdyby mówili, że Prymas ma nieczyste ręce – nie wierzcie.

Gdyby mówili, że Prymas stchórzył – nie wierzcie.

Gdy będą mówili, że Prymas działa przeciw Narodowi i własnej Ojczyźnie – nie wierzcie. Kocham Ojczyznę więcej niż własne serce i wszystko, co czynię dla Kościoła, czynię dla nie.

Stefan Wyszyński

1

Pułkownik Józef Światło włożył koniec paska w klamrę i mocno pociągnął. Był dość tęgi, więc pasek zatrzymał się na jednej z początkowych dziurek. „Muszę więcej ćwiczyć" – postanowił sobie. Pytanie kiedy, bo pracy miał coraz więcej.

Wyszedł ze swojego gabinetu i udał się do sali konferencyjnej, gdzie zbierali się inni uczestnicy akcji.

– Towarzysze – zaczął pułkownik Karol Więckowski – w dniu dzisiejszym otrzymałem od towarzysza ministra rozkaz, który w tej chwili odczytam: *W porozumieniu z Generalnym Prokuratorem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz z Dyrektorem Urzędu do spraw Wyznań – polecam podać do wiadomości ks. arcybiskupowi Stefanowi Wyszyńskiemu Uchwałę Prezydium Rządu Nr 700/53 z dnia 24 września 1953 roku i przypilnować jej wykonanie zgodnie z wydaną przeze mnie instrukcją.* Uchwała zakazuje arcybiskupowi wykonywania jego funkcji, co w praktyce sprowadza się do odizolowania go od otoczenia.

– Posadzimy go u nas czy na Rakowieckiej? – zapytał Światło.

– Umieścimy go w jednym z klasztorów. Na razie będzie to Rywałd, w międzyczasie przygotujemy opuszczony klasztor w Stoczku. Termin akcji wyznaczony jest na dzisiejszy wieczór. Prymas ma być wieczorem w kościele Świętej Anny. Zdejmiemy go po powrocie na Miodową. To będzie chleb z masłem, towarzysze.

– Jak wchodzimy?

– Tworzymy dwie grupy operacyjne. Jedna przedostanie się na teren pałacu od strony ogrodu, druga wejdzie normalnie, przez bramę. Musimy liczyć się z tym, że brama będzie zamknięta i w czasie

potrzebnym do jej otwarcia zostaną zniszczone jakieś dokumenty. A my musimy mieć wszystko, towarzysze. Wszystko.

„Swoją drogą, niezły smród się z tego zrobi" – pomyślał Światło. Prymas niedawno został kardynałem, władze nie zgodziły się na jego wyjazd po kapelusz kardynalski do Rzymu, co było szeroko i bardzo negatywnie komentowane na Zachodzie. Szczerze mówiąc, trzeba było go zamknąć dwa lata temu, a nie teraz – po śmierci towarzysza Stalina. Od marca, a dokładnie: od piątego, kiedy Józef Wissarionowicz zamknął oczy, sytuacja była znacznie mniej stabilna. Najwyraźniej jednak towarzysz Bierut musiał otrzymać z Moskwy zielone światło na aresztowanie Wyszyńskiego.

Światło domyślał się, dlaczego szefom tak zależało na zebraniu wszystkich materiałów. Przy umiejętnej interpretacji mogły się one okazać cennym materiałem dowodowym. Pokazowy proces Prymasa będzie gwoździem do trumny dla episkopatu i ostatecznym przypieczętowaniem długiej walki władzy ludowej z reakcyjnym klerem.

– Towarzyszu pułkowniku, czy aresztujemy tylko Prymasa? – zapytał ponownie.

– Minister Radkiewicz polecił zabrać też Baraniaka. Ale to później. Wyszyński nie powinien o tym wiedzieć. Baraniaka weźmiemy do nas, zobaczymy czy tu, czy na Rakowiecką.

Kościół będzie wiecznie żądać prawdy i wolności – słowa Prymasa niosły się echem po kościele Świętej Anny. – *Może dlatego Kościół ma tylu wrogów, bo chrześcijaństwo będzie zawsze wzywało do oporu, do walki z każdym zakłamaniem i z każdą stabilizacją.*

Mimo że świątynia była wypełniona po brzegi, najlżejszy szmer nie przerywał kazania Prymasa. Z wysokości ambony widział morze głów – ludzie patrzyli na niego w skupieniu, jakby spragnieni każdego następnego słowa. Kazanie poświęcił patronowi dzisiejszego dnia

i zarazem patronowi Warszawy – błogosławionemu Ładysławowi z Gielniowa, a właściwie analizie tego, czym jest świętość. Przed chwilą powiedział, że tak jak normalny człowiek stoi na dwóch nogach, tak świętość opiera się na dwóch podstawach – przyrodzonej i nadprzyrodzonej. Pierwsza polega na samodzielnym rozumowaniu i miłowaniu. Rozumowanie prowadzi do prawdy, wolność do czynienia miłości. Bóg zaś daje nadprzyrodzoną łaskę.

Przeczuwał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Tylko ślepy mógłby nie zauważyć, że władze prą do całkowitego podporządkowania sobie Kościoła. W styczniu w Krakowie odbył się pokazowy proces księży z tamtejszej kurii zakończony niewykonanymi na szczęście wyrokami śmierci, w lutym rząd wydał dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych, który *de facto* uprawniał władze do decyzji o nominacjach kościelnych od proboszcza po biskupa. 8 maja, w dzień świętego Stanisława, episkopat zebrał się w Krakowie, gdzie Prymas przedstawił do akceptacji swój memoriał do rządu.

Gdyby postawiono nas wobec alternatywy: albo poddanie jurysdykcji kościelnej jako narzędzia władzy świeckiej, albo osobista ofiara, wahać się nie będziemy – napisał w nim. – *Pójdziemy za głosem apostolskiego naszego powołania i kapłańskiego sumienia, idąc z wewnętrznym pokojem i świadomością, że do prześladowania nie daliśmy powodu, że cierpienie staje się naszym udziałem nie za co innego, lecz tylko za sprawę Chrystusa i Chrystusowego Kościoła. Rzeczy Bożych na ołtarzach Cezara składać nam nie wolno. Non possumus!*

Nie możemy! Czas negocjacji i rozmów kończył się. Po trzech latach *Porozumienie* okazało się całkowitą klęską – był to dla komunistów nic nieznaczący świstek papieru, który wykorzystywali tak, jak chcieli. Chcieli zaś jednego – całkowitego podporządkowania Kościoła. Tymczasem on smakował coraz bardziej goryczy ustępstw. No bo jak inaczej można było odebrać słowa z oświadczenia biskupów w czasie

procesu kurii krakowskiej? *Episkopat stwierdza, że udział katolików, a tym bardziej duchowieństwa, w akcji podziemnej i w dywersji gospodarczej jest nie tylko sprzeczny z dobrem Narodu, ale również szkodliwy dla działalności Kościoła katolickiego.* Przecież to było przyznanie racji komunistom i opuszczenie swoich! Cóż z tego, że chcieli w ten sposób ocalić oskarżonych księży i uzyskać dla nich niższe wyroki, gdy rząd zakpił sobie z nich po raz kolejny, wymierzając jeszcze silniejsze ciosy. Najboleśniejszym był niewątpliwie proces (a raczej farsa procesu) biskupa Kaczmarka, którego torturami zmuszono do przyznania się, iż współpracował z obcym wywiadem. Przed trzema dniami, 22 września, biskupa skazano na 12 lat więzienia. Jednocześnie coraz liczniejsze były szeregi duchownych, którzy zasilali szeregi księży patriotów. Czuli się już tak pewnie, że żądali usunięcia z kurii biskupich księży o – jak twierdzili – „wrogich poglądach". Nie zważając na to, iż ściągają na siebie ekskomunikę, wywierali nacisk na kurie, aby spełniono te żądania.

Kościół tracił wszystko. Także złudzenia, że w jakikolwiek sposób można dogadać się z komunistami. Towarzyszyło temu jednak jakieś zjednoczenie się ludzi wokół biskupów, a zwłaszcza wokół Prymasa. Gdziekolwiek się pojawił, towarzyszył mu entuzjazm wiernych, bywało, że ludzie chcieli nosić go na rękach, jak choćby w czasie jego odwiedzin w parafii Świętego Wincentego à Paulo na Opaczewskiej. „Dajcie spokój – prosił – po pierwsze, nie ma takiego zwyczaju, a po drugie, mogłoby się to niedobrze skończyć, jako że zazwyczaj droga od chwały do błota niedaleka". Błota tego dnia było sporo.

Podobnie było w wielu różnych miejscach, także dziś u Świętej Anny.

Takiego tłumu dawno ten kościół nie widział.

Kościół zawsze będzie wołał: „Sprzedajcie co macie, nie noście trzosa" – kończył kazanie – *odetnijcie się od wszystkiego, co was wiąże,*

swobodnie dążcie do Boga – stańcie przed sobą w prawdzie, którą zna tylko Bóg.

Zakończmy modlitwą: Boże Wszechmogący, przez świętego Ładysława błagamy Cię o czystość ciała i świętość w prawdzie.

Doktor Emilię ogarnęło wzruszenie, gdy zobaczyła, jak Prymas unosi relikwie patrona Warszawy i błogosławi nimi ludzi. Gdy skończył, buchnął potężny śpiew:

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały,
Przed Twe ołtarze
Zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie.

Przed wojną ostatnie słowa tej pieśni brzmiały inaczej: *Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie*. Zawierała się w nich radość z odzyskanej po ponad stu dwudziestu latach niepodległości. Ale ten okres był zaledwie krótkim intermedium między jedną niewolą a drugą.

Ludzie zaczęli powoli się rozchodzić. Emilia też wyszła. Zwróciła uwagę, że młodzież akademicka zmierza w kierunku dziedzińca. Widocznie studenci chcieli jeszcze zobaczyć kardynała Wyszyńskiego, gdy będzie wychodził. Poszła w tamtą stronę.

Nie musiała zbyt długo czekać. Drzwi się otworzyły i w tym samym momencie wybuchły okrzyki:

– Niech żyje Prymas! Niech żyje Prymas!

– Dzieci moje – odezwał się Wyszyński – proszę, abyście mówili Różaniec. Znacie obraz Michała Anioła *Sąd Ostateczny.* Anioł Boży wyciąga człowieka z przepaści na różańcu. Mówcie za mnie Różaniec.

Ten obraz znajdował się w Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie od wieków kardynałowie wybierali papieży.

Emilia sięgnęła do torebki. W drodze powrotnej do domu spełni tę prośbę. Musi tylko ukryć różaniec w kieszeni, aby nie zauważył go jakiś tajniak.

Biskup Antoni Baraniak spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Późno. A Różaniec jeszcze nieodmówiony. Był kierownikiem sekretariatu Prymasa i miał tyle pracy, że musiał walczyć o czas na modlitwę, i nieraz zdarzało mu się to robić późnym wieczorem. Dobrze, że mieszkają już w odbudowanym niedawno Domu Arcybiskupów Warszawskich, na którego tyłach znajdował się spory ogród. Wyjdzie, odetchnie świeżym powietrzem, szczególnie że przez cały dzień nie opuszczał biura.

Kardynał Wyszyński wrócił niedawno z kościoła Świętej Anny i od razu poszedł do siebie. Lubił wcześnie się kłaść, bo też i wcześnie wstawał, często pracując jeszcze przed odprawieniem porannej mszy o siódmej trzydzieści.

Biskup wyszedł ze swojego mieszkania. Dom pogrążony był w głębokiej ciszy. Zszedł z pierwszego piętra na parter i skierował się ku drzwiom prowadzącym ku ogrodowi. Zawsze były zamknięte – nigdy nie wiadomo, kto mógłby przedostać się do ogrodu, a stamtąd do rezydencji Prymasa. Baraniak sięgnął po klucz, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Zostawił klucz w zamku i wszedł głębiej w ogród. Przyjemny wrześniowy chłód sprawił, że od razu poczuł się lepiej. Dziś piątek, odmówi tajemnice bolesne.

Tajemnica pierwsza. Modlitwa i pojmanie Pana Jezusa w Ogrodzie Oliwnym.

Rozważył krótko scenę, jaka rozegrała się na obrzeżach Jerozolimy przed prawie dwoma tysiącami lat. Jezus modli się, walczy z ogarniającym go strachem i straszną pokusą, że ofiara, którą chce złożyć, zostanie odrzucona przez ludzi, za których umrze. Apostołowie zasypiają. On idzie do nich i prosi: „Czuwajcie i módlcie się!". Gdy po raz trzeci zastaje ich śpiących, mówi: „Śpicie jeszcze i odpoczywacie? A oto nadeszła godzina i Syn Człowieczy będzie wydany w ręce grzeszników. Wstańcie, chodźmy! Oto blisko jest mój zdrajca".

Ojcze nasz, któryś jest w niebie…

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna…

Kiedy doszedł do *Chwała Ojcu*, zauważył błyski zapałek i papierosów. W zrujnowanym budynku za ogrodem znajdowali się jacyś ludzie. Jednocześnie usłyszał szmery przy murze. Zaniepokoiło go to. „Lepiej wracać" – pomyślał. W tym momencie zobaczył ciemne postacie przeskakujące przez mur. „Bandyci!" – przemknęło mu przez głowę. Jeden z nich podbiegł bliżej.

– Ręce do góry, bo strzelam! – krzyknął. Trzymał pistolet. – Co tu robicie?

– Właśnie wyszedłem na spacer.

– Wprowadźcie mnie do domu.

– Nie mam klucza.

– To jak wejdziecie?

Przy drzwiach ogrodowych byli już inni mężczyźni. Otworzyli je bez trudności i wtargnęli do środka. Baraniak ruszył w stronę drzwi.

– Stać! – krzyknął jeden z mężczyzn. Zastąpili mu drogę.

Prymas zdjął z szyi biskupi krzyż, ucałował go i odłożył na szafkę. Sutannę zawiesił w szafie. Kilkanaście minut później, po wieczornej

toalecie, położył się. Sięgał do nocnej lampki, aby wyłączyć światło, gdy na korytarzu rozległy się kroki, a chwilę potem pukanie.

– Proszę!

W drzwiach stanął jego kapelan ksiądz Hieronim Goździewicz.

– Mamy nieoczekiwanych gości – powiedział. – Jacyś panowie przyszli z listem od ministra Bidy do biskupa Baraniaka i proszą o otwarcie bramy.

– O tej porze? Zresztą proszę im powiedzieć, że wszelkie listy są przekazywane do sekretarza episkopatu biskupa Choromańskiego. Dziwi mnie ta wizyta, bo minister Bida dobrze wie, do kogo należy kierować listy.

Goździewicz wyszedł, a Prymas wstał, ubrał się i wyszedł na balkon. Na dole zobaczył biskupa Baraniaka w towarzystwie kilku cywilów. Antoni też go zauważył.

– Ojcze, byłem w ogrodzie na spacerze, ci ludzie wdarli się tutaj – powiedział.

– Zaraz zejdę.

Po drodze zapalał wszystkie światła w budynku. Niech Warszawa wie, że w domu jej pasterza dzieje się coś niedobrego.

Schodząc, zobaczył biskupa Baraniaka prowadzonego przez cywilów, którzy zatrzymali go w ogrodzie.

– Ci panowie chcieli strzelać – powiedział Antoni.

– Szkoda, że tego nie zrobili – odparł Prymas – wiedzielibyśmy, że to napad, a tak nie wiemy, co sądzić o tym nocnym najściu.

– My tu w urzędowej sprawie – wyjaśnił mężczyzna w ortalionowym płaszczu – tymczasem nikt nam nie otwiera drzwi.

– Godziny urzędowe u nas są za dnia, a wtedy i bramy, i drzwi są otwarte – powiedział Prymas. – Teraz nikt u nas nie urzęduje.

– Ale państwo ma prawo zwrócić się do obywateli, kiedy chce – oświadczył mężczyzna.

– Państwo ma obowiązek być przyzwoite wobec obywateli, zwłaszcza wobec takich, o których wiadomo, że są zawsze dostępni – napomniał go Prymas – A teraz proszę wybaczyć, muszę odszukać odźwiernego.

Wyszyński wyszedł na dwór. Za nim podążył jeden z przybyszów. Szedł blisko, kardynał czuł go niemal przy sobie. Nie zdążyli jeszcze dojść do ścieżki prowadzącej do bramy wejściowej, gdy rozległo się warczenie psa. Prymas obrócił się, ale było już za późno. Baca chwycił ubeka za nogę. Rozległ się okrzyk bólu i ciche przekleństwo.

– Baca, waruj! – krzyknął Prymas. Owczarek zastygł w miejscu. W pobliżu pojawił się odźwierny. – Panie Cabanek, proszę otworzyć bramę, wpuścić stojących tam panów, a Bacę zabrać na podwórko gospodarcze.

Dozorca wziął psa za obrożę.

– Chodźmy do przedsionka, tu nic nie widać – powiedział Prymas do zranionego mężczyzny. Wrócili do wejścia. Kardynał pochylił się. – Krwawi – stwierdził, patrząc na nogę funkcjonariusza. – Siostro – zwrócił się do stojącej w pobliżu Maksencji – proszę przynieść jodynę i opatrzyć ranę.

– Nie, nie, nie trzeba – bronił się ubek.

– Trzeba, może wdać się zakażenie – odparł kardynał. – O psa proszę się nie martwić, jest zupełnie zdrowy.

Od strony otwartej już bramy zbliżali się trzej mężczyźni. Prymas wskazał im drogę do Sali Papieży znajdującej się na wprost głównego wejścia do domu.

– To niedopuszczalne, że władzy państwowej nie otwiera się drzwi – powiedział jeden z nich, najwyraźniej dowódca. Mówił z mocnym wschodnim akcentem. Nie zdziwiło to kardynała. Marysia opowiadała mu, że na korytarzach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego widziała wielu sowieckich oficerów.

– Do tej pory nie wiem, z kim mam do czynienia, czy to władza państwowa czy napad – odpowiedział. – Żyjemy na pustkowiu, wśród ruin, w nocy nikogo nie wpuszczamy.

– Mam obowiązek przekazać księdzu pismo – powiedział mężczyzna, zdejmując palto.

Z teczki wyjął maszynopis i podał go Prymasowi. Ten przebiegł wzrokiem tekst. Kluczowe zdanie znajdowało się pośrodku:

(...) *zakazać ks. arcybiskupowi Stefanowi Wyszyńskiemu wykonywania funkcji wynikających z piastowanych przezeń dotąd stanowisk kościelnych.*

Sposób przeprowadzenia tego zamiaru określono niżej:

Celem zapobieżenia dalszym szkodom wynikającym z wyżej wymienionej działalności ks. arcybiskupa Stefana Wyszyńskiego zleca się właściwym organom państwowym dopilnowanie natychmiastowego opuszczenia przez niego miasta Warszawy i zamieszkania w wyznaczonym klasztorze bez prawa opuszczania tego klasztoru aż do nowego zarządzenia władz.

Wyszyński podniósł wzrok na ubeków.

– Proszę to przyjąć do wiadomości i podpisać – powiedział mężczyzna, który wręczył mu pismo.

– Nie mogę tego uczynić. Nie widzę podstaw prawnych dla tej decyzji, poza tym sam sposób załatwienia sprawy nie pozwala mi na przyjęcie jej do wiadomości. Przedstawiciele rządu tyle razy prowadzili ze mną rozmowy – i pan Mazur, i pan prezydent Bierut. Jeśli są niezadowoleni z mojego postępowania, znali drogę, na jakiej mogli mi to powiedzieć. Ta decyzja zaszkodzi Polsce, kraj nasz będzie atakowany przez zagraniczną propagandę. Tak więc decyzji tej poddać się nie mogę i dobrowolnie tego domu nie opuszczę.

– Potwierdźcie zatem przeczytanie dokumentu – zażądał funkcjonariusz.

Prymas napisał na dole *Czytałem SW*.

Wyszli do holu, a stamtąd na górę do mieszkania Prymasa.

– Ksiądz zabierze najpotrzebniejsze rzeczy – polecił funkcjonariusz, gdy się tam już znaleźli.

– Niczego nie zabieram, idę tak, jak stoję – odparł Prymas.

– Życie jest życiem, ma swoje wymagania.

– Tym wymaganiom każdy obywatel czyni zadość w swoim domu.

– Niech ksiądz lepiej zacznie się pakować.

Nadeszła siostra Maksencja, targając puste walizki przyniesione ze schowka.

– O, już są walizki – z zadowoleniem stwierdził ubek. Prymas spojrzał na niego surowo.

– Jedyne, co pan ode mnie usłyszy, to kategoryczny protest przeciwko najściu na mój dom!

– Ojcze, ja zaraz wszystko przygotuję – powiedziała Maksencja. – Niech Ojciec się zgodzi.

– Siostro, chyba wyraziłem się jasno. Niczego nie zabieram. Ubogi przyszedłem do tego domu i ubogi stąd wyjdę. Siostra składała ślub ubóstwa i wie, co on znaczy.

– Na co robić te problemy? Nie będziemy tu sterczeć przez całą noc – warknął jeden z mężczyzn. Chwycił walizki i poszedł do sypialni.

W tym momencie przyprowadzono Antoniego.

– Kto tu jest gospodarzem? – zapytał ubek.

– Nie wiem, kogo zabieracie. Podczas mojej nieobecności gospodarzem jest zawsze biskup Baraniak. W obecności księdza biskupa oświadczam – zwrócił się do biskupa – że to najście uważam za gwałt. Proszę, by nikt nie podejmował mojej obrony. W razie procesu nie chcę adwokatów. Bronić się będę sam.

Przeszedł do pracowni. Uporządkował papiery i książki, w gabinecie przyjęć złożył ostatnie podpisy na dokumentach kościelnych.

– Przynieśliśmy palto i kapelusz – oświadczył jeden z ubeków. Prymas sięgnął po brewiarz i różaniec.

– To wszystko? – zapytał cywil.

– Chciałbym jeszcze wejść do kaplicy – odparł Wyszyński.

– O ile ksiądz Prymas nie będzie stawiał oporu, bo i po cóż mamy się szarpać.

Kardynał wszedł i uklęknął przed tabernakulum. Dłuższą chwilę spoglądał na witraż przedstawiający Maryję.

Zostawiam ten dom i to miasto pod Twoją opieką.

Po schodach zszedł do holu. Nie spotkał żadnego z domowników. Ani księdza Padacza, ani księdza Goździewicza, ani biskupa Baraniaka, ani Maksencji. W drzwiach obrócił się i spojrzał na obraz Matki Bożej Jasnogórskiej wiszący nad wejściem do Sali Papieży.

Razem z nim wsiadło do samochodu trzech mężczyzn. Ruszyli. A więc stało się to, czego spodziewał się przynajmniej od dwóch lat. Już wtedy uszył sobie mocne buty i przygotował ciepłe palto. Buty miał na nogach. Ale palto – uświadomił sobie, że ma inne. Poznał je. Dostał je od przyjaciół z Włocławka, gdy został biskupem w Lublinie. Używał go jeszcze przed wojną biskup Michał Kozal.

Oddaję się Tobie, Maryjo, całkowicie w niewolę, a jako Twój niewolnik poświęcam Ci ciało i duszę moją, dobra wewnętrzne i zewnętrzne, nawet wartość dobrych uczynków moich, zarówno przeszłych, jak obecnych i przyszłych, pozostawiając Ci całkowite i zupełne prawo rozporządzania mną i wszystkim bez wyjątku, co do mnie należy, według Twego upodobania, ku większej chwale Boga, w czasie i w wieczności **/ Stefan Wyszyński**

Udawał się

w tym samym

kierunku,

w którym niegdyś

zmierzał

Jan Kazimierz.

2

– Zniknął? Tak po prostu? Co wy, kurwa chcecie mi wcisnąć? – gniew Radkiewicza był wprost proporcjonalny do jego strachu. – Jak mogliście zostawić go samego? To wbrew wszelkim zasadom!

– Towarzyszu ministrze, jestem gotów złożyć samokrytykę – powiedział nieśmiało Anatol Fejgin.

– Na gówno teraz komu wasza samokrytyka. Jesteście zawieszeni w czynnościach służbowych!

Jeszcze kilka dni wcześniej Fejgin nie musiałby się tak płaszczyć przed szefem. Miał duże wpływy u Bieruta i to nie tylko dlatego, że jego rodzony brat był lekarzem prezydenta. Ale od 5 grudnia sytuacja dyrektora X Departamentu MBP zmieniła się radykalnie. Tego dnia razem ze swoim zastępcą Józefem Światłą znajdował się w Berlinie Wschodnim, gdzie pojechali, aby poprosić STASI[22] o likwidację dziennikarki Wandy Brońskiej. Po spotkaniu z Niemcami udali się do Berlina Zachodniego na zakupy. Musieli wymienić pieniądze w kantorze. Światło zaproponował, że najpierw on to zrobi, a Fejgin będzie go ubezpieczał, potem zamienią się rolami. Gdy Fejgin wyszedł z kantoru, Światły nie było. Porwany przez Amerykanów? Zabity przez bandytów? A może... Tego wszyscy, z Radkiewiczem na czele, obawiali się najbardziej. A jeśli uciekł do Amerykanów? Krążyły legendy o dwóch sejfach w gabinecie Światły, gdzie podobno znajdowały się haki na wszystkich – i tych z partii, i tych z MBP. Nie było tajemnicą, że mógł dzwonić bezpośrednio do Ławrientija Berii, szefa NKWD, i że wchodził do grona osób, przez które Moskwa bezpośrednio

[22] STASI – Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

nadzorowała MBP. Ale w marcu zmarł Stalin, a Beria został zlikwidowany w czerwcu. Światło mógł poczuć się zagrożony i wykorzystać nadarzającą się okazję.

Radkiewicz z wściekłością zdusił papierosa w popielniczce i podszedł do okna. „Zły rok" – pomyślał, patrząc na ośnieżone drzewa w parku po drugiej stronie Alej Ujazdowskich.

Ktoś zapukał.

– Wejść! – ton jego głosu trudno było uznać za przyjazny. Wszedł funkcjonariusz z teczką opatrzoną napisem „Ściśle tajne".

– Przesyłka od pułkownika Więckowskiego – zameldował. Gdy wyszedł, minister wziął papiery.

Plan wstępnego przesłuchania przeciwko Stefanowi Wyszyńskiemu – głosił tytuł maszynopisu.

Wyszyński siedział już od ponad dwóch miesięcy, najwyższy czas przystąpić do bardziej zdecydowanych działań. Niestety, pierwszy cel planu nie został jeszcze osiągnięty. Jak dotąd próby wymuszenia obciążających zeznań na aresztowanym tej samej nocy Baraniaku nie przyniosły pożądanych rezultatów. Mimo to trzeba było już zacząć zmiękczać Prymasa. Towarzysze w innych krajach mogli pochwalić się znaczącymi sukcesami, tam duchowieństwo mówiło to, czego chciała partia, w Polsce nie udało się jeszcze ich do tego zmusić, choć biskupi po aresztowaniu Prymasa położyli uszy po sobie, a nawet podpisali deklarację lojalności. Dobrze, że przynajmniej ten skurwiel Światło dopilnował zakładania podsłuchów w Stoczku. Wyszyński został tam osadzony po krótkim pobycie w Rywałdzie. Dano mu też do towarzystwa dwoje podporządkowanych UB ludzi – siostrę i księdza, którzy składali regularne raporty. Ale to wszystko było za mało. Muszą wziąć go w obroty. Albo się załamie i zacznie współpracować, albo zostanie skazany jak Kaczmarek.

– Tak, to jest dobre – mruknął, czytając propozycję jednego z pytań, które śledczy miał zadać Wyszyńskiemu:

W referacie swoim wygłoszonym na nadzwyczajnej plenarnej konferencji episkopatu w dniu 5 lutego 1948 r. w Warszawie stwierdziliście m.in., jakoby w społeczeństwie polskim istniał „Opór wewnętrzny przeciwko Wschodowi i odwiecznym wrogom Narodu, odgrywającym dziś rolę jego zbawców i oświecicieli". Co według was oznacza w tym wypadku „Wschód" oraz kto to są „odwieczni wrogowie Narodu"?

(Powinien zeznać, że

– wygłosił taki referat,

– użył wymienionych w pytaniu sformułowań,

– „Wschód" – to Związek Radziecki,

– „odwieczni wrogowie Narodu" – to Zw. Radziecki oraz kierownicy państwa polskiego, którzy prowadzą politykę przyjaźni ze „Wschodem" – Zw. Radz.).

Dostaniemy cię, klecho.

tego samego dnia, Stoczek Warmiński

Ręce miał tak zgrabiałe z zimna, że z trudem mógł utrzymać pióro. Ostatnią notatkę zrobił przed dziesięcioma dniami. Pod datą 29 listopada zanotował postanowienie: *nie podejmować żadnych kroków, które miałyby na celu moją obronę.*

Zastanawiał się czasem, czy jego zapiski były czytane przez opiekunów w czasie, gdy opuszczał pokój. Tego pewnie nie zrozumieją: Iacta cogitatum tuum in Dominum, et ipse te enturiet, et dabiit Tibi petitiones cordis tui (Zrzuć na Pana swoje troski, a On cię nakarmi i spełni oczekiwania twojego serca). Nawet jeśli im ktoś przetłumaczy – nie zrozumieją, bo nie wiedzą, co znaczy pokładać całą ufność w Panu.

Przeczytał następne słowa notatki:

Chronić się też będę rozważań na tematy mego stanu obecnego. Jedno Ave Maris Stella więcej radości i swobody przynosi niż cała logika samoobrony.

Od dawna już zapadły mi w duszę słowa kardynała Merciera, tak często powtarzane przez Ojca Korniłowicza: „Nie lubię myśleć o tym, co było, ani też głupio marzyć o tym, co będzie, bo to rzecz Boga. Zadanie życia sprowadza się do chwili obecnej". – In Te, Domine speravi, non confundar in aeternum *(W Tobie, Panie, zaufałem, nie zawstydzę się na wieki).*

Czy był wierny temu postanowieniu?

Podniósł się i wyszedł z pokoju. Zapukał do celi zajmowanej przez współwięźnia – księdza Stanisława Skorodeckiego. Usłyszał zaproszenie i nacisnął klamkę. Na jego widok ksiądz wstał.

– Stasiu, chciałbym się wyspowiadać.

Skorodecki spojrzał na niego zdumiony. Nie odezwał się ani słowem.

– Czemu tak stoisz jak żona Lota? Chyba nie odmówisz?

– Ależ Ojcze. Ja? Ojca?

– Jesteś kapłanem, masz tę władzę.

Uklęknął przed nim.

Pół godziny później znów siedział przy stole w swoim pokoju. Na ten dzień przygotowywał się od trzech tygodni. Bóg dał mu to natchnienie i zatroszczył się, by nic go nie rozpraszało – ani bieżące obowiązki, ani spotkania z ludźmi czy redagowanie dokumentów i podpisywanie dekretów. 8 grudnia – uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny – był dla niego zawsze ważny, w tym roku nabrał jednak wyjątkowego znaczenia. Postanowił, że przez ręce Maryi odda się w całkowitą niewolę Chrystusowi. Nie miał przy sobie książeczki Ludwika Marii Grignion de Montforta, w której francuski

święty opisywał, jak należy to uczynić, ale dość dobrze pamiętał jej treść. Przygotował się według tych wskazań.

Nie mogło być stosowniejszej chwili, aby to uczynić. Pozbawiony wolności i jakiejkolwiek możliwości działania, oddawał swoją wolę Bogu, czyniąc to z pomocą Maryi, która powierzyła Mu się całkowicie, mówiąc: „Niech mi się stanie według słowa Twego".

Pragnę przez Ciebie, z Tobą, w Tobie i dla Ciebie stać się niewolnikiem całkowitym Syna Twojego, któremu Ty, o Matko, oddaj mnie w niewolę, jak ja Tobie oddałem się w niewolę.

Wszystko, cokolwiek czynić będę, przez Twoje Ręce Niepokalane, Pośredniczko łask wszelkich, oddaję ku chwale Trójcy Świętej – Soli Deo.

Tego samego dnia, Jasna Góra

Ojciec Jerzy Tomziński, przeor klasztoru, wstał od stołu, przy którym zakonnicy jedli kolację. Razem z nim podniosło się dwóch innych paulinów – ojciec Aleksander Rumiński i kustosz bazyliki ojciec Teofil Krauze. Z refektarza poszli do zakrystii przy kaplicy Cudownego Obrazu.

Jeszcze kilka godzin temu roiło się tu od ludzi. Rzesze wiernych przyszły na wieczorne nieszpory rozpoczynające Rok Maryjny, ogłoszony przez Piusa XII w celu przygotowania do setnej rocznicy ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Bazylika dosłownie pękała w szwach. Ojciec Jerzy głosił kazanie, nie mógł jednak otwarcie powiedzieć, co wydarzy się tego wieczoru. Postanowił wykorzystać analogię. Odmalował obraz Kościoła prześladowanego za czasów Piusa IX, czyli w czasach poprzedzających ogłoszenie dogmatu. Nieprzypadkowo przywołał przykład Francji, gdzie Kościół został sprowadzony do roli narzędzia w ręku państwa, nieprzypadkowo też powiedział, że *pseudonauka wypowiedziała*

wojnę religii, nazywając ją wrogiem postępu i oświeconej ludzkości. Nie mogło być wyraźniejszej aluzji do lansowanego przez marksistów „światopoglądu naukowego", stawianego w opozycji do „ciemnogrodu wiary". Ośmielił się też powiedzieć, że *Rok Maryjny ma doprowadzić świat do naprawy obyczajów wśród młodzieży, katolickich rodzin i całych społeczeństw. I wreszcie – ma być rokiem wielkiej modlitwy. Ojciec Święty każe nam błagać Matkę Bożą o chleb dla głodnych, o sprawiedliwość dla uciśnionych, o Ojczyznę dla zbiegów i wygnańców, o gościnę dla bezdomnych, o należną wolność dla tych, którzy zostali wtrąceni niesprawiedliwie do więzienia lub obozów koncentracyjnych.* Na końcu pozwolił sobie na jeszcze jedną, tym razem najwyraźniejszą sugestię. Wymienił z imienia i nazwiska uwięzionego Prymasa. I wezwał do jednej konkretnej modlitwy:

Staniemy wszyscy na jasnogórski Apel. Co to jest? Nic trudnego. Codziennie o godz. 21.00 wieczorem przeniesiemy się myślą i modlitwą na Jasną Górę, do Cudownej Kaplicy. Są rodziny, które o tej porze przerywają rozmowę, pracę, stają w milczeniu i na czele z ojcem odmawiają dziesiątek Różańca. Są całe zastępy polskiej akademickiej młodzieży, która to czyni. Gdy powiedziano o tym księdzu Prymasowi – kardynałowi Wyszyńskiemu, odniósł się życzliwie do tego. Potem jednak, kiedy przemyślał tę sprawę, powiedział: „Codziennie o godzinie dziewiątej wieczorem przenoszę się myślą na Jasną Górę, modlę się i błogosławię całemu Narodowi".

Powiedział to, wiedząc, że ludzie zrozumieją i przekażą dalej. Polska będzie się modlić za uwięzionego Prymasa. Jak bardzo chciałby, aby i tu, na Jasnej Górze, w godzinie Apelu zebrali się wierni. Ale to nie było możliwe. Przynajmniej dziś. Bazylika była już zamknięta, kaplica Cudownego Obrazu także. Ojciec Jerzy, jego współbracia oraz Maria Okońska z jeszcze jedną towarzyszką dostali się do zakrystii wewnętrznym przejściem. Ojciec Jerzy sięgnął po klucz i otworzył drzwi

wiodące wprost pod obraz Czarnej Madonny. Stanęli przed ołtarzem. Obraz był zasłonięty, ale przecież Ona tam była!

Zaczęli śpiewać:

Maryjo, Królowo Polski,
Maryjo, Królowo Polski,
Jestem przy Tobie, pamiętam,
Jestem przy Tobie, pamiętam,
Czuwam.

3

W pożyciu z otoczeniem jest bardzo bezpośredni, trudno dostrzec w nim jakąś pychę – ale obok swej bezpośredniości jest szalenie ostrożny i uważający.

Ksiądz Stanisław Skorodecki przerwał pisanie, ziewnął i przetarł oczy.

Czuł się już bardzo zmęczony. Dochodziła dziewiąta wieczorem, a Prymas wprowadził plan dnia, w którym pobudka była przewidziana na piątą rano. Ksiądz z tęsknotą zerknął na łóżko. Zaraz jednak wzdrygnął się na wspomnienie innych pobudek o tej samej porze. Po aresztowaniu zamykano go nagiego w betonowej celi, gdzie znajdowała się jedynie prycza pozbawiona nawet siennika, nie mówiąc już o pościeli. Kiedy indziej był wtrącany do małego bunkra – stał kilkanaście godzin po pas w nieczystościach z kibli więziennych. Gdy wychodził odbywało się „mycie" strumieniem wody pod ciśnieniem kilku atmosfer. Nie, nie chciał tam wracać. Dlatego nie pójdzie do łóżka, tylko dokończy to, co zaczął. Pochylił się nad zeszytem.

Odnosi się wrażenie w rozmowach, że nieraz specjalnie uważa bardzo, aby nie powiedzieć za dużo, czegoś, co skądinąd nie jest znane

otoczeniu. Nie lubi smutku ani zamyśleń, stara się ich uniknąć i innym to radzi, stąd często opowie jakiś żart, jakieś dowcipne słowo rzuci. Bardzo dużo modli się – wspólnie, a i prywatnie dużo czasu spędza w kaplicy. Modli się dużo, szczególnie do N.M. Panny i za naród polski, za zmarłych. Pracuje naukowo, lubi widać tę pracę. Jest bardzo opanowany, nie okazuje zniecierpliwienia, wyrozumiały. Na temat polityki rządu czy Partii mówi niechętnie, i genezę tylko, bardzo ogólnie, to w rzeczach – których jak sam mówi – odnoszą się do sumienia i zasadniczych spraw i obowiązków religijnych społeczeństwa.

Im więcej czasu spędzał z Prymasem, tym gorzej czuł się w roli, którą zaproponowano mu w Rawiczu. Żądali od niego raportów. Dobrze. Będzie je pisał, ale nie po to, by zaszkodzić temu człowiekowi. Kardynał Wyszyński z dnia na dzień coraz bardziej go zdumiewał – i to bynajmniej nie dlatego że był księciem Kościoła, najważniejszą osobą w polskim episkopacie. Stanisławowi imponowała jego niesłychanie wysoka kultura, oczytanie, a przede wszystkim bardzo bezpośredni stosunek do współwięźniów. Spędzali długie godziny na rozmowach, kardynał opowiadał mu o swoich podróżach, o przeczytanych książkach, o pasjach, wśród których znajdowały się także górskie wędrówki, kontakt z przyrodą i miłość do zwierząt. To prawda, Wyszyński utrzymywał pewien dystans, ale Skorodecki miał wrażenie, że to raczej jego naturalna postawa niż ostrożność spowodowana więziennymi warunkami. Pozwolił się nazywać ojcem (tak mówili na niego domownicy w Warszawie) i faktycznie miał w sobie taką postawę. Dostrzegał potrzeby swoich towarzyszy niedoli, troszczył się o nich. Współczuł nawet strażnikom. „Biedni dozorcy – mówił – męczą się jeszcze bardziej niż my". W opuszczonym klasztorze w Stoczku panowało straszne zimno – ściany na korytarzach pokrywał szron. Niech wiedzą, że dla niego oni też są ludźmi.

Czasem pożartuje na ich temat, nazywając ich charakterystycznie z wyglądu, czy z jakichś ich powiedzeń; ale nigdy w tym nie było złości, po prostu żart dla odprężania (jakby uczniowie w szkole nazywali swoich wychowawców we własnym uczniowskim języku, nie znając nazwisk).

No tak, zarzucą mu, że wypisuje laurki, zamiast podać pomocne informacje. Hm, jeśli napisze o Bidzie, to nie będzie to dla nich nic nowego. Sam Prymas mówił im, że ma do niego największy żal.

Jedno wyraźnie dało się dotychczas zauważyć, jak o Prezydencie Bierucie i ministrze Mazurze wyraża się nawet z szacunkiem, tak widać wyraźnie, że ma wielki żal i uprzedzenie do ministra Bidy.

Na dziś wystarczy. Włożył zeszyt pod dywan. Odbiorą sobie rano, gdy Prymas, siostra i on będą w kaplicy.

4

Po raz trzeci Maria znalazła się w tym gmachu. Pierwszy raz – przed siedmiu laty, gdy została aresztowana. Po raz drugi – prawie pięć lat temu, gdy przyszła z Nowym Testamentem od Ojca. I dziś – niespełna trzy miesiące po jego uwięzieniu.

Numer, który podała jej Brystygierowa, nie zmienił się. W słuchawce usłyszała znajomy głos.

– Tu Maria Okońska – powiedziała – chciałabym się z panią zobaczyć.

– Zaraz ktoś po panią przyjdzie.

Te same korytarze, te same drzwi, znany pokój, a w nim wstająca od biurka elegancko ubrana kobieta.

– Pewnie pani przychodzi w związku z aresztowaniem? – zapytała Luna.

– Na ten temat nie chcę z panią rozmawiać. Chciałabym prosić, aby na święta do księdza Prymasa dotarła mała paczka.

– Co miałoby się w niej znajdować?

– Żłóbek gipsowy z Dzieciątkiem Jezus, ziarna pszenicy, hostia do mszy świętej i list.

– Dobrze, wszystko pójdzie. Nie wiem tylko, czy list również.

– Przecież pani jest szefem.

– Tak, ale nie w tej sprawie. Zresztą proszę napisać, zorientujemy się. Marię uderzyło, że Brystygierowa rozmawiała z nią sucho i rzeczowo. Nie było w jej głosie tej ciepłej nuty, która tak ją zadziwiła w czasie poprzednich spotkań.

– Ojcze, wszystko gotowe, prawie wszystko – powiedział ksiądz Skorodecki. Był zmartwiony. Przyszykował w kaplicy żłóbek, brakowało w nim jednak najważniejszego elementu. Nie miał skąd wziąć figurki Jezusa.

– Nie martw się, Stasiu. Najważniejsze, żeby Dzieciątko królowało w naszych sercach.

– No tak, ale jak to tak może być – żłóbek pusty...

Pusty. Tyle miejsc jest dzisiaj pustych. Pusta jest jego katedra, gdzie powinien odprawiać o północy pasterkę, szpitale, z których wyrzucono siostry zakonne, pozbawione katechetów szkoły.

– Stasiu, najważniejsze, że będziemy radośni. *Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów obnażony* – zanucił. – Nie pokazujmy smutnych twarzy Ojcu Niebieskiemu i Matce Bożej. Pomyśl, w niebie taka radość, a my będziemy to zakłócać na ziemi?

Ksiądz Skorodecki westchnął i podreptał do siebie.

Prymas spojrzał za nim i uśmiechnął się. Ksiądz i siostra Leonia towarzyszyli mu od dwóch miesięcy. Stanisława przywieźli z Rawicza, gdzie spędził dwa lata. Podobnie Leonia – tyle że w Grudziądzu. Poznał ich tego wieczoru, gdy z Rywałdu przetransportowano go do Stoczka. Oboje bali się, co sobie o nich pomyśli – że mają go

szpiegować albo służyć jako narzędzia do prowokacji (to były głównie lęki Leonii). Teraz byli już znacznie spokojniejsi, choć nadal mieli niemal instynktowne, z pewnością nabyte w więzieniu odruchy: nerwowe rozglądanie się, ściszanie głosu, ostrożność na każdym kroku. Stanisławowi na wstępie powiedział, że jego kapelanem nie będzie, bo on sam mianuje własnego kapelana, a nie Urząd Bezpieczeństwa. Traktował go jak współbrata – więźnia. Przynosiło to dobre skutki – dużo rozmawiali o sprawach kościelnych i religijnych, często po łacinie, co było też bardzo dobrym ćwiczeniem dla umysłu, uczyli się razem i czytali. Z siostrą było trudniej. Nie chciała czy nie potrafiła dostosować się do określonego przez niego programu, więcej zajmowała się porządkami niż modlitwą, a uspokajała się, froterując zawzięcie podłogę. Spod źle trzymających się desek wydobywały się wciąż pokłady kurzu, ale Leonia nie dawała za wygraną. Prosił ją, by dała spokój, bezskutecznie. Mogła nie jeść, nie spać, nie modlić się – ale froterować musiała. Biedna istota.

Wrócił do pisania. Nagły nadmiar wolnego czasu zagospodarował tak, aby został on wypełniony modlitwą, pracą umysłową i niezbędnym odpoczynkiem. Ustalił szczegółowy plan dnia. Pobudka o piątej, potem modlitwy, rozmyślanie, msza księdza Skorodeckiego, po niej jego msza. Ten pierwszy segment zajmował trzy godziny i piętnaście minut. Wtedy siadali do śniadania, a potem udawali się na spacer. Po trzech kwadransach *Horae minores*[23] i cząstka Różańca, a następnie praca własna aż do trzynastej, gdy jedli obiad. W tym czasie nikt mu nie przeszkadzał. Tym bardziej zdziwił się, gdy około południa rozległo się pukanie.

– Proszę!

[23] Część modlitwy brewiarzowej.

To był komendant. Drugi raz tego samego dnia! Zazwyczaj po śniadaniu pojawiał się zapytać, czy ma jakieś potrzeby lub prośby. Odpowiedź dawał mu zawsze taką samą: „Nowych nie mam, stare pan zna". Tym razem nie pytał.

– Przepraszam, przyszła paczuszka, zdaje się, że od panny Okońskiej – powiedział tylko.

Postawił na stole rozpakowane pudełko i wyszedł. To była już druga paczka w ciągu tygodnia. Poprzednią dostał z domu. Niestety, nie było w niej rzeczy najbardziej oczekiwanej – listu od ojca.

Dotknął ze wzruszeniem tektury. Odchylił papier i zobaczył to, czego się spodziewał. Żłóbek nie będzie pusty!

Tego wieczoru zapisał:

Jak wielka biła radość z oczu księdza Stanisława, tego niezwykle rzetelnego, prawego, młodego księdza, którego doprowadziła do więzienia gorliwość o Boga w duszach dziecięcych!

Listu od ojca nie otrzymałem, choć trudno mi sobie wyobrazić, by paczka była wręczona bez listu. Ale tę chęć okazania mi swej przewagi wybaczam moim opiekunom. Nie zmuszą mnie niczym do tego, bym ich nienawidził.

◇◇

Nie mam przy sobie nic, co nie nosiłoby na sobie śladów cenzury nad moim mózgiem, czynami, życiem… Jest to niezwykle ciężka świadomość dla człowieka stworzonego do wolności… Ale każde cierpienie ma swój głęboki sens, który powoli odsłania się, jak upływają dni i przepływają bóle. To jest sens Boży, nie ludzki… / **Stefan Wyszyński**

5

Antoni Chrościcki spojrzał na zegar wiszący na ścianie, podniósł się z fotela i podszedł do znajdującego się na stoliku radia. Nacisnął plastikowy klawisz w kolorze kości słoniowej. Zapaliła się zielona lampka na środku dużego głośnika wypełniającego całą górną część radioodbiornika.

– Tylko cicho – ostrzegła go Emilia. Obawiała się, że ktoś usłyszy, czego słuchają.

– Nie martw się, inni robią to samo.

Radio zaczęło się nagrzewać. Antoni nacisnął przycisk, nad którym znajdowały się litery SW[24], i pokręcił gałką. Z głośnika wydobywały się szumy i piski, w pewnym momencie usłyszeli sygnał czasu i znajomy sygnał dźwiękowy. Chwilę później słowa: „Tu Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa – głos wolnej Polski".

Za słuchanie audycji nadawanych z Monachium groziła kara do piętnastu lat więzienia, nie zważali jednak na to. Od wielu dni słuchali z zapartym tchem opowieści człowieka, którego sami poznali przed laty w nader nieprzyjemnych okolicznościach, tamtej nocy, 8 grudnia 1944 roku, gdy zostali aresztowani przez NKWD. Kiedy po raz pierwszy usłyszeli głos Światły na falach Wolnej Europy, zamarli ze zdumienia. Czy to możliwe? Uciekł na Zachód? Zdradza najtajniejsze sekrety partii i bezpieki? Ale to nie była pomyłka. Jego głos płynął po falach eteru, odsłaniając kulisy strasznej rzeczywistości, którą większość Polaków znała tylko z zewnątrz, głównie za pośrednictwem

[24] SW – ang. short waves, fale krótkie.

procesów pokazowych żołnierzy AK, księży z kurii krakowskiej, biskupa Kaczmarka. Dziś mieli usłyszeć kolejny odcinek tej opowieści.

Nachylili się do głośnika.

Wszystkie decyzje w sprawie polityki kościelnej w Polsce zapadają w Moskwie – mówił Światło. – Po instrukcje do Moskwy jeździ zawsze Bierut, a wraz z nim Franciszek Mazur, bo do jego kompetencji w Biurze Politycznym należy walka z religią i Kościołem.

Zbieg ujawniał, w jaki sposób zorganizowane są struktury państwowe przeznaczone do zwalczania religii i kto stoi na ich czele. MBP miało jedenaście departamentów, ostatni był odpowiedzialny za prześladowanie wierzących.

Podstawowym instrumentem terroru politycznego i fizycznego wobec duchowieństwa jest XI Departament bezpieki, na której czele stoi oficer sowiecki płk Więckowski, Białorusin z pochodzenia, wychowanek szkoły wywiadowczej NKWD, spadochroniarz zrzucony do Polski w czasie wojny przez wywiad sowiecki. Ten aparat przygotował akt oskarżenia przeciw biskupowi Kaczmarkowi i po jego zatwierdzeniu przez Moskwę wytoczył biskupowi kieleckiemu proces pokazowy. Departament XI również przeprowadził aresztowanie prymasa Polski, księdza kardynała Wyszyńskiego.

– Łobuzy – mruknął Antoni.

– Myślisz, że szykują proces Prymasa? – zapytała Emilia.

– Nawet jeśli tak, to teraz będą musieli to sobie dobrze przemyśleć. Łajdak z tego Światły, ale jak widać, Bóg nawet łajdakiem może się posłużyć, aby bronić swoich.

Bierut i Franciszek Mazur pojechali, za życia Stalina jeszcze, do Moskwy po instrukcje. W rozmowie ze Stalinem Bierut nalegał na natychmiastowe aresztowanie kardynała. I tutaj – nie kto inny, lecz Stalin, powstrzymał te służalcze zapędy, pohamował tow. Bieruta i powiedział, że czas jeszcze na to nie nadszedł. Ale przy tym dodał: „A wot

byłoby charaszo imieť w Polsze swajewo primasa". Ta uwaga na marginesie była dla Bieruta instrukcją obowiązującą – z tym tylko że Stalin nie udzielił jeszcze zezwolenia na aresztowanie natychmiastowe.

Emilia spojrzała na Antoniego i uśmiechnęła się. Obojgu przyszła do głowy ta sama myśl, której nie musieli nawet wypowiadać. Te słowa mogła podpowiedzieć Stalinowi wyłącznie pycha. Chciał nie tylko zniszczyć Kościół, lecz też złamać go moralnie, uczynić z niego powolne narzędzie. I uznał, że jest to możliwe. Przeliczył się jednak. Ciekawe, jak patrzył na to teraz, z innej już perspektywy...

Światło opisał aresztowanie kardynała oraz miejsce, gdzie ostatecznie go osadzono.

Nie przypuszczam, żeby Prymas nadal przebywał w tym klasztorze. Z góry bowiem przewidziano, że kardynał pozostanie tam nie dłużej niż kilka miesięcy. Wiceminister Świetlik powiedział wyraźnie w rozmowie ze mną: „Jest to taki pacjent, którego nie można trzymać dłużej w jednym miejscu, bo zaczęłyby się procesje i pielgrzymki".

Dziękuję Bożej Opatrzności za to, że w trudnym okresie naszych dziejów, po drugiej wojnie światowej, na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia, dała nam tego Prymasa, tego męża Bożego, tego miłośnika Jasnogórskiej Bogarodzicy, tego nieustraszonego sługę Kościoła i Ojczyzny / **Jan Paweł II**

6

Obrazek wysunął się z brewiarza i byłby upadł, gdyby go nie zatrzymał dłonią. Był malutki, przedstawiał związane ręce Jezusa. Dostał go w dniu konsekracji biskupiej na Jasnej Górze, ponad dziewięć lat temu. I potem, gdy jechał na ingres do Gniezna, dostał drugi, tym razem duży obraz: Chrystus ze związanymi dłońmi stoi trzymany za prawe ramię przez żołnierza.

Za niespełna dwa miesiące miną dwa lata od jego uwięzienia. Jedna trzecia prymasowskiej posługi spędzona w odosobnieniu. Przebywał już w trzecim miejscu – na przeciwległym krańcu Polski. Po krótkim pobycie w Rywałdzie i roku spędzonym w Stoczku jesienią poprzedniego roku przewieziono go do Prudnika Śląskiego na Opolszczyźnie. W porównaniu ze Stoczkiem żył tu jak w pięciogwiazdkowym hotelu. Ze Stoczka przywiózł następstwa fatalnych warunków – dokuczały mu nerki, często miewał zawroty głowy, ale nie musiał już czekać miesiąc na konsultację lekarską i dostawał potrzebne lekarstwa z domu. Także inwigilacja zdawała się jakby słabsza. Zasadniczo jednak jego sytuacja nie zmieniła się ani na jotę. Nadal nie miał żadnej możliwości pełnienia swoich obowiązków. W czasie konferencji episkopatu w Krakowie po śmierci Hlonda przekonywał, że biskup musi być blisko diecezjan, tak jak ojciec powinien być w rodzinie, tymczasem teraz... Tak, z jednej strony dzielił los tylu ludzi osadzonych w więzieniu, z drugiej – ani on, ani inni uwięzieni kapłani nie mogli spełniać swojej najważniejszej misji. Chyba najboleśniej przeżywał to w Wielkim Tygodniu, szczególnie w Wielki Czwartek – dzień ustanowienia sakramentu kapłaństwa, myśl ta jednak wracała do niego

często i w innych chwilach, może szczególnie wtedy gdy spoglądał na obrazek Jezusa w pętach.

Rozległo się pukanie. Zazwyczaj o tej porze odwiedzał go komendant.

– Proszę – powiedział.

Kierownik przepuścił przed sobą mężczyznę. Poznał go. Był to jeden z ludzi, którzy przyszli po niego na Miodową.

– Dzień dobry, panu – powitał go Prymas.

– Dzień dobry, księdzu kardynałowi – powiedział ubek. – Jestem przedstawicielem organów bezpieczeństwa z Warszawy.

Kierownik zniknął szybciej, niż się pojawił, zostali sami.

– Nawiązując do próśb, jakie ksiądz kardynał napisał do władz centralnych, chciałbym bezpośrednio w rozmowie dowiedzieć się o zdrowiu księdza kardynała, wysłuchać życzeń w związku z warunkami, w jakich ksiądz kardynał przebywa obecnie.

Prymas uniósł nieco brwi.

– Tak. To wszystko? – zapytał.

Jak do tej pory wszelkie jego pisma kierowane do władz pozostawały bez odpowiedzi. Coś musiało się wydarzyć. Co? Nie wiedział. Ale był pewien, że nastąpiło jakieś rozluźnienie rygorów. Ostatnio zaproponowano mu dostarczanie prasy i choć dostał tylko poświęcony Warszawie tygodnik „Stolica", to i w nim zauważył zmianę tonu. W petycjach do rządu domagał się przywrócenia wolności i powrotu do domu. Siedzący przed nim funkcjonariusz z miejsca zaznaczył, że jest to niemożliwe. Natomiast zaproponował złagodzenie warunków uwięzienia.

– Zmiana warunków ścisłej izolacji byłaby możliwa – powiedział – oczywiście pod pewnymi warunkami, do wypełnienia których ksiądz kardynał musiałby się zobowiązać. A zatem: ksiądz kardynał będzie mógł zamieszkać w jakimś klasztorze wspólnie wybranym przez nas i przez stronę kościelną oraz zastosuje się do zakazu opuszczania

klasztoru. Nie wolno byłoby wypełniać żadnych funkcji publicznych ani też występować publicznie. Ksiądz kardynał zobowiązałby się nie dopuścić do organizowania, ani nawet do prób organizowania petycji czy manifestacji w związku z jego osobą. W takich warunkach izolacja ścisła mogłaby być zmieniona, to znaczy nastąpiłaby zmiana nadzoru władz bezpieczeństwa.

– Proszę pana, najpierw chciałbym zaznaczyć, że nie otrzymałem odpowiedzi nie na dwa, lecz na trzy listy – odparł Prymas. – Czy mógłbym zatem dowiedzieć się, na podstawie jakiej ustawy jestem trzymany w więzieniu?

– Na podstawie uchwały Prezydium Rządu, w oparciu o dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych i pozbawianiu stanowisk kościelnych – odparł jego rozmówca i sięgnął do teczki. – Mam ten dekret przy sobie. W artykule szóstym czytamy:

Uprawianie przez osobę piastującą duchowne stanowisko kościelne działalności sprzecznej z prawem i porządkiem publicznym bądź popieranie lub osłanianie takiej działalności powoduje usunięcie tej osoby z zajmowanego stanowiska przez zwierzchni organ kościelny samoistnie lub na żądanie organów państwowych.

– Dekret, na który się panowie powołują, nie przewiduje przecież aż tak bardzo dalekich i tak drastycznych środków izolacji. Stosowanie jakiejkolwiek kary jest możliwe dopiero na podstawie wyroku sądowego i odpowiedniego kodeksu karnego, podczas gdy tutaj o tym nie ma mowy: nie zastosowano wobec mnie ani kodeksu karnego, ani przewodu sądowego. Każdy przestępca ma prawo zostać wysłuchany. A mnie nawet nie wymieniono przestępstwa i nałożono na mnie karę bardzo dotkliwą, dotkliwszą nawet niż w stosunku do zwykłego więźnia, który ma przecież jakieś uprawnienia. Ja przez długi czas nie mogłem się nawet dowiedzieć, jakie faktycznie mam uprawnienia, i właściwie, ściśle mówiąc, do tej pory wiem tylko, że nie wolno mi nawet

tego, do czego ma prawo zwykły więzień. Bo więzień ma prawo do listów, które otrzymuje, a moje są konfiskowane. Więzień ma prawo do widzenia ze swoimi najbliższymi. Słowem, z pominięciem zasady podstawowej w sądownictwie i w innych organach sprawiedliwości, bez uszanowania tych praw, które ma zwykły więzień, zastosowano wobec mnie tak dotkliwą formę kary; ta kara trwa dwa lata.

Ubek robił skrzętne notatki. Po co? Czyżby tego nie nagrywali? Pokrył zapiskami kolejną kartkę, gdy Prymas zorientował się, że mógłby mówić jeszcze drugie tyle i reakcja byłaby taka sama.

– Jeśli pan uważa, że to niepotrzebne – powiedział – to może tego nie mówić, ale idzie o naświetlenie.

– Proszę bardzo, ja wysłucham, tylko, jak zaznaczyłem na wstępie, decyzja rządu z 24 września 1953 roku jest nieodwołalna. Może być jedynie rozpatrywana sprawa prośby księdza o zmianę warunków. Na ten temat należy rozmawiać, z tym że, tak jak zaznaczyłem, o powrocie do domu mowy być nie może.

– Najbardziej winny człowiek wie, jak długo będzie cierpiał, a ja nie wiem, proszę pana. Niech pan porówna moją sytuację i sytuację mojego sąsiada, księdza. On wie, że za pięć lat jego kara się skończy, a ja tego nie wiem. Czy obywatel w państwie polskim nie ma prawa wiedzieć, kiedy się jego kara skończy? Jakakolwiek odpowiedź na pytanie, które mi pan w tej chwili postawił, równałaby się przyjęciu kary nowej, właściwie bez przedstawienia mojej winy.

– Czy to jest odpowiedź księdza kardynała?

– Panu jest łatwo mówić, ale mnie nie jest łatwo odpowiedzieć na te pytania. Myślę, że mam prawo uzyskać odpowiedź na moje pytania, usłyszeć zarzuty. Powiedział pan, że zmiana warunków izolacji obejmowałaby wspólny wybór klasztoru?

– Z tym że ksiądz kardynał zgodziłby się na zamieszkanie.

– A opuszczanie go? Mam być w granicach budynku czy jakiegoś ogrodu?

– Tak. Nie wolno byłoby wypełniać żadnych funkcji publicznych.

Powtórzył wymienione wcześniej warunki.

– Nie mógłbym więc pojechać do jakiegoś miejsca kuracyjnego ani też do Zakopanego, ani do Krynicy, a ta znaczy dla mnie bardzo dużo.

– Takie są możliwości, takie są warunki, proszę się ustosunkować. Zasadnicza zmiana dotyczy warunków.

– Tak, ale ta zmiana jest podtrzymywaniem kary, proszę pana. Poza tym nie wyobrażam sobie, jak mógłbym zapobiegać petycjom i manifestacjom. Nie mam przecież wpływu na innych ludzi. Nie mogę zobowiązywać się do rzeczy, nad którymi nie mam władzy. Mogę zobowiązać się za siebie, nie mogę za innych.

– Tu chodzi głównie o siebie. Można też wpływać na odwiedzających.

– Czy mogę przebywać na terenie moich diecezji?

– Raczej poza diecezją.

– Czy jest pan tego pewien?

– Raczej tak, poza diecezją.

– Poproszę zatem o czas do namysłu.

– Dobrze. Wrócę o piętnastej.

Trzecia po południu. Kiedyś, pięć lat temu, spotkał się z Brystygierową o piętnastej. W Wielki Piątek.

Czego żądasz ode mnie, Panie? Matko, czy mam się zgodzić?

Klęczał w kaplicy i patrzył na krzyż. Sięgnął po różaniec. Choć była to niedziela, zaczął od tajemnic bolesnych. Modlitwa w Ogrójcu i sen apostołów. Biczowanie i sąd. Pytanie Piłata: *Czy ty jesteś Królem?* Odpowiedź Jezusa: *Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd. Piłat: A więc*

jesteś królem? Jezus: Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie.

Jeśli przyjmie propozycję, zgodzi się z dekretem, zgodzi się z sytuacją, w której jest pozbawiony wolności, domu i pracy. Będzie to zastąpienie niewoli narzuconej niewolą dobrowolną. Będą się pojawiać okazje do zarzutów i konfliktów z władzami. A co z klasztorem, w którym się znajdzie? Przecież skomplikuje życie mieszkańcom i narazi ich na przykrości. Wreszcie wierni. Władze postarają się, aby poinformowano ich w taki sposób, że on sam stanie się dla wielu ludzi słabszej wiary przyczyną zgorszenia.

Wysłannik powrócił o ustalonej godzinie.

– Słucham księdza...

– Zastanowiłem się i rozważyłem warunki. Ja mogę tylko tyle panu powiedzieć, że na to przedłożenie nie mogę się zgodzić. To będzie tylko zmiana kary. Nie widzę powodów, dla których po dwóch latach więzienia miałbym to sobie zamienić na nową karę. Dlatego proszę rząd o sprawiedliwość.

– To nie jest nowa kara. To jest zmiana warunków na lepsze, to jest odpowiedź dla księdza kardynała w związku z jego pismem, w którym prosi o zmianę warunków ze względu na stan zdrowia.

– Ja muszę to uważać za karę. Czytałem apel pana prezydenta Bieruta do Polaków za granicą, aby wracali do kraju, a winy będą im darowane. Pozwólcie panowie, żeby niektórzy w kraju mogli wrócić do pracy.

Mężczyzna wstał.

– No cóż, zobaczymy się za rok – powiedział.

– Jest to groźba!?

– To nie jest groźba. Odwrócił się i wyszedł.

Myśl o odnowieniu Kazimierzowych Ślubów w ich trzechsetlecie zrodziły się w mej duszy w Prudniku, a pobliżu Głogówka, gdzie król i prymas przed trzystu laty myśleli o tym, jak uwolnić Naród z podwójnej niewoli: najazdu obcych sił i niedoli społecznej. Gdy z kolei i mnie przewieziono tym samym niemal szlakiem, z Prudnika na południowy wschód, do czwartego miejsca mego odosobnienia, w góry, jechałem z myślą: Musi powstać nowy Akt Ślubowań Odnowionych!
/ **Stefan Wyszyński**

1955, październik

7

– To wy, Kiemlicze? My spod Częstochowy jedziem?

– A jakże, wasza miłość!

– A gdzie jesteśmy?

– Oho! już w Śląsku. Już nas tu Szwedzi nie dostaną!

– To dobrze! – rzekł Kmicic, oprzytomniawszy zupełnie. – A gdzie nasz miłościwy król rezyduje?

– W Głogowej.

– Tam też pojedziemy panu do nóg się pokłonić, służby ofiarować.

Prymas przerwał na chwilę lekturę Potopu. Lubił wracać do tej książki, choć znał ją bardzo dobrze. Nieodmiennie jednak czerpał wiele radości z kontaktu z dziełem, które opowiadało o jednym z najtrudniejszych okresów w dziejach Polski. Smakował świetne dialogi, plastycznie nakreślone postacie, a przede wszystkim ten zadziwiający

fenomen powstania ojczyzny z tak głębokiego, zdawałoby się, upadku. Najazd Szwedów, całkowite niemal podporządkowanie kraju i nieoczekiwane odwrócenie się losów wojny opisane zostały przez Sienkiewicza ze swadą i kunsztem, które podziwiał za każdym razem, gdy sięgał po drugi tom trylogii.

Dziś czytał powieść po raz kolejny, pierwszy raz jednak w takich okolicznościach. Nie dość, że sam przeżywał bardzo trudny okres życia, to na dodatek znajdował się niemalże dokładnie w miejscu, do którego zmierzał Kmicic po brawurowej ucieczce (z pomocą niezawodnych Kiemliczów, rzecz jasna) od zdrajcy Kuklinowskiego. Król Jan Kazimierz przebywał wszak w Głogowej, niedaleko Prudnika.

Wrócił do lektury, którą przerwało delikatne, doprawdy bardzo delikatne pukanie. Na jego zaproszenie wszedł komendant.

– Bardzo przepraszam, że przychodzę o takiej porze – powiedział. Była 17.30 i rzeczywiście o tej godzinie nie pozwalał sobie na niepokojenie Prymasa. – Z Warszawy przybył przedstawiciel władz i chciałby się widzieć z księdzem kardynałem.

– Nie widzę przeszkód.

Po chwili pojawił się mężczyzna z papierową teczką w ręku. Miał wrażenie, że już go widział. Przypomniał sobie okoliczności tamtego spotkania, gdy jego gość się odezwał.

– Rząd podjął decyzję o zmianie miejsca pobytu Księdza Prymasa – powiedział gość.

Miał ten sam śpiewny wschodni akcent, który usłyszał w noc swojego aresztowania. Ten człowiek dowodził grupą, która aresztowała go przed dwoma z górą laty. Pułkownik Więckowski wyjął z papierowej teczki kartkę z napisanym na maszynie krótkim tekstem.

Zawiadamiam – zaczął czytać – *że Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zezwolił Księdzu Arcybiskupowi Stefanowi Wyszyńskiemu na zmianę wyznaczonego dotychczas miejsca pobytu i na zamieszkanie*

w klasztorze Sióstr Nazaretanek w Komańczy, powiat Sanok, bez prawa opuszczenia nowego miejsca pobytu.

W razie jakichkolwiek prób wykorzystywania możliwości stykania się dla akcji antypaństwowej, w stosunku do winnych wyciągnięte będą konsekwencje. Zawarty w uchwale nr 700 Prezydium Rządu z dnia 24 IX 1953 zakaz wykonywania funkcji, wynikających z piastowanych poprzednio stanowisk kościelnych, oraz zakaz jakichkolwiek wystąpień publicznych pozostaje w mocy.

Dyrektor Urzędu do spraw Wyznań
(Marian Zygmanowski)

„Zobaczymy się za rok" – pomyślał Prymas. W sierpniu chcieli, żeby wyraził swoją zgodę na zmianę miejsca, w październiku sami podjęli taką decyzję.

– Co mam rozumieć przez miejsce pobytu? – zapytał.

– Chodzi o całą Komańczę. Po niej można będzie się poruszać, natomiast nie można wsiąść do samochodu i wyjechać. Proszę się spakować. Wyjazd jutro o szóstej rano.

– A co z moimi towarzyszami? Oboje są chorzy i wymagają opieki.

– Siostra jeszcze jest chora? Zostaną zwolnieni oddzielnie. Oni byli uprzednio sądzeni, sami starali się o przedterminowe zwolnienie; przecież sporo księży wyszło bezterminowo, było dużo różnych amnestii.

nazajutrz

Samochód jechał na wschód. Sięgnął po książkę. Przekartkował ją i szybko znalazł fragment, o którym pomyślał.

Uciszyło się nagle w kościele tak, że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła, i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętymi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

– Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego, i Twoim zmiłowaniem się król, do Twych najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram.

Po strasznym szwedzkim najeździe i po cudownej obronie Jasnej Góry Jan Kazimierz składał śluby w katedrze lwowskiej. Zaczęło się to wszystko od powrotu z wygnania, ze Śląska, gdzie monarcha schronił się przed wrogami. Po trzech wiekach prymas Polski opuszczał Prudnik Śląski i zmierzał na wschód. Udawał się w tym samym kierunku, w którym niegdyś zmierzał Jan Kazimierz.

Powrócił do książki:

(...) obiecuję Tobie, moim, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolą, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktorię nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mym odprawiała się solennie do skończenia świata rozpamiętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!

„Przecież wkrótce minie od tej chwili trzysta lat" – pomyślał Prymas. Powinien powstać nowy akt ślubowań! Trzeba powrócić do tego, co ongiś zaczął król.

8

Czego mogli chcieć? Co też ich przyniosło na ten koniec Polski? Matka Fidelia Targońska z niepokojem szła na spotkanie gości, którzy tego ranka pojawili się w klasztorze. Twierdzili, że przyjechali z Warszawy, z Komitetu Centralnego, a to mogło zapowiadać tylko problemy.

– Jestem przełożoną tego domu – powiedziała po krótkim przywitaniu z dwójką gości, kobietą i mężczyzną. – W czym mogę pomóc?

– Za kilka godzin przyjedzie tu kardynał Stefan Wyszyński – powiedział mężczyzna. – Zamieszka w tym domu.

– Jaak to? – jęknęła i zaraz po kobiecemu uświadomiła sobie, że nie są zupełnie przygotowane na przyjęcie takiego gościa. – Przecież tu nie ma warunków, gdzie my go ugościmy? To książę Kościoła, nie może myć się w misce – wyrzucała z siebie kolejne argumenty, a przez głowę przelatywały jej najgorsze wizje, również ta, że jest to zaledwie wstęp do wyrzucenia nazaretanek z Komańczy, a kto wie, czy nie do zamknięcia ich w jakimś obozie pracy. Wzdrygnęła się na myśl, że mogłoby je spotkać to, co wydarzyło się w poprzednim roku w południowo-zachodniej części kraju. Półtora tysiąca zakonnic wysiedlono z klasztorów i zlikwidowano prawie pół tysiąca domów zakonnych.

– Rząd stwierdził, że obecne miejsce pobytu nie sprzyja zdrowiu Prymasa – powiedział sucho mężczyzna. – Proszę natychmiast polecić gościom, aby się spakowali i wyjechali.

– A co z filmowcami? Tu jest cała ekipa. Robią film o generale Świerczewskim – siostra chwyciła się ostatniej deski ratunku.

Ludzie ci mieszkali na pierwszym piętrze. Generał Świerczewski, komunistyczny wojskowy, który zginął w Bieszczadach z rąk UPA[25], był kreowany na bohatera Polski Ludowej.

Rozmówca siostry uśmiechnął się lekko. Jaka naiwna... Film o Świerczewskim był przykrywką dla grupy operacyjnej UB, która miała zbadać i przygotować teren. Dla zakonnic kable były po prostu kablami, nie odróżniały tych służących do robienia filmu od tych, które należały do instalacji podsłuchowej.

– Właśnie tam gdzie mieszkają, będzie mieszkanie Prymasa. Proszę ich powiadomić, że z ważnych przyczyn państwowych muszą natychmiast opuścić klasztor. Zrozumieją.

Matka Fidelia pojęła, że niczego nie wskóra. Zawinęła habitem i już jej nie było.

– Siostro Natalio!, siostro Natalio! – zawołała, wchodząc do refektarza. Natalia Nemeczek kończyła właśnie śniadanie. – Proszę zawołać siostry. Za parę godzin przyjedzie do nas Prymas, będzie tu mieszkał.

Natalia zerwała się na równe nogi.

– Musimy przyszykować pokoje, ma mieszkać na pierwszym piętrze – mówiła przełożona. – Niech siostra przygotuje pościel, mamy jakąś świeżo wykrochmaloną?

Skinęła głową.

– Ksiądz Prymas ma u nas wracać do zdrowia. Bierzmy się do roboty.

W domu zawrzało jak w ulu. Do obiadu zrobiły, co było do zrobienia. Zaskoczeni goście nie zadawali pytań. Woleli opuścić dom, niż zatrzymać się na dłużej w jakimś ubeckim „sanatorium". Około pierwszej klasztor Nazaretanek był pusty i spokojny.

[25] UPA (Ukraińska Powstańcza Armia) – nacjonalistyczna ukraińska formacja zbrojna.

Po prawie dziesięciu godzinach spędzonych w samochodzie Prymas był zupełnie zdrętwiały. Wysiadł i stanął na chwilę, przyglądając się swojemu nowemu domowi. Klasztor, który oprócz funkcji domu zakonnego spełniał również funkcję letniska, zbudowany był w stylu szwajcarskim, w znacznym stopniu z drewna. Dwupiętrowy gmach z obszernymi tarasami robił sympatyczne wrażenie – była w nim jakaś lekkość, a brakowało jej budowlom, w których przebywał do tej pory. Spróbował zrobić krok naprzód. Poczuł mrowienie w nogach i w krzyżu, przeszło jednak, gdy ruszył w kierunku domu razem ze swoimi opiekunami. W holu zastali kobietę i mężczyznę. Jak usłyszał – przyjechali tu rano, aby przygotować mu miejsce.

– Zaraz będzie tu siostra przełożona, zaprowadzi księdza Prymasa do jego mieszkania – zapewnił nieznajomy.

– Dziękuję.

Stali przez chwilę, milcząc. Zapowiedziana siostra nie pojawiała się.

– Jak ksiądz Prymas będzie spędzał tu czas? – zapytał mężczyzna, zerkając niecierpliwie w stronę korytarza, gdzie spodziewał się zobaczyć zakonnice.

– Jak do tej pory. Myślę, że panowie wiedzą doskonale, co robiłem.

– Teraz warunki zmieniają się radykalnie. Zapewniam, dom jest wygodny, powietrze bardzo zdrowe, można robić długie spacery. Kiedy ksiądz Prymas spodziewa się pierwszych gości?

– Nie myślałem jeszcze o tym.

– Władze powiadomiły episkopat o zmianie warunków pobytu księdza, spodziewam się, że wkrótce ktoś się tu pojawi, może nawet biskup Klepacz.

Prymas skinął głową. Pewnie rozmówca chciał wysondować, co sądzi o człowieku, który przejął władzę w polskim Kościele w tak niechlubnych okolicznościach. Zawiedzie się. Postawę biskupów po jego aresztowaniu trudno było nazwać lojalną. Wiedział o niej tylko tyle,

ile przeczytał w Stoczku ze skrawka „Trybuny Ludu", pozostawionego „przez przypadek" przez jego strażników. Był przekonany, że zrobili to specjalnie, aby go jeszcze pognębić. Postanowił zarazem, że nie da po sobie poznać zawodu, jakiego doznał. Im więcej czasu upływało, tym bardziej był pewien, że dobrze zrobił. Czyż cała polityka władz wobec Kościoła nie dążyła do tworzenia podziałów? Jak bardzo musiało im zależeć, aby po podzieleniu duchowieństwa, czemu służył ruch księży patriotów, podzielić i skłócić ze sobą członków episkopatu.

– Co się dzieje z tymi kobietami? – jego rozmówca zaczynał się niecierpliwić. – Prymas przyjeżdża, a żadna zakonnica jeszcze się nie pojawiła. Do czego to podobne!

Kardynał stał, nie komentując tego wybuchu złości. Po chwili z korytarza wyłoniła się siostra w czarnym habicie nazaretanki. Ukłoniła się tylko i... poszła dalej.

– Nieprawdopodobne! Co one sobie myślą!

– Kiedy one się dowiedziały, że przyjeżdżam? – zapytał Wyszyński.

– Dziś rano.

– No, widzi pan – uśmiechnął się wyrozumiale. – Kobiety nie lubią być zaskakiwane.

Nadeszły kolejne dwie siostry. Te już były bardziej rozmowne.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała nieco drewnianym głosem jedna z nich. – Jestem matka Fidelia, przełożona – uklękła i ucałowała pierścień biskupi Prymasa.

– Przykro mi, że mój przyjazd narobił wam tyle kłopotów – w głosie kardynała brzmiała troska. – Na usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że nie ode mnie to zależało.

Siostra Natalia patrzyła wzruszona na tę scenę. Jeszcze kilka godzin temu spodziewała się zobaczyć kogoś niezwykłego, męczennika za życia, kardynała i Prymasa, o którym już krążyły legendy, tym bogatsze, im uboższa była wiedza o jego prawdziwych losach. Tymczasem stał

przed nią człowiek, owszem, o postawie godnej, ale zarazem bardzo zwyczajny, wyniszczony fizycznie, lecz jednocześnie pogodny. Chyba nie tylko jej przyszły do głowy podobne myśli.

– Ujmującego macie Prymasa – powiedział stojący obok niej członek eskorty.

„My? – pomyślała. – Dlaczego tylko my, a nie oni z nami?"

– Eminencjo, pokażę drogę do pokoju – powiedziała Fidelia. – Jest na pierwszym piętrze, największy ze wszystkich, które mamy, ale bardzo ubogi.

– To bardzo dobrze. W końcu jesteśmy w domu zakonnym, więc praktykowanie ubóstwa powinno być tu normą.

– Panowie bardzo nalegali, żeby urządzić dla Eminencji kaplicę. Obok pokoju znajduje się pomieszczenie, które przylega do kościoła. Tam przygotowałyśmy miejsce do modlitwy.

Weszli na pierwsze piętro i skręcili w prawo. Pokój był rzeczywiście dość obszerny. Konwojenci poustawiali w nim walizki i kartony z książkami.

Na chwilę został sam. Zawiesił palto na wieszaku. Nalał wody z dzbanka do stojącej za parawanem miski i umył ręce. Chłodną wodą natarł skronie – był już ponad dwanaście godzin na nogach i zmęczenie dawało o sobie znać.

Po chwili jedna z sióstr przyniosła obiad. Tradycyjny – rosół na pierwsze i kurczę na drugie.

– Ależ tu macie rarytasy.

– Hodujemy trochę inwentarza – wykrztusiła z trudem zakonnica.

Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, aby zobaczyć, jak bardzo są zmieszane, a może i przerażone nową sytuacją. Musi minąć trochę czasu, żeby się uspokoiły...

Kiedy skończył, ponownie ktoś zapukał. Tym razem był to mężczyzna, który witał go po przyjeździe.

– Przychodzę, aby powiedzieć, że od tej chwili nasza opieka nad księdzem arcybiskupem się kończy i przechodzi do episkopatu Polski. Czy ksiądz kardynał ma jeszcze jakieś życzenia?

– Wiem, że nie wolno mi opuszczać Komańczy. Co mam rozumieć przez „miejscowość Komańcza"?

– Może ksiądz arcybiskup chodzić po całej okolicy, spacerować po lasach i górach, natomiast nie może ksiądz wsiąść w auto i wyjechać.

– Już dalej nie mogliście mnie zawieźć.

– Owszem, można jeszcze jechać do powiatu przemyskiego.

– O ile wiem, to Przemyśl leży na północy. A co mam robić w razie choroby lub konieczności konsultacji lekarskiej?

– W tej sprawie należy się zwrócić do biskupa Klepacza. Coś jeszcze?

Prymas pokręcił przecząco głową.

– W takim razie do widzenia – ubek odwrócił się i wyszedł.

9

Matka podawała mu palto. Sięgnął po nie i zobaczył, że to palto biskupa Kozala.

„Stefan, ubieraj się!" – usłyszał jej polecenie.

Otworzył oczy. Dookoła zalegały ciemności. Odetchnął głębiej. Poczuł zapach drewna. Nie przyzwyczaił się jeszcze do woni swojego nowego domu.

Pomyślał o pogrążonej we śnie Jasnej Górze, powędrował w wyobraźni do Ostrej Bramy. A potem na cmentarz w Andrzejewie, gdzie spoczywała Julianna.

Dziwnie tak się jakoś złożyło, że jego przyjazd do Komańczy zbiegł się z czterdziestą piątą rocznicą śmierci mamy. Wierzył głęboko, że

jej dusza trafiła przed oblicze Boga, prosił ją, by wstawiała się za nim, szczególnie teraz, gdy został pozbawiony wolności.

W zmianie okoliczności swojego odosobnienia widział jednak jakąś nadzieję. Po ludzku rzecz biorąc, wygrał z władzami – w sierpniu nie zgodził się na ich propozycję, w październiku one same zrobiły to, do czego chciały go zmusić. Ale nie chodziło tylko o taki sukces. Było to jak znak z góry. Jakby Ojciec w niebie chciał mu powiedzieć: „Widzisz, to ode mnie zależy, co z tobą zrobią i kiedy, ja wybiorę dobrze, ty tylko bądź roztropny i posłuszny. O resztę nie musisz się martwić".

Do Komańczy przyjechał w sobotę, w przeddzień uroczystości Chrystusa Króla, która zamykała rok kościelny sugestywną wizją Sądu Ostatecznego – Bóg osądzi wszystko i wszystkich. Sprawiedliwie, nie tak jak władza ludowa, która nachodziła w nocy, aresztowała bez przyczyny i zamykała w więzieniu bez sądu. Od nazaretanek dowiedział się, że tamtej nocy, już po jego wywiezieniu, ubecy aresztowali biskupa Baraniaka i osadzili go na Rakowieckiej. Z fragmentarycznych wiadomości dochodzących zza murów wynikało, że ten człowiek tak słabego zdrowia i wysokiej kultury budził wielki szacunek współwięźniów. Pewnie komuniści chcieli uczynić z niego świadka oskarżenia, Bóg jeden wie, ile go męczyli. Widać nie udało im się. Miał poczucie, że jest dłużnikiem Antoniego, tak jak był dłużnikiem Michała Kozala i tylu innych męczonych kapłanów.

Wczoraj wyszedł na długi spacer do lasu. Zachwycał się pięknem bieszczadzkiej przyrody, choć jeszcze zerkał za siebie i na boki, sprawdzając, czy za drzewami nie kryją się jacyś opiekunowie. Nie było nikogo. Był pierwszy dzień listopada – uroczystość Wszystkich Świętych. Znowu wróciły do niego myśli, które zrodziły się podczas lektury *Potopu*. Jeśli sprawa odnowienia ślubów Jana Kazimierza ma rzeczywiście ruszyć, to powinno się niezwłocznie przystąpić do pracy.

Nie miał wątpliwości, że impuls musi wyjść z Jasnej Góry i że tam powinien nastąpić ten uroczysty akt.

Zapalił naftową lampę i spojrzał na zegarek. Piąta rano. Nic dziwnego, że jeszcze ciemno. Wstał. Dzisiejszego poranka, inaczej niż we wszystkie pozostałe dni w roku, odprawi trzy msze. Przywilej ten przysługiwał każdemu księdzu w Dzień Zaduszny poświęcony duszom czekającym w czyśćcu na wejście do nieba. Więzienie nauczyło go chyba lepiej rozumieć i ten stan, w którym cierpienie przeplatało się z radością. Cierpienie – bo dusza oczyszczała się w mękach, z których największą było to, że nie mogła jeszcze oglądać Boga, radość – bo wiedziała, że to służy jej dobru i że w końcu spotka się z Nim twarzą w twarz.

W każdym razie jedna z jego tęsknot okresu uwięzienia miała dziś zostać zaspokojona. Przedwczoraj otrzymał depeszę: *Przyjadę w towarzystwie Zygmunta i Ojca w prywatne odwiedziny, środa drugiego listopada około godziny piętnastej – biskup Klepacz.*

10

Biskup Michał Klepacz wyciągnął z teczki gazetę i położył ją przed Prymasem. Wyszyński wziął ją bez słowa. Przyjrzał się pierwszej stronie. Było to, nieco już pożółkłe, „Słowo Powszechne" z 29 września 1955 roku. Obok siebie zestawiono cztery dokumenty: komunikat rządowy, deklarację episkopatu, informację o wyborze przewodniczącego episkopatu i oświadczenie Cyrankiewicza. Deklaracja biskupów była wiernopoddańcza wobec władz, ale nie wspominała o jego osobie. Docenił to. Rząd jednak był sprytniejszy. Jego komunikat mówił wprost:

W związku z uchwałą Rządu o pozbawieniu ks. arcybiskupa Stefana WYSZYŃSKIEGO jego funkcji Episkopat, po powzięciu uchwał zabezpieczających ciągłość kierownictwa pracą konferencji Episkopatu, zwrócił się do Rządu o wyrażenie zgody, aby ks. arcybiskup Wyszyński mógł zamieszkać w jednym z klasztorów. Na tę propozycję Rząd wyraził zgodę.

Prymas podniósł oczy i spojrzał na siedzących przed nim biskupów.

– „Episkopat zwrócił się do rządu..." – powtórzył ze smutkiem.

– Prosimy o wybaczenie. Chcieliśmy ratować księdza Prymasa przed więzieniem – powiedział Klepacz. – Stwierdziliśmy, że klasztor jest mniejszym złem.

– Ja już dawno wybaczyłem – na twarzach swoich gości dostrzegł ulgę – ale ludzie, którzy to czytali, uznali, że bracia w biskupstwie zgodzili się na uwięzienie Prymasa i właściwie wzięli za to odpowiedzialność.

– Chcieliśmy być wierni linii Eminencji, ocalić, co było do ocalenia. Rząd dyktował wszystko, określił, kto ma być przewodniczącym episkopatu, a w razie nieposłuszeństwa zagroził dalszymi aresztowaniami biskupów. Diecezje pozostałyby bez pasterzy.

– Księża biskupi dali się oszukać rządowi grającemu na tworzenie podziałów między episkopatem a narodem. Rozumiem, że działaliście pod presją i nie dano wam czasu do namysłu. Być może, gdybyście mieli więcej czasu, zrozumielibyście, jaką siłą jest nasze katolickie społeczeństwo. Władze są tego świadome bardziej niż wy i dlatego postępują tak, jak postępują.

– Przed wyjazdem z Warszawy mieliśmy spotkanie z panem Mazurem – powiedział Choromański.

– I cóż on ma do powiedzenia? Zaraz, a jak się czuje? Pamiętam, że przed moim aresztowaniem gnębiły go jakieś choroby. Trzeba przyznać, że dzielnie to znosił.

– Czuje się chyba nieźle. Pytaliśmy go o możliwość całkowitego zwolnienia księdza Prymasa – Choromański przerwał na chwilę. – Istnieje taka możliwość, w razie gdyby Eminencja zrezygnował z prymasostwa.

Wyszyński zacisnął mocniej ręce na oparciu fotela.

– Czy mam zapytać, jaka jest opinia księży biskupów w tej sprawie?

Zaległo niezręczne milczenie.

– Proszę przekazać panu Mazurowi i komukolwiek, z kim będziecie rozmawiać, że absolutnie się na to nie zgodzę. Nie ja mianowałem siebie na to stanowisko, lecz uczynił to papież, i nie mnie decydować o rezygnacji. Wolę tu siedzieć pozbawiony wolności jako prymas, niż być wolnym i żyć ze świadomością, że nie byłem posłuszny Ojcu Świętemu.

– A co ma robić episkopat?

– Lepiej nie zadawać takich pytań, bo może się okazać, że „Prymas wywiera naciski na biskupów", i zabiorą mnie z tego pięknego miejsca. Chociaż wydaje mi się, że wolność jest bliżej niż dalej. Zostawmy to w rękach Opatrzności. Po południu opowiecie mi, co się dzieje w Warszawie i w Gnieźnie. A teraz, wybaczcie, chciałbym porozmawiać z ojcem.

Klepacz i Choromański opuścili pokój. Po chwili siostry nazaretanki wprowadziły Stanisława Wyszyńskiego. Starzec na widok syna ukląkł. Kardynał również padł na kolana. Chwycił ręce ojca i zaczął je całować.

Obudziłem się przed piątą minut dwadzieścia dręczony snem / **Stefan Wyszyński**

11

Znał dobrze tego mężczyznę. Prosty nos, starannie przystrzyżone wąsy, zaczesane do tyłu ciemne włosy. Bierut?

Widział siebie wychodzącego z jakiegoś wielkiego budynku, żegnającego się z prezydentem ze świadomością, że odbyli trudną rozmowę i mają się rozstać. Ruszył w kierunku wyjścia, o dziwo – Bierut podążył za nim. Zaniepokoiło go to. Co pomyślą ludzie, gdy zobaczą Prymasa spacerującego w towarzystwie towarzysza Tomasza? Zdziwił się, widząc, że scena rozgrywa się jakby w Lublinie, ulica przypominała Aleje Racławickie. Zatrzymali się na skrzyżowaniu, ale Bierut skręcił i przeszedł po przekątnej. „Jemu wszystko wolno, nawet łamać przepisy ruchu" – pomyślał. Prezydent zniknął w jakiejś ulicy, a on, przechodząc na drugą stronę, natknął się na dwa groźnie wyglądające kozły. Wzbudziły jego lęk, jednak minął je, rozglądając się za zagubionym towarzyszem. „Czy warto?" – zapytał spacerujący z nim ksiądz. On jednak czuł, że między nim a Bierutem nie wszystko jeszcze zostało zakończone. Poszedł dalej i... obudził się.

Zegarek wskazywał czwartą czterdzieści.

Pomodlił się za tego człowieka. Po odprawieniu mszy poszedł na śniadanie. Ledwo skończył jeść, gdy wszedł ksiądz Antoni Porębski z Sanoka.

– Proszę zgadnąć, co się stało – powiedział.

– Księże prałacie, za stary jestem na zgaduj-zgadulę.

Porębski odczekał chwilę dla większego efektu.

– W radiu podali, że umarł Bierut – wypalił.

Prymas przeżegnał się.

– Kiedy?

Odwrócił się do nich
i nakreślił
znak
krzyża.

Setki rąk jak na komendę,
dotknęły głów,
piersi i ramion.

– Wczoraj wieczorem. W Moskwie. Pojechał na zjazd partii bolszewickiej. Pojechał w futerku, wróci w kuferku. To może wiele zmienić...

Milczał. Bierut umarł w Moskwie, gdzie zgodził się na pozbawienie Polski jednej trzeciej terytorium i gdzie przyjmował rozkazy dotyczące walki z Kościołem. Był przekonanym ateistą. Aż do wczoraj. Teraz już wie, że Bóg jest i że jednak jest Miłością. Jest zatem po właściwej stronie. Czy na pewno? Dziś wypadała rocznica koronacji Piusa XII, który obłożył Bieruta ekskomuniką za to, że władza pozbawiła wolności prymasa Polski. Czyli to w jakiś sposób z jego powodu między prezydentem a Bogiem stanęła poważna przeszkoda. Tym bardziej więc powinien się za niego modlić.

Zaraz, zaraz, przecież Bierut przyśnił mu się dzisiejszej nocy. Zapomniał o tym zupełnie, tak jak zwykle – gdy wstawał, nie pamiętał, co było treścią jego snów. W ciągu dnia obrazy te na nowo zaczęły do niego wracać, bardzo wyraźnie i ze szczegółami.

– Uwierzcie mi albo nie, ale prezydent przyśnił mi się dzisiaj w nocy – powiedział wieczorem księżom jedzącym z nim kolację. – Wiemy, że istnieje communio sanctorum – świętych obcowanie. Ale istnieje też komunikacja duchów. Wiele modliłem się za prezydenta i dziś mi się przyśnił. Może przyszedł po pomoc. Dlatego też przez najbliższe dni nie będziemy wychodzić z domu i będziemy pokutować. Jutro odprawię za niego mszę. Niech Bóg okaże mu miłosierdzie.

Wieczorem zanotuje:

Oglądałem się za nim we śnie – i nie zapomnę o pomocy modlitwy. Może wszyscy o nim zapomną rychło, może się go wkrótce wyrzekną, jak dziś wyrzekają się Stalina – ale ja tego nie uczynię. Tego wymaga ode mnie moje chrześcijaństwo.

12

– Ojciec napisze nowy tekst ślubów!

Alojzy Wrzalik, generał paulinów, spojrzał na Marię Okońską z pewnym niedowierzaniem, a jednocześnie z podziwem. Do 26 sierpnia pozostało niewiele ponad pięć miesięcy, a tekstu ślubowań wciąż nie było. Marysia była przekonana, że jest tylko jedna osoba, która mogłaby je napisać i wygłosić. Ale Prymas siedział w Komańczy... Co gorsza, władze zaczynały piętrzyć trudności i wywierały nacisk na biskupów, aby zrezygnować z programu Roku Ślubów Narodowych z okazji 300-lecia ślubów Jana Kazimierza. Znając ugodowość biskupa Klepacza, można się było spodziewać, że ulegną. Co wówczas?

– Marysiu, jest tylko jeden sposób – powiedział Wrzalik. – Musisz pojechać do Komańczy i poprosić o to Prymasa.

– Jak to pojechać? Przecież postanowiłam nie ruszać się z Jasnej Góry, dopóki nie zostanie zwolniony z więzienia!

Maria ślubowała Maryi, że pozostanie jej dobrowolnym więźniem tak długo, jak długo Ojciec będzie więźniem przymusowym.

– Może niedługo wyjdzie? – zastanawiał się zakonnik. – Teraz, po śmierci Bieruta, coś chyba drgnie... Tak czy siak, powinnaś jechać, a ja jako duchowny i w dodatku generał paulinów mam prawo zwolnić cię z tego ślubu, co niniejszym czynię.

Z balkoniku przylegającego do kaplicy spojrzał na kościół, który jutrzejszego poranka zapełni się ludźmi trzymającymi w rękach palmy. W tym roku Niedziela Palmowa wypadała 25 marca, kiedy zazwyczaj obchodzono Zwiastowanie. Minie dziesięć lat od dnia, gdy usłyszał, że ma być biskupem.

Otworzył lekcjonarz i zagłębił się w opis wjazdu Jezusa do Jerozolimy. Wielki Tydzień zaczynał się od ludzkiego uniesienia, podobnego do tego, którego był świadkiem w dniu swojego ingresu do Warszawy. Tamto przeczucie o chwili chwały i latach trudu sprawdziło się z nawiązką. Wkraczał w swój trzeci Wielki Tydzień w niewoli, tęskniąc za odprawieniem mszy w swojej katedrze, wśród swoich kapłanów i wiernych. Pragnął tego bardziej niż samej wolności.

Jednak im więcej czasu spędzał w więzieniu, tym bardziej był pewien, że jest to potrzebne. Najbardziej jemu samemu... Pius XII mianował go kardynałem, ale insygniów kardynalskich z rąk papieża nie odebrał. Nie założył biretu i purpurowej piuski ani purpurowego płaszcza. Może w ten sposób Bóg ocalił go przed pokusą pychy? Dziś lepiej rozumie, że purpurowy płaszcz jest pamiątką purpury narzuconej na Jezusa z rozkazu Piłata, a pierwsza purpurowa piuska to była korona cierniowa, która wytłoczyła krwawe rany na głowie Zbawiciela.

Polscy księża mieszkający w Rzymie przysłali mu po nominacji purpurowy płaszcz. Płaszcz ten, z polecenia ministra Bidy, trafił do teatru, gdzie tak zwani artyści używali go w przedstawieniu szydzącym z kardynałów Kościoła.

Zaczął czytać opis Męki Pańskiej. Czuwanie w Ogrodzie Oliwnym, sen apostołów, odważne Jezusowe: „Wstańcie, chodźmy!", zaparcie się Piotra. Znane na pamięć pytania Piłata: „Czy Ty jesteś królem?" i „Cóż to jest prawda?". Sąd, wyrok, Droga Krzyżowa.

Usłyszał pukanie. Otworzył drzwi, za którymi stały Marysia i Janka.

– Ojcze!

– Dzieci moje!

Rzuciły mu się do rąk. Chwycił Marię pod łokcie i uniósł z kolan.

– Jak to dobrze, że jesteście.

– Przyjeżdżamy prosto z Jasnej Góry. Mamy przepustkę na trzy miesiące.

– Jak wam się to udało? Ostatnio nikogo do mnie nie puszczają.

– Poszłam do Brystygierowej. Na początku nie chciała, ale w końcu się zgodziła. To wszystko przez ujawnienie tego listu.

Podczas poprzedniego pobytu Marysi w Komańczy Prymas przekazał jej prywatny list do ojca Wrzalika. List ten w niewyjaśnionych okolicznościach został skopiowany i zaczął krążyć po Polsce.

– Przejdźmy się – zaproponował kardynał.

– Ojcze, już robi się wieczór.

– Tu są piękne wieczory – powiedział, patrząc wymownie na ściany i dotykając dłonią ucha.

No tak, podsłuch!

Poszli w kierunku figury Maryi.

– Niedawno dowiedziałem się, że wystawił ją pewien kuracjusz, którego tu przed wojną ukąsiła żmija – opowiadał po drodze. – Nie miał gdzie szukać ratunku. Pomodlił się do Matki Bożej i opuchlizna znikła. A w czasie wojny Niemcy złapali tu akowca. To było w sylwestra. Trzymali go w klasztorze. W Nowy Rok mieli go rozstrzelać. Uciekł im. Był ranny, zostawiał po sobie ślady krwi na śniegu. Doczołgał się tutaj. W tym miejscu ślady znikły. Pościg go nie dopadł. Potem siostry dostały od niego kartkę z Węgier. Ciekawe, co? No, mówcie, z czym przyjeżdżacie.

– Przysyłają nas ojcowie paulini – zaczęła Maria. – Proszą, aby Ojciec napisał śluby na sierpniową uroczystość.

– Były śluby królewskie, teraz będą prymasowskie – dodała Janka.

– Marysiu, ja nie mogę.

– Jak to, Ojcze? Tylko Ojciec może je napisać.

– Jestem więźniem. Więźniowie nie mają praw. Uwięziony Prymas pisać ślubów narodu nie może.

W ciszy wracali do domu.

Jest to dalszy ciąg dziejów Narodu, który wspina się nieustannie wzwyż i nie da się pogrążyć w odmętach. Naród ten wie, co znaczy: „w górę serca" – sursum corda! / **Stefan Wyszyński**

1956, maj

13

Już drugi miesiąc przebywały w Komańczy i jak dotąd nie znalazły sposobu, żeby przekonać Ojca. On sam wyglądał na coraz smutniejszego. Wiedziały, że coś go męczy, czuły, że cierpi, a pozorna swoboda, możliwość rozkoszowania się pięknem przyrody i mieszkaniem w dobrych warunkach wcale go nie pocieszają.

Nadal – podobnie jak w poprzednich miejscach odosobnienia – przestrzegał dokładnego planu zajęć, nadal starał się, aby jego dni były wypełnione, ale wyraźnie brakowało mu tej aktywności, do której przywykł przez lata pracy duszpasterskiej.

Patrząc na jego cierpienie, Janina przypomniała sobie opowiadanie znajomej koleżanki, której ojciec, jeszcze przed wojną, został zwolniony z wojska z powodu niepochlebnego komentarza pod adresem władz sanacyjnych. Dwa lata przymusowego bezrobocia były strasznie trudne dla całej rodziny – nie ze względów materialnych (mieli sporo oszczędności), lecz z powodu kondycji psychicznej taty. Zamknął się w sobie, godzinami nie wychodził z gabinetu, rozpogadzał się tylko wtedy, gdy pracował fizycznie w ogrodzie. „Ojciec potrzebował pracy jak tlenu" – mówiła jej koleżanka.

Pracą Prymasa z pewnością nie było ani chodzenie po bieszczadzkich połoninach, ani czytanie zaległej prasy. Był odpowiedzialny za dwie diecezje i za Kościół w Polsce, za setki księży, za duszpasterstwo – i nie mógł nic zrobić. Jego miejsce było przy ołtarzu, na ambonie, wśród biskupów i księży. Wyraźnie brakowało mu też męskiego towarzystwa. Kiedy w czasie okupacji prosiły go, aby się nimi zaopiekował, mówił, że nie ma doświadczenia w pracy z kobietami. Przed wojną duszpasterzował przede wszystkim mężczyznom, po wojnie obracał się też w męskim gronie. A teraz był otoczony przez kobiety. Władze, w ramach represji po ujawnionym liście, nie pozwoliły nawet na przyjazd jego kapelana księdza Padacza, który miał mu towarzyszyć w Wielkim Tygodniu. Biskup nie miał przy sobie ani jednego swojego kapłana. Strasznie go to bolało.

Rozpogadzał się, wychodząc na spacer, ale i wtedy bywało, że twarz mu pochmurniała, jak wówczas gdy wyszli na łąkę pokrytą śnieżyczkami. Spojrzał do tyłu, na linii jego kroków widniały zdeptane główki i rozgniecione listki.

– Tak wygląda moje dzieło i moja praca – powiedział, patrząc na wydeptaną ścieżkę. – Tylko Chrystus niczego nie zdepcze, wszystko osłoni. A ja? Zawsze mi to źle wychodziło, niefortunnemu „ojcu". Może udawało mi się to trochę, kiedym pracował z młodzieżą z „Odrodzenia", ale dziś? Zatraciłem umiejętność oddziaływania, zgrubiały mi dusza i serce.

Ominął pozostałe kwiaty, patrząc na nie z oddali.

To zdarzyło się przed miesiącem, teraz wiosna wybuchła już w całej pełni. Starały się wyciągać go jak najczęściej na łąki, licząc, że widok rozkwitającego życia wleje w niego nową siłę, że w końcu napisze śluby. Czas jednak mijał, nieubłaganie zbliżał się moment, w którym będą musiały opuścić Komańczę, tymczasem on unikał tego tematu.

Maria zbierała polne kwiaty i modliła się. Kilka dni temu było Wniebowstąpienie. Jezus po Zmartwychwstaniu spędził czterdzieści dni z uczniami, a potem odszedł do nieba, obiecując zesłanie Ducha Świętego. Dużo myślała o Maryi, wokół której w Wieczerniku zgromadzili się apostołowie. Modliła się, coraz intensywniej, jak wówczas gdy siedziała w więzieniu. Schyliła się i sięgnęła po kwiat. W tym momencie zrozumiała. Pobiegła w stronę Ojca, który zdążył się już oddalić.

– Tateńku, dziś chrześcijanie cierpią chyba tak jak w pierwszych wiekach – powiedziała niewinnie.

– Może nawet bardziej – odpowiedział poważnie.

– Wtedy ich zabijali i teraz giną, wtedy siedzieli w więzieniach i teraz dzieje się to samo.

– Chociaż pewnie nie mieli takiego luksusowego więzienia jak moje.

– Więzienie jest więzieniem dopóty, dopóki nie ma wolności.

– Masz rację. A co ci się zebrało na takie rozmowy?

– A, bo pomyślałam o świętym Pawle. On dużo siedział w różnych więzieniach.

– To prawda.

– I z więzienia pisał listy.

– Bardzo piękne zresztą.

– To Ojciec, który jest uwięziony, też mógłby napisać do ludzi. Tekst ślubów.

Milczał. Jej słowa dotknęły jakiejś zapomnianej struny w jego duszy. Postanowił sobie, że przyjmie niewolę, ofiarując Bogu wszystko, co z niej wynikało, także najgorsze cierpienie bezczynności i milczenia. Dopóki nie będzie wolny, dopóty nie będzie wykonywał obowiązków prymasa, nawet tych, które teoretycznie mógłby sprawować za pomocą listów. Jednak śluby to było coś specjalnego. Chciał i to oddać, ale słowa Marysi uświadomiły mu, że wola Boga mogła być inna.

Następnego ranka wstał jeszcze wcześniej niż zwykle. Zajęło mu to dwie godziny. Kiedy wszedł do kaplicy, Marysia klęczała, czekając na mszę. Bez słowa położył przed nią plik kartek.

◇◇

Wpatrywał się w Chrystusa jako Sługę naszego Odkupienia. Z głębokim przejęciem dokonywał w tutejszej katedrze liturgii umywania nóg w Wielki Czwartek, mając w pamięci te słowa Mistrza: Nie przyszedłem, aby Mi służono, ale — abym służył (por. Mt 20, 28; Mk 10, 45). A gdy nie mógł wypełnić tej biskupiej posługi, pisał z bólem: "... już trzeci raz przeżywam swój straszny Wielki Czwartek... Nie podam moim uczniom Ciebie... Moja katedra prymasowska dziś bez biskupa, którego Duch Święty dla Kościoła pragnie. Mój Wielki Tydzień cały jest Ogrójcem — raz jeszcze... / **Jan Paweł II**

1956, sierpień

14

Szło się dość lekko, chociaż musieli uważać, żeby się nie poślizgnąć na mokrej trawie. Trochę na pamięć schodzili w stronę Komańczy. Było już ciemno, ale Janek nie przejmował się tym zbytnio, ponieważ dobrze znał Bieszczady i kiedyś nawet znakował tu szlaki turystyczne. Zgodnie z jego przewidywaniami dotarli do Osławicy, płytkiej rzeczki, przez którą mieli przejść w bród.

– Dobra, zdejmujcie buty i idziemy. Już niedaleko – powiedział i sam nachylił się, żeby ściągnąć pionierki.

Ksiądz Karol Wojtyła, zwany w tym gronie Wujkiem, zrzucił na ziemię swój ogromny plecak, w którym nosił paramenty liturgiczne potrzebne do odprawienia mszy. Wśród nich był również portatyl – kilkukilogramowy kamień z relikwią, każdorazowo umieszczany na ołtarzu polowym. Zrzucił buty, podwinął nogawki i ponownie władował sobie bagaż na plecy.

– Oddział za mną, marsz! – zakomenderował żartobliwie Janek.

Weszli do rzeki. Kilka minut później byli już na drugim brzegu. Rozsiedli się, żeby włożyć z powrotem buty.

– Stać! Ręce do góry! – bieszczadzką ciszę przeszył głośny krzyk.

Zerwali się na równe nogi i w tej chwili zobaczyli, że są otoczeni przez oddział żołnierzy celujących do nich z karabinów.

– Nie ruszać się! – polecił jeden z żołnierzy, najpewniej dowódca.

Z pistoletem w dłoni zbliżył się do grupy. – Coście za jedni?

– Turyści. Idziemy do Komańczy – odpowiedział Janek.

– Do Komańczy? To teren przygraniczny! Tu nie wolno chodzić!

– Nie wiedzieliśmy. Przecież do granicy jeszcze spory kawał drogi.

– Ostatnio poszerzono tę strefę. Pokażcie papiery.

Przewodnik sięgnął do plecaka i wyciągnął zaświadczenie z PTTK.

– Niby się zgadza – powiedział żołnierz, czytając dokument w świetle latarki. – Ale pójdziemy na posterunek. Sprawdzimy to.

Chcąc nie chcąc, pod eskortą uzbrojonego oddziału poszli do strażnicy.

– Papiery są w porządku – stwierdził dowódca, gdy porównał zezwolenie z PTTK z ich dowodami osobistymi. – Ale kręcić się tutaj nie możecie.

– Przenocujemy tutaj, a jutro pójdziemy w kierunku Duszatyna.

– Na strychu jest trochę siana, tam możecie się rozłożyć – zaproponował oficer.

Młodzi turyści byli tak zmęczeni, że szybko posnęli. Tylko Wojtyła wyciągnął z plecaka latarkę i brewiarz. Otworzył książkę na tekstach przypadających na dzisiejszy dzień. 2 sierpnia – świętego Stefana.

Domyślał się, dlaczego wpadli na żołnierzy. Po Krakowie chodziły słuchy, że aresztowanego przed prawie trzema laty Prymasa osadzono gdzieś w Bieszczadach. A zatem żołnierze bronili dostępu do Komańczy. Poszerzenie strefy przygranicznej było zabiegiem władz, które nie chciały, aby miejsce to stało się ośrodkiem pielgrzymek ludzi do uwięzionego kardynała.

Tymczasem oni dziwnym trafem znaleźli się tak blisko niego akurat w dniu jego imienin. Mało kto w Polsce pamiętał, że pierwotnym polskim odpowiednikiem tego imienia jest Szczepan. Mało kto pamiętał też, że jutro, 3 sierpnia, Prymas będzie obchodził swoje pięćdziesiąte piąte urodziny.

Trzeba przyznać, że rodzice nadali mu prorocze imię. Szczepan był pierwszym męczennikiem Kościoła, diakonem, którego ukamienowano w Jerozolimie w obecności faryzeusza Szawła – tego samego, który pod Damaszkiem doznał gwałtownego nawrócenia i przeobraził się w Apostoła Narodów Pawła. Karol znał też na tyle dobrze grekę, aby wiedzieć, że słowo *stéphanos* wywodzi się od słowa oznaczającego „wieniec zwycięstwa".

Zwycięstwo.

Kiedy widział Prymasa podczas pogrzebu Sapiehy, odniósł wrażenie, że nie ma człowieka bardziej samotnego od niego. Samotnego nie z wyboru, ale z odpowiedzialności, jaka na nim spoczęła. Podziwiał go, lecz i współczuł mu zarazem. W jakże innej sytuacji był on – młody ksiądz, któremu kilka miesięcy później arcybiskup Baziak polecił zrezygnować z duszpasterstwa w parafii Świętego Floriana i zająć się przygotowaniem habilitacji. Z formalnego punktu widzenia przestał być odpowiedzialny za jakichkolwiek ludzi. Ale ludzie garnęli się do

niego – szczególnie młodzi – i z tego nie mógł ani nie chciał zrezygnować. Dlatego zresztą znaleźli się tutaj – bo zwyczajem się stało, że grupa, która nazwała się Rodzinką, spędzała wakacje wspólnie z Wujkiem Karolem. Wybierali zazwyczaj takie miejsca, gdzie mogli się cieszyć bliskim kontaktem z przyrodą i oddychać wolnością – bez narażania się na kłopotliwe spotkania i konieczność ukrywania, że jest z nimi ksiądz, że codziennie uczestniczą we mszy i modlą się.

Myśl Wojtyły pobiegła do nieodległego a znanego mu dobrze domu nazaretanek w Komańczy. Pewnie Prymas kładzie się do spoczynku. Samotny, uwięziony pasterz bez owiec. Karol skierował światło latarki na tekst brewiarza. Prymas nie wie, że w pobliżu znajduje się grupa młodych ludzi z księdzem, który jutro, pod bokiem żołnierzy, odprawi dla nich mszę – jak niegdyś czynili to rzymscy chrześcijanie w katakumbach. Wystarczy, że wie Pan Bóg. Tę mszę odprawi za Stefana, kardynała.

15

Ojciec Jerzy Tomziński podszedł do pustego fotela, nad którym znajdował się herb Prymasa. Przeor Jasnej Góry położył na nim biało-czerwone goździki i spojrzał w dół na Błonia przed jasnogórskim klasztorem. „Co najmniej milion" – stwierdził, patrząc na rzeszę ludzi pod wałami klasztoru.

Paulin cieszył się jak dziecko. Skomplikowana akcja przyniosła nieprawdopodobne rezultaty. Marysia przywiozła z Komańczy teksty Ślubów Jasnogórskich, które ojciec przeor w głębokiej tajemnicy przechował aż do dzisiejszego dnia. Prymas, rozstając się z nią w Komańczy, powiedział, że tekst ślubów ma odczytać biskup Klepacz, jako sprawujący obowiązki przewodniczącego Konferencji

Episkopatu, a jeśli to nie będzie możliwe – to generał paulinów, gdyby zaś jemu przeszkodzono – to przeor, a gdyby i jemu to uniemożliwiono, to niech odczyta je jasnogórski kuchcik. Nikt nie przeszkodził.

Dziewczęta z Ósemki zajęły się rozesłaniem zaproszeń. Przygotowano osiem tysięcy listów do parafii w całej Polsce. Aby uniknąć cenzury, młodzi rozjechali się do różnych miast. Wrzucali listy do różnych skrzynek – dzięki temu akcja nie zwróciła uwagi UB. Zorientowało się dopiero wtedy, gdy zaczęły się przygotowania do pielgrzymek. Ludzie odpowiedzieli masowo. Pewnie i dlatego że klimat w Polsce bardzo się zmienił. W czerwcu w Poznaniu doszło do robotniczych protestów i walk. Były ofiary śmiertelne. Ustrój, który nazywał się ludowym i robotniczym, rękami milicji i żołnierzy mordował robotników. W Polakach narastał opór, wiedza o tym, co robi bezpieka, była coraz powszechniejsza, a nieobecność uwięzionego od trzech lat Prymasa coraz bardziej widoczna.

Paulin wpadł na pomysł, aby podczas uroczystości odnowienia ślubów jeszcze bardziej to podkreślić. Pusty fotel z herbem kardynała był aż nadto wymownym znakiem. Nie wszyscy go jednak zobaczą. Morze ludzkich głów sięgało hen głęboko, aż w aleję Najświętszej Maryi Panny. Jerzy zbliżył się do mikrofonu.

– Łączymy się z naszym kochanym księdzem kardynałem prymasem Polski, który w tej chwili, w swym odosobnieniu, rozpoczyna mszę świętą w naszej intencji – powiedział. – Chociaż z nami być nie może, razem z nami się modli.

Prymas Stefan Wyszyński zdjął stułę i ucałował wyhaftowany na niej mały krzyżyk. Wrócił do kaplicy i ukląkł na kilka minut. Potem poszedł do swojego pokoju. Sięgnął po brulion i zaczął pisać:

Dzień Ślubów Narodu na Jasnej Górze. Teraz wiem prawdziwie, że jestem Twoim, Królowo świata i Królowo Polski, niewolnikiem. Bo

dziś, w dniu wielkiego święta Narodu katolickiego, każdy, kto tylko zapragnie, może stanąć pod Jasną Górą. A ja mam pełne do tego prawo, mam święty obowiązek i któż tego goręcej pragnie niż ja? A jednak, mając tak Potężną i tak Dobrą Panią, mam zostać w Komańczy. Przecież to z Twojej Woli! Nikt takiej Potędze oprzeć się nie zdoła. Tylko my dwoje, Matko, możemy chcieć jednego. W tej chwili cała Polska modli się o moją obecność na Jasnej Górze. Tylko my dwoje wiemy, że jeszcze nie przyszedł czas, że ma się stać Twoja Wola. W tym jest Twoja wielka moc, której ja ulegle się poddaję, jako całkowity niewolnik Najpotężniejszej Królowej. Bądź uwielbiona w tej mocy, którą mi dajesz, bym w pełni uznał, że największa moc i miłość jest w uległości. To jest Twoje królowanie nade mną. Uczyniłem, co mogłem dla Twojej chwały: przygotowałem w dniu 16 maja tekst ślubowania, napisałem adoracje stanowe dla kapłanów, dla młodzieży, dla mężów i matek. Te słowa będą mówiły za mnie do ludzi. A ja będę mówić tylko do Ciebie – za nich. Modliłem się o największą chwałę Twoją na dziś. Chciałem ją zdobyć za cenę mej nieobecności. Ufam, że Królowa Niebios i Polski dozna dziś wielkiej chwały na Jasnej Górze. Jestem już w pełni spokojny. Dokonało się dziś wielkie dzieło. Spadł kamień z serca. Oby stał się chlebem dla narodu.

Rozdział IV

Nowenna

Kardynał Prymas w takich oto słowach mówił w czasie Wielkiej Nowenny o znaczeniu częstochowskiego sanktuarium w życiu Kościoła.

Pytał: „Co się stało na Jasnej Górze? Dotąd nie jesteśmy w stanie dobrze na to odpowiedzieć. Stało się coś więcej, niż zamierzaliśmy (O tak, stało się coś więcej, niż zamierzaliśmy!)... Okazało się, że Jasna Góra jest wewnętrznym spoidłem życia narodu, jest siłą, która chwyta głęboko za serce i trzyma naród cały w pokornej a mocnej postawie wierności Bogu, Kościołowi i jego hierarchii. Dla wszystkich nas była to wielka niespodzianka, że potęga Królowej Polski jest w narodzie aż tak wspaniała".

Jan Paweł II

1

W odróżnieniu od kwietnia, kiedy to Wyszyński bardziej optymistycznie oceniał sytuację odnośnie do swego powrotu, obecnie oświadczył, że powrót jego w tej chwili nie jest realny. Nastawiony jest bardzo pesymistycznie.

Pułkownik Karol Więckowski sięgnął po papierosa i odpalił go od tego, którego żywot właśnie dobiegał końca. Lektura ostatniego donosu „Heńka" wprawiła go w dobry humor. Najwyraźniej Prymasa zaczynały opanowywać czarne myśli. Potwierdzały się – i to z ich najlepszego źródła – obserwacje jednej z nazaretanek, która zgodziła się współpracować. Kardynał coraz częściej chodził smutny, jakby przybity i rozczarowany. Pewnie liczył, że po śmierci Bieruta zostanie rychło zwolniony, kto wie – może nawet poprowadzi uroczystości jasnogórskie, a tu nic. Tak, ten spęd w Częstochowie był przykry, skąd w tych w masach tyle ciemnoty po dziesięciu latach intensywnej pracy nad rozpowszechnieniem światopoglądu naukowego? – dziwił się Więckowski. Wiedział jednak dobrze, że same masy nie są groźne, jeśli na ich czele nie stanie ktoś, kto je poprowadzi, tymczasem ten ktoś był cały czas w ich rękach. Mało tego – wreszcie zaczynało się realizować marzenie, które on i jego szefowie żywili od lat. Między Wyszyńskim a biskupami stojącymi obecnie na czele Kościoła rysowały się poważne różnice, żeby nie powiedzieć – głębokie pęknięcia. Donos „Heńka" świadczył o tym niezbicie.

Wyszyński wystąpił z dużymi pretensjami do Klepacza, że nie był u niego przed Częstochową. Głównie chodziło mu o odczytanie ślubów Kazimierzowskich. Twierdził, że odczytywanie ślubów narodu przysługiwało wyłącznie jemu jako Prymasowi, Klepacz zaś jako

przewodniczący episkopatu nie miał do tego tytułu, gdyż jemu przysługują tylko uprawnienia rzymskie, zaś uprawnień prymasowskich nie ma. Pozycję w narodzie ma tylko on jako Prymas i historia będzie czynić Klepaczowi zarzuty, że czytał akt ślubowania.

„No, no – pomyślał Więckowski, wyobrażając sobie rozmowę Wyszyńskiego z Klepaczem. – Twardy kardynał i ten mięczak, to musiało nieźle wyglądać". Poczuł satysfakcję z upokorzenia, jakiego musiał doznać łódzki biskup. Sam to przerabiał w czasie ubiegłorocznej rozmowy z Prymasem, gdy zawiadomił go w Prudniku, że kończy się okres „opieki" UB. Robił wtedy dobrą minę do złej gry, ale i Wyszyński, i on wiedzieli, że przeniesienie do Komańczy to dla rządu przyznanie się do porażki. Teraz jednak przeradzała się ona w nieoczekiwany sukces. Dopuszczenie do kontaktów z zewnętrznym otoczeniem okazywało się lepsze od ścisłej izolacji. Relacje między ludźmi nie zawsze muszą być dobre, a częściej wręcz bywają złe niż dobre. Poza tym pojawiły się znacznie większe możliwości inwigilacji. W Stoczku i w Prudniku Prymas był ostrożniejszy, w końcu jego współwięźniowie zostali dobrani przez Urząd Bezpieczeństwa i musiał się pilnować. Teraz przybywali do niego ludzie, z którymi współpracował od lat. Skąd mógł przypuszczać, że wśród nich jest ktoś, kto składa regularne raporty z rozmów poza zasięgiem podsłuchu? Pozyskanie „Heńka" przed czterema laty było wielkim sukcesem, wielkim i użytecznym. A lektura jego raportu to prawdziwa przyjemność.

W takiej sytuacji Klepacz winien się do niego zwrócić o mandat na czytanie tekstu ślubowania. Klepacz, uzasadniając swoje postępowanie, wyjaśnił, że ślubowanie składał król, a nie Prymas, i że obecne ślubowanie nie było aktem państwowym, lecz kościelnym, i dlatego prawo na odczytanie ślubów posiadał. Nieprzybycie wcześniejsze do Komańczy tłumaczył Wyszyńskiemu swoją chorobą. Faktycznie zaś nie był u Wyszyńskiego dlatego, aby nie wywołać wrażenia, że

uroczystości częstochowskie i konferencja episkopatu zostały uzgodnione z Wyszyńskim.

I proszę, nasz Michałek pokazał różki. Trzeba przyznać Lunie, że dobrze wybrała, sugerując, aby to on przejął obowiązki przewodniczącego Konferencji Episkopatu po aresztowaniu Wyszyńskiego. Wyglądało na to, że wygodnie mu było w fotelu szefa. Cieszyło i to, że nie powiedział Prymasowi całej prawdy o swej nieobecności w Komańczy przed ślubami. Zatajał prawdę, a to znaczy, że się boi. Boi się Prymasa, boi się nas, będziemy mogli z nim zrobić, co chcemy. „W tych nieprzyjemnych czasach znalazło się jednak coś miłego" – pomyślał Więckowski, gasząc papierosa. Czuł się tak zadowolony, że nie sięgnął już po następnego.

2

Kardynał Wyszyński podszedł do drzwi prowadzących do kuchni i zapukał. Słysząc zaproszenie, wszedł do środka. Siostra Stanisława właśnie zalewała wodą herbatę w czajniczku. Kolacja stała już przygotowana na tacy.

– Ojciec tutaj? – zdziwiła się. Jeszcze większe zdziwienie wywołał widok trzymanego przez Prymasa liścia kapusty z kilkoma pieczonymi ziemniakami.

– To dla siostry – powiedział, kładąc nietypowy prezent na stole. – Wracam z pola, piekliśmy świeżo zebrane ziemniaki, wziąłem kilka. Palce lizać!

Stanisława zerkała z niedowierzaniem to na kardynała, to na ziemniaki. Zwyczajem sióstr było pieczenie kartofli po wykopkach. Nie mogła wziąć dziś udziału w tym małym domowym święcie, ponieważ musiała przygotować kolację dla ich gościa. A on pomyślał o niej!

Zwykłej zakonnicy. Nie była to pierwsza tego typu sytuacja. Ich gość potrafił podczas spaceru zbierać dziurawiec, centurię i inne zioła, by przynieść je siostrze infirmerce[26]. Uwagi sióstr nie uszło także, że kiedy któraś z nich wchodziła do jego pokoju, on zawsze wstawał. Nie były przyzwyczajone do takiego traktowania ze strony księży. Tym bardziej wzruszyło je, gdy dowiedziały się, iż uczynił takie postanowienie z powodu czci dla Maryi – kobiety, którą czcił szczególnie. Ale te ziemniaki to było coś naprawdę zaskakującego.

– Ojcze, Ojciec pomyślał o mnie...

– Niech siostra spróbuje, póki ciepłe. Koniecznie z masłem! Na pożegnanie.

– Jak to, na pożegnanie?

– Pewnie zabiorą mnie stąd gdzie indziej. Październik blisko, a zawsze przenosili mnie w październiku.

– Zabiorą? Gdzie?

– Kto wie, może jeszcze bardziej na wschód... może do Butyrek.

Siostrę przeszedł dreszcz. Pod tą nazwą kryło się drugie po Łubiance więzienie w Moskwie, gdzie w przeszłości było przetrzymywanych wielu znanych ludzi, także polskich działaczy niepodległościowych.

– Niech Bóg broni!

– On obroni, co do tego nie ma wątpliwości. Bronił do tej pory i bronić będzie dalej. O Panu Jezusie mówili ludzie, że wszystko uczynił dobrze, i ja mogę powiedzieć to samo. Także o ostatnich trzech latach. Nigdy bym się ich nie wyrzekł. Lepiej, że upłynęły w więzieniu niż na Miodowej. Lepiej dla wszystkich, a już najlepiej dla mojej duszy.

– Ojciec nie pragnąłby wrócić do domu?

– W każdej chwili. Nie ode mnie to jednak zależy.

[26] Infirmerka – siostra zajmująca się opieką medyczną.

Tego wieczoru wyszedł na chórek przy kaplicy i ukląkł, wpatrując się w igrający przed tabernakulum czerwony ognik wiecznej lampki.

Ojcze, wspomnij na bój, który dziś toczymy, by Polska nie była zalana przez obcą przewrotność, przez materialistyczną brutalność, przez półinteligencką pychę i wyniosłość. To straszna siła, która zwycięża, ogłupiając trwogą nawet mężnych i dobrych. Upomnij się o Naród Twój, którego jesteś Ojcem i Panem. Daj odpocząć odrobinę ludziom znużonym przez nieustanny ucisk i walkę.

Choćbym miał umrzeć nie wysłuchany przez Ciebie, Matko, to jeszcze będę uważał za największą łaskę życia to, żem mógł do Ciebie mówić.

1956, październik

3

– Musimy się spodziewać, że postawi sporo warunków – powiedział Kliszko[27], spoglądając na przesuwający się za oknem samochodu krajobraz Bieszczad. – To stary wyga, a przez te trzy lata jeszcze stwardniał.

– Czego może chcieć? – zapytał siedzący obok Bieńkowski[28].

– Pewnie tego samego, o czym mówił Choromańskiemu, gdy ten proponował mu podjęcie zabiegów o jego zwolnienie – stwierdził. – Na pewno nie spieszy mu się teraz na wolność i na pewno nie zapłaci za to naszej ceny. Nie teraz. Na wiosnę mówił o czterech warunkach: jego

[27] Zenon Kliszko – bliski współpracownik Władysława Gomułki, wiceminister w Ministerstwie Sprawiedliwości (1956–1957), wicemarszałek sejmu i przewodniczący klubu poselskiego PZPR (1957–1971).

[28] Władysław Bieńkowski – działacz PPR i PZPR, odsunięty w 1948 za tak zwane odchylenie prawicowonacjonalistyczne, dyrektor Biblioteki Narodowej, minister oświaty w rządzie Józefa Cyrankiewicza w latach 1956–1959.

powrót na stanowisko, powrót wysiedlonych biskupów do diecezji, zmiana Dekretu o organizowaniu i obsadzaniu stanowisk kościelnych i wolność nauczania religii w szkołach. Nie wierzył jednak w możliwość ich realizacji. Teraz, no cóż...

Ostatnie miesiące były w Polsce bardzo gorące. Po śmierci Bieruta w marcu, czerwcowych rozruchach w Poznaniu i wobec coraz większego kryzysu gospodarczego dotychczasowi liderzy PZPR zaczęli spoglądać w stronę odsuniętego przed laty Władysława Gomułki. Potępiany niegdyś za odchylenie prawicowonacjonalistyczne, a nawet oskarżany o współpracę z obcą agenturą towarzysz „Wiesław" wrócił ostatnio do łask. Cyrankiewicz prowadził z nim rozmowy na temat włączenia go w struktury władzy. W połowie października został wybrany na pierwszego sekretarza partii. Był to pamiętny dzień. Nieoczekiwanie do Warszawy przyleciał z Moskwy Chruszczow, który ostro starł się z nowym, nienamaszczonym przez Związek Radziecki szefem polskich komunistów. Doszło między nimi do kłótni, zakończyła się ona jednak sukcesem Gomułki. Chruszczow twierdził, że Stanisław Mikołajczyk przebywa w Kopenhadze i szykuje się do przejęcia władzy w Polsce, Gomułka odpowiedział mu: „Jeżeli Mikołajczyk siedzi w Kopenhadze, to wam trzeba było siedzieć w Moskwie i czekać, aż my przyjdziemy prosić was, abyście nas ratowali. Nie rozumiecie, że nam na was powinno bardziej zależeć niż wam na nas, bo władza w tym kraju w dużym stopniu opiera się na waszym poparciu?". W tym czasie na granicach polskich koncentrowały się wojska Układu Warszawskiego. Gomułka wprost powiedział Chruszczowowi, że zmiana kierownictwa politycznego jest jedyną i najmniej kosztowną drogą zachowania władzy w rękach komunistów. Rosjanin wrócił do Moskwy, wojska się wycofały, a nowy pierwszy sekretarz zyskał niesłychany autorytet wśród Polaków. Uznali – dość pochopnie – że pod jego wodzą Polska uwolni się od

sowieckiej dominacji. Przestraszył się nie na żarty. Polakom potrzebny był sygnał, że coś się rzeczywiście zmienia, a zarazem powinno to być coś, co nie uderzy bezpośrednio w system władzy i w wierność Związkowi Radzieckiemu. Ponieważ głośno domagano się uwolnienia prymasa Wyszyńskiego i powrotu religii do szkół, postanowił spełnić to żądanie.

Czarna limuzyna wjechała na drogę prowadzącą do klasztoru Nazaretanek. Dochodziła dziewiąta rano.

Prymas wrócił właśnie ze śniadania do pokoju i usiadł przy stole, gdy rozległo się pukanie.

– Proszę!

Weszła matka Fidelia. Wstał natychmiast. Siostra miała bardzo poważny wyraz twarzy. Wyglądało to tak, jakby się czegoś przestraszyła.

– Co się stało?

– Przyjechali goście z Warszawy – powiedziała. – Czekają na dole.

– Trzy lata na nich czekałem, niech teraz poczekają na mnie. A siostry proszę o modlitwę.

Wszedł na chórek i ukląkł.

Jutro minie rok od jego przyjazdu do Komańczy. Dwanaście miesięcy temu swoją podróż z zachodu na wschód przyjął jako znak. Poważnie brał pod uwagę, że mogą go zawieźć jeszcze dalej. Kościół w Polsce był największym zagrożeniem dla totalitaryzmu sowieckiego i był o tym przekonany bardziej niż kiedykolwiek. Umocniło się w nim także przeświadczenie, że losy ateistycznego komunizmu zadecydują się nie w Rosji, ale w Polsce. Stalin zdawał sobie z tego sprawę, Bierut również, lecz oni już nie mieli żadnych wpływów.

Śmierć prezydenta w marcu była pierwszym z serii niespodziewanych wydarzeń, które przyniósł rok 1956. W czerwcu protestowali robotnicy w Poznaniu, w sierpniu – milion ludzi stanęło pod Jasną

Górą. W październiku... Przed tygodniem radio nadało przemówienie Gomułki. Chyba nie tylko Prymas przeżył szok, słuchając jego przemówienia nadawanego przez narzędzie komunistycznej propagandy. Pierwszy sekretarz mówił o konieczności reformy państwa, a oceniając stalinizm, powiedział wprost: *System ten gwałcił zasady demokratyczne i praworządność. Przy tym systemie łamano charaktery i sumienia ludzkie, deptano ludzi, opluwano ich cześć. Oszczerstwo, kłamstwa i fałsze służyły za narzędzia sprawowania władzy.* Wtedy Kardynał pojął, jak wielka jest siła modlitwy. Osobiście był przekonany, że to prosta konsekwencja tego, co wydarzyło się na Jasnej Górze – odpowiedź Boga na śluby Polaków.

Zobaczył, że nazaretanki wchodzą do kościoła i klękają w ławkach. Opuścił miejsce swojej codziennej modlitwy i poszedł do gości z Warszawy. Na jego widok wstali z szacunkiem. Nie znał ich – to były nowe twarze. Czy nowe myślenie?

– Witam panów.

– Witamy księdza Prymasa. Ja nazywam się Zenon Kliszko, a to jest towarzysz Władysław Bieńkowski. Księdzu zapewne wiadomo o nowej sytuacji, która wytworzyła się w Warszawie.

– Jesteśmy w prawdziwej bieszczadzkiej głuszy, więc wiadomości docierają tu powoli. Ale rzeczywiście, z radia dowiedzieliśmy się o tym. Słuchaliśmy nawet przemówienia pana Gomułki.

– Właśnie w jego imieniu przybywamy – odezwał się Bieńkowski. – Sytuacja w kraju jest napięta. Trudności gospodarcze narastają, ludzie są coraz bardziej wzburzeni. Istnieją też inne zagrożenia.

„Inne zagrożenia" miały namalowane czerwone gwiazdy na pancerzach czołgów. Tego obawiał się najbardziej, nie dał jednak po sobie poznać, że pragnienie zażegnania tego niebezpieczeństwa byłoby wystarczającym motywem, aby skłonić go do powrotu. Bo nie miał wątpliwości, że ci wysoko postawieni ludzie nie tłukliby się na koniec

Polski w celu innym niż ten. Gdyby chcieli go wywieźć do Rosji, przysłaliby po prostu paru ubeków.

– Towarzysz „Wiesław" jest zdania – kontynuował Bieńkowski – że ta sytuacja wymaga uspokojenia.

– Zgadzam się z tym w zupełności – powiedział Prymas.

– W ocenie towarzysza „Wiesława" najwięcej niepokoju budzi obecnie sytuacja księdza. Dlatego towarzysz pierwszy sekretarz jest zdania, że konieczny jest jak najszybszy powrót księdza Prymasa do Warszawy i objęcie urzędowania. Chcielibyśmy usłyszeć zdanie Ekscelencji w tej sprawie.

– Znacie moje zdanie, panowie. Nie zmieniło się od trzech lat. Miejsce prymasa Polski jest w Warszawie.

– A więc możemy zakomunikować tę wiadomość towarzyszowi Wiesławowi? – Kliszko niemal poderwał się z miejsca.

– Chwileczkę. Jest jeszcze kilka spraw, które domagają się rozwiązania.

– Co konkretnie ksiądz Prymas ma na myśli? – w głosie rozmówcy zabrzmiał nerwowy ton.

– Przede wszystkim chodzi o obsadzanie stanowisk kościelnych oraz uwolnienie biskupów i kapłanów z więzienia. Chciałbym również, aby katechizacja wróciła do szkół.

– Trudno w tej sytuacji zobowiązać się całkowicie. Z pewnością niektórzy księża powinni być zwolnieni, ale przecież nie zagwarantujemy uwolnienia tych, którzy mają na swoim sumieniu poważne przestępstwa.

– Pan żartuje. Doskonale się pan orientuje, w jaki sposób byli sądzeni. Na własne uszy słyszałem, jak mówił o tym pan Gomułka. Mogę nawet zacytować: *Wielu ludzi poddawano bestialskim torturom. Siano strach i demoralizację.* To choćby sprawa biskupa Kaczmarka. Domagam się również natychmiastowego uwolnienia biskupa Baraniaka.

– Sprawa biskupa Kaczmarka nie jest taka prosta – Kliszko uparcie trwał przy swoim.

– Myślę, że to wszystko da się załatwić bez większych problemów – pojednawczo odezwał się Bieńkowski. – Czy spełnienie tych oczekiwań zadowoli księdza Prymasa?

– Należy jeszcze przywrócić prasę katolicką i uwolnić ją od duszącej wszystko cenzury.

Kliszce nerwowo drgnęła powieka. Zacisnął jednak zęby i nic nie powiedział.

– Musimy skontaktować się z Warszawą – oznajmił Bieńkowski. – We wsi jest telefon. Pojedziemy tam i porozmawiamy z towarzyszem Wiesławem.

– Bardzo proszę. Siostry będą miały trochę czasu, aby przygotować obiad.

Kliszko i Bieńkowski opuścili klasztor, a Prymas poszedł do kaplicy. Przyklęknął przed tabernakulum. Wychodząc, spojrzał wymownie na matkę przełożoną. Zakonnice zerwały się z kolan i wyszły na zewnątrz. Obstąpiły go dookoła.

– Co się stało, czy Ojcu coś grozi? – zapytała Fidelia.

– Przyjechali prosić, bym zechciał wrócić do Warszawy.

– Pojedzie Ojciec?

– Moim obowiązkiem jest wracać. Wrócą na obiad.

– To przygotujemy coś specjalnego! Może kurczaka?

– Nie, nie, proszę dać zwykły obiad. Taki, jaki tu jemy na co dzień.

4

Doktor Emilia sięgnęła po kartę sprawozdania z pracy i zaczęła wypełniać kolejne rubryki. Była sobota i jak zwykle musiała zrobić sprawozdanie z całego tygodnia. Nie lubiła tych statystyk, czuła się lepiej w gabinecie z pacjentkami. Starała się jednak nie odkładać tej pracy, wiedząc, że w jej wypadku zarzut niedopatrzenia obowiązków może zakończyć się fatalnie. Już raz – przed trzema laty – straciła posadę i długo nie mogła znaleźć nowej, choć oficjalna propaganda głosiła, że w Polsce Ludowej bezrobocie nie istnieje. Była wówczas zatrudniona w klinice Akademii Medycznej. Pewnego dnia uczestniczyła w zabiegu usuwania polipa u ubogiej pacjentki. Do sali wszedł przewodniczący Podstawowej Organizacji Partyjnej, lekarz o nazwisku Astman. „Jaka piękna alabastrowa pierś" – powiedział na widok częściowo obnażonej pacjentki i pocałował pierś. „Jak pan śmie!" – krzyknęła oburzona Emilia i wyrzuciła go za drzwi. Trzy dni później została zwolniona. Wydarzyło się to dwa miesiące przed aresztowaniem prymasa Wyszyńskiego. Dopiero po kilkunastu miesiącach znalazła pracę w szpitalu na Madalińskiego. Ale i tu było coraz ciężej, szczególnie od wiosny tego roku, gdy weszła w życie ustawa zezwalająca na przerywanie ciąży. Przekonywała kobiety, aby tego nie robiły, i przez to narażała się przełożonym.

W ostatniej rubryce, zatytułowanej „Skierowania na zabieg przerywania ciąży", postawiła kreskę, na dole złożyła swój podpis. Zdjęła fartuch lekarski, zarzuciła jesionkę i opuściła gabinet. Idąc w dół po schodach, zobaczyła znajomą postać. To była jej przyjaciółka, również lekarka, tyle że dentystka – Janina Cyranowa. Ona też zauważyła Emilię. Przyspieszyła kroku, pokonując po dwa stopnie naraz.– Janka, co się stało?

– Prymasa zwalniają! Wraca do Warszawy!

– Jak to? Kiedy?

– Jutro! Marysia mi powiedziała.

Janka przyjaźniła się z Marią Okońską. Dzięki niej także Emilia i jej mąż poznali środowisko ósemek.

– Jutro! Boże drogi, co za szczęście. Muszę tam być.

– Rozmawiałam już z Marysią. Możemy czekać na niego w domu, na Miodowej.

– Złoty z ciebie człowiek. Witać Prymasa w jego domu – co za radość, co za szczęście!

Ksiądz Hieronim spojrzał jeszcze raz na depeszę, jakby nie mogąc uwierzyć w słowa, które się na niej znajdowały. Prymas wraca. Po trzech latach znowu będzie gospodarzem tego domu, a on...

Nieraz zastanawiał się, na ile przyczynił się do tego, co wydarzyło się w ów piątek 25 września, gdy ubecy przyszli po Wyszyńskiego. Rok wcześniej zgodził się na współpracę, składał regularne raporty, także ostatnio, gdy razem z biskupami Klepaczem i Choromańskim odwiedzili kardynała po złożeniu ślubów jasnogórskich. A teraz on wraca! Będzie musiał mu codziennie patrzyć w oczy, a potem składać donosy na UB. Boże, Boże, co robić?

Prymas głęboko zaczerpnął powietrza. W promieniach popołudniowego słońca okoliczne drzewa mieniące się wszystkimi kolorami jesieni wyglądały wspaniale. Nadszedł czas pożegnania z Komańczą. Ostatni rok pustyni spędził jakby w oazie, odbudował trochę swoje siły, mógł przyzwyczaić się do nieco większej wolności. Teraz wiedział na pewno, że jest Bożym chłopcem na posyłki, że to Bóg zarządza jego życiem, jego każdym dniem, a on ma tylko być posłuszny i nie przeszkadzać.

Na ostatni spacer wybrał się do figury Maryi. Chciał Jej podziękować za opiekę i za to, że zechciała przyjąć jego akt oddania się w niewolę w Stoczku Warmińskim. Nie przypuszczał, że zaprowadzi go on aż tak daleko – wyobrażał sobie wiele, ale nie to, że pewnego dnia ci, którzy go zamknęli, przyjdą poprosić pokornie, aby zechciał powrócić i dalej sprawować swój urząd. Na jego oczach dział się cud, więcej – on był częścią tego cudu i to napawało go jakimś lękiem. Nie był to paraliżujący strach odczuwany w obliczu zagrożenia, lecz raczej poczucie ogromnego respektu wobec spraw, które po wielekroć przekraczają ludzkie możliwości pojmowania. Wspinając się na wzgórze, pomyślał o Mojżeszu, któremu Bóg objawił się na górze Tabor w gorejącym krzaku, i o poleceniu: zdejm sandały, bo ziemia, na której stoisz, jest święta. Tam patriarcha dowiedział się o swojej misji wyprowadzenia Izraela z niewoli egipskiej i tam, po opuszczeniu Egiptu, otrzymał tablice przymierza z dziesięciorgiem przykazań – drogowskazami ku prawdziwej wolności.

Tablice zostały ukryte w arce. Prawo Izraela wypełnił Jezus, który przez dziewięć miesięcy ukryty był w łonie Maryi – nowej Arce.

Dotarł do figury. Ukląkł przed nią i spojrzał na biały pomnik.

Nie uwolniłaś mnie bez przyczyny, Matko. Nie zrodziłaś mnie bez przyczyny. Pragniesz wolności dla Twoich dzieci i pragniesz, aby poszły drogą wolności. Jestem Twoim niegodnym i najbardziej nieużytecznym sługą, a mnie dajesz to zadanie?

Dookoła panował idealny spokój. Ziemia pachniała jesienią, a łagodny wiatr szumiał między drzewami. Dawało to poczucie jeszcze większej swobody, ale to wcale nie przynosiło mu spokoju. Czuł, że Bóg postawił go na progu, otworzył drzwi, lecz to on musi podjąć decyzję. Przed trzema laty przyszli po niego, pogwałcili jego wolność, zabrali go tam, gdzie chcieli. Zdjęli z niego całą odpowiedzialność. Teraz powracała, pomnożona przez te niezwykłe okoliczności. Tak jak przed narodem

wybranym rozstąpiło się Morze Czerwone, tak też przed Kościołem w Polsce ustąpili komuniści. Wrogowie religii sami się ukorzyli jak niegdyś faraon, który pozwolił wyjść Izraelitom z Egiptu.

Gdzie zatem jest ziemia obiecana, do której mam dążyć?

Od pewnego czasu narastało w nim przekonanie, że ślubowania jasnogórskie to zaledwie pierwszy krok w długim marszu, którego celem nie było miejsce geograficzne, tak jak miejscem geograficznym nie jest niebo, gdzie przebywają błogosławieni. Coraz jaśniej widział, że Polacy powinni zmierzać do źródła, które ukształtowało ten kraj i ten naród. Za niespełna dekadę minie tysiąc lat od dnia, w którym Mieszko I przyjął chrzest, a wraz z nim jego poddani. Ten chrzest trzeba przypomnieć, odnowić jego świadomość w narodzie, uzmysłowić rodakom, czym są przyrzeczenia chrzcielne i jak ważne jest, aby dochować im wierności. Kościół znał zwyczaj przygotowania się do ważnych uroczystości poprzez dziewięciodniowe nabożeństwo zwane nowenną. Przygotowanie do jubileuszu tysiąclecia musi być jednak głębsze, solidniejsze. Nazwie je Wielką Nowenną. Będzie trwała dziewięć lat – od wiosny przyszłego roku do Wielkanocy roku 1966. Pisząc śluby, miał świadomość, że pisze zarys jej programu. Nie wiedział wówczas, kiedy i czy w ogóle będzie mu dane to realizować. Teraz był już pewien.

Podniósł się z kolan i bez pośpiechu wrócił do klasztoru. Jutro uroczystość Chrystusa Króla. Rano odprawi mszę i zaraz po śniadaniu wsiądzie do samochodu. Czekała go daleka droga.

5

– Antoni, pospiesz się! – Emilia stała już w drzwiach, trzymając wielki bukiet kwiatów.

Tego dnia to nie mąż czekał na nią, lecz ona na niego.

– Daj spokój, mamy czas, ty wiesz, ile się jedzie samochodem z Bieszczad do Warszawy? – Antoni uśmiechnął się dobrotliwie, zakładając palto. – Pewnie teraz dojeżdżają do Rzeszowa. Jak zajadą na wieczór, to będzie dobrze.

– Przecież już jest wieczór.

– Mam na myśli prawdziwy wieczór. Siódma, ósma, a nie piąta po południu.

– Tak czy inaczej, musimy tam być wcześniej.

Była niesłychanie podekscytowana powrotem kardynała, a jeszcze bardziej tym, że będzie mogła osobiście go przywitać. Jaki jest ten wielki człowiek, heroiczny więzień i bohaterski zwycięzca? W jej rodzinie kultywowało się cześć dla wybitnych ludzi, była spokrewniona z Ignacym Janem Paderewskim i zapamiętała z dzieciństwa jego triumfalny przejazd przez Warszawę oraz udział rodziców w balu na jego cześć. Nigdy jednak nie miała okazji poznać go z bliska. A teraz będzie mogła uścisnąć rękę Prymasowi!

Ksiądz Hieronim usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę.

Weszła Maria Okońska.

– Goździk – z jego nazwiska „Goździewicz" robiła czasem zabawne przezwisko. – Ojciec wyjechał z Komańczy o dziewiątej rano. Jak myślisz, o której może być w Warszawie?

– Nie wcześniej niż o siódmej. Pewnie zrobią po drodze jakąś przerwę, a to przeszło czterysta kilometrów. Dziewięć godzin samej jazdy.

– Nie mogę się doczekać. Coś ty taki poważny? Pewnie martwisz się, czy wszystko przygotowane na jego przyjęcie? Nie martw się. Dla niego najważniejsi są ludzie. Ucieszy się, że nas wszystkich tu znajdzie. Szkoda tylko, że biskupa Antoniego jeszcze nie ma.

Antoni Baraniak po wypuszczeniu z więzienia był izolowany w ośrodku salezjańskim w Marszałkach. Miał wrócić za kilka dni.

Hieronim uśmiechnął się niepewnie.

– Masz rację, niepotrzebnie się przejmuję. Najważniejsze, że wraca.

Było już zupełnie ciemno, kiedy samochód wjechał do stolicy. Prymas patrzył na opustoszałe chodniki, tylko gdzieniegdzie dostrzegał jakiegoś pojedynczego przechodnia.

– Widzi Ojciec to czerwone światło tam w górze? – zapytał siedzący obok kapelan ksiądz Władysław Padacz. Prymas skinął głową, trochę zdziwiony, że światło znajduje się tak wysoko. – To jest iglica Pałacu Kultury. Sowieci skończyli go w zeszłym roku. Najwyższy budynek w Polsce. Jeszcze przed skończeniem budowy Bierut nadał mu imię Stalina. Dziś jednak nikt specjalnie nie używa tej nazwy.

– Co się tam znajduje?

– O, masa różnych instytucji, wielka sala koncertowa, teatry, kina. I punkt widokowy. Niestety, w tym roku często odwiedzany przez samobójców. Wyskoczyło chyba z siedem osób. Musieli założyć kraty.

– Kratami chcą powstrzymać ludzi przed rozpaczą...

– Dziś na szczęście nikt nie myśli o rozpaczy. Ludzie mają wielkie nadzieje. Przez ostatnich parę miesięcy działy się cuda. A dzisiejszy powrót Ojca! Ta data przejdzie do historii.

– Najważniejsze dopiero przed nami. Mamy masę porządków do zrobienia.

– Biskup Baraniak wkrótce wróci. Jest jednak bardzo słaby. Strasznie go wymęczyli.

– Zachował się jak bohater. Kto by pomyślał. Taki cichy, kulturalny, delikatny człowiek…

Wjechali w Długą. Wydało mu się, że tu ludzi jest jakby więcej. To nie było złudzenie. Skręcili w prawo i zobaczyli zatłoczone chodniki.

– Niech żyje Prymas! – usłyszał okrzyk, a za nim kolejne.

Ostatni raz słyszał te słowa, kiedy wychodził z kościoła Świętej Anny trzy lata temu. Przy bramie wjazdowej dosłownie kłębiło się od ludzi. Błogosławił ich, a samochód posuwał się z wolna w kierunku głównego wejścia do Pałacu Biskupiego, przed którym stali domownicy.

Patrzyli na czarną limuzynę, która wtoczyła się na dziedziniec. Emilia ściskała w ręku bukiet kwiatów, nie odrywając wzroku od samochodu i tylnej szyby, za którą dostrzegła twarz Prymasa. Pojazd zatrzymał się, do klamki przypadł ksiądz Hieronim. Otworzył drzwi. Kardynał wyszedł i chwycił Goździewicza za głowę, przygarniając ją mocno do swojego ramienia. Emilia wzruszyła się tym gestem. W tej jednej chwili zrozumiała, dlaczego domownicy mówią do niego „Ojcze". Goździewicz przyklęknął, całując dłoń Prymasa. Cały dziedziniec aż huczał od wiwatów ludzi.

Wyszyński odwrócił się do nich i nakreślił znak krzyża. Setki rąk jak na komendę dotknęły głów, piersi i ramion. Podszedł do czekających domowników. Kobiece oko Emilii dostrzegło natychmiast, że jest bardzo szczupły, żeby nie powiedzieć: wymizerowany. Witał się z każdym, z trudem panując nad wzruszeniem. Obiema dłońmi objął głowę Maksencji i pocałował ją w czoło, to samo uczynił Marysi.

– Ojcze, to jest doktor Emilia Paderewska-Chrościcka i jej mąż Antoni – powiedziała Okońska, wskazując na stojącą obok parę.

– Wspaniali ludzie, lekarze. Doktor Emilia jest ginekologiem, broni życia.

– Czy pani jest krewną naszego wielkiego pianisty?

Skinęła głową. Ze wzruszenia nie była w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa.

– Jestem wdzięczny za to, co pani robi, i za to, że pofatygowali się państwo tutaj mimo niewczesnej pory.

„Że pofatygowali się państwo?" – Emilia chciała protestować, ale głos ugrzązł jej w gardle. Kto tu komu robi łaskę? Oni jemu czy on im?

Wchodząc do domu, podniósł głowę na obraz Maryi.

Dziękuję Ci, że wszystkim się zajęłaś.

Zegar zaczął wybijać dziewiątą.

– Tateńku, apel – w głosie Marysi słychać było niesłychaną radość. Chyba nie tylko dlatego, że wrócił, ale i z powodu tak wymownego dla nich, a niezauważalnego dla innych znaku.

– Chodźmy do kaplicy.

Pokonywał te same schody, po których niegdyś schodził, udając się w podróż w nieznane. Kilka minut później wszyscy śpiewali:

Maryjo, Królowo Polski, jestem przy Tobie, pamiętam. Czuwam.

– Moi drodzy, zaraz do was powrócę, ale najpierw rzeczy najważniejsze. Księże Hieronimie, proszę do mojego gabinetu.

Goździewicz zesztywniał. Dowiedział się? Ktoś go zdradził?

Prymas wszedł do pokoju. Nie zauważył bladości na twarzy sekretarza, a nawet jeśli zauważył, to nie dał tego po sobie poznać.

– Proszę wziąć notes i pisać:

Jego Świątobliwość Ojciec Święty Pius XII.

Hieronim odetchnął z ulgą. Chodziło o telegram do papieża.

– Wróciłem do Warszawy i objąłem z powrotem rządy mojej archidiecezji w święto Chrystusa Króla, w piątą rocznicę poświęcenia Polski Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Wierny Kościołowi Rzymskiemu,

przesyłam Ojcu Świętemu synowskie uczucia głębokiej czci i dziękuję niezmiernie za wszystkie modlitwy, które były zanoszone za mnie w czasach moich trudnych przejść i kiedy byłem w niebezpieczeństwie.

Padając do stóp Waszej Świątobliwości, proszę o apostolskie błogosławieństwo dla siebie, dla duchowieństwa i wiernych archidiecezji gnieźnieńskiej i warszawskiej, jak również dla stolicy mego kraju i dla całego narodu polskiego, który jest tak szczerze oddany Jasnogórskiej Pani, Królowej Polski.

– I podpis oczywiście – dodał Prymas.

– Oczywiście, Ojcze.

– Musisz być zmęczony. Ale to trzeba zrobić od razu. Bardzo ci dziękuję.

– Ojcze, to mój obowiązek...

– Wiesz, wyślij jeszcze drugi telegram. Siostry w Komańczy bardzo się martwiły, że czeka mnie taka długa droga. Napisz im: *Wróciłem w godzinie Apelu Jasnogórskiego. Z serca błogosławię. Stefan Kardynał.*

◇◇

Wyjeżdżając z Polski, wziąłem ze sobą dwie kopie Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej. Jedną ofiarowałem imieniem Narodu Ojcu Świętemu Piusowi XII. Została ona na Watykanie, aby być oczywistym dowodem wspólnoty jaka istnieje między Głową Kościoła powszechnego a Narodem polskim. Odtąd na Watykanie, wśród najrozmaitszych cudów świata, będzie miała swoje miejsce Matka Boża Jasnogórska. Patrząc spokojnym wzrokiem na Namiestnika Jej Syna na ziemi będzie przypominała Ojcu Świętemu Polskę. Drugą kopię macie przed sobą
/ Stefan Wyszyński

6

Świtało. Profesor Leonard Torwirt odsunął się od obrazu i uważnie przyjrzał się leżącemu obok oryginałowi. Przeszedł go dreszcz. Madonna wpatrywała się w niego przenikliwie, a jej spojrzenie sięgało wieki wstecz. Legenda głosiła, że jest to jeden z portretów Maryi namalowany przez świętego Łukasza na desce stołu, przy którym posilała się Święta Rodzina. Ale nawet jeśli to była tylko legenda, i tak dzieje tej ikony były wystarczającym argumentem, by traktować ją z największym pietyzmem. Od blisko sześciuset lat Czarna Madonna znajdowała się na Jasnej Górze i tylko z rzadka opuszczała kaplicę, gdzie oddawano jej cześć. Przy wielkich okazjach – jak w czasie ubiegłorocznych ślubów – wynoszono ją na wały, czyli mury obronne otaczające klasztor. A w ciągu ostatnich kilkudziesięciu dni paulini wyjmowali ją z ołtarza wieczorem, po apelu, i przynosili do niego, aby w nocy mógł spokojnie wykonywać powierzone sobie zadanie.

Właściwie było ono już ukończone. Malarz spojrzał na swoje dzieło – dwie kopie ikony tworzył od marca i wkrótce miał je przedstawić prymasowi Wyszyńskiemu. Właśnie nałożył ostatnią warstwę werniksu. Będą schły jeszcze w drodze – a czekała je daleka wyprawa. Dlatego tak się spieszył. Prymas za dwa dni jechał do Rzymu i chciał zabrać je z sobą. Jedną podaruje papieżowi, druga – pobłogosławiona przez Ojca Świętego, wróci do Polski.

Torwirt usłyszał o tym pomyśle w lutym, gdy przyjechali do niego do Torunia przeor klasztoru ojciec Teofil Krauze i Maria Okońska – ta pełna niezwykłej jakiejś pasji kobieta.

– Tylko pan może nam pomóc, profesorze – powiedziała i w tym momencie wiedział, że nie będzie mógł odmówić.

Okońska opowiedziała mu o pomyśle, jaki zrodził się w głowie Prymasa jeszcze w więzieniu. Polska przez dziewięć lat miała przygotowywać się do Tysiąclecia Chrztu. W tym czasie cały naród powinien nawiedzić swoją Królową na Jasnej Górze. Ale w stu procentach to jest niewykonalne. Zawsze ktoś nie będzie mógł pojechać do Częstochowy. Dlatego trzeba poprosić Matkę Bożą, aby zeszła poniekąd ze swego tronu i odwiedziła wszystkie swoje dzieci tam, gdzie żyją – w ich parafiach.

– Szukaliśmy odpowiedniego obrazu na Jasnej Górze, ale nie ma! – ciągnęła. – Wtedy ojciec Teofil powiedział mi o panu.

Będąc niegdyś w Częstochowie, Torwirt rozmawiał z ojcem Krauzem. Zażartował wtedy, że będzie musiał Matce Bożej wynagrodzić napaść Szwedów, bo jego nazwisko miało szwedzkie korzenie. Nie spodziewał się jednak, że to wynagrodzenie tak będzie wyglądać – dwa miesiące pracy po nocach w jasnogórskim klasztorze, aby powstały te dwa obrazy. Na myśl, że za kilka godzin będzie je oglądał Prymas, przejmował go dreszcz emocji.

Rozległo się pukanie. To paulini. Przyszli zabrać Czarną Madonnę i umieścić ją z powrotem w ołtarzu.

„Stało się" – pomyślał Prymas, patrząc na rzeszę ludzi zgromadzonych pod jasnogórskimi wałami. Odnowienie jasnogórskich ślubów narodu rozpoczęło Nowennę. Za dwa dni akt ten zostanie powtórzony we wszystkich polskich parafiach. To będą zarazem ostatnie godziny jego pobytu w Polsce przed wyjazdem do Rzymu. Od miesięcy odkładał tę podróż. Na przełomie roku pięćdziesiątego szóstego i pięćdziesiątego siódmego sytuacja w kraju wciąż była napięta. Zbliżały się wybory do sejmu, ekipa Gomułki obawiała się, że wykorzysta je frakcja natolińczyków, którzy chcieli powrotu do dobrych bierutowskich czasów. Zdecydował się mu pomóc. Nie tylko

episkopat zachęcił ludzi do udziału w wyborach, ale i sam kardynał pofatygował się do urny.

Przez następne miesiące zajmował się porządkowaniem spraw Kościoła. W Rzymie czekał na niego papież z kapeluszem kardynalskim, ale on nie chciał wyjeżdżać. Uznał, że zrobi to po zainaugurowaniu Wielkiej Nowenny.

Pobłogosławił ludzi pod szczytem potrójnym znakiem krzyża i udał się do zakrystii. Kilkanaście minut później wszedł do sali, gdzie czekał na niego Torwirt. Stał obok wykonanych przez siebie kopii. Na jego twarzy Prymas dostrzegł napięcie.

– Pan profesor wygląda na zmęczonego – zauważył po powitaniu.

– Pracowałem jeszcze w nocy. Czy Eminencja zechce spojrzeć? – zapytał niepewnie.

– Czy zechcę? Nie mogłem się doczekać tej chwili – przez jakiś czas przyglądał się wizerunkom.

Torwirtowi wydawało się, że upłynęły wieki, gdy powtórnie usłyszał głos kardynała.

– Gratuluję, podobieństwo jest doskonałe – Wyszyński pochylił się nad obrazami.

– Ostrożnie! Są jeszcze mokre – ostrzegł Torwirt.

– Wyznam, że sam pragnąłbym mieć tak piękną kopię jasnogórskiej ikony.

– Chętnie namaluję dla Eminencji mniejszy wizerunek.

– Będę trzymał za słowo. Tymczasem zabiorę te dwa do Rzymu.

– Obawiam się, że werniks nie całkiem jeszcze wyschnie.

– Marysiu, zajmiecie się obrazami? Trzeba je starannie zapakować.

– Zajmowałyśmy się nimi do tej pory, zajmiemy się i teraz – powiedziała Okońska.

Dla Marii i pozostałych członkiń Instytutu Prymasowskiego ostatnie tygodnie również były bardzo pracowite. Każdą noc jedna z nich

spędzała na czuwaniu na Jasnej Górze. W ciągu dnia także trzymały stałą wartę przed obrazem – zawsze któraś się modliła, a zejść z posterunku mogła dopiero wtedy, gdy przyszła zmienniczka. Wierzyły głęboko, że to pomagało profesorowi, a moc z wizerunku jasnogórskiego przejdzie na kopię obrazu Nawiedzenia. Nie mogły się doczekać chwili, gdy Maryja ruszy w pielgrzymkę po Polsce.

7

Nie spodziewał się zobaczyć czegoś podobnego. Był przyzwyczajony do tłumnych uroczystości kościelnych, ale widok morza głów na peronie Dworca Głównego zaskoczył go.

– Boże drogi, nie przebijemy się do pociągu, spóźnimy się – szepnął zdenerwowany biskup Choromański.

Ze wszystkich uczestników podróży do Rzymu jemu najbardziej udzieliła się *Reisefieber*. Już na Miodowej wszystkich poganiał, tak więc wyjechali znacznie wcześniej, niż było trzeba.

– Spokojnie, księże biskupie, rozstąpią się jak Morze Czerwone przed ludem wybranym – powiedział Prymas.

Z szerokim uśmiechem wszedł w tłum, zmierzając w stronę eleganckiej salonki Thomasa Cooka, o którą dla biskupów zatroszczył się nowy rząd PRL. Posuwali się powoli, przyjmując naręcza kwiatów podawane przez warszawiaków. Byli już blisko pociągu. Choromański przyspieszył kroku. Nie zauważył, że znalazł się tuż na skraju między peronem a wagonem. Zrobił kolejny krok – i wpadł do dziury.

– Aaa! – krzyknął, wykonując rozpaczliwe ruchy i gubiąc kapelusz oraz znajdującą się pod nim piuskę, znak jego biskupiej godności.

– Proszę podać rękę – Wyszyński wyciągnął swoją. Chwycił sekretarza episkopatu i pomógł mu wydostać się z pułapki. – Potłukł się ksiądz biskup?

– Nie, tylko się podrapałem. Wszystko w porządku – Choromański miał purpurową twarz, nie wiadomo, czy z wysiłku, czy ze wstydu, że coś takiego mu się przytrafiło, i to jeszcze na oczach tylu ludzi.

Wsiedli i natychmiast przystąpili do odbierania kolejnych bukietów, które żegnający wciskali przez okna. Trwało to dłuższą chwilę. Wreszcie pociąg ruszył.

To miała być krótka noc. W Częstochowie i potem w Katowicach Prymas musiał wyjść do wiernych, którzy tłumnie wylegali na perony. Do granicy dotarli nad ranem. Stali na niej bardzo długo, na szczęście tym razem kardynał miał paszport dyplomatyczny, co zaoszczędziło mu drobiazgowej kontroli. Gdy byli już w Czechosłowacji, poprosił do siebie biskupa Baraniaka.

– I cóż, Antoni, znowu razem jedziemy do Rzymu. Biskup skinął głową.

– Jak się czujesz? – zagadnął Prymas.

– Dali nam taką wygodną salonkę, że trudno się skarżyć.

Wyszyński zauważył, że jego rozmówca taktownie uniknął mówienia na swój temat. W tym się nie zmienił. Zawsze był cichy i dyskretny, mówił mało, a już w ogóle pomijał własną osobę. Nie trzeba jednak było być fachowym lekarzem, aby dostrzec, że pobyt w więzieniu wyniszczył go i fizycznie, i psychicznie. Czy podoła nowym obowiązkom? W październiku, na tydzień przed wyjściem Prymasa z więzienia, zmarł arcybiskup poznański Walenty Dymek. Wyszyński nosił się z zamiarem zasugerowania papieżowi nominacji Antoniego na to stanowisko.

– Jak ci się pracowało w Poznaniu? – zapytał.

– Z kardynałem Hlondem? Świetnie.

– Lubisz to miasto, dobrze się tam czujesz?

– Ojcze, chyba Ojciec nie myśli...?

– Owszem, tak. Chciałbym, żebyś objął Poznań. Mam zamiar przedstawić Ojcu Świętemu twoją kandydaturę.

– Komuniści się nie zgodzą.

– Oni teraz tańczą tak, jak my im gramy. Gdybyś widział, jak miły był pan Gomułka w czasie naszego spotkania...

1 maja wieczorem Prymas spotkał się z Gomułką i Cyrankiewiczem. Zaczęli rozmowę o dziewiątej wieczorem, skończyli o wpół do pierwszej w nocy. Na koniec pierwszy sekretarz życzył Prymasowi przyjemnej podróży do Rzymu i owocnego pobytu. „Wypadnie nam jeszcze długo, długo żyć obok siebie; pożyteczną jest rzeczą, aby stosunek wzajemny był określony stale" – powiedział, nawiązując do swojego pomysłu trwałego określenia stosunków między państwem a Kościołem. Padła nawet propozycja zawarcia konkordatu z Watykanem.

– Dziwne są drogi Opatrzności – zadumał się Baraniak. – Kiedyś ja przekazywałem Ojcu Świętemu wskazanie kardynała Hlonda na Ojca, a teraz Ojciec chce wskazać papieżowi mnie na dawną stolicę biskupią kardynała Hlonda.

– Co mówisz? Jakie wskazanie?

– Nigdy nie ośmieliłem się tego Ojcu wyznać, ale kardynał August na łożu śmierci polecił mi, bym przekazał papieżowi jego ostatnią wolę – że następcą powinien zostać biskup lubelski. Pius XII zastosował się do tej sugestii.

Zapadła cisza przerywana miarowym stukotem kół pociągu.

– Prymas Hlond kazał ci to przekazać papieżowi? Skinął głową.

– A potem czuwałeś nade mną w jego imieniu... I poszedłeś siedzieć. Nigdy nie mówiłeś, jak tam było.

– Bo i nie ma o czym mówić. Wystarczy, że Bóg to widział. A On jest pełen miłosierdzia.

– Siedziałeś razem z biskupem Kaczmarkiem i księdzem Zinkiem[29].

Baraniak uśmiechnął się.

– W oddzielnych celach, ale przylegających do siebie. Jak chcieliśmy porozmawiać, śpiewaliśmy po łacinie to, co mieliśmy sobie przekazać. Strażnicy myśleli, że się modlimy, a my po prostu rozmawialiśmy śpiewająco.

– Śpiewy po łacinie, powiadasz? Pomysłowe! Ksiądz Zink zapłacił wysoką cenę za swoją postawę po moim aresztowaniu. Bronił mnie wtedy tylko Niemiec i pies. I ty. Ale o tym dowiedziałem się dopiero w Komańczy. Choć i wcześniej domyślałem się, że coś się stało. Już w Rywałdzie zaniepokoiło mnie, że listę rzeczy przesłanych mi z Miodowej zestawił ksiądz Goździewicz, a nie ty. Gdybyś tam był, na pewno byś tego nikomu innemu nie zlecił.

– Może lepiej, że poszedłem siedzieć. Ci, co zostali na wolności, mieli jeszcze gorzej. Przynajmniej nie musiałem zastanawiać się, czy podpisać deklarację czy nie.

– Nie masz żalu? Jedziesz teraz w tym samym pociągu co oni...

– Można powiedzieć, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Ojciec wie, co robi. Musimy być jednością, a tego nie osiągnie się wyciąganiem konsekwencji.

Krótko po powrocie z więzienia Prymas przejął obowiązki przewodniczącego episkopatu od biskupa Klepacza, publicznie mu podziękował, zapewnił o przyjaźni, a nawet powiedział, że gdy jeden upadł, drugi natychmiast stanął i pracę podjął. Zaskoczyło to wielu,

[29] Ksiądz Wojciech (Adalbert) Zink pochodził z Warmii. Był obywatelem niemieckim. Przyjął obywatelstwo polskie, w czasie aresztowania Prymasa pełnił urząd wikariusza generalnego (rządcy) diecezji warmińskiej. Odmówił podpisania i rozpowszechniania deklaracji episkopatu Polski po internowaniu Stefana Wyszyńskiego i został za to aresztowany.

chyba najbardziej samego biskupa, który w niesławnym okresie uwięzienia Prymasa szedł na daleko posuniętą współpracę z komunistami, do tego stopnia, że niepokornemu Zinkowi wypominał jego niemieckie pochodzenie.

Zbliżali się do granicy z Austrią. Rozpoznali, że są już blisko, po widoku za oknem. Najpierw parkany z siatki, nad którymi kłębiły się zwoje drutu kolczastego, później ogrodzenia pod wysokim napięciem. Widać też było wieże strażnicze, a na nich stali żołnierze z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi.

– Czuję się, jakbym wrócił do Prudnika – powiedział Prymas.

– A ja na Rakowiecką – dodał Baraniak.

– Mysz się nie prześliźnie.

– O, to Ojciec nie docenia myszy. W każdym razie mnie mysz w więzieniu w pewien sposób ocaliła. Bardzo ciężko jest siedzieć w celi samotnie. Kiedyś byłem bliski załamania. I wtedy na parapecie więziennego okna pojawiła się mała biała myszka. Ileż ona mi dała radości, kiedy dzieliłem się z nią więziennym chlebem.

8

– Nie rozumiem tego, nie rozumiem – Jan Nowak-Jeziorański odłożył gazetę i podniósł wzrok na księdza Tadeusza Kirschkego. – Dlaczego na dworcu nie pojawił się nikt ważny z Watykanu, dlaczego papież tak zwleka z przyjęciem Prymasa? Makaroniarze mają rację – to dziwne, że ma czas dla włoskich strażaków, a nie ma go dla heroicznego kardynała zza żelaznej kurtyny.
– Janek, to jest Watykan, oni żyją w innym świecie – uspokajał go Kirschke. – Słyszałem, że papież przyjmie go za parę dni, we wtorek.

– We wtorek? Przecież to prawie tydzień od przyjazdu Wyszyńskiego! Czy ci ludzie nie rozumieją, że cały świat patrzy teraz na Rzym?

Szef i kapelan sekcji polskiej Radia Wolna Europa od kilku dni przebywali w stolicy Italii. Triumfalna podróż Prymasa przez Austrię, a potem Włochy, gdzie witano go tak hucznie, jak żegnano w Warszawie, przyciągnęła powszechną uwagę mediów. Na każdym dworcu czekali biskupi i wierni. W Wiedniu gościł go kardynał Franz Koenig, w Wenecji patriarcha kardynał Angelo Giuseppe Roncalli. W Rzymie na dworcu Termini Prymasa witały takie tłumy, że towarzyszący mu księża z trudem torowali drogę. Tym dziwniejsza była nieobecność liczących się pracowników Sekretariatu Stanu: nie było ani arcybiskupa Angela Dell'Acqua, ani arcybiskupa Antonia Samoré. Przybyli jedynie referent do spraw polskich, nawet nie biskup, tylko prałat Luigi Poggi oraz ksiądz Giacomo Mantin. Prymasa witały płotki, a teraz Pius XII każe mu czekać na progu Spiżowej Bramy!

– Ksiądz Kulczycki mówi, że to objaw niezadowolenia Watykanu z obecności Klepacza i Choromańskiego – powiedział Kirschke. Poznał już znajdującego się w świcie Prymasa księdza Władysława Kulczyckiego, który zaopatrywał ich w wiadomości i ploteczki z domu nazaretanek przy Via Machiavelli, gdzie zatrzymali się goście z Polski. – Podobno Prymas uparł się, aby towarzyszyli mu razem z Baraniakiem na audiencji u Piusa XII. To nie może im się pomieścić w głowie. Przecież wszyscy wiedzą, jak oni się zachowali po jego aresztowaniu. A teraz papież miałby przyjąć dwóch męczenników i dwóch kolaborantów?

– Tak, to rzeczywiście dziwne. Po co on ich w ogóle tutaj z sobą przywiózł? I dla nich musi to być nieprzyjemne, i dla Watykanu niewygodne.

– Poza tym jest kwestia ostatnich wyborów w Polsce. Cokolwiek by mówić, Gomułka to komunista, a Wyszyński go poparł. Pamiętasz te plakaty?

Włoscy komuniści w całym Rzymie rozlepili plakaty z napisami: „Prymas Polski głosował na komunistów".

– Tak. Włożył im w ręce mocny argument. Tak jakby mówił Włochom, że można być katolikiem i zarazem popierać komunę.

– Sądzę, że spędza to papieżowi sen z powiek. W takim katolickim kraju jak Włochy, pod jego bokiem, partia komunistyczna liczy miliony członków.

– Czego nie można powiedzieć o Polsce...

– No tak, ale kto tutaj zdaje sobie z tego sprawę?

Prymas ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. W kaplicy sióstr nazaretanek panował przyjemny chłód. Grube mury domu chroniły przed upałem. Na szczęście Rzym w maju nie był jeszcze tak rozpalony jak w czerwcu, nie mówiąc już o pełni lata, ale na dworze było już bardzo ciepło. Znacznie gorszy od upałów był brak spokoju – w Komańczy czuł się bardziej swobodny niż tutaj. I tak było lepiej niż zaraz po przyjeździe, gdy przed domem kłębiło się od policji, a na korytarzach pełno było tajniaków. Rząd włoski chciał się zatroszczyć o Prymasa, ale zdecydowanie przedobrzył. Ostatecznie ograniczono liczbę policjantów, lecz jeden tajny agent wciąż warował na korytarzu. Przed domem straż pełnili mundurowi.

Kardynał podniósł wzrok na ikonę. Rok temu o tej porze stawiał ostatni opór Marysi, która przekonywała go do napisania Ślubów Jasnogórskich. Skąd mógłby wówczas wiedzieć, że po dwunastu miesiącach dom nazaretanek w Komańczy zamieni na dom nazaretanek w Rzymie? I że wkrótce wyruszy z niego na spotkanie z Piusem XII?

Poświęci je na wyjaśnienie papieżowi sytuacji w Polsce. Z pewnością będzie mowa o biskupach i deklaracji. Musi ich wziąć w obronę. Zdążył się już zorientować, że w Watykanie postrzegają Polskę w zbyt czarno-białych barwach. Dzielono duchownych na męczenników i zdrajców. Widział w tym wielkie niebezpieczeństwo. Dla niego Kościół był rodziną, a najważniejszą cechą rodziny jest jej jedność. Owszem, bywają dzieci nieposłuszne, nawet czarne owce, ale zadaniem ojca jest je ocalić, a nie odtrącić. Mógł wytoczyć procesy kanoniczne, suspendować niewiernych księży, ukarać nielojalnych biskupów. Jednak nie chciał tego robić, poza wypadkami gdy chodziło o skandaliczne nadużycia. Miał pełną świadomość, że najbardziej posłuży to wrogom Kościoła. Komunizm czerpał swą siłę z żądzy odwetu. Nie chciał, aby ten mechanizm wdarł się do wnętrza Kościoła. Dlatego tych duchownych, którzy ulegli słabości, lękowi, fałszywie rozumianej roztropności, wolał pozostawić sprawiedliwości Boga.

Czekał go także trudny bój o potwierdzenie polskości ziem zachodnich. Watykan uparcie trwał na stanowisku, że nie może ustanowić tam diecezji ani mianować pełnoprawnych biskupów, dopóki nie zostaną podpisane traktaty pokojowe między państwami – uczestnikami drugiej wojny światowej. A na to się nie zanosiło.

Przede wszystkim jednak chciał przedstawić papieżowi program Wielkiej Nowenny i uzyskać błogosławieństwo dla obrazu Nawiedzenia.

Auxilium Christianorum ora pro me!1tropności, wolał pozostawić sprawiedliwości Boga.

Czekał go także trudny bój o potwierdzenie polskości ziem zachodnich. Watykan uparcie trwał na stanowisku, że nie może ustanowić tam diecezji ani mianować pełnoprawnych biskupów, dopóki nie zostaną podpisane traktaty pokojowe między państwami – uczestnikami drugiej wojny światowej. A na to się nie zanosiło.

Przede wszystkim jednak chciał przedstawić papieżowi program Wielkiej Nowenny i uzyskać błogosławieństwo dla obrazu Nawiedzenia.

Auxilium Christianorum ora pro me![30]

9

Samochód skręcił w prawo z Via Merulana na Via Labicana. Po kilku minutach oczom Prymasa ukazała się potężna bryła Koloseum.

– Niesamowite jest to miasto – powiedział do siedzącego obok biskupa Baraniaka – pomyśleć, że te mury patrzyły na męczeństwo chrześcijan dwa tysiące lat temu. Jakby czas się zatrzymał...

– Mam czasem wrażenie, że łatwiej byłoby się nam porozumieć z nimi niż z... – Antoni przerwał wymownie.

Prymas był już nie tylko po rozmowie z Piusem XII, ale i po spotkaniach z watykańskimi hierarchami. Nieobecny na Termini arcypiskup Samoré odwiedził go trzy dni po przyjeździe, dzień przed audiencją u Piusa XII spotkał się z prosekretarzem stanu monsignorem Domenikiem Tardinim. Wyszedł z niej strasznie zmęczony. Kilkanaście lat starszy od niego kurialista opanowany był obsesją strachu przed komunizmem, który we Włoszech stał się potęgą. Sytuację w Polsce, także wszelkie posunięcia Prymasa, oceniał przede wszystkim z tej perspektywy. Wyszyński nie podzielał jego zdania o potrzebie zwalczania komunizmu przez Kościół. „Tam gdzie komunizm już siedzi, tam sam się zwalcza" – argumentował, choć przyznawał zarazem, że jest niebezpieczny w krajach, które go nie znają. Tu rysowała się trudność. Dla niego kluczowe znaczenie miało wypracowanie

[30] Wspomożenie wiernych, módl się za mną!

jakiegoś *modus vivendi* z komunistyczną władzą. Z punktu widzenia Rzymu oznaczało to, że sprzeciw Kościoła wobec systemu bądź co bądź ateistycznego wcale nie ma takiego bezwzględnego charakteru.

Dzień po spotkaniu z Tardinim miał audiencję u Piusa XII. I ta rozmowa nie była łatwa. Z jednej strony papież witał go jak ocalonego i wiernego do końca męczennika, z drugiej – prezentował podobne poglądy jak Tardini. Trzeba więc było – okazując cały szacunek należny głowie Kościoła – twardo stanąć na stanowisku obrony linii, którą *de facto* przyjął już, zawierając porozumienie z komunistami przed siedmiu laty. Po tym, co się wydarzyło, był przekonany bardziej niż kiedykolwiek, że Kościół może małymi krokami wzmacniać swoją pozycję w PRL. On sam nie dążył w przeszłości i teraz również nie będzie dążył do starcia z władzą. Otrzymał od Piusa XII wolną rękę i zapewnienie o zaufaniu. A zatem – może robić, co uważa za stosowne. Oznaczało to jednak zarazem, że bierze na siebie odpowiedzialność za konsekwencje – a te wykraczały daleko poza granice Polski. Czuł ciężar tej odpowiedzialności, dziś może nawet bardziej niż w czasie audiencji u Ojca Świętego. Wkrótce papież nałoży mu biret kardynalski, który czekał na niego w Rzymie od sześciu z górą lat.

Pius XII obrócił się ostrożnie i poczekał chwilę, dając czas księdzu Federicowi na poprawienie szat i ułożenie ich tak, aby w miarę swobodnie mógł usiąść na tronie. Zbliżała się dziewiąta trzydzieści rano i lada chwila Wyszyński powinien wejść do znajdującego się w pobliżu papieskiej biblioteki pomieszczenia zwanego „Sala del Tronetto".

Ten Polak był dla niego zagadką. Przed prawie dziesięciu laty dotarła do niego wiadomość, że kardynał Hlond na łożu śmierci wskazał właśnie jego na swojego następcę. Ani on, ani nikt z jego współpracowników nie miał powodu, aby wątpić w słuszność tej nominacji. Później było już tylko gorzej. Największym ciosem stało się porozumienie

z komunistycznym rządem w 1950 roku. Właściwie każda wiadomość, która przychodziła z Polski, potwierdzała, że Wyszyński nie wytrzymuje nacisku wrogów Kościoła. Nie to co prymas Węgier kardynał József Mindszenty. Nie cofnął się, stanął mężnie w obronie wiary, przypłacił to pokazowym procesem i więzieniem. Między jego nominacją a aresztowaniem upłynęły trzy lata. Wyszyński po trzech latach prymasowania zdawał się pionkiem w ręku komunistów. Długo, bo aż dwa lata, Pius XII zwlekał z nadaniem mu tytułu kardynalskiego (Mindszenty otrzymał go już pięć miesięcy po nominacji na prymasa Węgier).

Wiadomość o aresztowaniu Polaka zdawała się potwierdzać całkowite fiasko jego polityki postępowania z komunistami: „rozmawiać i nie obrażać się". Wiernopoddańcza deklaracja polskich biskupów była jeszcze boleśniejsza. Wydawało się, że runęła ostatnia ostoja Kościoła w krajach opanowanych przez ateistyczny komunizm. Tymczasem po trzech latach sytuacja uległa nieoczekiwanej zmianie. Prymas został wypuszczony! A na Węgrzech? Tam wybuchło antykomunistyczne powstanie, które uwolniło Mindszentyego – lecz na bardzo krótko. Rewolucję krwawo stłumiły sowieckie czołgi, kardynał József musiał schronić się do ambasady amerykańskiej – był pozbawiony jakiegokolwiek wpływu na los Kościoła w swoim kraju. Tymczasem Wyszyński przyjeżdżał do Rzymu po kapelusz kardynalski w aureoli bohatera – żywego, wolnego i posiadającego wielki autorytet. To budziło pytania.

Audiencja, której udzielił Prymasowi przed dwoma dniami, nie przyniosła na nie pełnej odpowiedzi. Przekonał się, że więzienie wzmocniło jego rozmówcę i pogłębiło jego patrzenie na świat, natomiast nie uczyniło z niego wroga komunistów. Myślał za to o wielkiej ofensywie duszpasterskiej, którą nazwał Wielką Nowenną. W tej sytuacji Pius XII

musiał uznać, że najrozsądniejsza będzie pozycja życzliwego obserwatora poczynań tego człowieka.

Ukazał się on właśnie w wejściu do Sali del Tronetto. Ubrany we wspaniałą kapę kardynalską – podarunek od papieża – zbliżył się do następcy Piotra i ukląkł. Powstał i ukląkł ponownie. I jeszcze raz to samo. Potrójne przyklęknięcie na znak czci wobec ziemskiego zastępcy Chrystusa. Wyszyński przysunął się jeszcze bardziej i pochylił do papieskiego trzewika. Pius poczuł bardzo silne przyciśnięcie. Zdziwił się, że Prymas z taką gorliwością ucałował jego stopę – zazwyczaj nowo mianowani kardynałowie ograniczali się do symbolicznego oparcia ust o but. Nie dał po sobie poznać zaskoczenia, wyciągnął rękę – teraz przyszła kolej na ucałowanie pierścienia Rybaka. Uścisnął Wyszyńskiego i sięgnął po kapelusz. Położył mu go na głowie.

Ad gloriam Dei Omnipotentis...

Na chwałę Boga Wszechmogącego, dla świetności świętej Stolicy Apostolskiej przyjmij ten czerwony kapelusz, oznakę godności kardynalskiej, na znak, że dla wywyższenia Stolicy Świętej, dla pokoju i ładu wśród ludów chrześcijańskich, dla wzrostu zachowania Kościoła rzymskiego masz się okazać nieustraszony aż do wylania krwi, nie wyłączając nawet śmierci.

Ksiądz Federico podał na tacy pierścień, który papież przekazał Prymasowi. Następnie zbliżył swoją dłoń do ust Wyszyńskiego. Wykonał na nich znak krzyża. Powtórzył ten gest. Dwa znaki symbolizujące otwarcie i zamknięcie ust. Od tej pory nowo kreowany kardynał może mieć dostęp do tajemnic Kościoła i ma prawo zabierać głos na konsystorzach i kongregacjach.

Twoim kościołem kardynalskim w Rzymie będzie bazylika Matki Bożej na Zatybrzu – powiedział.

„To powinno go zadowolić" – pomyślał. Prymas dostał do wyboru kilka kościołów tytularnych, wybrał właśnie ten. Nie tylko dlatego

że bazylika nosiła maryjne wezwanie. Spoczywał w niej biskup warmiński, polski kardynał Stanisław Hozjusz. Wyszyński naciskał na mianowanie biskupa Warmii, która po wojnie wróciła do Polski. Nie uzyskał tego. Jakimś znakiem uznania przez Watykan polskości tej diecezji miało być związanie tej właśnie rzymskiej świątyni z prymasem Polski.

Pius XII wstał. Piętnastominutowa uroczystość dobiegała końca. Ten kwadrans uczynił z nominata pełnoprawnego członka kolegium kardynalskiego, jednego z tych, którzy po śmierci papieża wybiorą ze swojego grona nowego następcę Piotra. Czuł, że jego czas dobiega końca. Niedawno minęło osiemnaście lat od jego wyboru. Lata najstraszliwszej w historii ludzkości wojny, niespotykanych od czasów pierwszych chrześcijan prześladowań Kościoła i podziału świata na dwa wrogie obozy. Trudne, pełne męki lata.

◇◇

Dla zrozumienia sytuacji świata nie wystarczą szablony teoretyczne. Bo jest ona bardziej złożona. „Kurtyna żelazna" nie biegnie przez granice polityczne, ale przez dusze / **Stefan Wyszyński**

1956, czerwiec

10

– Księże arcybiskupie, te dane muszą się znaleźć się w „Annuario Pontificio". Czy to jest do pomyślenia, że ponad sześć milionów ludzi „nie istnieje" w oficjalnych danych Kościoła? – Prymas postawił

wymowny znak zapytania i przerwał, czekając na odpowiedź arcybiskupa Samoré.

Za trzy dni wracał do Polski, był już po drugiej, ostatniej audiencji u Piusa XII i chciał załatwić jeszcze to, co było do załatwienia. A wiedział, że jeśli on nie popchnie tych spraw, to nic się nie zmieni. Bardzo życzliwy i ciepły stosunek Piusa XII do niego samego i do Kościoła w Polsce cieszył, lecz to była tylko atmosfera, o której łatwo będzie zapomnieć już chwilę po tym, gdy opuści granice Italii. Liczyły się konkrety, a tych wciąż brakowało. Jednym z nich była sprawa umieszczenia w oficjalnych statystykach Watykanu dat i informacji związanych z Kościołem na ziemiach zachodnich.

Samoré chrząknął z zakłopotaniem.

– Może podzielimy ludność tych terenów na trzy części: Wrocław, Piła, Olsztyn, i wpiszemy to do „Annuario"? – zaproponował.

– To szkodliwy pomysł. Poza tym nie jest on zgodny z prawdą.

– W takim razie możemy umieścić wikariuszów[31] generalnych zarządzających na ziemiach zachodnich w tytule „Archidiecezja gnieźnieńska".

– To skieruje atak władz na mnie. Jestem gotów przyjąć te ciosy, ale czy to pomoże Kościołowi w Polsce?! Wątpię! Tam miliony ludzi czekają na swojego biskupa i nie mogą zrozumieć, dlaczego Stolica Apostolska z tym zwleka. Jak mam im wytłumaczyć, że Ojciec Święty jest nam życzliwy, że błogosławi naszym wysiłkom, skoro nie idą za tym fakty?

– Musimy szukać rozwiązań. W każdym razie Stolica Apostolska nie może zmienić stanowiska, dopóki nowe granice nie zostaną zatwierdzone w wyniku traktatów pokojowych.

[31] Zastępców.

– Ależ księże arcybiskupie, traktaty to rzecz umowy między władzami świeckimi. Nominacja biskupia jest sprawą autonomiczną Kościoła. Tam sześć i pół miliona ludzi czeka na swoich pasterzy, a my im mamy mówić, że to zależy od traktatów pokojowych! Znam prawo publiczne Kościoła – nigdzie się tam nie mówi o takiej zależności.

„Ależ ten Polak jest uparty – pomyślał Samoré – czy on nie rozumie naszej sytuacji? Przecież polityka ma swoje prawa".

– Wikariusze generalni mają święcenia biskupie – powiedział głośno. – W czym więc problem?

– Ksiądz arcybiskup sam powiedział, że to wikariusze. A zatem nie są pełnoprawnymi pasterzami. Z całym szacunkiem, ale to trochę tak, jakby władzę nad Kościołem sprawował kardynał dziekan kolegium – i to jeszcze z tego powodu, że jakieś cywilne ustalenia nie pozwalają na zebranie się konklawe. Ekscelencjo, spójrzmy na fakty. Istnieją trzy wakujące stolice biskupie: we Wrocławiu, w Gdańsku i w Olsztynie. One mogą zostać obsadzone bez względu na traktaty pokojowe, ponieważ są już kanonicznie erygowane.

– Można ten pomysł przedstawić Ojcu Świętemu albo monsignorowi Tardiniemu.

Prymas wzruszył ramionami.

– Wiele razy o tym mówiłem. Zawsze bez rezultatu. Za to dostałem pouczający list od monsignora Tardiniego o wikariuszach generalnych. Jest to list bez serca, bezwzględny, twardy.

– Ja pisałem ten list, a monsignore Tardini pilnował, aby docenić pracujących tam ludzi.

– Monsignore Tardini ma w Polsce opinię naszego nieprzyjaciela. Wszyscy ją podzielają – i biskupi, i duchowieństwo, i komuniści. Za takie listy my potem płacimy cenę prześladowań przez władze.

– Wszyscy jesteśmy na służbie Ojca Świętego. Nikt z nas nie reprezentuje siebie. Wszystko zależy od niego. On tu rządzi. Nie ma między nami rozbieżności.

– Bardzo mnie to cieszy. W tej chwili jednak nie idzie o stosunki towarzyskie, ale o pasterzy dla osieroconych diecezji. Nie można tego uzależniać od stosunków politycznych, bo idzie o łaskę nadprzyrodzoną dla katolików!

– Eminencjo, proszę mi wierzyć, nikt nie chciał Eminencji zrobić przykrości – Włoch zaczął mówić głośniej. – To nie było ani moją, ani czyjąkolwiek intencją.

– Księże arcybiskupie, nie o przykrości tu chodzi. Zdążyłem zresztą do nich przywyknąć. Służą też one wzrostowi mej duszy. Chodzi o Kościół, który był zawsze wierny Stolicy Apostolskiej, choć ta wierność nie zawsze znajdowała należytą odpowiedź nad Tybrem. I ten Kościół wierny pozostanie, warto by jednak uczynić mu to zadanie łatwiejszym. Rozumiem, jak ważna jest stałość pewnych zasad, których Ekscelencja strzeże. Ale trzeba też dostrzec zmienność warunków, w których Kościół niesie ludzkości Ewangelię. Szerszy oddech, rozpięcie nieco tego gorsetu, byłby dla Matki naszej, Kościoła świętego zbawczym ożywieniem. W ciągu tego miesiąca zetknąłem się tu z wielką życzliwością, ale też zobaczyłem wiele lęku – przede wszystkim przed komunizmem. Proszę mi wierzyć, komunizm nie jest mocniejszy od Ewangelii. A lęk? No cóż – nie jest on zgodny z duchem apostolskiej nadziei. Nie mówmy więcej o tym. Jutro mam się jeszcze spotkać z monsignorem Tardinim. Muszę zostawić sobie trochę siły i na tę rozmowę.

11

Biskup Antoni Baraniak włożył dokumenty do papierowej teczki opatrzonej napisem „Ziemie zachodnie", zamknął ją i zawiązał starannie tasiemką.

„Dobrze, że przynajmniej udało się chociaż tyle" – pomyślał. Przed kilkoma dniami wrócili z Włoch, gdzie – poza świętowaniem kreacji kardynalskiej, licznymi spotkaniami i podróżami po kraju – Prymas załatwiał sprawy żywotne dla Kościoła w Polsce. Liczących się konkretów nie było wiele. Na szczęście z „Annuario Pontificio" miała zniknąć informacja, że Wrocław znajduje się in Germania. Kolejna rzecz dotyczyła samego Antoniego. Na wniosek Prymasa Pius XII mianował go arcybiskupem poznańskim.

Baraniak westchnął i podniósł się z krzesła. Zbliżała się pora obiadu, który gromadził wokół stołu wszystkie osoby pracujące na Miodowej. Zszedł z drugiego piętra na parter i stamtąd do jadalni. Byli już wszyscy oprócz Ojca.

Prymas pojawił się o wpół do drugiej. Stanął u szczytu stołu.

– *In nomine Patris*...

Usiedli.

– Ho, ho, ale dziś siostry przygotowały smakołyki – powiedział, sięgając po wazę z zupą i podając ją siedzącemu obok Antoniemu. – To na pożegnanie księdza biskupa.

– Żal wyjeżdżać – odparł Antoni.

– Cóż, trzeba wylecieć w szerokie przestworza. Wiecie, kiedyś podglądałem taką rodzinę muchołówek, to było w Prudniku. Uwiły sobie gniazdko we framudze okna. Pewnego dnia matka zabrała czworo w świat. Piąte zostało, widocznie brak mu jeszcze było męstwa, by rzucić się w przestrzeń. Gniazdko miało taki jakby maleńki balkonik

– zupełnie jak nasze domy. Maleństwo, samotne, usiadło na krawędzi i tak siedzi. Myślę sobie: trzeba mu pomóc. Zdecydowałem się więc użyć trochę delikatnego przymusu. Wieczorem, widząc to ciągłe wahanie, lekko pchnąłem je palcem. Pisklę rozpostarło swoje małe skrzydełka i poleciało. I wyobraźcie sobie, co mnie za to spotkało! Zamiast wdzięczności dostałem cięgi od matki: powróciła, zaczęła na mnie wymyślać i krzyczeć!

Baraniak uśmiechnął się.

– Wcale jej się nie dziwię – ciągnął Prymas. – Przecież zastosowałem przymus! Pomogłem wprawdzie jej dziecku, ale widać nie do mnie to należało. I tak oto sama natura uczy nas, że przymus nie jest właściwym środkiem i nie może być pochopnie stosowany. Jeśli w świecie zwierząt wolność ma tak wielką cenę, to cóż dopiero w świecie ludzkim. No, ale na szczęście Antoni podjął wolną decyzję, więc może tym razem nikt na mnie nie nakrzyczy.

– Będzie nam brakować biskupa Antoniego na Miodowej – powiedziała Maria.

– I mnie będzie go brakowało – dodał Prymas. – Ale przecież nie będziemy od siebie tak daleko! W końcu jesteśmy sąsiadami – Gniezno od Poznania dzieli niemal rzut kamieniem. Poza tym biskup w czasie Wielkiej Nowenny mniej będzie siedział u siebie, więcej będzie się ruszał po kraju. Maryja będzie wędrować, a my z Nią. Zamienimy się we współczesnych nomadów.

Zamienimy się we współczesnych nomadów.

– Co to, do cholery, znaczy? Nomadów, słyszałeś Zdzichu? – zapytał mężczyzna ze słuchawkami na uszach.

On i jego kolega siedzieli w pomieszczeniu znajdującym się po drugiej stronie ulicy Miodowej i nagrywali rozmowy przekazywane za

pośrednictwem aparatury podsłuchowej zamontowanej w Pałacu Biskupim w Warszawie.

– Nie martw się. Znajdą się tacy, co wyjaśnią.

– Trudno coś ostatnio księdza złapać. Dużo pracy?

Ksiądz Goździewicz skinął głową. Siedział naprzeciwko ubranego po cywilnemu mężczyzny, który zadzwonił do niego kilka dni temu, informując, że jest krewnym ich wspólnego znajomego. Poprosił o spotkanie „w pilnej sprawie" i dodał, że nie może czekać. W jego głosie było coś takiego, że ksiądz nie stawiał oporu. Od powrotu Prymasa z więzienia unikał kontaktów z SB, co po Październiku '56 nie było aż tak trudne. Przez aparat bezpieczeństwa przeszedł prawdziwy huragan, który wywiał stamtąd czołowe postacie resortu, wśród nich Lunę Brystygierową. Ale kilka miesięcy później przypomnieli sobie o nim i niedwuznacznie dali znać, żeby nie ryzykował nieposłuszeństwa, bo zbyt wiele spraw mogłoby wyjść na jaw.

– Jak się księdzu pracuje po odejściu biskupa Baraniaka do Poznania?

– Nie ma większych zmian. Wszystko idzie swoim trybem. Mam oczywiście więcej pracy, szczególnie że w sierpniu rozpoczyna się Nawiedzenie Obrazu.

– Co to za pomysł?

Ksiądz Prymas postanowił, że kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej będzie wędrować po wszystkich polskich diecezjach i parafiach.

– To wiemy. Ale kto na to wpadł? Któraś z ósemek? Okońska?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Owszem, one są bardzo oddane Matce Bożej, ale sądzę, że to sam Prymas wyszedł z taką inicjatywą. Została dobrze przyjęta w episkopacie.

– Nie wydaje się księdzu, że te kobiety nim kręcą? Mają na niego wielki wpływ.

– Do czego pan zmierza? – Goździewicz wyczuł niebezpieczeństwo. Szedł na tę rozmowę z mocnym postanowieniem, że nie powie nic, co mogłoby zaszkodzić Prymasowi. Każda rozmowa z Wyszyńskim była dla niego jak bolesny cierń – bynajmniej nie dlatego że przełożony źle się z nim obchodził. Przeciwnie – bolało zaufanie, jakim kardynał go darzył.

– Wiem, że dla wielu księży obecność ósemek w otoczeniu Prymasa jest niepokojąca. Dla tych kobiet zawsze ma czas, czego nie można powiedzieć o czasie poświęcanym kapłanom. Oni muszą go prosić o audiencje, one siadają przy jego stole, mają do niego niemal nieograniczony dostęp.

Też słyszał takie głosy. Może nie w czasie izolacji Prymasa i zaraz po jego powrocie – wtedy nikt nie śmiał powiedzieć na niego złego słowa. Czas jednak płynął, kardynał sprawował już od wielu miesięcy normalną władzę, podejmował decyzje, które nie każdemu się podobały. Zdarzali się duchowni, którzy szukali winy gdzie indziej niż w samych sobie. Wpływ ósemek na Prymasa był dla nich dobrym wytłumaczeniem własnych porażek.

– Wie pan – powiedział głośno – ludzie opowiadają różne rzeczy.

– A więc potwierdza ksiądz, że wśród duchowieństwa panuje taka opinia?

– Powiedziałem tylko, że ludzie mówią różne rzeczy...

– Zdaje się, że istnieje szczególna zażyłość między Prymasem a Okońską.

Być może czułby się lepiej, gdyby mógł powiedzieć, że i Prymas nie jest wolny od słabości do płci przeciwnej. Wiele lat temu, jeszcze przed zatrzymaniem Wyszyńskiego, bezpieka aresztowała kobietę, z którą Goździewicz był blisko związany. Wtedy właśnie zdecydował się na współpracę. Ileż by dał, aby ta historia nigdy nie miała miejsca.

– Proszę pana, stosunek pani Okońskiej do księdza Prymasa jest czysto duchowy, ona go traktuje jak ojca, on ją jak córkę.

– Wyjątkowo urodziwą, trzeba przyznać. Prosiłbym, aby ksiądz zwrócił uwagę na ich relacje. Czy często zostają sami, kiedy się spotykają, o czym rozmawiają, nie muszę chyba szczegółowo wyjaśniać.

Goździewicza oblał zimny pot. Chcą skompromitować Ojca! I jego do tego wykorzystać! Nie może dać po sobie poznać paniki, która go ogarnęła.

– Muszę już wracać – powiedział, wstając. – Sam pan rozumie, lepiej, żeby w domu nie zauważyli, że moja nieobecność się przedłuża.

– Tak, oczywiście. Odezwę się do księdza za jakiś czas.

Gdy został powołany na stanowisko biskupa pomocnego w Krakowie, miałem zlecenie przyjąć od niego tak zwany konsens kanoniczny, bo zawsze nominata pytają, czy wyraża zgodę i ustalić czas ogłoszenia o tej nominacji w Polsce – aby była ogłoszona w tym samym czasie, co w Rzymie. (…) Gdy wyraził zgodę na nominację Stolicy Świętej, zapytał, co ja mam teraz robić? Pytam go: a co ksiądz biskup miał zamiar robić? Odpowiedział: miałem zamiar być jeszcze na kajakach.
Proszę więc jechać. Skończyć swój program, a potem przygotować się do konsekracji. Doznał pewnej ulgi, że plany nie są pomieszane przez inne sprawy – przecież o wiele ważniejsze. Może już wtedy się przygotowywał: Piotr miał łódź i Karol miał łódź / **Stefan Wyszyński**

W tym soborze

nie chodzi o formułowanie

prawd wiary,
ale o zwiększenie

skuteczności Kościoła.

12

1. Rozporządzenie Prezesa Rady Ministrów z dnia 22 kwietnia 1952 roku w sprawie rejestracji niektórych zakładów, wytwarzających druki i ilustracje oraz kontroli niektórych publikacji (DzU nr 19, poz. 124) w § 2 ustala ogólną zasadę kontroli władz państwowych nad wszelkiego rodzaju ogłoszeniami, zawiadomieniami, plakatami i publikacjami przeznaczonymi do rozpowszechniania.

Prymas z pewnym trudem przebijał się przez urzędniczy język pisma, które przyniósł mu biskup Choromański. Z każdym zdaniem upewniał się, że nieuchronnie minął czas spokojnej pracy, a trudności stwarzane przez władze nie miały charakteru przejściowego. Właściwie od powrotu z Rzymu w czerwcu ubiegłego roku co chwila działo się coś niedobrego. Początkowo wydawało się, że wśród wielu przedstawicieli władzy, szczególnie na szczeblu lokalnym, pokutują po prostu stare nawyki z epoki stalinowskiej, z czasem jednak przekonał się, iż nie są to przypadkowe działania. A już to, co wydarzyło się przed dwoma tygodniami, na pewno musiało zostać zaplanowane gdzieś na górze.

W przeddzień oficjalnego święta powstania Polski Ludowej, 21 lipca, funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa zaatakowali Jasną Górę. Nie, nie w przenośni, lecz dosłownie. Wdarli się do biura Instytutu Prymasowskiego, zarekwirowali maszyny do pisania i powielacz. Ósemki drukowały na nim właśnie broszurkę *Mamo, pozwól mi żyć* związaną z kolejnym rokiem Wielkiej Nowenny, który miał być poświęcony obronie życia nienarodzonych dzieci. Milicjanci zabrali wszystkie druki. Na tym się nie skończyło. Wieczorem, w godzinie Apelu, paulini zamknęli bramę. Oddział ZOMO wyłamał ją

i wtargnął do środka. Milicjanci zaczęli okładać pałkami pielgrzymów, niektórych paulinów aresztowano i wywieziono poza klasztor.

Spotkanie Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu, jakie odbyło się dziesięć dni po tych wydarzeniach, nie przyniosło wielkiego postępu. A teraz to pismo. Wynikało z niego, że wszelkie publikacje kościelne mają zostać poddane cenzurze, a wyłączone z niej mogą być jedynie tak zwane druki organizacyjno-techniczne, czyli na przykład blankiety kancelaryjne, wykazy, druki o charakterze porządkowo-gospodarczym.

Ktoś zapukał.

– Proszę – powiedział kardynał, podnosząc wzrok znad papierów. Wszedł ksiądz Hieronim.

– Ojcze, wszyscy już są – powiedział.

– Bardzo dobrze, zaraz zejdę.

Wezwał na dzisiaj czterech księży: Wilhelma Plutę, Michała Blecharczyka, Józefa Drzazgę i tego naukowca z Krakowa. Zaraz, zaraz, jak on się nazywa? Arcybiskup Baziak mówił, że jest bardzo zdolny, pracowity, tylko trochę oryginał. A tak, Karol Wojtyła. Młody, dopiero 38 lat. Ale Baziak upierał się, że to dobry kandydat. „Potrzebuję kogoś do pracy, musi mieć siłę konia pociągowego, ja już nie daję rady" – twierdził, domagając się biskupa pomocniczego. Na początku lipca Pius XII zatwierdził nominację.

Zszedł do salonu warszawskiego i usiadł przy biurku. Księża wchodzili po kolei. Na końcu pojawił się Wojtyła. Sutanny nie miał w najlepszym stanie, buty też nieco podniszczone. Typowy dla ascetów i naukowców brak przywiązania do zewnętrznego wyglądu – skonstatował. Twarz ogorzała, widać musiał ostatnio dużo czasu spędzać na świeżym powietrzu. Z szacunkiem podszedł, przyklęknął i ucałował Prymasa w pierścień biskupi.

– Zaprosiłem księdza doktora, aby poprosić go o konsens kanoniczny – powiedział Wyszyński. – Ojciec Święty mianował księdza biskupem pomocniczym arcybiskupa Baziaka.

Milczenie.

– Czy ksiądz przyjmuje?

– Eminencjo... ja... ja jestem za młody, mam dopiero 38 lat – powiedział.

– To jest taka słabość, z której się szybko leczymy – odparł.

Spojrzał mu prosto w oczy. Dwanaście lat temu był w tej samej sytuacji. I również stawiał opór. Widać ten ksiądz podobnie nie marzył o zaszczytach. A może po prostu był przywiązany do tego, co robił teraz, do gniazdka, które uwił sobie tam w Krakowie: praca naukowa, pewnie jakieś duszpasterstwo, stosunkowo duża wolność. Znał księży, którzy marzyli o biskupstwie, zabiegali o nie i byli potwornie rozczarowani, gdy wśród kolejnych nominacji nie pojawiały się ich nazwiska. Ten zareagował inaczej.

– Proszę się nie sprzeciwiać woli Ojca Świętego – powiedział z naciskiem.

– Dobrze, Eminencjo. Przyjmuję.

– No to pójdziemy na obiad.

– Księże Prymasie, czy po wyroku skazany może mieć jeszcze prawo do ostatniego słowa?

Wyszyński spojrzał zdziwiony na swojego gościa. W jego głosie nie było już drżenia, raczej spokojna, łagodna, można nawet powiedzieć, że pogodna stanowczość.

– Chciałem o coś poprosić – ciągnął biskup nominat.

– No o co, no o co? – Prymas uśmiechnął się.

– Przyjechałem tu z Mazur. Z grupą przyjaciół byliśmy na spływie kajakowym. Czy mógłbym do nich wrócić? Obiecałem im.

– Ksiądz naprawdę jest oryginalny. Ale dobrze. To młodzi ludzie?

– Tak, byłem ich duszpasterzem na studiach.

– Niech ksiądz biskup jedzie. Tylko, oczywiście najpierw wypada pokazać się arcybiskupowi w Krakowie. Ma prawo dowiedzieć się z pierwszej ręki o nowym sufraganie.

– Oczywiście, Eminencjo. Pojadę najbliższym pociągiem.

– No więc chodźmy – Prymas wstał z fotela i wskazał ręką na drzwi. Wojtyła wstał również.

– Może to jeszcze za wcześnie, ale czy ksiądz pomyślał już o zawołaniu biskupim? – Prymas zagadnął Wojtyłę, gdy zmierzali do jadalni.

– *Totus Tuus* – szybkość odpowiedzi Wojtyły zaskoczyła go, lecz treść zawołania jeszcze bardziej.

– Zna ksiądz Grigniona de Montforta?

– Czytałem jego książkę w czasie okupacji. Wiele mi dała.

– Mnie również – powiedział Wyszyński. Weszli do jadalni.

Godzina 16.00 – Głosowanie jedenaste: „Habemus Pontificem!"- kardynał Roncalli, patriarcha Wenecji! – „Jan jest imię jego" / **Stefan Wyszyński**

13

Przemierzając majestatyczne korytarze Pałacu Apostolskiego, mimowolnie wspominał ostatnią swoją bytność w Watykanie i odczucie wielkiej samotności, gdy przywdziewał kardynalską *cappa magna* w małej kapliczce przylegającej do Sali del Tronetto. Zdawało mu się wówczas, że bardziej odpowiednie były dla niego nadbużańskie łąki niż te pełne przepychu sale przyozdobione najwspanialszymi dziełami sztuki. Owego majowego dnia Pius XII zakończył to, co sam zaczął w roku pięćdziesiątym trzecim, kiedy mianował go kardynałem. Kto mógł przypuszczać, że papieżowi pozostał niewiele ponad rok życia? A Stefan Wyszyński będzie jedynym Polakiem, który weźmie udział w wyborze jego następcy...

W Rzymie przebywał już od ponad dwóch tygodni. Konklawe zaczęło się 25 października i trwało aż cztery dni. Zaskoczyło go, że w pierwszych głosowaniach padało jego nazwisko. Wśród 51 kardynałów znalazło się sześciu kandydatów na papieża, szczęśliwie dla Wyszyńskiego był on pośród tych, którzy dostali tylko kilka głosów. Najwięcej otrzymali Gregorio Pietro Agagianian, Ormianin pracujący w Kurii Rzymskiej, oraz patriarcha Wenecji Angelo Roncalli. W końcu, po jedenastu głosowaniach, szala przechyliła się na rzecz Roncallego, który przyjął imię Jana XXIII. Złośliwi mówili, że ten wybór to przymusowe lądowanie Ducha Świętego. Nowy papież był człowiekiem starym, miał 77 lat (jego poprzednik w chwili wyboru liczył lat 63) i wyglądało na to, że ma to być pontyfikat o charakterze przejściowym. Za kilka lat Kościół dojrzeje, by mieć bardziej stosownego pasterza.

Idąc na spotkanie z Janem XXIII, Prymas cieszył się i zarazem niepokoił. Cieszył się, bo bez wątpienia Roncalli był wielkim przyjacielem Polaków i darzył jakimś niezwykłym sentymentem ten kraj, a szczególnie Jasną Górę, którą odwiedził dziesięć lat przed wojną. W dzień koronacji Ojciec Święty powiedział mu: „Częstochowa, Częstochowa! Spraw, aby wiele modlono się za mnie przed waszą Matką Bożą".

Papież Jan – mimo całej swojej brzydoty, otyłości i odstających uszu – był człowiekiem o ujmującej osobowości. Czy to jednak zmieni cokolwiek w niełatwych stosunkach z rzymską kurią, która zupełnie nie rozumiała tego, co się dzieje w Polsce? Czy dobra atmosfera roztaczana przez papieża wystarczy, aby rozmrozić tę sztywność watykańskiej dyplomacji przedkładającej politykę nad duszpasterstwo? To był powód do niepokoju.

Pod pachą Prymas dzierżył teczkę. Znajdował się w niej dokładny raport o sytuacji w kraju. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i znajdzie się przed obliczem nowego następcy Piotra.

Jan XXIII wyciągnął ręce w geście powitania na widok wchodzącego kardynała. Pomyśleć, że półtora roku temu wspólnie pływali gondolą po kanałach Wenecji, a teraz spotykają się w Pałacu Apostolskim na Watykanie. Jak wielu biskupów włoskich, tak i on chciał wówczas poznać z bliska tego człowieka, który cierpiał i zwyciężył. Biret kardynalski, który nałożył mu Pius XII, nie był zapowiedzią, lecz potwierdzeniem jego postawy – najpierw budzącej w Watykanie wielkie kontrowersje, a potem tym większy szacunek.

– Drogi przyjacielu, cieszymy się niezmiernie z twojej obecności i twojego przybycia – powiedział, gdy Prymas ucałował jego trzewik i podniósł się z kolan.

– Ojcze Święty, raduję się, mogąc poinformować, że życzenie Waszej Świątobliwości zostało spełnione. Otrzymałem wiadomość z Jasnej Góry. Msza święta za Jana XXIII jest tam odprawiana od 6 listopada. Codziennie o osiemnastej trzydzieści, a w środy o siódmej trzydzieści.

– Przed Cudownym Obrazem?

– Tak jest.

– Napełnia nas to wielką ufnością. Wszak ciebie Matka Boska ocaliła z więzienia.

– Jestem Jej niewolnikiem, Wasza Świątobliwość. Czyni ze mną, co się Jej podoba. Widać chciała, bym dalej dla Niej pracował. W więzieniu zrozumiałem, że mam się Jej oddać w niewolę.

– Długo cię trzymali?

– Trzy lata.

– Aż tyle! *Dio mio!* Ten czas był dla ciebie tym, czym Gaeta dla Piusa IX.

Żyjący w XIX wieku papież Pius IX w czasie rewolucji w 1848 roku musiał schronić się w mieście Gaeta, gdzie spędził prawie rok. Właśnie wtedy dojrzała w nim myśl, aby ogłosić dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny.

– Moje życie było znacznie łatwiejsze niż Piusa IX – odparł Wyszyński. – Przygotowałem dla Ojca Świętego dokładny raport o sytuacji w Polsce – dodał, wręczając papieżowi teczkę.

Jan XXIII otworzył ją.

– Dobrze, że możemy porozmawiać – powiedział. – Docierają do nas różne wiadomości o Polsce, od różnych ludzi, ale wielu z nich nawet nigdy tam nie było. Trudno mieć zaufanie do takich relacji. Lepiej usłyszeć wszystko od człowieka, który przychodzi stamtąd. – Spojrzał na punkty opracowania. – To nam bardzo pomoże zrozumieć sytuację. A nie jest to łatwe. Sam widzisz, jakim jestem młodym papieżem – dodał, uśmiechając się figlarnie. Tak, zdecydowanie różnił się

od Piusa XII. – Przeczytamy to dokładnie, a na następnej audiencji sprawdzisz, czy dobrze zrozumieliśmy.

– Kiedy będziemy mogli się spotkać na audiencji pożegnalnej? Zależałoby mi na obecności Polonii rzymskiej.

Jan XXIII skinął na księdza Lorisa Capovillę.

– Może po ingresie do Bazyliki Świętego Jana Chrzciciela na Lateranie – zaproponował sekretarz. – To mógłby być 23 listopada.

– Doskonale, wracajmy zatem do rozmowy. Prymas przystąpił do najtrudniejszego tematu.

– Ojcze Święty, najważniejsza jest sprawa ziem zachodnich. Jestem w Rzymie już trzeci raz i jak dotąd wiele w tej sprawie nie uzyskałem. Ufam, że tym razem będzie lepiej. Obecna sytuacja jest niezwykle sztuczna. *De iure*[32] nie jestem tylko arcybiskupem Gniezna i Warszawy, lecz pasterzem sześciu, podkreślam, sześciu diecezji. Na ziemiach zachodnich pracują – jako moi wikariusze generalni – konsekrowani biskupi. Mają oni biskupów pomocniczych, którzy formalnie przynależą do archidiecezji gnieźnieńskiej, z tym że ja ich w Gnieźnie nigdy nie widuję.

– A w jakim stanie organizacyjnym znajdują się diecezje na tych terenach?

– W doskonałym. Toczy się tam normalne życie. Najpilniejsza sprawa to brak biskupów rezydencjalnych. W Olsztynie i w Gdańsku można to zrobić od razu, bo granice diecezji pozostają w obrębie państwa, a przy tym biskup Carl Maria Splett z Gdańska złożył już rezygnację, więc nie ma żadnych przeszkód. Natomiast należałoby na nowo określić granice diecezji wrocławskiej, opolskiej i gorzowskiej. Tę ostatnią można ewentualnie podzielić.

[32] Prawnie.

– Ogromna praca przed nami, ogromna praca. A dla ciebie bardzo trudna sytuacja.

– Przywykłem. Najtrudniej jest wytłumaczyć zwykłym ludziom, dlaczego Stolica Apostolska zwleka z uregulowaniem tymczasowego statusu diecezji. To już dwanaście lat! No i nie mogę też doprosić się o przyspieszenie polskich procesów beatyfikacyjnych. Bardzo chcielibyśmy, aby na Milenium ogłosić błogosławionym ojca Maksymiliana Kolbego.

– Tego franciszkanina?

– Tak. Zginął w Oświęcimiu. Ofiarował swoje życie za ojca rodziny. Poszedł dobrowolnie na śmierć głodową, aby ratować skazanego współwięźnia. Wspaniały przykład i dla kapłanów, i dla zakonników, i także dla katolickich rodzin. Maryjny kapłan, orędownik Niepokalanej.

– To czyni go nam bardzo bliskim.

– Ojciec Święty pozwoli, że wprowadzę go w plan przygotowania obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski. Rozpoczęliśmy przygotowania w ubiegłym roku. Są zaplanowane na dziewięć lat, każdy rok poświęcony jest innemu tematowi. Zakończyliśmy już pierwszy: „Wierność Bogu, Krzyżowi, Ewangelii, Kościołowi i jego Pasterzom". Teraz jesteśmy w drugim: „Naród wierny łasce". Chodzi o zwrócenie uwagi Polaków na wierność łasce Bożej i przeciwstawianie się grzechowi. Kolejne lata dotyczą spraw kluczowych dla moralności narodu. A więc najpierw życie. Ze smutkiem muszę wyznać Ojcu Świętemu, że komuniści zalegalizowali zabijanie nienarodzonych dzieci. To czyni spustoszenie w narodzie. Kolejnym wielkim tematem jest małżeństwo. Niestety, w państwie ludowym rozwód jest bardzo łatwy. Potem skoncentrujemy się na wychowaniu pod hasłem „Rodzina Bogiem silna". Cały rok poświęcimy też młodzieży. Wreszcie zastanowimy się, co robić na rzecz sprawiedliwości i miłości społecznej, jak walczyć z wadami

narodowymi i jak pielęgnować cnoty. W ostatnim roku oddamy cześć naszej Królowej.

– Imponujące. Z czego wynika taki układ tego programu?

– Nazwaliśmy go Wielką Nowenną. Ojciec Święty był w Polsce i wie, że wiara w naszym narodzie jest żywa. To wielka łaska, ale i zadanie, aby wypełniła ona nasze życie – rodzinne, społeczne i narodowe. Polacy chętnie się modlą, przyjmują sakramenty, chodzą do kościoła. O wiele trudniej im wyznawać wiarę uczynkami, żyć na co dzień Ewangelią. Komunizm wyrządził Kościołowi wiele szkód, przeszliśmy ciężkie prześladowania – to prawda. Znacznie gorsza jest jednak deprawacja, którą ten system zaprowadza w duszach ludzkich. Ludzie żyją podwójnym życiem – łatwo im usprawiedliwić złą pracę, niemoralne życie, brak szacunku dla własności. Właściwie wszystkie przykazania – nie tylko te dotyczące wiary, ale i te z zakresu codziennego życia – są kwestionowane przez praktykę życia. Jeśli mamy godnie wspominać zobowiązania chrzcielne sprzed tysiąca lat, to musimy zmienić nasze postępowanie, przepoić je na nowo duchem Chrystusowym.

– Ty to zaplanowałeś? Prymas zamilkł na chwilę.

– Program został przyjęty przez cały episkopat. I ma być realizowany w duchu jedności przez wszystkich biskupów i księży. Do jedności przywiązujemy wielką wagę. Ojciec Święty doskonale to rozumie, wszak sam zaczął swój pontyfikat pod hasłem *Oboedientia et pax*[33].

– Twoje więzienie przyniosło błogosławione owoce. Powiedz, kto cię zastępował, gdy byłeś w odosobnieniu.

– Biskup Klepacz.

– To ten, który był razem z nami w Wenecji, na przejażdżce gondolą?

– Tak, Ojcze Święty. Byli tam również biskup Choromański, sekretarz episkopatu, i biskup Baraniak, obecny metropolita w Poznaniu. Ten ostatni został aresztowany tej samej nocy co ja.

[33] Posłuszeństwo i pokój.

– Jedność, powiadasz. Teraz rozumiem.

– Ojciec Święty tak kocha naszą Matkę Jasnogórską, więc będzie zadowolony, wiedząc, że kopia Cudownej Ikony pielgrzymuje teraz po całej Polsce, gromadząc niezliczone rzesze wiernych. Peregrynacja ta wydaje wielkie owoce.

– Niebywałe. A jak odnoszą się do tego komuniści?

– Coraz gorzej. Zarzucają nam prowadzenie klerykalnej ofensywy i przeszkadzają jak mogą. A im bardziej przeszkadzają, tym gorliwiej lud się angażuje.

– Po czym poznajesz, że to przynosi tak dobre owoce?

– Nie tylko po frekwencji. Ludzie masowo przystępują do spowiedzi i do komunii świętej. I to również tacy, którzy oddalili się od Kościoła. Mówił mi niedawno jeden kapłan, że przyszedł do niego pracownik Urzędu Bezpieczeństwa, który miał napisać raport z przebiegu nawiedzenia w jednej z warszawskich parafii. Był świadkiem wprowadzenia obrazu. W rozmowie z tym księdzem przyznał się, kim jest. Powiedział, że chciał ośmieszyć tę komedię, ale gdy spojrzał na obraz, padł na kolana. Uwierzył i zaczął płakać jak bóbr.

– Moc Najświętszej Panienki jest niezwykła. Liczę, że i mnie udzieli choć okrucha łaski.

– Ojciec Święty obejmuje władzę nad Kościołem, gdy my stawiamy pierwsze kroki na milenijnym szlaku. Będziemy wspólnie pielgrzymować na Jasną Górę.

Rozdział V

Niewola

Wiemy wszyscy, a ja byłem tego świadkiem i uczestnikiem, że w dniu tysiąclecia chrztu na Jasnej Górze dokonał się akt niezwykły ustami Prymasa Tysiąclecia, Akt Oddania w macierzyńską niewolę Maryi za wolność, w niewolę za wolność, za wolność Kościoła w świecie i w Polsce, ale nie tylko w Polsce, w całym świecie.

Jan Paweł II

1

Zadzwonił dzień przed Wigilią. Nie musiał się przedstawiać. „Chętnie bym się z księdzem spotkał, może zaraz po świętach?" – zaproponował. Oczywiście rozumie, że teraz jest bardzo trudny okres, zwłaszcza dla księdza pracującego w sekretariacie Prymasa, że dużo jeżdżą, a i roboty papierkowej nie brakuje. Dlatego lepiej po świętach, a najlepiej jeszcze przed Nowym Rokiem, bo po co odkładać. Tak, chciałby złożyć bardzo serdeczne życzenia. To nic, że jest niewierzący. Ale jest Polakiem, a dla wszystkich Polaków to taki szczególny czas.

Księdzu Hieronimowi drżała ręka, gdy odkładał słuchawkę. Sięgnął po chustkę i otarł pot z czoła. W kalendarzu zakreślił dzień i zapisał godzinę wyznaczonego spotkania. Potem poszedł do kaplicy. Zatrzymał się na progu, widząc klęczącego Prymasa.

Kardynał trzymał w ręku różaniec. Wzrok miał utkwiony w obrazie Matki Boskiej. Ksiądz spojrzał na nią również.

Ty wiesz.

Judasz, Judasz, podły zdrajca – nie po raz pierwszy odezwał się w nim wewnętrzny głos, pełen złośliwej satysfakcji. A Ona patrzyła na niego tymi jakby lekko skośnymi oczami. Czekała.

Taka jest natura kobiety. Potrafi czekać. Czy czekała również na Judasza? Na pewno nie potrafił spojrzeć Jej w oczy. Kto wie, może myśl o tym, że mógł Ją spotkać na ulicach Jerozolimy po śmierci Mistrza, była tak trudna do zniesienia, że sięgnął po sznur?

A Piotr? On też się zaparł swojego Pana. Czy Maryja o tym wiedziała? Czy wzburzony Jan nie przybiegł do Niej i nie opowiedział o haniebnym „nie znam tego Człowieka"[34] wypowiedzianym przez

[34] Mt 26, 74.

Szymona na dziedzińcu pałacu arcykapłana? Jezus, wychodząc po niesprawiedliwym procesie, spojrzał na Piotra, a ten gorzko zapłakał. Uznał swój grzech i okazał żal. Maryja, patrząc na Mękę Syna, przygarnęła tego, który się Go wyparł. Prymas ucałował krzyżyk przy różańcu i wstał z klęcznika. Przechodząc, uśmiechnął się.

Hieronim wybiegł z kaplicy.

– Ojcze!

– Co tam, Goździk?

– Muszę z Ojcem porozmawiać.

– Dobrze – zdziwił się natarczywością w głosie księdza. – Chodźmy do mnie.

– Może lepiej wyjść do ogrodu…

– O tej porze? No, ale skoro nalegasz… – domyślił się, że ksiądz chce uniknąć podsłuchu.

Narzucił palto i zszedł na dół. Weszli do Sali Papieży, Goździewicz wyjął klucz i otworzył drzwi. Owiało ich zimne powietrze.

– No, co tam się stało?

– Dostałem wezwanie od SB.

– Takie rzeczy się zdarzają. Dobrze, że mi o tym mówisz.

W związku z coraz częstszym nękaniem księży przez Służbę Bezpieczeństwa wypracowano w episkopacie zasadę, że należy o tym poinformować biskupa – zarówno przed udaniem się na rozmowę, jak i po niej.

– To nie pierwszy raz, Ojcze.

– Jak to?

Zebrał się w sobie.

– Niech się dzieje, co chce. I niech Ojciec zrobi ze mną, co chce. To trwa już osiem lat. Jeszcze przed aresztowaniem Ojca mnie zmusili.

Prymas milczał.

– Aresztowali pewną bliską mi osobę. Była bliska załamania nerwowego. Szantażowali mnie i uległem. Dali mi trochę spokoju, kiedy Ojciec wrócił z Komańczy, lecz potem znowu się zaczęło. Unikałem ich jak mogłem, ale oni są coraz bardziej natarczywi. Po świętach znowu chcą się ze mną spotkać.

Przerwał. Stanął ze spuszczoną głową. Doszli właśnie do znajdującej się na końcu alei figurki Maryi.

– O czym im mówiłeś? – zapytał spokojnie Wyszyński. Najpierw trzeba ocenić straty.

– Starałem się jak najmniej, jednak oni z każdego słowa robią użytek. Chcą Ojca skompromitować. Bardzo się wypytywali o kontakty z Ósemkami, szczególnie z Marysią. Trzeba być ostrożnym. Orientują się, że księża narzekają na obecność kobiet w otoczeniu Ojca. Chyba liczą na to, że będzie można na tym grać, rozbijając jedność, nawet w gronie episkopatu, nie mówiąc już o szeregowym duchowieństwie. Co Ojciec ze mną zrobi? Czy...

Zdobył się na desperacki akt odwagi, podniósł głowę. W oczach Prymasa nadal widział tę samą dobroć, teraz z domieszką smutku.

– Jak to, co zrobię? Nic. Będziesz dalej u mnie pracował.

– Ojcze! – do oczu napłynęły mu łzy.

Padł na kolana i chwycił Kardynała za nogi. Poczuł jego ręce pod pachami. Dźwigały go w górę.

– Dobrze zrobiłeś, że mi o wszystkim powiedziałeś. Najgorszy jest niemy diabeł. Wytrąciłeś mu broń, nie ma już nad tobą władzy.

– Ojcze, a co z nimi? Mam tam pójść?

– Oczywiście.

– I co mam im mówić?

– Najlepiej to, co wiedzą. Ale może jeszcze przyjdzie nam coś do głowy. Ostatnio przepływ informacji między Kościołem a rządem jest

coraz trudniejszy. Praca Komisji Wspólnej zamarła. Możemy więc komunikować się inaczej.

◇◇

był człowiekiem biednym, który został postawiony na czele PZPR przez Sowiety, bez żadnego przygotowania, bez nauki i szerszego poglądu na sprawy. Trzeba się dziwić, że tak długo się utrzymał. Cechowała go szalona pycha, pewność siebie, pogarda dla ludzi i gwałtowność / **Stefan Wyszyński**

1960, styczeń

2

Było już ciemno, gdy przyjechał na Klonową, do willi rządowej, w której oczekiwał go Gomułka. Jerzy[35] był zdania, że warto z nim porozmawiać, żeby pierwszy sekretarz przekonał się bez pośredników, jaki naprawdę jest Prymas i jakie są motywy jego kazań.

Wchodząc do salonu, Prymas poczuł ostry zapach pozostałości papierosowego dymu. Zakłuło go nieprzyjemnie w piersi. Nigdy nie miał mocnych płuc, więzienne przejścia i upływ lat (dobiegał już sześćdziesiątki) też robiły swoje. Na stole zauważył magnetofon.

[35] Jerzy Zawieyski (1902–1969) – dramatopisarz, prozaik, eseista, redaktor „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku"; katolicki działacz polityczny, poseł na Sejm PRL II, III i IV kadencji (1957–1969) z ramienia Znaku.

– Nasza rozmowa będzie nagrywana[36] – powiedział Gomułka. – Ksiądz Prymas otrzyma później taśmę.

Skinął głową. Właściwie to należało docenić otwartość, z jaką władza podeszła do sprawy. W końcu nagrywano go wielokrotnie w sposób tajny, choć przecież domyślał się, że nawet w domu ma założony podsłuch.

– Chciałbym, oczywista rzecz, jak najbardziej obiektywnie przedstawić panu sekretarzowi mój punkt widzenia – oświadczył.

– Proszę bardzo, słucham.

– Przeglądając prasę zagraniczną czy przebywając na Zachodzie, zauważyłem, że bardzo nas tam łączą. Może to nie jest dla pana najprzyjemniejsze, ale mnie to za wiele nie przejmuje.

– Mnie to też nie przejmuje.

– I pana, i mnie czynią odpowiedzialnymi (chociaż w różnym stopniu, oczywista, mnie w mniejszym stopniu) za obecny stan Polski. Często to słyszałem. Chociaż nie poczuwam się tak bardzo do zasług w trudnym okresie, to jednak jakąś część tych zasług i mnie przypisują. Nigdy nie podtrzymuję dyskusji na ten temat. Wiem, że moja pozycja wynikała raczej z tego, co reprezentuję, i z pewnego zaufania, jakim darzą mnie katolicy. Tak to wygląda za granicą. Natomiast na gruncie wewnętrznym jest o wiele trudniej. Tutaj raczej nas sobie przeciwstawiają. Chciałbym dziś poruszyć takie sprawy, które są dla nas wspólne dla pana sekretarza i dla mnie. Zacznijmy od kontekstu międzynarodowego. My – to znaczy episkopat – dobrze rozumiemy, w jakiej sytuacji geopolitycznej się znajdujemy. Na konklawe zaprzyjaźniłem się z pewnym kardynałem z Bombaju i tłumaczyłem mu sytuację w Polsce. Zrozumiał. Inteligentny człowiek. Tak że my się

[36] Rozmowa Prymasa Wyszyńskiego z Władysławem Gomułką z 11 stycznia 1960 roku została zarejestrowana, a jej pełną treść opublikowała „Myśl Socjaldekratyczna" 1993, nr 2–3. Trwała ona cztery godziny, jej spisana wersja zajęła ponad trzydzieści stron. Poniższy dialog oparty jest na tym zapisie.

liczymy z tym, że w tej chwili tak musi być i że naszym obowiązkiem patriotycznym, narodowym jest się z tym liczyć. Chcemy tak postępować, aby rządowi nie utrudniać działania. Druga sprawa to sytuacja wewnętrzna Polski. Podam tu przykład, który może pana zainteresować. Przyszło do mnie w Rzymie małżeństwo. Polak – pułkownik sztabowy – z żoną Włoszką, medyczką. On – człowiek zniszczony, ona – jak róża. „Co wam jest?" – pytam, a ona w płacz.

„Mąż chce koniecznie wracać do Polski – mówi – a ja się boję". Czego?

„Że go aresztują". „Proszę pani – odpowiadam – ja nie jestem do tego upoważniony, ale na podstawie osobistych doświadczeń mogę panią zapewnić, że po powrocie do kraju nie będzie aresztowany". „Ale to przecież pułkownik sztabowy!" Mówię jej: „Dobrze, to się zgłosi do wojska, dostanie pracę, jeśli będzie potrzebny, a jeśli nie, to będzie robił co innego". „A co ja będę robiła?" „Nostryfikuje pani dyplom, jest pani poliglotką, może pani pracować jako lekarz albo jako nauczycielka języków". Próbowałem z nimi tak trochę na wesoło: „Proszę pani, proszę mi się przyjrzeć. Przyjechałem z Polski i mam głowę. Wracam do Polski i głowy mi nie urwą. Mężowi też nie urwą". Długo rozmawialiśmy, w końcu doszli do wniosku, że się wybiorą do kraju. Ale, widzi pan, panie pierwszy sekretarzu, że trzeba się liczyć z takimi obawami. Potem korespondowałem z kimś, pytałem o tę rodzinę i dostałem odpowiedź:

„Ta pani w końcu nie puściła męża". Przykre.

– Przypuszczam, że to nie tylko z powodu obaw, ale i z innych przyczyn, jakichś wewnętrznych.

– No cóż, nasze stanowisko jest takie, że kraj jest tam, gdzie jest posadzony, gdzie są jego korzenie. Jest jeszcze trzecia rzecz – ten okres, który jest za nami. To, co się wydarzyło przed trzema laty, jest bardzo silnie związane – przede wszystkim na Zachodzie – z pana nazwiskiem. Wydaje mi się, że tak jest dobrze. Oczywiście to ogromnie

potęguje odpowiedzialność. Nie mam zamiaru o tym mówić, bo pan ją zna i czuje ją pan na sobie. Wiemy, że sytuacja Polski byłaby o wiele trudniejsza i groźniejsza, gdyby pan mniej ją kochał. My też ją kochamy i podzielamy pana troski. Cóż, Polacy są niezwykle trudnym narodem, bardzo zindywidualizowanym, mało wyrobionym społecznie i dlatego kierowanie nim jest niesłychanie trudne. Sam tego doświadczam. Do każdego zarządzenia muszę dać porządną podbudowę, muszę wyjaśnić, dlaczego to jest ważne. Jeśli nie przekonam, to zarządzenie – nawet takie czysto wewnętrzne, kościelne – pozostaje niewykonane. Taka jest właściwość tego silnego indywidualizmu narodu, który przez [prawie] półtora wieku żył w niewoli i opór uznaje za największą cnotę.

Ciągnął swój wywód, zerkając od czasu do czasu na notatki, lecz przede wszystkim patrząc na rozmówcę. Gomułka słuchał cierpliwie. W czasie ostatniej rozmowy, niemal dokładnie przed dwoma laty (uczestniczył w niej także Cyrankiewicz), Prymas referował kolejne sprawy przez dwie i pół godziny. Była to i tak zaledwie mała część całego spotkania, które trwało prawie jedenaście godzin i skończyło się przed czwartą rano. Podziwiał wytrwałość Gomułki, który przez cały ten czas raz pociągnął ze szklanki łyk herbaty. Cyrankiewicz wypił swoją herbatę i zjadł ciastko. On wypił pół szklanki herbaty. Czuł się dobrze, umysł miał trzeźwy. Nie dziwił się temu. Przecież wziął z sobą obrazek Matki Boskiej Jasnogórskiej – pomagała mu *Virgo Potens*[37]. A kto im pomagał? Swoją drogą – zastanawiał się wtedy – czy nasi księża potrafiliby być tak wytrwali? Mimo gorącej atmosfery spotkanie skończyło się pojednawczo. „Zarzucaliście mi, panowie, wiele błędów – powiedział wówczas – ja też nie szczędziłem wam zarzutów. Jesteśmy ludźmi omylnymi. Jeżeli popełniliśmy błędy, to

[37] Panna można (łac.).

można zacząć od nowa. A więc zaczynajmy na nowo, unikając błędów". Gomułka był zadowolony i nawet mu podziękował. Ale chyba zupełnie opacznie zrozumiał te słowa – nie uznał bowiem, że partia też jest omylna i też popełnia błędy. Pojednawczy ton przyjął jako zgodę na działania władzy, a nie jako zaproszenie, by traktować się po partnersku. Obecnie było to widoczne bardziej niż kiedykolwiek. Po pierwszym roku Wielkiej Nowenny, poświęconym wierności Bogu i Krzyżowi, władze przeprowadziły szeroko zakrojoną akcję zdejmowania krzyży w szkołach i instytucjach publicznych. Ludzie stawiali opór, komuniści używali milicji i pałek. Obecny rok – w którym Kościół podkreślał wagę obrony życia nienarodzonych dzieci – przyniósł liberalizację ustawy dopuszczającej aborcję. Prymas występował w tej sprawie zdecydowanie – kontrolowane przez partię media zarzucały mu godzenie w praworządność. Nie miał zamiaru mówić Gomułce o nienaruszalności życia od poczęcia i o nauce Kościoła na ten temat. Tego ten człowiek nie zrozumie. Ale przecież był patriotą, zależało mu na Polsce.

– Proszę pana, jestem przekonany, że my z trzydziestoma milionami ludności nie zajmujemy tej pozycji, która nam się należy – zauważył. – Jesteśmy stanowczo za słabi. Gdy się myśli o przyszłości tego narodu, to my bez pięćdziesięciu milionów nie damy rady. Wie pan, jeszcze przed wojną chodziłem na wykłady z demografii w Instytucie Społecznym w Paryżu. Wspaniałe wykłady, a przychodziły na nie tylko trzy osoby: dzisiejszy biskup Kominek, ja i pewna Francuzka licząca sobie około sześćdziesiątki. Kiedyś podszedłem do profesora i zapytałem go, dla kogo on się tak męczy. „Bo my jesteśmy Polakami, a na tę Francuzkę to chyba pan profesor nie liczy, bo ona już Francji dużo nie da". Myśmy w Polsce mieli dość duży przyrost naturalny, natomiast Francuzi, mimo całej polityki sprzyjającej rozwojowi demograficznemu, nie byli w stanie się podnieść, bo społeczeństwo było

zdemoralizowane, zbyt wygodne, zbyt wyrachowane. Ciekawe, że teraz w Rosji są ordery dla matek bohaterek. Dużo jeździłem po Polsce tego lata i widzę, że na ziemiach zachodnich nie ma ludzi, nie ma kto gospodarować. Brakuje potencjału rąk. A z drugiej strony rośnie wygodnictwo. Mnie się wydaje, że naród potrzebuje teraz bohaterów i bohaterek. Nie chodzi tu o ludzi, którzy będą potrząsać szabelką, tylko o takich, którzy twardo i cierpliwie będą spełniać swój obowiązek. I boję się takiego ułatwienia, które zwalnia ludzi od – owszem, trudnego – obowiązku noszenia życia. My – to jest Kościół – jesteśmy gotowi w tej dziedzinie pomóc, zresztą organizujemy taką pomoc na rzecz rodzin wielodzietnych, i to wyzwala coś dobrego w ludziach, przezwycięża egoizm i samolubstwo tych małych rodzin, które są zasobniejsze, i zaczynają one działać na rzecz rodzin uboższych. To buduje odpowiedzialność. A przecież sam pan sekretarz tyle razy narzekał na brak odpowiedzialności w społeczeństwie, co tak bardzo widać na odcinku produkcji. Gdzież te cnoty mają się kształtować jeśli nie w rodzinie? Wychowani w ten sposób ludzie wniosą wiele w jakość pracy, gdy będą dorośli.

Gomułka sięgnął po szklankę z herbatą. Upił z niej łyk i spojrzał na zegar. Prymas postanowił zmierzać do zakończenia. Wyjaśni jeszcze motyw swoich wypowiedzi na temat zliberalizowanej ustawy aborcyjnej, za co był tak ostro krytykowany przez reżimową prasę.

– Odpowiedzialność to bardzo konkretny problem – powiedział. – My na całą tę sprawę patrzymy jeszcze szerzej. Nie tylko od strony politycznej, narodowej, ekonomicznej, ale i moralnej, psychicznej, religijnej. I wtedy mówimy wyraźnie – nie wolno ci tego czynić. Nie wolno ci zabijać, nie wolno ci pozbawiać życia, które się już rozwija, nie wolno. Bo to moralnie zniekształca sumienie i wprowadza sumienie w konflikt religijny. Podobnie lekarz – jeżeli jest to katolik, to sumienie nakazuje mu bronić życia, i to za wszelką cenę.

co do Prymasa...

Towarzysz ma rację,

nie ma co robić

z niego męczennika.

Dlatego to nie zaszkodzi narodowi i nie zaszkodzi państwu, owszem – pomoże, dlatego że uratuje jakieś życie dla tego zbiorowego potencjału biologicznego. A więc chyba nie jest w konflikcie z istniejącym ładem politycznym czy prawnym? W tym zatem punkcie powstaje niewątpliwy konflikt, ale tu idzie o dobro, które my w ten właśnie sposób oceniamy.

– Niestety, nie tylko w tym punkcie.

– No, to jest inne zagadnienie.

– Ten punkt mógłby być jeszcze najmniej konfliktowy. Są inne punkty.

– No, są, niewątpliwie.

– O wiele trudniejsze.

– Jasne. Ja w tej chwili dotykam zagadnienia, które moim zdaniem jest najbardziej kluczowe dla naszego bytu.

– Jeżeli Ksiądz Prymas zakończył, to może ja ustosunkuję się do niektórych zagadnień i przedstawię nasz, czy mój, punkt widzenia. Wiele stwierdzeń Księdza Prymasa należy uznać z naszego punktu widzenia za pozytywne. Niemniej nawet w tym, co Ksiądz uznał za wspólne, uderza mnie sformułowanie, które – jak przypuszczam – nie jest przypadkowe. Chodzi o te wyrażenia, które jakby sugerują przejściowość obecnego okresu, to znaczy socjalizmu. Trzeba nam, a szczególnie Kościołowi, przeprowadzić głębszą i bardziej obiektywną analizę tego, co się dziś dzieje na świecie i na jakim etapie rozwoju on się znajduje. Dziś decyduje się, czy ten świat będzie dalej istniał, czy też cofnie się o kilka lub kilkanaście wieków wstecz. Decyduje się dzisiaj problem pokoju czy wojny. To jest pytanie dla Polski. My dzisiaj jesteśmy w bardzo wygodnej sytuacji geopolitycznej. Ani dziś, ani jutro nie ma i nie będzie dla Polski innej możliwości rozwoju, zdobywania sobie określonej, należnej pozycji wśród narodów świata niż tylko kroczenie tą drogą, którą wskazuje nasza partia. I kto kocha Polskę, kocha ten naród, chce dla niego lepszej przyszłości, ten powinien nam

pomóc, powinien pomóc państwu ludowemu, powinien zająć pozycję aktywnego poparcia generalnej polityki państwa ludowego.

Potok słów płynął. Nie, nie wystarczyło, że Kościół nie chce przeszkadzać władzy. Chodziło o to, by ją poparł. Potem przyszedł szeroki wywód o zagrożeniu eksterminacją ze strony Hitlera i o tym, że Polskę, a pewnie i świat, od zwycięstwa nazizmu uratował Związek Radziecki. Owszem, były nieprawości, był stalinizm, ale i Stalinowi sporo zawdzięczamy, w końcu to on pomógł zbudować Nową Hutę, radził, aby rozwijać przemysł ciężki. Związku Radzieckiego nie musimy się obawiać, wręcz przeciwnie – on zabezpiecza naszą suwerenność. Kościół? No cóż, powodem zadrażnień z władzą są inne podstawy ideologiczne, ale i to, że Kościół jest zależny od obcego ośrodka władzy. Nie, nie przeszkadza to w dziedzinie religijnej, proszę bardzo, można działać tak, jak poleca Watykan. Lecz przecież wiadomo, że tam są wrogo nastawieni wobec władzy ludowej i naciskają. Owszem, hierarchia kościelna w Polsce nie w pełni poddaje się temu naciskowi, ale pewni dostojnicy nasłuchują i prowadzą szkodliwą działalność. A to wszystko wpisuje się w sytuację światową, która wiadomo, jaka jest. Do niedawna określone siły na Zachodzie dążyły do zbrojnej konfrontacji, teraz to się zmienia i Związek Radziecki chce porozumienia.

– Wiem dużo o sile Związku Radzieckiego – powiedział Gomułka, upiwszy kolejny łyk herbaty. Musiała być już zupełnie zimna. Nie robiło mu to różnicy. Znany był z ascetycznego stylu życia, krążyły legendy o jego oszczędności, żeby nie powiedzieć: skąpstwie. – Ta chęć porozumienia nie wypływa ze słabości. Sytuacja jest taka, że w ciągu jednego dnia można zniszczyć całe narody, całe państwa i nie pozostanie nic, nic. Druga strona jeszcze tego nie może zrobić. I w tej sytuacji proponowane jest porozumienie, rozbrojenie. Bo to, co posiadają w tej chwili określone państwa, może zostać użyte – czego nigdy

nie można wykluczać – przez jakiegoś szaleńca, aby zniszczyć świat, zniszczyć ludzkość.

Prymas nie był wojskowym, nie znał się na potencjale rażenia broni jądrowej, ale miał wystarczająco dużo wyobraźni, aby zobaczyć nie jedną Hiroszimę i jedno Nagasaki, lecz całe miasta i wielkie połacie kraju obrócone w perzynę. Zresztą czyż nie widział Warszawy po powstaniu? A w tej konfiguracji geopolitycznej wojna nie ominie Polski na pewno. Jak wytłumaczyć Gomułce, że zrobi wszystko, absolutnie wszystko, by nie dopuścić do takiego scenariusza? I że to, co teraz robi Kościół, właśnie temu służy. Ten człowiek miał jednak swoją wizję gwarancji pokojowych. U boku Związku Radzieckiego, i to jeszcze w roli najwierniejszego sojusznika, kogoś, kto nie tylko będzie zabiegał o pomoc, ale będzie samodzielny gospodarczo. Z wywodu Gomułki zorientował się, że radzieccy towarzysze wymagają coraz więcej.

– Pozycje słabną nawet między przyjaciółmi – ciągnął pierwszy sekretarz. – Przykro być w roli petenta, a czasem to przychodzi. „Pomóżcie, bo nam tego czy tamtego brakuje". Tę pomoc zawsze możemy otrzymać, ale to nie wzmacnia naszej pozycji. A równocześnie Ksiądz Prymas sam stwierdził, że społeczeństwo polskie jest w pewnej mierze anarchistyczne, indywidualistyczne, przekorne, żyjące tradycjami oporu, tradycjami, które wyniosło z półtorawiekowej niewoli.

„Człowieku, powiedziałem, lecz nie po to, by usprawiedliwiać wasze działania – pomyślał Prymas. – Sami pogarszacie swoją sytuację i ciągniecie kraj w dół. Ludźmi nie da się na dłuższą metę ręcznie sterować. Można ich co najwyżej zdeprawować i wtedy będą robili to, czego się od nich chce. Ale to jest zabójcze – i dla ludzi, i dla władzy".

– Nasze społeczeństwo jest takie, jakie jest – mówił dalej Gomułka. – Tych cech nie można zmienić z dnia na dzień. Ponadto ażeby ukształtować nowe cechy narodu, trzeba dziesiątek lat, długich lat, nowych warunków. Na to nie starcza piętnaście lat, zresztą niezmiernie

trudnych, lat odbudowy ze zniszczeń wojennych. Są więc trudności wynikające z konieczności szybszego rozwoju gospodarczego. A to jest czynnik dla kraju ważniejszy aniżeli tempo przyrostu naturalnego w Polsce. Dziś o wiele ważniejszy. Czy ja bym nie chciał, aby nas było pięćdziesiąt milionów? Chciałbym. I będzie nas kiedyś pięćdziesiąt milionów.

– Tylko czy nie będzie za późno?

– Nie, Księże Prymasie. Nie będzie za późno.

Wszyscy radujemy się, że w dniu Matki Bożej Gromnicznej Ojciec Święty Jan XXIII zapowiedział otwarcie soboru na uroczystość Macierzyństwa Maryi – 11 października 1962 roku – bo właśnie tego macierzyństwa szczególnie dziś potrzeba Kościołowi, biskupom, kapłanom i wszystkim dzieciom Kościoła / **Stefan Wyszyński**

3

– Ksiądz arcybiskup źle się czuje? – kardynał Stefan Wyszyński z pewnym niepokojem patrzył na siedzącego przed nim Eugeniusza Baziaka.

– Ten upał mi dokucza. Ale to nic, wytrzymam.

– Na szczęście niedługo wakacje...

– Pojadę nad morze. Trzeba powdychać trochę jodu. Lekarz twierdzi, że to konieczność. Serce... Na jesień zapraszam Księdza Prymasa na jubileusz. – Baziak ożywił się. – W lipcu minie pięćdziesiąt lat od moich święceń. We wrześniu szykują mi świętowanie – drugiego w Lubaczowie, a szesnastego w Krakowie.

– Z radością przyjadę.

– Rad by człowiek obchodzić taki jubileusz we lwowskiej katedrze – w głosie arcybiskupa zabrzmiała gorycz.

– Wiem, czym jest ból biskupa odłączonego od swojej diecezji.

Trzy miesiące wcześniej Prymas przekazał arcybiskupowi Baziakowi oficjalną decyzję Jana XXIII o mianowaniu go metropolitą krakowskim. W ten sposób miał się formalnie zakończyć jego tymczasowy, choć trwający już ponad dziesięć lat, status metropolity Lwowa. Pod koniec wojny arcybiskup został zmuszony do opuszczenia tego miasta, które znalazło się w granicach Związku Radzieckiego. Osiadł w Krakowie, gdzie kardynał Sapieha uczynił go swym koadiutorem[38]. Po śmierci Księcia zarządzał archidiecezją krakowską. Trwało to krótko. Został aresztowany, następnie zwolniony ze względu na

[38] Koadiutor – pomocnik biskupa diecezji. Zazwyczaj Stolica Apostolska wyznacza koadiutora, gdy wiek lub choroba ordynariusza ograniczają jego aktywność. Często biskup mianowany koadiutorem po śmierci ordynariusza zostawał biskupem diecezji (koadiutor z prawem następstwa). Arcybiskup Baziak był koadiutorem bez prawa następstwa.

stan zdrowia i wydalony z Krakowa. Powrócił dopiero w 1956 roku. Niedawno Jan XXIII mianował go pełnoprawnym biskupem archidiecezji krakowskiej i jednocześnie administratorem archidiecezji lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie. Wokół tego miasta znajdowała się resztka archidiecezji pozostająca w granicach Polski. Faktycznie oznaczało to odłączenie arcybiskupa od lwowskiej katedry i zaakceptowanie przez Kościół sowieckiej polityki faktów dokonanych.

Prymas zasugerował, że najprawdopodobniej Stolica Apostolska nie zdawała sobie sprawy z tej delikatnej sytuacji... Postanowili, że wyśle prośbę o nieodłączanie Baziaka od katedry we Lwowie. Niedawno otrzymał odpowiedź.

– Ojciec Święty zgadza się, aby kanoniczny stan księdza arcybiskupa wobec Lwowa nie uległ zmianie – powiedział.

Wąskie usta Baziaka uniosły się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

– Ksiądz Prymas ma dar przekonywania.

– Jan XXIII bardzo kocha Polskę i Polaków. I nie omija żadnej okazji, aby okazać nam swoją sympatię. Sam tego nieustannie doświadczam.

Na przełomie lutego i marca kardynał pojechał do Rzymu na obrady Centralnej Komisji Przygotowawczej Soboru. Zwołanie soboru powszechnego przez Jana XXIII było największym (choć nie jedynym) zaskoczeniem tego pontyfikatu, który uchodził za „przejściowy". Papież podjął tę decyzję kilka miesięcy po swoim wyborze, a rozpoczęcie Soboru wyznaczył na jesień 1962 roku. W czasie pobytu w Rzymie Prymas kilkakrotnie rozmawiał z Janem XXIII. Największym echem odbiło się spotkanie, do którego doszło „z zaskoczenia". W sobotę otrzymał wezwanie do Ojca Świętego na godzinę jedenastą rano w niedzielę. *Nie wiem, o co idzie* – zanotował w dzienniku. Przekonał się nazajutrz.

Najpierw całą godzinę rozmawiał z papieżem, głównie o Wielkiej Nowennie. Gdy wybiła dwunasta, Ojciec Święty podszedł do okna

i odmówił z wiernymi *Anioł Pański*. Następnie wezwał kardynała do siebie. Świat zobaczył ich razem. Był to gest bez precedensu. Papież okazał publicznie wielkie uznanie dla kardynała Wyszyńskiego osobiście i dla Kościoła w Polsce.

– Czy nowy sekretarz stanu lepiej rozumie naszą sytuację? – zapytał Baziak.

Prymas milczał przez chwilę. W czasie pobytu w Rzymie poznał kardynała Amleta Giovanniego Cicognaniego, który zastąpił zmarłego nagle kardynała Tardiniego.

– Z pewnością patrzy na Kościół szerzej niż jego poprzednik – nie tylko z perspektywy Kurii Rzymskiej i obsesji walki z komunizmem. Kardynał Cicognani był delegatem apostolskim w Stanach Zjednoczonych, a ostatnio prefektem Kongregacji do spraw Kościołów Wschodnich. Ma lepszą orientację w tym, co się dzieje poza Watykanem.

Mógłby powiedzieć jeszcze więcej. Na przykład to, że spełniły się jego modlitwy sprzed pięciu lat, kiedy jechał po biret kardynalski. Z przyjściem Jana XXIII sztywny gorset krępujący Kościół uległ pewnemu rozluźnieniu. Cicogniani został mianowany kardynałem, mimo że jego rodzony brat też piastował tę godność. Kodeks prawa kanonicznego tego zabraniał, ale papież uchylił ten przepis. Ważniejsze było dla niego postawienie odpowiedniej osoby w odpowiednim miejscu niż hołdowanie przepisom tworzonym dawno temu i chroniącym przed niebezpieczeństwami, które już dawno minęły.

– W każdym razie – dodał – czeka nas teraz mnóstwo pracy. W kraju Nowenna, a w Rzymie sobór.

– Myśli Ksiądz Prymas, że komuniści dadzą nam paszporty?

– *Pożywiom, uwidim* – powiedział z lekkim uśmiechem Wyszyński. – A co z kościołem w Nowej Hucie?

Od lat w Krakowie trwały zmagania o postawienie świątyni w nowo budowanym wzorcowym osiedlu socjalizmu. Po chwilowej odwilży w roku 1956 władze ponownie usztywniły stanowisko. Przed dwoma laty doszło nawet do rozruchów, gdy próbowano usunąć krzyż postawiony przez ludzi w miejscu, gdzie miał stanąć kościół. Jak do tej pory wszelkie wysiłki wzniesienia budowli kończyły się fiaskiem. Parafia istniała wokół prowizorycznej kaplicy w Bieńczycach.

– Władze odrzucają każdego mojego kandydata na administratora parafii – powiedział Baziak. – Owszem, chętnie by widzieli tam jakiegoś „patriotę", ale ja na to nie pójdę. Już sugerowali nominację paru księży *caritasowców*[39]. Chyba tylko po to, by jeszcze bardziej utrudnić budowę. Wygląda na to, że w tym momencie sprawa utkwiła w martwym punkcie. Ale duszpasterstwo działa. Ludzie są głodni Boga. Przychodzą tłumnie, nawet w mróz i deszcz. Pracuje tam kilku księży. Biskup Wojtyła odprawia regularnie pasterki.

– Jak pracuje? Pamiętam, że to oryginał. Po przyjęciu nominacji chciał wracać na spływ kajakowy...

– Tak. No cóż, wciąż jest trochę dziwny. Napisał na przykład książkę o życiu intymnym kobiety i mężczyzny. Ale trzeba przyznać, że jest bardzo pracowity. I lojalny. Mogę zostawiać mu różne sprawy. Ze spokojnym sercem wyjadę na sobór, mając go w Krakowie.

Karol spał snem sprawiedliwego, gdy odezwał się dzwonek telefonu. Na pewno nie od razu go usłyszał. Dopiero za którymś z kolei sygnałem przetarł oczy i usiadł na łóżku. Telefon dzwonił i dzwonił. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga nad ranem.

Podniósł słuchawkę.

– Wojtyła, słucham – powiedział.

[39] Księża patrioci zasiadali także we władzach Caritasu, zabranego Kościołowi przez państwo.

– Ekscelencjo, tu Józek Mucha – usłyszał.

Mucha był kierowcą arcybiskupa Baziaka. Kilka dni wcześniej zawiózł go na Konferencję Episkopatu Polski do Warszawy.

– Co się stało, panie Józku?

– Nieszczęście, Ekscelencjo, nieszczęście. Arcybiskup umarł.

Mucha umilkł. Wojtyła odetchnął głęboko.

– *Requiescat in pace (Niech spoczywa w pokoju)* – powiedział po chwili. – Muszę jak najszybciej jechać do Warszawy – dodał. – Jak to zrobimy?

– Pociągiem nie da rady, byłby ksiądz biskup dopiero na wieczór. Jak ja bym zajechał do Krakowa i wrócił – wyjdzie na to samo. Może niech ksiądz biskup pojedzie do Kielc – tam się spotkamy i pojedziemy do Warszawy – tak będzie najszybciej.

– To dobry pomysł.

W drodze z Kielc Mucha opowiedział mu, co się stało. Po pierwszym dniu konferencji arcybiskup wrócił do „Romy" przy Nowogrodzkiej. Przed wojną znajdował się tam Dom Katolicki, po wojnie gmach upaństwowiono, a Kościół zachował kilkanaście pokoi na hotel dla księży. W jednym z nich mieszkał Baziak, w innych – jego kapelan ksiądz Jan Knap oraz kierowca. Arcybiskup położył się około wpół do dziesiątej. Po północy wszedł do pokoju kapelana. Knap już spał. Poczuł szarpnięcie, otworzył oczy i zobaczył nad sobą ciężko dyszącego Baziaka.

– Umieram – powiedział arcybiskup.

Kapelan zaprowadził go do pokoju i posłał Józka po lekarza.

– Nie mogłem się wydostać – opowiadał Mucha. – Drzwi na dole były zaryglowane, w końcu otworzył mi dozorca. Pobiegłem na Poznańską, to niedaleko, tam jest pogotowie. Lekarza nie było, tylko felczerzy. Z jednym wróciliśmy na Nowogrodzką, ale ksiądz arcybiskup już nie żył.

Zajechali pod „Romę".

– Dziękuję, panie Józku – powiedział Wojtyła. – Proszę być w pobliżu.

Wysiadł, wszedł do budynku i po schodach wspiął się na czwarte piętro, gdzie mieścił się hotel dla księży.

Arcybiskup leżał w łóżku, przy nim klęczał jego kapelan. Wojtyła ukląkł obok. Przez chwilę przyglądał się pokrytej zmarszczkami twarzy, wąskim, prostym ustom, zamkniętym oczom.

– Dobrze, że tak szybko udało się księdzu biskupowi przyjechać – powiedział Knap.

– Czy otrzymał sakramenty?

– Umierał świadomie. Prosił mnie o rozgrzeszenie, a potem jeszcze biskup Kaczmarek udzielił mu sakramentu chorych.

– Jutro zabierzemy go do Krakowa.

4

Pastor cadit in gregis medio.

Dormit Sponsus in Sponsae gremio[40]...

Słowa wypowiedziane przez kardynała Wyszyńskiego były dla Karola niczym hasło domagające się odzewu.

... *Mater plorans gaudet in filio*

Quia VIVIT VICTOR sub gladio[41].

[40] Pasterz upadł pośród owczarnię / Zasnął oblubieniec w Oblubieńczej wspólnocie.

[41] Płacząca matka raduje się synem / Albowiem ŻYJE ZWYCIĘZCA mimo śmierci zadanej mu mieczem.

Przeszły one szybciej przez jego myśl, niż na głos wypowiedział je Prymas. Pochodziły z brewiarza na uroczystość świętego Stanisława, biskupa Krakowa i męczennika, który spoczywał w samym centrum wawelskiej katedry. Nieopodal stała trumna z ciałem arcybiskupa Baziaka. Jego los dowodził, że po tysiącu lat miecz ciągle wisi nad Kościołem. Prześladowanie było nieodłącznie związane z osobą lwowskiego metropolity. Najpierw – u schyłku wojny – serie nocnych przesłuchań prowadzonych przez NKWD we Lwowie. Potem tułaczka. Lata pięćdziesiąte, terror stalinowski, proces kurii krakowskiej i aresztowanie. Oszczercza nagonka reżimowej prasy. Wygnanie z diecezji.

Karol podniósł wzrok na relikwiarz Stanisława. Dalekim echem zabrzmiał mu poemat Słowackiego:

„Oto ten kapłan" – rzekłem – ta gadzina,
Chce mnie ugryźć w serce – a wszystkim wiadomo,
Że umarłego pole Piotrowina
Pochwycił ręką kościelną, łakomą[42].

Przed dwudziestu laty, w samym środku okupacji, jako aktor Teatru Rapsodycznego deklamował te wersy, wcielając się w postać Bolesława Śmiałego, który pozbawił życia biskupa Stanisława. Czy nie pasowały one jak ulał do obecnych czasów? Czy propaganda towarzysząca prześladowaniom religii nie była konstruowana wokół historii o nieprzebranych bogactwach duchowieństwa? Czy cierpienia arcybiskupa Baziaka nie były spowodowane chorobliwą nienawiścią władzy do Kościoła?

[42] Fragment poematu Król-Duch.

– To wszystko może złamać ciało, chociaż ducha nie złamie – powiedział Prymas. – Można skrępować wolę ciała, ale duch zawsze się wzniesie ponad ten świat. Jest wolny, nawet w więzieniu.

Nawet w więzieniu…

Inaczej patrzyło się na kardynała Wyszyńskiego dziś, po jedenastu latach od pogrzebu księcia Sapiehy. Siła jego słów nie wynikała już tylko z pozycji w Kościele, intelektu ani piękna mowy. On przeżył to, o czym mówił. Dla Karola było jaśniejsze bardziej niż kiedykolwiek, że cały program przygotowania do Milenium Chrztu Polski wynikał z tego doświadczenia. Przełom roku 1956 dowiódł, że wśród Polaków nie zginęła wiara, a Prymas powrócił. Było to jak cud zmartwychwstania. Bardzo podobny do wizji Słowackiego. Oto król Bolesław zarzucił Stanisławowi bezprawne przejęcie majątku nieżyjącego rycerza Piotra. Wezwał biskupa na sąd:

Wkrótce stawiono bladego biskupa,
Do którego ja rzekłem, cały piany:
– „Alboś ty złodziej, albo ty nam trupa
Wywołaj z grobu i z tej białej ściany!
Wywołaj!…”

Zażądał wskrzeszenia zmarłego, aby ten zeznał prawdę. Stanisław zgodził się. Uczynił rzecz niemożliwą, okazując władcy, jak wielka jest potęga Boga. Powrót Prymasa z trzyletniej izolacji też miał wszelkie znamiona triumfu potęgi większej od ludzkiej siły. Oczywiście wszystko można było tłumaczyć korzystnym biegiem wydarzeniem, dojściem do władzy Gomułki, kompromitacją stalinizmu. Dla człowieka wiary jednak za tym wszystkim kryła się Boża Opatrzność, która interweniuje poprzez ludzi – tych, którzy chcą jej służyć, i także przez tych, którzy kwestionują jej istnienie. Był w tym jakiś cel.

W wizji Słowackiego biskup Stanisław zgodził się wezwać umarłego, postawił jednak warunek królowi. Bolesław znany był z życia, które kiedyś nazywane było rozpustnym, obecnie – swobodnym. Dlatego Stanisław zażądał:

Co znaczy ta kupa
Nierządnic? Jeśli ma być trup wezwany,
Jeśli rzecz, która w nocy trzęsie miasty
Świętymi – ma stać się – odpraw niewiasty!

Cud nie może się wydarzyć, gdy obraża się Boga. Sumienie musi zostać oczyszczone. Po to powstał program Nowenny, którą Prymas z takim uporem wprowadzał w życie po wyjściu na wolność.

Stanisław spełnił żądanie monarchy. Przywołał zmarłego rycerza, który powiedział Bolesławowi w twarz, jaka jest prawda. Bolesław Śmiały nie potrafił tego przyjąć i zabił biskupa.

Historia się powtarzała. Każdy rok Wielkiej Nowenny przynosił nowe, zajadłe ataki komunistów. Ich głównym celem był Prymas.

Kazanie pogrzebowe dobiegało końca. Wkrótce ciało arcybiskupa Baziaka spocznie w kaplicy Najświętszego Serca Pana Jezusa. Karol będzie zarządzał archidiecezją krakowską aż do dnia, w którym papież mianuje nowego arcybiskupa.

5

Józef Mucha wciskał pedał niemal do podłogi. Dochodziła ósma i kierowca modlił się, żeby droga była pusta i aby nie wydarzyło się nic nieoczekiwanego. Wiózł biskupa Wojtyłę na pociąg, którym polscy hierarchowie jechali do Rzymu. Modlitwa okazała się skuteczna. Przed dziesiątą zaparkował przed dworcem PKP w Zebrzydowicach.

Mucha wyjął z bagażnika walizkę i wszedł z Wojtyłą do budynku stacji. Mimo późnej pory kłębiło się w niej od ludzi. Karol zobaczył znajomą twarz.

– Herbert – wykrzyknął, wyciągając szeroko ręce. W poczekalni zobaczył biskupa Herberta Bednorza z Katowic. – Dobrze, że nie odjechałeś beze mnie.

– Szczęść ci Boże – Bednorz uścisnął mocno dłoń Wojtyły. – Wygląda na to, że jeszcze sobie poczekamy.

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy z megafonu rozległ się komunikat o opóźnionym pociągu z Warszawy. Gromady ludzi z biskupem Bednorzem i towarzyszącym mu Wojtyłą pospieszyły na peron.

– Niech żyje Prymas! – krzyknął ktoś na widok kardynała Wyszyńskiego, wychylającego się z okna wagonu.

– Niech żyje Prymas! – zaczęli wołać inni.

Jakiś człowiek podbiegł do wagonu i podał kwiaty. Kardynał przyjął je i pobłogosławił zgromadzonych.

Wojtyła i Bednorz wspięli się po stopniach. Poszli przywitać się z Wyszyńskim.

– Jak minęła podróż, Eminencjo? – zapytał Bednorz. – Myślałem, że się nie doczekamy.

– Mieliśmy w Warszawie kilka przeszkód w ostatniej chwili, ale ufam, że jesteśmy na drodze do ich rozwiązania. Cieszę się, że księża biskupi dotarli do nas.

– Jak byśmy mogli przepuścić taką okazję? – zaśmiał się Bednorz. – Nie pojechać na sobór do Wiecznego Miasta?

– W którym przedziale znajdę arcybiskupa Kominka? – zapytał Wojtyła.

Z administratorem apostolskim we Wrocławiu znali się dobrze z prac komisji duszpasterskiej episkopatu Polski, której Bolesław Kominek był przewodniczącym.

– Nie ma go – skwitował krótko Choromański.

– Jak to? Przecież miał jechać.

– Zgadza się. Miał. Ale nie pojechał. Może jeszcze dotrze, lecz na razie został w kraju. Opowiem księżom po drodze. Eminencjo – Choromański zwrócił się do kardynała Wyszyńskiego – zaprowadzę księży biskupów do ich przedziału.

– Oczywiście – Prymas sięgnął po notes, w którym zapisywał wydarzenia każdego dnia.

W Koluszkach, w Częstochowie i w Katowicach ogromne tłumy ludzi – zanotował – śpiewają „Christus vincit”[43], *„My chcemy Boga” i inne pieśni. To samo w Zebrzydowicach. Wsiadają bp Bednorz i bp Wojtyła.*

Pociąg ruszył, Choromański zachwiał się lekko, ale zaraz odzyskał równowagę i poszedł przed Bednorzem i Wojtyłą. Po chwili byli już w przedziale. Tu opowiedział im, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Rano, zaraz po mszy, którą Prymas odprawił na Miodowej, pojawili się u niego Kominek i jego sufragan biskup Andrzej Wronka. Okazało się, że Wronka dostał paszport, natomiast Kominkowi władze odmówiły prawa do wyjazdu.

[43] *Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat (łac.) – słowa pieśni: Chrystus Wodzem, Chrystus Królem, Chrystus Władcą.*

– Ksiądz Prymas poprosił mnie do siebie – opowiadał Choromański – i wyznaczył parę zasad. Po pierwsze, pojadą ci biskupi, którzy byli na liście zgłoszonej rządowi. Po drugie, sufragani nie pojadą, jeśli ich ordynariusz nie dostanie paszportu. Po trzecie, nie pojedzie biskup, który nie był zgłoszony przez episkopat. Nie może tak być, aby to rząd wybierał biskupów, którzy mają brać udział w Soborze. Kałwie[44] też odmówili paszportu.

– Nie byliby sobą, gdyby nam nie dokuczyli – stwierdził Bednorz. – Mieli niezły pomysł z tym wydaniem paszportów sufraganom, a wstrzymaniu ordynariuszom. Dziel i rządź.

– Chcieliby sami ustalać, kto w episkopacie jest lepszy, a kto gorszy – powiedział Choromański. – Ale być może arcybiskup Kominek do nas dołączy. Ksiądz Prymas wysłał w tej sprawie telegram do Gomułki. Biskup Dąbrowski[45] dwa razy spotykał się wczoraj z Żabińskim[46]. Może ulegną. Brak Kominka na pewno zostanie zauważony i opinia publiczna na Zachodzie przekona się, że Kościół wciąż jest prześladowany, tylko w innej formie niż kiedyś.

[44] Piotr Kałwa (1893–1974) – biskup lubelski.
[45] Bronisław Dąbrowski (1917–1997) – biskup, a od 1982 roku arcybiskup (podniesiony do tej godności z racji specjalnych zasług przez Jana Pawła II), sufragan warszawski, od 1969 roku sekretarz Konferencji Episkopatu Polski.
[46] Tadeusz Żabiński – dyrektor Urzędu do spraw Wyznań w latach 1961–1965.

6

– Ojcze, może jeszcze pasty[47]? – zaproponował Prymasowi ksiądz Goździewicz, podając mu półmisek ze spaghetti.

– Nie, nie dziękuję. Lepiej nałóż sobie.

– Gdzież tam, chce Ojciec, żebym jeszcze utył?

– Wiesz przecież, że forma okrągła jest doskonała. Uczestnicy obiadu roześmiali się.

– No, ja mogę coś powiedzieć na ten temat – dodał arcybiskup Kominek.

Półkoliste oprawki jego okularów doskonale komponowały się z kształtem podbródka, a właściwie dwóch podbródków i policzków nieco przypominających pączki. Przyjechał do Rzymu nieco później niż inni ojcowie soborowi z Polski. Ostatecznie władze komunistyczne uznały, że odmówienie mu prawa wyjazdu na sobór niesie z sobą więcej minusów niż plusów. Nie bez znaczenia była uwaga Prymasa, który interweniował u Gomułki, wskazując, że nieobecność biskupa z ziem zachodnich byłaby fatalna dla polskiej racji stanu.

– Gdyby tylko doskonałość udało się osiągnąć, jedząc pierogi śląskie – westchnął Bolesław – mielibyśmy dużo świętych!

– Papież Jan co prawda pierogów nie je, lecz wydaje się bliski nieba – powiedział Prymas. – Ludzie o pokaźnej tuszy mają duże poczucie humoru, ale mnie się zdaje, że to raczej zasługa jego życia wewnętrznego. Słyszeliście, że podobno kazał podwyższyć pensje swoim lektykarzom[48]. Powiedział, że muszą zarabiać więcej, bo teraz noszą znacznie większy ciężar.

[47] Pasta – makaron (wł.).
[48] Papieże przy uroczystych okazjach noszeni byli na specjalnym tronie zwanym *sedia gestatoria*.

– Ojciec Święty okazuje nam nieustannie swoją życzliwość – zauważył Kominek i ugryzł się w język, przypomniał sobie bowiem, że przy posiłku Prymas przestrzegał zasady niemówienia o polityce.

A już chciał wspomnieć o słynnej wypowiedzi Jana XXIII, który w czasie pierwszej audiencji dla polskich biskupów (udzielonej zresztą nazajutrz po ich przyjeździe do Wiecznego Miasta) wyraził radość z uczczenia w Polsce pamięci jego rodaka pułkownika Francesca Nullo. Nullo, pochodzący z Bergamo (tak jak Roncalli), zginął w powstaniu styczniowym. *Odrodzona Polska* – powiedział papież – *postawiła temu szlachetnemu pułkownikowi pomniki, jego nazwiskiem nazwała ulice, jak to miało miejsce na ziemiach zachodnich, po wiekach odzyskanych, we Wrocławiu.* Wokół tych ostatnich słów zrobiła się mała burza, w Sekretariacie Stanu interweniował ambasador Niemieckiej Republiki Federalnej.

– Tak, przyjaźń Jana XXIII jest niezwykła – stwierdził Wyszyński. – Wciąż daje nowe jej dowody. I lubi robić niespodzianki.

– Szykuje się coś jeszcze, Eminencjo? – zapytał biskup Franciszek Barda z Przemyśla.

– Trzeba być zawsze gotowym – odparł Prymas, uśmiechając się zagadkowo. – I nie ulegać emocjom. Wiecie – zmienił temat, choć może tylko pozornie – kiedyś miałem wizytację i witali mnie, jak to zwykle bywa, chlebem i solą. Do przemowy wybrali mężczyznę (bo kobieta, rzecz oczywista, rezonu by nie straciła), a ten biedak tak się stremował, że powiedział do mnie „Najprzewielebniejsza Ewidencjo!". No, ale ksiądz biskup ma większą praktykę, więc omyłki nie popełnia. W każdym razie wolę, jak nazywają mnie ojcem. I prostsze to, i pomylić się trudniej. Chociaż... jeszcze za lubelskich czasów mówili do mnie wierni „Ojcze biskupie". Kiedyś przyjeżdżam do wsi na bierzmowanie, znowu komitet powitalny, chleb, sól i przemówienie. Zaczyna ten człowiek: *Ojcze biskupie, Ojcze nasz, który*

jesteś w niebie. Zorientował się, że to nie ten tekst. *O psiamać, w pacierz zaszedłem* – krzyknął, rzucił czapkę i uciekł.

Wybuchła kolejna salwa śmiechu.

– No, pora kończyć, żebyśmy się nie spóźnili – stwierdził Prymas. Tego popołudnia w kościele Świętego Andrzeja na Kwirynale biskupi mieli się modlić z rzymską Polonią. Dziś wypadało wspomnienie patrona polskiej młodzieży świętego Stanisława Kostki, którego ciało spoczywało w tym jezuickim kościele.

– Mamy jeszcze dużo czasu – powiedział biskup Choromański, zerkając na zegarek.

– Lepiej być godzinę wcześniej niż minutę za późno.

– I to mówi Ojciec, który nie lubi, gdy ja poganiam? – zapytał żartobliwie Choromański.

Prymas uśmiechnął się i odmówił modlitwę po posiłku.

7

Karol zobaczył, że przy wejściu do kościoła zrobiło się małe zamieszanie. Prymas podszedł do otwartych szeroko drzwi, w których pojawiła się korpulentna postać w białej sutannie. Czy to możliwe? Papież Jan? Razem z innymi zaczął klaskać. Co za niespodzianka! Ojciec Święty przyjechał do Polaków, zupełnie prywatnie i bez żadnego ceremoniału. Towarzyszył mu tylko jego sekretarz ksiądz Loris Capovilla.

Papież w towarzystwie Prymasa przeszedł do środka kościoła i usiadł w fotelu. Postawiono przed nim mikrofon.

– Drodzy bracia i siostry – zaczął – przybyliśmy tu dziś, ponieważ w dniu patrona polskiej młodzieży chcieliśmy modlić się z Polakami, sprawić im radość i podnieść ich na duchu. Jesteśmy niezwykle wdzięczni waszemu narodowi za piękne świadectwo wiary i za

modlitewne wsparcie Soboru, o którym mówił nam nasz umiłowany brat, a wasz pasterz Stefan kardynał Wyszyński. Wiemy, że cała Polska modli się za Sobór, a na Jasnej Górze czuwają dzień i noc w intencji tego dzieła. To miejsce jest nam szczególnie bliskie. Byliśmy tam przed laty i zachowujemy w naszym sercu wielką cześć dla Czarnej Madonny. Jak słyszymy, również tutaj na Soborze cieszy się Ona wielką miłością – zwłaszcza wśród braci biskupów z Afryki, którzy – jak mówił nam wasz kardynał – uważają ją za szczególnie bliską ze względu na kolor twarzy tak podobny do koloru skóry naszych braci z Czarnego Kontynentu.

– Ojcze Święty, po raz kolejny spotyka nas niezasłużony zaszczyt spotkania z Waszą Świątobliwością – odezwał się wzruszony Wyszyński. – Zaciągamy wobec Ojca Świętego ogromny dług wdzięczności. Polska wspiera Ojca w każdym dniu jego posługiwania.

– Nie zapominajcie też o mnie, gdy pożegnam się z tym światem. Co prawda, mawiają, że w mojej rodzinie dziewięćdziesiątka nie jest niczym nadzwyczajnym, ale nie wiem, czy uda mi się dotrwać do końca Soboru. Choć nadzieją napawają urodziny naszego brata biskupa Alfonsa, które świętowaliśmy przed kilkoma dniami.

Jeden z ojców soborowych, biskup Alfonso Carinci, pięć dni temu skończył sto lat i zebrał huczne brawa w Bazylice Świętego Piotra. Dziewięćdziesiąt dwa lata wcześniej był ministrantem na Pierwszym Soborze Watykańskim.

Papież podniósł się z miejsca i podszedł do ołtarza z relikwiami świętego Stanisława Kostki. Z widocznym trudem ukląkł i pomodlił się przez chwilę. W jakiej intencji? Niewątpliwie miał ich wiele, główna dotyczyła rozpoczętego przed ponad miesiącem zgromadzenia biskupów z całego świata.

Ceremonia otwarcia soboru wywarła na wszystkich wielkie wrażenie. W czwartek 11 października rano w majestatycznym pochodzie

do Bazyliki Świętego Piotra wkroczyli biskupi (w liczbie ponad dwóch i pół tysiąca) oraz pozostali uczestnicy obrad. W sumie prawie trzy tysiące osób. Bazylika została przekształcona w aulę, w której ojcowie soborowi zasiedli według rangi i starszeństwa. Na samym dole, najbliżej tronu papieskiego – kardynałowie, potem, coraz wyżej, patriarchowie, arcybiskupi, biskupi, opaci, prałaci, przełożeni zakonni, a w końcu tak zwani prokuratorzy, którzy zastępowali nieobecnych ojców soborowych. Po mszy odprawionej przez kardynała Eugène'a Tisseranta Jan XXIII wygłosił przemówienie. Papież mówił między innymi, że *czym innym jest istota starodawnej nauki stanowiącej skarbiec wiary, a czym innym sposób jej wyrażania.* Stawiał przed Soborem zadanie przekazania całego dziedzictwa chrześcijaństwa w formie dostosowanej do warunków szybko zmieniającego się świata. W tym soborze nie chodzi więc (jak w poprzednich) o formułowanie prawd wiary i odpowiedź na herezje, ale o zwiększenie skuteczności Kościoła, który ma dotrzeć ze swoim orędziem do serc ludzi.

„Niewątpliwie papież Jan jest żywym dowodem tego pragnienia" – pomyślał Karol, patrząc na modlącego się Ojca Świętego. Obok niego klęczał Prymas. Postaci te z sobą bardzo kontrastowały. Jan – mimo białej papieskiej sutanny przypominał bardziej proboszcza wiejskiej parafii aniżeli następcę Piotra i wikariusza Chrystusa na ziemi. Prymas nosił się jak książę – wysoki, szczupły, bardzo opanowany w gestach i słowach. Mówili niektórzy, że na ostatnim konklawe zdobył kilka głosów i że cieszył się poparciem konserwatywnej części kardynałów. Pozornie wszystko się zgadzało – Prymas był postrzegany jako męczennik komunizmu, był bardzo maryjny, uchodził za człowieka rządzącego silną ręką. W jego działaniach znajdowały się też elementy, które nie pasowały do tego obrazka. Patrzył krytycznie na Kurię Rzymską, zabiegał o uznanie polskości ziem zachodnich, co było zbieżne z zabiegami władz PRL, zdaje się, że ciągle wierzył, iż Kościół wcale

nie musi walczyć z komunizmem, lecz może z nim współegzystować. Co więcej, jemu również – jak wielu biskupom ze świata – zależało na tym, aby Rzym otworzył się bardziej na specyfikę Kościołów lokalnych.

Papież wstał z kolan i skierował się w stronę wyjścia, błogosławiąc Polaków. Nieco za nim szli jego sekretarz ksiądz Loris Capovilla i Prymas.

… ostatnia notatka w Dzienniku, jaką Papież zrobił, dotyczy przyjęcia biskupów polskich na audiencji w dniu 20 maja 1963 roku. Później Papież nie mógł już nic napisać / **Stefan Wyszyński**

1963, czerwiec

8

W nocy poczuł się źle. Dostał wysokiej gorączki.

– Ksiądz Prymas musi zostać w łóżku – powiedział lekarz. – Nie ma mowy o udziale w uroczystości.

Przyjechał do Białegostoku poprzedniego dnia po południu. Dziś miał konsekrować na biskupa księdza Adama Sawickiego, zarządzającego polskim skrawkiem dawnej archidiecezji wileńskiej.

– Proszę zawołać arcybiskupa Baraniaka. Antoni pojawił się chwilę później.

– Nie dam rady wziąć udziału w konsekracji. Mógłbyś mnie zastąpić?

– Oczywiście. Co Ojcu dolega?

– Coś z żołądkiem. Wredna sprawa. Są jakieś wiadomości z Rzymu?

Martwił się o papieża. Rozmawiał z nim niecałe dwa tygodnie temu i był wstrząśnięty jego stanem. Jan XXIII strasznie schudł, choroba nowotworowa postępowała szybko, czyniąc spustoszenie w jego organizmie.

– Nic nowego. Nie opuszcza sypialni. Może coś powiedzą w porannych wiadomościach – Antoni zerknął na zegarek. – O, akurat siódma – włączył stojące nieopodal radio.

Papież Jan XXIII zmarł wczoraj wieczorem w Watykanie – usłyszeli głos spikera. – Odszedł wielki orędownik pokoju, człowiek, który bardzo sprzyjał Polsce i przemianom społecznym dokonującym się w naszym kraju.

Obaj biskupi przeżegnali się.

– Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!

– Muszę wracać do Warszawy – powiedział Prymas.

– W tym stanie? Wrócę po konsekracji, może Ojciec w tym czasie poczuje się lepiej.

Antoni wyszedł.

Requiescat in pace. Dobry papież Jan zażywa już pokoju, o który tak zabiegał tu, na ziemi. Swoją ostatnią encyklikę zatytułował *Pacem in terris* (Pokój na ziemi) i nie było tajemnicą, że napisał ją pod wpływem dramatycznych wydarzeń, które rozegrały się w dniach inauguracji Soboru. Wybuchł kryzys kubański, w wyniku którego omal nie doszło do wojny między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Krótko przed inauguracją Soboru amerykański samolot szpiegowski U-2 wykrył na rządzonej przez Fidela Castro Kubie sowieckie rakiety średniego zasięgu. Amerykanie wprowadzili całkowitą blokadę wyspy. Świat zelektryzowała wiadomość, że oba supermocarstwa postawiły w stan gotowości strategiczne siły atomowe.

To, co mówił niegdyś Gomułka, mogło się stać rzeczywistością. Papież apelował o opamiętanie. Ale chyba ważniejsza była jego

modlitwa. Pół roku po zażegnaniu kryzysu podpisał encyklikę o pokoju. Miało to miejsce w Wielki Czwartek. Nazajutrz choroba, o której wiedział od pół roku, zaatakowała ze zdwojoną siłą.

Kiedy widzieli się po raz ostatni, cierpiał bardzo, lecz nie celebrował tego. „Nic wielkiego się nie stanie – powiedział. – Umrze papież, przyjdą kardynałowie, będzie konklawe, wybiorą drugiego i w ciągu miesiąca wszystko się uspokoi. Przyjdzie mój następca i zakończy Sobór". Było to niezwykłe spotkanie. Prymas wyjechał z Rzymu na kilkudniowy odpoczynek przed powrotem do Polski, gdy dotarła do niego wiadomość, że Ojciec Święty wzywa go do siebie nazajutrz. Musiał wracać, aby zameldować się za Spiżową Bramą o jedenastej rano. Papież – oprócz tego, że cierpiał fizycznie – bardzo przeżywał ataki związane z przyjęciem przez niego Aleksieja Adżubeja, naczelnego redaktora „Izwiestii", a prywatnie zięcia Nikity Chruszczowa, pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Zostało to odebrane jako co najmniej niezrozumiały gest głowy Państwa Watykańskiego pod adresem imperium zła, które nieomal doprowadziło do wybuchu katastrofy nuklearnej.

– Czy sądzisz, że popełniłem błąd? – zapytał go wtedy Jan.

Trudno było odpowiedzieć. Znał dobrze komunistów i wiedział, jak potrafią sprytnie manipulować. W ubiegłym roku tak właśnie chciał z nim postąpić Kliszko, który przebywał w Rzymie na zjeździe Komunistycznej Partii Włoch w czasie, gdy odbywał się Sobór. Zaproszono Prymasa, aby wziął udział w uroczystym raucie na jego cześć w ambasadzie polskiej. Komunikat dla świata byłby jednoznaczny – między Kościołem a władzami PRL panują idylliczne wręcz stosunki, więc komunizmu nie należy się obawiać. W rzeczywistości zaś w Polsce od dawna religia nie była tak prześladowana przez władze jak właśnie w tym okresie. Z drugiej strony nie chciał odrzucać możliwości zbliżenia. Powiedział zatem, że może złożyć rewizytę

w ambasadzie, jeśli ambasador go odwiedzi. Tak się stało, w czasie odwiedzin w ambasadzie doszło do rozmowy z Kliszką, ale tematu rautu nie podjął. Dyplomacja nie stała się ważniejsza niż prawda.

– Ojciec Święty miał czystą intencję, przyjmując Adżubeja – powiedział Papieżowi. – A zatem dokonało się jakieś dobro.

– Od ciebie zawsze otrzymam nie tylko pocieszenie, ale i prawdę. Chcę, żebyś wiedział, co było moim motywem.

– Papież nie ma obowiązku nikomu się tłumaczyć!

– Powtarzam, pragnę, abyś to wiedział. Kierowałem się dobrem człowieka, które – wierzę – może przynieść duchowe owoce. Jestem pewien, że w ten sposób naśladuję Chrystusa, który nikogo nie odpychał. Trudno jest być dzisiaj Jego namiestnikiem – ludzie raczej patrzą na papieża jak na dostojnika, głowę państwa, a nie jak na naśladowcę Pana.

Prymas słuchał, a jednocześnie martwił się, że długa rozmowa może zmęczyć chorego.

– Ojcze Święty, mistrz ceremonii mówił, że mogę tu być najwyżej pięć minut, a minęło już piętnaście.

Jan XXIII machnął ręką.

– Czytałeś *Pacem in terris*? Chciałem to napisać prostym językiem, powiedzieć ludziom o Chrystusie, który niesie pokój, i o papieżu – pasterzu, który pochodzi ze skromnej rodziny. Ja znam życie. Pracowałem na roli. Wiem, czego zwyczajni ludzie potrzebują od rządzących. Pokory i posłuszeństwa. Sam próbuję wcielać w życie wskazania zawarte w *Naśladowaniu Chrystusa* Tomasza à Kempis. Stosuję kilka zasad: ustępować wszystkim, słuchać wszystkich, chcieć dla siebie raczej mniej niż więcej, zajmować ostatnie miejsce. I powiem ci, że w dużym stopniu udało mi się to w granicach moich obowiązków jako zwierzchnika.

W czasie tamtego ostatniego spotkania Prymas nie mógł oprzeć się wrażeniu, że powtarza się scena z pożegnania apostoła Pawła w Efezie.

Jak to opisywał święty Łukasz w Dziejach Apostolskich: (...) *upadł na kolana i modlił się razem ze wszystkimi. Wszyscy wybuchnęli wielkim płaczem. Rzucali się Pawłowi na szyję i całowali go, smucąc się najbardziej z tego, co powiedział: że już nigdy go nie zobaczą. Potem odprowadzili go na okręt*[49].

Jan XXIII chciał ich odprowadzić aż do Spiżowej Bramy. „Ale co na to powiedzą w moim otoczeniu? – zapytał retorycznie. – Sam byłem kapelanem dziesięć lat. Wiem, co to znaczy".

Właśnie wtedy z jego ust padły słowa o tym, że „nic wielkiego się nie stanie", gdy umrze.

„Muszę wracać do Warszawy – powtórzył w myślach Prymas. – A stamtąd do Rzymu. Kim będzie nowy papież? Czy Polska będzie kiedykolwiek miała tak wiernego przyjaciela jak Jan?"

Z Arabii Saudyjskiej dotarła do nas wiadomość o zniesieniu w tym kraju niewolnictwa – usłyszał głos z radioodbiornika. Wyciągnął rękę i przekręcił gałkę.

Co człowiek może uczynić przeciwko życiu? Może sprawić, że z kilkutygodniowego bytu, który się powoli kształtuje, nie powstanie wielki człowiek, myśliciel, nauczyciel narodu, a może jego wybawca czy dowódca, może przyszły ojciec czy matka / **Stefan Wyszyński**

[49] Dz 20, 36–38.

9

– Proszę – powiedziała Emilia, słysząc pukanie do drzwi. To nie była kolejna pacjentka, lecz sekretarka dyrektora.

– Szef panią wzywa – powiedziała, stając na progu, odwróciła się i zniknęła.

Emilia wstała zza biurka. Czego on może chcieć?

Kiedy weszła do jego gabinetu, ogarnęły ją złe przeczucia. Czekało tam kilka osób – oprócz dyrektora zobaczyła członków rady zakładowej związków zawodowych i członków Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR.

– Wezwałem obywatelkę – powiedział dyrektor, sięgając po kartkę – w związku z powtarzającymi się zarzutami.

Obywatelka! Czy oni nie znają normalnych form zwracania się do ludzi? Nie, nie znają i właśnie dlatego trzymała się tego miejsca. Musi tu być choć jeden lekarz, który reaguje jak człowiek, które nie będzie wyśmiewał kobiet rodzących trzecie lub czwarte dziecko, a przede wszystkim nie będzie kierował pacjentek na tak zwany zabieg. Liberalizacja ustawy z roku pięćdziesiątego szóstego poczyniła już wielkie spustoszenia. Kobiety coraz częściej pojawiały się w szpitalu, chcąc przerwać ciążę. Jeśli trafiały do jej gabinetu, często udawało się je przekonać, aby tego nie robiły. Gdy szły do innego lekarza, były kierowane na aborcję. Dyrektor wspomniał o zarzutach. Ciekawe, kto je stawiał. Pacjentki? Zapytała o to.

– Obywatelka od dawna gwałci zasady obowiązujące w służbie zdrowia! – mężczyzna podniósł głos. – Zarzutów jest całe mnóstwo. Przede wszystkim nieludzkie postępowanie i zmuszanie pacjentek, aby korzystały z innych lekarzy, co obciąża naszych kolegów, a kobiety naraża na dodatkowe niedogodności.

Miejmy nadzieję,

że Duch Święty

dmuchnie solidnie,

zresztą już się to czuje.

Poza tym brak obywatelskiej postawy. Wiadomo, w jak trudnej sytuacji gospodarczej się znajdujemy, jak trudno o mieszkanie i wyżywienie. A obywatelka namawia, by kobiety miały jeszcze więcej dzieci! Co gorsza, ma to wszelkie znamiona zwalczania obowiązującego prawa, jakim jest ustawa o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Na tym jednak nie koniec. Obywatelka propaguje tak zwane metody naturalne zamiast antykoncepcji i szerzy światopogląd katolicki w państwowej placówce służby zdrowia. A nasze państwo przestrzega zasady rozdziału od Kościoła.

Przerwał na chwilę. Pozostali słuchali w milczeniu. Miała wrażenie, że znajduje się w sądzie – już po wyroku, a przed odczytaniem aktu oskarżenia.

– W związku z notorycznym powtarzaniem powyższych czynów obywatelka zostaje w trybie dyscyplinarnym zwolniona z pracy. Proszę o pieczątkę lekarską i klucze do gabinetu, a także blankiety recept, jeśli obywatelka ma je przy sobie.

„Nie wolno ci płakać! Nie możesz im dać tej satysfakcji. Światło cię nie złamał, oni też tego nie zrobią. To jeszcze nie koniec świata". W czterdziestym czwartym, gdy siedziała w piwnicy NKWD, było gorzej. Sięgnęła do torebki, położyła pieczątkę na biurku dyrektora, spojrzała w oczy swoim „sędziom" i wyszła.

Dopiero na ulicy uświadomiła sobie, że nie może zaraz wrócić do domu. Antoni będzie się martwił, że straciła pracę, musi to spokojnie przemyśleć, najlepiej byłoby, gdyby znalazła coś nowego. Wtedy mu powie. Tymczasem będzie co rano wychodzić, jak gdyby nic się nie stało.

10

List od Chrościckich zastał na biurku w swoim pokoju w Instytucie Polskim przy Via Pietro Cavallini. Emilia straciła pracę, jakiś czas ukrywała to nawet przed Antonim, nie chcąc, aby się martwił, w końcu dowiedział się przypadkowo od znajomego. Ma wilczy bilet, nigdzie nie chcą przyjąć jej do pracy. Proszą o modlitwę. Ufają, że po powrocie Ojca do Polski będą mogli go odwiedzić.

Prymas westchnął. „Nieszczęścia już nie chodzą parami, ale czwórkami albo i całymi plutonami" – pomyślał. Wiadomość od Emilii i Antoniego wpisywała się w całą serię ciosów, w które obfitowały minione miesiące. Jakby mała była jeszcze sama męka ponad dwóch miesięcy spędzonych poza krajem. To uderzenie spadało na ludzi, z którym zaprzyjaźnił się bardzo po powrocie z Komańczy, i zastanawiał się, czy przypadkiem Emilia nie zapłaciła za to, że była z mężem częstym gościem na Miodowej. Wysoko cenił tych lekarzy, szczególnie podziwiał Emilię, która mimo coraz większego osamotnienia trwała na swoim stanowisku w szpitalu przy Madalińskiego. To między innymi ją miał na myśli, gdy w czasie rozmowy z Gomułką mówił o prawie lekarzy do działania zgodnie ze swoimi przekonaniami i że nie jest to żadna działalność antypaństwowa – wręcz przeciwnie. Ale ta rozmowa była już prehistorią, z roku na rok partia i sam towarzysz „Wiesław" atakowali coraz agresywniej, zdawało się, że są ogarnięci jakąś obsesją w związku z Wielką Nowenną i przygotowaniami do Tysiąclecia Chrztu. Sobór, który mógłby tak dobrze służyć zaakcentowaniu obecności Polski w Europie i w świecie, był wykorzystywany przez władze do podkopywania pozycji Prymasa. Komuniści robili wiele, aby w oczach nowego papieża Pawła VI i uczestników Soboru wykreować obraz Kardynała jako upartego człowieka dążącego do konfrontacji

z władzą i nierozumiejącego realiów dzisiejszego Kościoła. Ktoś musiał się wyjątkowo postarać, aby opracować, przetłumaczyć na kilka języków i rozpowszechnić wśród ojców Soboru anonim o niektórych aspektach kultu maryjnego w Polsce. Widać było, że robili to ludzie znający się na sprawach teologii i Kościoła. Nieznany autor (autorzy?) dowodził, że mariologia Prymasa jest płytka i bigoteryjna, i wręcz ostrzegał przed niebezpieczeństwem herezji, do której może doprowadzić maryjność w wydaniu polskim. Kończył apelem do papieża o przysłanie do Polski przedstawiciela, „któremu bez narażania się komukolwiek można by wyjawić spostrzeżenia i obawy, zwłaszcza te, które budzi niezdrowy i przesadny kult maryjny". W tym samym czasie do Sekretariatu Stanu dotarła *Opinia* Stanisława Stommy, jednego z posłów Znaku. Znalazła się tam sugestia nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Watykanem a rządem PRL. Nikt nawet nie skonsultował z Prymasem tego pomysłu.

Ktoś zapukał.

– Proszę – powiedział.

– Ksiądz Prymas mnie wzywał – wszedł biskup Wojtyła.

Pewnie wkrótce arcybiskup, bo Wyszyński złożył już propozycję jego nominacji na stolicę metropolitalną w Krakowie.

– Tak. Chciałbym, aby ksiądz biskup rzucił na to okiem – podał mu zapisaną kartkę papieru. – To jest, jak się ksiądz biskup domyśla, odpowiedź na anonim krążący wśród ojców soborowych. Ksiądz lepiej ode mnie zna młodszych członków episkopatu, a zauważyłem też, że ma doskonały kontakt z cudzoziemcami. Proszę zobaczyć, może tak być?

Wojtyła poprawił okulary i pochylił się nad tekstem. Główną tezą pisma było wskazanie, że pod pozorem troski o kult maryjny kryje się atak na kardynała Wyszyńskiego i Kościół w Polsce. Prymasa zaskoczyła szybkość, z jaką biskup Karol zapoznał się z treścią.

– Nie mam nic do dodania. Bardzo rzeczowe.

– Ksiądz biskup sądzi, że zrozumieją? Pytają mnie o ten anonim, więc mam zamiar wręczać to pismo jako mój komentarz.

– Jest przejrzysty i zwięzły. Dobrze, że wyjaśnia prawdziwą intencję, a nie ma tu odniesienia do konkretnych zarzutów z anonimu.

– Nie było sensu wdawać się w polemikę. Choć czasem zastanawiam się, czy nie za mało wyjaśniamy Ojcu Świętemu i ojcom soborowym, o co tak naprawdę nam chodzi w propagowaniu kultu maryjnego. Jednak gdy widzę, z jaką reakcją spotkało się rozdanie hostii jasnogórskich, to myślę, że wielu nas rozumie.

Paulini przysłali Prymasowi do Rzymu trzy tysiące hostii, a polscy biskupi przekazali je uczestnikom Soboru z listem wyjaśniającym, iż zostały one przygotowane na Jasnej Górze „z pszenicy zebranej z pól męczeńskiej Polski". Liczni biskupi dziękowali za ten dar i obiecywali sprawować msze w intencji Polski. Byli też pod wrażeniem ogólnopolskiej akcji „Soborowy Czyn Dobroci". W ciągu dwóch miesięcy na Jasną Górę przybyły delegacje z sześciuset czterystu polskich parafii, składając tam księgi czynów dobroci. Wpisy były poruszające: „Powrócę do męża, przebaczę wszystko – w intencji Soboru", „Od dwóch miesięcy nie piję alkoholu, staram się być najlepszym mężem i ojcem", „Jako czyn soborowy wzięłam na stałe do mego domu dziewczynkę kalekę i będę ją wychowywała jako swoją". Ktoś kupił trumnę zmarłemu w ubogiej rodzinie, ktoś inny postanowił ochrzcić dwoje dzieci. A nawet jakiś domorosły hodowca zadeklarował: „Oddałem skradzione króliki".

– Rozpowszechnienie anonimu zbiegło się w czasie z Opinią Stommy – powiedział Prymas. – Konsultowali to z księdzem biskupem?

– To niezależni ludzie. Ale jestem pewien, że kierowali się czystą intencją. Rzeczywiście, nieszczęśliwie się stało, że obie te rzeczy pojawiły się w tym samym czasie. Sama *Opinia* wydaje się rzetelnym dokumentem.

– Tyle że wchodzi w obszar relacji między Stolicą Apostolską a Kościołem w Polsce. To dziwne, że rozegrało się to wszystko poza biskupami. Trudno nazwać takie działanie lojalnym. Jej rozpowszechnianie świadczy o tym, że wśród Polaków i polskich katolików brakuje jedności. A komuniści w najmniejszą szparę potrafią włożyć łom, żeby ją jeszcze powiększyć i doprowadzić do pęknięcia. W naszych warunkach utrzymanie jedności jest sprawą absolutnie najważniejszą.

– Też jestem tego zdania, Eminencjo.

– Wiele błędów bierze się z nieprawidłowej oceny partnera rozmów. Dziś nie brakuje wilków w owczej skórze. Dobrze byłoby, gdyby nasi domorośli politycy bardziej trzeźwo patrzyli na towarzyszy z PZPR. Oni są świetni w składaniu deklaracji, ale po tylu latach wystarczy rozejrzeć się dokoła, by zobaczyć, co one mają wspólnego z rzeczywistością. Ci ludzie – cokolwiek by o nich mówić – specjalizują się w sprawowaniu władzy i twardo chodzą po ziemi. Naszym katolikom brakuje politycznego wyrobienia i może trochę pokory, aby postrzegać rzeczy takimi, jakie są, a nie takimi, jakimi chcieliby je widzieć. Cóż, przepraszam za ten wykład. Ksiądz biskup z pewnością to wszystko wie.

– Bardzo dziękuję za te wskazówki. Postaram się je wykorzystać.

– Wszyscy popełniamy błędy. Życzę księdzu biskupowi, żeby przynajmniej uniknął tych, których mnie nie udało się uniknąć. Cóż, trzeba się nam zbierać z powrotem do kraju. Wystarczająco długo nas nie było.

– Ja wrócę dopiero przed Bożym Narodzeniem – oznajmił Wojtyła. – Jadę jeszcze na pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

– Widzę, że ksiądz biskup nie stracił pasji podróżowania. Już nie kajaki, nie Mazury, ale Jezioro Genezaret. Niech Bóg błogosławi na podróż.

Był mocny służbą – służbą świadomą posłannictwa zleconego mu przez Księcia pasterzy. Był mocny służbą – i tą swoją prymasowską służbą czynił mocnym Kościół i naród pośród dziejowych prób i doświadczeń / **Jan Paweł II**

1965, lipiec

11

– Co mogę zaproponować? – zapytał Zenon Kliszko. – Kawa? Herbata? Ksiądz arcybiskup z pewnością posmakował włoskiej kawy. Mogę zaproponować nie gorszą. – Wskazał miejsce w fotelu.

Wojtyła usiadł. Dwa tygodnie temu otrzymał wiadomość, że Zenon Kliszko będzie w stolicy Małopolski i że przy tej okazji chętnie spotka się z arcybiskupem Krakowa. Miejsce spotkania – całkiem neutralne i w dodatku bardzo godne – Zamek Królewski na Wawelu. Czego mógł chcieć ten człowiek?

– Słyszałem, że sprawa kościoła w Nowej Hucie posuwa się naprzód – zagaił Kliszko.

– Tak, choć to już kolejny początek – powiedział Wojtyła, niedwuznacznie nawiązując do dziejów budowy kościoła.

– Jestem przekonany, że tym razem wszystko pójdzie bardzo dobrze. Wiemy, jak księdzu arcybiskupowi zależy na tym, aby ten kościół stanął.

– Słusznie pan zauważył, że „zależy" – nie tylko mnie zresztą, ale przede wszystkim tym tysiącom ludzi, którzy nie mają gdzie się modlić. Zależy nam, lecz nie zależy od nas.

– W jakimś sensie jednak zależy i od księdza arcybiskupa. Tutejsze władze już kilkakrotnie wykazywały dobrą wolę w stosunku do inicjatyw księdza. Towarzysz Motyka wspominał mi o seminarium – powiedziałbym, że to wzór rozwiązywania spornych spraw między państwem a Kościołem[50]. Ten model możemy kontynuować w Nowej Hucie. Dobra współpraca na pewno przyniesie szybki i widoczny owoc.

– Na razie jednak władze nie udzieliły pozwolenia na całość, tylko uznały, że będą wydawać pozwolenia cząstkowe. To znaczy, że budowa może zostać zatrzymana w każdej chwili...

– O to bym się nie kłopotał. Jeśli współpraca będzie się dobrze układać, to kościół szybko stanie.

– W przeszłości wiele już było takich deklaracji. Potem pojawiały się przeszkody.

– To nie nasza wina. Kościół przechodził do ideologicznej ofensywy i musieliśmy reagować.

– Ideologiczna ofensywa?

– A czym jest Wielka Nowenna, te niezliczone uroczystości, głoszenie, że powstanie państwa polskiego łączy się z chrztem Mieszka? Kościół ciągle kładzie ludziom do głowy swoje prawdy, a światopogląd naukowy – obiektywnie nie do podważenia – nie może się przebić do świadomości społecznej.

– I dlatego władze wypowiedziały wojnę lekcjom religii? Po Październiku przywróciliście je w szkołach, a kilka lat później nie tylko je wyrzuciliście, ale zaczęliście torpedować nauczanie religii przy parafiach.

[50] Tuż przed wyjazdem na pierwszą sesję Soboru biskup Wojtyła interweniował w sprawie zajęcia przez władze budynku seminarium na siedzibę Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Wojtyła poszedł do pierwszego sekretarza partii i wynegocjował z nim, że WSP zajmie tylko trzecie piętro, a reszta gmachu pozostanie w gestii Kościoła.

– To wszystko jest skutkiem agresywnej postawy Kościoła, a szczególnie Prymasa. My mamy pełną świadomość, do czego on zmierza. Chce nas zepchnąć do defensywy, wykorzystując do walki największą siłę, jaką ma – zakorzeniony w masach zabobon. On używa swojej broni, my używamy swojej – i tak dość słabej w porównaniu z siłą oddziaływania Kościoła. Towarzysz Marks miał rację, kreśląc dialektyczną wizję historii. Wypełnia ją walka – dziś widzimy, że to nie tylko walka klasy robotniczej z burżuazją, ale walka postępu z zacofaniem, walka światopoglądu naukowego z zabobonem.

– Kościół nie głosi walki, lecz miłość.

Kliszko uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Wie pan – ciągnął Wojtyła – ja mogę zrozumieć, że pan wyznaje pewien światopogląd i że pan by chciał, aby ten światopogląd wyznawali inni. To normalne, że jeśli człowiek uznaje coś za dobre, to chciałby się tym podzielić i to rozpowszechnić. Natomiast używanie do tego siły kłóci się z porządkiem moralnym, narusza ludzką wolność.

– A Kościół nie narusza ludzkiej wolności, ferując różne zakazy i nakazy i strasząc wiecznymi karami? Towarzysz Lenin twórczo rozwinął marksistowską teorię walki klas i udowodnił, że stosowanie siły w pewnych sytuacjach jest usprawiedliwione. Wiemy, że przed dojściem do najwyższej formy ustrojowej, to znaczy do komunizmu, przewidziana jest przejściowa faza dyktatury proletariatu. Siły wsteczne dysponują zbyt wielkimi możliwościami oddziaływania, aby pozwolić im swobodnie głosić błędne tezy.

– I pan uważa, że taką wsteczną siłą jest Kościół?

– Kościół składa się z różnych ludzi... W Polsce prym wiedzie teraz kardynał Wyszyński, ale to przecież nie będzie trwało wiecznie. Na razie jednak musimy funkcjonować w tym układzie. Słyszałem, że Prymas chce zaprosić papieża do Polski. Co ksiądz arcybiskup o tym sądzi?

Po majowej wizycie Wyszyńskiego w Rzymie włoska prasa zaczęła spekulować, że głównym celem tej podróży było namówienie Pawła VI do złożenia wizyty w Polsce z okazji przyszłorocznych uroczystości Tysiąclecia Chrztu. Ale Prymas nawet nie zasygnalizował tematu w czasie ostatniej konferencji episkopatu. „Chyba muszę być czujniejszy" – pomyślał Karol.

– Nie otrzymałem żadnej informacji o przygotowaniach do takiej wizyty, choć przyznaję, byłoby to dla mnie powodem do ogromnej radości.

– Księże arcybiskupie, przecież mówi się już o tym od dłuższego czasu.

– Dla mnie „mówi się" jeszcze nic nie znaczy. Ważne jest, aby Ksiądz Prymas poinformował biskupów o takich zamiarach.

– Prymas milczy, bo rozgrywa swój plan. Myśli, że władze pójdą na to, aby uzyskać większą przychylność na Zachodzie. Ale towarzysz Gomułka o to nie dba. Natomiast papież nie dostanie pozwolenia na przyjazd, jeśli nie zostaną spełnione pewne warunki.

– Nie rozumiem, dlaczego pan mi o tym mówi. Ja nie zajmuję się tymi sprawami. One pozostają w gestii kardynała Wyszyńskiego.

– ... który odgrywa przed papieżem rolę udzielnego księcia na polskich włościach, a może i lepiej – niekoronowanego króla! A prawda jest taka, że nic nie może zrobić. Włosi twierdzą, że przyjazd Pawła VI byłby akceptacją Polski Ludowej i ustroju socjalistycznego. Nam na tym nie zależy. I nie jesteśmy naiwni. Nie wpuścimy papieża, dopóki Watykan nie zamknie u siebie ambasady rządu londyńskiego i nie uzna zachodnich granic Polski. Nie pozwolimy też Prymasowi pojechać do Ameryki. Wiemy, że Polonia chce go tam zaprosić.

– Powtarzam, że nie rozumiem, czemu akurat ja jestem adresatem tych deklaracji.

– Bo ksiądz arcybiskup przekaże je dalej. I może wpłynie na Kardynała, aby trochę się urealnił. Ksiądz arcybiskup jest rozsądnym

i elastycznym człowiekiem, dał tego dowód już nieraz, a Prymas postępuje w latach i robi się coraz bardziej uparty. Z pewnością na dłuższą metę nie przyniesie to pożytku Kościołowi.

– Kościół jest w ręku Boga.

Kliszko uśmiechnął się.

– Ale – jak mi wiadomo – Kościół uczy, że Bóg dał człowiekowi wolność, i przez to zaczęły się problemy. Nie każdy potrafi z tej wolności dobrze skorzystać. Ufam, że ksiądz arcybiskup posiadł tę trudną sztukę.

– To się okaże w przyszłości. Tymczasem chciałbym podziękować za zaproszenie. Na mnie już czas.

Wstał. Kliszko wyciągnął rękę. Pożegnali się.

Wojtyła szedł przez obszerne zamkowe korytarze, po których niegdyś przechadzali się królowie i królowe Polski. „Epoka koronowanych głów minęła, ale dworskie intrygi pozostały" – westchnął w milczeniu. Domyślał się, dlaczego Kliszko zaprosił go na to spotkanie. I miał niedobre przeczucia, że władze decydowały się na gesty dobrej woli w spornych sprawach na terenie Krakowa w bardzo konkretnym celu. Warszawa i Kraków nigdy za sobą nie przepadały, szczególnie od czasu, gdy stolicę przeniesiono z grodu Kraka do grodu Warsa i Sawy. Czy trudno byłoby wykorzystać tę wielowiekową animozję i na niej zbudować nową – między Kościołem rządzonym z Franciszkańskiej a Kościołem rządzonym z Miodowej?

Doszedł do bramy łączącej dziedziniec zamkowy z dziedzińcem, przy którym stała katedra. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na kaplicę Zygmuntowską. *„Non nobis Domine, non nobis sed nomini Tuo da gloriam"* – przeczytał napis biegnący pod kopułą. „Nie nam Panie, nie nam, lecz imieniu Twemu chwała". Co miał zrobić? Napisać do Prymasa? Zadzwonić? Nie, to nie wchodziło w grę. Dałby tylko bezpiece dodatkową wiedzę. Ale przecież za dwa tygodnie kardynał

Wyszyński przyjeżdżał do Rychwałdu na koronację obrazu Matki Bożej. Wtedy mu powie.

– Jakoś nie mamy szczęścia do tych koronacji – powiedział Prymas, gdy po uroczystościach usiedli w rozmównicy klasztoru Franciszkanów. – W Ludźmierzu lało i tutaj to samo. A zdawałoby się, że w lecie powinno świecić słońce.

– Matka Boska Ludźmierska się ulitowała i w końcu chmury odeszły – odparł Wojtyła. – A lud tutaj twardy, deszczu się nie wystraszy – wyciągnął kopertę i podał ją Kardynałowi. – Dwa tygodnie temu Zenon Kliszko zaprosił mnie na rozmowę. Był w Krakowie i zaproponował spotkanie na Wawelu. Opisałem je. Rozmowa dotyczyła w dużej mierze Waszej Eminencji. Początkowo myślałem, że chodzi o Nową Hutę, ale to był tylko pretekst, a być może element gry. Kliszko bardzo atakował Księdza Prymasa, poruszał też sprawę przyjazdu Pawła VI do Polski i podróży Eminencji do Stanów Zjednoczonych. Padło z jego strony wiele niedobrych słów. Przykro mi, że to właśnie ja o tym mówię, lecz uważam, że to swój obowiązek.

– Bardzo dziękuję – Kardynał wziął kopertę. – Co ksiądz biskup mu powiedział?

Wojtyła zreferował rozmowę z Kliszką.

– On tego nie zrozumie – powiedział Prymas. – No, ale przynajmniej wiemy, czego chcą.

– Co mam robić, jeśli w przyszłości powtórzą się podobne sytuacje?

– To samo co teraz.

Prymas wstał.

– Jeśli Ksiądz Prymas pozwoli, to chciałbym odwiedzić go w czasie wypoczynku.

Od kilku lat Wyszyński spędzał urlop w domu zmartwychwstanek w niedalekiej Stryszawie.

– Wpadłbym z życzeniami imieninowymi – dodał Wojtyła.
– Będzie mi bardzo miło. Zapraszam.

1965, grudzień

12

„Mistrz i uczniowie" – pomyślał Wyszyński, patrząc na Jacques'a Maritaina[51], któremu towarzyszyli Jean Guitton[52] i Stefan Swieżawski[53]. Polska była wyjątkowo dobrze reprezentowana w czasie uroczystości kończących Sobór. I wyjątkowo dobrze reprezentowane było imię „Stefan". Swieżawski – jedyny świecki audytor z krajów zza żelaznej kurtyny – znalazł się w delegacji wygłaszającej przesłanie do nauki, a Prymas został umieszczony w grupie trzech kardynałów zwracających się do biednych, chorych i cierpiących. Razem z nimi do papieża podeszło dwóch niewidomych, jeden z psem, któremu Paweł VI przywiązał wstążkę z odznaką.

„Ależ to zwierzę się wspaniale zachowuje – skonstatował Prymas, obserwując tę scenę. – Obym potrafił być jak ten pies. Prowadzić tych, co jeszcze nie widzą". A takich nie brakowało.

Czy Paweł VI zdecyduje się na przyjazd do Polski? Czy raczej przeważy głos doradców, którzy podpowiadali, że taka wizyta zostałaby odebrana jako akceptacja ateistycznego reżimu? Przed niespełna

[51] Jacques Maritain (1882–1973) – francuski filozof, twórca personalizmu chrześcijańskiego, bliski przyjaciel papieża Pawła VI. Silnie oddziaływał na polską inteligencję katolicką.
[52] Jean Guitton (1901–1999) – francuski filozof i teolog, członek Akademii Francuskiej, pierwszy świecki audytor (obserwator) Drugiego Soboru Watykańskiego.
[53] Stefan Swieżawski (1907–2004) – polski historyk filozofii, był audytorem Soboru ze wskazania kardynała Wyszyńskiego, bliski przyjaciel Karola Wojtyły.

dwoma tygodniami razem z Kominkiem, Wojtyłą i Baraniakiem poszli do sekretarza stanu kardynała Cicognaniego. Ta rozmowa nie nastrajała optymistycznie. Cicognani widział ogromną trudność. Władze komunistyczne chciały zbić kapitał na papieskiej pielgrzymce i domagały się uznania przez Stolicę Apostolską ziem zachodnich. Watykan jednak nie mógł tego uczynić. Minęło już dwadzieścia lat od zakończenia wojny, a wciąż nie zawarto odpowiednich układów międzypaństwowych i z punktu widzenia prawa międzynarodowego granice nadal nie były zatwierdzone. Arcybiskup Kominek miał nadzieję, że jakimś krokiem naprzód stanie się list skierowany z okazji Milenium do episkopatu Republiki Federalnej Niemiec. Opracował go w połowie listopada, a osiemnastego dnia tego miesiąca pismo zostało przesłane Niemcom. Było długie. Na tle dziejów Polski wrocławski hierarcha zarysował w nim tysiącletnią historię relacji z zachodnim sąsiadem. Mowa była i o cesarzu Ottonie III, i o stosunkach handlowych w średniowieczu, i o prawie magdeburskim, które okazało się pomocne przy zakładaniu miast. Kominek nie pominął też wkładu przybyłych z zachodu do Polski świętych: Brunona z Kwerfurtu czy Jadwigi Śląskiej. Potem poruszył bolesne sprawy: rozbiory, zabory i okupację oraz jej skutki. Wreszcie doszedł do najbardziej drażliwej sprawy:

Polska granica na Odrze i Nysie jest, jak to dobrze rozumiemy, dla Niemców nad wyraz gorzkim owocem ostatniej wojny, masowego zniszczenia, podobnie jak jest nim cierpienie milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich. (Stało się to na międzyaliancki rozkaz zwycięskich mocarstw, wydany w Poczdamie w 1945 r.). Większa część ludności opuściła te tereny ze strachu przed rosyjskim frontem i uciekła na Zachód. Dla naszej Ojczyzny, która wyszła z tego masowego mordowania nie jako zwycięskie, lecz krańcowo wyczerpane państwo, jest to sprawa egzystencji (nie zaś kwestia większego „obszaru życiowego”).

Na ostatniej stronie znalazło się wezwanie do pojednania wypowiedziane w kontekście Soboru i przygotowań do Tysiąclecia Chrztu:

W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was, siedzących tu, na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie. A jeśli Wy, niemieccy biskupi i ojcowie Soboru, po bratersku wyciągnięte ręce ujmiecie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Milenium w sposób jak najbardziej chrześcijański.

Zapraszamy Was na te uroczystości jak najserdeczniej do Polski. Niech tym kieruje miłosierny Zbawiciel i Maryja Panna, Królowa Polski, Regina Mundi i Mater Ecclesiae.

Odpowiedź długo nie nadchodziła. Dopiero ostatnio biskup Kominek powiedział Prymasowi, że list przez kilka dni leżał na biurku kardynała Josepha Fringsa, który z powodów zdrowotnych musiał wyjechać do Monachium i w ogóle nie przyjął korespondencji. W końcu dokument odnaleziono i dopiero na trzy dni przed zakończeniem Soboru Niemcy skierowali swój list do Polaków. Jego treść rozczarowała. Zabrakło wyraźnego opowiedzenia się za uznaniem polskości ziem zachodnich, za to pojawiło się sformułowanie o „prawie do rodzinnych stron". Biskupi niemieccy nie mieli odwagi narazić się swoim rodakom, którzy domagali się prawa do ziem opuszczonych przez nich w 1945 roku.

W sumie Polacy rozesłali pięćdziesiąt sześć listów do episkopatów krajów obecnych na Soborze. Wojtyle przypadła w udziale redakcja listu do Francuzów. Prymas stwierdził, że najbardziej nadaje się on do kontaktu z nimi. Znał francuski i chyba myślał podobnie jak oni. To zresztą budziło pewien niepokój. On był inny. Nie można powiedzieć – wykonywał rzetelnie swoje zadania, ale w jakiś sposób się różnił. Bez trudu nawiązywał serdeczne stosunki z biskupami z innych krajów bez względu na to, czy pochodzili z Afryki, Francji, Niemiec

czy Stanów Zjednoczonych. Przyjechał na pierwszą sesję Soboru jako młody, nikomu nieznany człowiek, a już po trzeciej sesji został powołany do pracy przy przygotowaniu „Schematu XIII". I rzeczywiście miał coś do powiedzenia. Niewątpliwie został dostrzeżony w Watykanie.

A w Polsce? Tam też jakby „odstawał". Ta rozmowa z Kliszką na Wawelu – Wojtyła okazał swoją lojalność, informując go o wszystkim, ale czy ten naukowiec i intelektualista jest na tyle doświadczony, aby nie dać sobą manipulować? Prymas był już zaprawiony w bojach: rozmawiał z Bierutem, z Ochabem, z Kliszką, przeszedł przez więzienie. Po prostu „nauczył się" komunistów. Wiedział, że w tych warunkach trzeba Kościół w Polsce prowadzić pewną i jedną ręką. Sobór głosił kolegialność biskupów, odejście od absolutystycznego traktowania władzy, większe oparcie na świeckich – i to wszystko zdawało się Wojtyle bardzo podobać. I Prymas był za dowartościowaniem świeckich, choć może w trochę inny sposób. Sam dopominał się o ich większe docenienie na Soborze, zabiegał o umożliwienie procesów beatyfikacyjnych osób żyjących w świecie. Dotąd zauważano właściwie tylko duchownych. Przede wszystkim jednak podczas coraz częstszych wizyt w Rzymie musiał wyjaśniać, jak bardzo sytuacja Kościoła w Polsce różni się od tego, co się dzieje w wolnym świecie. Scentralizowana, opresyjna władza musiała mieć jednego partnera (a raczej – z punktu widzenia marksistowskiej dialektyki – jednego przeciwnika). Jeśli każdy biskup zacznie uprawiać swoją politykę, to Kościół zostanie podzielony, a komuniści uzyskają przewagę. Czy Wojtyła może dać się skusić? Na przykład przyzwoleniem na wprowadzanie soborowych reform w zamian za większą uległość albo wręcz odcinanie się od linii Prymasa? A jeśli wokół niego zgromadzi się frakcja biskupów? Wyszyński cieszył się wciąż ogromnym autorytetem, lecz to nie musiało trwać wiecznie. Już teraz podnosiły się w episkopacie głosy

sprzeciwu wobec jego pomysłu, aby z okazji Milenium oddać Polskę w macierzyńską niewolę Maryi. Co za pomysł? Mało to ludzie mają niewoli komunistycznej, aby dokładać im jeszcze niewolę nadprzyrodzoną – mówili niektórzy, między innymi serdeczny przyjaciel Wojtyły i jego biskup pomocniczy Jan Pietraszko, który miał tak dobry kontakt z młodzieżą. Sobór kładł większy nacisk na wolność człowieka i w tym kontekście sformułowanie o niewoli też nie brzmiało zbyt szczęśliwie. Ale on był przekonany, że musi to przeprowadzić.

Przyszła mu do głowy myśl – przecież Karol wybrał na dewizę biskupią słowa *Totus Tuus*, zaczerpnięte z dzieła Grigniona de Montforta – tego samego, w oparciu o które on przygotowywał się do swojego aktu oddania w Stoczku. Może poprosić Wojtyłę o wykładnię teologiczną aktu oddania narodu w niewolę?

Uroczystość zamknięcia soboru dobiegała końca. Jeszcze tylko przesłanie do młodzieży, śpiew *Christus vincit*... i Paweł VI udzielił ostatniego błogosławieństwa. Od Bramy Dzwonów zaczęły rozlegać się miarowe dźwięki. Po chwili ich radosne bicie wypełniło plac. Do nich dołączyły dzwony w całym Rzymie.

Cała nadzieja w Tobie.

Cieszył się, że uroczyste zakończenie Soboru nastąpiło właśnie dziś, w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Maryi. To już dwanaście lat od dnia aktu oddania się Matce Bożej w Stoczku.

Wszyscy wiemy, jak bardzo pragnął tutaj przybyć w pielgrzymce papież Paweł VI, tak bardzo związany z Polską początkami swojej pracy w warszawskiej nuncjaturze. Papież, który tak wiele uczynił dla unormowania życia kościelnego w Polsce, zwłaszcza gdy chodzi o jej obecne

ziemie zachodnie i północne. Papież naszego milenium. Właśnie na milenium chciał tutaj stanąć jako pielgrzym obok wszystkich synów i córek narodu.

I darujcie, że dołączę wspomnienie. Nigdy nie zapomnę tego dnia 3 maja roku milenijnego na Jasnej Górze, kiedy pod portretem nieobecnego Pawła VI wypadło mi, jako metropolicie krakowskiemu, celebrować milenijną Eucharystię jasnogórską, nigdy tego nie zapomnę!
/ **Jan Paweł II**

1966, kwiecień

13

– Pozostała jeszcze sprawa odpowiedzi na list papieża – Zenon Kliszko otworzył aktówkę i wyjął z niej papiery.

Podniósł wzrok na Gomułkę, który wkładał papierosa do plastikowej fifki. Przez chwilę zmagał się z oporem ustnika, wreszcie udało mu się osadzić go w plastiku.

– To chyba jasne – powiedział pierwszy sekretarz, pocierając siarczaną główkę zapałki o bok pudełka i przytykając płomień do papierosa. – Paweł VI do Polski nie przyjedzie. Może to ocuci Wyszyńskiego. Chce wojny. Będzie ją miał. Niech zapamięta, że na wojnie są ofiary. Szaleniec, wróg Polski, uparty klecha!

– Sprawa jest o tyle nietypowa, że to sam papież zwrócił się do nas z prośbą o zezwolenie na przyjazd. Formalnie Prymas nie ma z tym nic wspólnego.

– Przecież oni to wszystko ukartowali. Wyszyński specjalnie trzyma się z boku. To szczwany lis. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby wystawił papieża. No bo jak mu odmówimy, wyjdzie na to, że my

obrażamy pragnącego pokoju Pawła VI. Ale może to obróci się przeciw Prymasowi? Jak myślisz? Jeśli to on namawiał papieża do tego kroku, może na niego też spadnie nieprzychylność Watykanu za to, że głowa Kościoła nie została przyjęta w Polsce?

– Kto wie? – Kliszko uśmiechnął się. – Jak dotąd watykańczycy pilnują się, aby nie działać bez porozumienia z Prymasem. Inaczej postępują w innych krajach bloku socjalistycznego. Towarzysze z bratnich partii mówią, że Casaroli – to ten od kontaktów z krajami demokracji ludowej – po prostu je im z ręki.

– No właśnie, dlaczego tak nie może być u nas? Dlaczego pozwalamy na to, żeby Kościół wpychał się wszędzie, nawet w naszą politykę zagraniczną, powiedz mi: dlaczego? To wszystko przez Wyszyńskiego, niech go piekło pochłonie! Jak on potrafi motać ludzi, jakie tłumy przychodzą na te jego kazania! Czy ci idioci nie widzą, w co on pcha Polskę? Myślałem, że po liście przejrzą na oczy, ale ludzie mają jakoś krótką pamięć. Co za naród, co za naród!

Skierowany na koniec Soboru list polskich biskupów do episkopatu niemieckiego wywołał w Polsce długotrwałą burzę. Partia i reżimowe media przypuściły zmasowany atak na episkopat i na Prymasa w szczególności. W zakładach pracy organizowano masówki, których uczestnicy wołali: „Nie przebaczymy!", odpowiadając w ten sposób na zawarte w liście słowa:

„przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Początkowo wydawało się nawet, że biskupi popełnili poważny błąd. Po raz pierwszy w powojennej historii Polski liczni katolicy przyjęli te słowa nie tylko z niezrozumieniem, ale i z oburzeniem. Niemcy nas mordowali, a my mamy ich prosić o przebaczenie? Co to znaczy? Czy biskupi postradali zmysły? Prymas w licznych kazaniach wyjaśniał treść listu, tłumaczył, jakie jest znaczenie takiego aktu u progu Milenium. O dziwo – mimo że cała prasa zgodnie go atakowała – z miesiąca na miesiąc odzyskiwał

poparcie. Nawiedzenie kopii obrazu jasnogórskiego oraz jego wizyty w różnych diecezjach gromadziły tłumy ludzi, którzy witali go entuzjastycznie. Władze dwoiły się i troiły, aby kościelne obchody milenijne wypadły blado w porównaniu z rządowymi obchodami Tysiąclecia Państwa Polskiego. Wszelkimi sposobami usiłowano odciągnąć ludzi od udziału w uroczystościach. Sprowadzano na gwałt najbardziej interesujące filmy z Zachodu, organizowano atrakcyjne imprezy sportowe. Skutki były mizerne. Wokół kościołów gromadziły się tłumy.

Starcie osiągnęło swoje apogeum w połowie kwietnia w Poznaniu. Tam władze zaplanowały inaugurację rządowych uroczystości Tysiąclecia – po południu bowiem w tym samym mieście miały się odbyć uroczystości kościelne, którym przewodniczył Prymas. Gomułka zaatakował go publicznie. *Jakie musi być zaślepienie kierownika episkopatu polskiego i jego popleczników* – mówił – *lansujących pokraczną, antynarodową ideę przedmurza, której treść polityczna w naszych czasach sprowadza się do skłócenia narodu polskiego z narodem radzieckim, do zerwania sojuszu polsko-radzieckiego, do postawienia muru między Polską a Związkiem Radzieckim, do nowej katastrofy Polski.*

– Ty sobie wyobrażasz, co by się stało, gdybyśmy wpuścili papieża do Polski? – Gomułka zaciągnął się i wypuścił dym nosem. – Kto byłby głównym bohaterem? Prymas! Pławiłby się w blasku Pawła VI, papież wyjechałby po dniu lub dwóch, a on odcinałby kupony przez kolejne lata. Nawet zamknąć byłoby go trudno.

– Towarzysz „Wiesław" rozważa taką możliwość? – w głosie Kliszki zabrzmiało radosne zainteresowanie.

– Zrobiliśmy błąd, że pozwoliliśmy mu tak urosnąć w siłę. Ten błąd może się na nas zemścić.

– Wciąż możemy go naprawić. Tak, trudno to zrozumieć. Doskonale pamiętam, jak jechałem do Komańczy, na polecenie towarzysza

zresztą. On wtedy nie mógł nic, zupełnie nic, a dyktował nam warunki. Może byliśmy zbyt łagodni.

– Sytuacja była trudna. Trzeba było ratować Polskę przed gorszymi zagrożeniami niż jakiś tam klecha. Ale masz rację, byliśmy zbyt łagodni. Trzeba to zmienić! Lecz nie można z Wyszyńskiego robić męczennika. To na nic.

– Towarzyszu „Wiesławie", polecimy zatem ambasadorowi Willmanowi, aby przekazał wiadomość odmowną do Watykanu. Natomiast co do Prymasa... Towarzysz ma rację, nie ma co robić z niego męczennika. Jednak... Dużo złego robi wożenie tego obrazu po Polsce. W każdym miejscu gromadzą się tłumy. To z pewnością wynika z zabobonu, ci ludzie myślą, że w obrazie kryją się jakieś moce, i dlatego przychodzą. Gdybyśmy tak zatrzymali obraz i umieścili go w jednym miejscu – na przykład tam gdzie jest jego miejsce – w Częstochowie...

Gomułka spojrzał na niego z zadowoleniem.

– Daleko zajdziecie, towarzyszu.

1966, maj

14

– *Kiedy patrzymy na krzyż, wówczas kształtuje się w nas zupełnie nowy pogląd na człowieka i na jego wartość* – z ambony Karol widział zbitą gęstwinę ludzi, którzy mimo wczesnej pory zapełnili kaplicę Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze. – *Kiedy patrzysz na krzyż, potem popatrz na siebie i pomyśl, ile jesteś wart. Chrystus, Syn Boży, który pytał: „Bo cóż może dać człowiek za swoją duszę?", swoim*

krzyżem odpowiedział na to pytanie. Taką cenę dał nie człowiek, ale Bóg-Człowiek dał za twoją duszę, za duszę każdego człowieka.

Do klasztoru przyjechał wczoraj około trzeciej – w samą porę, aby uczestniczyć w uroczystym ingresie Prymasa, którego Paweł VI ustanowił swoim osobistym przedstawicielem, czyli legatem. Pod nieobecność następcy Piotra kardynał Wyszyński przekazał pozdrowienie od Ojca Świętego, a od siebie dodał, że w XX wieku Jasną Górę odwiedziło trzech przyszłych papieży. Był tu nuncjusz apostolski w Polsce na początku jej niepodległości, arcybiskup Achilles Ratti, przyszły Pius XI. Był arcybiskup Angelo Giuseppe Roncalli, którego świat poznał jako Jana XXIII. No i był też młody, dwudziestosześcioletni wówczas sekretarz nuncjatury w Warszawie, ksiądz Giovanni Battista Montini, dziś Ojciec Święty Paweł VI.

Tej nocy Karol nie spał długo. Na szczęście nigdy nie potrzebował zbyt wiele snu, bywało nieraz, że kładł się po północy, a przed piątą był już na nogach. Ten trening przydał się dziś, ponieważ już o szóstej rano zaczynała się msza, podczas której miał wygłosić kazanie o akcie oddania się w niewolę Matce Bożej i związku tego aktu z sakramentem chrztu. Wszystko brało swój początek na wzgórzu za Jerozolimą, gdzie na krzyżu zawisł Jezus. Tuż obok stali Maryja i Jan. Najmłodszy apostoł usłyszał wtedy słowa: „Oto Matka twoja”[54].

Nie tylko pierwszy uczeń Jan jest Jej zawierzony, oddani są w Jej świętą niewolę i Jej zawierzeni wszyscy uczniowie, wszyscy apostołowie, wszyscy ochrzczeni – powiedział Karol. Zwrócił się w stronę Ikony, którą przed kilkudziesięcioma minutami odsłonięto przy dźwięku fanfar i bębnów. – *I to właśnie, moi drodzy, przyszliśmy dzisiaj na świętej Jasnej Górze oglądać oczyma naszej wiary i przeżywać całą głębię naszych chrześcijańskich serc, a zarazem polskich dusz.*

[54] J 19,27.

My, biskupi, następcy apostołów, a zwłaszcza nasz Prymas, jesteśmy w tym momencie szczególnie podobni do Jana Apostoła stojącego pod krzyżem, tego Jana, który ma poczucie odpowiedzialności za krzyż, za Ewangelię, za chrzest, za tajemnicę łaski Bożej, za niewypowiedzianą godność i wartość każdego człowieka.

Im więcej myślał nad dzisiejszym kazaniem, tym więcej skojarzeń wiodło go do Prymasa. Nie sposób było nie zauważyć, ile ten człowiek płacił za swoje wybory. Dokładnie dziesięć lat temu siedział w odosobnieniu w Komańczy, choć na pewno jego wielkim pragnieniem było znaleźć się na Jasnej Górze w dniu odnowienia Ślubów Narodu. Wówczas o tej nieobecności przypominał ludziom pusty fotel. Dziś ten symbol pojawi się ponownie – tym razem będzie oznaczał nieobecność papieża.

Ostatni rok był dla Prymasa wyjątkowo ciężki. Przyjął na siebie większość ataków związanych z listem do biskupów niemieckich i twardo bronił tego kroku, chociaż prywatnie nie był zwolennikiem aż takiego otwarcia się na Niemców. W wielu kazaniach tłumaczył ideę listu, to samo robili też inni biskupi. Karol podczas jednego z kazań, odnosząc się do tak kontestowanych słów o przebaczeniu Niemcom, zapytał podniesionym głosem: „To może powinniśmy wykreślić z *Ojcze nasz* słowa »Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom«?". Spokojne tłumaczenie z jednej strony i zajadłe, pełne nienawiści ataki – z drugiej, przyniosły niespodziewane owoce. Więzi ludzi z biskupami nie tylko nie osłabły, ale – po początkowym niezrozumieniu – znacznie się wzmocniły.

Wbrew wcześniejszym przewidywaniom, list pomógł Kościołowi, a przy tym zmienił obraz Prymasa na Zachodzie. W czasie Soboru uchodził on za twardego konserwatystę i nawet za nacjonalistę, który nie rozumie zmieniającego się świata, a już na pewno nie pojmuje otwarcia Kościoła na świat. Byli i tacy, którzy uważali, że jest zbyt

surowy dla komunistów, że sam dąży do konfrontacji. A tymczasem okazało się, iż polski list do biskupów niemieckich był pierwszym, i to ogromnie ważnym, owocem Drugiego Soboru Watykańskiego. Nie miał też nic wspólnego z zaściankowością ani z wąskim nacjonalizmem.

Może takim samym zaskoczeniem okaże się akt oddania w niewolę, którego tak gorącym orędownikiem był Prymas? Może pierwsze wrażenie spowodowane słowem „niewola" okaże się równie złudne jak oburzenie wobec sformułowania, że prosimy Niemców o przebaczenie? Osobiście Karol był za tym, aby zamiast słowa „niewola" używać określenia „zawierzenie", ale znaczenie tych słów sprowadzało się do tego samego. Maryja z pełną wolnością powiedziała „tak". Zrezygnowała z własnej woli, aby poddać się woli Boga. A przecież mogła powiedzieć „nie". I w tym swoim „tak" wytrwała aż do końca, to znaczy aż do Kalwarii. A tam Jezus powierzył jej apostoła Jana. On stał się pierwowzorem wszystkich, którzy potrafili zaufać Matce do tego stopnia, że rezygnowali z własnej woli, aby dać miejsce woli Boga.

Czyż teraz – w roku Tysiąclecia Chrztu – każdy Polak nie jest zaproszony, aby zrobić to samo: powiedzieć Bogu „tak", nie tylko w czasie wielkich uroczystości, ale codziennie, w każdym małym i wielkim wyborze, i w ten sposób zawierzyć mu całkowicie? Przecież chrzest zrodził się także na Kalwarii, gdy z przebitego boku Chrystusa wypłynęły krew i woda.

– *To wszystko, co słyszymy w dzisiejszej Ewangelii, miało miejsce na Górze* – powiedział, kończąc kazanie. – *Była to inna Góra, góra Kalwaria, góra śmierci, stracenia, hańby. To wszystko miało miejsce na Górze Odkupienia. I my wszyscy, moi Drodzy Bracia i Siostry, przyszliśmy to przeżywać również na Górze. Najprzód na Górze Lecha w Gnieźnie, za kilka dni pójdziemy to przeżywać na górze Wawel w Krakowie, a dziś przeżywamy to na Jasnej Górze.*

Musimy szukać
sojuszników.

Europa poganieje,
właściwie Kościół

jest silny
tylko
w Polsce.

Trudna prawda Ewangelii i Krzyża, dzięki Maryi, w Jej obecności i Jej macierzyńskim uczestnictwie, nabiera szczególnego światła. Staje się jasna, jasna dla każdego człowieka. Wielka tajemnica naszego chrztu, poczucie odpowiedzialności za nasz chrzest przyszliśmy przeżywać na Jasnej Górze. Nawet w najciemniejszych godzinach naszego narodowego istnienia tu właśnie przeżywaliśmy tajemnicę chrztu, na Jasnej Górze. I dzisiaj tu je przeżywamy i chcemy je nadal przeżywać na Jasnej Górze.

Ta msza i homilia stanowiły wstęp do dzisiejszych uroczystości. Za kilka godzin Karol wyjdzie na wały jasnogórskie, aby poprowadzić procesję tysiąclecia. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej mieli nieść członkowie różnych stanów: biskupi, przedstawiciele najstarszych zakonów, profesorowie uniwersyteccy, pisarze i artyści, nauczyciele, lekarze, matki wielodzietnych rodzin, rybacy, górale, górnicy, byli więźniowie obozów koncentracyjnych, inżynierowie i rzemieślnicy. Cała Polska i jej historia. Ci ludzie wiele ryzykowali, mogli zostać wyrzuceni z pracy, mogli im obciąć zarobki, dać wilczy bilet, który nie pozwoli znaleźć nowego zatrudnienia. A jednak są.

Zerknął na zegarek. Dochodziła siódma rano. Mówił to kazanie długo, ale też tyle spraw było do poruszenia.

Niech tajemnica Krzyża, a wraz z Krzyżem tajemnica chrztu i wielkie zmaganie każdego z nas o godność człowieka, osoby, dziecka Bożego będą opromienione Jej obecnością. Niech będą jasne jak ta Góra. I niech na świętej Jasnej Górze wciąż padają na grunt naszych dusz i tych, którzy po nas przyjdą, na całe nowe Tysiąclecie, te wielkie, proste słowa, wypowiedziane kiedyś na bolesnej górze Kalwarii: „Niewiasto, oto syn Twój. Synu, oto Matka twoja". Niech wydają owoce. Amen.

15

– Z roku na rok jesteście młodsi – Prymas wyciągnął oba ramiona i przygarnął Antoniego i Emilię. – A Juliusz nam wyrósł, że ho, ho – dodał, przyglądając się synowi Chrościckich.

– Nigdy się Ojcu nie wypłacimy za jego dobroć – powiedziała Emilia. – Jesteśmy bardzo, naprawdę bardzo wdzięczni.

Stali przy stole w refektarzu pałacu na Miodowej. Kardynał Wyszyński zaprosił ich na mszę i śniadanie z okazji srebrnych godów ich małżeństwa. Dwadzieścia pięć lat wcześniej, 3 maja 1941 roku, w samym środku okupacji, Emilia i Antoni wzięli ślub w Warszawie, w kościele Świętej Barbary. Świętowanie jubileuszu trwało od kilku dni – 3 maja byli na Jasnej Górze, teraz przyszli do Ojca, który wrócił na krótko do Warszawy. Wkrótce miał jechać do Krakowa.

– Siadajcie, kochani, czym chata bogata... – Prymas pobłogosławił zastawiony suto stół. – Siostry jak zwykle martwią się, żeby domownicy i goście nie poumierali z głodu. Nie wiem, skąd one biorą to wszystko przy dzisiejszych trudnościach aprowizacyjnych.

– Pewnie parę osób w tym kraju chciałoby się dowiedzieć – zauważył z przekąsem Antoni. – Szczególnie ci, co od dwudziestu lat budują dostatnią Polskę i jakoś sami zbudować jej nie mogą, a innym nie pozwalają.

Pozwolił sobie na odrobinę złośliwości. Wszyscy wiedzieli o afroncie wyrządzonym Prymasowi przez komunistów, którzy nie wpuścili Pawła VI do Polski. Szczerze mówiąc, Antoni był zdziwiony spokojem i nawet dobrym humorem kardynała Wyszyńskiego, kiedy widział go na Jasnej Górze. Jakże wspaniałe byłoby to zwieńczenie Milenium – również osobiście dla Ojca – gdyby papież mógł stanąć na Jasnej Górze! Tyle zabiegów, tyle starań... i kompletne fiasko. Jadąc z Emilią i Juliuszem do Częstochowy, miał wrażenie, że te uroczystości będą

jakieś niepełne. Spodziewał się nawet zobaczyć Prymasa smutnego, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej, ale w tych okolicznościach byłoby zrozumiałe. Tymczasem Kardynał, przechodząc obok nich w procesji za obrazem, uśmiechnął się i żartobliwie zwrócił uwagę: „Z Warszawy przyjeżdżacie, żeby mi tu robić bałagan".

– Ojcze, na Jasnej Górze było wspaniale – Emilia jak zwykle tryskała entuzjazmem. – O wiele trudniej na drodze, bo milicja zatrzymywała nas kilka razy.

– Mieliście nieprzyjemności? – zafrasował się Prymas.

– Parę razy sprawdzali dokumenty, raz przeszukali samochód, i tyle. Bułka z masłem w porównaniu z dawnymi czasami.

– Tak, jednak wiele się zmieniło.

– A mnie się wydaje, że niewiele.

– Co masz na myśli?

– Wie, Ojciec, kiedy NKWD zamknęło Antoniego i mnie, zgłosiłam się w areszcie do dobrowolnej pracy. Chciałam mieć jakieś zajęcie, bo inaczej chyba bym zwariowała ze zmartwienia. Przecież Julek był malutki, a nas zabrali w środku nocy. Nie wiedziałam, co się z nim dzieje, ani co z Antonim. Ale do rzeczy. Moje obowiązki polegały na obieraniu ziemniaków i na sprzątaniu biur NKWD. Pewnego razu sprzątałam pokój dowódcy i tam na biurku zobaczyłam instrukcję: jak należy postępować z Polakami. Zalecali popierać aborcję, rozwody, demoralizować młodzież, zwalczać religię i werbować donosicieli. Czy dziś coś się pod tym względem zmieniło?

– Jest dużo racji w tym, co mówisz – z zadumą powiedział Prymas.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z moją szlachetną połowicą – zaprotestował z uśmiechem Antoni. – Zmieniło się. Mieliśmy Wielką Nowennę, teraz mamy Milenium. Przecież wszyscy widzieliśmy, co się stało na Jasnej Górze. A to dlatego że mamy Ojca. A oni mają

Gomułkę. Pamiętasz, Mila, jak pojechaliśmy w góry, tego bacę, co opowiadał góralskie kawały?

Emilia skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się figlarne ogniki.

– Idzie więc turysta i pyta górala o drogę: „Baco, którędy do Kuźnic?". Góral spogląda na niego i cedzi: „Panocku, w Polsce som tylko dwaj bace: Wysyński i Gomułka. Jeden jezd łod łowiec, drugi od baranów A jo jestem gazda".

Wybuchnęli śmiechem. Prymas usiłował się powstrzymać, lecz i on w końcu uległ czarowi dowcipu.

– Moi drodzy, mam coś dla was, żebyście dobrze zapamiętali, kto naprawdę jest ważny i na kogo można liczyć – powiedział, sięgając po dość spore zawiniątko.

Podał je Emilii, która szybko odwinęła papier. W środku znajdowała się ikona Matki Boskiej naklejona na deskę.

Na odwrocie znajdował się napis. Emilia przeczytała go na głos.

– „Ostatnia deska ratunku. Mili i Antoniemu – ojciec".

Rozdział VI

Poprzednik

Czcigodny i umiłowany księże Prymasie! Pozwól, że powiem po prostu, co myślę. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem.

Jan Paweł II

1

Zosia Truta zagłębiła rękę w dzbanie. Chwilę później z apetytem smakowała borówki zebrane w lesie na wzgórzu Bachledówka.

– A cóż to za łakomczuch tu siedzi? – usłyszała za plecami głos starszego mężczyzny.

Odwróciła się i ze zdumienia otworzyła umorusane usta. To był prymas Wyszyński, obok którego stał kardynał Wojtyła.

– Jo, jo, na borówki przysła – wyjąkała, wstając z trawy i poprawiając sukienkę.

– A jedz sobie, dziecko, na zdrowie, ino dla mamy trochę zanieś, coby konfitury na zimę uwarzyła – Wojtyła uśmiechnął się i nakreślił jej krzyżyk na czole.

– To jo pójde – wyjąkała Zosia.

– Ino nie za szybko, cobyś nóżek nie połamała.

Dziewczyna wzięła dzbanek.

– Pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała.

– Na wieki wieków – odparł Prymas. – Ksiądz kardynał ma tu pobożny lud – zauważył, gdy amatorka leśnych owoców zniknęła za zakrętem leśnej drogi.

– Na górali Kościół może liczyć – odparł Wojtyła.

– I musi się z nimi liczyć. Pamiętam, jak raz przyjechali do Warszawy zaprosić mnie na nawiedzenie do Zakopanego. Było to takie zaproszenie, że nie można z nim było za bardzo dyskutować, tylko trzeba było posłuchać. Tak serdecznie prosili, że nawet mi zagrozili. Powiedzieli: „Myślim, że drugi raz nie bedziem tu musieli przyjizdzoć". Zrozumiałem, co to znaczy, i nie chcąc narażać się góralom, wyprawiłem się do Zakopanego. Ale nie z musu przyjeżdżam w Tatry.

Wspaniale jest się wyrwać z Warszawy i schować w tej pustelni, żeby trochę odetchnąć górskim powietrzem.

Już piąty raz kardynał Wyszyński spędzał urlop w pustelni ojców paulinów na Bachledówce, nieopodal Poronina.

– I co tam słychać w świecie? – zapytał Prymas. – Tak dobrze się tu schowałem, że nie wiem nawet, co się dzieje. Mówią, że brak wiadomości to dobra wiadomość.

– W tym roku chyba rzeczywiście tak jest. Po raz pierwszy pozwolili mi wyjść z procesją Bożego Ciała poza Wawel, chociaż nie zgodzili się na przywrócenie dawnej trasy.

Do 1939 roku doroczna procesja centralna w Krakowie wiodła z Wawelu na Rynek Główny. Tradycję tę przerwała hitlerowska okupacja. Po wojnie władze komunistyczne konsekwentnie odmawiały przywrócenia dawnej trasy i procesja odbywała się wyłącznie po wzgórzu zamkowym. Dopiero w tym roku sytuacja uległa nieznacznej poprawie. To był widoczny znak przetasowań w PZPR. W grudniu w Trójmieście doszło do protestów robotniczych w związku z podwyżkami cen. Robotnicy stoczni w Gdańsku i w Gdyni wyszli na ulice. Padły strzały. Byli zabici i ranni. To oznaczało koniec ekipy Władysława Gomułki. Nowym pierwszym sekretarzem KC został Edward Gierek, z którym wiązano nadzieję na liberalizację ustroju. Gierek obiecywał lepsze życie i prosił o zaufanie. W Szczecinie w czasie spotkania ze stoczniowcami zadał słynne już w Polsce pytanie: „Pomożecie?". Na co robotnicy chórem odpowiedzieli: „Pomożemy!".

– Znowu tylu ludzi musiało zginąć – powiedział Prymas. – Czternaście lat panowania Gomułki i kolejna masakra. A tak się wszyscy cieszyli, gdy został pierwszym sekretarzem. Ale władza go oślepiła. I nienawiść. Szkoda człowieka.

– Dużo się Ksiądz Prymas przez niego nacierpiał...

– Cóż, był narzędziem oczyszczenia. A planów Bożych i tak pokonać się nie da. Zresztą, trzeba przyznać, że to on mnie wypuścił z więzienia, co pozwoliło na przeprowadzenie Wielkiej Nowenny. Ufam, że miłosierny Bóg mu to policzy.

– Musiał się Ksiądz Prymas cieszyć z powrotu do diecezji. Pamiętam, jak arcybiskup Baziak tęsknił za Lwowem.

– O tak, bardzo się cieszyłem. Ale teraz cieszę się i z więzienia. Tam mogłem przemyśleć pewne sprawy.

– Milenium?

– Milenium pod patronatem Matki Najświętszej. To była wielka bitwa o wiarę.

– Wygrana.

– O wiarę tak, lecz nie o moralność. Komuniści deprawują ludzi, łamią im sumienia, rozpijają, ściągają młodzież na złe drogi. Rodziny się rozpadają, dzieci cierpią. Na południu jest lepiej, tu zawsze wiara była mocna, ale im bardziej na północ i zachód tym gorzej.

– I tu nie brak problemów. Od dłuższego czasu chodzi mi po głowie myśl, jak wyjść im naprzeciw, a jednocześnie wykorzystać to wielkie bogactwo, jakie dał nam Sobór.

– No proszę, Eminencja nie boi się mówić o Soborze w moim towarzystwie. Uchodzę za przeciwnika soborowej odnowy. Mówią, że spowalniam zmiany w Polsce, że nie rozumiem ducha Soboru.

– Ksiądz Prymas doskonale rozumie ducha Polaków i wie, że ze skarbca wydobywa się rzeczy stare i nowe w odpowiednim czasie – powiedział Karol.

– Dziękuję za lojalność i zrozumienie. Ksiądz kardynał sam widzi, w jakich warunkach działamy. Sobór mówi o zaangażowaniu świeckich, ale u nas sytuacja jest specyficzna. Moglibyśmy zaraz mieć albo pełno agentów, albo męczenników.

– Może teraz będzie lepiej?

– Myśli ksiądz kardynał o ekipie Gierka? Obawiam się, że powtórzy się ten sam scenariusz co z Gomułką. Teraz są dla Kościoła łagodniejsi, bo jeszcze nie czują się pewnie. A z czasem zaczną dokręcać śrubę. Musimy wykorzystać ten czas i wzmocnić się. Teraz może być łatwiej o pozwolenia na budowę kościołów, na pielgrzymki, procesje – Kraków jest tego dowodem.

– A co Eminencja sądzi o synodzie?

Wiosną tego roku Wojtyła zainicjował w swojej diecezji przygotowania do lokalnego synodu duszpasterskiego. Marzył, aby nauka Soboru jak najszerzej dotarła do ludzi, i postanowił, że dobrym narzędziem do osiągnięcia tego celu będzie synod. Powołał specjalną komisję, która miała opracować schemat działania, i zapowiedział, że prace ruszą w przyszłym roku, w uroczystość Świętego Stanisława. Synod miał trwać siedem lat i skończyć się 8 maja 1979 roku, w dziewięćsetną rocznicę męczeńskiej śmierci krakowskiego biskupa.

– Myśl piękna, ale ryzykowna – powiedział Wyszyński. – Sądzę, że u nas nie doszłoby do tego co w Holandii. (Zdaje się, że uchwalili tam zniesienie celibatu?) Ale mimo wszystko widzę spore niebezpieczeństwo. Z tego, co wiem, ksiądz kardynał chce wciągnąć w to świeckich?

– Zgadza się.

– Ksiądz kardynał jest młody, a cechą młodości jest optymizm. Proszę spojrzeć na to realnie. Przecież nie mamy organizacji świeckich katolików, bo tych koncesjonowanych przez komunistów, jak PAX, nie będziemy przecież brać pod uwagę. Świeccy, którzy decydują się na bliższe kontakty z Kościołem, podejmują ogromne ryzyko. Przecież oni mają rodziny. Narażają je na represje. Niektórzy się oprą, inni będą słabsi. Jedni mogą stracić pracę, ci słabsi mogą mieć złamane sumienie... Proszę mnie źle nie zrozumieć. Mam absolutne zaufanie do księdza kardynała. Pozostaję mu ogromnie wdzięczny za wszystko, co robi dla Kościoła w Polsce i na świecie, a wiem, że robi niemało.

I – tak jak wspominałem tutaj trzy lata temu, po kreacji kardynalskiej Waszej Eminencji – ciągle uważam, że ta pomoc, dyskretna i taktowna, ma nieocenioną wartość. Jesteśmy jak dwa konie w Bożym zaprzęgu i dziękuję, że Eminencja ciągnie ten zaprzęg równo ze mną. Ale to dotyczy Polski. W swojej diecezji ksiądz kardynał jest wolny i rozumiem, że sprawę dogłębnie przemyślał.

– Tak, myślałem nad tym od dawna, to znaczy od Soboru i Milenium.

– Proszę więc postępować zgodnie z wewnętrznym przekonaniem. Mogą mówić o mnie wiele złego, nie chciałbym jednak, żeby ktokolwiek twierdził, że Prymas nie broni wolności sumienia.

Wyszli na skraj lasu, wzdłuż którego wiodła polna droga. Zaprowadziła ich do niewielkiej polany – teraz mogli iść w lewo lub w prawo.

– Tamtędy chyba nie dam rady, zbyt strome zejście – powiedział Wyszyński. Prawa odnoga drogi gwałtownie schodziła w dół. Prymas schylił się i podniósł z trawy podłużną szyszkę. – Niedługo obiad, wracajmy – powiedział.

Dziesięć minut później wychodzili z lasu. Zatrzymali się jeszcze na chwilę przy sporej hali, na której pasło się kilka owiec.

– Ufam, że ksiądz kardynał dobrze rozeznał wolę Bożą – powiedział Wyszyński. – Pan powierzył nam stado, byśmy cało doprowadzili je do owczarni.

Podniósł przed oczy szyszkę. Spróbował odchylić łuskę. Nie dało się.

Łuski mocno do siebie przylegały.

– Nasz lud jest dzisiaj jak ta szyszka – powiedział. – Trzyma go wiara ojców. Ale przyjdzie taki czas, że łuski rozchylą się, a ziarna wypadną na ziemię. Oby to były zdrowe ziarna, z których wyrośnie młody, zdrowy las.

Poszli dalej w kierunku Bachledówki.

2

Rozsiodłał stary kowbjy konia, przy ognisku siadł.
Gdy ogień resztką sił się tlił, dorzucił parę drew,
Wieczorne mgły niosą jego śpiew:
Co mi tam wiatr, co mi tam chłód,
Byle był koń, wiatronogi druh.

Karol nabrał tchu i poczekał na kolejny akord gitary. Płomienie wesoło tańczyły w ognisku, zdawało się, że migają niemal w takt popisowej piosenki kardynała w czasie wieczornic w Bachledówce. Prymas siedział nieopodal owinięty swoim jasnym więziennym – jak go nazywał – płaszczem i przysłuchiwał się dobrze znanym słowom.

Byle był kolt, lasso i bat,
Co mi tam chłód, co mi tam wiatr.
Pamiętasz, stary koniu, gdyś źrebakiem jeszcze był,
Marzyłem – kupię dom, jak człowiek będę żył.
Pasałem bydło całe życie, co dziś mam, czy wiesz?
Dwa kolty mam, ciebie i tę pieśń.

– Brawo, głos się Eminencji chyba nawet poprawił od zeszłego roku – powiedział Wyszyński.

– Dużo ćwiczę. Kazań coraz więcej, a że po kościołach nagłośnienie czasem liche, to muszę się nieźle wysilać.

– A nie opowiedziałby ksiądz kardynał jakiejś historii z tych wyjazdów? – zagadnął ksiądz Zdzisław Peszkowski, stały bywalec prymasowskich wakacji, niegdyś ułan, cudem ocalony z Katynia żołnierz Wojska Polskiego w 1939 roku, a w końcu kapłan wyświęcony w Stanach Zjednoczonych.

Wojtyła nie dał się długo prosić.

– Ano pewnego razu byliśmy z księdzem Adamem Dyczkowskim, moim znajomym z KUL-u, na nartach – zaczął. – Zjechaliśmy do Krościenka. Pić nam się chciało niemiłosiernie, bośmy się strasznie wypocili. Weszliśmy do karczmy na rozwidleniu dróg, szukam po kieszeniach, nic nie znajduję, więc proszę Adama, on stawia herbatę. Pijemy tak tę herbatkę i chcąc nie chcąc, słuchamy pogaduszek kilku gazdów, jak to się mówi po góralsku „z lekka przynapitych". Musieliśmy się nieźle pilnować, bo tak nas ubawili swoimi teoriami na temat wielkiej polityki, że o mało nie pękliśmy ze śmiechu. Jeden chyba to zauważył, podszedł, poklepał mnie po ramieniu i tłumaczy się: „Panocku, jo wim, co to jes przynapity, co to na gazde nie pasuje, ale dzisiaj musiołek sie napić. Dziś za jeden kubik drzewa dostołek telo dutków co wczora za dwa. To mi sie nalezało". Ale po chwili posmutniał i mówi: „Najgorzy będzie, jak przyjode do chołpy. Moja baba straśnie nie lubi, kiej jestek przynapity. To jes takie niescyńście w domu, ze niek ta ręka Boska broni". I takeśmy się rozstali. Ale niedługo potem miałem w Krościenku wizytację kanoniczną. Zajeżdżamy przed kościółek, wysiadam w tych moich kardynalskich szatach z samochodu, patrzę, a tu ten góral z chlebem w rękach. On patrzy i ja patrzę, tak to chwilę trwa i cisza. Przypominał nie górala, ale żonę Lota, która zamieniła się w słup soli. Domyślam się, że miał wygłosić przemówienie powitalne. I widzę, że z przemówienia nici. Ja go poznałem i on mnie poznał.

– I co się stało? – zapytał zaaferowany Peszkowski.

– A, nic takiego. Podszedłem do niego, wziąłem chleb i powiedziałem: „Fajny z ciebie chłop, jeno telo nie pij".

Zgromadzeni przy ognisku wybuchnęli śmiechem.

– Oto najskuteczniejsza akcja trzeźwościowa w Polsce – Prymas klasnął w ręce. – No, na mnie już czas. Pora spać.

– Jeszcze młoda godzina. Do północy zostało sporo czasu.

– Jak ksiądz kardynał będzie w moim wieku, to też będzie dbał o to, żeby nie zarywać nocy. A poza tym starsi powinni ustępować miejsca młodzieży. Bawcie się dobrze.

Prymas wstał. Inni uczynili to samo. Pozdrowił ich gestem ręki i poszedł w stronę willi. Słyszał jeszcze tubalny głos Wojtyły śpiewającego *Góralu, czy ci nie żal*, kiedy wchodził do domu. Skręcił w lewo i wszedł do małej kaplicy, w której na centralnym miejscu ołtarza znajdował się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Ukląkł w ławce. Przez chwilę patrzył na migający płomień przed tabernakulum.

W ciągu tych sześciu lat, jakie minęły od Soboru, wiele się wydarzyło, ale dla niego największym odkryciem był Karol. „Filozof" – mówili o nim z lekką rezerwą niektórzy biskupi. „Poeta" – tak sam go kiedyś nazwał. Nie znał go wtedy jeszcze tak dobrze. Przez te lata przekonał się, że ten człowiek potrafił być niezwykle przenikliwy. Widział dalej niż inni, jak choćby w sześćdziesiątym siódmym, niedługo po tym jak został kardynałem. Jesienią w Rzymie odbywał się synod biskupów. Pierwszy synod po Soborze, historyczny moment. Z Polski miało jechać trzech delegatów i dwóch zastępców. Na trzy tygodnie przed planowanym wyjazdem sytuacja była taka, że wszyscy członkowie delegacji, w tym Wojtyła, dostali paszporty, Prymas zaś czekał na wydanie dokumentu. Karol przeczuwał, co się święci, bo już wtedy oświadczył, że do Rzymu nie pojedzie, jeśli Prymas nie otrzyma paszportu. Przepychanka z władzami trwała cały wrzesień. Gomułka nie chciał zrozumieć, że w ten sposób najbardziej zaszkodzi nie Prymasowi, lecz polskiej racji stanu. Jurek Zawieyski, który podjął się negocjacji, był świadkiem niebywałego ataku wściekłości pierwszego sekretarza. Prymas ostatecznie paszportu nie dostał. Wojtyła i pozostali biskupi na synod nie pojechali.

Kardynał Wyszyński spojrzał na obraz Maryi. Dobiegł go przytłumiony przez drewniane ściany kaplicy śmiech od ogniska. Przeżegnał się i poszedł na górę.

◇◇

Był mocny swoją wiarą w Chrystusa – ów kamień węgielny zbawienia człowieka, ludzkości, narodu. Czynił wszystko, aby ten kamień węgielny nie został odrzucony przez ludzi naszej epoki, ale by się na nowo umocnił w fundamentach duchowego budowania współczesnych i przyszłych pokoleń / **Jan Paweł II**

1972, czerwiec

3

Zajmował się „Prorokiem" dziewiąty rok i był tym już trochę zmęczony. Kiedy po raz pierwszy przekopywał się przez setki stron materiałów zgromadzonych w archiwach ministerstwa, był pełnym zapału pracownikiem MSW zaszczyconym faktem, że dostał tak ważną sprawę. Starał się dogłębnie poznać przeciwnika, opracował jego szczegółową charakterystykę i przystąpił do działań. Po dziewięciu latach major Zenon Chmielewski musiał przyznać przed samym sobą, że ich skuteczność była nikła.

Owszem, pojawiały się nadzieje – silne wyglądało na to, że dobrze umotywowane. Taką nadzieję pozwalało żywić pojawienie się na scenie Kościoła w Polsce Karola Wojtyły, który zdawał się tak różny od Wyszyńskiego. Wydawało się, że wystarczy ograniczyć się do bardzo delikatnych działań, aby doprowadzić do poważnego konfliktu

między nimi, a – kto wie – może nawet wygrać coś w Watykanie. Z roku na rok jednak ta nadzieja okazywała się coraz bardziej płonna. Chyba ostatecznie zgasła w roku kreacji kardynalskiej Wojtyły. Wtedy pojawiła się wymarzona wprost szansa. Do Polski przyjeżdżał bardzo popularny prezydent Francji Charles de Gaulle. Chciał się spotkać z Wyszyńskim, który zaproponował Jasną Górę lub katedrę warszawską. Ale Francuzi zignorowali tę sugestię, zapraszając kardynała na raut organizowany przez ambasadę francuską. Prymas odmówił. Pewnie nie chciał występować wśród obecnych na przyjęciu przedstawicieli władz PRL. W drugiej części wizyty de Gaulle pojechał do Krakowa. Tam miał odwiedzić bazylikę Mariacką. Wydawało się oczywiste, że prezydenta będzie witać miejscowy arcybiskup, czyli kardynał Wojtyła. Tymczasem on nagle wyjechał z Krakowa – akurat w tym czasie, gdy jego francuski imiennik pojawił się w tym mieście. Gdyby tego nie zrobił... Gdyby zachował się zgodnie ze staropolskim zwyczajem gościnności... Gdyby... Wtedy postaraliby się, aby sprawę odpowiednio nagłośnić na Zachodzie i w ten sposób wysłać sygnał – w Polsce są dwa Kościoły: ten tradycyjny, zamknięty – Wyszyńskiego, i ten otwarty, postępowy – Wojtyły. Nic z tego nie wyszło. Szkoda.

Chmielewski wpiął kolejny donos na Prymasa do akt. „Może coś z tego będzie?" – pomyślał, rzucając jeszcze okiem na relację ze spotkania z „Jasińskim"[55]. Rozmawiali o Ósemkach, kobiecej przybocznej gwardii Prymasa, która budziła taką niechęć wśród wielu księży. Mieli je za wtyczki Wyszyńskiego, jego oczy i uszy, dzięki którym wiedział dokładnie, co się dzieje wśród duchownych, o czym myślą, jak pracują. „Ten stary wyga zna się na rzeczy – pomyślał Chmielewski – wie, że kobieta wszystko wywącha i dowie się więcej od faceta". Jest ich osiem tysięcy osiemset sześćdziesiąt osiem, w każdej parafii po osiem

[55] „Jasiński" – jeden z tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, najprawdopodobniej członek rodziny prymasa Wyszyńskiego.

– mawiali nie- którzy duchowni. Tak, może popracujemy nad tym wątkiem. Z siodła go nie wysadzimy, ale przynajmniej podłożymy parę pinesek, żeby kłuły.

Zawiązał tasiemkę teczki i zawołał sekretarkę, żeby odniosła akta do archiwów. Na dziś wystarczy.

Dzień był piękny, spacer zapowiadał się przyjemnie. Umówił się z synem przed biurem, przejdą się po Polach Mokotowskich. Waldek miał już siedemnaście lat i był jego największą dumą. Czekał na niego na dole.

– Cześć, chłopie, jak tam w szkole? – zapytał. Trochę stereotypowo, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Dobrze, tato. A co u ciebie?

– Mogłoby być lepiej. Dużo roboty.

Szli Rakowiecką w kierunku alei Niepodległości.

– Nad czym teraz pracujesz?

– Ej, daj spokój. Wiesz, że nie wolno mi o tym mówić.

– Ale ja już jestem duży. Umiem dotrzymać tajemnicy.

– Pamiętaj, że najpewniejsza tajemnica to taka, której nikomu nie powierzysz. A najlepiej dotrzymują jej umarli.

– Często się zastanawiam, jak to jest tam, po drugiej stronie – powiedział Waldek, patrząc w kierunku ozdobionego wieżyczkami muru więzienia. – Jacy ludzie tam siedzą? Czy żałują tego, co zrobili? Dużo ludzi posadziłeś tam, tato?

– Nie zajmuję się sprawami śledczymi. To inny wydział. Chociaż powiem ci, że czasem miałbym ochotę skierować tu niektórych, co nam brużdżą. Nie wyobrażasz sobie, jak niektórzy ludzie nas nienawidzą. Szczególnie czarni.

– Księża? Też tutaj siedzą?

– Teraz? Nie. Są pod ochroną. Nie to co kiedyś, jak zaczynałem pracę. Ale wtedy wszystko było o wiele prostsze. Siedziało tu sporo księży, nawet dwóch biskupów.

– Wyszyński też?

– Nie, on był tylko izolowany. W różnych klasztorach. Trzy lata.

– I jak to się stało, że wyszedł?

– Wiesz, wyższa polityka. Ludzie się narobili, żeby go przyskrzynić, a potem ktoś na górze powiedział: koniec. I trzeba było go wypuścić.

– To nieuczciwe!

– Nie mów tak. Są pewne rzeczy, na które nie masz wpływu. Jak dorośniesz, to zrozumiesz. Chodź, postawię ci lody.

4

Wyjechali z miasta i skierowali się na południe. Karol musiał wyruszyć wcześniej, z Krakowa do Radomia jest dalej niż z Warszawy.

Prymas spojrzał na zieleniejące pola oświetlane mocnymi promieniami słońca. Wyglądało na to, że dzień będzie piękny, i wcale go to nie dziwiło, że Matka postarała się o taką pogodę. Piękna kobieta w blasku słońca jest jeszcze piękniejsza i chce taka być, szczególnie jeśli mają na nią patrzeć tysiące ludzi.

A więc jednak Józefowi się udało. Jak? O tym pewnie dowie się w swoim czasie. Ale od dnia, gdy z Jasnej Góry zadzwonili przerażeni paulini, wiedział, że ksiądz z Radomia zrealizował plan, z którego zwierzył mu się jakiś czas temu. Był to niepospolity kapłan, który może lepiej czułby się w czasach Kmicica i Wołodyjowskiego, choć i w Polsce Ludowej znajdował pole do popisu. Już dziewięć razy siedział w więzieniu, a zasłużył sobie na to wieloma wyczynami: najpierw wsadzili go za kazanie w obronie zdejmowanych ze ścian krzyży, potem za inne tego typu „przestępstwa". Zachował się jak prawdziwy komandos Pana Boga w Wierzbicy, gdzie władze komunistyczne, grając na lokalnym konflikcie we wsi, chciały utworzyć parafię niezależną od

hierarchii katolickiej. Przez sześć lat prowadził tam duszpasterstwo i ostatecznie nie dopuścił do zlikwidowania parafii. To wszystko było niczym w porównaniu z pomysłem, z którego zwierzył mu się ostatnio. Chodziło o obraz Nawiedzenia namalowany przez profesora Torwirta i poświęcony przez Piusa XII. W roku milenijnym władze najpierw zatrzymały obraz na trzy miesiące w Warszawie, w katedrze, a potem dokonały powtórnego aresztowania, gdy jechał na Śląsk. Ikona została zawieziona na Jasną Górę i tam zamknięta za kratami kaplicy Świętego Pawła Pustelnika. Przez kolejne lata milicja dokonywała kontroli samochodów opuszczających klasztor (nieraz spotykało to również samochód prymasowski). Po roku siedemdziesiątym z kontroli zrezygnowano, ale obraz nadal był pod kluczem. Od tego czasu po Polsce pielgrzymowały puste ramy.

Puste ramy... jeśli ktoś mówił, że Polacy gromadzą się wokół obrazu z powodu zabobonu, to teraz miał najlepszą odpowiedź. Matka Boża nieobecna w swoim wizerunku przyciągała jeszcze większe tłumy. Nawrócenia wciąż się dokonywały. Po raz kolejny milcząca nieobecność okazywała się silniejsza od przemocy. Ale Józef stwierdził, że tak dalej być nie może. Kiedy Prymas zobaczył go na Miodowej, od razu zorientował się, że coś jest na rzeczy.

– Mów, synu, co cię świerzbi – zachęcił go.

– Chcę ukraść obraz – powiedział. – Eminencjo, 18 czerwca mamy nawiedzenie w Radomiu. Rozmawiałem z księdzem proboszczem. On też jest za. Trzeba wyprowadzić obraz z Jasnej Góry i wprowadzić na nowo na szlak nawiedzenia.

– Ty sobie zdajesz sprawę, jaki skandal wybuchnie? Zresztą paulini na to nie pozwolą, władze zagroziły im, że w razie zniknięcia obrazu stracą swoje klasztory.

– Nie muszą o niczym wiedzieć. Jeszcze nie wiem jak, lecz muszę to zrobić.

– Ty wiesz, że jak cię złapią, to cię z więzienia nie wyciągnę? Skinął głową.

– Przemyśl to dobrze. Księża w więzieniu są co prawda potrzebni, ale nie będziesz miał zbyt wielu możliwości duszpasterskich.

Musiał przemyśleć. Gdy spotkali się powtórnie, Prymas zapytał:

– Co postanowiłeś?

– Będę kradł.

– Ta ja cię już rozgrzeszam. Tylko niech nikt o tym nie wie, nawet – a w szczególności – paulini. Najwyżej ojciec przeor.

Pewnego dnia otrzymał telefon z Jasnej Góry. Poruszenie paulinów było tak autentyczne, że na pewno nie wiedzieli o całej sprawie. Raczej byli przerażeni możliwymi konsekwencjami. A obraz zniknął jak kamfora.

Ksiądz Wójcik razem z proboszczem księdzem Wojciechem Staromłyńskim wyglądali czarnej limuzyny Prymasa, stojąc na podwórku plebanii parafii Opieki Najświętszej Maryi Panny.

– Jest! – chciał podbiec do samochodu, ale proboszcz był bliżej. Otworzył drzwi i przyklęknął, całując prymasowski pierścień. Kardynał uścisnął go serdecznie i spojrzał na Wójcika.

– Witaj, Józefie, umiłowany przez władzę ludową – powiedział (nie po raz pierwszy, tak zazwyczaj zwracał się do niego, znając jego historię) i przygarnął go do piersi. – Kardynał Wojtyła już jest?

– Tak. Są wszyscy – Józef podkreślił wymownie ostatnie słowo. Weszli do jadalni. Obraz stał w rogu przy samych drzwiach.

– Ludzie, wyście to zrobili! – powiedział uszczęśliwiony – *Audaces fortuna iuvat*[56].

[56] „Audaces fortuna iuvat (łac.) – odważnym szczęście sprzyja.

Karol wstał, wraz z nim pozostali. Uścisnęli się.

Prymas klęknął przed obrazem Nawiedzenia. Maryja wydała mu się uśmiechnięta, choć pewnie było to tylko złudzenie z powodu radości, jaka go ogarnęła.

Dziękuję, że dałaś się porwać. A myślałem, że takie rzeczy robili tylko Rzymianie z Sabinkami.

Wstał i ucałował Jej dłoń.

– Co robimy, Księże Prymasie? – zapytał biskup Piotr Gołębiowski z Sandomierza.

– Wyniesiemy obraz do wiernych. Władze nie zdecydują się na interwencję przy takich tłumach. Gdyby to zrobiły, wszystkie przemowy Gierka o normalizacji i jego apele o pomoc wyglądałyby mało wiarygodnie. Co sądzisz, Karolu?

– To chyba najlepszy sposób, aby obraz powrócił na szlak nawiedzenia.

– No to na dole bierzemy obraz – ty i ja w pierwszej dwójce – i idziemy.

Wojtyła spojrzał na Wójcika i proboszcza. Uśmiechnął się szeroko i poszedł za Prymasem.

Na podwórzu chwycili za drążki. Podobnie jak przed jedenastu laty w Ludźmierzu, gdzie Prymas przyjechał, aby nałożyć korony na obraz Gaździny Tatr. Wtedy wnosili jej figurę na ołtarz polowy. W pewnym momencie posąg zachwiał się, z ręki Maryi wypadło berło, które chwycił Karol. Miał refleks.

Powoli zmierzali na miejsce celebry. Na widok obrazu ludzie zaczęli klękać i machać chusteczkami. W oczach wielu pojawiły się łzy.

Dźwigając feretron, układał sobie w myślach, co powie. Na pewno nazwie pojawienie się wizerunku przejawem normalizacji. Gierek będzie miał wtedy tylko jedno wyjście – uznać powrót obrazu również za swoje osiągnięcie. Był to człowiek, który nie tylko lubił odnosić sukcesy, ale także o nich mówić. W ten sposób zabezpieczy się przyszłość peregrynacji, a może i uchroni sprawców „porwania" przed

represjami. Przede wszystkim jednak powie o tej radości z powrotu Matki. Kościół musi mieć swoją Matkę! Nikt już nie będzie noskiem kręcił, nikt nie będzie grymasików wystrajał. Narodowi potrzebna jest Matka, Kościołowi, Ludowi Bożemu potrzebna jest Matka. I jest. Wróciła!

Wiem dobrze, że w Kościele Chrystusowym Najwyższy Kapłan ustanawia i odwołuje pasterzy swej owczarni. Ale też wiem i to, że jako niewolnik Maryi jestem całkowicie do Jej dyspozycji. W ciągu długich tygodni choroby czuwałem nad tym, aby w modlitwach moich hierarchia tych praw była uszanowana / **Stefan Wyszyński**

1977, wrzesień

5

Maria Okońska wpatrywała się intensywnie w obraz Maryi, klęcząc na stopniach ołtarza w kaplicy jasnogórskiej.

Ocal go nam. Proszę. Ocal.

Ojciec był w szpitalu. Już drugi raz w tym roku. W lutym operowano mu pęcherzyk żółciowy, w sierpniu lekarze stwierdzili, że jest chory na żółtaczkę zakaźną, później okazało się, że to żółtaczka mechaniczna i że potrzebna jest operacja. Prymas nie chciał jechać za granicę. „Mam zaufanie do was" – powiedział lekarzom z kliniki na Banacha.

Maria nie ruszała się z Jasnej Góry. Tu pomoże Ojcu bardziej, niż będąc przy nim.

Trzy dni po interwencji chirurgów odebrała telefon. „Z Ojcem niedobrze. Poziom bilirubiny trzykrotnie przekracza normę i zagraża życiu". Natychmiast pobiegła do kaplicy.

Patrząc w oczy Maryi, błagała Ją o ratunek. Ta myśl przyszła jak nagły impuls. Poderwała się z kolan i pobiegła do Instytutu. Chwyciła za słuchawkę, wykręciła numer.

– Halo! Ksiądz Staś? Tu Marysia Okońska. Czy ksiądz kardynał jest w domu? Mogę z nim rozmawiać? Dziękuję.

Po chwili usłyszała głos Wojtyły. Zawsze ją uspokajał, nawet na odległość.

– Księże kardynale, czy mogę przyjechać?

– Przyjeżdżaj. Czekam.

Pół godziny później siedziała w samochodzie paulinów. Jeden z braci zgodził się zawieźć ją do Krakowa. Kiedy zajechali na dziedziniec kurii przy Franciszkańskiej, wyskoczyła z auta i pobiegła dobrze sobie znanymi kamiennymi schodami na pierwsze piętro. Widocznie na furcie dali znać, bo kardynał czekał na nią u ich szczytu. Dobiegła do niego, szlochając. Silne ręce ujęły ją za ramiona.

– Marysiu, czemu płaczesz?

– Ojciec umiera! Ojciec umiera!

Rozszlochała się na dobre. Wojtyła milczał i wciąż ją trzymał. Może dlatego tak się wzruszyła? Już nie musiała być oparciem dla innych, teraz on był oparciem dla niej.

– Marysiu, nie płacz – powiedział. W jego głosie zabrzmiała dziwna pewność. – On jeszcze teraz nie umrze. On teraz jeszcze nie może umrzeć.

– Ale lekarze mówią...!

– Zarządzę modlitwy w całej Polsce. Powszechne modlitwy za Ojca. Przyjeżdżają do mnie biskupi na Radę Główną. Polecimy modlić się o uzdrowienie Prymasa. O cud.

Kazimierz Kąkol, kierownik Urzędu do spraw Wyznań, wysiadł z samochodu, pokonał schody wiodące na obszerny dziedziniec wewnętrzny Domu Partii i skierował się do strzeżonego wejścia prowadzącego do strefy zajmowanej przez pierwszego sekretarza. Winda zawiozła go na pierwsze piętro. Tam było już królestwo towarzysza Edwarda. Czekał na niego w swoim gabinecie

– Jak Prymas? – zapytał.

– Lepiej. Zagrożenie minęło. Bilirubina opadła, lekarze mówią, że powinien z tego wyjść.

– Mamy szczęście. To byłby prawdziwy dramat, gdyby go zabrakło w takiej chwili.

Pod koniec listopada Gierek wybierał się do Włoch i bardzo liczył, że Prymas również tam będzie. W ogóle coraz bardziej liczył na niego. Dziś nie mógł pozwolić już sobie na apel: „Towarzysze, pomożecie?". Wiedział, że ludzie z gorzkim rozczarowaniem wspominali te słowa i dodawali „Zrób to sam". Ale jego sprawność nie była tak wielka jak zręczność Adama Słodowego, który w popularnym programie telewizyjnym pokazywał, jak dobrze majsterkować i zrobić samemu coś prawie że z niczego. W poprzednim roku ludzie znowu się zbuntowali. W Ursusie pod Warszawą oraz w Radomiu, tym samym mieście, w którym niegdyś doszło do tej niezręcznej sytuacji z obrazem Maryi, robotnicy wyszli na ulice. Tym razem milicyjne pałki wystarczyły, ale pojawiło się coś groźniejszego – zorganizowana opozycja wobec jedynie słusznej władzy przewodniej siły narodu, jak wciąż oficjalna propaganda nazywała PZPR. Trzeba było nawet wypuścić z więzień przeciwników ustroju, bo Prymas naciskał i naciskał, aż wreszcie ogłoszono amnestię. No cóż, płacili frycowe za wieloletnie życie na kredyt, długi zaciągane na Zachodzie (na Wschodzie również), które trzeba było spłacać kolejnymi długami, jeśli nie chciało się ryzykować powtórnego wybuchu i – w konsekwencji – kolejnej zmiany u steru

władzy. Bierut rządził przez dziewięć lat, Gomułka przez czternaście, on był na szczycie już prawie siedem lat i nie zamierzał się stąd wyprowadzać. Do tego jednak potrzebne były nowe kredyty, a do nich – wiarygodność. Tę zaś mógł mu zapewnić tylko – o zgrozo – człowiek stojący na czele Kościoła w Polsce.

– Sądzicie, że wyjdzie z tego do listopada? – zapytał Kąkola.

– Jest szansa. Towarzysz powinien spotkać się z nim jeszcze przed wyjazdem do Włoch i audiencją u Pawła VI. Papież nie zrobi nic bez jego opinii.

– Tak, tak, oczywiście. Jaki on jest w bezpośrednim kontakcie?

Mimo że od przejęcia władzy przez Gierka upłynęło już tyle lat, nigdy jeszcze (w odróżnieniu od swego poprzednika) nie spotkał się z Wyszyńskim.

– Przystępny, ale zdecydowany. No i ma olbrzymie doświadczenie. W końcu już trzydzieści lat na tym stanowisku.

– Prawda.

– W każdym razie jest bardziej przewidywalny od tego awanturnika – intelektualisty z Krakowa. Na pewno z większym dystansem patrzy na KOR[57] i całą tę zbieraninę, która wypłynęła po Radomiu. Jemu przede wszystkim zależy na stabilizacji i na tym, żeby Kościół mógł spokojnie egzystować w państwie ludowym. Obraliśmy, towarzyszu, słuszną linię. Wyszyński jest dla nas znacznie lepszym partnerem i rzeczywiście byłoby fatalnie, gdyby teraz zniknął ze sceny.

W ubiegłym roku kardynał Wyszyński skończył siedemdziesiąt pięć lat. Z tej okazji na Miodowej pojawił się wysłannik rządu z siedemdziesięcioma pięcioma różami dla jubilata. A władze PRL dały wyraźny sygnał do Watykanu, aby papież pozostawił Prymasa na

[57] Komitet Obrony Robotników – opozycyjna organizacja utworzona po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie; za cel postawiła sobie obronę aresztowanych robotników.

stanowisku. Według nowych, posoborowych zasad biskup w tym wieku składał rezygnację z urzędu. Wyszyński zrobił to również, Paweł VI nie przyjął jej – trudno powiedzieć, czy ze względu na prośbę władz, czy też dlatego że ten człowiek także w skali Kościoła powszechnego był kimś wyjątkowym.

– Dobrze, towarzyszu – Gierek wstał, dając znać, że spotkanie uważa za skończone. – Informujcie mnie na bieżąco, a skoro tylko Prymas będzie mógł się spotkać, zorganizujcie to.

– Oczywiście. Jestem w stałym kontakcie z jego doradcą, Romualdem Kukołowiczem. Będziemy reagować stosownie do rozwoju sytuacji.

◇◇

Światem włada materializm. Ale ma on odmienny charakter: na Zachodzie włada materializm realistyczny (cum fundamento in re), a na Wschodzie materializm idealistyczny (bez materii). Który groźniejszy? Chyba ten pierwszy, bo daje zadowolenie usypiające. A drugi budzi niedosyt, niepokój i kontrrewolucję / **Stefan Wyszyński**

1978, koniec lipca

6

– Boli jeszcze? – zapytał Prymas.

– Do wesela się zagoi – odparł wesoło Wojtyła, oglądając z udawanym namaszczeniem palec, który wybił rano podczas meczu siatkówki. Tego rodzaju rozgrywki należały do żelaznego punktu jego odwiedzin u kardynała Wyszyńskiego z okazji imienin, zarówno wcześniej

na Bachledówce, jak i obecnie w Fiszorze pod Wyszkowem. – Z siatkówką się nie udało, ale piłka wodna w rzece też była sympatyczna.

– Nic ci nie przeszła pasja do sportu. Już dwadzieścia lat minęło, jak przyjechałeś z kajaków do Warszawy, i wciąż udaje ci się znaleźć na to czas.

– Dla chcącego nie ma nic trudnego.

– Racja. Masz jeszcze siłę na przechadzkę po lesie?

– Naturalnie.

Prymas co prawda żadnych sportów nie uprawiał, ale formę fizyczną utrzymywał dzięki spacerom. Cenił je sobie szczególnie na wakacjach. Bliski kontakt z przyrodą był dla niego zawsze odświeżający. Poza tym w lesie nie było podsłuchu.

– Co sądzisz o wizycie w Niemczech? – zapytał. – Trochę się martwię, że sprawy idą w niedobrym kierunku.

We wrześniu delegacja polskiego episkopatu miała się udać z pięciodniową wizytą do RFN. Niemieccy biskupi wielokrotnie już odwiedzali Polskę, mając nadzieję, że zatrą w ten sposób niedobre wrażenie po ich odpowiedzi na list z 1965 roku. Kurtuazja wymagała rewizyty, lecz Prymas ciągle zwlekał. Dopiero niedawno powiedział: „Już czas", i rozpoczęły się przygotowania. Ostatnio dotarły do niego wiadomości, że podczas wizyty planowane są akcje ziomkostw, które nie uznały polskości ziem zachodnich. Miały się one odbyć na zjeździe katolików niemieckich, tak zwanym Katholikentagu.

– Myślę, że powinniśmy cały czas podkreślać ściśle religijny charakter tej wizyty – powiedział Wojtyła – oraz to, że jest to rewanż za odwiedziny biskupów z RFN w Polsce.

– Też jestem tego zdania. Ale damy sygnał biskupom w Niemczech, że w razie jakiejś zdecydowanej akcji ziomkostw możemy odłożyć podróż.

– Albo pominąć Katholikentag – zasugerował Wojtyła.

– Zgoda.

– Długo zabiegali o tę wizytę. Szkoda byłoby teraz odwoływać.

– Też jestem zdania, że to ważne. Odwlekałem tę podróż, jednak nie możemy dłużej czekać. Powiem ci, Karolu, że musimy szukać sojuszników. Zobacz, co się dzieje. Europa poganieje, właściwie Kościół jest silny tylko w Polsce. Sami nie wytrzymamy tej presji. Trzeba nam więc szukać sprzymierzeńców. Gdzie? Hiszpanie są daleko, Włosi są tacy, jacy są, Francuzi... no cóż. A Niemcy są najbliżej. Potrzebny jest nam wspólny język i najlepiej by było, gdyby to był język Ewangelii. Ty nie pamiętasz tak bardzo czasów przedwojennych, dorastałeś wtedy, ale ja pamiętam. Pierwsza wojna skończyła się, lecz ludzie nie zmądrzeli. Przyszła przez to druga, gorsza. Teraz jest podobnie. Czytałem niedawno artykuł w „Spieglu". Wiesz, że Bundeswehra uzbraja Chińczyków? Może to pierwszy krok? A potem zaczną się dogadywać z Rosjanami i Polska znowu stanie się przedmiotem handlu. Jeśli tam jedziemy, to nie tylko po to, aby składać rewizytę. Trzeba budować nowe sojusze – rzekłbym: duchowe.

Prymas spojrzał Wojtyle w oczy.

– Ty dobrze znasz Zachód, ja nie znam tych krajów, poza Włochami, ale to co innego. Ostatni raz podróżowałem po Niemczech i Francji przed wojną. Wiesz, że tam materializm coraz bardziej podnosi głowę. Nie taki jak u nas: teoretyczny, ideologiczny, z którego właściwie już nic poza fasadą nie zostało. Ale gorszy, praktyczny. Oni myślą tak, jakby Boga nie było. A od tego już tylko krok do tragedii.

– Nie wszyscy. Są miejsca, gdzie wiara kwitnie. Jednak rzeczywiście, w wielu krajach Kościół stracił swój dynamizm.

– Co prawda, u nas jest coraz więcej powołań, ale też – cokolwiek by mówić, dzięki panu Gierkowi – wdziera się inny styl życia. Może i za Gomułki komuniści byli utrapieniem dla Kościoła, lecz przynajmniej w ich szeregach wciąż było sporo ludzi ideowych, wierzących w to, co robią. A dziś te trzy miliony członków partii to głównie karierowicze,

którzy zapisują się do PZPR, żeby mieć talon na samochód. Młodzież wzrasta w tej atmosferze.

– Jest za to bardzo oddana Kościołowi.

– I to nas jeszcze bardziej zobowiązuje. Bo przyjdzie taki czas, że ludzie będą mogli wziąć odpowiedzialność za ten kraj – muszą być do tego przygotowani. Dobrze, Karolu, chyba trzeba iść na obiad, bo czeka cię jeszcze długa droga do Krakowa.

– Czy wie Ojciec, jak się czuje Paweł VI?

– Nie najlepiej. Jest w Castel Gandolfo. Bardzo słaby.

◇◇

Dzień Uroczysty patronki Polski Pani Jasnogórskiej i uroczystość Pomocników Matki Kościoła na Jasnej Górze. Mówię o tym spotkanym kardynałom. Liczymy na Nią – contra prudentiam[58] / **Stefan Wyszyński**

[58] *contra prudentiam* (łac.) – wbrew roztropności.

7

Jeszcze dziś rano siedzący naprzeciwko niego człowiek nazywał się Albino Luciani i był jednym ze stu jedenastu kardynałów, którzy zasiedli w Kaplicy Sykstyńskiej. Teraz nosił już imię Jana Pawła I i spożywał z nimi kolację – jeszcze „pod kluczem”[59], w ostatnich godzinach trwania konklawe.

Tegoroczny sierpień był jednym z tych okresów w życiu Prymasa, gdy ważne wydarzenia następowały po sobie szybko i wymagały weryfikacji planów. Tydzień po wyjeździe Karola z Fiszora zmarł Paweł VI. Trzeba było jechać do Rzymu. Wynik konklawe był trudny do przewidzenia, choć z nastawienia wielu kardynałów wnioskował, że bardziej chcieliby duszpasterza niż dyplomatę i kurialistę. Wybór patriarchy Wenecji potwierdzał ten kierunek. Patrząc teraz na uśmiechniętego papieża, który po początkowym szoku chyba już pogodził się z wolą Bożą wyrażoną przez Kolegium Kardynalskie, Prymas zadumał się nad kobiecą wiarą i intuicją. Pierwsze głosowania zaczęły się 25 sierpnia i był przekonany, że potrwa to trzy – cztery dni. Tymczasem Marysia Okońska liczyła na to, że Matka Jasnogórska uczci swoje święto i papież zostanie wybrany już nazajutrz. W Polsce obchodzono tego dnia uroczystość Matki Boskiej Częstochowskiej. Wydaje mi się ta wiara ponad rzeczywistość: „Niewiasto, wielka jest wiara Twoja” – zanotował wieczorem w dniu pierwszych głosowań. A jednak Marysia miała rację. Następnego dnia, w sobotę 26 sierpnia, Luciani został wybrany.

[59] *Conclave (łac.)* – dosł. „pod kluczem”, pomieszczenie zamknięte.

– Bracia, musicie być zmęczeni, a przed nami jeszcze tyle spraw – powiedział nowy papież.

Wstał, a wraz z nim pozostali. Odmówili modlitwę po posiłku i zaczęli się rozchodzić.

– Wstąpimy jeszcze do kaplicy? – zapytał siedzący obok Karol. – Dochodzi dziewiąta.

Prymas skinął głową. Chwilę później weszli do pustej kaplicy paulińskiej, gdzie jeszcze wczoraj wieczorem uczestnicy konklawe śpiewali *Veni Creator (Przyjdź, Stworzycielu)*, prosząc o pomoc Ducha Świętego w wyborze nowego papieża.

– *Maryjo, Królowo Polski* – zaintonował Prymas.

– *Maryjo, Królowo Polski* – dołączył Wojtyła. – *Jestem przy Tobie, pamiętam, jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam.*

– Na Jasnej Górze pewnie dziękują Matce Bożej za jej imieninowy podarunek – zauważył Wyszyński, gdy skończyli modlitwę.

– Ona wszystko robi tak precyzyjnie – odparł Wojtyła – i nasze podziękowanie przyjęła dokładnie w godzinie Apelu.

Prymas spojrzał na ścianę kaplicy. Po tej stronie, gdzie stał, znajdował się fresk Michała Anioła przedstawiający nawrócenie świętego Pawła. Od strony Wojtyły – ukrzyżowanie Piotra na wzgórzu watykańskim.

– Niewiele już widać – powiedział. Malowidła pokryte były grubą warstwą kurzu i brudu. Powstały ponad cztery wieki temu i od tamtego czasu nikt ich nie odnawiał. – Nie wiem, czy nowy papież będzie chciał wydawać pieniądze na renowację przy takim stanie finansów Watykanu. Z relacji kardynała Vagnozziego[60] wynika, że deficyt jest większy niż długi PRL. Szesnaście miliardów dolarów. Niezła suma.

– Szukajcie wpierw Królestwa Bożego, a wszystko inne będzie wam przydane – skonstatował Karol.

[60] Egidio Vagnozzi (1906-1980) – włoski duchowny, kardynał, przewodniczący Prefektury do spraw Ekonomicznych Stolicy Świętej.

– W każdym razie jego wybór w święto Matki Boskiej Częstochowskiej daje nadzieję, że będzie bliski Polsce.

Poszli do swoich cel. Po drodze mijali jeszcze grupki dyskutujących kardynałów.

„Teraz każdy będzie chciał się dobić do nowego papieża – pomyślał Prymas. – Muszę do niego napisać list. Nie. Dwa listy. Jeden o wyborze w dzień Pani Jasnogórskiej, a drugi o sprawach bieżących. Trzeba się z nim spotkać jak najszybciej".

Nieraz mówi się o kimś: jaki to ludzki człowiek! Widocznie nie wystarczy urodzić się człowiekiem, trzeba jeszcze być człowiekiem. Widocznie można być ludzkim lub nieludzkim człowiekiem.

A jakim właściwie ja jestem człowiekiem? Ludzkim czy nie-ludzkim? Czy we mnie „zwierzę" przemawia po ludzku, czy też człowiek przemawia zwierzęcym głosem? Czy to, co w każdym człowieku stanowi zmysłową dziedzinę życia, trzymam w ryzach swej woli i poczucia etycznego, przemieniam mocą ducha na wartości ludzkie, człowiecze, pogłębiając miłość prawdziwą? Czy też odwrotnie – nawet temu, co w człowieku najwyższe, duchowe, nadaję styl i charakter zwierzęcy, poniżając miłość ludzką i godność człowieczą zarówno swoją, jak innych, „rycząc" na moje otoczenie i „gryząc", kogo się da? / **Stefan Wyszyński**

8

Zobaczył go na progu ambasady polskiej w Bonn otoczonego przez dziewczynki ubrane w stroje krakowskie. Dokładnie dwadzieścia pięć lat temu, 25 września 1953 roku, panowie w „ceratach" przyszli na Miodową z polecenia jego ojca Bolesława Bieruta. Jan Chyliński – od niedawna ambasador PRL w Republice Federalnej Niemiec – wyszedł na powitanie prymasa Polski podczas jego jedynej jak do tej pory wizyty zagranicznej.

– Bardzo dziękuję, że Ksiądz Prymas znalazł czas na odwiedziny w naszych skromnych progach – powiedział Chyliński.

– Cieszę się, że mogę spełnić pańską prośbę – odparł Prymas.

Chyliński witał go już na lotnisku we Frankfurcie, zaraz po przylocie do Niemiec, i wtedy zaprosił go do ambasady.

Weszli do saloniku.

– Wizyta Waszej Eminencji odbiła się tu szerokim echem. Wyrażam głęboką wdzięczność w imieniu naszego rządu.

– To jest wizyta przedstawicieli całego episkopatu – powiedział Wyszyński.

– Niemniej obecność Waszej Eminencji jest najbardziej zauważalna. To historyczna podróż. Dziękuję za słowa wygłoszone w Kolonii. Mają one szczególne znaczenie w kontekście podejmowanych przez nasze władze wysiłków pokojowych.

W Kolonii Prymas powiedział, że Europa nie może być *fabryką amunicji, międzynarodowym targowiskiem i dostawcą broni. Zauważył, że na innych kontynentach świata boją się europejskich polityków i dyplomatów, którzy zamiast słów pokoju niosą im nieustannie przedsmak wojen; boją się naszych przemysłowców i handlowców, którzy zamiast*

chleba powszedniego przynoszą im śmiercionośną produkcję wojenną; a nawet boją się naszych turystów, którzy niosą im demoralizację życia.

– Panie ambasadorze, ja od trzydziestu lat powtarzam, że Kościołowi zależy na pokoju. Nie może być inaczej, skoro jego Założyciel przyszedł na świat przy słowach: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli". Poza tym przekonałem się, czym jest wojna, przeżyłem ją i nikomu jej nie życzę.

– Wizyta w obozie koncentracyjnym w Dachau musiała być dla Eminencji trudnym przeżyciem.

– Zginęło tam wielu moich kolegów. Inni przeżyli i pracują do dziś w służbie Kościołowi i Polsce.

– Doceniamy bardzo, że Ksiądz Prymas nie zawahał się odwiedzić naszej ambasady.

Kardynał skinął głową. Spodziewał się, że krok ten będzie krytykowany, nie widział jednak powodu, by omijać przedstawicielstwo dyplomatyczne PRL. Dewiza, którą stosował od początku („Nie obrażać się, rozmawiać"), długofalowo przynosiła zawsze pozytywne skutki.

– Zaskakujące są te silne środki bezpieczeństwa – powiedział. – Uzbrojona po zęby policja pilnuje nas cały czas.

– Boją się terrorystów.

Jesienią poprzedniego roku przez RFN przeszła fala zamachów lewackiej organizacji Frakcja Czerwonej Armii. Porywano i mordowano wysoko postawione osobistości ze świata finansów. Podobna fala przemocy przechodziła przez Włochy. Na wiosnę terroryści z Czerwonych Brygad porwali i zamordowali znanego polityka chrześcijańskiej demokracji Aldo Moro. Jego serdeczny przyjaciel – Paweł VI – chciał się oddać w ręce porywaczy w zamian za Moro, proponowało to również trzech włoskich biskupów, ale prośba została odrzucona. Zwłoki polityka odnaleziono w samochodzie porzuconym

nieopodal polskiego kościoła pod wezwaniem Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika w Rzymie.

– Europa potrzebuje pokoju bardziej niż kiedykolwiek – powiedział Prymas.

– Jest nadzieja, że nowy papież będzie służył tej sprawie.

– Jego imię dobrze oddaje jego misję i charakter. Jest w pewien sposób połączeniem Jana XXIII – gorliwego duszpasterza, i Pawła VI – intelektualisty i dyplomaty.

– To chyba rzadkość, aby papież miał dwa imiona?

– Jeszcze się to nie zdarzyło w historii Kościoła. Ale i czasy mamy wyjątkowe.

Prymas wstał z fotela.

– Pora już na mnie. Wkrótce samolot do Warszawy – wyciągnął rękę do ambasadora. – A pańskiego ojca ceniłem chyba najbardziej ze wszystkich przywódców państwa ludowego.

Chyliński otworzył usta ze zdumienia.

– No, chodzi o to – dodał Prymas – że był konkretny, zwięzły i konsekwentny wobec tego, co powiedział. Po rozmowie z nim z góry wiedziałem, co się wydarzy, i że trzeba się szykować do nowej awantury. Ale był uczciwy i to cenię. Nie ukrywał, że chce mnie wsadzić. Może dla pana nie ma to znaczenia, ale chciałbym, żeby pan wiedział, że modlę się za pana tatę.

9

Emilia przewróciła się na drugi bok i westchnęła ciężko.

– Co się dzieje? – zapytał Antoni.

– Nie mogę zasnąć. Ciągle o tym myślę.

– O papieżu?

– Tak. Czuję, że zdarzy się coś strasznego. Czy to w ogóle jest do pojęcia? Myślisz, że to zawał?

Od rana mówiło się w Warszawie tylko o jednym. Papież Jan Paweł I zmarł nagle w Watykanie. Poza tym – żadnych oficjalnych wiadomości. Pozostały tylko spekulacje.

– Przecież wyglądał na zdrowego, był taki uśmiechnięty, pogodny – powiedziała Emilia.

– Wiesz, zawał potrafi zaatakować niespodziewanie. A on miał sporo stresów w ciągu ostatnich tygodni. Spadło na niego wielkie brzemię. Może serce po prostu nie wytrzymało?

– A może... ktoś mu pomógł?

– Żartujesz chyba. Pozbawić życia papieża?

– Czemu nie? Pamiętasz, jak Ojciec opowiadał o tym wypadku zaraz po wyborze? Dziwne to było.

Antoni skinął głową. Krótko po inauguracji pontyfikatu Jan Paweł I przyjmował metropolitę Leningradu i Nowogrodu Nikodema. Prymas nie darzył go szczególną sympatią. Powszechnie wiadomo było, że hierarchowie Cerkwi prawosławnej byli na etatach KGB i posłusznie wykonywali nakazy partii bolszewickiej. Zachód brał za dobrą monetę ekumeniczne deklaracje prawosławnych z Moskwy, a oni realizowali po prostu politykę Breżniewa. Kardynał Wyszyński przyjechał akurat do Watykanu, gdy Nikodem spotkał się z Janem Pawłem. W czasie rozmowy metropolita nagle zasłabł i skonał na rękach Lucianiego. Na dziedzińcu Świętego Damazego Prymas widział karetkę, która zabrała ciało. Krążyły słuchy, że Jan Paweł I udzielił mu rozgrzeszenia.

– Antoni, ja ci mówię, że to nie jest przypadek – Emilia przytuliła się do męża. – Boję się. Na Kościół spadnie jakieś nieszczęście.

– Miluś, może w takim razie pomódlmy się. A potem pójdziemy spać. Dobrze?

– Dobrze Antoni. *Pod Twoją obronę…*

– Uciekamy się, święta Boża Rodzicielko

Naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych,

Ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać.

Panno chwalebna i błogosławiona,

O Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza,

Pocieszycielko nasza

Z Synem swoim nas pojednaj, Synowi swojemu nas polecaj, swojemu Synowi nas oddawaj.

– Lepiej? – zapytał.

– Dziękuję ci. Śpij. Dobranoc.

– Dobranoc.

Po chwili Emilia usłyszała równy oddech męża. Zamknęła oczy. Wciąż nie mogła zasnąć. Zegar wybił jedenastą, potem dwunastą. Wreszcie powieki zaczęły jej ciążyć coraz mocniej ...

Zobaczyła ich tak wyraźnie, jakby stali tuż obok. Luciani był o krok od niej. Położył jej rękę na ramieniu. Drugą wskazał na człowieka stojącego trochę dalej... To był Karol Wojtyła. Ubrany na biało!

◇◇

Gdy później zacząłem głosić ideę niewolnictwa Maryi w Polsce, bracia odważni, choć małoduszni, powiedzieli: Na tym punkcie Prymas się potknie. A tymczasem stało się inaczej… Na początku tak zwanej klęski trzeba zawsze postawić na Maryję.

Przeżyłem ciężkie chwile na konklawe. Dla mnie oddanie tak wybitnego współpracownika w Polsce, jakim był kardynał Karol Wojtyła, jest olbrzymią stratą. Trzeba znać tajemnicę naszej współpracy i wzajemnego oddziaływania na siebie, aby to zrozumieć. Ale gdy jeszcze byłem pełen bólu i łez, nowy Papież zaczął mówić o Matce Najświętszej – ze

swojej pozycji. (…) Melduję tobie, kardynale Auguście Hlondzie, radosny przyjacielu z ojczyzny niebieskiej, trwający dzisiaj na kolanach przed Bożą Rodzicielką: zwycięstwo, które ukazałeś, krzepiąc nas na duchu, przyszło / **Stefan Wyszyński**

1978, październik

10

Kardynał Wojtyła nacisnął dzwonek przy bramie opatrzonej numerem trzydzieści osiem. Usłyszał brzęczyk i popchnął drzwi. Poszedł prosto do jadalni. Księża siedzieli już przy stole. Prymas także. Usiadł obok niego.

– Jak się czuje biskup Deskur[61]? – zapytał Wyszyński.

– Nadal jest nieprzytomny – odpowiedział zmartwiony. Jego pogodną zazwyczaj twarz spowijał cień smutku. Andrzej Deskur, serdeczny przyjaciel Wojtyły, trafił do Polikliniki Gemellego z podejrzeniem wylewu krwi do mózgu. Miał sparaliżowaną lewą stronę ciała. – Zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że jest w szpitalu. Raczej myśli, że jest w domu. Co chwila woła doktora Franco. Przyjaźnił się z nim.

– Kolejny trudny dzień – powiedział Prymas. – Wczoraj wiadomość o śmierci kardynała Filipiaka[62], dziś choroba biskupa Andrzeja. Duch Święty zawsze przychodzi jako owoc krzyża.

[61] Andrzej Deskur (ur. 1924) – krakowski ksiądz, od 1952 roku pracował w Kurii Rzymskiej. W 1974 roku Paweł VI konsekrował go na biskupa, w roku 1985 Jan Paweł II wyniósł go do godności kardynalskiej.
[62] Bolesław Filipiak (1901–1978) – od 1947 roku pracownik Roty Rzymskiej, od 1967 roku jej dziekan.

Jutro kardynałowie mieli rozpocząć konklawe mszą *De Spiritu Sancto – de eligendo Summo Pontifice*[63].

– Widziałeś artykuł w „Le Monde"? – zapytał Prymas.

– Nie czytywałem ostatnio prasy. Zbyt wiele w nich spekulacji o konklawe.

– Ale Francuz napisał mądrze. Nowy papież powinien mieć na imię Jan Paweł II, bo dzieło Jana Pawła I nie zostało dokończone.

– Ksiądz Prymas mówi o konklawe? – do rozmowy włączył się jeden z jedzących kolację kapłanów. – Czy chodzą jakieś słuchy?

– Słuchy to mają zające, po naszemu uszy, księże kanoniku – uśmiechnął się Prymas. – Ja mówię o misji przyszłego papieża.

– Niech Ksiądz Prymas i nam o tym powie – poprosił rozmówca.

Wyszyński wstał i po chwili zastanowienia powiedział:

– Wiele się mówi tu, w Rzymie, o przyszłym papieżu, wielu też modli się o dobry wybór. Stratą czasu jest zastanawianie się, kto nim będzie. Zobaczyliśmy już, że i tak Kościół jest we władzy Ducha Świętego, który „tchnie, kędy chce". Ale jeśli mamy się modlić, to musimy być konkretni. Mnie osobiście wydaje się, że powinniśmy modlić się o Jana Pawła II i że tak powinien mieć na imię przyszły papież, bowiem dzieło Jana Pawła I nie zostało jeszcze zakończone.

– A co ksiądz kardynał sądzi? – zapytał ktoś Wojtyłę. – Kim będzie nowy papież?

Pytanie jakby wyrwało go z innego świata.

– Kiedy zostanie wybrany Jan Paweł II, to się módlcie – powiedział.

[63] O Duchu Świętym – na okoliczność wyboru papieża.

11

Tych kilka głosów, które otrzymał w trzecim głosowaniu, nie zagrażało mu, ale wskazywało, że kolegium elektorów nie chce poddać się tendencji z pierwszych dwóch głosowań. W pierwszym stawiano na trzech Włochów – Siriego, Feliciego i Bertolego. W drugim głosy jeszcze bardziej się rozproszyły, natomiast w trzecim pojawiły się nazwiska kardynałów z innych krajów. W tym – Wyszyńskiego. W czwartym – to było zaskoczenie – padło nazwisko Karola. W piątym krakowski kardynał zdobył jeszcze więcej głosów. Podobnie Włoch Benelli. Pierwsi kandydaci zaczęli tracić.

Myślał o tym przy kolacji, którą jadł w towarzystwie Karola, kardynała Siriego i Johna Króla, Polaka z pochodzenia, arcybiskupa Filadelfii w Stanach Zjednoczonych.

– Eminencje – powiedział Siri. – Wśród nas jest wielu kardynałów, którzy zajmują postawę wyczekującą i nie mają swojego kandydata. Widać też wyraźnie, że nasi bracia pragną kogoś młodszego – spojrzał na Wojtyłę. Polski kardynał miał pięćdziesiąt osiem lat. Benelli pięćdziesiąt siedem. – Znam dobrze kardynała Wojtyłę i doceniam jego wybitne osiągnięcia. Sądzę, iż to nie przypadek, że jego nazwisko znalazło się wśród kandydatów.

– Jestem tego samego zdania – dodał kardynał Król. – I chętnie podzielę się nim z moimi krajanami. Zresztą oni również znają go i cenią.

Prymas słuchał i walczył z niedowierzaniem. Z tych wypowiedzi wynikało, że obaj rozmówcy są skłonni poprzeć Karola, a także przekonywać do tego innych. Nie mieściło się to w głowie. Polak papieżem? Od czterystu pięćdziesięciu z górą lat na Stolicy Piotrowej zasiadał Włoch. Prymas był przekonany, że nadal tak ma być. W końcu papież jest prymasem Italii i biskupem Rzymu, nawet nie wypada, aby był

nim cudzoziemiec. Ale ci ludzie stawiali na Karola. Fakt – Kolegium Kardynalskie miało teraz o wiele bardziej międzynarodowy charakter niż na konklawe wybierającym Pawła VI. Kardynałowie mogli być skłonni do poparcia kogoś nie tylko spoza Kurii Rzymskiej, lecz też kogoś spoza Włoch, kogoś z inną perspektywą – rozumiejącego różnorodność Kościoła i szanującego ją. Ale żeby człowiek zza żelaznej kurtyny?

Ksiądz Zdzisław Peszkowski, który mieszkał w USA, opowiadał mu kiedyś o niezwykle popularnej w Ameryce w latach sześćdziesiątych książce *Trzewiki rybaka* Morrisa Westa. Na jej podstawie nakręcono potem film. Była to – wymyślona oczywiście – historia arcybiskupa lwowskiego, który po dwudziestu latach spędzonych w sowieckich łagrach przyjeżdża do Rzymu i zostaje wybrany na papieża. Prawdziwa była inspiracja autora powieści. W latach poprzedzających jej napisanie słynna stała się postać greckokatolickiego kardynała Josyfa Slipyja, który był więziony przez Sowietów i rzeczywiście po uwolnieniu za Chruszczowa przyjechał do Rzymu. Zresztą był tu cały czas, demonstracyjnie nosił czarne szaty, aby podkreślić pamięć o prześladowanym Kościele w swojej ojczyźnie. Ale *Trzewiki rybaka* były dziełem wyobraźni autora, to zaś, co rozgrywało się na oczach Wyszyńskiego, należało do świata jak najbardziej rzeczywistego.

Nie zdawał sobie sprawy, że Karol jest tak bardzo znany. Przed konklawe, po jednej z kongregacji kardynalskich stał razem z nim, czekając na windę, i z pewnym rozbawieniem obserwował, jak purpuraci – niczym uczniowie – tłoczą się, aby zdobyć miejsce i zjechać na dół.

– Ależ przybyło nowych – powiedział wtedy – właściwie to zna się może kilkunastu.

– Właściwie to ja znam wszystkich – odparł Wojtyła.

To był praktyczny skutek podziału ich zajęć. Karol lubił jeździć i udawał się często w podróże zagraniczne, później przyjmował rewizyty. Prymas pozostawał w kraju. Dopiero teraz zobaczył, że Karol

– w Polsce zawsze idący taktownie pół kroku za nim – tu jest rozpoznawalny.

Siedział teraz naprzeciw niego, słuchając wynurzeń Siriego i Króla, a twarz miał coraz bardziej poważną, żeby nie powiedzieć: smutną. Po śmierci Pawła VI powiedział mu: „A gdyby coś takiego przyszło na człowieka?". Czy już wtedy przeczuwał? Po wyborze Lucianiego stał się radosny jak skowronek, jakby spadł z niego jakiś wielki ciężar. A potem... Ta powaga nie była spowodowana tylko chorobą biskupa Andrzeja. Nowej treści nabierały słowa, które wypowiedział w Rzymie podczas mszy w kościele polskim za zmarłego Jana Pawła I. *Drżało serce Piotra i drżało serce kardynała Albina Lucianiego, zanim przybrał imię Jan Paweł I.* Jak on to dobrze czuł... A może przeczuł... „Pójdź za Mną" – czy te trzy słowa wypowiedziane przez Jezusa do Piotra nad Jeziorem Genezaret odniósł tylko do Lucianiego? *W tym wezwaniu, skierowanym po zmartwychwstaniu Chrystusa do Szymona Piotra, Chrystusowy rozkaz: „Ty pójdź za Mną", ma podwójne znaczenie. Jest wezwaniem do służby i jest też wezwaniem do śmierci.*

– Już dziś więcej nie uradzimy – powiedział głośno Prymas. – Jutro wspominamy świętą Jadwigę Śląską, patronkę środkowej Europy, także patronkę katedry w Berlinie. Przypomnę o tym braciom kardynałom.

12

Co za profan mógł to zrobić arcydziełu Michała Anioła? W samym centrum monumentalnego fresku *Sąd Ostateczny* znajdowała się postać Chrystusa, a obok niego Najświętsza Panienka, której nogi spowijał błękitny muślin, najpewniej domalowany później. Nagości na fresku Buonarrotiego nie gorszyły Prymasa, przecież zamierzeniem artysty było przygotować widzów do nowego życia po

zmartwychwstaniu ciał, w całej chwale. Sam Bóg się nie zgorszył, skoro nie wzgardził Panny łonem.

Wielbię Ciebie, Matko Boga Człowieka, w całej Twej chwale świętej Bożej Rodzicielki.

Niemożliwe stawało się coraz bardziej realne. Po drugim porannym głosowaniu Karol dostał najwięcej głosów. Wciąż za mało, aby uzbierało się wymagane dwie trzecie, ale kierunek został wyznaczony. Kardynał Franz König z Wiednia intensywnie rozmawiał z niezdecydowanymi. Król także. Niemcy również byli skłonni poprzeć Polaka. Niemcy! Czy to nie paradoks? Na pewno świeża pamięć wizyty w RFN odegrała tu wielką rolę.

Karol wyglądał jak człowiek, na którego wtaczają wielki głaz. W jego oczach dostrzegł to samo błagalne spojrzenie, jakie widział przed dwudziestu laty w oczach młodego księdza z Krakowa, który dowiadywał się, że ma zostać biskupem. Podszedł do niego przed popołudniowym głosowaniem – czuło się w powietrzu pewność, że okaże się ono decydujące.

– Jeżeli wybiorą, proszę nie odmawiać. Dla Kościoła i dla Polski.

– Dziękuję – odparł cicho – bardzo mi Ksiądz Prymas pomógł.

Kardynałowie wypełniali karteczki. On również wpisał nazwisko swojego kandydata. Odwrócił się do Karola, który siedział za nim. – Gdyby księdza kardynała wybrano, proszę pomyśleć, czy nie przyjąć imienia Jana Pawła II. Dla włoskiej opinii publicznej byłoby to pomnożenie tego kapitału duchowego, który zebrał Jan Paweł I.

– Myślałem o tym – odpowiedział.

Prymas skinął głową.

Deo gratias!

– Wojtyla! – usłyszał.

Wszystkie kartki zostały już zebrane. Na ilu z nich jest Karol?

– Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Siri! Wojtyla! Benelli! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Benelli! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Benelli Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla! Wojtyla!

Prymas przeniósł wzrok z postaci Maryi w dół i na lewo. Ten fragment fresku Buonarottiego był mu jakoś szczególnie bliski. Anioł wyciąga na różańcu dwóch ludzi z przepaści. Ćwierć wieku temu, w ów wieczór, gdy został aresztowany, był u Świętej Anny. Wychodząc z wieczerzy, mówił o tym obrazie i prosił, aby modlić się za niego na różańcu. Zawsze był przekonany, że ta modlitwa posiada moc wyciągnięcia człowieka z każdej otchłani.

Kaplicę Sykstyńską wypełniła burza oklasków. Zdecydowana, bardziej niż zdecydowana większość wskazała na Wojtyłę.

Stanął przed nimi kardynał Jean Villot. Ten sam Villot, który ostatnio przysporzył mu tyle zmartwień w związku z odwlekaną ponad miarę nominacją na stolicę arcybiskupią w Poznaniu. Przed rokiem umarł Antoni Baraniak, osieracając diecezję po dwudziestu latach rządów. Szkoda, że nie doczekał dzisiejszego dnia człowiek, który był świadkiem przepowiedni kardynała Hlonda – zwycięstwo, gdy przyjdzie, przyjdzie przez Maryję.

Villot spojrzał ponad niego – na Karola.

– Czy przyjmujesz? – zapytał.

– W posłuszeństwie wiary wobec Chrystusa, mojego Pana, zawierzając Matce Chrystusa i Kościoła, świadom wielkich trudności, przyjmuję.

Oklaski rozbrzmiały z nową siłą.

– Jakie imię chcesz nosić?

– Jan Paweł II.

Karol ciężkim krokiem podążył w stronę pokoju łez. Tam czekały na niego trzy sutanny w różnych rozmiarach. Czy wpasuje się w którąś z nich?

Kiedy wrócił, wyglądał już inaczej.

„Pogodzony z losem" – to nie byłoby dobre określenie. On był po prostu na swoim miejscu.

– Nie, nie będę siadał, przyjmę moich braci na stojąco – powiedział, gdy kardynałowie ustawiali się w kolejce, aby złożyć mu homagium[64]. Prymas podszedł jako jeden z pierwszych. Silne ręce Karola przygarnęły go do siebie. Nie wytrzymali. Z ich oczu popłynęły łzy.

– Od dziś, każdego dnia wieczorem – powiedział, z trudem panując nad głosem – na Jasnej Górze będzie odprawiana msza święta w kaplicy Cudownego Obrazu – za Jana Pawła II. Ojciec Święty ma wprowadzić Kościół w trzecie tysiąclecie.

Powrócił na swoje miejsce.

– Eminencjo.

Podniósł głowę. To był König. Wstał.

– To wielki dzień dla Polski. Proszę przyjąć najszczersze gratulacje.

Cierpienia i upokorzenia zostały nagrodzone chwałą.

Odpowiedział słowami *Magnificat: exaltavit humiles*[65]

Za arcybiskupem Wiednia ustawiali się kolejni kardynałowie.

– *Deus exaltavit humiles* – powtarzał kolejnym gratulującym.

[64] Homagium (łac.) – hołd kardynałów składany papieżowi; symbolizuje poddanie się jego władzy.

[65] exaltavit humiles (łac.) – wywyższa pokornych; całość tej części Magnificat brzmi: Fecit potentiam in brachio suo, / dispersit superbos mente cordis sui ;/ deposuit potentes de sede / et exaltavit humiles (On przejawia moc ramienia swego, rozprasza pyszniących się zamysłami serc swoich. Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych).

13

Ksiądz Bronisław Piasecki, kapelan prymasa Wyszyńskiego, stał przy liczącym dwa tysiące lat egipskim obelisku znajdującym się w centrum placu Świętego Piotra i wypatrywał dymu znad Kaplicy Sykstyńskiej. Z tym dymem było niemałe zamieszanie – zdarzyło się, że wyleciał z komina piętnaście minut przed czasem, ale jeszcze gorsze było to, że nie można było rozpoznać jego koloru. Dym pochodził z palonych kartek z głosami. Czarny dym oznaczał, że papieża jeszcze nie wybrano, biały zwiastował wybór. Kłopot w tym, że w czasie październikowego konklawe kilka razy wydawało się, że leci biały dym, i dopiero komunikat Radia Watykańskiego studził emocje i wyjaśniał, że tak naprawdę jest to dym czarny.

Zobaczył. I on, i pewnie wiele innych osób dokoła zastanawiało się znowu, jaki to kolor.

– *È bianco!* – ktoś krzyknął.

Tak, nie było już wątpliwości. Biały dym! Papież został wybrany!

– Ciekawe kto to – zagadnęła stojąca obok zakonnica.

– *Un nero*, Murzyn – odpowiedział Piasecki.

– O nie, to niemożliwe – krzyknęła druga.

– Czemu nie? A czy to Murzyn gorszy jest od białego kardynała?

Każdy może zostać wybrany.

Zerknął na zegarek. Minęło wpół do siódmej. Na plac wmaszerowali gwardziści szwajcarscy. Pojawiła się też orkiestra armii włoskiej. Wyglądali imponująco w swoich wielkich czapkach przyozdobionych piórami. Spojrzał znowu w stronę loggii Bazyliki. Zobaczył ruch olbrzymich kurtyn zakrywających balkon. Tak, podnoszą się. Na placu rozległy się oklaski. Drzwi balkonowe uchyliły się, ale... nikt się nie pojawił.

Minuty dłużyły się niemiłosiernie. Wreszcie drzwi otwarły się na oścież. Ksiądz Bronisław usłyszał głos kardynała Periclego Feliciego. *Annuntio vobis gaudium magnum*[66].

Oklaski. Mocne oklaski i głośne okrzyki. Napięcie oczekiwania powoli znajdowało swoje ujście.

Habemus Papam:

Ludzie zaczęli z całych sił bić brawo.

Eminentissimum ac Reverendissimum Dominum,
Dominum Carolum Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinalem
Napięcie sięgnęło zenitu. Felici zrobił pauzę.
Cardinalem Wojtyła, qui sibi nomen imposuit Ioannem Paulum Secundum!

Tłum zamarł. Na placu zaległa cisza. Piasecki uświadomił sobie, że w tej kilkudziesięciotysięcznej rzeszy jest jedną z nielicznych osób, którym nieobce jest nazwisko nowego papieża. Jedno było pewne – pochodzi z zagranicy, po raz pierwszy od prawie pięciu wieków kardynałowie wybrali nie-Włocha. Dlaczego? Co się stało? I kim okaże się dla nas ten *straniero* – cudzoziemiec?

Stojące obok siostry spojrzały na księdza.

– Czy to rzeczywiście Murzyn? – zapytała jedna z nich.

Piasecki z wielkim uśmiechem pokręcił przecząco głową. Był zbyt wzruszony, nie mógł jeszcze wydobyć z siebie słowa.

– Azjata?

– Nie, to Polak, arcybiskup Krakowa – powiedział wreszcie.

– Polak? – w tym pytaniu było tyle zdziwienia i niezrozumienia, że ksiądz zaczął się poważnie zastanawiać, jak ten tłum przyjmie nowego

[66] Annuntio vobis gaudium magnum (łac.) – Ogłaszam wam radość wielką

papieża. Kiedy usłyszał nazwisko „Wojtyła", napełniła go wielka radość pomieszana z dumą. Polak papieżem! A Ojciec? Co on przeżywa w tej chwili? Miał siedemdziesiąt siedem lat i szykował się do odejścia. Karol wydawał się naturalnym kandydatem, aby go zastąpić. Teraz wszystkie te rachuby zostały obrócone wniwecz. A z drugiej strony – jakież to wywyższenie dla Kościoła w Polsce, którym kierował od trzydziestu lat.

Szli wspaniałymi korytarzami, które przemierzał tyle razy, idąc na spotkania z kolejnymi papieżami: Piusem XII, Janem XXIII, Pawłem VI i ostatnio Janem Pawłem I. Karol maszerował energicznie, może trochę za szybko, jakby mu się spieszyło na spotkanie z tłumem, który czekał na placu Świętego Piotra. Prymas poczuł różnicę lat. Wiek dał mu jednak miejsce wśród pozostałych dwóch kardynałów: Siriego i Légera, którzy zostali zaproszeni na balkon centralny Bazyliki. Byli „dziadkami" Jana Pawła.

– *Sia lodato Gesù Cristo!*[67]

Zaczął więc tak, jak zaczyna się w Polsce. W Italii to pozdrowienie stosowane było stosunkowo rzadko. Niektórzy na szczęście znali odpowiedź.

– *Sempre sia lodato*[68].

– *Carissimi fratelli e sorelle, siamo ancora tutti addolorati dopo la morte del nostro amatissimo Papa Giovanni Paolo I. Ed ecco che gli Eminentissimi Cardinali hanno chiamato un nuovo vescovo di Roma. Lo hanno chiamato da un paese lontano... lontano, ma sempre così vicino per la comunione nella fede e nella tradizione cristiana. Ho avuto paura nel ricevere questa nomina, ma l'ho fatto nello spirito*

[67] Sia lodato Gesù Cristo! (wł.) –Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
[68] Sempre sia lodato (wł.) – Na wieki wieków.

dell'ubbidienza verso Nostro Signore Gesù Cristo e nella fiducia totale verso la sua Madre, la Madonna Santissima. Non so, se posso bene spiegarmi nella vostra... nostra lingua italiana. Se mi sbaglio, mi corriggerete[69].

Pomylił się! Ale jak cudowna była to pomyłka. Zamiast correggete powiedział corriggerete. Ludzie oszaleli z radości.

Ci Włosi! Myślał, że nigdy nie przyzwyczai się do tych obyczajów okrzyków, oklasków, nawet wtedy, gdy są w kościele. Ale teraz... Był gotów zrobić to samo. Nigdy nie widział podobnej eksplozji najlepszych ludzkich uczuć. Usłyszał coraz głośniejsze okrzyki:

– *Polonia! Polonia! Polonia!*

E così mi presento a voi tutti, per confessare la nostra fede comune, la nostra speranza, la nostra fiducia nella Madre di Cristo e della Chiesa, e anche per incominciare di nuovo su questa strada della storia e della Chiesa, con l'aiuto di Dio e con l'aiuto degli uomini[70].

Kiedy wracali, podszedł do Prymasa jeden z kardynałów.

– Co na to powiedzą władze komuniyczne?

– Będą zadowolone, że właśnie z komunistycznej Polski wyszedł papież.

Edward Gierek podszedł do biurka i podniósł słuchawkę, przerywając natarczywy dźwięk telefonu. Słuchał przez chwilę.

[69] Najdrożsi bracia i siostry, jesteśmy jeszcze wszyscy pogrążeni w bólu po śmierci ukochanego papieża Jana Pawła I. I oto najczcigodniejsi kardynałowie powołali nowego biskupa Rzymu. Wezwali go z kraju dalekiego. Dalekiego, ale zawsze tak bliskiego przez wspólnotę wiary i tradycji chrześcijańskiej. Bałem się przyjąć ten wybór, ale zrobiłem to w duchu posłuszeństwa Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi i w całkowitym zaufaniu do Jego Matki, Najświętszej Maryi Panny. Nie wiem, czy będę umiał dobrze wysłowić się w waszym naszym języku włoskim. Gdybym się pomylił, poprawcie mnie.

[70] Oto staję przed wami, aby wyznać naszą wspólną wiarę, naszą nadzieję i naszą ufność w Matkę Chrystusa i Matkę Kościoła, a także rozpocząć od nowa tę drogę historii i Kościoła – rozpocząć z pomocą Boga i z pomocą ludzi.

– Jezus Maria! – krzyknął. – Tak, rozumiem, dobrze. No cóż, może to i racja. W każdym razie to wielkie wydarzenie dla narodu polskiego i duże komplikacje dla nas.

Dzwonił Kąkol. Wojtyła został wybrany papieżem. Jak zareagują na to towarzysze w Moskwie? Towarzysz Breżniew wścieknie się, jeszcze dostanie zawału. Hm. Pocieszenie Kazimierza, który mówi, że lepszy Wojtyła jako papież tam niż jako prymas tu, może ma ręce i nogi? W końcu to sukces Polski, która od trzech z górą dekad buduje ustrój socjalistyczny.

Syknął z bólu. Znowu te korzonki.

14

Komunikat Stanisława, który zadzwonił do księdza Bronisława, był krótki: „Ojciec Święty prosi na obiad Księdza Prymasa z przyległościami". „Przyległości" – czyli on! Miał zasiąść przy papieskim stole!

Kilkanaście godzin po wyborze usiedli we czterech: Jan Paweł II, Prymas, Stanisław Dziwisz i Bronisław Piasecki.

– No, Bronek – powiedział Papież. – Boję się, że już nie będziesz miał okazji wybić mi palca. Z siatkówką chyba koniec.

Kontuzja, która zdarzyła się Wojtyle w czasie ostatniego pobytu w Fiszorze, nie była jedyna. Kiedyś zranił się w dłoń, usiłując sforsować zamkniętą bramę. Przyjechał późno, brama była zamknięta, spróbował ją przeskoczyć. Udało się, ale przy okazji przebił sobie dłoń jakimś wystającym z furtki bolcem. Czy ktokolwiek się dowie, że przyszły następca Piotra z przebojowością nastolatka przeskakiwał płot? Zupełnie nie pasowało to do wyobrażeń o księciu Kościoła, a tym mniej o następcy Piotra zamkniętym za Spiżową Bramą.

– Ojcze, jak to jest być papieżem? – zapytał Piaseck, ośmielony familijną atmosferą obiadu. Siedzieli przy stole tylko we czterech: Wojtyła, Wyszyński, Dziwisz i on.

Papież spojrzał na niego poważnie. Stuknął kilkakrotnie dłonią w oparcie fotela.

– Tak się czuję, jakbym tu siedział dwadzieścia lat – powiedział.

– Ojciec Święty zna doskonale Watykan – dodał Prymas.

– Oj, wiele się muszę nauczyć, już dzisiaj się naraziłem, bo poprosiłem, żeby mnie po południu zawieźli do Andrzeja. Okazuje się, że papieżowi nie wolno do inauguracji opuszczać Pałacu Apostolskiego.

– I nie pojedzie Ojciec?

– Żartujecie. Oczywiście że pojadę. Za godzinę mają podstawić limuzynę dla papieża.

– A do Polski Ojciec Święty też pojedzie? – zapytał Prymas.

– Nie czekając na zaproszenie, przecież mam paszport. Co prawda, tylko turystyczny, bo dyplomatyczny zabrali mi za karę komuniści, ale wystarczy. Poważnie mówiąc, nie wyobrażam sobie, żebym nie mógł przyjechać. Na przykład na Świętego Stanisława. Przecież w przyszłym roku mamy dziewięćsetlecie. A wiecie, że mam już pierwsze zaproszenie? Kardynał Lorscheider[71] chce, żebym pojechał do Meksyku na konferencję biskupów Ameryki Łacińskiej. Naturalnie, wybieram się do nich.

Ksiądz Stanisław chrząknął znacząco.

– Stasio na szczęście zgodził się dzielić ze mną to wygnanie i robić to samo, co robił w Krakowie – to znaczy pilnować, żebym się nie spóźniał. Tu muszę się bardziej starać, prawda, Stanisławie?

Podnieśli się z krzeseł.

[71] Aloísio Leo Arlindo Lorscheider (1924–2007) – arcybiskup Fortalezy i Aparecidy w Brazylii, przewodniczący CELAM – Konferencji Episkopatów Ameryki Łacińskiej.Prymasa w ostatnim okresie jego życia.

– *Dziękujemy Ci, Panie Boże, za ten posiłek, dar Twojej świętej Opatrzności* – powiedział papież i przeżegnał się. Uścisnął dłonie swoich gości i skierował się do wyjścia.

1978, grudzień

15

– Pan minister domyśla się celu mojej wizyty? – zapytał ksiądz Alojzy Orszulik.

Siedział w gabinecie kierownika Urzędu do spraw Wyznań. Kazimierz Kąkol patrzył na niego badawczo. Od powrotu Prymasa z Rzymu Kąkol był nieustannie atakowany w sprawie wizyty Jana Pawła II w Polsce. Wyszyński nie ustępował. W końcu episkopat wydał komunikat o tym, że papież pragnie odwiedzić ojczyznę. Partia sobie tego nie wyobrażała. A nawet jeśli, to wiadomo było, że z Moskwy można spodziewać się jednego: *niet*.

– Proszę księdza – powiedział Kąkol – w ostatnich tygodniach mówi się tylko o jednym. Ksiądz jednak zna stanowisko władz, po cóż zatem wracać do tego tematu?

– Panie ministrze, przychodzę tutaj jako delegat Księdza Prymasa i w jego imieniu chciałbym przekazać panu jego uwagi.

– Zdanie Księdza Prymasa zawsze szanujemy – oświadczył Kąkol.

Oczyma wyobraźni zobaczył ich dwóch: Wyszyńskiego i Wojtyłę, na ulicach Warszawy lub – jeszcze gorzej – Krakowa w czasie uroczystości Świętego Stanisława. Ta ich demonstracyjna jedność najcierpliwszego mogła wyprowadzić z równowagi. Tyle lat zabiegów, nadziei na skłócenie dwóch kardynałów i nic. Przykro było widzieć ich

w Rzymie na inauguracji pontyfikatu. Wyszyński podchodzi do Jana Pawła i całuje go w rękę, Papież zrywa się z tronu, chwyta rękę Prymasa i przyciska ją do ust. Kąkol miał nadzieję, że jest to pożegnanie, a oni chcą się znowu spotkać, i co gorsza, w Polsce! Niechby sobie Prymas jeździł do Rzymu nawet co miesiąc, mogą mu zafundować regularny bilet w Locie, ale niech nie ściąga Wojtyły do Polski!

– Widzi pan – ciągnął Orszulik – Ksiądz Prymas obawia się, że prędzej czy później stanowisko władz w sprawie przyjazdu Ojca Świętego może się przedostać do opinii publicznej. Trudno wtedy będzie dziwić się Polakom, którzy mogą poczuć spore rozgoryczenie.

– No cóż, nie można chcieć wszystkiego. Trzeba się cieszyć, że Polak jest papieżem. To na razie powinno nam wystarczyć. Trudno zaraz chcieć go u siebie.

– Hm, czy nie sądzi pan jednak, że naród musiał ostatnio rezygnować ze zbyt wielu rzeczy? Sytuacja ekonomiczna nie jest najlepsza, Ksiądz Prymas obawia się, że zamknięcie papieżowi wjazdu do Polski może wywołać kolejne niepokoje i trudności.

Kąkol uważnie spojrzał na Orszulika. Szantaż? Nie odważy się powiedzieć tego głośno, ale tak to wyglądało.

– Poza tym – ciągnął ksiądz – roztropność nakazuje pomyśleć o reakcjach międzynarodowych. Gdy wiadomość przedostanie się do prasy światowej, zaufanie do Polski spadnie. Wie pan, jak ważny to czynnik, szczególnie w kręgach finansowych. Jeśli zaczną się utrudnienia w uzyskaniu kredytów i innej pomocy, to pierwszy sekretarz może znaleźć się w trudnej sytuacji.

– Ksiądz wybaczy, ja nie zajmuję się polityką międzynarodową i odpowiedź na te sugestie wykracza poza moje kompetencje.

– Ależ ja nie spodziewam się tej odpowiedzi. Chciałem po prostu wskazać na ważne, naszym zdaniem, czynniki. W końcu wszystkim zależy na spokoju, pomyślności i dobrobycie Polski. Może najlepiej

będzie, jak Ksiądz Prymas spotka się z panem Gierkiem i osobiście omówią tę sprawę?

Kąkol odetchnął. Ta sprawa przekracza co prawda kompetencje nie tylko jego, ale i towarzysza Edwarda, lepiej jednak, żeby to on się z tym zmagał. Wątpliwe jednak, czy da sobie radę z Prymasem.

– Porozmawiam z towarzyszem pierwszym sekretarzem.

Kochany Księże Prymasie!

Wprowadziłeś, ty, niestrudzony sługo Ludu Bożego, ty, niestrudzony, niezmordowany miłośniku i służebniku Pani Jasnogórskiej, wprowadziłeś w program swojego prymasowskiego pasterzowania odwiedziny papieża w Polsce.

Księże Prymasie! Pozwól mi tylko to jedno jeszcze powiedzieć, że ci się spełnia — i ja za to Bogu dziękuję — że ci się spełnia ten punkt twego odważnego, bohaterskiego programu, duszpasterzowania w Polsce i w świecie współczesnym! / **Jan Paweł II**

1979, czerwiec

16

Upał trochę zelżał, choć od kamiennych płyt na placu Zwycięstwa wciąż biło gorąco. Prymas po raz ostatni spojrzał na krzyż, na którym zawieszona była wielka stuła, i wsiadł do samochodu. Obok zajął miejsce ksiądz Piasecki. Otarł chusteczką pot z czoła i pomyślał

o czekających w domu zimnych napojach. Pierwsza msza papieska na polskiej ziemi odbyła się przy temperaturze około trzydziestu stopni Celsjusza.

– Bronku, o czym myślałeś w czasie tej liturgii? – pytanie Prymasa zaskoczyło go.

Zaczął gorączkowo szukać odpowiedzi. Bo też nie miał wątpliwości, że wydarzyło się coś niezwykłego. Papieska homilia była przejmująca i budziła tak żywe reakcje: burzliwe owacje, gdy Jan Paweł II mówił o prawie Polaków do Chrystusa, chóralne śpiewy *My chcemy Boga, my poddani, On naszym Królem, On nasz Pan* – czegoś takiego jeszcze nie było nawet podczas uroczystości milenijnych. I te ostatnie słowa kazania, wypowiedziane przejmująco, jak modlitwa: *I wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja: Jan Paweł II papież, wołam z całej głębi tego tysiąclecia, wołam w przeddzień święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!*

– Ojcze, to wszystko było niezwykłe, trudno tak... – zaczął, ale Prymas jakby nawet nie oczekiwał zbyt obszernej odpowiedzi.

– Bo wiesz – powiedział – ja myślałem o tym, jak my tutaj walczyliśmy z Ruskimi.

Piasecki zrobił wielkie oczy. Z tego, co wiedział, Prymas nie brał udziału w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, poza tym wojska sowieckie nie weszły wtedy do Warszawy.

– Za caratu chodziłem tędy do szkoły, do Gimnazjum Górskiego – wyjaśnił Prymas. – To była jedyna szkoła z wykładowym polskim. Przy placu – wtedy nazywał się placem Saskim – znajdowała się wielka pryzma piachu. W Warszawie stacjonował silny garnizon rosyjski, było dużo rosyjskich dzieciaków – dzieci oficerów. I my toczyliśmy z nimi bitwy o zdobycie tej pryzmy piachu, o utrzymanie szczytu. Albo my ich

stamtąd ściągaliśmy, albo oni nas. Raz to mi nawet rękaw od marynarki urwali i ciotka musiała przyszywać.

Ksiądz nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Przed chwilą skończyła się msza papieska, wkrótce usiądą do wieczerzy z Janem Pawłem II, a Prymasowi zebrało się na wspominki z dzieciństwa.

– Jak tak siedziałem i słuchałem Ojca Świętego, patrzyłem na ten krzyż, to po prostu nie mogłem się nadziwić Bożej Opatrzności – ciągnął Kardynał. – Człowiek już jest stary, tyle rzeczy w życiu widział, tyle doświadczył, a Pan Bóg ciągle zadziwia. Nie byłby Panem Bogiem, gdyby tego nie robił.

– Trzeba jeszcze umieć to dostrzec – ksiądz Bronisław pozwolił sobie na ostrożną uwagę.

– Jak można nie dostrzec czegoś takiego! Przecież tu stała olbrzymia cerkiew z wysoką dzwonnicą. Car kazał ją postawić po powstaniu styczniowym na znak rosyjskiego panowania w Warszawie. A teraz, w tym samym miejscu, gdzie stał ołtarz prawosławnego soboru, mszę świętą odprawia papież Polak. Nikt tego naprzód nie mógłby wymyślić!

– Ani tego, że plac Zwycięstwa, nazwany tak dla uczczenia wygranej Armii Czerwonej, stanie się świadkiem publicznej mszy przez niego odprawionej – dodał już bardziej pewnie ksiądz Bronisław.

Dojeżdżali do Miodowej. Wszędzie tłumy. Na chodniku naprzeciwko roiło się od ludzi. Tak licznej gromady Prymas nie widział na ulicach Warszawy od Milenium. No i przedtem – gdy wrócił z Komańczy.

nazajutrz

Obudził go śpiew ptaków za oknem. Musiała dochodzić czwarta. Odbył tradycyjną pielgrzymkę duchową do maryjnych sanktuariów. Nieco dłużej modlił się do Matki Bożej Ostrobramskiej.

Miejmy nadzieję,
że Duch Święty
dmuchnie
solidnie,
zresztą
już się
to czuje.

Pomyślał o kardynalskiej piusce Karola, którą ten, wieczorem po ogłoszeniu wyników konklawe, włożył do kieszeni sutanny, a potem przekazał do Wilna. Pobiegł myślą na Jasną Górę. *Już się przygotowujesz, Matko, jutro ten dzień – Twój dzień – jak dobra gospodyni masz już wszystko gotowe na przyjęcie gościa, którego znasz tak dobrze, ale który przybywa do Ciebie pod nowym imieniem. Przyjmiesz go godnie, wiem o tym.*

Od wczoraj trwało wielkie święto. Jan Paweł II wylądował na Okęciu o dziesiątej rano. Przejazd ulicami Warszawy przypominał triumfalny wjazd zwycięskiego wodza rzymskiego po powrocie z wygranej kampanii wojennej. Tyle że ten wódz nie składał hołdu cesarzowi, lecz raczej to „cesarzowi" drżały łydki, gdy przemawiał w Belwederze. Potem ta msza na placu. W pierwszej chwili był zaskoczony, a nawet nieco zażenowany, że ludzie jakby robili wiec z liturgii. Te oklaski, te śpiewy, długie, kilkunastominutowe. Dobrze, że przynajmniej były to śpiewy religijne. Ale Karol wczuł się jakoś w ten nowy styl, który chyba specjalnie go nie zaskoczył. Powiedział mu potem, że w Meksyku reagowano jeszcze bardziej spontanicznie, a przecież jest to bardzo pobożny lud.

Dzisiaj program też był bardzo napięty. O siódmej rano papież miał się spotkać z młodzieżą, a potem odlecieć do Gniezna.

Prymas wstał. Po porannej toalecie poszedł od razu do kaplicy. Na progu zobaczył szerokie bary Karola odzianego w białą sutannę. Klęczał po prawej stronie, w ławce, naprzeciwko witraża, na którym znajdował się Jan Chrzciciel, patron warszawskiej katedry. Wyszyński ukląkł za nim.

Potrzeba, by on wzrastał, a ja się umniejszał.

Słowa Jana Chrzciciela przekazane przez jego ucznia Jana Ewangelistę wyrażały całą istotę misji człowieka posłanego, aby przygotować misję Jezusa. Od spotkania dwóch brzemiennych matek – Maryi i Elżbiety, przez chrzest pokuty w rzece Jordan po śmierć męczeńską na rozkaz

króla Heroda Antypasa – Jan Chrzciciel poprzedzał Chrystusa i zapowiadał Jego nadejście. Był taki czas, że to wokół niego gromadzili się Izraelici, przychodzili licznie nad rzekę Jordan, aby obmyć się w jej wodach, aż nadszedł dzień, gdy pojawił się Jezus. Z prawdziwą pokorą poprosił Jana, by ten udzielił Mu chrztu. Chrzciciel wzbraniał się. *Nic dziwnego. Sam głosił: Idzie za mną mocniejszy ode mnie, a ja nie jestem godzien, aby się schylić i rozwiązać rzemyk u Jego sandałów. Ja chrzciłem was wodą, On zaś chrzcić was będzie Duchem Świętym.*

Karol zawsze szedł za nim, chował się w jego cieniu, po to by teraz rozbłysnąć jak gwiazda nie tylko w Polsce, ale w całym Kościele. Wszystko się wypełniło. On ma wzrastać, a ja się umniejszać. Iść pół kroku za nim, póki starczy sił, a sił było coraz mniej.

Dziękuję Ci, Matko, że mnie ocaliłaś, że dałaś mi jeszcze dożyć dzisiejszego dnia, Oblubienico Ducha Świętego.

Po wczorajszej mszy, sprawowanej w przeddzień uroczystości Zesłania Ducha Świętego, znowu poczuł się mały. Tak jak wtedy, gdy głosy kardynałów zaczęły wskazywać na Karola. On wchodził na konklawe przekonany, że papieżem powinien zostać Włoch. Mylił się. Podobnie mylił się, gdy ustalano szczegóły pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Władze panicznie bały się terminu majowego, związanego z uroczystościami Świętego Stanisława. Papież zaproponował, że przyjedzie na początku czerwca, najlepiej w okolicy Zesłania Ducha Świętego. Prymas był zdania, że lepsza byłaby końcówka miesiąca – okolice dwudziestego czwartego, czyli na Świętego Jana Chrzciciela. Ale Jan Paweł II był odmiennego zdania. Wtedy młodzież wyjeżdża na wakacje – powiedział biskupowi Dąbrowskiemu – zorganizujmy to wokół trzeciego lub dziesiątego czerwca. I tak się stało.

Po wczorajszej mszy na placu zrozumiał, że była to decyzja opatrznościowa. Dziś, w Zesłanie Ducha Świętego, pojadą do Gniezna, do źródeł chrztu. Wcześniej Jan Paweł II spotka się z młodzieżą pod

kościołem Świętej Anny. Pod tym samym kościołem, w którym on odprawił ostatnią mszę przed aresztowaniem. Nikt tego naprzód nie mógłby wymyślić! Jak wiele razy jeszcze w czasie tej pielgrzymki będzie powtarzał te słowa?

Do papieża podszedł ksiądz Stanisław. Karol często zapominał o upływie czasu, gdy rozmawiał z Bogiem. O czym mówił Mu teraz?

Wstali z kolan i wyszli z kaplicy. Skierowali się do schodów wiodących na parter. Ćwierć wieku temu agenci UB prowadzili go tą samą drogą do samochodu, który miał go zawieźć do Rywałdu. Jaki szaleniec miałby odwagę wtedy powiedzieć, że tymi schodami będzie szedł następca Piotra – i w dodatku Polak?

17

– Bałem się, że Ksiądz Prymas na mnie nakrzyczy – powiedział papież, gdy helikopter oderwał się od płyty placu Zwycięstwa i wziął kurs na Gniezno – wczoraj oklaski, dzisiaj oklaski. Myślałem, żeby ich wczoraj powstrzymywać, ale się nie dało.

– Ojciec Święty bardzo dobrze wyłożył to dziś młodzieży – odparł Kardynał. – „Będą razem ze mną mówić to kazanie". Myśl od Ducha Świętego. Nic dodać, nic ująć. Poza tym papież jest przecież Najwyższym Pasterzem. Co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie, a co zwiążesz na ziemi będzie związane w niebie.

– Szczególnie papież musi być posłuszny. A ja zawsze dobrze wychodziłem na tym, jak słuchałem się Księdza Prymasa.

– Na stare lata człowiek wciąż się uczy. I dziś też nauczyłem się, że trzeba dać ludziom głos. Jeśli gdzie indziej nie mogą się wypowiedzieć, to niech przynajmniej uczynią to w Kościele. Ojciec Święty ma rację. To społeczeństwo stało się jakimś narodem teologicznym.

W czasie spotkania z młodzieżą papieżowi wielokrotnie przerywano przemówienie. W pewnym momencie przerwał czytanie tekstu i powiedział:

– *Moi drodzy, ja już od wczoraj myślę nad tym, co znaczą te oklaski. Wczoraj, wczoraj naprzód pomyślałem sobie: „Powiedz im, żeby dali spokój, bo nie skończymy". Dziś powinienem to samo powtórzyć. Ale wczoraj pomyślałem sobie: „Poczekaj". Przyszła mi taka myśl, myślę, że przyszła od Ducha Świętego: „Poczekaj, będą z tobą razem mówić to kazanie". Bo wcale nie jest takie interesujące to, że klaszczą, że biją brawo, tylko kiedy biją brawo. Otóż dzisiaj ta myśl idzie za mną dalej. Oczywiście naprzód ta myśl, że się prawdopodobnie spóźnimy do Gniezna. Ale nie tylko ta jedna myśl. Nie tylko ta jedna myśl. Kiedy biją brawo? Wczoraj, kiedy powiedziałem „Chrystus", przez piętnaście minut bili brawo. Dzisiaj, kiedy powiedziałem „Duch Święty", może trochę krócej, bo jeszcze, jak mówi Pismo Święte, nie całkiem się obudzili, ale w każdym razie bili. Choćbyście nie wiadomo jak bili brawo, ja tę myśl muszę skończyć. Otóż, co ja sobie pomyślałem dzisiaj rano? Pomyślałem sobie: Co się dzieje z tym społeczeństwem? Co się dzieje z tym społeczeństwem? Stało się jakimś społeczeństwem teologicznym.*

– Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie szkoła Milenium i nawiedzenia Obrazu Matki Bożej – powiedział Jan Paweł II. – W każdym razie na naszych oczach dzieje się Pięćdziesiątnica. Apostołowie przemawiają do tłumów, a tłumy – głodne Boga – słuchają apostołów. Jak w Jerozolimie.

18

Uścisnął go mocno, serdecznie, po ojcowsku.

– Kazimierz, historia się tworzy – powiedział.

– Tak, Ojcze – Kazimierz Majdański, niegdyś kleryk seminarium włocławskiego, potem więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, teraz biskup pomocniczy we Włocławku, odwzajemnił uścisk Prymasa.

Wydawało się jakby to było wczoraj. Wyprawa na wschód, powrót do Włocławka, wyjazd Księdza Profesora i ich aresztowanie. Wszystko to wydarzyło się czterdzieści lat temu. A teraz w Gnieźnie witali Jana Pawła II. W refektarzu Pałacu Prymasowskiego biskupi siadali do kolacji.

Dzień Zielonych Świątek w pierwszej stolicy Polski dobiegał końca. Prymas zastanawiał się, jak władze przyjmą śmiałe słowa papieża o dwóch płucach Europy – tym wschodnim i tym zachodnim. Zaledwie wczoraj Jan Paweł II stanął na polskiej ziemi i już mnożyły się pełne niepokoju sygnały od rządu. Po co papież wspominał na placu Zwycięstwa o niedoszłej do skutku wizycie Pawła VI w Polsce? Dlaczego mówił o powstaniu warszawskim i rozdrapywał zabliźnione już rany? Przecież brzmiało to jak czysta prowokacja wobec Związku Radzieckiego.

– Ksiądz Prymas też uważa, że posunąłem się za daleko? – zapytał papież, popijając herbatę.

– Głowa Kościoła jest suwerenna w tym, co mówi i czyni – odpowiedział dyplomatycznie Wyszyński. Może w innych okolicznościach sam by sugerował łagodniejszy język, ale nie jemu, nie tu, nie w tej chwili. – Oni są przewrażliwieni. Czują na plecach oddech Moskwy. Podobno towarzysz Breżniew zrobił Gierkowi niezłą reprymendę po zgodzie na przyjazd Waszej Świątobliwości, więc wolą na zimne dmuchać.

– Miejmy nadzieję, że Duch Święty dmuchnie solidnie, zresztą już się to czuje. Wielu rzeczy się spodziewałem, ale nie tego, że w Gnieźnie zobaczę Czechów. Nie mogłem tego pominąć milczeniem.

W czasie mszy na Wzgórzu Lecha Papież zwrócił się do Czechów, którzy pojawili się z napisem *Pamatuj, Otče, na své české deti*[72]. Ci

ludzie musieli bardzo zaryzykować. Kościół w Czechosłowacji przeszedł ciężkie prześladowania i pozostawał pod niemal całkowitą kontrolą komunistów.

– Po mszy rozpoczynającej konklawe – powiedział Prymas – modliliśmy się przez chwilę z kardynałem Tomáškiem[73] przy *Piecie* Michała Anioła. Byliśmy tylko we dwóch. Przysunąłem się do niego i powiedziałem: „Tylko Matka Najświętsza pomoże nam obronić Chrystusa dla naszych narodów". Cały się rozpromienił. Powiedział, że i on tak myśli.

– Kardynał Tomášek to dzielny człowiek. Coraz dzielniejszy. W ogóle ludzie stają się coraz odważniejsi.

– Oby nie polegało to tylko na tym, że przyjdą, pomodlą się i pośpiewają – powiedział Prymas. – Wczoraj dostałem depeszę z Paryża od pewnej Polki, która tam mieszka. Prosiła, żebym jej treść przekazał Ojcu Świętemu.

– Tak? Co pisze? – zainteresował się Papież.

– „Urodziłam córeczkę. Kobiety polskie, Ojcze Święty, zawsze są wierne Kościołowi, nawet wtedy gdy rodzą".

– Tu jest, Ojcze Święty, wyzwanie dla Kościoła w Polsce – dodał z drugiej strony Majdański – rodzina.

– Nie tylko dla Kościoła w Polsce – odparł papież. – Dlatego jesienią mam zamiar zacząć katechezy o małżeństwie i rodzinie. Ale na razie sza! To niespodzianka. W każdym razie jeśli papież zaniesie Kościołowi to, czego nauczył się tu – że trzeba pracować z młodzieżą i z rodzinami – to już będzie sukces. Chyba wypadałoby wyjść do tych młodych, co czekają.

Wstali, odmówili modlitwę dziękczynną i skierowali się do drzwi balkonowych.

[72] Pamiętaj, Ojcze, o swych czeskich dzieciach.
[73] František Tomášek (1899–1992) – arcybiskup metropolita Pragi, stolicy ówczesnej Czechosłowacji.

Na widok papieża zerwała się burza oklasków. Prymas wychylił się lekko z balkonu i wymownie przyłożył palec do ust.

– Moi kochani – powiedział Jan Paweł II. – Ja zaraz oddam głos Księdzu Prymasowi, tylko chciałem mu jeszcze przed tym powiedzieć, że takie spotkania to się zwykle przed północą nie kończą.

Rozległ się pełen aprobaty śmiech, a po nim oklaski.

– No, już teraz Ksiądz Prymas ma głos.

– Ojcze Święty! – Kardynał przysunął się do mikrofonu. – Bardzo dziękuję ci, żeś tak rozruszał młodzież, że mam oczywisty dowód, który za chwilę zamieni się w moją prośbę. Sam widziałeś, że gdy prosiłem tę młodzież, aby przestała, nie posłuchała mnie.

– Niech żyje Prymas! – rozległy się okrzyki.

– Niech żyje Prymas! – zawołał Jan Paweł II.

Cały plac wypełnił się wołaniem:

– Niech żyje Prymas! Niech żyje papież!

– Ojcze Święty! Ta młodzież jeszcze w tej chwili potwierdziła, że mnie nie słucha [śmiech i oklaski]. A więc masz oczywisty dowód, Ojcze Święty, że musisz tutaj przysłać takiego biskupa, którego będzie słuchać [głosy protestu]. I ten dowód raz jeszcze się potwierdził. Jako ostatnia deska ratunku, czy rzeczywiście będą mnie słuchać czy już nie, proponuję – zaśpiewajmy:

Góralu, czy ci nie żal, odchodzić ze stron ojczystych...

Do chóru młodych głosów, które natychmiast podjęły pieśń zaintonowaną przez kardynała Wyszyńskiego przyłączył się Jan Paweł II:

... *A góral na góry spoziera* i łzy rękawem ociera. Lecz góry porzucić trzeba. Dla chleba, Panie, dla chleba.

Epilog

Błagając o zdrowie
i siły dla Ojca Świętego

1

– Słaby jest. Bardzo. Ale chce przyjechać do Rzymu – powiedział ksiądz Stanisław Dziwisz, wychodząc razem z księdzem Piaseckim do ogrodu Domu Arcybiskupów przy Miodowej.

– Tak, często wraca do tej myśli – potwierdził ksiądz Piasecki. – Bardzo się ucieszył z zaproszenia papieża.

7 czerwca Jan Paweł II miał dokonać aktu zawierzenia Maryi z okazji jubileuszu soborów w Nicei i Konstantynopolu.

– Myślisz, że...?

Kapelan Prymasa pokręcił głową.

– To musiałby być cud. Z dnia na dzień jest gorzej. Ma coraz częściej punkcje. Ściągają mu płyn z żołądka.

– Rak?

– Tak.

– Wie o tym?

– Chyba się domyśla. Ale lekarze nie mają odwagi mu powiedzieć. Kiedy wracasz do Rzymu?

– Jutro. Pojutrze audiencja generalna. Będę potrzebny Ojcu Świętemu. Opowiem mu o Prymasie. Bardzo się o niego martwi.

– Nie dziwię się. W przyszłym roku sześćsetlecie obecności obrazu na Jasnej Górze. Chciałby doczekać. Ale liczy się z tym, że Pan Bóg zawoła go do siebie. Najważniejsze – mówi – żeby Ojciec Święty przyjechał.

– Teraz to chyba będzie łatwiejsze niż w siedemdziesiątym dziewiątym. Wprost nie mogę poznać Polski. To wolny kraj.

– Tak, wolny, ale i niespokojny. Choć ostatnio jest rzeczywiście trochę lepiej. Najgorzej było po zajściach w Bydgoszczy. Wyglądało to na prowokację. Prymas bał się, że mogą wkroczyć Sowieci.

– Teraz to nie to samo co kiedyś. Papież poruszyłby nie tylko niebo, ale i ziemię. Dzięki niemu Polska jest w centrum świata. Nie omija żadnej okazji, żeby mówić o Solidarności.

– Prymas, dopóki mógł, starał się ich hamować. Komuniści wydają się słabi, lecz to złudzenie. W ich ręku nadal są milicja, wojsko, struktury państwa. Solidarność ma dziesięć milionów ludzi – to prawda, ale pod względem organizacyjnym daleko im do doskonałości. To pospolite ruszenie. A partia się boi. Ze strachu ludzie robią różne głupstwa. Ojciec obawiał się, że może polać się krew. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Ale choroba uderzyła wtedy silniej. Już będzie czterdzieści dni...

– Jego pustynia...

– Jutro ma trzydziestą piątą rocznicę konsekracji biskupiej. Nie wiem, czy da radę odprawić mszę.

– Czas na mnie, Bronku. Przekażę wszystko Ojcu Świętemu. Prymas dał mi też list do niego.

– Myśli o następcy. Niestety, ten, którego sobie wymarzył, poszedł wyżej.

Stanisław uśmiechnął się. Skierowali się obaj do drzwi, przez które z ogrodu wchodziło się do Sali Papieży. Kilka minut później ksiądz Dziwisz opuścił dom przy Miodowej.

2

Doktor Marek Kośmicki usiadł przy łóżku Prymasa. Podał pacjentowi lekarstwa.

– Dziękuję – powiedział cicho Kardynał. – Panowie tak pracują nade mną, a efekty mizerne. Słabo się staram.

– Ksiądz Prymas jest bardzo zdyscyplinowanym pacjentem. Gdybyśmy takich mieli na co dzień, o wiele łatwiej by się pracowało – powiedział lekarz, zabierając puste pojemniczki po pigułkach i odstawiając je na szafkę nocną obok obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Przy nim stała fotografia matki. Wzrok Prymasa podążył za ręką doktora.

– Przy niej czułem się bezpiecznie – szepnął.

– Przy Matce Bożej?

– O, przy Maryi to czuję się tak cały czas. Ale teraz mówiłem o matce. Pamiętam, jak chodziłem z nią nad Bug jako małe dziecko. Widziałem, jak po drugiej stronie rzeki grupa Kozaków znęcała się nad wieśniakami. Nie mogłem potem spać i wiele razy pytałem mamę, czy przyjdą także do nas. Uspokajała mnie. Szybko jej zabrakło. Na szczęście zajęła się mną Matka Niebieska.

Przymknął oczy.

Lekarz patrzył na pooraną zmarszczkami twarz Prymasa. To wspomnienie z wczesnego dzieciństwa wiele mu wyjaśniło. Choćby homilię kardynała z sierpnia ubiegłego roku na Jasnej Górze, gdy – w samym środku protestów robotniczych na Wybrzeżu i na Śląsku – apelował o spokojną i uczciwą pracę. A także jego późniejsze spotkania ze zmieniającymi się władzami PRL, jego apele, aby Solidarność pielęgnowała to, co udało się zdobyć, i nie eskalowała żądań. Ów obrazek z dzieciństwa musiał mocno zapaść mu w pamięć. Tych zza Buga znał lepiej niż ktokolwiek. Ze Wschodu w każdej chwili mogło nadejść najgorsze i choć Polacy upojeni sukcesem Solidarności nie wierzyli w niebezpieczeństwo, on je przeczuwał. Czy słusznie? W każdym razie poczuwał się do odpowiedzialności za ten naród, bardziej pewnie niż ci, którzy samozwańczo stali na jego czele od trzydziestu z górą lat. Przez ten czas zmieniło się wiele ekip rządzących – on trwał. Zupełnie jak za Pierwszej Rzeczypospolitej – gdy nie było króla, Prymas stawał się

interreksem. Wciąż pozostawał punktem odniesienia dla rodaków – dlatego zresztą tak wielu z ogromnym rozczarowaniem przyjęło jego ubiegłoroczne kazanie z Jasnej Góry. Nasz Prymas, ten symbol walki z komunizmem, apeluje o pracę, gdy trwają strajki? Nie mogło im się to pomieścić w głowie. Szkoda, że nie widzą go teraz, gdy leży jak zraniony lew.

Otworzył oczy.

– Panie doktorze, myśli pan, że dam radę pojechać do Rzymu na uroczystości 7 czerwca?

Bardzo chciałby mu powiedzieć, że tak.

– Trzeba się modlić, Eminencjo. I mieć dużo wiary.

– Tego mi nigdy – Bogu dzięki – nie brakowało. A modlę się nie tylko ja. Tylu ludzi przysyła zapewnienie o pamięci. I moje dzieci z Instytutu błagają Matkę, aby Jej niewolnik mógł oddać Jej cześć. W tym roku po raz pierwszy od czasów więzienia nie mogłem pójść na Wielkanoc do katedry, aby modlić się z ludem. Pan Bóg potrafi być wymagający.

Kośmicki zdawał sobie sprawę, że Prymas znacznie bardziej cierpi na duszy niż na ciele. Tak czynny i pracowity człowiek musiał zwolnić tempo, zrezygnować z wielu zajęć, które były treścią jego dni od kilkudziesięciu lat. Wiedział, jak pacjenci reagują na taką zmianę; nieraz kończyło się to głęboką depresją. Ale Prymas nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają. Na szczęście. Ważne, żeby teraz miał dużo spokoju i dużo wsparcia. Przed czterema laty też wydawało się, że jego dni są policzone, a jednak wyszedł z tego. Może i teraz zajmą się tym „wyższe czynniki".

3

Drogiemu ks. dr. Hieronimowi Goździewiczowi – w pierwszą Wilię Bożego Narodzenia po powrocie do Kraju. Warszawa, dnia 24 XII 1947 r. + August kard. Hlond

Kierownik sekretariatu Prymasa przesunął dłonią po dedykacji nakreślonej na stronie tytułowej wydanego w czasie wojny modlitewnika dla Polaków na emigracji. Dostał go od prymasa Hlonda niedługo po tym, jak zaczął pracę w jego sekretariacie. Kilka miesięcy później był świadkiem jego nagłej choroby i śmierci.

Po trzydziestu trzech latach przyszło mu być świadkiem odejścia jego następcy. Spojrzał w okno. Ogród kusił świeżą wiosenną zielenią, chciało się wyjść na spacer. Ojciec lubił przechadzać się po tych alejkach, potrafił zatrzymać się przy jakimś kwiatku i przez dłuższy czas go kontemplować. Gdy wyszedł ostatnio, kiedy miał jeszcze trochę siły, pozwolił sobie na krótki komentarz: *Człowiek jest jak kwiat polny. Rankiem wschodzi, wieczorem zwiędnie*...

Zbliżał się wieczór. Słońce zeszło nisko, na trawniku kładły się długie cienie drzew.

Ktoś zapukał.

– Proszę!

Weszła Marysia Okońska. Oczy miała czerwone od łez.

– Co się stało? – skoczył na równe nogi. – Ojciec?

– Ojciec Święty! Był zamach. Został postrzelony! Operują go!

– Jezus Maria! Kiedy?

– Po południu, w czasie audiencji, na placu. Przed chwilą radio podało. Boże, co robić? Ojciec w takim stanie...

– Trzeba mu powiedzieć.

– Goździk, co ty gadasz? – odpowiedziała. – Chcesz go zabić?

– Nie można czekać z tą wiadomością. Nie wiadomo, co będzie. Mamy mu powiedzieć dopiero za kilka dni?

– To idź i sam powiedz.

– Za skarby świata nie powiem.

– Dziwna jakaś jesteś – powiedział Prymas, patrząc na twarz Marii, gdy weszła do jego pokoju i przysiadła obok łóżka.

– Ojcze, ty jesteś taki dzielny, a ja uważam też, że jesteś święty, tak że każdą ciężką wiadomość przyjmiesz po Bożemu.

– Co się stało?

– Przyjmiesz każdą wiadomość po Bożemu, spokojnie.

– No, mów już, mów. Masz rację, przyjmę każdą wiadomość.

– Był zamach na Ojca Świętego, na Jana Pawła II. Ale już jest dobrze. Miał operację w Polklinice Gemellego, absolutna prognoza na życie. Nie ma niebezpieczeństwa śmierci.

Prymas lekko odwrócił głowę.

– Zawsze się tego obawiałem.

Siedziała przy nim i patrzyła na jego pooraną zmarszczkami twarz. Milczał. Mijały minuty, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia. Modliła się za niego. Po pół godzinie spojrzał na nią.

– Słuchaj, Marysiu. Odtąd za mnie nic. Wszystkie modlitwy tylko za niego. On musi żyć, ja mogę odejść.

4

Emilia stała w zbitym tłumie ludzi na placu Zamkowym i słuchała głosu Ojca. Nagranie odtwarzano z taśmy magnetofonowej w czasie mszy za zdrowie Jana Pawła II.

Dzisiaj pozostaje nam jedno: wszystkie nasze cierpienia i udręki starajmy się dołączyć do tej wielkiej męki świata. Na pewno i Ojciec Święty tak to przeżywa, składając swoje osobiste cierpienia w dłonie Matki Kościoła, Tej, której zawierzył się na Jasnej Górze. To jest jego najważniejsze dzieło. W porównaniu z tym wielkim dziełem wszystkie nasze osobiste cierpienia stają się maluczkie. I dlatego, Najmilsi, i ja, dotknięty obecnie najrozmaitszymi moimi dolegliwościami fizycznymi, muszę uważać je za skromne i małe w porównaniu z tym, co dotknęło Głowę Kościoła.

I dlatego proszę Was, aby te heroiczne modlitwy, które zanosiliście w mojej intencji na Jasnej Górze, w świątyniach warszawskich i diecezjalnych, gdziekolwiek, abyście to wszystko skierowali w tej chwili wraz ze mną ku Matce Chrystusowej, błagając o zdrowie i siły dla Ojca Świętego.

Ktoś dotknął jej ramienia. Obróciła się.

– Ksiądz Jerzy!

Uśmiechnął się nieśmiało, podobnie jak wtedy, gdy zobaczyli się po raz pierwszy, niedługo po wyborze Jana Pawła II. Prymas mianował go duszpasterzem służby zdrowia, około Bożego Narodzenia Emilia i Antoni poszli na opłatek dla pracowników medycznych i wtedy się z nim zetknęli. Ostatnio kontaktowali się rzadziej. Od wybuchu strajków sierpniowych Jerzy miał dużo pracy w Hucie Warszawa, gdzie duszpasterzował pracującym tam robotnikom. Był słabego zdrowia, ale jakoś znajdował siły.

Wraz z Wami, moi najmilsi Współpracownicy i Dzieci Boże, klękam przed Tronem łaski i proszę o zdrowie dla Głowy Kościoła. Niech Pan Go nam zachowa i ożywi swoimi mocami, niech sprawi, aby długie jeszcze lata mógł służyć Kościołowi Powszechnemu i kulturze światowej w duchu Ewangelii.

Błogosławię Was w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Przeżegnali się.

– Miała Pani jakieś wiadomości z Miodowej? – zapytał Jerzy, gdy wracali z mszy. Wiedział, że Chrościccy byli częstymi gośćmi u Prymasa.

– Marysia Okońska mówiła nam tylko, że słabnie. Nie zawsze ma siłę odprawić mszę. Leży. Tyle wiem.

– Boże drogi, i w takim momencie jeszcze zamach na Ojca Świętego. Co my byśmy zrobili bez nich dwóch?

– Wielu sobie zadaje to pytanie. A niektórzy z nadzieją...

– Myśli pani, że za zamachem stoją Sowieci?

– A któż by inny? Proszę księdza, ja ich znam. Oni się przed niczym nie cofną. A Katyń? Dla nich nie ma żadnej świętości. Jak dla hitlerowców. Tyle że hitlerowców już nie ma, a ci władają połową świata.

– Gdyby to wyszło na jaw...

– Nie wyjdzie. Albo za sto lat. Czy ktoś z tak zwanych wolnych krajów domagał się lub domaga prawdy o Katyniu? To są wyższe interesy. Koła zębate świata muszą się kręcić. I nagle ktoś między nie nasypał piasku. Trzeba go więc było zmielić. Nie wzięli tylko pod uwagę, że ostatnie słowo ma Pan Bóg.

5

Od ogłoszenia komunikatu lekarskiego z dnia 14 maja br. stan zdrowia JEm. Ks. Kardynała Prymasa uległ dalszemu pogorszeniu.

W dniach 14 i 21 maja obserwowano przejściowe zaburzenia krążenia i oddychania, które ustąpiły pod wpływem leczenia. Oprócz leczenia farmakologicznego dokonywano kilkakrotnie przetoczeń krwi, plazmy i albumin.

Antoni Chrościcki odłożył gazetę i westchnął. Tak doświadczonemu lekarzowi jak on zwięzłe słowa komunikatu lekarskiego mówiły

więcej niż przeciętnemu człowiekowi. Bóg zabierał Prymasa do siebie. Ludzie starali się go ratować. To też było przyczyną cierpień. Zabiegi były dokuczliwe, jednak poddawał się im posłusznie. „Nie skarży się – powiedział im ksiądz Bronek, gdy zadzwonili na Miodową. – Tylko raz mu się wyrwało: ciekaw jestem, czy Ojca Świętego też tak bolą plecy jak mnie".

Antoni usłyszał klucz przekręcany w zamku. Weszła Mila.

– Zobacz! – powiedziała, podając mu kopertę, na której widniał herb prymasa Polski – To z Miodowej.

Sięgnął po nożyk i ostrożnie rozciął kopertę. Wyjął list. Pierwsze, co zobaczył, to odręczny podpis Prymasa. Widać, że złożony bardzo słabą ręką. I data: 18 maja.

– Ojciec napisał nam życzenia z okazji czterdziestolecia! Pamiętał. I to w takim stanie!

Mila chwyciła kartkę.

– *Drodzy Małżonkowie, ukochane Dzieci Boże, dobry Bóg, hojny dawca łaski Miłosierdzia, dozwolił Wam przeżyć czterdzieści lat we wspólnocie małżeńskiej* – zaczęła czytać. – *Nie mogę* – powiedziała łamiącym się głosem, oddała mężowi list i sięgnęła po chusteczkę.

Czytał dalej na głos:

– *Obdarzył Was synem Juliuszem, abyście razem w rodzinnej atmosferze kształtowali się ku pełni człowieczeństwa w duchu głębokiej wiary, czynnej miłości i niezawodnej nadziei. Dziś, gdy wdzięczne serca kierujecie ku Temu, od którego wszelkie dobro pochodzi, łączę się z Waszymi modłami i składam wyrazy podzięki za Wasze trudy w służbie dzieciom, rodzinom i społeczeństwu, życzę obfitych łask i darów nieba w dalszym życiu. Oddaję pod opiekę Matki Życia, Pani Jasnogórskiej, Królowej Polski, oraz z serca błogosławię na dalszą ofiarną służbę Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie. Z wyrazami czci i oddania w Jezusie i Maryi Stefan kard. Wyszyński, Prymas Polski.*

6

– Stasiu, nie da się. Wtedy jeszcze chodził, mógł podejść do telefonu. Teraz leży u siebie, a tam nie ma linii. Każę przedłużyć kabel, ale to zajmie trochę czasu. Dobrze, jutro wszystko będzie gotowe.

Ksiądz Bronisław odłożył słuchawkę. Papież chce rozmawiać z Ojcem i nie może! Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że Prymas powinien mieć telefon w swoim pokoju. Nie miał ani aparatu, ani radia, ani, rzecz jasna, telewizora. Tylko wiele książek. Kiedy był zdrowy, potrafił czytać i trzy, cztery naraz. Przy łóżku jedna, przy biurku druga, obok fotela trzecia. Ale telefonu nie było nigdy. Trzeba to naprawić. Sięgnął po słuchawkę. Do jutra zrobią.

Na szyi miał różaniec, parę dni temu przywieziony od papieża przez ojca Klemensa Śliwińskiego, franciszkanina przebywającego w Rzymie akurat w czasie zamachu. Podniósł krzyżyk do ust i ucałował go.

Odezwał się dzwonek telefonu. Odwrócił głowę w stronę aparatu.

Ksiądz Bronek podniósł słuchawkę, podał mu ją i wycofał się.

– *Ojcze, Ojcze, jestem bardzo słaby, bardzo*... – powiedział cicho. – *Dziękuję za różaniec, jest dla mnie pociechą… Ojcze… łączy nas cierpienie… Módlmy się za siebie wzajemnie. Między nami jest Matka Najświętsza… Cała nadzieja w Niej… Ojcze, całuję Twoje stopy… Błogosław mi.*

Podniósł rękę i przeżegnał się.

7

Maria klęczała i wpatrywała się w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej tak jak przed czterema laty na Jasnej Górze. Okno w kaplicy domu prymasowskiego było uchylone. Wstawał dzień. 28 maja. Czwartek. Wniebowstąpienie Pańskie. Za dziewięć dni Zesłanie Ducha Świętego.

Ktoś dotknął jej ramienia. Obróciła się. Ksiądz Bronek.

– Nadchodzi agonia.

Poszli do pokoju Ojca. Leżał na prawym boku z przechyloną głową.

W dłoni miał płonącą gromnicę. Płomień mrugał w półmroku.

– Serce stanęło – powiedział doktor Kośmicki. – Nie żyje. Ksiądz Bronisław sięgnął po różaniec.

– Dźwiganie krzyża. *Ojcze nasz, któryś jest w niebie*...

Odmówią jeszcze trzy tajemnice: Śmierć na krzyżu, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie.

1981, czerwiec

8

– Nie cierpiał bardzo. Nowotwór zjadał go szybko, ale na szczęście nie bolało. Ten telefon od Ojca Świętego był dla niego wielkim duchowym pocieszeniem. No i oczywiście różaniec.

Maria Okońska i Krystyna Szajer siedziały w papieskiej jadalni i opowiadały Janowi Pawłowi II o ostatnich chwilach Ojca. Papież niedawno wrócił z Polikliniki Gemellego. Był blady i wychudzony, z oczu – zazwyczaj tak żywych i pełnych ciepła – wyzierało zmęczenie.

– Słyszałyście naszą rozmowę? – zapytał.

– Tak.

– No to słyszałyście, co mówił Prymas, ale nie słyszałyście, co ja mówiłem. Właściwie powtarzałem jedną rzecz. Powoli, tak żeby na pewno do niego dotarło: „Całuję twoje ręce, całuję twoje najdroższe dłonie". Już od Wielkiej Nocy czułem, jak ten mocarz odchodzi.

– Pogrzeb był niesamowity. Jakby powtórzenie mszy z placu Zwycięstwa dwa lata temu. W tym samym miejscu stanął ten sam krzyż. Trumna przed nim. Na jednym z wieńców była szarfa z napisem „Niekoronowanemu królowi Polski".

– Wiesz, dlaczego mówi się, że to był Prymas Tysiąclecia?

– Chyba dlatego że rządził w czasie Tysiąclecia Chrztu Polski.

Jan Paweł II pokręcił przecząco głową.

– To dlatego że taki Prymas zdarza się raz na tysiąc lat.

– Ojciec Święty bardzo go kochał...

– Tak, masz rację.

– A czy myślisz, Ojcze, że on był święty?

– Tak.

– A nie mógłbyś go beatyfikować i kanonizować bez procesu? – Maria z właściwą sobie śmiałością przeszła do meritum.

– Marysiu, mam takie prawo, ale z niego nie skorzystam.

– A można wiedzieć dlaczego?

– Bo by nas posądzili o nepotyzm.

– Co to takiego?

– Cóż, mniej ładnie nazywa się to kumoterstwem. Więc tego nie zrobię.

Siadła wrona na czole wyniosłej jodły. Spojrzała władczo wokół i wydała okrzyk zwycięstwa. Tej wrzaskliwej zjawie wydaje się prawdziwie,

że jodła zawdzięcza jej wszystko: swój byt, wysmukłą piękność, trwałą zieleń, siłę w walce z wichrami. Godny podziwu jest ten tupet wrony. Wielka dobrodziejka stojącej cicho jodły.

A jodła ani drgnie; zda się nie dostrzegać wrony; pogrążona w zadumie, wyciąga gałązki ramion swoich ku niebu. Znosi spokojnie wrzaskliwego gościa. Nic nie zmąci jej myśli, jej powagi, spokoju. Wszak tyle chmur już przeszło nad jej czołem, tyle ptaków przelotnych tu się zatrzymało. Poszły, jak ty pójdziesz. Nie twoje to miejsce, nie czujesz się pewna i dlatego krzykiem nadrabiasz brak męstwa. To ja wyrosłam z ziemi i trwam korzeniami w jej sercu.

A ty, wędrowna chmuro, co rzucasz cień smutku na złociste me czoło, jesteś igraszką wichrów. Trzeba cię spokojnie wycierpieć. Wykraczesz swoją nudną, bezduszną, jakże ubogą pieśń – i odpłyniesz. Cóż zdołasz krzykiem zdziałać? Ja pozostanę, by trwać w skupieniu, by budować swoją cierpliwością, by przetrwać wichry i naloty, by spokojnie piąć się wzwyż. Słońca mi nie przysłonisz, sobą nie zachwycisz, celu mej wspinaczki nie zmienisz. Był las, nie było was – i nie będzie was, będzie las. Bajka? Nie bajka! / **Stefan Wyszyński**

9

Porucznik Waldemar Chmielewski postawił na stole pół litra żytniej i dwa kieliszki.

– Obroniłem! – powiedział z dumą.

Kapitan Grzegorz Piotrowski chwycił go za rękę i potrząsnął nią mocno.

– Gratulacje, stary! Namęczyłeś się, ale teraz jesteś już magistrem. Trudno było?

– Eee, do przejścia. Dostałem wyróżnienie. Chyba się należało, przynajmniej za objętość.

Praca magisterska Chmielewskiego, poświęcona postaci i działalności prymasa Wyszyńskiego, liczyła trzysta stron. Porucznik miał dostęp do wielu materiałów, ale chyba najbardziej pomogło mu doświadczenie jego ojca, który rozpracowywał „Proroka" od 1963 roku.

– Tatuś pomógł, co?

– Męczył się z tym tyle lat. Pewnie nie sądził, zabierając się do tej sprawy, że kiedyś syn podejdzie do tego naukowo. W każdym razie trzeba było się przekopać przez tony materiałów. No, ale to już mamy z czachy.

– Teraz czeka cię szybka kariera – powiedział Piotrowski. – Jak idzie sprawa „Popiela"?

Chmielewski na zlecenie szefa zajmował się rozpracowywaniem księdza Jerzego Popiełuszki. „Jak się dobrze spiszesz, to awans masz w kieszeni" – obiecał mu kapitan. Popiełuszko był solą w oku władz PRL po ogłoszeniu stanu wojennego. 13 grudnia 1981 roku, siedem miesięcy po zamachu na papieża i śmierci Prymasa siłą zlikwidowano Solidarność. Na czele państwa stanęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (w skrócie WRON) – zwana przez Polaków „wroną".

Ksiądz Popiełuszko rozpoczął odprawianie comiesięcznych mszy za ojczyznę w kościele świętego Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Chmielewski chodził na nie regularnie i nagrywał kazania. Był także w ostatnią niedzielę. Tak się złożyło, że dzień ten zbiegł się ze świętem Matki Boskiej Częstochowskiej.

– Byłem tam znowu – mruknął Chmielewski. – Można się rozchorować, jak się tego słucha. I jeszcze ta ciemnota dokoła. Co ci ludzie w nim widzą?

– Czym błysnął tym razem? – zapytał Piotrowski.

– Pieprzył jak zwykle: że na Jasnej Górze Polacy zawsze czuli się prawdziwie wolni, że Solidarności nie da się zlikwidować ustawowo. Krytykował przyjaźń z towarzyszami radzieckimi.

– Co? Tak wprost?

– Nie, ale aluzja była czytelna. Mówił, że w czasie zaborów sotnie kozackie widziały w Matce Boskiej Częstochowskiej swojego wroga. Za to wprost mówił o wydarzeniach sierpniowych i o tym, żeby się nie bać, bo – jak to sukinsyn lubi powtarzać – „bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa za parę srebrników jałowego spokoju".

– Dużo ludzi przyszło?

Chmielewski skinął głową.

– Tłumy – powiedział.

– Ten klecha posuwa się za daleko. Trzeba mu wreszcie zamknąć usta.

10

Emilia i Antoni weszli do zakrystii. Ksiądz Jerzy zdejmował szaty liturgiczne po mszy odprawionej dla pracowników służby zdrowia z okazji dnia ich patrona, świętego Łukasza.

– O, witam państwa! Cieszę się, że przyszliście.

– Dziękujemy, że znalazł ksiądz czas...

– To mój obowiązek. I przyjemność zarazem. Pielęgnuję wspaniałe wspomnienia z pracy wśród was. Dzisiaj wszyscy myślą o polityce, ale kto wie, czy wy nie robicie o wiele ważniejszej roboty. Jak idzie praca w poradni, pani Emilio?

Doktor Paderewska-Chrościcka prowadziła poradnię rodzinną przy parafii Świętego Aleksandra na Książęcej. Przychodziło do niej wiele kobiet, które w konfesjonałach mówiły o swoich problemach w małżeństwie. Księża skierowywali je do lekarki po fachową pomoc.

– Pacjentek nie brakuje.

– A co u księdza? – zapytał Antoni. – Czy to prawda, że ma ksiądz wyjechać na studia do Rzymu?

– Ksiądz Prymas[74] chciał mnie tam wysłać. Prosiłem, żeby tego nie robił. Moje miejsce jest tutaj.

– Tak, oczywiście – potwierdziła Emilia. – Księdza kazania są wspaniałe!

– Pani Emilio. To nie są moje kazania. Ja po prostu czerpię z dwóch źródeł – od Ojca Świętego i od Prymasa Tysiąclecia. Tyle. Aż tyle.

– Jak się ksiądz czuje? – zapytał Antoni. – Nie najlepiej ksiądz wygląda... Może trzeba trochę odpocząć.

[74] Nowym prymasem po śmierci kardynała Wyszyńskiego został arcybiskup Józef Glemp (ur. 1929).

– Na wiosnę byłem w Zakopanem. I pochwalę się państwu, że mieszkałem na Jaszczurówce, w tym samym domu urszulanek, w którym zatrzymywał się kardynał Wojtyła. Podobno i Prymas mieszkał tam w czasie okupacji, gdy leczył się na płuca. A teraz, no cóż – jest tyle pracy, że nie mam czasu myśleć o zmęczeniu. Mam dużo zaproszeń z różnych miejsc w Polsce. Jutro znowu jadę. Tym razem do Bydgoszczy.

– Niech ksiądz na siebie uważa – powiedziała Emilia.

Jerzy uśmiechnął się nieśmiało. „Cały ksiądz Popiełuszko" – pomyślał Antoni, ściskając mu rękę na pożegnanie.

Dziękujemy dziś Trójcy Przenajświętszej za to ewangeliczne, paschalne dziedzictwo kardynała Stefana Wyszyńskiego, który pod krzyżem Chrystusa stawał zawsze razem z Maryją. „Wszystko postawiłem na Maryję". Wobec Niej czuł się jak apostoł Jan, jak przybrany syn i jak rozmiłowany w Bogarodzicy „niewolnik miłości". W tym bezwzględnym oddaniu znajdował swoją duchową wolność: tak, był człowiekiem wolnym i uczył nas, swoich rodaków, prawdziwej wolności. Był niestrudzonym rzecznikiem godności każdego człowieka oraz dobrego imienia Polski pośród narodów Europy i świata.

Można do niego odnieść słowa poety:

„Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę – głos mój będzie głosem Pana,
Mój krzyk – ojczyzny całej będzie krzykiem"

(*Juliusz Słowacki*, Tak mi, Boże, dopomóż).

Opatrzność Boża oszczędziła mu bolesnych wydarzeń, które łączą się z datą 13 grudnia 1981 r. Odszedł do Ojca w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, a pogrzeb jego odbył się w uroczystość Nawiedzenia Bogarodzicy. Jakby Pani Jasnogórska chciała wycisnąć ostatnią ziemską pieczęć na życiu tego Prymasa, który wraz z Episkopatem Polski zaprosił Ją do nawiedzania wszystkich diecezji i parafii w naszej Ojczyźnie.

Dziękując Trójcy Przenajświętszej za wielką posługę Prymasa Tysiąclecia, prosimy Króla wieków, aby nic nie zniszczyło tego głębokiego fundamentu, jaki dane Mu było założyć w duszy Ludu Bożego na całej polskiej ziemi / **Jan Paweł I**

Wprowadzenie do nauki Prymasa Wyszyńskiego

Student i franciszkanin

1981

Było piękne, majowe popołudnie. Siedziałem w bibliotece na Koszykowej i nie mogłem się skupić nad ekonomią polityczną socjalizmu. To był obowiązkowy i serdecznie znienawidzony przez studentów przedmiot na pierwszym roku chyba wszystkich wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego Przez otwarte okno dochodził szum ulicy, przyjemnie powiewał ciepły wiaterek i wszystko przemawiało za tym, aby zamknąć arcynudny podręcznik przedmiotu, którego logice przeczyła cała otaczająca rzeczywistość.

Jak większość studentów UW uważałem , że wysławiany w oficjalnych wiadomościach ustrój socjalistyczny jest równie sensowny co budowanie domu od sufitu. „Gdyby socjalizm wprowadzić na Saharze, to po tygodniu zabrakłoby piachu" – mówił znany satyryk Jan Pietrzak i to była chyba najcelniejsza definicja ustroju Polski Ludowej. Od ładnych kilku miesięcy nikt nie bał się już mówić publicznie takich i o wiele bardziej krytycznych rzeczy, ponieważ byliśmy w samym środku okresu nazwanego później karnawałem „Solidarności".

Historia nagle przyspieszyła latem 1980 roku, kiedy w oficjalnych (kontrolowanych przez władzę komunistyczną) mediach zaczęły pojawiać się dziwne informacje o tzw. „przerwach w pracy". W rzeczywistości chodziło o strajki, które wybuchały w coraz to nowych zakładach pracy. Robotnicy coraz wyraźniej protestowali przeciw posunięciom władzy, która „gasiła" strajki miejscowymi podwyżkami płac. Ale to nie starczyło na długo. W końcu stanęły wielkie zakłady przemysłowe.

31 sierpnia 1980 roku usiadłem przed telewizorem i z zapartym tchem patrzyłem, jak komunistyczny rząd podpisuje porozumienie ze strajkującymi robotnikami w Stoczni Gdańskiej. Już po raz drugi w ciągu dwóch lat reżimowa telewizja zafundowała widzom

transmisję wydarzenia, które przeczyło oficjalnej propagandzie. Pierwszy raz miało to miejsce 22 października 1978 roku, kiedy widziałem transmitowaną z Watykanu Mszę inaugurującą pontyfikat papieża z Polski, Jana Pawła II. Trudno to może dzisiaj sobie wyobrazić, ale wówczas, gdyby ktoś nie wychodził w ogóle z domu, tylko oglądał telewizję, to nie wiedziałby, że istnieje coś takiego jak Kościół katolicki. Może w jakimś historycznym serialu pojawiłby się ksiądz – jeśli film był oparty na znanej powieści. Ale w bieżących wiadomościach nikt nie zająknąłby się nawet, że są kościoły, że ludzie się modlą, że są jakieś święta religijne. Po wyborze polskiego kardynała na papieża władze miały trudny orzech do zgryzienia. Tego po prostu nie dało się pominąć. Więc zdecydowano się transmitować tę Mszę, w czasie której Jan Paweł II wypowiedział słynne słowa „Nie lękajcie się!", będące (jak się później okazało) swoistym mottem jego pontyfikatu. Jeszcze mocniejsze wrażenie wywarł na mnie widok długiej kolejki kardynałów, którzy mieli złożyć hołd nowemu następcy Piotra. Wśród nich dostrzegłem bowiem postać Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Pamiętałem go z odwiedzin w mojej rodzinnej parafii Wszystkich Świętych w Warszawie, pamiętałem też, jak pewnego razu nasz ksiądz katecheta zabrał naszą grupę na Miodową na spotkanie z legendarnym Prymasem. Teraz zobaczyłem go w dalekim Rzymie podchodzącego do papieża Wojtyły. Kardynał Wyszyński schylił się ze czcią do pierścienia Rybaka i wtedy wydarzyło się coś niezwykłego. Jan Paweł II poderwał się z fotela, przygarnął Prymasa, a potem ... pocałował go w rękę.

Zazwyczaj na ekranie telewizora oglądało się propagandowe filmy i fałszywe uściski komunistycznych notabli. Nie wiedziałem wiele o Prymasie, a jeszcze mniej o papieżu. Ale w tym geście zobaczyłem coś, co było rzadkie w oficjalnym życiu społecznym ówczesnej Polski: szczerość, przyjaźń i oddanie.

Podobne wrażenie odniosłem w następnym roku, gdy Jan Paweł II przyleciał do Polski. Po wyjściu z samolotu Ojciec Święty zszedł z czerwonego chodnika, ukląkł i pocałował ziemię. Prymas stał nieopodal. Trzymał się jakby w cieniu papieża.

Nie potrafiłem nazwać tej sceny, dopiero wiele lat po tym wydarzeniu uświadomiłem sobie, co mnie tak ujęło. Ci ludzie byli na samym szczycie, a emanowali pokorą.

Rok później narodziła się „Solidarność". Tuż przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych miał miejsce przykry zgrzyt. 26 sierpnia znowu usiadłem przed telewizorem, aby obejrzeć retransmisję Mszy świętej jaką Prymas Wyszyński odprawił na Jasnej Górze. Wówczas było już wiadomo, że Polska strajkuje, że toczą się negocjacje między władzą a robotnikami. O Prymasie wiedziałem tyle, że komuniści zamknęli go kiedyś na trzy lata i że całe życie konsekwentnie się im przeciwstawiał, za co zdobył wielkie uznanie społeczne. Spodziewałem się, że teraz to dopiero „dosoli" komunistom i zacierałem ręce, bo jak każdy młody człowiek, patrzyłem krytycznie na władzę, a już tamtego lata na tej władzy to po prostu suchej nitki się nie zostawiało. Tymczasem spotkało mnie wielkie rozczarowanie. Przemówienie Prymasa wyglądało jak nagana udzielona strajkującym robotnikom i zarazem poparcie władzy, przeciw której ten strajk był skierowany. Wzywanie do odpowiedzialności i pracy w tych okolicznościach brzmiało jak wezwanie do kapitulacji i to w momencie, kiedy rząd naprawdę wyglądał na słaby. Co gorsza nie potrafiłem odpowiedzieć na pytania rówieśników, którzy okazywali swoją dezaprobatę dla stanowiska Kościoła w tak ważnej dla ojczyzny chwili.

„Na szczęście mamy Jana Pawła II" – słyszałem coraz częściej. – „Czas Prymasa był kiedyś, teraz jest już stary i nie rozumie tego, co się dzieje".

Dopiero wiosną '81 roku usłyszałem o Prymasie powtórnie. Był to komunikat lekarski mówiący o pogorszeniu się jego stanu zdrowia.

Komunikaty pojawiały się coraz częściej i były coraz mniej optymistyczne. „Prymas umiera" – słyszałem pełne smutku komentarze starszych. „No cóż – myślałem – ma już swoje lata." Kilka lat wcześniej przeżyłem pierwszą śmierć w swojej rodzinie – zmarł mój dziadek, z którym byłem bardzo związany. W pierwszej chwili wydawało mi się, że świat się zawalił, ale potem uświadomiłem sobie, że jest to po prostu nieunikniona konieczność. Zresztą sam dziadek przygotowywał mnie do tego rozstania i nie bez znaczenia była tu wiara, którą przekazał wnukowi bardziej swoim przykładem niż kazaniami i napominaniami.

Jednak w głosie ludzi, którzy mówili o odejściu Prymasa było coś takiego, co kazało mi zastanowić się bardziej. Zdałem sobie sprawę, że dla starszego pokolenia ten człowiek był kimś więcej niż kościelnym dostojnikiem. Miało się wrażenie, że odgrywał rolę swoistego filara, na którym opierało się wszystko, co zostało wartościowego w tym kraju doprowadzonym przez władzę komunistyczną do stanu rozkładu.

Wciąż jednak nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie tak podziwiają Prymasa, szczególnie, że miałem wciąż w pamięci jego kazanie na Jasnej Górze w czasie ubiegłorocznych strajków.

Jednak, gdy pojawiły się komunikaty o jego pogarszającym się stanie zdrowia, ludzie jakby zapomnieli o tamtym przemówieniu. Zrozumieli, że kończy się jakaś epoka, bo przecież kierował on Kościołem w Polsce praktycznie przez cały czas Polski Ludowej. I znowu wracały uspokajające głosy – na szczęście mamy Jana Pawła II. Tak, jeden filar się chwiał, ale wyrósł nowy, jeszcze silniejszy i bardziej widoczny. Papież z Polski, kardynał zza żelaznej kurtyny, pierwszy po prawie pięciu wiekach następca świętego Piotra spoza Italii – to był ewenement na skalę światową.

Taki był mniej więcej stan mojej świadomości w owe majowe popołudnie, gdy siedziałem nad podręcznikiem i ze szczerą niechęcią

przewracałem kolejne jego kartki. W pewnym momencie przez otwarte okno dobiegł mnie dźwięk włączonego głośno radia w jakimś mieszkaniu po drugiej stronie ulicy. Głos podającego wiadomości był dziwnie poruszony, usłyszałem pojedyncze słowa: „Jan Paweł II, zamach, Plac Świętego Piotra". Szybko zamknąłem podręcznik, odniosłem go bibliotekarce, odebrałem legitymację studencką i pobiegłem do tramwaju. Kilkanaście minut później byłem już w swojej parafii. Mój dawny katecheta wychodził właśnie z zakrystii.

– Był zamach na papieża – powiedział – żyje, ale jest ciężko ranny. Za godzinę odprawimy nadzwyczajną Mszę świętą.

W tej chwili uświadomiłem sobie, że ci dwaj ludzie, których widziałem w niezwykłym uścisku mogą w najbliższym czasie zniknąć z areny historii. Oba filary chwiały się. Polakom groziło sieroctwo.

Konfesjonał na Zakroczymskiej

Następnego dnia prosto z zajęć na UW poszedłem na Nowe Miasto, na Zakroczymską, do kościoła ojców franciszkanów. Miałem nadzieję, że spotkam tam ojca Klemensa, którego poznałem jesienią poprzedniego roku.

Nie wiedziałem o nim nic poza tym, że jest franciszkańskim zakonnikiem i że podczas wieczornej Mszy świętej siedzi w konfesjonale po prawej stronie od wejścia. Zawsze przed tym konfesjonałem była kolejka. Kiedyś sam w niej stanąłem (ktoś powiedział mi, że warto się u niego wyspowiadać) i nie mogłem się nadziwić, że tak długo to trwa. Było tak do chwili, gdy przyszła moja kolej. Ten człowiek po drugiej stronie miał w sobie coś takiego, że chciało się przed nim otworzyć duszę na oścież. Nie chodziło tylko o wyznanie grzechów. Można się było podzielić pytaniami i wątpliwościami. A on słuchał. Chciałoby

się powiedzieć – był cały słuchaniem. Nie poganiał, nie dopytywał, nie upominał. Głos miał łagodny, mówił zazwyczaj „dobrze", które – w zależności od tego, o czym była mowa – można było przyjąć jako akt wyrozumiałości dla ludzkiej słabości, albo jako pochwałę żalu za przewinienia i słabości. Ojciec Klemens nic sobie nie robił z niezadowolenia brata furtiana, który po zakończonej Mszy podchodził do drzwi i wymownie dzwonił kluczami. Spowiadał do oporu, to znaczy do ostatniego chętnego i każdemu dawał tyle czasu, ile było potrzeba. Nie raz i nie dwa furtian zamykał kościół, choć byli w nim penitenci. Część z nich czekała na przyjęcie Komunii świętej, inni stali w kolejce do spowiedzi. Wreszcie rozlegało się ostatnie pukanie. Był to znak dawany przez księdza po udzieleniu rozgrzeszenia. Ojciec wynurzał się z konfesjonału. Przekładał stułę na drugą stronę – z koloru fioletowego na biały – i szedł do tabernakulum, by udzielić Komunii czekającym. Potem cała grupa wychodziła bocznym wyjściem, przez furtę klasztoru.

Raz, żegnając się z ojcem przy wyjściu, zapytałem, czy mógłbym porozmawiać.

– Przychodź, kiedy chcesz – usłyszałem.

Więc skorzystałem z okazji, gdy miałem okienko między zajęciami. Bez specjalnej nadziei zadzwoniłem do furty i powiedziałem, że chciałbym się widzieć z ojcem Klemensem. Po kilku minutach otworzyły się drzwi. Stał w nich pogodnie (jak zwykle) uśmiechnięty zakonnik. Poszliśmy do pokoju nazywanego tu rozmównicą. Franciszkanin przesunął umieszczony na drzwiach suwak, odsłaniając napis „zajęte", i zaprosił mnie do środka.

Ta pierwsza rozmowa trwała chyba z godzinę. Nawet do głowy mi nie przyszło, że może przeszkodziłem mu w jakiejś pracy. On sam zachowywał się tak, jakby nie miał nic lepszego do roboty, tylko słuchać wynurzeń jakiegoś młokosa. Pytałem go między innymi o to dziwne przemówienie Prymasa.

– Ojcze, na uczelni wszyscy są przeciwni komunistom, a Prymas ich poparł. Ja tego nie rozumiem. Jak można zachęcać ludzi do pracy w chwili, gdy strajkowali w słusznej sprawie.

– Może są rzeczy, o których on wiedział, a my nie wiemy… – powiedział.

– Jakie rzeczy? Naród ma ich dosyć, niech się cieszą, że ludzie ich nie powywieszali.

– Wojna, a szczególnie wojna domowa to straszna rzecz. Polska nie jest samotną wyspą, za wschodnią granicą patrzą, co się u nas dzieje.

– Ojciec myśli, że Sowieci mogli wkroczyć? I Prymas chciał temu zapobiec?

– Słyszałeś, że Prymas był w więzieniu? – zapytał.

– Tak. Właśnie dlatego myślałem, że nigdy nie poprze komunistów.

– Na trzy lata go zamknęli. Pamiętam, jak wyszedł. To był '56 rok. Węgrzy zbuntowali się wtedy przeciw Sowietom. Skończyło się interwencją i rozlewem krwi. W Polsce też się ludzie burzyli. Komuniści wypuścili Prymasa, aby uspokoić naród. No i do nas Armia Czerwona nie wkroczyła.

– Ojciec myśli, że teraz obawiał się tego samego?

Klemens uśmiechnął się dobrotliwie.

– Prymas pamięta i zabory, i okupację, i Powstanie Warszawskie. On widział z bliska wojnę, przemoc i śmierć. Wiesz, ludzie, szczególnie młodzi, mierzą patriotyzm gotowością śmierci za Ojczyznę. Ale czasem trudniej jest dla niej żyć.

Nie próbował mnie przekonywać i być może to było bardziej przekonujące niż najmocniejsze argumenty. Rzadko zdarzało mi się spotykać kogoś, kto zachęcałby do myślenia, zamiast udowadniać swoją rację. Tym chętniej więc zaglądałem na Zakroczymską. Poszedłem tam oczywiście, gdy dowiedziałem się o zamachu na Papieża. Jednak spotkał mnie zawód.

– Ojciec Klemens wyjechał – powiedział furtian. – Będzie za tydzień.

Poszedłem w kierunku Starego Miasta. Po południu w katedrze miała być odprawiona Msza o zdrowie dla Jana Pawła II.

Majowe dni

Nie pamiętałem treści kazań Prymasa, które słyszałem w przeszłości. Jednak głos poznałem natychmiast.

Dzisiaj pozostaje nam jedno: wszystkie nasze cierpienia i udręki starajmy się dołączyć do tej wielkiej męki świata. Na pewno i Ojciec Święty tak to przeżywa, składając swoje osobiste cierpienia w dłonie Matki Kościoła, Tej której zawierzył się na Jasnej Górze.

Słowa kardynała Wyszyńskiego były odtwarzane z taśmy magnetofonowej. Nie miały już dawnej siły, ale tembr głosu i jego dynamika pozostawały niezmienione.

To jest jego najważniejsze dzieło. W porównaniu z tym wielkim dziełem, wszystkie nasze osobiste cierpienia stają się maluczkie. I dlatego, Najmilsi, i ja, dotknięty obecnie najrozmaitszymi moimi dolegliwościami fizycznymi, muszę uważać je za skromne i małe w porównaniu z tym, co dotknęło Głowę Kościoła.

Wiadomość o strzałach do Jana Pawła II rozeszła się po Warszawie lotem błyskawicy. Równie szybko rozprzestrzeniła się informacja o Mszy w katedrze nazajutrz po zamachu. Kiedy tam dotarłem, o wejściu do środka nie było co marzyć. Ludzie wypełniali nie tylko Świętojańską, ale i Plac Zamkowy, który na szczęście został nagłośniony. Z tych głośników płynął teraz apel Prymasa.

I dlatego proszę Was, aby te heroiczne modlitwy, które zanosiliście w mojej intencji na Jasnej Górze, w świątyniach warszawskich i diecezjalnych, gdziekolwiek, abyście to wszystko skierowali w tej chwili

wraz ze mną ku Matce Chrystusowej, błagając o zdrowie i siły dla Ojca Świętego.

Stałem znacznie dalej niż wówczas, gdy do Polski przyjechał Papież. Tym razem udało mi się dojść zaledwie na wysokość hotelu Victoria od strony placu Małachowskiego. Przed oczami miałem widok zadziwiająco podobny do tego, który tak dobrze pamiętałem. Niemal dokładnie dwa lata wcześniej byłem na tym placu i patrzyłem na krzyż, z którego zwisała ogromna stuła. Pod krzyżem stał papież i wołał: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi".

Tamtą Mszę odprawił Papież Polak 2 czerwca 1979 roku, w sobotę poprzedzającą Zesłanie Ducha Świętego. Pogrzeb Prymasa odbywał się w niedzielę, 31 maja 1981 roku.

Przed ołtarzem stała trumna z ciałem Prymasa. Na Placu Zwycięstwa było aż gęsto od ludzi, chyba przyszło ich więcej niż wtedy.

– *W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego* – usłyszałem słowa wypowiedziane z wyraźnym, obcym akcentem. Mszę pogrzebową odprawiał kardynał Agostino Casaroli. Przyjechał z Rzymu jako osobisty wysłannik Papieża.

– *Ze czcią i wzruszeniem chylimy głowy przed trumną człowieka i biskupa, którego współcześni, jakby uprzedzając sąd potomnych, zaliczyli już między wielkich w dziejach Kościoła i jego Ojczyzny. Opatrzność zdawała się sposobić go do wielkich zadań, jakie wyznaczały mu losy Polski, Europy i świata. Jego inteligencja, szlachetność serca, męstwo ducha, hartowane przez długie lata w surowej szkole duchowej i moralnej karności uczyniły z niego bohatera, który nie będzie zapomniany w tragicznych i heroicznych godzinach ojczystego kraju, bohatera Kościoła naszych czasów. Poprzez wybór pierwszego Papieża Polaka, pierwszego Papieża Słowianina, Bóg dał mu przeżyć jakby ukoronowanie tysiącletniej wierności swojego narodu Chrystusowi. Zanim zgasło*

światło jego oczu, Bóg dał mu jeszcze tę radość, że po strasznym zamachu, który przeraził świat widział papieża ocalonego dla miłości i nadziei niezliczonych milionów ludzi. Jego miłość Kościoła i ojczyzny nie stroniła od walki, gdy mu ją nakazywało jego własne sumienie. Wszelako łączyło się to w nim z umiarem i roztropnością nacechowanymi odpowiedzialnością, a więc zaletami, które są oznaką miłości. Był on człowiekiem niezłomnej nadziei, nadziei, która czerpała ożywcze siły z ufności pokładanej w cnotach własnego narodu, a nade wszystko z wiary w Boga i z synowskiej miłości do Matki Chrystusa, która była mocą i słodyczą jego życia, życia tak bardzo wypełnionego czynem i tak często doświadczanego. Módlmy się dzisiaj za niego, módlmy się z nim, módlmy się o urzeczywistnienie dwóch wielkich ideałów, które przyświecały mu w życiu i które są wciąż żywe: Kościoła i Polski. Tego Kościoła, który bez niego poczuł się uboższy na ziemi tej Polski, która przez swoje łzy, swoje nadzieje, swoje dążenia odwzajemnia mu dzisiaj tę miłość, jakiej doznawała od niego.

Zdziwiłem się trochę, że włoski kardynał tak dobrze radzi sobie z niełatwą polską mową.

Wiadomość o śmierci Prymasa podano w czwartek. Zmarł nad ranem, 28 maja. Wypadało akurat kościelne święto Wniebowstąpienia upamiętniające dzień, gdy Jezus po zmartwychwstaniu wstąpił do nieba na oczach apostołów.

W krótkim czasie odbyłem przyspieszony kurs wiedzy o zmarłym. Na szczęście w tych okolicznościach dziennikarze – choć oficjalnie wciąż poddani cenzurze – rozkoszowali się nieznaną w historii PRL wolnością wypowiedzi. Z mediów i innych źródeł dowiedziałem się, że po wyjściu z więzienia kardynał Wyszyński zainicjował tak zwaną Wielką Nowennę przygotowującą do tysiąclecia chrztu Polski. Do tej pory tysiąclecie państwowości kojarzyło mi się raczej ze szkołą podstawową, do której chodziłem. Została ona wybudowana

w ramach państwowej akcji „Tysiąc szkół na tysiąclecie", ale oczywiście o chrzcie Polski nikt się na lekcjach historii nawet się nie zająknął. Samych obchodów milenijnych nie pamiętałem, miałem wtedy zaledwie kilka lat, tylko od dziadka słyszałem, że coś takiego było i że Prymas to wielka postać. Nic więcej. W parafii księża ogłosili, że trumna z ciałem kardynała Wyszyńskiego zostanie przeniesiona do kościoła na Krakowskim Przedmieściu. Nie bardzo wiedziałem dlaczego akurat tam, a nie do katedry, ale poszedłem. (Dopiero lata potem dowiedziałem się, że w kościele seminaryjnym Prymas odbywał w 1949 roku swój ingres – czyli objęcie urzędu arcybiskupa warszawskiego). Padało. Zobaczyłem ogromną, ciągnącą się w kierunku placu Zamkowego kolejkę ludzi. Byli gotowi stać kilka godzin, a może i całą noc, aby oddać hołd Prymasowi. W następnych dniach kolejka wcale nie malała, wręcz przeciwnie – była coraz dłuższa. Aż wreszcie przyszło niedzielne popołudnie, 31 maja.

Po liturgii słowa do pulpitu podszedł następca Karola Wojtyły w Krakowie, kardynał Franciszek Macharski:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Głosu mojego, więcej, mojego serca użyczam teraz Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II na to, aby mogła rozebrzmieć tutaj papieska homilia na pogrzebie Prymasa Polski. Przyjmijcie homilię Ojca Świętego.

A więc papież, który leżał po zamachu w szpitalu, sam napisał tekst na pogrzeb Prymasa. Ciekawe, czy przyjechałby z Watykanu, gdyby nie to, że został ciężko ranny?

Drodzy Bracia i Siostry,

Do całego tak drogiego mi Kościoła na polskiej ziemi, do jego pasterzy i wiernych, do wszystkich, których śmierć Prymasa Polski Stefana kardynała Wyszyńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i warszawskiego napełniła bólem i smutkiem. Do was, którzy teraz w godzinę jego pogrzebu w nieujarzmionym mieście otaczacie tę trumnę miłością i modlitwą,

którzy zgromadziliście się, aby jego niezłomnego ducha silnego Bogiem oddać niebieskiemu Ojcu, a umęczone ciało złożyć w przesiąkniętej krwią polskiej, warszawskiej ziemi, aby w czasie przyjścia Chrystusa przyodziało się w niezniszczalność i nieśmiertelność. Do was wszystkich pragnę skierować to krótkie bodaj słowo. Piszę je z najgłębszej potrzeby serca i wiary. Nie mogę złożyć tego świadectwa tak, jakbym chciał. Ufam, że Bóg przywróci mi siły i da stosowną okazję, abym to mógł uczynić tak, jak czuję. Pragnę, abyście wiedzieli, że w tej godzinie żałoby, w godzinie smutku i bólu, a także większej jeszcze nadziei i ufności, pragnąłbym być z wami i osobiście oddać księdzu Prymasowi ostatnią posługę. Bóg zdecydował inaczej. Niech będzie błogosławione Jego imię. Łączę się z wami w cierpieniu i modlitwie, w przyjęciu woli Boga i w nadziei.

Dostałem odpowiedź szybciej, niż się spodziewał. Kardynał Macharski położył mocny akcent na słowie „osobiście", tak jakby wiedział, że najgłębszym pragnieniem Jana Pawła II było przewodniczenie pogrzebowi Prymasa.

Nazajutrz wybrałem się na Zakroczymską. Jeśli furtian się nie mylił, to ojciec Klemens powinien już być. Swoją drogą, ciekawe, gdzie pojechał w takim gorącym czasie?

– W Rzymie byłem – usłyszałem, gdy zadałem to pytanie zakonnikowi.

– W czasie zamachu? – zapytałem poruszony.

– Nie, wtedy byłem w Asyżu. Do Rzymu przyjechałem kilka dni później.

Widząc moje zaciekawienie spojrzenie, dodał:

– Udało się odwiedzić Ojca Świętego w Poliklinice Gemelli. Był bardzo słaby, ale widać, że wyjdzie z tego.

Jak to możliwe, że Ojciec Klemens został przyjęty przez papieża? Na pewno nie każdy chętny mógł się dostać do Jana Pawła II w szpitalu, a tymczasem franciszkanin mówił o tym tak zwyczajnie, jakby

odwiedzał członka najbliższej rodziny. Nie miałem śmiałości zadać tego pytania. Zadałem inne.

– Wiedział, że Prymas umiera?

– Dał mi nawet różaniec dla niego. Zaniosłem na Miodową zaraz po powrocie do Polski. Tak to Pan Bóg używa małych ludzi, żeby mogli usłużyć wielkim.

– Musieli się bardzo przyjaźnić...

– Tak, bardzo.

Spowiednik Jana Pawła II

Dwa lata później (1983) ojciec Klemens wyjechał do Włoch. Po czteroletnim pobycie w Asyżu został Penitencjarzem Apostolskim w Bazylice św. Piotra, a następnie przełożonym pracujących tam spowiedników. W 2002 roku powrócił do Polski i osiadł w Łodzi. W tym czasie zostałem dziennikarzem, a później pisarzem zajmującym się problematyką religijną. Kiedyś, przygotowując materiał o Prymasie Wyszyńskim, przeczytałem w książce „Ostatnie dni Prymasa Tysiąclecia”[75]:

24 maja – Niedziela

Po nieprzespanej, ciężkiej nocy Ksiądz Prymas jest bardzo słaby. Pogłębiają się zaburzenia czynności serca, siły organizmu załamują się coraz bardziej.

Dziś przybywa O. Klemens Śliwiński, Franciszkanin. Wraca z Rzymu. Był w Poliklinice Gemelli, gdzie przebywa ciężko ranny Papież. Otrzymał różaniec od Ojca świętego i przywiózł go Księdzu Prymasowi jako wyraz jedności w cierpieniu. Ksiądz Prymas prosi, by

ten różaniec założyć mu na szyję. W ciągu dnia często podnosi krzyżyk do ust i całuje go.

Ojciec Klemens zmarł 23 listopada 2012 roku. Trzy dni później w bazylice franciszkanów w Łagiewnikach pod Łodzią odbyły się uroczystości pogrzebowe. Gdy wszedłem do kościoła, stanąłem jak wryty, bowiem z konfesjonału przy wejściu patrzył na mnie ... ojciec Klemens! Współbracia umieścili niezwykłej wierności portret w miejscu, w którym niemal do końca prowadził ludzi na spotkanie z miłosierdziem Bożym. W „Dzienniku Łódzkim" napisano o nim:

Zmarł ojciec Klemens Śliwiński, 88-letni franciszkanin z Łagiewnik. Wśród łodzian znany był jako doświadczony spowiednik. Ojciec Śliwiński w zakonie spędził 69 lat. Był doktorem prawa kanonicznego, opiekunem pielgrzymów w Asyżu i gwardianem klasztoru w łódzkich Łagiewnikach.

Jednak najbardziej znany był jako spowiednik. Przez 10 lat był przełożonym spowiedników z Watykanu. Wśród franciszkanów mówi się, że spowiadał się u niego sam Jan Paweł II.

- Ojciec był bardzo powściągliwy - przyznaje ojciec Ireneusz Klimczyk, gwardian klasztoru w Łagiewnikach. - Nigdy nie mówił ani kto się u niego spowiadał, ani tym bardziej z czego.

Jednak Jan Paweł II doceniał jego zasługi w konfesjonale i w podziękowaniu podarował mu swoją stułę, w której sam spowiadał. Wisi ona w łagiewnickim kościele po prawej stronie ołtarza przy wejściu do zakrystii.

Żyjąc w czasach Prymasa, Papieża i ... ojca Klemensa zaciągnęliśmy dług. Mieliśmy okazję ich słuchać, spotykać, czerpać z mądrości i miłości ludzi, którzy oddali swoje życie służbie Kościołowi i Polsce. Pozostawili skarb, który zasługuje na to, by świecił pełnym blaskiem, a nie leżał gdzieś zakurzony na strychu historii.

Szczęśliwie, mimo upływu lat, zainteresowanie postacią Prymasa wzrasta. Świadczy o tym żywa reakcja czytelników portalu Stacja 7, którzy hojnie odpowiedzieli na apel, aby formułować pytania do naszego bohatera: J*ak nauczyć się zawierzenia Bogu ? Jak wygrać bój z szatanem? Jak rozpoznać wolę Bożą w moim życiu? Dlaczego przez Maryję do Jezusa, a nie od razu do Jezusa? Jak zachęcać do czystości? Do czego człowiekowi ślub? Jak dobrze wybrać? Jak wytrwać w decyzji? Jak nabrać odwagi do życia? Jak radzić sobie z niepewnością jutra?* To tylko niektóre z nich. Były one cennym przewodnikiem przy redagowaniu drugiej części książki.

Paweł Zuchniewicz

Część II

Pytania do Prymasa

Część II Pytania do Prymasa

Bóg

O MODLITWIE

Obudziłem się przed piątą minut dwadzieścia, dręczony snem... – czytamy w „Zapiskach więziennych" Prymasa pod datą 13. III. 1956. – Może nie warto o snach pisać, ale ten, który dzisiaj miałem wyjątkowo zapiszę. – W widzeniu sennym opuszczałem jakiś wielki gmach, po uciążliwej konferencji z Bolesławem Bierutem. Pożegnaliśmy się w hallu. Wychodziłem już, gdy przyłączył się do mnie p. Bierut, z wyraźnym zamiarem towarzyszenia mi. Byłem tym skrępowany, dręczyło mnie wrażenie, co ludzie pomyślą, widząc nas wspólnie na ulicy. Szliśmy długą ulicą, jakby Alejami Racławickimi w kierunku Krakowskiego Przedmieścia w Lublinie. Prowadziliśmy rozmowę; chciałem jeszcze powiedzieć coś p. Bierutowi. Gdy czekaliśmy na skrzyżowaniu ulic na wolne przejście, pan Bierut skręcił na lewo i po przekątnej przeszedł ulicę. Pozostałem sam z myślą: jemu wszystko wolno, nawet gwałcić przepisy o ruchu ulicznym. Wkrótce zniknął mi z oczu, gdzieś w bocznej ulicy. Przechodziłem przez jezdnię w prostym kierunku, pełen lęku przed dwoma groźnymi kozłami, które stały na środku mej drogi. Ale minąłem je bez przeszkód, ciągle szukając p. Bieruta, gdzie zniknął. Oglądałem się za nim, chcąc coś jeszcze mu powiedzieć. Dziwiłem się, że tak nagle mi zniknął. Mój towarzysz, jakiś ksiądz, chciał mi coś tłumaczyć; czy należy się oglądać? W poczuciu, że nie wszystko zostało między nami zakończone, ruszyłem przed siebie prostą drogą, w ulicę Krakowskie Przedmieście. Z tym obudziłem się...

Bolesław Bierut zmarł 12 marca 1956 roku w Moskwie. Prymas – przebywający wówczas w czwartym miejscu odosobnienia w Komańczy — dowiedział się o tym przy śniadaniu, ale już wcześniej, podczas Mszy świętej jak pisze dręczyłem (...) Dobrego Ojca, natarczywiej niż zwykle, prosząc Boga o miłosierdzie dla Jego ludu.

Bierut był bezpośrednio odpowiedzialny nie tylko za walkę z Kościołem, ale także za aresztowanie Prymasa i w związku z tym podpadał pod ekskomunikę. Dla mnie ta okoliczność jest wyjątkowo ciężka, że z mego powodu stanęła jeszcze jedna przeszkoda między sprawiedliwym Sędzią a zmarłym – pisał Prymas. – Jak trudno w takiej sytuacji być pełnym chrześcijaninem! Pogwałcone prawo Kościoła wymaga kary. Cześć należna woli Bożej musi być okazana. To muszę uznać i tego chcieć; muszę chcieć sprawiedliwości Boga, który walczy w obronie swoich pomazańców. A jednak pragnąłbym, by ta ostatnia przeszkoda nie istniała. Tym więcej pragnę modlić się o miłosierdzie Boże dla człowieka, który tak bardzo mnie ukrzywdził. Jutro odprawię Mszę świętą za zmarłego; już teraz „odpuszczam mojemu winowajcy", ufny, że sprawiedliwy Bóg znajdzie w tym życiu jaśniejsze czyny, które zjednają Boże Miłosierdzie.

Czy przez ten sen Bierut chciał coś powiedzieć Księdzu Prymasowi?

> Istnieje nie tylko Sanctorum communio [świętych obcowanie]. Istnieje w świecie komunikacja duchów ludzkich. Tyle razy w ciągu swego więzienia modliłem się za Bolesława Bieruta. Może ta modlitwa nas związała tak, że przyszedł po pomoc. Oglądałem się za nim we śnie – i nie zapomnę o pomocy modlitwy. Może wszyscy o nim zapomną rychło, może się go wkrótce wyrzekną, jak dziś wyrzekają się Stalina – ale ja tego nie uczynię. Tego wymaga ode mnie moje chrześcijaństwo.

Czy Ksiądz Prymas modlił się także za tych, którzy go pilnowali, śledzili i podsłuchiwali?

> Modliliśmy się wiele za naszych opiekunów, których nie uważaliśmy za naszych nieprzyjaciół.

O co modlił się Prymas pozbawiony wolności?

> Ile odprawiliśmy Mszy świętych, prosząc o łaskę powrotu do obowiązków naszego powołania. Niekiedy zdawać by się mogło, że prośby nie są wysłuchane; ale nigdy modlitwy nasze nie były bez śladu w duszy, nigdy nas nie opuszczała ufność i spokój. Modlitwa (...) w Prudniku, była raczej modlitwą dziękczynną niż błagalną. Stwierdzamy, że modlitwa uwielbienia przynosi więcej radości i mocy niż modlitwa błagalna.

Tak było w drugim roku więzienia i w trzecim miejscu odosobnienia. Wcześniej Ksiądz Prymas był w Stoczku Warmińskim. Czy tam modlitwa była podobna?

> Krzepiliśmy ducha swojego nowennami: do świętego Józefa, do Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, do Opieki świętego Józefa, do Matki Bożej Nieustającej Pomocy, do Maryi Pośredniczki Łask, do świętego Piotra w Okowach, do Przemienienia Pańskiego, do Wniebowzięcia Maryi, do Matki Bożej Jasnogórskiej, do Narodzenia Maryi, do Imienia Maryi, do Maryi od Wykupu Niewolników. Przenosiny [do Prudnika] zastały nas w czasie nowenny do Macierzyństwa Maryi. Słowem, żyliśmy w ciągłej modlitwie, która pokonywała wszystkie nasze bóle, smutki i zawody. Ale te smutki przechodziły dziwnie szybko. Chociaż nadzieje nasze na rychłe wyzwolenie się odwlekały, to jednak po każdej ukończonej nowennie zespół nasz był dziwnie pogodny, spokojny i rozradowany. Trzeba raczej przyjąć, że dominowała pogoda i wesołość. Ciężkich smutków nie przeżywaliśmy tragicznie; szybko konały, choćby i przyszły. Chociaż usposobienia nasze są tak różne, to jednak wspólna modlitwa, wspólne ranne rozmyślania, które prowadziłem na głos według mszału benedyktyńskiego, wieczorny różaniec - te siły jednoczyły i zespalały.

Ksiądz Prymas pisał w więzieniu: Czy będę kiedykolwiek w życiu w szczęśliwszym niż teraz położeniu? Co to znaczy?

> Jedna myśl o tym, ilu ludzi modli się (...) za mnie, podnosi na duchu. A przecież stokroć donioślejsza jest sama przedmiotowa wartość modlitwy niż to odczucie. Czy modliliby się tak wiele, gdybym siedział w domu? A wszyscy kapłani, którzy mają obowiązek modlić się pro Antistite [za biskupa diecezji], jak często nawet nie dostrzegają imienia swego biskupa w Kanonie Mszy świętej! Dziś zbliża nas do siebie wspólne cierpienie i ono czyni uważniejszymi. Gdy wrócę z więzienia do domu, na pewno utracę te owoce wzmożonej czujności braterskiej. Prawdziwie, bardziej błogosławionych w owoce duchowe, w pomoc modlitwy, nie zaznam dni. A czegóż więcej do szczęścia potrzeba?

Po aresztowaniu, z dnia na dzień Ksiądz Prymas znalazł się w zupełnie nowej, nietypowej sytuacji. Został nie tylko pozbawiony wolności, ale też możliwości lektury (brak książek), ruchu (w Rywałdzie nie wolno mu było opuszczać pokoju), pracy (brak zaplecza do pisania i tworzenia). Nie było kaplicy, paramentów liturgicznych do odprawienia Mszy świętej. Jak Ksiądz Prymas organizował sobie życie modlitwy w tej sytuacji?

> Znalazłem jedną książkę francuską o świętym Franciszku, niewielką, ale niezwykle wartościową, a drugą książkę włoską - zbiór przemówień. Te dwie książki służyć mi mają jako ćwiczenia językowe. Lekturę przerywam odmawianiem godzin kanonicznych mniejszych, by w ten sposób pracę łączyć z modlitwą. Brewiarz odmawiam chodząc po swoim niewielkim pokoju, by brak powietrza uzupełnić ruchem. Wieczorem, gdy się już robi ciemno - a mamy brak światła - odmawiam różaniec, wędrując po pokoju. Modlę się wiele do mej szczególnej Patronki, Matki Bożej Jasnogórskiej, za obydwie moje archidiecezje, księży biskupów i moich domowników. (...) „Erygowałem" sobie Drogę Krzyżową, pisząc na ścianie, ołówkiem, nazwy stacji

> Męki Pańskiej i oznaczając je krzyżykiem. Resztę — Ecclesia supplet [Kościół dopełni].

Po kilku dniach odprawiania tzw. „suchej Mszy" (bez przeistoczenia z braku opłatka i wina) Ksiądz Prymas otrzymał minimum niezbędne do sprawowania Eucharystii, która jest szczytem modlitwy chrześcijańskiej. Była już materia potrzebna do sprawowania Ofiary, nie było jednak ludu...

> Kapłan musi mieć Boga w dłoniach, by miał z czym stanąć przed Ojcem Niebieskim. Ale musi też mieć i lud przy sobie. Tę samotność przy składaniu świętej Ofiary odczuwa się tak bardzo, jak brak dłoni. Wszak kapłan pro hominibus [dla ludzi] ustanowiony. Toteż na swoją samotną Mszę świętą zwołuję wszystkich, których mi pamięć przywodzi, a zwłaszcza tych, których tak często - przy lada sposobności - zachęcałem do odmawiania różańca świętego, do czci Matki Bożej Jasnogórskiej.

Mówi się, że różaniec to „modlitwa mocy". Do tej modlitwy odwoływał się Ksiądz Prymas przed kościołem świętej Anny w wieczór przed swoim uwięzieniem.

> Przy schodach wiodących do mieszkania rektorskiego zatrzymała mnie gromada akademików i „niewiast ewangelicznych". Prosiłem o modlitwę: „Mówcie różaniec. Znacie obraz Michała Anioła Sąd Ostateczny? Anioł Boży wyciąga człowieka z przepaści na różańcu. Mówcie za mnie różaniec". Tymi słowy pożegnałem dzielną gromadkę.

Ksiądz Prymas wyniósł nabożeństwo do Matki Bożej z domu rodzinnego. Mama jeździła chętnie do Wilna, gdzie znajdował się wizerunek Matki Bożej Ostrobramskiej, a tata na Jasną Górę, by modlić się przed

ikoną Czarnej Madonny. Jakie znaczenie w modlitwie mają obrazy i wizerunki?

> Byłem sercem związany z pięknym posągiem Matki Bożej, stojącym na cmentarzu kościelnym. Później, gdy już byłem w Warszawie, w gimnazjum Wojciecha Górskiego, uczucia swoje przeniosłem na posąg Matki Bożej Passawskiej, na Krakowskim Przedmieściu, przed kościołem Res sacra miser, gdzie zbierały się niektóre klasy szkolne na nabożeństwo. W czasie pobytu w Seminarium Duchownym we Włocławku dwa nabożeństwa się wzajemnie uzupełniały: do Serca Pana Jezusa i do Matki Bożej Jasnogórskiej, której obraz był w bocznym ołtarzu. Święcenia kapłańskie otrzymałem w kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej w Bazylice Włocławskiej. Pierwszą Mszę świętą odprawiłem na Jasnej Górze, przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. Odtąd chętnie wybierałem ołtarz Matki Bożej, by przed nim składać Bogu codzienną Ofiarę. Nabożeństwo maryjne ożywiło się we mnie szczególnie w czasie ostatniej wojny. Związałem się gorąco z ołtarzem Matki Bożej Wrociszewskiej, przed którym spędzałem co dzień długie godziny wieczorne. W ciągu pracy mojej w Laskach, wśród dziatwy ociemniałej, podtrzymywałem ducha strwożonych sytuacją przyfrontowego życia głównie modlitwą do Matki Bożej. Rzecz znamienna, chociaż Zakład przechodził przez bardzo ciężkie chwile obstrzału artyleryjskiego, pacyfikacji Kampinosu, nigdy nie byliśmy zmuszeni do odłożenia wieczornego różańca.

Różaniec to modlitwa kontemplacyjna i zarazem ustna. Łatwo można wpaść w rutynę, odmawiając same słowa a nie rozważając ich treści. Co Ksiądz Prymas sądzi o takim sposobie modlenia się?

> Słowa nieuważne są jak puste pudełka z nieczytelnymi napisami. Modlitwa rozproszona to stos pustych pudełek. Cóż wart magazyn z pustymi pudełkami? Kto się tu pożywi?

Zatem modlitwa zakłada też wysiłek, walkę. W swoim życiu Ksiądz Prymas zawsze liczył na pomoc Matki Bożej. Czy również było tak w życiu modlitwy?

> Rodzę w duszy kamienie tak ciężkie, że nie zdołam utrzymać tego owocu żywota mego. Zrzucam je więc do stóp Twoich, Matko, może po drodze z tych głazów zdołasz doprowadzić mnie do Syna - Drogi. Nie chciał Syn Twój zamienić kamieni w chleb. Bo łatwiej dojść do Syna po skalistej drodze, niż po drodze wymoszczonej bochnami. Może więc i owoc żywota mojego, Matko, będzie błogosławiony. Uśmiechnij się do moich kamieni. To wszystko, na co mnie stać. Reszta do Ciebie należy. I ja też nie chcę, by wszystkie stały się chlebem. Ale pozwól, by chociaż jeden z tych kamyków pożywił mi głodną duszę. Wszak petra autem erat Christus [a ta skała (kamień) — to był Chrystus] (1 Kor 10,4).

Co trzeba robić, aby dobrze się modlić?

> Modlitwa jest takim darem, którego uczyć się nie trzeba; wystarczy chcieć się modlić — a przychodzi. Z jej pomocą najłatwiej jest regulować wszystkie sprawy i zobowiązania; na modlitwie najłatwiej nawiązać kontakt z najbliższymi i zyskać spokój o ich losy. Podobnie jak najłatwiej wywdzięczyć się za okazane dobro. Gdy nadchodzą cierpienia i udręki, również modlitwa pomaga pokonać ich ciężar, gdy składamy Bogu w Jego Ojcowskie dłonie wszystko, co boli.

O ZAWIERZENIU BOGU

Od rana oddaję wszystko, co mnie w tym roku spotkać może, Matce mojej, Niepokalanej Pani Jasnogórskiej. Pragnę, aby i nadal mnie prowadziła, jak to czyni od mego dzieciństwa – pisał Prymas Wyszyński

1 stycznia 1954 roku w Stocku Warmińskim. Miał już za sobą trzy miesiące spędzone w odosobnieniu, absolutnie niewiadomą przyszłość (włącznie z możliwością procesu pokazowego lub wywózki do Związku Sowieckiego), a za sobą akt o doniosłym znaczeniu dla jego życia. 8 grudnia 1953 oddał się w duchową niewolę Jezusowi za pośrednictwem Jego Matki.

Prymas konsekwentnie używał później właśnie tego słowa: „niewola", choć przez to narażał się na niezrozumienie, a nawet krytykę. Nie było to niczym dziwnym w takim kraju jak Polska, która była w niewoli przez ponad sto lat, przeszła przez zniewolenie w czasie okupacji niemieckiej i cierpiała niewolę z powodu komunizmu. Niemniej Prymas, wierny oryginalnemu terminowi użytemu przez św. Ludwika Marię Grignion de Montfort w Traktacie o prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny mówił o niewoli. Termin ten w „łagodniejszej" to właśnie zawierzenie, ale Prymas chciał posługiwać się bardziej radykalnym sformułowaniem. Mogło to w pierwszej chwili budzić negatywną reakcję, lecz zarazem zmuszało do refleksji, nad tym, co tak naprawdę oznacza „uwierzyć". Ideałem Prymasa było takie zawierzenie, którego wzorem była Matka Jezusa.

Pragnę, by Jej Oblicze, widniejące na tarczy mego Prymasowskiego herbu, nigdy nie straciło swych radosnych świateł, by odbierało cześć należną i przez moje czyny, i przez cierpienia, i przez modlitwy – czytamy w dalszym ciągu zapisu z 1 stycznia 1954. – Odnawiam akt oddania się całkowitego przez Jej Ręce przeczyste, w niewolę Jej Synowi, którego piastuje na swoich ramionach. Mój Jezus jest jeszcze maleńki. Ale pragnę, by rósł tak, jak ja mam się umniejszać.

Zawierzenie Maryi nie było teoretycznym aktem, lecz dokonywało się w konkretnych sytuacjach: gdy Archanioł Gabriel zaproponował Jej, aby przyjęła wcielenie Syna Bożego, gdy zabrakło wina w Kanie, a przede wszystkim, gdy patrzyła na Mękę i śmierć Jezusa i gdy jako

jedyna nie straciła wiary, czekając w Wielką Sobotę na Jego zmartwychwstanie.

Podobnie zawierzenie Prymasa dokonywało się w konkretnych sytuacjach i w konkretnych wyborach. Jednym z nich była propozycją władz, które w sierpniu 1955 roku w Prudniku przedstawiły mu propozycję znacznego powiększenia jego osobistej swobody.

Propozycja ta była bardzo kusząca. Jak Ksiądz Prymas na nią zareagował?

> Prosiłem o kilka godzin do namysłu. (...) Po modlitwie doszedłem do wniosku, że nowa sytuacja, jaka miałaby złagodzić izolację, równa się: 1) aprobacie wytworzonej przez dekret sytuacji, aprobacie pozbawienia wolności, domu i pracy; 2) jest zastąpieniem „niewoli bezwolnej" „niewolą dobrowolną"; 3) stwarza warunki, które mogą być okazją do zarzutów i konfliktów z władzami; 4) klasztorowi, w którym będę umieszczony, skomplikuje warunki życia i narazić może na przykrości; 5) może być okazją do komentarzy w społeczeństwie, budzących zgorszenie.
>
> Wobec tych i innych racji, udzieliłem (...) Rozmówcy następującej odpowiedzi: 1) na złożone przedłożenie nie mogę udzielić odpowiedzi; 2) uważam to za nowy wymiar kary – po dwóch latach więzienia – gdy nie mogłem nowych win zaciągnąć – bo jest to pozbawienie domu, pracy i wolności; 3) proszę Rząd o sprawiedliwość.

Takie postawienie sprawy oznaczało rezygnację ze znacznego polepszenia swojej sytuacji. Czy Ksiądz Prymas nie miał wątpliwości co do swojego wyboru?

> Całą sprawę złożyłem w ręce Matki Najświętszej, w duchu wskazań (...) liturgii mszalnej (Dm. X post Pent.): Iacta cogitatum tuum in Dominum et Ipse te enutriet.[Porucz swoją troskę Panu, On sam o tobie mieć będzie pieczę]. – De vultu Tuo iudicium meum prodeat: oculi Tui videant aequitatem. [Od Ciebie niech wyjdzie wyrok

w mej sprawie, oczy Twe widzą, gdzie słuszność]. – Wydaje mi się, że inaczej nie mogłem postąpić. Trudno, żebym stał się współpracownikiem Rządu w sprawie mego ponownego uwięzienia. Miejsce moje, wyznaczone mi przez Stolicę Świętą jest przy katedrze biskupiej; nie mogę więc „wybierać" miejsca pobytu, gdy mam obowiązek rezydować przy katedrze.

A jak zareagowali na ten wybór ludzie wokół?

O decyzji swojej poinformowałem Księdza, wyjaśniając Mu powody mej decyzji. Zdaje się, że początkowo był zdezorientowany i nie doceniał motywów mej odmowy. Wydało mu się, że uzyskanie odrobiny wolności dałoby mi możność jakiejś pracy dla Kościoła. Po namyśle jednak Ksiądz przyznał, że innej odpowiedzi nie mogłem udzielić. (...) Odmowa odpowiedzi na propozycje UB wywarła wielkie wrażenie na moim otoczeniu. Widocznie wszyscy byli przekonani, że propozycje przyjmę skwapliwie. Kierownik zatrzymał Księdza zapytaniem: „Co, Ksiądz Prymas zgodził się?" – Ksiądz wyraził zdziwienie. „Na co?" – „No, na wyjazd do klasztoru". – Zrozumiałem, że moja „zgoda" mogłaby być atutem propagandowym, może nawet dla prasy, może dla przedstawicieli zagranicy.

Do decyzji potrzebne były Księdzu Prymasowi: czas, rozsądek i modlitwa. Ta ostatnia oświetliła całą sytuację światłem wiary. W jaki sposób człowiek zawierzenia modli się do Boga?

Należy się Tobie, Ojcze przyszłego wieku, którego lata nie ustają, formalne wotum zaufania od Twego sługi. Wszystko, czegoś dokonał dla mnie - to miłosierdzie i prawda. Wszystko, czegom dokonał dla Ciebie (...) to dziecięca uległość i niemowlęca ufność . Tyś sam miłością i łaską i mocą! Ja - samolubstwem, grzechem i słabością. Bierzesz całą nieudolność moją w swoje święte Dłonie i zostawiasz na niej ślady miłosierdzia i wyrozumienia. Ty sam sprawiasz we mnie, że nie mogę

stracić wiary w Twoją mądrość i dobroć. Ty sam odmieniasz w oczach swoich moją wolę i moje myśli. Ty sam sprawiasz, że uznaję Twoją sprawiedliwość. Ty sam budzisz w mojej duszy pragnienie ofiary i męczeństwa za Twój Kościół, dla Twojej chwały. Ty sam uśmierzasz we mnie lęk i niechęć do cierpienia. Ty sam wlewasz w serce moje spokój wobec nieznanego i radość ze wszystkiego, co mnie spotkać może. Ty sam sprawiasz, że człowiek zmysłowy i przywiązany do siebie, pragnie zostać wrogiem siebie samego, by zrozumieć Twoją przyjaźń. Ty czynisz, że nie mogę poznać siebie, że zaczynam dziwić się sam sobie(...)

„Soli Deo" (Tylko Bogu) – to hasło wybrane jako motto przy sakrze biskupiej przez Księdza Prymasa oznacza postawę zawierzenia. Jak Ksiądz Prymas mówił o tym Bogu?

Gdybyś nawet nie miał dla mnie, Ojcze Najlepszy, nic więcej jak kamień rzucony złośliwą ręką, to pragnę przyjąć go jak największą łaskę Twoją; pragnę go ucałować, aby — jak świętemu Szczepanowi — wydał mi się słodki. I gdybyś nawet nie miał dla mnie, Ojcze Miłości, żadnego słowa dobrego, tylko obelgę nieprzyjaciół krzyża, tylko potwarz i szyderstwo — to jeszcze pragnę uznać to za łaskę, na którą jedynie zdolny jestem sobie zasłużyć. I gdyby już nie było dla mnie miejsca przy Twoich ołtarzach, Ojcze Wieczystego Kapłana, to jeszcze pragnę w tym widzieć świętość Troistą, która sama jedna zna wartość i godność kapłaństwa i wie, kto jest zdolny godnie Ci służyć. I gdybyś zamknął usta moje tak, żebym nie miał możności więcej wyznawać Syna Twego przed ludźmi — to jeszcze wyznając Cię w sercu swoim, czcić będę potęgę Twoją, która zdolna jest ożywić kamienie ze ścian, by głosiły chwałę Twoją, by wołały go głuchych. Tak, Ojcze, bo wszystko, co od Ciebie przychodzi, co z Twego jest dopuszczenia, jest największą dla mnie łaską, jest znakiem Twojej miłości; wszystko to zasługuje na zawierzenie Tobie.

Mówi się, że pierścień biskupi jest znakiem zaślubin z powierzoną pasterzowi diecezją. Związek ten jest nierozerwalny, ale podlega wielu próbom. Czy Ksiądz Prymas je dostrzegał?

> [Pokusa] wiele się upracuje, by rozerwać tę więź. Miarą oporu w walce z pokusą, jest miara siły więzi z Bogiem. Jeśli nie ustępuje łatwo, to znaczy, że moje zaślubiny są trwałym związkiem. Przyjdzie doświadczenie w ogniu pokusy i człowiek wychodzi z większym jeszcze pragnieniem Ciebie, Oblubieńcze, który trzymasz mnie na zaślubionym pierścieniu moim.

A zatem zawierzenie jest związane z wewnętrzną walką...

> (...) Wraca tragiczna scena z Wielkiego Kuszenia Syna Człowieczego. Do dziś dnia powtarza się w dziejach człowieczeństwa, w życiu Kościoła Chrystusowego, w duszy każdego chrześcijanina. Wielką jest łaską, że Chrystus dał poznać na sobie, jakimi metodami posługuje się kusiciel, jakie są jego kusicielskie chwyty. Czyż nie widzę w sobie, jak wrażliwy jestem na pokusę „chleba", na pokusę łatwizny życiowej, na pokusę „świętego spokoju". Czyż nie dobrze podpatrzył kusiciel moje słabości? Jeślim nie uległ tym pokusom dotąd, to wcale nie znaczy, żem już bezpieczny. Jeślim wytrwał, to czy nie dlatego, że Bóg walczył za mnie?

Ta walka toczy się głęboko w człowieku. Kiedy patrzymy na Księdza Prymasa z zewnątrz widzimy człowieka o wielkiej godności, silnego, umiejącego oprzeć się złu. A co dzieje się w środku, w duszy która staje przed Bogiem?

> Ja nieustannie gubię się w sobie, Ty nieustannie rozpoznajesz się we mnie. Ja ciągle wątpię o sobie, Ty nigdy nie wątpisz we mnie. Ja ciągle się przeceniam lub nie doceniam, Ty ciągle widzisz całą moją prawdę. Ja unoszę się pychą, gdy coś zrozumiem z Ciebie, Ty ciągle dajesz mi pojąć, że jestem analfabetą. Ja wpadam w rozpacz, gdy przegram, Ty

nieustannie mi szepczesz: wystarczy ci łaski mojej, bo moc w słabościach się udoskonala. Ja ciągle szukam mojej drogi, mojej prawdy, mojego życia, Ty zawsze jesteś moją Drogą, moją Prawdą, moim Życiem. Jedna myśl moja o Tobie odsłania mi całą prawdę o mnie. Widzę siebie dobrze tylko w Tobie. Poznaję siebie przez Ciebie. Odnajduję cały sens mego bytu w Tobie. Gdybym już zaginął i przepadł w otchłaniach piekieł, jeszcze bym mógł odzyskać grunt pod nogami przez jeden odruch serca ku Tobie. Jestem nicością bez Ciebie, jestem potęgą w Tobie. „Ja, proch, będę z Panem gadał..."

O WALCE DUCHOWEJ

Gdy na początku 1949 roku arcybiskup Stefan Wyszyński obejmował archidiecezje gnieźnieńską i warszawską, Polska wkraczała w okres, który do historii przeszedł pod nazwą stalinizmu. Po sfałszowanych wyborach (1947), rozbiciu podziemia niepodległościowego i zjednoczeniu PPS i PPR (1948) na celowniku władzy stawał Kościół – ostatnia przeszkoda na drodze do przejęcia rządu nad duszami Polaków.

Kościół miał bogate doświadczenie prześladowań i zastępy męczenników, którzy dowiedli, że są gotowi cierpieć za wiarę aż do oddania wolności i życia. Tą drogą poszli współcześni Stefanowi Wyszyńskiemu jego odpowiednicy na Węgrzech (József Mindszenty) czy w Chorwacji (Alojzije Stepinac).

Tymczasem Prymas podjął próbę, która – przynajmniej pozornie – wiodła w innym kierunku. Zaczął pertraktować z wrogiem wiary. Mimo szykan i ewidentnych niesprawiedliwości parł do podpisania porozumienia z tymi, których celem było zniszczenie Kościoła. Ostatecznie zostało ono zawarte w roku 1950. Wówczas zapytano Prymasa, czy należy negocjować z diabłem. „Z diabłem nie, ale z człowiekiem tak" – odpowiedział.

Ten człowiek, a raczej ci ludzie, z którymi rozmawiał mieli jasno określony cel – wykorzenić wiarę katolicką z narodu. Jednak Prymas rozmawiał, odmawiając utożsamienia swoich wrogów z duchowym wrogiem Boga. Trzy lata później było jasne, że o żadnym porozumienia mowy być nie może. Komuniści ogłosili dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych i tym samym przekroczyli Rubikon. Wtedy biskupi oświadczyli „Non possumus" (Nie możemy dalej się cofnąć). Za tym przyszło aresztowanie Stefana Wyszyńskiego

W filmie „Prymas. Trzy lata z tysiąca" pokazana jest scena podjęcia tej decyzji przez Bolesława Bieruta. Mówi on do swoich współpracowników: „Idziemy po duszę tego narodu". Był to punkt przełomowy, w którym walka ludzka – polityczna, ideologiczna, kulturowa – ujawniła swoje prawdziwe oblicze. Była to walka duchowa.

„Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich" – pisze św. Paweł w Liście do Efezjan. Prymas Wyszyński był doskonale świadom faktu, że ludzie, którzy go skrzywdzili nie są złem, ale ofiarami zła. I wiedział również, że walka nie toczy się z nimi, ale z przeciwnikiem znacznie potężniejszym, który atakuje nie tylko od zewnątrz lecz – co bardziej niebezpieczne – od wewnątrz. Zaś w prześladowcach widział raczej ich słabość oraz moc Boga, który potrafi posłużyć się nawet swoimi wrogami dla realizacji zbawczych zamierzeń.

Dziwna to jest sprawa z tymi Herodami – napisał w Stoczku 6 stycznia 1954 roku – Gdy przesadzą w swej nienawiści, stają się apostołami sprawy, którą zwalczają. Herod pierwszy uwierzył w „Króla Żydowskiego". Zrobił Mu potężną propagandę w całej Jerozolimie. Wysłał do Betlejem naprzód Mędrców. Zasadził do Ksiąg Proroczych uczonych w Piśmie, aby zbadali dobrze, gdzie miał narodzić się Chrystus. Potwierdzili oni nowinę Mędrców. Świat stanął na nogi.

Jeszcze Jezus „niemowlęciem", a już świat herodiański drży. Co będzie, gdy Chrystus urośnie! Jednak nie trzeba wyrzekać się tych apostołów nienawiści, którzy szukają Boga z nienawiścią w sercu i wszystkim głoszą swoją nienawiść. W nienawiści jest wiara, jest lęk, jest uznanie mocy, jest obawa przed wpływami. Przyjdą ludzie, którzy odrzucą nienawiść i zrozumieją nienawidzonego Boga. Prześladowcy Boga pracują dla Jego chwały. Niewiara ma swój sens: nie tylko w tym, że ujawnia słabsze mózgi o nędznej pojemności, niezdolne ogarnąć Boga, ale przede wszystkim w tym, że jest zachętą do wysiłku myślowego, do szukania Prawdy, do wnikliwości, niepokoju. Zdumiewająca rzecz, ilu szatanów wyznawało swą wiarę w Bóstwo Chrystusa (Łk 4,33-41). Chrystus kazał im milczeć, lecz oni nie mogli milczeć: musieli głosić „Świętego Bożego".

Co zatem jest pierwszym warunkiem skutecznej walki z szatanem?

> To siła wiary otwiera myśli i kształtuje je w potężny głos. To oczywistość, której nie tylko nie można zaprzeczyć, ale nie można jej w sobie utrzymać. Ilu ludziom oczywistość wiary tłoczy do ust wyznanie. Ale z człowiekiem bywa nieraz gorzej, niż z szatanem. Bo konwenans, pycha, przesąd — mogą zamknąć usta wyznaniu. Ilu szatanów, podniecając nienawiść w sercach ludzkich do Boga, nauczyło ludzi wierzyć w Boga! Ile krwawych prześladowań Kościoła otwierało oczy ludziom na potęgę Kościoła! Uznali to zwłaszcza pisarze, którzy całe życie strawili na pisaniu bluźnierstw. Gorzej było z szatanami w mundurach, bo tu spotyka się najwięcej ludzi głupich, a tych nawet szatan rozumu nie może nauczyć. Głupota jest najwierniejszym sprzymierzeńcem niewiary. Ale prawdziwy szatan, to mądry duch, który wie, że Jezus jest Chrystusem (Łk 4,41), Synem Bożym.

Czasem wydaje się, że zło jest wszechwładne, a człowiek jest wobec niego bezradny. Jak modlić się w takiej chwili?

> Choćbym się ujrzał na dnie piekieł w obliczu szatana, królującego w całej chwale swojej i potędze nieludzkiej, to jeszcze Królem mego serca będziesz Ty, Chryste, ubiczowany, sponiewierany i ukrzyżowany. Twoje wzgardzone Królestwo stawiam sobie wyżej, gdy je dziś rozważam, niż największą chwałę królestwa ciemności. Gdybym miał dziś wybrać drogi życia mego na nowo, wybrałbym z najwspanialszych bram tę, która prowadzi do kapłaństwa, choćbym w głębi tej drogi widział przygotowaną dla siebie gilotynę. Gdybym miał do wyboru: posiąść na własność bibliotekę Muzeum Brytyjskiego, czy też jeden mszalik, wybrałbym mszalik. Gdybym miał nadzieję odzyskania wolności za cenę najdrobniejszego upokorzenia Kościoła, wybrałbym dozgonną niewolę. Wierzę w żywot wieczny, a więc w życie, które się tylko odmienia, a nie ustaje; mam przeto wiele czasu i wiele cierpliwości.

Ewangelia mówi o wyprowadzeniu Jezusa na pustynię, gdzie po czterdziestodniowym poście był on kuszony przez diabła. Ksiądz Prymas też został wyprowadzony na swoistą pustynię, którą było trzyletnie więzienie. Czy ta analogia dotyczy także pokusy?

> Nieustannie wraca nam tragiczna scena z Wielkiego Kuszenia Syna Człowieczego. Do dziś dnia powtarza się w dziejach człowieczeństwa, w życiu Kościoła Chrystusowego, w duszy każdego chrześcijanina. Wielką jest łaską, że Chrystus dał poznać na sobie, jakimi metodami posługuje się kusiciel, jakie są jego kusicielskie chwyty. Czyż nie widzę w sobie, jak wrażliwy jestem na pokusę „chleba", na pokusę łatwizny życiowej, na pokusę „świętego spokoju". Czyż nie dobrze podpatrzył kusiciel moje słabości? Jeślim nie uległ tym pokusom dotąd, to wcale nie znaczy, żem już bezpieczny. Jeślim wytrwał, to czy nie dlatego, że Bóg walczył za mnie?

Tę walkę wielu ludzi przegrało i nadal przegrywa. Dlaczego?

> Walka dziś toczona z Kościołem zwycięża w wielu ludziach właśnie dlatego, że pieką sobie chleby z kamieni, rzuconych Kościołowi pod nogi; że pozwalają się nosić na rękach złym duchom, że nieustannie padają plackiem na twarz, bijąc służalcze hołdy wszystkim kusicielom. To są współcześni katolicy „postępowi". W czym? „Postępowi" w złu! Czynią nieustanny postęp w uległości wszystkim, coraz słabszym pokusom. Czy mam się z nich gorszyć? Nie, raczej mam mądrzeć, abym sam nie był kuszony „od diabła". By mnie uratować przed pokusą, Duch Boży zaprowadził mnie na tę puszczę. Ale i tu nie jestem wolny od pokus: są to walki z sobą, aby już nie myśleć, że mogą być inne drogi niż te, którymi prowadzi mnie Duch Boży.

To naturalne, że będąc w więzieniu Ksiądz Prymas nie godził się z tym. Przecież chciał wrócić do diecezji, do pracy wśród ludzi. Musiało to być szczególnie dokuczliwe w okresach, gdy liturgia ma większą intensywność, a naturalne miejsce biskupa jest w jego katedrze...

> [To] jedna z „najświętszych" pokus! (...). Kto moim dzieciom otworzy oczy na te cuda myśli Bożej, patrzące z liturgii Kościoła? Wszak łaskę stanu dla moich dzieci mam przede wszystkim ja! I obowiązek, i zrozumienie, i gotowość... I to wszystko ma ucichnąć, zmilknąć, nie dojść do głosu, chociaż w duszy kipi? Oby moje „kamienie" stały się chlebem! Ojcze — dla nich! „Rzuć się na dół!" Już teraz!... Boże Niezbadany! (...) Ojcze! Daj moc zwyciężyć i tę pokusę — najświętszą pokusę „służenia Tobie coram populo" [wobec ludu — publicznie]. Czyż nie są większą chwałą Twoją „święte wyrzeczenia", pozorna bezcelowość takiego życia, wydanie na łup Twej woli najszlachetniejszych porywów, ukrzyżowanie swej gorliwości, poddanie swego zapału pasterskiego Twojej rozrzutności?... Mam ucichnąć raz jeszcze; mam zamknąć usta, skrępować wolę, uwiązać swe popędy kapłańskie.

Przecież „święte" bardziej się należy Tobie niż grzeszne! Zdradzam siebie, dla Ciebie!

Ksiądz Prymas po osadzeniu w więzieniu musiał się konfrontować z wieloma pokusami: nienawiści wobec prześladowców, oddania się przygnębiającym myślom, zabiegania o znalezienie sposobu uwolnienia, wreszcie – smutku z powodu oderwania od swojej służby i ludzi, do których został posłany. W tej sytuacji szuka sprzymierzeńca i znajduje go w Maryi, której oddaje się w niewolę 8 grudnia 1953 roku. Dlaczego Matka Jezusa jest takim skutecznym wsparciem w walce z szatanem?

Cofnijmy się do zdarzenia, jakie miało miejsce jeszcze w raju. Oto pierwsi rodzice strapieni są swą słabością, niedolą i upadkiem. Zda się, iż znikąd nie ma dla nich ratunku. Ale Bóg, który jest Miłością, spieszy natychmiast z pomocą i pociechą. Obiecuje im Odkupienie. Przyjdzie ono przez Niewiastę. Jej błogosławiony Owoc, Jej Syn, zetrze głowę węża – szatana, chociaż ten będzie nieustannie czyhał na Jej stopę. Wprawdzie daleko do tej chwili, ale już jest nadzieja, że przez błogosławiony Owoc żywota Niewiasty, przyjdzie światu zbawienie. Jeszcze Jej nie znają, ale wiedzą, do kogo się uciekać w potrzebie, do kogo kierować swoje modlitwy i tęsknoty. Tak też czynili prorocy w długim okresie oczekiwania na przyjście Zbawiciela.

O ROZPOZNAWANIU WOLI BOŻEJ

Pamiętajcie, że najcięższym grzechem, jaki popełniłem w życiu, było to, że nie od razu zgodziłem się z wolą papieża, gdy kardynał Hlond zwiastował mi objęcie biskupstwa w Lublinie. Nie mogę sobie tego darować, gdyż myślałem wtedy o sobie, a nie o tym, że Bóg jest mocny w mojej słabości.

Słowa te wypowiedział Prymas Wyszyński 25 marca 1981 roku podczas pobytu w Choszczówce, gdzie przyjechał na krótki wypoczynek. Świadkiem tego niezwykłego wyznania była zmarła kilka lat temu Barbara Dembińska. Kardynał Wyszyński wspominał wówczas dzień 25 marca 1946 roku, kiedy usłyszał od Prymasa Augusta Hlonda, że Pius XII powołał go na biskupa lubelskiego. Nominacja była dla niego szokiem, poprosił więc o jeden dzień do namysłu. Wydawałoby się to zupełnie naturalne, a jednak z perspektywy całego życia Prymas patrzył na tamtą decyzję w kategoriach grzechu. Dlaczego? Częściowe wyjaśnienie znajdujemy w jego własnych słowach: myślałem wtedy o sobie, a nie o tym, że Bóg jest mocny w mojej słabości. Znaczyć to może, że wtedy większą ufność pokładał we własnych siłach, a nie w łasce Tego, który stawia przed nim zadanie. Warto też zauważyć, że 25 marca był w życiu Prymasa ważną datą także ze względu na jego pobożność maryjną. Na dziewięć miesięcy przed Bożym Narodzeniem Kościół świętuje bowiem Zwiastowanie – dzień, w którym archanioł Gabriel obwieścił Maryi wolę Boga: „Oto poczniesz i porodzisz syna". Wówczas – po Jej zgodzie – począł się Jezus Chrystus.

Zwiastowanie jest pierwszym obrazem doskonałego posłuszeństwa woli Bożej w Nowym Testamencie, a roztropna lecz bezzwłoczna odpowiedź Maryi niewątpliwie była wzorem do naśladowania dla Stefana Wyszyńskiego. Później wiele razy miał odpowiadać TAK Bogu i nie były to odpowiedzi łatwe. Jednak Prymas w tym, co go spotyka rozpoznawał rękę Boga. Widać to szczególnie w jego refleksjach po uwięzieniu. Tak opisuje on w „Zapiskach więziennych" pierwsze wrażenia z miejsca odosobnienia w Rywałdzie po tym jak opuścili go funkcjonariusze UB.

Zostałem sam. Na ścianie, nad łóżkiem, wisi obraz z podpisem: „Matko Boża Rywałdzka, pociesz strapionych". To był pierwszy głos

przyjazny, który wywołał wielką radość. Przecież stało się to, czym tyle razy mi grożono: pro nomine Jesu contumelias pati [cierpieć dla imienia Jezusa] Lękałem się, że już nie będę miał udziału w tym zaszczycie, którego doznali wszyscy moi koledzy z ławy seminaryjnej. Wszyscy oni przeszli przez obozy koncentracyjne i więzienia. Większość z nich oddała tam swe życie; kilku wróciło w stanie inwalidów, jeden umarł po odbyciu więzienia polskiego.

Czy Ksiądz Prymas spodziewał się, co go spotka?

> Wypełniła się w części zapowiedź, którą w roku 1920 na wiosnę dał nam profesor liturgiki i dyrektor Seminarium Niższego we Włocławku, ks. Antoni Bogdański. Niezapomniany ten człowiek podczas pewnego wykładu liturgii powiedział: Przyjdzie czas, gdy przejdziecie przez takie udręki, o jakich człowiek naszego wieku nawet myśleć nie umie. Wielu kapłanom wbijać będą gwoździe w tonsury, wielu z nich przejdzie przez więzienie. Niewielu z moich kolegów zapamiętało te słowa. Zapadły mi one głęboko w duszę. Gdy w roku 1939 odwiedzałem ks. Bogdańskiego w Skulsku, na łożu śmierci, pamiętałem o nich. Kazał mi wtedy gotować się do ciężkiej i odpowiedzialnej drogi, która w życiu kapłańskim mnie czeka. Oczy tego płonącego człowieka patrzyły z głębi zapaści niezwykłym światłem. Na pierwszym zjeździe koleżeńskim, po wojnie, przypomniałem kolegom te słowa; ci, co pozostali, nie robili wrażenia, by je zapamiętali.

Jak Ksiądz Prymas przyjął pozbawienie go wolności?

> Mój brat [Tadeusz] odsiedział obozy i więzienia: sowieckie, niemieckie i polskie. Większość księży i biskupów, z którymi pracowałem, przeszła przez więzienia. Byłoby coś niedojrzałego w tym, gdybym ja nie zaznał więzienia. Dzieje się więc coś bardzo właściwego; nie mogę mieć żalu do nikogo. Chrystus nazwał Judasza „przyjacielem".

> Nie mogę mieć żalu do tych panów, którzy mnie otaczają i byli dla mnie dość grzeczni. Oni mi przecież pomagają do dzieła, którego nieuchronność od dawna była oczywista dla wszystkich. Muszę docenić to wszystko, co mnie od tych ludzi spotyka.

Ksiądz Prymas obejmował swój urząd w apogeum stalinizmu, gdy jasne było, że chrześcijanie muszą się liczyć z prześladowaniami. Co w tym czasie pasterz Kościoła w Polsce rozpoznawał jako wolę Bożą dla swoich działań?

> Od początku swej pracy stałem (...) na stanowisku, że Kościół polski zbyt wiele oddał już krwi w niemieckich obozach koncentracyjnych, by mógł nierozważnie szafować krwią pozostałych kapłanów. Męczeństwo jest, niewątpliwie, wysoce zaszczytne, ale Bóg prowadzi Kościół nie tylko drogą nadzwyczajną – męczeństwa, ale i zwyczajną – pracy apostolskiej. Owszem, byłem zdania, że dziś nam potrzeba innego rodzaju męczeństwa – męczeństwa pracy, a nie krwi. (...)
>
> Do Warszawy przybyłem z zarysem programu; nie był to program do końca wyraźny. Nie byłem jednak daleki od rozpoczęcia pracy od wizyty u Prezydenta Rzeczypospolitej. Sposób, w jaki potraktowano mnie zaraz w początkach, szykany czynione przez policję w czasie ingresu do Gniezna, zachowanie się prasy itp. – doradzały mi zająć postawę wyczekującą.
>
> (...) Do kół kierowniczych Episkopatu należało tak prowadzić sprawy Kościoła „w polskiej rzeczywistości", by oszczędzić mu nowych strat.

Ten motyw musiał niewątpliwie znajdować się u podstaw zawarcia przez Episkopat „Porozumienia" z rządem komunistycznym. W Watykanie krok ten spotkał się z niezrozumieniem. Komuniści z kolei wykorzystywali ten dokument do dalszego nękania Kościoła. Czy podpisanie Porozumienia było rzeczywiście wolą Bożą?

> Wydało mi się, że ułożenie kilku punktów tego m[odus] v[ivendi] jest możliwe i niezbędne, jeśli Kościół nie ma stanąć w obliczu nowego, może przyspieszonego i drastycznego w formach wyniszczenia.

Porozumienie zostało podpisane w roku 1950. Przez te trzy lata rząd nieustannie je łamał. Czy konieczne było jego podpisanie?

> Wierzyłem, że ułożenie stosunków jest konieczne, podobnie jak nieunikniony jest fakt współistnienia narodu o światopoglądzie katolickim z materializmem upaństwowionym. Można było przestrzegać, że stanowisko nie jest równe, bo gdy my stajemy do obrad ze względów zasadniczych, druga strona politykuje, prowadzi grę taktyczną, dąży do „skompromitowania Kościoła" – jak często mówiono w kołach społecznej opozycji. Nawet gdy się przyjmie pod uwagę częste zapewnienia rządowych członków Komisji Mieszanej, obradującej nad „Porozumieniem", że kierują się wolą dochowania paktów – to jeszcze można było przyznać jakąś rację ostrożnym, że postawa obydwu stron jest nierówna. Ale właśnie wychodząc z tych założeń zasadniczych nauki Kościoła, nie można było powiedzieć: nie chcemy porozumienia, bo Kościół zawsze chce porozumienia, nawet wtedy, gdy trzeba czynić ustępstwa – jak o tym świadczy historia konkordatów.

Trzy lata po podpisaniu Porozumienia Ksiądz Prymas został aresztowany. Jak w tych okolicznościach więzień rozpoznaje wolę Bożą?

> Postanawiam sobie tak urządzić czas, aby zostawić jak najmniej swobody myślom docieklym. I dlatego (...), rozpocząłem lekturę kilku książek, na zmianę, by rozmaitość tematu chroniła od znużenia. (...) Lekturę przerywam odmawianiem godzin kanonicznych mniejszych, by w ten sposób pracę łączyć z modlitwą. Brewiarz odmawiam chodząc po swoim niewielkim pokoju, by brak powietrza uzupełnić ruchem. Wieczorem, gdy się już robi ciemno – a mamy brak światła – odmawiam różaniec, wędrując po pokoju. Modlę się wiele do mej

szczególnej Patronki, Matki Bożej Jasnogórskiej, za obydwie moje archidiecezje, księży biskupów i moich domowników.

Bliskie Księdzu Prymasowi osoby – rodzina (szczególnie ojciec) i współpracownicy pragnęli uwolnienia więźnia i na pewno się o to modlili. Bywa tak, że modlimy się gorliwie o coś, a to nie przychodzi. Jak w takiej sytuacji rozpoznać wolę Bożą?

Rzecz szczególna, jak blisko „niezachwianej wiary" krąży lęk. Człowiek, który mocno wierzy, tak bardzo wszystkiego się spodziewa rychło od Boga, że każda zwłoka wywołuje niepokój. Nie jest to niewiara, ale „zaskoczenie" na punkcie konfliktu: „Potęga – Dobroć Boża". Lękam się o ludzi, którzy bardzo wierzą w skuteczność modlitwy, by nie chcieli zbyt szybkich rezultatów swej modlitwy, by w razie zwłoki z odpowiedzią Bożą nie ustali. Wiem od początku, że „moja sprawa" wymaga czasu i cierpliwości, że będzie trwała długo. Jest Bogu potrzebna: jest nie tyle sprawą „moją", ile sprawą Kościoła. A takie sprawy trwają długo.

Coraz wyraźniej widzę, że miejscem najwłaściwszym na obecny moment bytowania Kościoła jest dla mnie więzienie – czytamy w Zapiskach Prymasa. – Czy to znaczy, że Bóg, którego nazywamy dobrym Ojcem chciał cierpienia swojego kapłana i biskupa?

Raz po raz dochodziły do mnie głosy ze strony ludzi badających nurty społecznych myśli, że to społeczeństwo nie zawsze jest dostatecznie zorientowane w taktyce „politycznej" Episkopatu. (...) Mówiono o tym, że Kościół zabezpiecza się sam „jak może"; że biskupi niedostatecznie bronią księży. (...)

Proces bp. Kaczmarka był przyjęty wprawdzie przez opinię nieufnie; reżyserowie i tym razem przesadzili. (...) Jednak koszmar [tej] sprawy (...) nadal ciążył nade mną.

> Wydało mi się, że to nie wszystko, że dla utrzymania autorytetu moralnego Episkopatu Polski musi się stać coś więcej. – I tu właśnie przyszedł mi z pomocą sam Rząd. Stało się! – Jestem „w więzieniu". To jest odpowiedź Episkopatu na sprawę bp. Kaczmarka. Biorąc rzecz z punktu „politycznej racji stanu", Rząd nie mógł popełnić większego błędu, jak dopuszczenie do bliskiego następstwa tych dwóch faktów: proces biskupa Kaczmarka i moje wywiezienie. Bo zestawienie tych dwóch faktów jest bardzo wymowne.

Gdyby w 1946 roku ksiądz Stefan Wyszyński nie zgodził się na biskupstwo lubelskie, to pewnie by nie zostałby Prymasem Polski i nie trafiłby do więzienia. Czy warto było zostać biskupem?

> Niczego nie uczyniłem w życiu swoim, by do tego wyniesienia dojść. Bóg działał sam: On wybierał, On posyłał, On wymagał. Widzę to w sobie bardzo jasno. (...) Bóg nieskończenie miłujący dzieła swoje, wszystko czyni według swej natury. We wszystkim więc, co człowieka w życiu spotyka, trzeba dopatrzeć się śladów tej Bożej miłości. Wtedy wstępuje radość do duszy, która może całkowicie zaufać kierowniczej Mądrości Bożej.

Dwa miesiące odosobnienia zaowocowały aktem, który Ksiądz Prymas złożył w Stoczku Warmińskim 8 grudnia 1953 roku. Więzień – ktoś, kto najbardziej na świecie pragnie wolności – uznaje siebie za niewolnika. Czy to też była wola Boża?

> Przez trzy tyg[odnie] przygotowywałem duszę swoją na ten dzień. Idąc za wskazaniami bł. Ludwika Marii Grignion de Montfort, zawartymi w książce: O doskonałym nabożeństwie do N[ajświętszej] Maryi Panny – oddałem się (...) przez ręce mej najlepszej Matki w całkowitą niewolę Chrystusowi Panu. W tym widzę łaskę dnia, że sam Bóg stworzył mi czas na dokonanie tego radosnego dzieła.

O BOŻYM UNIŻENIU

Pierwsze Boże Narodzenie Prymasa Wyszyńskiego w więzieniu wypadało dokładnie trzy miesiące po jego aresztowaniu. Przebywając w Stoczku Warmińskim razem z księdzem Stanisławem Skorodeckim, siostrą Leonią Graczyk i około setką strażników, pisał w dzień wigilijny:

W naszej rodzinie domowej — pogodnie i świątecznie. Wzmacniamy się modlitwą i staramy się o to, by nie pokazywać Ojcu Niebieskiemu i Matce Bożej smutnych twarzy. Tyle dziś radości w niebie i na ziemi; czyż można zamącać tę harmonię naszą sprawą? Nasi opiekunowie są poważni, zachowują się bardzo grzecznie i cicho.

Owo „staramy się" miało swoje głębokie uzasadnienie. Nie chodziło tylko o sam fakt uwięzienia, ale o szykany jakich doznawał autor tych słów. Tydzień wcześniej otrzymał z domu paczkę, w której nie było listu od ojca. Czy tata nie odpisywał na jego listy, bo był chory, czy też po prostu komuniści blokowali korespondencję między nimi? Prymas domyślał się, że raczej to drugie, ale to nie zmniejszało jego niepokoju o ojca i jego stan, szczególnie, że był to już człowiek starszy i schorowany. Miał jeszcze nadzieję, że w tym wyjątkowym czasie, gdy rodziny spotykają się przy wigilijnym stole i łamią się opłatkiem, władze przepuszczą list od taty. Jednak tak się nie stało.

Tę chęć okazania mi swej przewagi wybaczam swoim opiekunom – zapisał. – Nie zmuszą mnie niczym do tego, bym ich nienawidził.

Tego samego dnia, około południa do jego pokoju zapukał komendant.

„Przepraszam, paczuszka przyszła, zdaje się od panny Okońskiej". Wyszedł, zostawiając na stole małe pudełko, odpakowane. Wiedziałem, co jest wewnątrz. To żłóbek dla naszej kaplicy.

Jak doszło do doręczenia tej zaskakującej przesyłki? Otóż Maria Okońska, bliska współpracowniczka Prymasa i jego duchowa córka, miała znajomości ... w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

Znała nie byle kogo, bo samą Julię Brystygierową, która stała na czele Departamentu V tego ministerstwa. Poznała ją w dość przykrych okolicznościach, gdy została aresztowana i osadzona w więzieniu za działalność apostolską. Po interwencjach Wyszyńskiego, wówczas jeszcze biskupa lubelskiego, została zwolniona. To ona doprowadziła do spotkania Brystygierowej z Prymasem w Wielki Piątek 1949 roku. W grudniu 1953 roku poszła do MBP i poprosiła o przekazanie żłóbka.

Miałem dziwne przeczucie, że Dzieciątko Boże trafi do nas jakąś drogą – zanotował Prymas. – Trafiło! I radość, i wdzięczność za tę delikatną pociechę. „Dzieciątko Boże" objawiło się dopiero przy wieczerzy wigilijnej, którą spożywaliśmy we troje, o godzinie 19.

Tydzień później, w pierwszy dzień Nowego Roku 1954, przechadzając się po ogrodzie z księdzem Skorodeckim, usłyszeli słabe odgłosy muzyki i śpiewu.

Nigdy dotąd nie dotarł do nas żaden żywy, ludzki znak życia religijnego ze świątyni, która przylega do naszego więzienia. Powoli rozróżniamy melodię kolędy: „Pójdźmy wszyscy do stajenki". Śpiewa lud, towarzyszą organy. Przy bardzo pilnym nadsłuchiwaniu docierają do nas jedynie zrozumiałe słowa: „Coś się narodził tej nocy, byś nas wyrwał z czarta mocy".

Każde z tych wydarzeń – samych w sobie drobnych i zdawałoby się nieistotnych – Prymas traktował jako swoiste prezenty od Pana Boga, pocieszenie w cierpieniu. Jednocześnie nie tracił nadziei, że jego sytuacja ulegnie zmianie na lepsze. Przecież był wiernym synem Maryi, a rozpoczynający się rok to jubileusz stulecia ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny.

Jubileusz ten już zaczęliśmy przygotowywać przed moim aresztowaniem. Gorącym moim pragnieniem jest, bym mógł się przyczynić do pogłębienia duchowego tych uroczystości przez przygotowanie swoich archidiecezji. Zamierzałem dokonać konsekracji nowej świątyni ku

uczczeniu Niepokalanego Poczęcia w Niepokalanowie. Konsekracja była ustalona na 8 września br. Obym dostąpił tej wielkiej łaski!

Jak wiemy, ta nadzieja się nie spełniła i nie spełniło się jeszcze wiele innych nadziei Prymasa zarówno w więzieniu jak i po wyjściu z niego.

Dlaczego chrześcijaninowi, który pragnie być wierny zawsze wiatr w oczy wieje?

> Niewątpliwie, każdy z nas ma głębokie pragnienie miłowania Boga i każdy myśli zapewne w swym idealnym programie, że wystarczy oddać się Bogu, a będzie już pokój i szczęście. Nieraz wydaje się nam, że już niczego nie powinno nam braknąć, jeżeli mamy najlepszą wolę służenia Bogu. Wszystkie trudności powinny wtedy ustąpić. Ale w rzeczywistości tak nie jest. Przeciwnie, im więcej mamy dobrej woli, którą niekiedy niesłusznie sobie przypisujemy, zamiast przypisać ją działającej łasce, tym więcej rodzi się trudności. Ale cóż w tym dziwnego?! Miłość musi być próbowana, jak złoto w ogniu. Tylko mała miłość w ogniu prób kruszeje. Wielka miłość oczyszcza się i rozpala. A Bóg chce od nas wielkiej miłości.

Czy Boże Narodzenie – trzykrotnie przeżyte w więzieniu w latach '53, '54 i '55 – pomogło Księdzu Prymasowi w zrozumieniu tej zasady?

> Ileż było niespodziewanych trudności przed przyjściem Jezusa na świat! Oto najpierw wątpliwości sprawiedliwego Opiekuna Józefa, o których mówi Ewangelia [...] Mszy świętej z Wigilii Bożego Narodzenia. Józef, widząc Maryję brzemienną, zamierzał ją potajemnie opuścić, aby nie narazić Jej na zniesławienie. [...] My nie jesteśmy nawet w stanie zrozumieć, jak trudna musiała być sytuacja Najczystszej z dziewic, którą Bóg wybrał sobie spośród miliardów! W jak delikatnej pozycji Ją ustawił. Józef znał Ją dobrze i żadna niewłaściwa myśl nie przyszła mu do głowy, ale jednak do końca wszystkiego nie rozumiał, dopóki mu to nie było przez Boga wyjaśnione.

> Na olbrzymią próbę wystawiona była Niepokalana, nietknięta przez grzech. Patrzcie jak wiele Bóg wymaga od wybranych swoich, jak ciągle „poprawia" własny program, jak podnosi wymagania! To prawdziwa ogniowa próba miłości! A potem było coraz trudniej... Oto nagła podróż do Betlejem, w najniewłaściwszej chwili, bo na kilka dni niemal przed narodzeniem Dziecięcia! [...] A później, w Betlejem, nowa komplikacja: po uciążliwej drodze pukanie od drzwi do drzwi... Nic gotowego. [...] Nie mnóżmy już przykładów i faktów, bo nie o to idzie. Idzie o większą, największą miłość...! Te przykłady to tylko znak. Idzie o to, abyśmy zrozumieli w głębi nocy – tego „medium silentium" – jak nieustannie musimy poprawiać naszą miłość i jak bardzo musimy ufać Bogu nie czyniąc Mu wymówek.

Ksiądz Prymas hasłem swojego życia uczynił słowa „Soli Deo per Mariam" (Tylko Bogu przez Maryję). Pracował ciężko jako biskup dwóch wielkich diecezji i niczego innego nie pragnął jak realizować w tej pracy program zakreślony w motto biskupim. To było za mało dla Boga?

> Bóg jest przeciwnikiem naszego minimalnego programu, który niekiedy sobie zakreślimy, mówiąc: masz mnie całego i czego chcesz więcej? Tymczasem On powiada: chcę ciebie jeszcze większego, jeszcze wspanialszego. Wymawiamy się powtarzając: nie mogę już więcej! – Jak to nie możesz? Wszak wszystko możesz w Tym, który cię umacnia! – Ale jestem słaby, nieudolny. – To nic! W przeciwnościach, w cierpieniu, w słabościach moc doskonalszą się staje. Miłość doświadczana – ta dopiero się liczy! – W męce i doświadczeniu dopiero się ją poznaje.

W dzień pierwszej więziennej wigilii do Księdza Prymasa dotarł żłóbek z Dzieciątkiem, co wywołało wielką radość. Dlaczego ten znak jest tak ważny?

> Bóg stworzył nas z miłości i obdarzył po królewsku, jak istne królewiątka, dzieci Wielkiego, Niebieskiego Króla. Cały wszechświat i jego nieskończone piękno – dla nas! Cała miłość Boża i ludzka – nasza! A jednak nie poznaliśmy się na Jego miłości! Dopiero, gdy Ojciec Syna nam dał, gdy położył Go w żłobie, na sianie, między bydlętami, gdy Syn Boży stał się bezbronnym Dziecięciem, gdy zakwilił, zapłakał, a potem wyciągnął ręce na krzyżu, poznaliśmy, jak Bóg umiłował świat. Dopiero wtedy otworzyły się nam oczy na Jego miłość! [...] Tak, dopiero wtedy, w żłobie, na sianie, w poniżeniu i opuszczeniu Syna Człowieczego poznaliśmy się na Jego miłości. Zrozumieliśmy, że miłość to Bóg, że Bóg jest Miłością, że nas aż tak umiłował...! A czyż Bóg nie ma prawa próbować naszej miłości? I żądać więcej, więcej? [...] Bóg będzie ciągle podnosił swoje wymagania. – Do jakich granic? – pytamy. Kiedy to się wszystko skończy? Bez granic i nigdy się nie skończy! Jesteśmy dziećmi Wieczności. Urodzeni z Boga, który nie umiera, trwamy na wieki. Tego nas uczy betlejemski żłób! Ale pojąć to możemy tylko w sercu niezgłębionego milczenia...

O MARYI

Z woli Bożej jestem znowu wśród gromady kobiet – notował Prymas w „Zapiskach więziennych" pod datą 8.12.1955. Był już w trzecim miejscu internowania, w Komańczy, w klasztorze sióstr nazaretanek. – Zapamiętam sobie: ilekroć wchodzi do twego pokoju kobieta, zawsze wstań, chociaż byłbyś najbardziej zajęty. Wstań, bez względu na to, czy weszła matka przełożona, czy siostra Kleofasa, która pali

w piecu. Pamiętaj, że przypomina ci ona zawsze Służebnicę Pańską, na imię której Kościół wstaje.

Postanowieniu temu pozostał wierny do końca życia. Jego współpracowniczki z Instytutu Prymasowskiego wspominają, że dopóki jeszcze mógł się poruszać – zawsze wstawał, gdy wchodziła kobieta.

Pamiętaj, że w ten sposób płacisz dług czci twojej Niepokalanej Matce, z którą ściślej jest związana ta niewiasta niż ty. W ten sposób płacisz dług wobec twej rodzonej Matki, która ci usłużyła własną krwią i ciałem... Wstań i nie ociągaj się, pokonaj twą męską wyniosłość i władztwo... Wstań nawet wtedy, gdyby weszła najbiedniejsza z Magdalen... Dopiero wtedy będziesz naśladować Twego Mistrza, który wstał z Tronu po prawicy Ojca, aby zstąpić do Służebnicy Pańskiej... Wtedy dopiero będziesz naśladował Ojca Stworzyciela, który Ewie na pomoc przysłał Maryję... Wstań, bez zwłoki, dobrze ci to zrobi.

Charakterystyczne, że słowa te zapisał pod datą 8 grudnia, czyli dokładnie dwa lata po tym, jak oddał się w niewolę Maryi w Stoczku Klasztornym (Warmińskim). Tego dnia Kościół świętuje uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Pięć miesięcy później, 12 maja, w 10 rocznicę sakry biskupiej modlił się:

Twój niewolnik składa wszystko w Twoje Królewskie Dłonie, szczęśliwy, że może ogołocić się dla Ciebie. - O jedno proszę, byś wziąwszy wszystko moje, chciała bronić Kościoła Chrystusowego, Tobie oddanego, Twemu Sercu Niepokalanemu, przed dziesięciu laty[76]. Ochraniaj go płaszczem macierzyńskim, skryj go w Sercu Twoim. Jeśli jest Ci to potrzebne, zabij mnie, aby mógł żyć w Polsce Kościół Syna Twego.

[76] Prymas nawiązuje do Aktu Poświęcenia Polski Niepokalanemu Sercu Maryi, który biskupi polscy złożyli 8 września 1946 roku.

„Zabij mnie" – to bardzo mocne słowa i możemy być pewni, że Prymas miał na myśli to, co zapisał. Świadczą o jego determinacji w całkowitym zawierzeniu się Matce Boga. Był rzeczywiście gotów na wszystko, a jeśli nazywał się Jej niewolnikiem to uznawał, że ma Ona całkowite prawo do jego życia, tak jak w starożytności właściciel miał prawo decydować o życiu i śmierci tego, który znajdował się w jego posiadaniu. Ten radykalizm – znany w historii duchowości – był do przyjęcia w osobistej relacji z Jezusem i Maryją. Prymas jednak poszedł dalej. Wiedząc jak wielkie owoce dla jego duszy przyniosła ta duchowa niewola, postanowił podzielić się tym z ludźmi, którzy zostali powierzeni jego duszpasterskiej trosce. Stąd po uwolnieniu z więzienia rozpoczął nie tylko Wielką Nowennę przed Tysiącleciem Chrztu, ale związał z nią osobę Maryi pielgrzymującej w kopii Ikony Jasnogórskiej po całej Polsce. Przygotowywał w ten sposób rodaków do aktu oddania Polski w macierzyńską niewolę Maryi. A to budziło niezrozumienie i nawet opór, także wśród samych ludzi Kościoła.

„Niewola" nigdy nie kojarzyła się dobrze, a już na pewno nie budziła dobrych skojarzeń wśród ludzi żyjących w zniewoleniu komunistycznym. Czy warto było obstawać przy tym określeniu, skoro tak razi?

> Tu i ówdzie powstają wątpliwości, czy słowo „niewola" nie będzie obrażać uszu człowieka współczesnego. Wielu spośród nas poddaje się również tej małodusznej sugestii. Ale może dlatego słowo to jest tak drastyczne, że człowiek współczesny jest zewsząd skrępowany więzami i łańcuchami wszechstronnej niewoli. Jakże tej niewoli jest wiele! Jest niewola odwagi chrześcijańskiej, która załamuje się pod naciskiem propagandy i niewiary, wyrzekając się często dla kęsa chleba i dla wygodniejszego życia – Krzyża, Ewangelii, Kościoła i wierności służby Bożej. Jest straszliwa niewola dusz skrępowanych grzechem, pozbawionych łaski uświęcającej. Jest niewola osoby ludzkiej, gniecionej

przez programy polityczne, które godzą w prawa człowieka, w życie dusz i ciał. Jest niewola małżonków chrześcijańskich, których odziera się z sakramentalnego charakteru małżeństwa. Jest niewola rodzin, które chociaż gotowe byłyby wypełnić po chrześcijańsku swoje posłannictwo, jakże często lękają się przekazać życie, niepewne, czy zdołają wychować młodzież, by wierna była Chrystusowi. (...) To słowo może nas więc słusznie trwożyć i lękać, a jednak żyjemy w niewoli, i to wielostronnej niewoli, a już najbardziej – w niewoli samych siebie.

Jaki to ma związek z oddaniem się w niewolę Maryi?

Kto nam da smak innej niewoli, słodkiej, upragnionej, pożądanej, w którą pójdziemy dobrowolnie i która stanie się naszą prawdziwą wolnością, jeśli nie Ta, w której macierzyńskiej niewoli przebywał sam Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus! On zamknął się dobrowolnie pod Jej Sercem, poddał się Jej całkowicie w domku nazaretańskim. Ona czuwała nad Jego krokami apostolskimi i nad Ofiarą Kalwarii. Komuż oddamy Naród, rodziny, nasze miasta i wsie, nasze parafie i diecezje, nasze stany i zawody, jeśli nie Tej, której macierzyńskiej, słodkiej niewoli doznał sam Jezus Chrystus, tak iż pragnął mieć w tej niewoli umiłowanego ucznia swojego – Jana i cały Kościół, zrodzony na Krzyżu.

Czy Ksiądz Prymas chce powiedzieć, że pierwszym „niewolnikiem" Maryi był Jej Syn?

Każdy z nas nie ma wyboru i nie decyduje o tym, czy ma się zamknąć w łonie matki, czy nie. Tylko Chrystus mógł to uczynić dobrowolnie. I uczynił, „iż sam chciał". Wybrał maryjną drogę przyjścia na świat! Dobrowolnie zamknął [się] w niewoli Jej dziewiczego łona. Oddał się Jej tak bezwzględnie i absolutnie, że sam nic bez Niej uczynić nie mógł. Uzależnił się od Niej tak całkowicie, jak tylko dziecko może być uzależnione od matki. Któż był bardziej dosłownie „in sinu matris"[w ramionach matki] — od Jezusa? Któż głębiej oddał się Jej

> w niewolę? Największe oddanie się Maryi, niewolnictwo świętych, to tylko słabe echo tego, co uczynił Jezus. Najżywszy kult maryjny to tylko cień prawdziwego kultu maryjnego — Jezusa.

Czy jednak sformułowanie „niewola" nie brzmi zbyt mocno?

> Nie możemy się (...) bać słowa „niewola" i nie możemy z niego ustąpić, bo chcemy wyrwać człowieka współczesnego z rzeczywistej, wielostronnej, niechcianej niewoli współczesnej i wyzwolić go upragnioną, prawdziwą wolnością synów Bożych. Dlatego chcemy się dobrowolnie oddać w macierzyńską niewolę Maryi. Pragniemy to uczynić za Kościół Chrystusowy na ziemi, za jego wolność i rozkwit. Dlatego oddajemy się w macierzyńską niewolę Matki Kościoła za wolność Chrystusowego Kościoła.

Czy nie budzi to obaw, że Maryja stanie się ważniejsza od Boga?

> Bóg się Jej nie lękał. Nie lękał się, że cześć Jej przesłoni Syna, przeciwnie, potrzebował Jej (...) Pierwszym czcicielem Maryi, który w doskonały sposób oddał cześć swej Matce, był Jezus Chrystus. To On pierwszy usłyszał słowa wielbiące Ją: „Błogosławione piersi, któreś ssał, i żywot, który Cię nosił". Ale Chrystusowi nie było potrzebne to przypomnienie, choć było tak bardzo ujmujące, bo On sam dał dowód największej czci przez to, że był Jej poddany. Na Jej życzenie przyśpieszył godzinę łask. Dla Niej uczynił pierwszy cud w Kanie. Jakże często szedł za sugestią Jej delikatnych uczuć, oczu...

Jaki związek ma nabożeństwo do Maryi z nabożeństwem do Jezusa Chrystusa?

> Nieraz mówi się we współczesnej teologii, że kto chce poznać Chrystusa, musi się przyglądać Maryi. Syn jest podobny do Matki. Kto chce dobrze poznać oblicze Syna, niech się przygląda Matce.

Malarstwo wyraża podobieństwo Syna do Matki w spojrzeniu i w wyrazie ust. Mówi się, że Chrystus także pod względem temperamentu był do Niej podobny. Maryja była wyjątkowo usłużna, Chrystus podobnie. „Ja przyjdę i uleczę...", jak bardzo przypomina to gotowość Maryi z Kany Galilejskiej. Oboje są zawsze gotowi do niesienia pomocy ludziom. Na przykładzie Kany widzimy, jak bardzo są nieuzasadnione obawy, że kult Maryi przesłania Chrystusa. Maryja zawsze prowadzi do Syna. „Cokolwiek wam rozkaże, czyńcie", powiedziała w Kanie. I w naszym obecnym życiu, Ona zawsze uwagę naszą skierowuje do Chrystusa. Dzięki Niej dobrze Go widzimy. Chrystus najlepiej i najpełniej „praktykował" kult maryjny, cześć do Matki swojej.

Dlaczego jednak cały naród miał być oddany w niewolę?

Jako Naród mamy wiele cech dziecięcych. Temperament, psychika, a nawet wady narodowe Polaków są dziecięce: pogoda, dobroć, dobroduszność, gościnność, radość, dowcip — ale i lekkomyślność, brak odpowiedzialności, brak wytrwałości, zapał słomiany, brak konsekwencji. To są wszytko cechy dziecka. Wady nasze mogłyby być groźne, gdybyśmy nie mieli instynktu dziecięcego — ucieczki do Matki. Nasza pobożność maryjna, nie tracąc nic z cech i zalet dziecięcych — wszak to stosunek do Matki — musi coraz bardziej zatracać wady dziecięce i przeobrażać się w synowski, dojrzały stosunek. Inaczej czcił i obcował z Maryją Chrystus, gdy był dzieckiem i osobiście potrzebował Jej matczynej pomocy i troski, a inaczej, gdy rozpoczynając swą publiczną działalność i dokonując na Krzyżu dzieła Odkupienia świata, oczekiwał od Niej współdziałania.

Kiedy mówi się „pobożność maryjna", to pierwsze skojarzenie łączy się z uczuciowym przeżywaniem różnych nabożeństw, od majowego przez „Godzinki" po październikowe. Wydaje się, że na dzisiejsze czasy to za mało...

> Często słyszy się zdania krytykujące polską pobożność maryjną, że jest płytka, niekonsekwentna, uczuciowa i nastrojowa, że nie przeobraża życia. Wiele jest w tym prawdy, ale nie należy stąd wyciągać błędnego wniosku, że powinniśmy być mniej maryjni. Kto nie jest maryjny, jest sekciarzem. Nie możemy więc być mniej maryjni, ponieważ chcemy być ludźmi Kościoła Chrystusowego. Przeciwnie, musimy być więcej maryjni, głębiej maryjni, dojrzalej maryjni. Nie wolno umniejszać naszego kultu maryjnego, należy go tylko poprawić, pogłębić i ożywić, to znaczy uczynić życiem. Jest on najbardziej twórczą potęgą duszy polskiej.

Na czym miałoby to polegać w praktyce?

> Gdy uważnie analizujemy „Magnificat[77]" widzimy, że jest ono podobne do kantyku Anny, matki Samuela. Przewijają się tam niemal te same tematy. Maryja była wprowadzona w literaturę sobie współczesną, znała tęsknoty i dążenia ludzi. Na tym tle zaczyna się Jej walka. Ona ma swój ideał życia, który sobie wypielęgnowała. A tu naraz w Jej własny ideał wdziera się, jak ognista strzała, nowa Moc, która chce Jej życiu nadać zupełnie inne barwy i kierunek. Trzeba więc zdecydować! Jakiś motyw musi w tej decyzji zwyciężyć. Zdaje się, że zwycięża wielkie współczucie dla ludzi, wzywających z tęsknotą Zbawiciela.

[77] Modlitwa Maryi po przybyciu do Elżbiety (Łk 1, 46-55).

Jaki to ma związek z pogłębieniem pobożności maryjnej?

> Do nas należy naśladować wrażliwość Maryi, przyglądając się Jej pod tym kątem. Mamy śledzić najrozmaitsze przejawy delikatności i czułości Niewiasty tak wyniesionej, która jest wrażliwa na wszystko, co wielki świat potrąca i depcze, jak depczą i tratują kwiaty myśliwi, tropiący zająca na pięknej łące. Cóż ich to obchodzi? Oni mają swego zajączka i tropią go. Są tacy ludzie „z zajączkiem". Gdy człowiek się za czymś ugania, na nic nie zważa, może wycisnąć wiele łez i wywołać wiele udręki. Mamy więc śledzić delikatną wrażliwość Dziewczęcia z Nazaretu. Taka nowa Ewa jest potrzebna Bogu na Królową nieba i ziemi! Tylko taka może dobrze usłużyć Bogu i Jego Synowi na świecie! Taką też ukazuje nam Bóg w najrozmaitszych znakach, które dzieją się na naszych oczach. Każdy kto chce dobrze naśladować Maryję, musi mieć coś z Jej czułego serca.

A jaki związek ma naśladowanie Maryi z naśladowaniem Jezusa, co jest pierwszym obowiązkiem chrześcijanina?

> Któż miał lepszą wolę oddania się całkowicie Ojcu na służbę, jak nie Syn Boży, Słowo Wcielone? Któż więcej miłował Ojca niż Ten, który mówił: „Oto idę, Ojcze, aby czynić wolę Twoją". Jest to największa miłość i najwspanialsza gotowość, jaką okazał Syn Boży Ojcu swemu niebieskiemu. Wobec takiej gotowości wszystko powinno pójść łatwo. Tej gotowości Syna najbliższa była gotowość Maryi: „Oto Ja służebnica Pańska, niechaj Mi się stanie według słowa twego" (Łk 1,38).

Choć wiadomo, że kobiety lubią rozmawiać, Maryja nie wypowiada zbyt wielu słów w Ewangelii...

> Pomimo przysłowiowego gadulstwa, które przypisuje się kobietom, one jednakże mało mówią. One zazwyczaj pracują w ciszy. Chyba, że zbiorą się gdzieś „na targu", wtedy wezmą sobie odwet za milczenie.

Przeważnie jednak ich rozliczne prace i codzienny trud wymagają wielkiego napięcia uwagi. Wtedy nie ma czasu na rozmowy. Kobiety wykonują i załatwiają mnóstwo detalicznych spraw. Nieustannie chodzą, kręcą się po domu, zaradzają drobnym potrzebom. Znacznie więcej ich ręce zrobią, niż język wygada.

Maryja nazywana jest Nową Ewą. Ewa jest – można powiedzieć – „prototypem" kobiety. A Nowa Ewa?

Maryja poświęca się dla innych: dla Izraela, dla narodu i ludzkości, dla zadania i posłannictwa swojego Syna, dla całego Kościoła i Świętych Obcowania. Widzimy Ją w działaniu pełnym spokoju, ciszy i skupienia. Zwiastowanie ukazuje nam wielkie zwycięstwo człowieka nad sobą, umiejętność wyrzeczenia się siebie, nawet swych najszczytniejszych i najszlachetniejszych porywów, byleby tylko oddać się całkowicie innym. (...) Cała uwaga kobiety jest nieustannie skierowana na człowieka: na męża, dzieci i otoczenie. Postawa kobiety jest z natury i posłannictwa — personalistyczna, homocentryczna i humanistyczna. Kobieta czyni wszystko ze względu na człowieka i przez pryzmat jego potrzeb. Sam Bóg ją tak ukierunkował i to już w raju, w momencie stworzenia: „Uczyńmy pomoc, jemu podobną". Oczy Adama skierował Stwórca na świat, oczy Ewy — na Adama. Dlatego ona jest cała skierowana ku pomocy człowiekowi. — „Dziateczki rodzić będziesz..." Jej zainteresowania są z natury macierzyńskie: i wtedy, gdy oczekuje dziecka, gdy je wychowuje, i później — gdy do końca życia śledzi je, towarzysząc mu oczami, troską, modlitwą i sercem. Oto szczególna właściwość psychiki kobiecej. W takich warunkach nie ma wiele czasu na zbytnie gadulstwo.

Ksiądz Prymas ma bardzo wysokie mniemanie o kobietach...

Nieraz czytamy w brewiarzu o kobietach. Jest tam powiedziane, że jeśli grzeszą, to raczej poruszone „mobilitate mentis" – ruchliwością

umysłu, aniżeli złością. Właściwością duszy kobiecej jest psychiczna ruchliwość umysłu, woli i serca, gotowość służenia innym, „lecenia na pomoc". Znacznie mniej jest na świecie leniwych kobiet, niż leniwych mężczyzn. Odpasionych leniuchów rodzaju męskiego jest bardzo wielu. Ich symbolem jest pantofel, szlafmyca i głęboki fotel, konieczny wypoczynek poobiedni i pożądana cisza — „bo tata śpi" oraz nieustanne oczekiwanie na obsługę. To styl ich życia. Bardzo często kobiety same psują ten „nieznośny rodzaj", bo w swojej naturze mają za dużo usłużności. Jest to związane z ich kobiecą psychiką. Dlatego właśnie Bóg, znając leniwe usposobienie mężczyzn, wybrał do trudnego zadania Niewiastę.

O KOŚCIELE

Dziękuję Ci, Mistrzu, za to, żeś mój los tak bardzo upodobnił do Twojego, za to, żeś w Męce swojej zostawił mi dobry wzór męki mojej – pisał Prymas 22 czerwca 1956 roku, zaledwie cztery miesiące przed swoim uwolnieniem. – Opuścili Cię Twoi Apostołowie, jak mnie opuścili biskupi; opuścili Cię Uczniowie, jak mnie moi kapłani. I jedni, i drudzy poddali się trwodze.

W ciągu tych trzech lat uwięzienia Prymas miał możliwość głębokiego doświadczenia, czym jest Kościół w jego blaskach i w cieniach, w sile i w słabości. Widział Kościół w całości – widział w nim biskupów, kapłanów, zakonników i świeckich i widział też, że choć zewnętrznie w życie Kościoła najbardziej wydają się być zaangażowani przedstawiciele trzech pierwszych grup, to naprawdę wcale tak być nie musi. Pozostała przy Tobie garstka niewiast; widzę je i przy sobie. Pozostali sami świeccy, słabi, grzesznicy: Łotr, Magdalena, Setnik, Nikodem, Józef z Arymatei i Szymon z Cyreny. I przy mnie została

gromadka świeckich katolików, wcale nie najmocniejszych, którzy mają odwagę przyznawać się do mnie. To wszystko.

Przez uwięzienie człowiek, który z urzędu pełnił najwyższą władzę w Kościele w Polsce został pozbawiony wszelkiego instytucjonalnego wpływu. Paradoksalnie jednak właśnie w tej sytuacji okazywało się, czym Kościół jest i na czym polega prawdziwa jego rola. Gdy porównam moje małe cierpienia z Twoimi, raduję się, że wszystko przeżyłeś, co każesz mi naśladować — pisał Prymas. — Bądź uwielbiony w męce mojej. Był świadom, że głównym celem Kościoła jest prowadzić wiernych do naśladowania jego Założyciela i wdzięcznością napawał go fakt, że dane mu jest iść tą drogą. Bolało go, że zawiedli ci, którzy powinni być najbardziej zaangażowani i oddani, ale nie widział w tym nic dziwnego, skoro i Założyciela zawiedli ci, których On sam wybrał, którym przez trzy lata poświęcał swój czas i swoje siły, którzy byli świadkami Jego cudów i Jego mądrości. Jezus włożył tyle w ich formowanie, oni tymczasem opuścili Go w kluczowym momencie. Ale byli też i inni, może mniej zaangażowani zewnętrznie, oddani na co dzień swoim pracom, a niektórzy nawet bardzo grzeszni, którzy stanęli na wysokości zadania. I jedni i drudzy stali się budulcem pierwotnego Kościoła. W ciągu trzech wieków, mimo prześladowań, przeniknął on ówczesną społeczność i przeobraził świat.

Na czym polega zaangażowanie w Kościół?

> Ze swoich chłopięcych lat pamiętam, jak w mojej rodzinnej wiosce ze zdziwieniem przyglądałem się pewnemu człowiekowi, który klęcząc pośrodku kościoła, z ogromnym wewnętrznym skupieniem wpatrywał się w Eucharystię. Nic nie mówił, tylko patrzył. Gdy umarł, wszyscy zrozumieli, że ten prosty, skromny człowiek, chory na raka, był naprawdę świętym. Dla mnie, małego chłopca, był on przedmiotem wielu udręk, zwłaszcza wtedy, gdy na polecenie ojca musiałem nosić

mu pożywienie i karmić go, bo już nawet jeść nie mógł sam. Nie byłem wtedy w stanie zrozumieć, dlaczego ja mam to robić. Dzisiaj wiem, że była to bardzo dobra zaprawa na moje dalsze życie, była to nauka jak trzeba rozumieć każdego człowieka i jak każdemu trzeba umieć służyć.

Kościół określany jest przez teologów różnymi nazwami. W czasie Soboru Watykańskiego II szczególnie podkreślano, że jest to Lud Boży. Co to znaczy?

Lud Boży, który jest królestwem i kapłaństwem Boga i Ojca, to przede wszystkim ludzie ochrzczeni, a przez to konsekrowani na dom Boży i kapłaństwo. Wszyscy jesteśmy konsekrowani przez chrzest, dokonany na nas w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Dlatego nie możemy patrzeć na siebie, jako na tak zwany przedmiot „świecki". Jesteśmy kapłaństwem — wszyscy składamy Bogu ofiarę z naszych czynów i cnót. Wszyscy wyznajemy Boga, przyznajemy się do Niego i głosimy Go. Każdy, kto daje świadectwo Bogu, już w jakiejś formie pełni funkcję kapłańską. Każda forma apostołowania, podobnie jak i modlitwa, jest właściwym kapłaństwem. Oczywiście, w ustroju Kościoła zawsze będziemy odróżniali kapłaństwo wiernych od kapłaństwa hierarchicznego, bo kapłaństwo wiernych powstaje przez sakrament chrztu, a kapłaństwo hierarchiczne — przez sakrament kapłaństwa.

Gdy mówimy „Kościół", to odruchowo mamy na myśli biskupów i duchowieństwo. W perspektywie kreślonej przez Sobór Kościołem są też świeccy. Na tej płaszczyźnie nieraz pojawiają się napięcia między sprawującymi z urzędu władzę w Kościele a prawem do głosu ludzi niemających funkcji kościelnych. Takie napięcia pojawiały się także w relacjach Prymas – świeccy...

Współcześnie trzeba poprawić nasze spojrzenie na biskupa, nie tylko dlatego, że Sobór przypomniał jego miejsce w Kościele, gdy biskupi całego świata w kolegialnym zespoleniu miłości ku oblubienicy

Chrystusowej, służyli Kościołowi powszechnemu. Sobór ukazał również miejsce biskupa w jego diecezji, pośród której stoi, czuwając nad powierzoną sobie oblubienicą. Dzisiaj tak często i może słusznie mówi się o tym, że zrozumienie swego miejsca w Kościele, w diecezji, rozszerza się na wszystkich świeckich katolików. Przedstawiając swoje myśli i zamysły, najlepsze niekiedy pragnienia, świeccy przypominają w dyskusji i dialogu: przecież jestem katolikiem. Niekiedy trzeba odpowiedzieć: mój Bracie, jeśli Ty jesteś katolikiem, to ja jestem twoim biskupem! Dopiero w takim układzie rozumie się właściwy sens tak zwanego dialogu, wymiany myśli, poglądów, szukania właściwej drogi, jak służyć Kościołowi Bożemu.

To mocne słowa. Co Ksiądz Prymas miał na myśli, mówiąc „ja jestem twoim biskupem"?

Gdyby Stanisław ze Szczepanowa zapomniał, że ma uczyć jako władzę mający, na pewno uląkłby się króla i nie byłoby dzisiaj tej wspaniałej sztandarowej postaci życia katolickiego w naszej ojczyźnie. Prowadząc dialog z królem, pamiętał, że jest jako władzę mający i że tę władzę otrzymał od Chrystusa. Do niego należy powiedzieć prawdę, nauczać, upomnieć, nakazać. W dzisiejszym słusznym dążeniu do właściwego układu współżycia i współpracy hierarchii i świeckich katolików, trzeba poprawić spojrzenie na biskupa, trzeba uzupełnić wizję hierarchii. Trzeba widzieć biskupów jako władzę mających tych, którzy mają uczyć i uświęcać lud Boży.

Kiedy możemy uznać, że biskup robi to właściwie?

Biskup (...) podejmie (...) zadanie: uspokajania i przemieniania człowieka. Ma on swoje doświadczenie i wie, jak się zaprowadza pokój. Wie, że pokój stanie się między narodami i w całej rodzinie ludzkiej, musi się stać w sercu człowieka, w jego myślach, uczuciach i woli. Pokój musi się narodzić w sercach tak, jak narodził się w stajence

betlejemskiej. Od maleństwa rósł, aż stał się mężem doskonałym, potem Mężem boleści, a wreszcie dał światu zbawienie i wyzwolenie. Nie ma innej drogi dla pokoju, jak formowanie i kształtowanie naszych umysłów, woli i serc, w pokoju Bożym. Człowiek wewnętrznie uspokojony, przyniesie pokój do rodziny: mężowi, żonie i dzieciom. Wniesie pokój we współżycie ludzkie, w stosunki społeczne, polityczne czy ekonomiczne, ale musi zacząć od siebie...

Jak to osiągnąć?

Każdy niemal, który w Polsce żyje, pyta drugiego: „Byłeś w górach? — Jeśli nie, to idź". I jadą ludzie w góry. Nie zawsze, jak mówię — po zdrowie (...) Często dlatego, aby podnieść swojego ducha, aby czoło oprzeć o szczyty, aby jasno spojrzeć w słońce Boże, aby odetchnąć czystym powietrzem, nie tylko fizycznie, ale duchowo; aby doznać tej swobody, gdy człowiek puszcza się w zawody z orłami; aby rozszerzyć swoje płuca i serce, i odetchnąć swobodniej; albo doznać smaku swobody i wolności. Człowiek jest takim stworzeniem, dla którego obok miłości, najcenniejszą potrzebą i największym prawem — jest wolność. (...) To takie wielkie i wspaniałe słowo! Wolność to dążenie do zerwania z siebie wszelkich krępujących więzów. Ale jednemu prawu musimy się poddać, prawu statyki, które nakazuje: Gdy wspinasz się w góry, trzymaj się mocno nogami ziemi, bądź uważny, czujny, oglądaj się wokół. Bądź trzeźwy i panuj nad sobą; władaj swoimi odruchami i popędami, zwalczaj w sobie odruchy złe! Tak radzą przewodnicy wszystkim, którzy wspinają się w góry.

Jak te rady Ksiądz Prymas przełożyłby na wskazówki dla chrześcijanina?

Gdy Kościół prowadzi swoje dzieci wzwyż, mówi im to samo. Gdy nas wszystkich ciągnie na górę Bożą, to samo powtarza. Każdy, kto staje do zawodów, wszystkiego się wyrzeka. Gdy człowiek idzie w góry,

musi być trzeźwy. Gdy wspina się na górę, aby spojrzeć Bogu twarzą w Twarz, musi się wielu rzeczy wyrzec, musi być trzeźwy, spokojny, opanowany, zrównoważony. Kto prowadzi swoją rodzinę i naród wzwyż musi być również spokojny, opanowany, trzeźwy. Musi sobie niejednego odmówić, aby panować nad sytuacją.

Taki program jest wyzwaniem szczególnie dla Polaka, który ceni działania spontaniczne, nierzadko improwizowane...

Naród nasz ma w sobie, Najmilsi, dużo uczuciowych popędów i odruchów. Niekiedy za nimi idzie. Powstają z nich dzieła sztuki, wielkie, wzniosłe porywy, potężne zwycięstwa. Są one kwiatami naszych dziejów i kultury narodowej. Ale jednak, aby te kwiaty mogły wyrosnąć, ziemia musi być owładnięta, opanowana i wypracowana. Musi być nam poddana. Musimy czuwać nad nią, trzymać ją obiema dłońmi w swojej spokojnej i trzeźwej myśli, woli i sercu. Podobnie jest, Najmilsze Dzieci, z każdym z nas. Im większe i szczytniejsze masz porywy duchowe, tym bardziej musisz opanować siebie, harmonizować ciało i duszę, rozum, wolę i serce. (...) Zły to taternik, który zaczyna wspinaczkę w góry od zrywu i nagłego wysiłku. Dobry — idzie krok za krokiem, powoli, spokojnie. (...)To są bardzo proste prawdy. My na ogół umiemy wymagać od innych, zapominając, że dobra, których pragniemy, rodzą się nie gdzie indziej, tylko w nas, w duszy i w sercu człowieka. Tym większe mamy prawo stawiać wymagania innym, im bardziej sami je urzeczywistniamy.

Czy to znaczy, że każdy chrześcijanin ma obowiązek dążenia do świętości?

Wydaje nam się czasem rzeczą zbyt ambitną to, co Sobór Watykański II mówi o nas wszystkich w Konstytucji dogmatycznej o Kościele. Zapominamy o tym, wydaje nam się, że nie dla nas są te sprawy. Gdy czytamy w Piśmie świętym zachętę: „Świętymi bądźcie, jako i Ja jestem święty" (Kpł 20,26), mówimy sobie: ja święty?! Ależ broń Boże,

nigdy! Pamiętajmy, że skala świętości jest nieogarniona w oczach Boga, który jest tak nieskończenie Święty, że nie jesteśmy w stanie tego wypowiedzieć. Ograniczamy się tylko do trzech zawołań: „Sanctus, Sanctus, Sanctus". Mnie się wydaje, że po świecie chodzi o wiele więcej świętych ludzi, niż jesteśmy w stanie to obliczyć i sprawdzić.

Czy jest jakaś recepta na świętość?

Są to sprawy i tajemnice Boże. Nie chciejmy wyznaczać szablonu świętości, bo go nie ma. Nie chciejmy określać jej kanonami, bo to się nie uda. Nie chciejmy sami wyrzekać się tej szlachetnej emulacji, bo wszyscy jesteśmy do tego zobowiązani; cały lud Boży — papież, biskupi, kapłani, zakony, świeccy, matki, ojcowie, młodzież, dzieci — wszyscy jesteśmy powołani do świętości. Jak ją osiągniemy, jaką ona postać przyjmie, w czym się okaże — to już jest sprawa Boża.

A jakiej świętości potrzebuje dzisiejszy świat?

Potrzebne są urozmaicone wzory świętości, bardzo odmienne, niekiedy krańcowe. Kościół ma być obecny w świecie współczesnym, to znaczy nie tylko w świątyni, nie tylko w domu biskupa czy duszpasterza, ale wszędzie, na ulicy, w warsztacie pracy, w biurze, w urzędzie, na dnie kopalni, czy na skrzydłach samolotów, w coraz to szybciej pędzących pojazdach, przenoszących człowieka z jednego krańca ciasnego globu w drugi. I wszędzie jest miejsce na świętych, i to bardzo specjalnych, bardzo współczesnych, niepodobnych do siebie, bo w każdym z nich Bóg na swój sposób mieści swoją wielką miłość. Gdy On raz wszczepi się swą potężną miłością w małą, nieudolną miłość ludzką, którą uważamy za swoją, chociaż ona jest z Boga, to na pewno ogarnie nas całkowicie.

Część II Pytania do Prymasa

Człowiek

O CZYSTOŚCI

Non horruisti Virginis uterum [Nie pogardziłeś łonem Dziewicy] — i nie tylko. Okazałeś większą jeszcze odwagę. Wszak łono Niepokalanej Dziewicy przygotowały Ci dłonie Najczystszego Ojca — Ens Purum — byś mógł w nim zachować swoją Boską Czystość.

Tak modlił się Prymas Wyszyński w piątek, 2 lipca 1954 roku w Stoczku Warmińskim. Było to drugie miejsce jego uwięzienia i pierwszy rok odosobnienia. Modlił się do Jezusa i zarazem myślał o Maryi, pełen podziwu dla odwagi Boga, który chciał zamieszkać w ludzkim ciele. Ta kobieta, nazywana przez teologów nową Ewą, była dla niego uosobieniem czystości i wzorem do naśladowania. Miał głęboką świadomość przepaści między nim a Nią, bo Ona była absolutnie wolna od grzechu, a on był zwyczajnym śmiertelnikiem, który zmagał się z własnymi słabościami. W swojej walce prosił Ją o pomoc: Maryjo, czuwaj nad tym, by Twój Syn, ilekroć zapragnie narodzić się w stajni mego serca, zawsze zastał tam Twoje niepokalane ramiona: niech osłonią go i zabezpieczą przed brudem mej duszy. Czekałaś w Betlejem na przyjęcie Boga, oczekuj i w mojej duszy, aby nigdy Boże Narodzenie nie dopełniało się we mnie bez Ciebie.

Czym jest ów „brud duszy"? Prymas jest świadomy, że każdy człowiek – także on sam – niesie w sobie brzemię grzechu pierworodnego. Choć chrzest obmył go z winy, to jednak pozostawił konsekwencje występku pierwszych rodziców. Choć człowiek z natury jest dobry, bo takim został stworzony przez Boga, to ma skłonność do zła, ponieważ Adam i Ewa posłuchali węża, a nie Boga. Choć człowiek został stworzony do miłości – daru z siebie – to ma skłonność do zagarniania dóbr i ludzi dla siebie oraz swoich celów.

Gdy Prymas zachwyca się Niepokalanym Poczęciem, to zachwyca się miłością. Brudem, czyli nieczystością, jest dla niego wszelki

przejaw egoizmu, czystością – zdolność do bezinteresownej miłości. Dążenie do niej stało się dla niego programem.

Ostatni dzień roku nakazuje mi uczynić choćby krótki rachunek sumienia z przewodniej cnoty – miłości – napisze 31 grudnia 1953 roku w Stoczku Warmińskim. – Pragnę być jasny. Mam głębokie poczucie wyrządzonej mi przez Rząd krzywdy. (...) Pomimo to nie czuję uczuć nieprzyjaznych do nikogo z tych ludzi. Nie umiałbym zrobić im najmniejszej nawet przykrości. Wydaje mi się, że jestem w pełnej prawdzie, że nadal jestem w miłości, że jestem chrześcijaninem i dzieckiem mojego Kościoła, który nauczył mnie miłować ludzi, i nawet tych, którzy chcą uważać mnie za swego nieprzyjaciela, zamieniać w uczuciach na braci.

Od czego należy zacząć, gdy chce się kochać naprawdę?

> Trzeba zerwać z nawykiem myślenia indywidualistycznego, „wsobnego", skierowanego ku sobie, z uwagą skoncentrowaną na sobie samym. Trzeba nauczyć się myślenia społecznego. Wszyscy jesteśmy trochę zniekształceni przez indywidualizm (...). To na nas tak zaciążyło, że przede wszystkim widzimy siebie. Zdawałoby się, że to myślenie powinno już dawno minąć, a tymczasem nie mija. Objawia się ono szczególnie w przesadnym trzymaniu się własnego zdania, opinii, czy też przywiązaniu do własnego „ja", oraz do tego, co posiadam. (...) Najwięcej grzeszyliśmy umiłowaniem siebie, zaufaniem sobie, upodobaniem w sobie, wewnętrzną pychą na własny rachunek. Chociaż wiek XX jest epoką zmysłów i rozwiązłości, jednakże najważniejszy grzech, który jest źródłem grzechów ciała i je produkuje, to grzech pychy umysłu, woli, zadufania w sobie. Człowiek pyszny bardzo często zostaje „ukarany" na ciele. Wiemy to ze Starego Zakonu. Gdy Żydzi zaczynali trochę „brykać", wtedy Bóg dopuścił na nich różne choroby i siedzieli spokojnie. Dzisiaj wiemy z historii medycyny, jakie to były choroby.

Gdy mówimy „czystość" lub „nieczystość", to pierwsze skojarzenie prowadzi w kierunku spraw związanych z ludzką seksualnością. Kiedy pożycie jest czyste?

> Księga Genesis w bardzo delikatny sposób mówi o stosunku dwojga, Adama i Ewy: „Cognovit uxorem suam" — „Poznał żonę swoją" (Rdz 4,1). — Poznanie! Tym słowem Pismo Święte określa inicjalne współżycie dwojga. Jak gdyby chce powiedzieć, że do pełni rozwoju nie należy kierowanie się dążeniem zmysłowym, ale poznaniem niemal intelektualnym, chociaż oczywiście działa w tych dwojgu dążenie naturalne, które ma charakter nie tylko psychiczny, ale psychofizyczny. „Cognovit Adam uxorem suam" — poznał jej prawdę, wie, kim ona jest. Jest to poznanie wyzwalające. Uzupełnia prawdę o człowieku. Człowiek, który przez współżycie poznaje drugą stronę, nabiera dla niej głębokiego szacunku i jeszcze więcej miłuje. Poznanie to pogłębia miłość, która od samego początku tych dwoje związała.
>
> Nic dziwnego, że ludzie, którzy dla różnych powodów, zwłaszcza po utracie współmałżonka przez śmierć, zawierają ponowne małżeństwa, w sposób jak najbardziej legalny, zgodny z prawem i przepisami Kościoła, na ogół wobec nowego związku małżeńskiego odczuwają pewnego rodzaju zażenowanie. Bo takie pożycie, rozwojowo autentyczne, jest tylko raz możliwe. Dlatego właściwie pełna prawda poznania i płynąca stąd pełna miłość jest tylko w pierwszym współżyciu dwojga, w ich pierwszym, jedynym małżeństwie. Współżycie, wiążące się z najgłębszym przeżyciem, może być autentyczne w rozwoju osobowości właściwie tylko raz. Jest to bowiem przedziwne odkrywanie praw i wartości osobowych człowieka, zarówno mężczyzny jak i niewiasty. (...) O tym ludzie myślą bardzo mało i dlatego tak mało jest szacunku i prawdziwej miłości między dwojgiem.

Kiedy małżeństwu grozi nieczystość?

> Często małżeństwo przybiera charakter czysto komercyjnej wymiany. Nie ma nad to gorszej rzeczy! Nie ma już wtedy między dwojgiem procesu rozwojowego. Coś się załamuje, wynaturza. Oboje spadają w wielki, głęboki dół. Przestają jak gdyby działać w sposób naturalny, powiem — współnaturalny. Dochodzi do głosu mechanika, która nawet nie jest współżyciem, tylko techniką, dla której określenia nie chciałbym użyć zbyt potocznego słowa.(...)

Skąd się bierze taka postawa?

> Przyszła do Was ordynarna pokusa jakiegoś sybarytyzmu, sensualizmu. Spóźniła się ona. Jeszcze w 1951 roku mogłem mówić, będąc w Rzymie: a jednak w prasie polskiej pornografii nie ma. Ta pokusa się spóźniła. (...) Dziś już bym nie mógł tego powtórzyć w Rzymie – i dlatego czekam, aż będę mógł powtórzyć, że prawdziwie nadal w polskiej prasie pornografii nie ma. Dziś bierze ona niestety odwet. I w kraju, w którym stwierdzamy tak dotkliwe ubóstwo, idzie ta pokusa przez sale balowe, idzie przez magazyny mód, idzie przez prasę.

Jedno z ośmiu błogosławieństw Jezusa z Kazania na Górze brzmi: Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą. Co to oznacza?

> W najczystszej duchowości Boga, rodzącego się z Matki — Dziewicy, cały świat nabiera nieskalanej czystości. Właśnie taka czystość pada Bożym promieniem i na dziewictwo, i na macierzyństwo. Podnosi godność dziewictwa, uczy ze czcią patrzeć na macierzyństwo. Wszystko, co służy przykazaniu Bożemu przekazywania życia, staje się odtąd świętością. Opuszcza nas niezdrowy lęk przed prawdą życia. Zyskujemy

świętą swobodę patrzenia po Bożemu na sprawy ludzkie, które są sprawami Bożymi.

Ksiądz Prymas używa bardzo wzniosłych słów na zwyczajną sprawę pożycia seksualnego, które w dzisiejszym świecie nie jest już tematem tabu. Podobnie wzniosłych słów używał papież Paweł VI w encyklice „Humanae vitae". Ta encyklika wywołała falę protestów z powodu odrzucenia przez nią dopuszczalności antykoncepcji. Czy trzeba podporządkować się temu nauczaniu?

Może dziwnie wygląda artykuł pewnego teologa, ogłoszony w jednym z pism warszawskich na temat encykliki Pawła VI — „Humanae vitae". Ale ten teolog „kontrowersyjny" jednocześnie widzi, że nie ma innego rozwiązania nad to, które podaje Papież. Doszły wprawdzie do niego najrozmaitsze opinie i osądy o Encyklice. On sam miał może najrozmaitsze wahania i dociekania, ale ostatecznie powiedział: Papież dziś sformułował tak i nie ma rady — trzeba słuchać! Papież nie zamknął teologom drogi do dalszych dociekań i poszukiwań innych sformułowań, może bardziej precyzyjnych i dokładnych. Nie zamyka też drogi dla pracy myśli ludzkiej: moralistów, socjologów, biologów, medyków, znawców życia ludzkiego. Ta praca nadal musi być prowadzona. Niech myślą, niech działają, badają, niech dostarczają materiału dla głębszych rozwiązań.

Tą drogą poszedł Karol Wojtyła, który bardzo dużo swojej pracy intelektualnej włożył w badanie sprawy miłości małżeńskiej także w wymiarze seksualności. Ten sam Karol Wojtyła miał wielki wkład w Sobór Watykański II, przyczyniając się do pogłębienia nauki o Kościele i odkrycia głębszej jeszcze jego tożsamości. Czy mamy szansę podobnie zobaczyć wyraźniej czym jest tajemnica miłości małżeńskiej?

Po Soborze otrzymaliśmy pełniejsze sformułowanie nauki o Kościele w Konstytucji dogmatycznej: „Lumen Gentium". Dzisiaj o wiele

jaśniej widzimy istotę Kościoła Chrystusowego. Może kiedyś również lepiej zrozumiemy istotę, głębię i sens początku życia. Może przyjdzie do takiej doceny życia, że będzie to raczej święta celebra aniżeli tylko współżycie dwojga. I może wtedy „misterium vitae" objawi się w takiej wspaniałości i chwale, że ludziom ani do głowy nie przyjdzie, iż nowe życie to jakaś tylko reprodukcja przeszłości. Będzie to nowe światło, które dostarczy może głębszego i lepszego widzenia rzeczywistości. Tak, jak lepsze widzenie rzeczywistości w Chrystusie miał Piotr, gdy powiedział: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego". Może ludzie zobaczą w problemie przykładowo traktowanym, że nowy człowiek, to jest także syn Boga żywego... Nikt wówczas nie zechce być bogobójcą, podnosząc rękę na nowe, kształtujące się życie.

Dziś podkreśla się, że dzieciom i młodzieży należy przekazywać prawdę o seksualności i pożyciu seksualnym. Jak jednak to robić, aby wynikło z tego dobro, a nie szkoda dla młodego pokolenia?

Kościół po macierzyńsku wychowuje swe dzieci, w duchu nadprzyrodzonej swobody, przez prawdę i czystość. Nie tylko przez prawdę ale i przez czystość. Czystość musi uprzedzać poznanie prawdy życia i zawsze jej towarzyszyć. Dzięki temu połączeniu prawdy i czystości matka nasza, karmiąca nas, jest dla nas niemal jak Maryja, karmiąca Bożego Syna. Dziecko wychowane przez czystą matkę przyjmuje od niej bez wstrząsu i z zaufaniem całą prawdę o prawach przekazywania życia na ziemi. Im matka będzie czystsza, tym godniej spełni ten obowiązek, tym spokojniej i ufniej dziecko ją zrozumie. Mały Wicio de Fontgalland[78] zwierzył się swemu ojcu w tajemnicy, że prawdę życia zrozumiał rozważając „Zdrowaś Maryja".

Cześć Dziewiczej Matki Boga w Kościele, karmiącej Syna Bożego, udziela wszystkim sprawom ludzkim szczególnego ducha:

[78] Guy Pierre de Fontgalland (1913-1925) – Sługa Boży Kościoła katolickiego, zaangażowany w ruch tzw. Krucjaty Eucharystycznej, propagującej częste przyjmowanie sakramentu Eucharystii wśród dzieci.

dostojności, powagi i prawdy. Święte dziewice bronić będą swej czci, jak Agata, która karciła swego tyrana wyrzutem: „Krwawy tyranie, nie wstydzisz się obcinać niewieścich piersi, któreś ssał u łona twej matki?"(...). Święte matki zachowują swoją wysoką godność w najtrudniejszych warunkach życia rodzinnego. Kobieta jest wyniesiona społecznie przez Kościół, jak to nigdy przedtem nie miało miejsca. Dokonał tego Kościół w promieniach betlejemskiego Macierzyństwa Dziewicy Maryi.

Pierwsi rodzice, Adam i Ewa, odrzucili zaufanie do Boga i sięgnęli po owoc z drzewa poznania dobra i zła. Od tego czasu człowiek wciąż ma nieufność do Bożych nakazów i sam określa, co jest dobre, a co złe. Jezus mówi o małżeństwie „co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela", a człowiek ustanawia rozwód. Dziś funkcjonuje wiele praw, które nie tylko nie sprzyjają małżeństwu kobiety i mężczyzny, ale je podważają. Podobnie jest z rodzeniem i wychowaniem dzieci. Co Ksiądz Prymas o tym sądzi?

Tajemnicze współdziałanie dwojga, zamierzone przez Boga, wydaje wspaniałe owoce. Nie poprawiajmy Boga! Nie poprawiajmy natury! Chciejmy ją tylko uszlachetniać i przyozdabiać darami Bożymi. Czerpmy ze wspaniałego obrazu, który zostawiła nam Najświętsza Rodzina, ze współdziałania Jezusa i Maryi, którzy tak cudownie naprawili nieudane dzieło Adama i Ewy. Kościół święty czyni dzisiaj to samo. Przez sakrament małżeństwa, przez moce Boże nieustannie poprawia i ułatwia nam życie i współdziałanie.

(...) Chciejmy wsłuchać się w program Chrystusa. Cokolwiek o sobie rozeznaliśmy, postanówmy nie wracać do czynów, które sami w sobie surowo osądziliśmy. Zacznijmy na nowo, co dzień ku lepszemu!

W Ewangelii jest opis spotkania Jezusa z kobietą uznaną za nieczystą z powodu złego prowadzenia się. Jakie światło rzuca to spotkanie na sprawę czystości?

Chrystus spotyka się z faktem, który razi współczesność. Wobec tego faktu współczesność jest bezradna, trzeba ten fakt ukamienować, chociaż byłby to żywy człowiek. Po co starać się go zrozumieć? Po co z nim dialogować? — Fakt!

Ale Chrystus stwierdziwszy fakt, kreśli program: „Nikt cię nie potępił!... I Ja cię nie potępiam. Idź w pokoju, nie grzesz więcej..." Nie powtarzaj swoich błędów. Oto program przyszłości – quid faciendum – wobec bolesnego factum. (...)

Porównajmy rozmowę Chrystusa z niewiastą i naszą rozmowę z kapłanem w konfesjonale. Milczy Chrystus słuchający oskarżeń, szukający usprawiedliwienia i obrony przed oskarżycielami, i milczy w konfesjonale kapłan słuchający, jak Ty się oskarżasz. Może nieraz mówisz Twojemu sędziemu, który zasiada tam w imię Chrystusa: Ksiądz mnie nie zna, nie rozumie. To gorzej wygląda, nie umiem tego powiedzieć. – Kapłan w konfesjonale milczy, bo główną zaletą dobrego spowiednika jest to, że umie spokojnie wysłuchać, dać człowiekowi możność wypowiedzenia się. Ty sam siebie oskarżasz. A co słyszysz? ... Nieraz może gorszysz się, że otrzymałeś tak małą pokutę. Ale program Ci wskazany jest wielki: „Idź w pokoju i nie grzesz więcej". Tym kończy się twoja rozmowa w konfesjonale z kapłanem. I tym zakończył Chrystus swoją rozmowę z niewiastą.

Myślisz może: „Jak mało Kościół mi powiedział". A przecież to jest tak dużo! Bo gdy Ci powiedział: „Idź w pokoju" – przez to powiedział: Przywróć Boga twemu życiu i twojej duszy. Pamiętaj, że jesteś dzieckiem Bożym. Nieustannie stoisz w obliczu Boga. On jest przy Tobie i patrzy na Ciebie. Mogą Cię wszyscy opuścić, On Ciebie nigdy nie opuści...

„Idź i nie grzesz", to znaczy również: Przywróć Chrystusa Zbawcę, który jest dla Ciebie Drogą, Prawdą i Życiem, twojej bezsile. Stoisz przed nim może tak, jak stała przed Chrystusem ta biedna kobieta. Ale On wobec Ciebie zachowuje się również dyskretnie i mówi: „Nikt cię nie potępił... i Ja cię nie potępiam".

O KAPŁAŃSTWIE

W swej wielkiej pokorze modli się Kościół bez przerwy o to, „by sprawiedliwość nasza obfitowała więcej...". Modlitwa ta nie schodzi i z naszych ust. A łączy się z lękiem, by obecne życie nasze, na które patrzą ludzie, którzy Ciebie nie znają, nie zniszczyło resztki „Bożego" w ich sercach – zanotował Prymas 11 marca 1955 roku, półtora roku po swoim uwięzieniu. W tej samej notatce czytamy, że modli się on za swoich strażników, którzy nie przyznają się do wiary i są na służbie władzy walczącej z Kościołem. O co się modli? Byś wzbudził w tych myślach sumienie wrażliwe na Ciebie. Może to ostatnia sposobność!

Dalej pisze o sobie i o swojej odpowiedzialności za tych ludzi: jeśli poznają moje słabości i wady, cóż pomyślą o Kościele Bożym, który tak niegodnych ma ludzi? Ludzie, którzy nie znają miłości, tak łatwo przecież gorszą się ze sług Miłości.

Prymas wiele wymagał od kapłanów i wiele od siebie. Był świadom odpowiedzialności za każdego człowieka, także za wroga, bo i wróg ma duszę, która przeznaczona jest do zbawienia. Patrzył więc na tych ludzi ze zrozumieniem, a na siebie z pokorą:

Zbyt wiele cierpią z głodu, by nie widzieć w chlebie całego szczęścia. Oby nie myśleli, że słaby człowiek jest całym Chlebem Żywota. Oby chcieli wyrozumieć, że tylko Ty masz doskonałą miłość, żeś jest miłością. Oby przynajmniej chcieli jej dostrzec tyle, ile widzi dziecko w kwiecie: skoro jest kwiat, musi gdzieś być drzewo, co kwiaty wydaje.

- Straszny lęk ogarnia duszę - o tę ostateczną łaskę miłości dla ludzi, którzy od 18 miesięcy patrzą na nas, zamknięci wspólnie z tak nieudolnym przedstawicielem ładu miłości.

Podczas trzech lat uwięzienia Prymas napisał obszerną książkę „List do moich kapłanów", w której przekazuje swoją – wymagającą i pociągającą zarazem wizję księdza.

Czy Ksiądz Prymas wydalałby z kapłaństwa letnich księży, którzy boją się konfrontacji z duchem tego świata?

> Biskup jest w swej diecezji ojcem – pater familias – ustanowionym nad diecezjalną rodziną Bożą. Jego kij pasterski to symbol mocy, miłości i prawości. Obrońca dziedzictwa wiary i moralności ma karmić rodzinę diecezjalną zdrowymi zasadami wiary, upominać słabych, pobudzać opieszałych, zachęcać bojaźliwych, podtrzymywać dobrych, kierować gorliwych ku świętości.

Czyli zamiast wydalania Ksiądz Prymas widziałby raczej inną drogę postępowania z kapłanami, których trudno stawiać za wzór do naśladowania?

> Trzeba (...) nawiązać do źródeł: „Pamiętaj więc, skąd spadłeś, i nawróć się" (Ap 2, 5). A zrodziliśmy się z kapłańskiej miłości Chrystusa i od niej odbiegnąć nie możemy. Wróćmy więc do Wieczernika, gdzie Chrystus raduje się z pierwszymi kapłanami. Duch, który tu włada jest wzorem na przyszłość tej przedziwnej, rodzinnej, przyjaznej wspólnoty, która ma ożywiać rodzinę kapłańską. Mowa Chrystusa do Apostołów jest przykładem kapłańskiego języka, jakim posługiwać się należy między sobą. (...) Nie traćmy z oczu Chrystusa, który nawet w obliczu zdrady „przyjaciela" Judasza nie przestawał się modlić za swój Kościół w drodze, który pełnię doskonałości osiągnie dopiero przy odgłosie trąb Sądu Ostatecznego.

Czy Ksiądz Prymas nie obawia się, że źli księża mogą negatywnie wpłynąć na młodych kapłanów?

> Swoją delikatną roślinę muszę przygotować na zniesienie ciężkich gromów, które są największym bólem biskupa i rodziny kapłańskiej, godzących w miłość społeczną, w kapłańską godność kleru diecezjalnego. To są ci nasi współbracia, którzy odeszli wstecz i już nie chodzą z Jezusem. Przeżycia to straszne, tym boleśniejsze, im większy zawód. A jednak trzeba będzie znieść i to zgorszenie, które głośno mi mówi: patrz pod własne nogi jak stąpasz, byś i ty nie upadł. Trzeba będzie ratować własną duszę od surowych wyroków, które należy pozostawić Bogu. Trzeba będzie tym większe postawić sobie wymagania, aż do zadośćuczynienia przez modlitwę, umartwienie i gorliwą pracę kapłańską. Trzeba będzie wydobyć z duszy to szlachetne uczucie, które złoży mi ręce do Ojca w pokornej prośbie za brata, który odszedł, aby wrócił, choćby w ostatniej godzinie swojego życia. Trzeba na swoje barki wziąć ten ciężar i nieść osłabłego brata mocą miłości kapłańskiej z powrotem do Owczarni. To wspólny wysiłek modlitwy całego duchowieństwa diecezji, by odzyskać pobitych braci swoich.

A co z dobrym imieniem Kościoła?

> Dzieje Kościoła bardzo boleśnie dowodzą, ile to ran Oblubienicy Chrystusowej zadali sami słudzy Kościoła, może i nie najgorsi, nie mówiąc już o złych i wrogich – ilekroć więcej umiłowali siebie niż sprawę, ilekroć uplątali się w ciernie i głogi miłości własnej, pychy, zazdrości, małoduszności, lękliwości, podejrzliwości, uprzedzeń, chorobliwej wyobraźni, jakże niekiedy błahych spraw. (...) Jak szczęściem Kościoła jest Serce, oddane przez Boga ludziom, tak niedolą naszą jest serce ludzkie jeszcze nie oddane całkowicie Bogu. Największym niebezpieczeństwem dla Kościoła jesteśmy my sami, gdy jeszcze jesteśmy „swoi". Wspaniałe są dary Boże, które światu niesiemy, ale w bardzo kruchych dłoniach. Nasz wysiłek ma zmierzać do tego, abyśmy sprawie Bożej

służyli wielkodusznie, z męstwem heroicznym, które ma postawić śmiało „nogę woli" na sobie samym, by z pomocą łaski zetrzeć w sobie głowę węża i przekroczyć próg dzielący od Boga.

Jak zatem Ksiądz Prymas widzi rolę biskupa wobec księdza?

Załamuje się głos biskupa, gdy po święceniach kapłańskich, trzymając w dłoniach swoich świeżo konsekrowane ręce, prosi o jedno: Promittis mihi?[79](...) Jest w święceniach coś osobistego, co daje biskupowi prawo powiedzieć: Ty jesteś moim synem, ja cię dziś zrodziłem. Bo prawdziwie biskup jest ojcem wszystkich kapłanów, choćby nie wszystkim sam udzielał święceń. Wszak biskup jest perfector[80], posłany przez Ducha Świętego, by wiódł przyjaciół swoich do świętości.

A gdy owi przyjaciele poddają go krytyce?

Biskup jest tak często potępiany nie tylko przez ludzi złych, zarozumiałych, próżnych, zawiedzionych w swych nadziejach, urażonych lub leniwego umysłu; nieraz doznaje tej udręki od ludzi ożywionych najlepszymi intencjami, od gorliwców, którym się wydaje, że przysługę oddają Bogu i Kościołowi krytykując biskupa i tworząc mu przeszkody w pracy. Jest to prawdziwa via dolorosa[81] życia biskupa, gdy widzi, jak najlepsze jego zamiary i poczynania wsiąkają w piasek martwoty, niezdolny obudzić życia. Non serviam[82] głęboko zapadło w dusze ludzkie i byłoby raczej dziwne, gdyby nie było oporu przeciwko władzy i sercu. Ten wielki wróg wspólnoty – miłość własna, lękliwie brany odwet, gdy braknie odwagi, by „prawdę mówić w oczy", to są przede

[79] Czy przyrzekasz mi?
[80] Ten, który udoskonala
[81] droga krzyżowa
[82] Nie będę służył

> wszystkim owoce jakiegoś grzechu ukrytego w duszy. A jednak, o ileż pożyteczniejszą byłoby rzeczą, dla obu stron, posłuchać rad Chrystusa i wszystko powiedzieć „w cztery oczy".

To znaczy, że Ksiądz Prymas oczekiwałby od współpracowników odmiennego zdania?

> Tak zwany krytycyzm może być pożądany, gdy jest obiektywnym zestawieniem pro i contra, zwłaszcza w wymianie myśli między bezpośrednio zainteresowanymi. Rzeczą konieczną dla dobra Kościoła jest, by ludzie rozumni byli świadomi „prawa sprzeciwu", który tak łatwo budzi się przeciwko autorytetowi prawowicie nakazującemu, by umieli sobie z nim radzić, a także bronić siebie i otoczenie przed epidemią hiperkrytycyzmu, który tak często pustoszy życie i obezwładnia w pracy. Nie jest szkodliwy ewangeliczny krytycyzm, ale raczej właśnie ten hiperkrytycyzm, chorobliwy stan umysłu, dostrzegający we wszystkich sprawach i czynach tylko złe strony, działający raczej wzburzonym uczuciem niż rozumem.

Co na sytuacje po filmie Sekielskich[83] powiedziałby Ksiądz Prymas ?

> Nie wystarczy zapalać świece na ołtarzach i jasno rozświecać świątynie. Trzeba świecić duchem, dobrym przykładem życia: „albowiem nie możecie się podobać Bogu, jeśli w rękach do służby Bożej poniesiecie światło, a uczynkami waszymi służyć będziecie ciemności". (...) Podczas święceń subdiakonatu Kościół nas upomniał: „Zobowiążecie się zachować, z pomocą Bożą, czystość i trwać w służbie Kościoła przez całe życie" (PR)[84]. (...) Czystość jest wymaganiem uwydatnianym

[83] Bracia Tomasz i Marek Sekielscy wyprodukowali dwa filmy dokumentalne mówiące o wykorzystywaniu seksualnym małoletnich przez księży katolickich w Polsce i ukrywaniu tych praktyk przez kościelnych hierarchów.
[84] Prymas Wyszyński odnosi się do Pontyfikału Rzymskiego i obrzędów święceń sprzed reformy Soboru Watykańskiego II

w Pontyfikale Rzymskim najbardziej wyraziście. (...) „A będąc współsługami i współszafarzami Ciała i Krwi Pańskiej, trzymajcie się z dala od wszelkiej zmazy cielesnej". (...) Bez czystości życie kapłańskie jest nieporozumieniem.

W związku z ujawnianiem nieczystego zachowania księży pojawiły się głosy, że wymaganie celibatu jest zbyt surowe w dzisiejszych czasach i że należałoby od tego odejść. Co Ksiądz Prymas sądzi o celibacie?

Serce kapłańskie musi być niepodzielne, aby mogło być całkowicie obrazem „drugiego Chrystusa", aby mogło służyć wszystkim. Ma być jak szata Chrystusowa, całodziana, o którą „będą los miotali", ale której dzielić się nie da. Ma być jak nasza alba, codzienny ubiór ofiarnika, symbol czystości, okrywająca całą postać kapłana omytego we krwi Baranka, aby nie był grobem pobielanym. Bo dopiero serce niepodzielne kapłana przynosi mu wewnętrzną swobodę, radość, młodzieńczy zapał, odwagę apostolską. Czystość daje wolność ducha, niezależność w pracy apostolskiej, spokój w służbie ołtarza, prostotę w stosunku do owiec. Celibat kapłański jest podyktowany miłością ku Kościołowi i jego owcom.

W tym znaczeniu czystość to nie tylko powstrzymanie się od aktów seksualnych, ale coś co sięga głębiej...

Zważmy, że tylko czyste dłonie harmonizują z bielą puryfikaterza, korporału i śnieżnej hostii; że tylko nieskalane dłonie mogą posłużyć Chrystusowi w najbardziej subtelnej sytuacji, gdy zechce spocząć na wargach czystego dziecięcia. Przystoi, aby Ten, który narodził się w Betlejem z Niepokalanej Dziewicy, także na ołtarzu rodził się z nieskalanego naszego kapłaństwa jako hostia pura, hostia sancta, hostia immaculata[85]. (...) Napisał kiedyś ktoś bardzo rzetelny,

[85] ofiara czysta, ofiara święta, ofiara nieskalana

że najpłodniejszym małżeństwem jest zawsze czyste małżeństwo. Podobnie jest z życiem kapłańskim. Najbardziej owocne jest czyste kapłaństwo. (...) Człowiek czysty jest mężny w wyznawaniu Chrystusa, w głoszeniu praw Jego moralności, w stawianiu wymagań wiernym, w pracy apostolskiej. Może wymagać śmiało od innych, bo umiał wymagać od siebie.

Co zatem powiedziałby Ksiądz Prymas tym księżom, którzy żyją czystością a pada na nich cień z powodu grzechów innych kapłanów?

Czystość kapłańska będzie (...) radością, która otwiera oczy na Boga i pozwala nam otwierać oczy bliźnim. Ale może też być i ofiarą, gdy czyni zadość Bogu za występki własne i braci. Przez tę ofiarę dobro poświęcenia równoważy zło rozwiązłości. Zapewne raz przyjęty obowiązek czystości, o którego wielkości jesteśmy najwymowniej przekonani osobistym doświadczeniem życia kapłańskiego, jeszcze nie odmienia ludzkiej natury. Zawsze rodzić się będą udręki, które są błogosławioną próbą miłości i wierności. (...) Ale pozwólmy sobie użyć słów człowieka[86], który przedziwnie głęboko wyczuł kapłaństwo katolickie i w usta Sylwestra II włożył słowa do młodego kapłana Arona, we wspólnych rozważaniach nad mocą czystości kapłańskiej: „(...) płacić trzeba za wszystko, synu. Tak już jest, że za jeden skarb musisz oddać drugi. (...) I za skarb mocy odpuszczania grzechów także. (...) Właśnie dlatego, ponieważ trzeba płacić: płacić za prawo należenia do gromady, której na imię Kościół, której moc z mądrości płynie. A za taką moc warto zapłacić wyrzeczeniem się najboleśniejszym nawet". Za nieoceniony skarb kapłaństwa, za łaskę Mszy Świętej, za moc sakramentalną – trzeba płacić kapłańską czystością. A najbliżej nas zawsze pozostanie, w najcięższej nawet chwili, Mater Purissima[87].

[86] Chodzi o Tedora Parnickiego. Dalej Ksiądz Prymas opisał dialog poparty cytatem z powieści tegoż autora: Srebrne orły. Powieść z przełomu wieków X i XI. Książnica Atlas, Wrocław – Warszawa (1949), ss. 343-344.
[87] Matka Najczystsza

Drugą sprawą, która budzi emocje, gdy ludzie przyglądają się księżom jest ich materialny poziom życia. Jak Ksiądz Prymas widzi to zagadnienie?

> Kościół liczy na naszego ducha ubóstwa, gdyż jest to konieczność pasterska, która oddaje dobrą przysługę naszej pracy wśród owiec. W pracy tej musimy zachować tak wielką swobodę wewnętrzną, by już nic, co jest niższego rzędu, nie przeszkodziło nam w rozdzielaniu dóbr wyższego porządku.

Jak zachować taką swobodę?

> Wewnętrzna swoboda wobec dóbr sprawi w nas, że chętniej przyjmiemy skromniejsze warunki bytowania, ilekroć tego wymagać będzie dobro dusz. Tak często zdarza się w naszym życiu kapłańskim, że istotnie obfitujemy na jednej placówce, podczas gdy na drugiej musimy poprzestać na małym. Zwłaszcza młody kapłan, gdy przechodzi z zamożnej parafii wielkomiejskiej na ubogą placówkę duszpasterską, często tego doświadcza. Miłość owiec uczyni nas ubogimi wśród ubogich. Jakżeż bowiem rażąco odbijałoby nasze życie zasobne w środowisku ludzi ubogich! Wypadnie wtedy ograniczyć swoje nadzieje i wymagania licząc się z tym, że co nam mogłoby poprawić byt, dla wielu naszych owiec jest zaledwie pierwszym kęsem chleba dla niedożywionych dzieci. Trudno w takich warunkach „zjadać owce własne".

Czy kapłan ma obowiązek dzielić się z ubogimi?

> Wypadnie nam nieraz pospieszyć z pomocą potrzebującym, obdzielając biednych tym, czym możemy. Gdy się jednym wiele rozdaje, można od innych oczekiwać. Ludzie widzący duszpasterza ofiarnego łatwo to rozumieją i spieszą mu z pomocą. Wtedy kapłan staje się w parafii pośrednikiem chrześcijańskiej wymiany dóbr, przyczynia się do wyrównania rażących różnic między zamożnymi a ubogimi, jest ważnym czynnikiem wyrównania społecznego.

Czy zatem kapłan powinien być ubogi?

> Nasze ubóstwo pasterskie nie polega na całkowitym wyrzeczeniu się dóbr, ani też odpowiedniej do środowiska pracy zasobności; raczej polega na tym, że posiadane dobra, w małym czy większym stopniu, chętnie i łatwo rozdzielamy wśród potrzebujących. Ekonomia chrześcijańska – to nie jest ekonomia tworzenia zasobów, ale ekonomia umiejętnego ich rozprowadzania. Celem gospodarowania, po chrześcijańsku rozumianym, nie jest gromadzenie, kapitalizacja; jest nim zaspokajanie najbliższej potrzeby. Tą zasadą zdrowej ekonomii kierować się będziemy również i w zdobywaniu zasobów. Jeśli będziemy chcieli mieć więcej to dlatego, by mieć możność więcej rozdawać.

Jakich argumentów używać do osób, które nie chodzą do kościoła bo „ksiądz jest taki czy owaki"?

> Trzeba nieustannie pamiętać, że „nic nie znaczy ten, który sieje, ani ten, który podlewa, tylko Ten, który daje wzrost – Bóg" (1 Kor 3, 7). Jak uważnie patrzeć musimy na Jezusa, który jest pełen pokory wobec Ojca, który w dziele Odkupienia uznaje pełną zależność swoją od Boga, przyjmując z Jego ręki upokarzającą wolę. (...) Mogą się wydawać straszne słowa świętego Pawła: „Staliśmy się jakby śmieciem tego świata i wzbudzamy odrazę we wszystkich aż do tej chwili" (1 Kor 4, 13). Ale wystarczy sobie tylko przypomnieć z lektury codziennego życia, ile nieprawdopodobnych oskarżeń padło na kapłanów, nawet najbardziej szanowanych, ile pism i książek ogłoszono przeciwko tak zwanemu klerykalizmowi, żeby słowa świętego Pawła przestały nam się wydawać przesadne.

Czy to znaczy, że kapłani powinni akceptować nie tylko krytykę, ale i upokorzenia?

> Herodowa metoda walki z Chrystusem przez wyśmianie, przyjęła się może dlatego, że nie brak ludzi, których nie stać na inne argumenty. Udziałem naszym pozostanie więc zawsze zadane nam upokorzenie, związane z naszą pracą. Wszyscy bowiem mają prawo stawiać nam wymagania, choć nie wszystkim wymaganiom możemy sprostać. Możemy więc być przedmiotem zgorszenia i wtedy cnota pokory, obok czystego sumienia, jest najlepszą bronią.

To jest bardzo trudne – czy można od księdza wymagać takiej postawy?

> „Święty świętych" ostrzegał swoich uczniów przed słabością Ogrójca, drogi krzyżowej i Kalwarii. I my tak często jesteśmy ostrzegani. Ci, którzy nas ostrzegają znają nasze słabości i często gorszą się nimi. Uczniowie nie uwierzyli Chrystusowi, gdy ostrzegał ich przed zgorszeniem krzyża. I my często nie wierzymy bliźnim, gdy mówią nam o grzechach i o naszych słabostkach. Tak często nam się wydaje, że zarzuty są przesadne, płyną z uprzedzenia i innych niższego rzędu pobudek. Gdy zbadamy spokojnie nasze sumienie w obliczu Boga, który dobrym okiem wszystko widzi, gdy złożymy u stóp Ojca naszą nieudolność, możemy zachować spokój tym większy im wytrwalej walczymy przeciwko sobie.

Czy księża obawiają się krytyki?

> Tak, boimy się zarzutów, my, otoczeni świętością, którzy posługujemy się stale słowami świętymi, sprawami świętymi, sprzętami i naczyniami świętymi! A tymczasem Kościół sam, święty i nieskalany w sprawowaniu sakramentów świętych, nieomylny w swym uroczystym nauczaniu, nie jest wolny od ludzkich słabości w swych członkach,

nawet najwspanialszych. Kościół świętych jest też i Kościołem grzeszników, pszenicy i kąkolu, owiec i kozłów. Czyż nie dlatego tak wszystkich dobrze rozumie, tak po ojcowsku przygarnia, że za przykładem Służebnicy Pańskiej „chce wzrastać przez pokorę i do obiecanego Królestwa przyjść przez pokorę"?[88] Nasza słabość, chociaż mamy obowiązek zwalczać ją i wyniszczać, może jednak – z Bożego miłosierdzia – być przyczyną niejednego dobra.

W jaki sposób?

Czyż walka ze sobą nie uczy nas cierpliwości, łaskawości, wyrozumiałości dla znękanych grzechem, ujmującej słodyczy w konfesjonale, ufności w Bogu? Czyż nasza słabość nie pobudza nas do modlitwy, nie rzuca nas do stóp Boga, nie chroni od próżności, zarozumiałości, wyniosłości, gruboskórnej pychy – „by się żadne stworzenie nie chełpiło wobec Boga" (1 Kor 1, 29). Ostatecznie przy Chrystusie wytrwali cisi i pokornego serca pod opieką Ucieczki grzeszników. Tylko Bóg w Kościele jest wszechmocny. Tylko Chrystus we wszystkim, co czyni, nie zawodzi!

W świetle tego, co Ksiądz Prymas mówi, wydaje się jakby życie kapłana nie mogło toczyć się bez cierpienia...

Z powołaniem i pracą kapłańską łączy się cierpienie i prześladowanie – droga najbardziej zwykła. Nadzwyczajnością jest raczej brak cierpień kapłańskich. Kapłan bez cierpień nie byłby już Sacerdos et Hostia[89]. Zapowiedź Chrystusa jest wyraźna: „Będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mego imienia" (Mt 10, 22). Należy więc raczej obawiać się braku cierpień jako czegoś dla kapłana nienormalnego.

[88] Św. Beda Czcigodny, Homilia – Liber 4, cap. 54 in Luc 12
[89] Kapłanem i Ofiarą

„I wszystkich, którzy chcą żyć zbożnie w Chrystusie Jezusie, spotkają prześladowania" (2 Tm 3, 12). (...) Miłość Bożą poznaliśmy po tym, że Chrystus „oddał za nas życie swoje. My także winniśmy oddać życie za braci" (1 J 3, 16). Dobry żołnierz umiera w boju, a Chrystusowy kapłan w trudzie apostolskim. Jeśli nie każdemu dane jest upracować się aż do krwi, to co najmniej musimy wszystkie swoje siły, zdolności, zdrowie, cały czas, energie woli i serca, prace i łzy, nawet życie dać „jako okup za wielu". (...) Przystojniej jest umrzeć kapłanowi na ambonie, jak żołnierzowi w okopie niż w sypialni. Biskup Lisowski padł udzielając święceń kapłańskich w katedrze tarnowskiej. Jak wielkie wrażenie wywarła taka śmierć na młodych kapłanach! Kościół nie jest ubezpieczalnią naszego zdrowia i życia, lecz jest Kościołem Boga, który umarł na Ołtarzu Krzyża.

O MAŁŻEŃSTWIE

Za kilka dni Polska rozpocznie niezwykły Rok Jubileuszowy: 300 lat obrony Jasnej Góry – notował Prymas w Zapiskach więziennych pod datą 18. XII. 1954 roku. – Gdy w listopadzie 1655 roku fale „potopu" dosięgły wałów Jasnej Góry, Ojciec Augustyn Kordecki tak mówił na wstępnej naradzie do zakonników i szlachty: „Szydzi z nas i pogardza nami nieprzyjaciel, pytając, co nam z dawnych cnót pozostało. A ja odpowiem: wszystkie zginęły, jednak coś jeszcze pozostało, bo pozostała wiara i cześć dla Najświętszej Panny, na którym to fundamencie reszta odbudowana być może..." (Henryk Sienkiewicz, Potop).

Prymas wszedł już w drugi rok uwięzienia. W czasie tych swoistych rekolekcji nie raz myśl kierował ku przeszłości, aby czerpać z niej światło dla przyszłości. Tak było i tego dnia. Warto myśleć o „obronie Jasnej Góry" roku 1955 – pisał. – Jest to obrona duszy, rodziny, Narodu, Kościoła – przed zalewem nowych „czarów". Moja „Jasna

Góra" ściśniona zewsząd wałem udręki; walą pociskami „zabobonu" i „wstecznictwa" – w „Kurnik".

Sam znajdował się w sytuacji równie beznadziejnej jak trzysta lat wcześniej Polska padająca pod ciosami obcych wojsk i zdrad własnych obywateli. Jego osobista klęska nie przesłaniała mu jednak potrzeby podejmowania walki, której obszary widział wyraźnie. Te obszary wymieniał owej grudniowej soboty: dusza, rodzina, Naród, Kościół. Dwa lata później skonkretyzują się one w programie Wielkiej Nowenny przed Tysiącleciem Chrztu Polski. Tematy związane z rodziną zajmą trzy kolejne lata tego przygotowania (rok trzeci, czwarty i piąty).

Dlaczego Ksiądz Prymas przywiązywał tak wielką wagę do sprawy małżeństwa, że poświęcił temu tematowi cały jeden rok Wielkiej Nowenny (Rok czwarty: Małżeństwo — sakrament wielki w Kościele)?

> Zastanawia nas to, że już 200 lat temu, w okresie, gdy Polska konała, gdy obradował ostatni Sejm Rzeczpospolitej w Grodnie, zarysowały się dwa nurty moralno-społeczne. Zwolennicy jednego z nich – jak wiemy z akt Sejmu – oddawali się całkowicie egoistycznym celom: zabawa, zdrada domowa, małżeńska i zdrada Ojczyzny; przedstawiciele zaś drugiego do Insurekcji Kościuszkowskiej. Jakże nieproporcjonalne były możliwości tych obydwu obozów! Chwilowo wzięli górę pierwsi. Doprowadził do tego egoizm, samolubstwo i rozkład rodziny. Wtedy właśnie było bardzo dużo rozwodów. Działo się to głownie wśród arystokracji rodowej. To wielkie nieszczęście osłabiło wtedy naszą Ojczyznę i w rezultacie doprowadziło do niewoli trwającej półtora wieku.

Dziś nie ma już arystokracji rodowej, są inne elity.

> Znamienny jest fakt, że obecnie ośrodkiem, gdzie najwięcej jest rozbitych małżeństw są niestety rodziny inteligenckie. Szczególnie trudna jest sytuacja inteligencji specjalistycznej, gdzie zadania i obowiązki

zawodowe, praca, choćby najszlachetniejsza, rozbijają rodzinę. I już później nie ma serca męża dla żony, matki dla dzieci i dla ogniska domowego. To jest wielkie nieszczęście, taka tragedia naszego Narodu, że można ją ustawić ją w rzędzie bolesnych przyczyn, składających się na aktualną sytuację naszego życia.

Jak jest przyczyna takiego stanu rzeczy?

Istnieją dziś potężne siły rozkładowe rodziny. Sumienie rodzinne tak często gwałcone jest szczególnie przez rozbicie rodziny, przez ułatwione życie.

Ułatwione życie w rodzinie. Czyż nie zastanawia nas to, że wszystkie środki ułatwionego życia, odrzucone przez encyklikę „Humanae vitae", ciągle dochodzą do głosu, czyniąc z człowieka istotę niemalże nierozumną[90]?

A dzieje się to w pogoni za szczęściem. Ci, którzy rozbijają rodzinę i porzucają dzieci, tłumaczą się: „Przecież ja też mam prawo do szczęścia". Słyszałem w tych dniach o matce, która zostawiła męża i dzieci i poszła w świat. Bywają, niestety, takie zdarzenia – „mam prawo do szczęścia..." Ale czy możliwe jest szczęście, gdy na dnie dążenia człowieka leży pogwałcenie prawa Bożego, własnego ładu rozumu, woli i serca? Dlatego też tacy ludzie, szukający własnego szczęścia, skłóceni są z własnym sumieniem i nigdy tego szczęścia nie znajdują.

[90] W 1968 roku papież Paweł VI ogłosił encyklikę „Humanae vitae" o zasadach przekazywania życia ludzkiego. Wskazał w niej wagę aktu małżeńskiego, który niesie w sobie dwa znaczenia: umacnianie jedności (więzi) małżonków oraz płodności. Wskazał również, że tych dwóch znaczeń nie można rozdzielać, co oznaczało odrzucenie antykoncepcji. Encyklika spotkała się z falą krytyki i odrzucenia także w Kościołach niektórych krajów (m.in. Republika Federalna Niemiec, Austria, Belgia USA).

Jednak systemy prawne państw przewidują możliwość rozwodu...

> Małżeństwo i rodzina, chociaż jest instytucją określoną normami prawnymi i obyczajami, wywodzi się właśnie z samej osobowości człowieka i to – jak widzieliśmy – w sposób wewnętrznie imperatywny. O tym zawsze trzeba pamiętać! Człowiek, który, czując się powołany do życia małżeńskiego, zakłada rodzinę, a później sprzeniewierza się swemu powołaniu i płynącym zeń obowiązkom, działa w pewnym zakresie przeciwko prawu przyrodzonemu.
>
> Trzeba jasno powiedzieć, że człowiek, który raz poszedł za powołaniem małżeńskim i stworzył rodzinę, a później w jakikolwiek sposób chciałby się wycofać z zawartego związku, lub też porzucić rodzinę, działa przeciw prawu przyrodzonemu, od którego nie ma dyspensy. Zawsze wtedy pozostanie w człowieku poczucie niespełnionego obowiązku, przegranej, konfliktu moralnego, który może dalej wikłać osobowość ludzką i doprowadzić do ciężkich zniekształceń. Nie ma właściwie większych konfliktów osobowych, psychicznych, psychologicznych, socjologicznych, jak konflikt z prawem przyrodzonym, to znaczy, działanie niezgodne z naturą człowieka, chociażby takie czy inne kodeksy, normy czy przepisy prawne, kierując się ściśle normami jurydycznymi, udzielały dyspensy, nazywanej potocznie rozwodem. Będzie to zawsze niezgodne z prawem przyrodzonym. I na to rady nie ma!

Dziś żyjemy w innej sytuacji niż Polacy przed 200 czy nawet przed 70 laty. Być może kryzys rodziny jest po prostu pewnym znakiem nowych czasów, z którym musimy się pogodzić?

> Rodzina, jako instytucja współnaturalna osobie ludzkiej, jest niezastąpiona. I właśnie, chociaż tyle się mówi – i słusznie – o kryzysie rodziny, brak dotychczas innej, lepszej formy zastępczej. Mówić należałoby nie tyle o kryzysie rodziny, jako instytucji, ale raczej o kryzysie ludzi nieprzygotowanych do życia małżeńskiego i rodzinnego,

nie rozumiejących właściwego zadania i miejsca tej instytucji w życiu społecznym i publicznym rodziny ludzkiej. Małżeństwo jest to więc związek wewnętrzny, bazujący na osobie ludzkiej. Normy, które mogą określać ten związek, wynikają z naturalnego dążenia osoby ludzkiej i zależą od jej natury. Nie są one właściwie nadane, tylko wywołane właściwością osoby ludzkiej. Sam charakter każdej osobowości usprawiedliwia całkowicie stwierdzenie: „Niedobrze być człowiekowi samemu" (Rdz 3,18).

Wychodząc z tego założenia, młodzi ludzie wstępują na ślubny kobierzec, a kilka lat później stwierdzają, że miłości między nimi już nie ma...

Gdy jest się młodym, łatwo określić, co to jest miłość, bo wtedy jesteśmy na nią wrażliwi. Szukamy miłości i chcemy ją okazywać. I łatwo nam to przychodzi, tym bardziej, że pełnej treści miłości jeszcze nie ogarniamy. Nie wiemy naprawdę, czym ona jest. Miłość nasza pojmowana jest zbyt umysłowo, uczuciowo, wrażeniowo. Tymczasem miłość jest to wewnętrzna potęga, która mnie zwycięża i ze „zwierzątka" czyni istotę gotową do służenia i oddania się innym.

Często podczas zawierania sakramentu małżeństwa czytany jest „Hymn o miłości" św. Pawła. Jak małżonkowie mogą wykorzystać ten tekst?

Miłość „nie szuka swego" (1 Kor 13,5). Nic dla siebie! Wszystko dla innych! Nie szuka upodobania, zadowolenia z siebie. I to jest właśnie bardzo trudne.

Gdy człowiek jest w prawdzie i miłuje, weseli się z prawdy. Tak nas zachęca Apostoł. Jednym z zasadniczych elementów miłości jest poznanie prawdy, całej prawdy o sobie. Znać siebie, poznać siebie, poznać się na sobie – to rzecz najtrudniejsza. Dopiero, gdy poznamy siebie, możemy powiedzieć, że weselimy się z prawdy. A jeżeli prawda

o mnie jest licha, czyż mogę się weselić? Niekiedy wcale nie ma powodu do radości!

To właśnie powoduje napięcia tak często prowadzące do kłótni...

Pamiętajmy: „Prawda was wyzwoli" – nie kłamstwo! (J 8,32). Gdy poznaję siebie, doznaję jakiejś wolności. Wtedy wszystko mogę zaczynać od nowa...

Prawdę o sobie poznajemy przez wszystkie konflikty z miłością, a więc drogą negacji. Wtedy odsłaniamy siebie. Apostoł szybko odstąpił od drogi pozytywnej. Zaczął mówić: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest..." i zaraz dopowiada sobie: „Nie zazdrości, nie działa obłudnie, nie nadyma się..." (1 Kor 13,4).

Odrzućmy „nie", a przeczytamy: wyrządza złość, nadyma się, pragnie zaszczytów, szuka swego, gniewem się unosi, myśli złe, raduje się z nieprawości, weseli się z nieprawdy. Gdy odrzucimy „nie", widzimy, drogą kontrastu, czym miłość nie jest, tak samo jak przez wszystkie niepowodzenia poznajemy, na ile jeszcze brak nam miłości i jak wytrwale musimy pracować nad sobą, aby ją w sobie wyrobić. Jest to rzecz bardzo trudna.

Jak tę trudność pokonać?

Najlepiej robić rachunek sumienia ze sposobu i stylu naszego postępowania z ludźmi i zobaczyć w nim, na ile jesteśmy cierpliwi, wolni od zazdrości, wyniosłości, szukania siebie, nadwrażliwości, gniewliwości...

Gniewliwość jest to grzech, który wyrasta z zagrożenia naszej „wspaniałości". Mamy jakiś jej obraz i naraz coś w nią godzi. Ponieważ jesteśmy zagrożeni, więc bronimy się gniewem.

Miłość wszystko znosi... Wszystko wytrzyma...

Apostoł próbuje wiernie odmalować pozytywną stronę miłości. Jest to o wiele łatwiejsze: Miłość „wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma..." (1 Kor 13,7).

Elementy pozytywne dowodzą dojrzałości, równowagi i spokoju. Okoliczności się zmieniają, ale człowiek wobec nich musi się zdobyć na wewnętrzną równowagę. Nie jest to łatwe, bo one nas bardzo często zaskakują.

„Wszystkiemu wierzy..." Jest to zasadnicze zaufanie do ludzi. Nikogo nie możemy uważać za złego, zanim to nie będzie dowiedzione. Zasadniczo, każdego uważamy za dobrego człowieka. – Dopiero gdy okaże, że jest zły, wtedy posiądziemy o nim smutną wiedzę.

Co wtedy?

Miłość „we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma...". Gdy spotykamy się z rożnymi okolicznościami życia i z ludźmi, którzy na nas „nasiadują" i napadają, najczęściej mamy tylko jedno wyjście – wszystko spokojnie przetrwać, przeczekać. Na ogół jesteśmy zbyt pochopni w słowie, już wyrywamy się, aby wypowiedzieć swoje zdanie czy osąd, a tymczasem, problem najłatwiej, najlepiej i najmądrzej zakończyć – milczeniem. Nie jest to milczenie wyniosłości, w stylu – ja wiem, że taki nie jestem, ale nic nie powiem... Idzie tu o milczenie przyzwalające, pełne cierpliwości, zaufania, a nawet pokornego poczucia: istotnie, może aż taki zły nie jestem, to się okaże. Ale przecież swoje wady mam.

Niedawno mi ktoś powiedział: – Bardzo się na księdzu zawiodłem. – Odpowiedziałem pierwszym odruchem: Mój drogi, jestem takim ułomnym człowiekiem... – „Zgłupiał". Po jakimś czasie, gdy już się żegnaliśmy, powiedziałem: Jakie to szczęście, że z nas dwóch, przynajmniej ja się na tobie nie zawiodłem. – Jeszcze bardziej „oniemiał". Ale ja w tym momencie wcale nie byłem złośliwy i nie miałem złośliwych intencji. On będzie myślał... myślał... Gdybym mu od razu „wygarnął", przestałby myśleć. A tak, będzie myślał i z czasem, powoli, zrozumie...

„Zmyli nam głowę" – no to trudno! Niekiedy przecież przychodzimy dobrowolnie, aby nam głowę zmyto. Jeżeli ktoś przypadkiem, z porywu dobrego serca, tak po prostu „bezpłatnie" nam usłuży – cóż

to szkodzi? Jest to doświadczenie, które bardzo się opłaca... Miłość wszystkiego się spodziewa, nawet „mycia" głowy. „Wszystko przetrwa" – i mycie głowy też, bo i ono przecież kiedyś się skończy... „Miłość wszystko znosi...!"

Jest to wymagający program, tak bardzo wymagający, że apostołowie, słysząc słowa Chrystusa o nierozerwalności małżeństwa, mówili, że lepiej się nie żenić.

Ponieważ miłość jest potrzebą naturalną, niezwykłe trudną, ale dającą możność pełni rozwoju duchowości dwojga, dlatego od początku przy tych dwojgu staje w jakimś wymiarze Bóg. Przeglądając historię najrozmaitszych religii, dostrzegamy, że instytucja małżeństwa jest zawsze w pewien sposób sakralizowana. W pełny sposób sakralizowana jest przez Stwórcę, który łączy dwoje w ich współnaturalnym dążeniu do siebie i przez Chrystusa, który toczył nawet spór ze swoimi uczniami o nierozerwalny charakter współżycia dwojga zwanego małżeństwem.

Pierwszy cud Jezusa opisany przez św. Jana miał miejsce na weselu w Kanie Galilejskiej. Jakie to ma znaczenie?

Zwraca na nie uwagę święty Augustyn w swej homilii brewiarzowej, czytanej w II niedzielę po Epifanii. – „Jeśli Pan zaproszony na gody przybył na nie..., to chciał przez to potwierdzić, że to On uczynił zaślubiny". Chrystus buduje Kościół swój. Jak Ojciec niebieski w raju, kładąc fundamenty pod życie ludzkie na ziemi, zaczął od stworzenia rodziny i pobłogosławił pierwszy związek małżeński Adama i Ewy, tak Chrystus, budując Kościół święty daje mu zdrowe, przyrodzone podstawy – w rodzinie. Dlatego Chrystus jest na godach weselnych, aby obecnością swoją od początku uświęcić życie rodzinne, które będzie przyozdobione przez Chrystusa łaską sakramentu. Należy więc – od początku – odrzucić wszelkie błędne zapatrywania na znaczenie życia rodzinnego. Nie diabeł jest ojcem, lecz Bóg. „Co tedy Bóg złączył,

niechaj człowiek nie rozłącza" (Mk 10,9). „Jak zjednoczenie dwojga jest z Boga, tak rozwód jest z szatana" – mówi święty Augustyn. (...) Jak bardzo obraz z Kany, Boskiego Oblubieńca, uświęcającego swoją obecnością i dobrocią małżeństwo ludzi, zrósł się z całą nauką Kościoła, niech poświadczą pouczenia świętego Pawła. Dając wskazania małżonkom, Apostoł sięgnął aż do obrazu Chrystusa, miłującego Kościół swój. Mąż jest głową żony, jak Chrystus jest głową Kościoła: On, Zbawiciel ciała jego. Lecz jak Kościół poddany jest Chrystusowi, tak i żony swoim mężom we wszystkim. Mężowie, miłujcie żony wasze, jak i Chrystus umiłował Kościół i wydał samego siebie za niego, aby go uświęcił..." (Ef 5,23-26).

Wydał się... To znaczy, że gotów był i oddał życie. Skąd dziś czerpać siłę, aby „oddawać życie"?

Oblubieniec Kościoła z Kany jest więc umocnieniem serc oblubieńców, jest ich uświęceniem i radością. „Dobre wino" dla rodzin, zachowane aż dotąd, płynie z mocy Chrystusa. Niedziela „Godów w Kanie" jest uroczystością jubileuszową każdego małżeństwa i każdej rodziny chrześcijańskiej, gdyż jest pamiątką wejścia Chrystusa w życie dwojga i w życie tworzącej się ich rodziny.

O RODZINIE

Pierwsze dzieło uszczęśliwienia człowieka zaczął Bóg od mężczyzny, z którego boku wyprowadził niewiastę. Wszystko zostało zburzone przez grzech. Drugi raz zaczął od Niewiasty, z której wywiódł nowego Adama. Tym razem poszło dobrze. Pierwszy Adam przegrał przez niewiastę; drugi Adam zwyciężył przez Niewiastę: Ewa i Maryja...

To refleksja Stefana Wyszyńskiego z drugiej więziennej wigilii Bożego Narodzenia, którą spędzał w Prudniku Śląskim. Te najbardziej

rodzinne święta kierowały jego myśl ku początkowi wspólnej drogi Boga z człowiekiem. Wszak 24 grudnia Kościół co roku wspomina pierwszych rodziców – Adama i Ewę – jakby chcąc podkreślić, że narodziny Boga – Człowieka mają ścisły związek z tym, co wydarzyło się w raju, gdzie Bóg stworzył człowieka „na swój obraz".

Prymas, którego na wolności najbliższe otoczenie nazywało ojcem, był głęboko świadom tego, że kształtowanie relacji w każdej ludzkiej wspólnocie powinno mieć charakter rodzinny. O to starał się również w więzieniu. Nazajutrz, w sam dzień Bożego Narodzenia 1954 pisał:

Śniadanie, obiad i wieczerza są pełne zdrowej pogody i humoru; na szczęście nikt nie choruje. Po obiedzie czytamy sobie opisy dnia świętego Szczepana w Potopie – to ostatni dzień oblężenia Jasnej Góry przez Szwedów. Po czym śpiewamy do samego wieczora kolędy. Ksiądz Stanisław broni się dzielnie, chociaż chora matka przychodzi mu często na myśl. Po wieczornych modlitwach umyślnie pozostajemy dłużej razem, ażeby ksiądz Stanisław nie miał czasu na rozważania o „wyglądającej oknem matce". Zdaje się, że wyszedł z tych pokus zwycięsko.

Co ciekawe, w kategoriach „rodzinnych" więzień patrzy również na swoich strażników. Zauważa i docenia to, że nie są zbyt widoczni. I zaraz zastanawia się: A może, biedni, myślą, że nie umielibyśmy spojrzeć na nich po bratersku? Może uważają, że święta religijne są zarazem wzrostem napięcia antybezbożniczego? A myśmy modlili się o ich pogodę i o miłość, która się rodzi w stajni, dla ludzi stajni i obór[91]. Oby mogli zrozumieć, jak bardzo Chrystus jest właśnie dla nich.

Z godnym podziwu spokojem Prwymas przyjmuje pozbawienie go wolności. Gdyby ją miał, świętowałby Boże Narodzenie w katedrze, przewodnicząc liturgii: Z przyzwolenia Ojca Niebieskiego nie mogę

[91] Strażnicy Prymasa pochodzili głównie z rodzin wiejskich.

dziś stanąć przy ołtarzu katedralnym, by wielbić rodzinne święto Trójcy Świętej: Ojca – Rodzica i Syna Narodzonego, i Ducha Oblubieńca.

Nieprzypadkowo Prymas mówi o święcie rodzinnym Trójcy. Tajemnica wiary chrześcijańskiej głosi, że jest wprawdzie jeden Bóg, ale w trzech Osobach. A więc Bóg nie jest samotny, lecz jest relacją. Dlatego, stwarzając człowieka na swój obraz, stworzył go do relacji – mężczyzną i kobietą. Jest to relacja miłości, która daje życie. Życiodajna miłość nie ogranicza się tylko do wymiaru biologicznego, lecz ma znaczenie duchowe, co oznacza w praktyce, że rodzice otrzymują prawo do wychowania i poprowadzenia swojego dziecka ku życiu nadprzyrodzonemu.

Czy musimy cofnąć się aż do Adama i Ewy, aby zrozumieć, czym jest rodzina?

> Nie lękajcie się, że będę od raju ciągnął aż do czasów dzisiejszych. Ale nie można zaprzeczyć, że jest tam jakiś prawzór każdej pracy, która w wymiarze dziejowym trwa, pozostaje do skończenia świata. Wprawdzie w okresie zamętu posoborowego były próby zastąpienia rodziny innymi formami instytucji społecznych, nie wyłączając pomysłu duńsko-holenderskiego, tak zwanej „dużej rodziny", jednakże, wcześniej niż się spodziewano, instytucja ta wykazała niezdolność do przedłużenia swojej egzystencji. Pozostaje więc nadal tych dwoje, których wzór ustanowił Ojciec niebieski w raju.

Pierwszy został stworzony Adam, a po nim Ewa określona przez samego Boga jako „odpowiednia dla niego pomoc". Czy to znaczy, że kobieta jest mniej ważna od mężczyzny?

> Rzecz znamienna, że jakkolwiek mężczyzna w tym układzie ma pewną postać prymatu egzystencji, istnienia, bytowania, to jednakże ten eksperyment Boży, eksperyment któremu Bóg sam bacznie się przyglądał

nie zdał egzaminu, w ogóle. Bardzo często tak bywa, że mężczyźni mniej egzaminów zdają od kobiet. Dlatego Bóg obmyślił pomoc podobną mężczyźnie. Była to właśnie kobieta. Wprawdzie wyprowadził ją z Adama, ale programował w przyszłość. Będzie bowiem czas, gdy ponownie z boku uśpionego na krzyżu nowego Adama wyprowadzi Matkę-Kościół. Bóg lubi trzymać się utrwalonych wzorów. Sam trwa w nieskończoność i sam też nieustannie podtrzymuje wzory przez siebie ustanowione.
Rzecz ciekawa, że to ma być pomoc. A komu daje się pomoc? Temu, który sam sobie poradzić nie może. Jasne, że pomoc pod każdym względem jest bardziej wartościowa aniżeli ten, któremu się pomaga.

Ewa odegrała jednak niechlubną rolę tej, która dała się skusić...

Pomoc, którą otrzymał Adam w raju, była bardziej operatywna i ona to dostrzegła wielkie walory owocu zakazanego. Jak nam to wykłada Księga Rodzaju, Ewa, przyglądając się owocowi, dostrzegła, że jest uroczy, piękny, że nadaje się do podtrzymania bytu, do zaspokojenia potrzeb życiowych. I jeszcze, rzecz ciekawa, nadaje się do rozeznania prawdy. Trzy więc walory, wprawdzie chwilowo zakazane, odkryła Ewa w owocu. Była ona wrażliwa na właściwości estetyczne, na wartości bytowe i na wartości intelektualne. I te wartości dostrzegła w zakazanym owocu. Dlaczego zakazanym? Bo przedwczesnym. A wszystko musi przyjść w swoim czasie. Mógłby ktoś powiedzieć: Ale ta pomoc wyszła Adamowi bokiem, utknęła mu w gardle. To wszystko jest prawda, lecz do czasu.

Ksiądz Prymas zwraca uwagę, że ten owoc nie był zakazany na zawsze, tylko na pewien czas, a człowiek niejako się „pospieszył" i przez to pierwsza rodzina – Adama i Ewy doświadczyła zła. Co w takim razie jest potrzebne, aby doświadczyć dobra?

Bóg ma swój schemat i oto go ponawia: zapowiada nową próbę, Niewiastę, której błogosławiony Owoc zetrze głowę węża i da pełne poznanie. Ponawia wzór w Rodzinie z Nazaretu. Tam jest udoskonalony obraz. Józef staje się cieniem Ojca – jak to wyłożył Dobraczyński w swojej książce, natomiast Matką par excellence jest Bogurodzica Maryja, chociaż błogosławiony Owoc Jej życia był Obojgu poddany i posłuszny. Zadanie Józefa było dyskretne, chociaż autentyczne i niezwykle doniosłe. Natomiast zadanie Maryi jest tak wyjątkowe, że gdy Józef przez cały czas swego istnienia milczy – nawet wtedy gdy przemawiają do niego aniołowie Boży we śnie, to Maryja mówi, niewiele mówi, ale jednakże mówi. Dopytuje się Anioła: Quomodo fiet istud (Łk 1, 34), jak ten Owoc, który nadaje się do poznania prawdy, Jezus – jak On powstanie? Co więcej, Ona mówi w Ain Karim i w świątyni jerozolimskiej. Milczy wprawdzie na Kalwarii, ale jest tam do końca i staje się Matką Kościoła swego Syna. Józefa już nie ma w pięknej Rodzinie Nazaretańskiej, ale Ona jest tam, musi być. Bo Ona nie zraża się najtrudniejszymi sytuacjami rodzinnymi. Jak kiedyś mówiono do matki skazańca, którego powieszono: Nie wstyd [ci] stać pod szubienicą? Nie, bo to mój syn. Zadaniem matki jest wytrwać do końca, chociażby wszyscy opuścili. Na tym polega, udana tym razem, pomoc dana każdemu człowiekowi, który przychodzi na świat i staje się przyczyną radości; bo człowiek na świat się narodził.

Tym człowiekiem, który przyszedł na świat, jest Jezus. Małżeństwo Maryi i Józefa stało się w tym momencie rodziną, ale bardzo szczególną. Czy zatem zwykła rodzina może pójść ich śladami?

Najświętsza Rodzina była wyjątkowa, ale Kościół chce, aby ta wyjątkowa Rodzina stała się wzorem współżycia wszystkich. Dlatego też w uroczystość Najświętszej Rodziny szkicuje w Lekcji z Listu świętego Pawła do Kolosan, obyczaje każdej rodziny: „Przyobleczcież się zatem jako wybrani Boży, święci i umiłowani, w czułe miłosierdzie,

w dobroć, w pokorę, w cichość, w cierpliwość" (Kol 3,12). Czytając to, czujemy się tak, jak gdybyśmy patrzyli na Świętą Rodzinę.

To z niej biją promienie na życie każdej rodziny domowej. Wybrańcy Boży, umiłowani! Bóg łączy ich i uświęca przez sakrament małżeństwa. Aby wszystko w nich „grało", muszą mieć zasadnicze cnoty: miłosierdzie, dobroć, pokorę, cichość, cierpliwość. „Znoście jedni drugich i wybaczajcie sobie, jeśliby ktoś miał skargę przeciw komu..." „A nadto wszystko miejcie miłość, która jest więzią doskonałości. Pokój zaś Chrystusowy, do którego też wezwani jesteście w jednym ciele, niech panuje w sercach waszych" (Kol 3,14-15). Jest to chyba lekarstwo dla każdej rodziny domowej. Dzisiaj może dlatego widzi się w niej tyle męki, że ludzie za mało patrzą na Świętą Rodzinę, która ma swego „Łącznika" – Dziecię. Ono jest najważniejsze! W rodzinie nie jest najważniejszy ojciec ani matka, tylko dziecię. Można powiedzieć: najważniejsi są rodzice, ale tylko tak długo, jak długo nie ma dziecka. A gdy ono już jest, ojciec i matka poniekąd spełnili swoje zadanie. Dlatego dla dziecka trzeba wszystko poświęcić, nawet życie własne!

Obecnie rodzi się coraz mniej dzieci. Dlaczego?

Dzisiaj dzieje się, niestety, odwrotnie – poświęca się dziecko, aby matka i ojciec mogli sobie spokojnie żyć. Tymczasem trzeba poświęcić siebie, aby dać życie dziecięciu, bo ono jest najważniejsze. Nie ojciec, nie matka, tylko dziecię! Istnieje piękna legenda bretońska. Na brzegu morskim, w czasie sztormu, woda zalewa chatę. Nie można już nic uratować. Na dachu mąż podtrzymuje żonę, żona trzyma wysoko nad sobą dziecko... Oboje giną, ale dziecko zostaje ocalone. Nadjeżdżająca łódź ratunkowa zdołała jeszcze wyrwać z rąk tonących rodziców żywe dziecię. Uratować dziecię!... Za wszelką cenę uratować dziecię!

Mąż, który podtrzymuje żonę, żona, która trzyma dziecko. Obraz, który pokazuje ksiądz Prymas zakłada, że oboje będą mieli ten sam

cel i gotowi są ramię w ramię go realizować, nawet za cenę największej ofiary. Jednak nie każdy jest na nią gotowy...

> Przykazanie, które dał Stwórca pierwszym rodzicom, właściwie w porządku naturalnym, nie zna wyjątków: „Rośnijcie i mnóżcie się, i napełniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną" (Rdz 1,28). Ale za tym przykazaniem musi pójść specjalne powołanie, a więc takie usposobienie, w którym człowiek poważnie, rzetelnie i świadomie pragnie wykonać przykazanie Boże. (...) Ludzie, nie mogą iść obok siebie, lecz muszą się wspierać wzajemnie, aby wypełnić wspólne zadanie, które im obojgu powierzył Ojciec niebieski. Tak jest w porządku przyrodzonym i tak jest również w porządku nadprzyrodzonym, w którym idzie o przekazywanie życiu przyrodzonemu – życia nadprzyrodzonego. I tu istnieje ta sama wzajemna zależność i współdziałanie.

Niełatwo w tym zachować właściwą równowagę. Czy lepiej jest, aby to kobieta podejmowała trud wychowania, czy też może mężczyzna powinien wziąć sprawy w swoje ręce?

> Wychowanie rodzinne tylko przez kobiety, bez pomocy mężczyzn, zawodzi. I wychowanie rodzinne tylko przez mężczyzn, bez pomocy kobiet, również zawodzi. Musi być współdziałanie ojców i matek. Jest źle, gdy ojciec nie troszczy się o wychowanie dzieci, lub gdy matka nie ma czasu na zajęcie się dziećmi i domem. Ale jest dobrze, gdy oboje sprawują dzieło przekazywania życia – zarówno doczesnego jak i nadprzyrodzonego – dzieciom, które im Bóg powierzył. Gdy je razem pielęgnują i wychowują. I tak już będzie aż do skończenia świata! Nie zrozumiemy i nie wypełnimy zadania w rodzinie bez wzajemnej pomocy dwojga – mężczyzny i niewiasty. Wiemy z pedagogiki rodzinnej, że najlepsza jest i najskuteczniej wychowuje rodzina mieszana, gdzie jest pewna ilość synów i pewna ilość córek. Wychowujące jest już samo współdziałanie płci i harmonia charakterów, które wzajemnie sobie coś użyczają.

Coraz częściej zdarzają się zewnętrzne interwencje w życie rodzinne, bywa, że dzieci są zabierane z domów do instytucji opiekuńczych. Nierzadko kwestionuje się też – w kontekście różnych patologii – autorytet rodziców i władzę rodzicielską. Co Ksiądz Prymas o tym sądzi?

Mówił [...] jeden z ludzi, zajmujących się publicystyką, że dużo zrobiliśmy dla obrony życia rodzinnego, pośpieszyliśmy z pomocą rodzinie, nadal jednak nie wychowujemy obywateli, lecz chuliganów. Dlaczego? Bo chcemy tego dokonać bez matki i ojca! A nawet najmniej przygotowana do zadań wychowawczych rodzina lepiej wychowuje, niż zakłady wychowania społecznego i publicznego, w których – jak stwierdził – brak „witaminy M", czyli miłości serca.

Ksiądz Prymas nazywał często naród „rodziną rodzin". Co wymaga szczególnej uwagi, gdy łączy się obie te rzeczywistości?

Sprawa, która w szczególny sposób wymaga przypomnienia, a gdy przypomnienie nie skutkuje – prośby, a gdy prośba nie pomaga – żądania, to obrona życia narodu. Mówimy wyraźnie wszystkim, od których to zależy – rodzicom w domach, wszystkim obywatelom, i władzom państwowym: nie godzi się nikogo zabijać, zarówno w łonie matki, jak też i w jego życiu duchowym, moralnym i religijnym. Trzeba bronić życia narodu, a zwłaszcza zwartości rodziny. Dzisiaj także biskup katolicki ma obowiązek powiedzieć, jak ongiś Jan Chrzciciel mówił Herodowi: nie godzi ci się brać cudzej żony! – jak mówił Stanisław w Krakowie: musisz i ty szanować prawo Boże, bo autorytet i powaga nie zwalnia królów i władców od szanowania praw Bożych, owszem, jeszcze bardziej ich do tego zobowiązuje. Do nas więc, biskupów, należy i dzisiaj bronić życia narodu i domagać się, aby szkodliwe dla niego prawa, rozporządzenia i instrukcje, godzące w życie nienarodzonych, były usunięte.

Czy Kościół może ingerować w sprawy, które reguluje świeckie ustawodawstwo?

> Poszedłem oglądać teren budowy jednego z kościołów. Przechodzę koło kiosku z warzywami; zapłakana kobieta stoi w drzwiach: Czemu pani płacze? – Zabito mi syna. – Co takiego? – Wdał się w złe towarzystwo chłopaków wychowanych bez sumienia. – Pomyślcie, jak ten problem się dzisiaj upowszechnia! Bez ducha Bożego, bez sumienia chrześcijańskiego, bez prawa miłości Boga i bliźniego, nie można wychować młodego pokolenia. Dlatego też wierność Bogu, wierność Ewangelii Chrystusowej, przykazaniom Bożym, miłości Boga i bliźniego, opłaci się i osobie ludzkiej, i rodzinie, i narodowi, i władzy politycznej.

Ksiądz Prymas podkreśla, że rodzinność ważna jest nie tylko w tworzeniu ogniska domowego, ale również w innych wspólnotach, w tym w Kościele. Na czym polega to podobieństwo?

> W Kościele człowiek jest najważniejszy! Dlaczego? Bo Chrystus – „dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba". Ty jesteś najważniejszy w Kościele Chrystusowym! A wszyscy inni – plackiem „przed Jego królewską mością"! Nawet biskup! Nawet papież, który jest „servus servorum Dei" – sługą sług Bożych. Na kolana! Jak w Wielki Czwartek[92], tak i na co dzień. Tak samo jest w rodzinie zakonnej: „Ale który jest większy między wami, niech będzie jako mniejszy; a przełożony, jako ten, co służy" (Łk 22,26). Biada, gdy przeorysza zostanie wielką ksienią. Wtedy robi się z niej „magnifica" [wspaniałość – red.], wszystko zaś inne jest nędzą. A przecież idzie o to, aby ona była sługą i nigdy o tym nie zapomniała.

[92] W Wielki Czwartek kapłan i biskup myje nogi 12 mężczyznom dla upamiętnienia umycia nóg apostołom przez Jezusa.

Bywa, że w rodzinie dzieci przysparzają rodzicom zmartwień i zgryzot. Ksiądz Prymas jako biskup (a na biskupa mówi się czasem ojciec) miewał pewnie „dobre dzieci" i te trudniejsze... Jak sobie radził?

> Tak, jak w każdej społeczności rodzinnej, najważniejsze są dzieci! One mogą być kapryśne, mogą tego czy owego nie rozumieć i zbyt wiele wymagać. Mogą się nawet rozzuchwalać, gdy poczują, że są ważniejsze – oczywiście niech tego nie robią – ale tak jest! Co z ojca i matki, wszystko jest dla nich! Oni są nie dla siebie, tylko dla dzieci, a wszystko, co jest z nich, służy temu, aby życie rodziło się i rozwijało jak najobficiej. Jeśli mówię – dzieci są najważniejsze – to jeszcze dodam: nie mam myśleć, że ja jestem najważniejszy, ale ono, to małe, to drugie... Jeżeli każdy tak będzie myślał, wówczas zrealizujemy to, o czym święty Paweł cudownie nam mówi: „Znoście jedni drugich i wybaczajcie sobie, jeśli kto ma skargę przeciw komu..." (Kol 3,13).

O WYCHOWANIU

Wszyscy starannie się perfumowali, chociaż nieraz byli ubrani gorzej. Wszyscy marnowali czas na nudzie i bezczynności. Jeżeli coś czytali, to powieścidła. Wszyscy nie byli skłonni do pracy. Jeżeli niekiedy do niej wyszli, to na bardzo krótko – tak opisywał Prymas Wyszyński swoich strażników w Stoczku Warmińskim. – Większym ich wyczynem było wykoszenie traw w ogrodzie; wszyscy umieli dobrze kosić, z czego wynika, że w pierwszym pokoleniu pochodzą ze wsi. Niemal wszyscy umieli dobrze kląć. Gdy dochodziły odgłosy ich rozmów, były zawsze bardzo ordynarne.

W opisach tych nie brakowało humoru:

Mogli być świadkami niszczących się traw, nie zajęli się nimi. Gdy wreszcie skoszono trawy, nikt ich nie przewracał, aż zgniły. Gdy

proces gnicia zatruwał powietrze, przyszły wozy wojskowe rankiem i wywiozły zgniłe trawy; tuż za parkanem pasły się krowy na wyschłym wygonie. Resztę trawy spalono w ogrodzie, ujawniając całemu światu wysoce postępową metodę suszenia siana. Byliśmy zdumieni tak prostym pomysłem „racjonalizatorstwa" w rolnictwie; że też tak późno ludzie wpadli na ten pomysł, i to w Stoczku, na oczach ludzi zacofanych, wrogów nowego ustroju!

Byli to przeważnie ludzie młodzi. Prymas zastanawiał się, jaka będzie przyszłość Polski, jeśli ludzie, którym powierzono bardzo odpowiedzialne zadanie pilnowania „wroga publicznego", są na tak niskim poziomie. Wnikliwie zauważał (co się sprawdziło w stu procentach po kilku dekadach):

Ci ludzie nie są zdolni stworzyć materialnego dobrobytu w Polsce. Nieraz wypożyczano z naszego „magazynu", w którym zgromadziliśmy trochę narzędzi ogrodowych, zebranych w parku, jakieś sprzęty do pracy; nigdy ich nie odniesiono na miejsce, porzucono tam, gdzie coś robili. Ile razy zbieraliśmy te sprzęty, przynosząc z powrotem do naszego schowka pod gankiem!

Jest faktem, że marksistowski materializm doprowadził do rozkładu życia moralnego w Polsce. Ale Prymas zauważał, że podobny proces następuje również i w tzw. wolnych krajach:

Gdy byłem młodym człowiekiem i chodziłem po Rzymie, widziałem dużo młodzieży, ale z „bedekerami", którymi pomagali sobie rozpoznać miasto. A teraz widzieliśmy inną młodzież. Wyglądało to tak: worek pod głową, kamień wyjęty z wielkiej ekspozycji schodów Trinità dei Monti, a na tym leżą sobie młodzi ludzie i patrzą na świat z wielką pogardą.

Dopóki tam spokojnie leżeli, było pół biedy. Ale gdy zaczęli urządzać tam swoje życie „na stałe", a w fontannie Trinità dei Monti prać garderobę, musiano się tym zainteresować. Policja zaczęła odwozić

ich do granicy. Powstał wielki problem: przecież jest wolność, swoboda! Jeżeli ta młodzież nie chce nic robić, to czemu jej przeszkadzać? Ale inni pytają – jak długo można nic nie robić. Gdy dzienniki rzymskie zajęły się tą młodzieżą i zaczęły zamieszczać masę fotografii, zdumienie ogarnęło, jak człowiek może się tak zdeformować.

Widzimy, że i wśród naszej młodzieży, niestety nie brak jest nieładu, może tylko nie w tak jaskrawej formie. Znajdujemy wspaniałe wzory młodzieży bardzo dobrze pracującej, ale również nie brak jest młodzieży próżnującej.

Wychowawcom, rodzicom i nauczycielom często wydaje się, że największym problemem w kształtowaniu młodego pokolenia jest brak odniesienia do pewnych wartości. Tymczasem Ksiądz Prymas wskazuje, że przyczyną problemów jest rezygnacja z wymagania od młodego człowieka wysiłku i pracy?

> Lenistwo jest deformacją psychiczną, bo pozbawia rozum i wolę inicjatywy. Prowadzi do „zaśniedziałości" serca, wskutek czego młody człowiek stale cofa się w swoim rozwoju, nie mając odpowiedniego rozruchu dla swoich możliwości, zdolności, talentów itp. Im bardziej człowiek jest zasobny w dobra kulturalne, właściwości psychiczne, zdolności i talenty, tym większy ma obowiązek pracy, czyli rozwijania wartości, które w nim są. Obowiązek pracy to ratunek przed dekadencją i deformacją własnej osobowości. Nieraz słyszy się powiedzenie: „Gdy chcesz, aby ci coś zrobiono, idź do człowieka, który ma dużo pracy". Dlaczego? Dlatego, że ten, kto ma pracy mało, a czasu dużo, jest tak psychicznie „rozłożony" i rozleniwiony, że jego sprawność mobilizacji psychicznej, a nawet fizycznej, jest osłabiona. U człowieka natomiast bardzo zajętego, potęguje się zdolność i podnosi się sprawność operatywna. Niekiedy on sam jest zdumiony, jak to się dzieje, że jest on zdolny podołać tak ogromnej ilości obowiązków i pracy.

W jaki sposób człowiek może dojść do takiej postawy?

> W pewnej parafii w Polsce był ochrzczony piętnasty synek w rodzinie. Posłałem błogosławieństwo, bo o to proszono. Rodzina rolnicza, ojciec ma osiem hektarów ziemi. Siedem dziewczynek otrzymało odznakę „wzorowej uczennicy", dwie skończyły szkoły zawodowe i pracują. Wyobrażam sobie, jak ten najmniejszy, który teraz przyszedł na świat, będzie kochany, jeśli czternaście par rąk zacznie przelewać rodzinne uczucia na tego „młodzieńca"! – Pomyślcie, jakim szczęściem jest liczna rodzina!
>
> Wydaje się niekiedy ludziom, że im mniej dzieci, tym mniej kłopotu. Ale pomyślcie, jak ten kłopot może być radosny, zwłaszcza jeżeli starsze siostry pomagają młodszemu rodzeństwu i matce. Kiedyś spotkałem małą dziewczynkę, która niosła swojego braciszka. Nożyny malca były tak długie, że ledwie dźwigała go przed sobą. Ale szła, pełna dumy.

A zatem pierwszym sojusznikiem udanego procesu wychowawczego jest liczna rodzina. To też własne doświadczenie księdza Prymasa. Jednak wówczas łatwo o konflikty, kłótnie, wzajemne złości...

> Gdy byłem małym chłopcem, wpadłem kiedyś w „szalony gniew" i spaliłem moim siostrom – a miałem ich cztery – wszystkie lalki. Możecie sobie wyobrazić, jaki był płacz i co mi groziło, gdy przyszła „sprawiedliwość" w postaci...ojca! I wtedy co się okazało? W moim domu stał duży fortepian. To było miejsce mojej ucieczki – pod fortepian. Gdy „sprawiedliwość" się zbliżała, moje cztery pokrzywdzone siostry obsiadły wokół fortepian i błagały ojca, aby egzekucję odłożyć na później. Tłumaczyły: on się poprawi, nawróci. – Jak widzicie, „nawróciłem się".

Z tego wynika, że mały Stefek miał ojca „obecnego" w domu. Dziś problemem wychowawczym jest jego nieobecność.

> (...). W Gnieźnie rankiem, stojąc w oknie swego domu, patrzyłem na ulicę. Przez jezdnię przechodziła kobieta: jedno dziecko w wózeczku, drugie na ramieniu, a trzecie trzymało się sukienki matki. Spieszyła się do pracy. Pytanie: a gdzie mąż? Może już wcześniej poszedł do pracy, możliwe. Ale zostawił ją z tym słodkim, błogosławionym ciężarem samą, na niebezpiecznym, przejściu, gdzie krążą ciężkie wozy od strony Torunia i Bydgoszczy.
>
> Czyż nie trzeba sobie tu przypomnieć świętego Józefa, jego troski o Maryję i pomoc w codziennych sprawach? Czy nie trzeba sobie przypomnieć obowiązków, jakie macie wobec matek, żon i sióstr? Uczcie się na przykładzie Józefa, jak pomagać Maryi. Niech dla każdego z Was rodzina – nie tylko ta własna – będzie świętą rodziną!
>
> Gdy dzisiaj mówimy o współdziałaniu Józefa z Nazaretu z Maryją, w dziele powierzonym im przez Ojca Niebieskiego, to na ich przykładzie uczymy się, że potrzeba w rodzinie dwojga serc i dłoni, potrzeba życzliwości i czasu, aby osiągnąć należyty rezultat wychowania. Potrzeba tego dzisiaj każdej rodzinie polskiej! Nie poprawi się sytuacji w rodzinie, nie przezwycięży się niepokojów współczesnych, jeżeli nie przywróci się dzieci i młodzieży rodzicom, jeśli matki nie będą mogły poświęcić więcej czasu swoim dzieciom; jeżeli przynajmniej w niedziele i święta cała rodzina nie spotka się swym domu i jeśli nie zaprzestanie się podejmowania dodatkowych przymusowych zobowiązań społecznych w czasie wolnym od pracy. Dopiero wtedy, gdy to wszystko będzie przeprowadzone, możemy liczyć na szybsze i owocniejsze wyniki odnowy rodziny.

Rodzice dzisiaj skarżą się na swoją bezradność wobec dzieci, są nimi zmęczeni. Małe dziecko jeszcze da się jakoś opanować, starsze potrafi zachowywać się arogancko i mieć za nic polecenia czy nawet prośby rodziców.

W nasze codzienne życie, nawet zawodowe, za wiele weszło – wybaczcie to słowo – zwyczajnego chamstwa. Niektórym ludziom wydaje się bowiem, że tak zwany postęp musi koniecznie łączyć się z chamstwem i brutalnością. Widzicie to na ulicach wielkich miast, dostrzegacie to w prasie. Nawet wielu pisarzy stara się o to, aby swoje utwory „ozdobić" na każdej stronie przynajmniej kilkoma wyrazami rynsztokowymi. Odwracajcie się od tego, niech Wam to nie imponuje! (...)

Czytałem w świątecznym numerze „Tygodnika Powszechnego" krótki artykuł o pracy robotników budowlanych i ich życiu w hotelu robotniczym. Autor artykułu opisuje swoje spostrzeżenia. Mieszkał w tym hotelu miesiąc: W sobotę po wypłacie młodzi chłopcy – bo przeważnie tacy tam mieszkali – osiemnasto, dwudziesto, dwudziestopięcioletni – wszystko, co zarobili, przepijali. W niedzielę, czasem któryś poszedł na Mszę Świętą, ale większość była pijana. Niekiedy jeszcze w poniedziałek nie zjawił się nikt w pracy. Dopiero we wtorek stanęło na budowie około trzydziestu procent pracujących. Ci młodzi ludzie nie myśleli o tym, że człowiek ma obowiązek czynić z siebie ofiarę i opanować swojej złe nałogi.

Trudna jest ta mowa – chciałoby się powiedzieć. – Wychowawcy nie mają często odwagi, aby mówić w ten sposób. Jak to robi Ksiądz Prymas?

Chrystus stawia Wam wymagania umiejętności walki z sobą, ze swymi popędami i złymi skłonnościami. Żąda od Was pracy nad sobą. Ale tylko za cenę tej pracy zwycięża się samego siebie. Zwycięstwo nad sobą jest najtrudniejsze, ale też i najbardziej wartościowe: najwięcej daje Wam osobiście i wychowuje Was do życia, które jest przed Wami. Nie sztuka jest zwyciężać innych, sztuka jest zwyciężyć siebie samego! Znacie z dziejów przykłady takich ludzi, którzy zwyciężali innych,

ale przekonali świat, że są słabymi i marnymi ludźmi. Znacie z historii literatury przykłady ludzi, którzy pozostawili po sobie wspaniałe pomniki twórczości, ale ostatecznie sami zbankrutowali, a nawet targnęli się na własne życie. Nie mieli pionu moralnego, nie mieli ładu ducha i umiejętności zwyciężania siebie.

Może Waszą młodzieńczość pociąga niekiedy dowolność i swoboda życia, ale szybko się przekonujecie – chociaż pragnąłbym, abyście się nigdy osobiście o tym nie przekonali – że wszelka wolność i dowolność moralna kończy się ostatecznie katastrofą, której się wkrótce żałuje. Panowanie nad sobą i walka ze złymi skłonnościami, zakończona zwycięstwem, dają radość i rodzą doniosłe owoce osobiste i społeczne. Ale to kosztuje.

A cóż nie kosztuje, Najmilsze Dzieci?! Każda rzecz wielka musi kosztować i musi być trudna. Tylko rzeczy małe i liche są łatwe!

Część II Pytania do Prymasa

Życie

O DOBRYCH DECYZJACH

7. VIII. 1955, niedziela.

O zwykłej porze wizyt zgłosił się kierownik w towarzystwie pana, który przedstawił się jako przybywający z ramienia Urzędu Bezpieczeństwa dla przeprowadzenia rozmowy. Po wyjściu kierownika niespodziewany gość oświadczył, że chce rozmawiać w sprawie 2 moich petycji, złożonych do Rady Ministrów. Przynosi odpowiedź, połączoną z propozycjami. Zacznie od pierwszej, jako dalej idącej – zmiany warunków izolacji.

W ten sposób Stefan Wyszyński opisał długą rozmowę, w czasie której przedstawiciel władz zaproponował mu złagodzenie warunków odosobnienia i zamieszkanie w wybranym przez Prymasa i zaakceptowanym przez rząd klasztorze. Propozycja wyglądała atrakcyjnie – kardynał mógł mieć więcej swobody, miałby z pewnością lepsze warunki, które pozwoliłyby mu na podreperowanie zdrowia, no i wreszcie mogliby odwiedzać go bliscy, z którymi nie miał kontaktu od prawie dwóch lat. Prymas nie powiedział tak ani nie. Złożył obszerne oświadczenie, podkreślając, że jego prawa są wciąż naruszane, po czym poprosił o czas do namysłu. Jego efekt opisuje w ten sposób:

Po modlitwie doszedłem do wniosku, że nowa sytuacja, jaka miałaby złagodzić izolację, równa się: 1. aprobacie wytworzonej przez dekret sytuacji, aprobacie pozbawienia wolności, domu i pracy; 2. jest zastąpieniem „niewoli bezwolnej" „niewolą dobrowolną"; 3. stwarza warunki, które mogą być okazją do zarzutów i konfliktów z Władzami, 4. klasztorowi, w którym będę umieszczony, skomplikuje warunki życia i narazić może na przykrości; 5. może być okazją do komentarzy w społeczeństwie, budzących zgorszenie.

W związku z tym zakomunikował wysłannikowi, że jego odpowiedź jest odmowna. Usłyszał w odpowiedzi: „No cóż – zobaczymy się za rok". Tymczasem już za dwa i pół miesiąca okazało się, że władze same podjęły decyzję o przeniesieniu Prymasa do klasztoru sióstr Nazaretanek w Komańczy, znacznie łagodząc warunki jego odosobnienia.

Sytuacja ta doskonale pokazuje wielką umiejętność Prymasa, który nawet w trudnych warunkach nie stracił zdolności dokonywania wyborów, podejmowania decyzji i odpowiedzialności. Bardzo dokładnie i bez pośpiechu rozważył wszystkie „za" i „przeciw". Nie wykluczał żadnej możliwości lecz starał się jak najbardziej zobiektywizować swój kolejny krok. Nie miał się kogo poradzić, więc jako człowiek wiary oparł się na poradzie od Boga i Maryi, która była dla niego wzorem podejmowania trudnych i brzemiennych (dosłownie – w wyniku swojego „TAK" stała się brzemienna) w skutki decyzji. Brał też pod uwagę, że ten wybór musi być kontynuacją poprzednich, tak aby pozostał wierny kierunkowi, który obrał. A poprzednio nie tylko oddał się w całkowitą niewolę Maryi (8 grudnia 1953), ale również oświadczył swoim strażnikom, że jest w ich mocy, to znaczy, że oni są za niego odpowiedzialni. I dlatego – choćby nie był pilnowany – więzienia sam nie opuści. Z pozoru taka postawa mogła wydawać się absurdalna, ale z czasem okazało się, że dla władz sytuacja staje się coraz bardziej uciążliwa, bo mogą albo zrobić z Prymasa męczennika (czego nie chcieli, świadomi, że to wzmocni Kościół), albo go zwolnić, co oznaczało klęskę ich polityki. Ta roztropność i odpowiedzialność towarzyszyła Prymasowi przez całe życie.

Historia Polski obfituje w ludzi wielkich, wspominanych z wdzięcznością, ale byli też i tacy, którzy zapisali się w niej negatywnie. Wszystko zależy od wyborów, których się dokonuje. Co radziłby Ksiądz Prymas młodym ludziom stojącym w obliczu wyboru?

> Gdy widzimy wielkie wzloty i upadki ludzi, którzy dla swych talentów i zalet mogli być błogosławieństwem swego Narodu, a bardzo często stali się jego klęską i przekleństwem, rodzi się w nas potrzeba ostrożności w życiu, oraz posługiwania się darami, które są wszczepione w nas przez samego Stwórcę, a które zawsze w nas dochodzą do głosu. I jeśli czego pragnąłbym w tej chwili, najmilsi – to jednego – abyście umieli doceniać siebie. Czyż miałbym w Was budzić niezdrowe ambicje? Nie! Raczej przeciwnie, pragnąłbym Was roznamiętnić w wielkim szacunku i w wielkiej czci dla naszego wspaniałego człowieczeństwa, do którego jesteśmy powołani.

Nierzadko swoje decyzje ludzie tłumaczą trudnymi warunkami zewnętrznymi, złym wpływem innych, niekorzystną sytuacją. To może utrudniać podjęcie właściwej decyzji, ale czy uniemożliwia?

> Człowiek jest podmiotem działania. On, nie kto inny! O naszym działaniu rozstrzygamy my sami. Nikt nie ma władzy zmusić nas do takiego czy innego działania. (...) Dzięki temu, że ma on wolność wyboru celu i środków dążenia do osiągnięcia go – człowiek czuje się wolny. (...) Człowiek mając możność wyboru celu oraz środków dążenia do niego, ponosi sam odpowiedzialność za swoje postanowienia i nikt człowieka w tej odpowiedzialności wyręczyć nie może i nie powinien.

Nawet, jeśli jest się w więzieniu – jak był w nim Ksiądz Prymas?

> Ludzie potrafią oprzeć się sile, rozkazom, prawom, kodeksom, potrafią nie ulęknąć się najsurowszego nawet kodeksu karnego, najbardziej

groźnych przepisów, ustaw i rozporządzeń. Mogą się nie bać karabinów maszynowych, ani potężnych, potwornych pocisków. Pokazuje się dzisiaj te kolosy, przygotowane na pokonanie „komarów" ludzkich. Ale ludzie się ich nie boją, to ich nie zdobędzie! Jedno życzliwe słowo, jeden przyjazny uśmiech, jeden znak braterskiej dobroci więcej zrobi, niż kosztowna aparatura militarystyczna, która jak rak zżera organizmy narodów i państw.

A zatem Ksiądz Prymas pojmuje podejmowanie wyborów raczej jako decyzje moralne, opowiedzenie się za dobrem lub złem, a nie jako działanie zewnętrzne?

Współczesne zamówienie społeczne, to zamówienie na ludzi dobrych. Już święty Paweł pouczał: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest..." (1 Kor 13,4). Coraz częściej stwierdzamy to doświadczalnie. Im bardziej życie jednostki jest uzależnione od warunków bytowania społecznego i publicznego, tym bardziej nam potrzeba ludzi dobrych, łagodnych, życzliwych, przyjaznych, dozujących rozważnie słowem, wystrzegających się wszelkich pogróżek; ludzi, którzy by umieli zdobywać sercem, a nie pięścią – zwłaszcza w Polsce. Bo Polaków nie zdobywa się groźbą, tylko – sercem i rozsądkiem. My nie jesteśmy narodem intelektualistów, ale narodem, który rozumie sens i wartość serca w życiu rodziny ludzkiej.

Co jednak powiedziałby Ksiądz Prymas młodym ludziom, którzy stoją w obliczu konkretnego wyboru – szkoły, studiów, zawodu, który dawałby szansę rozwoju i utrzymania?

Wybierając kierunek studiów, musicie mieć swobodę i niezależność od rzeczywistości, bo nieraz tak zwana „rzeczywistość" popycha nas w zbyt ściśle określonym kierunku, ograniczając wszechstronne możliwości człowieka. Są „modne" kierunki studiów, ku którym najczęściej młodzież idzie całą falą. Później okazuje się, że nie jest dobrze,

gdy za wiele osób jest specjalistami w jednej dziedzinie nauki. Coraz częściej mówi się o tym, że zainteresowania techniczne naszej młodzieży mogą się w niedalekiej przyszłości odbić ujemnie na jej rozwoju. Będzie to bowiem rozwój jednostronny. Już dziś widzi się, że przecenianie nauk technicznych i przyrodzonych w jakimś stopniu zubaża ogólny poziom życia narodowego. Mówią profesorowie wyższych uczelni politechnicznych, że absolwenci szkół średnich ogólnokształcących są o wiele lepiej przygotowani do studiów specjalistycznych, aniżeli absolwenci szkół technicznych.

Czy to znaczy, że nauka, profesjonalizacja, specjalizacja w jakiejś dziedzinie nie ma znaczenia?

Świat nie staje się lepszy, mimo to, że jest mądrzejszy, bo zrezygnował z serca. Dlatego świat nie daje pokoju, a ludzie schną z lęku w przewidywaniu czegoś najgorszego. Przeczytajcie gazety chociażby z jednego dnia. Ile tam pesymizmu, zwątpienia, bezradności, beznadziejności, narzekania, krytyki, wzajemnego obwiniania! To wszystko jest bezlitosne i beznadziejne.

Niewątpliwie, uruchomiono ogromne zasoby wiedzy i dokonano wielkich dzieł. Czemu więc świat, czemu ojczyzna nasza pełne są niepokoju, lęku i trwogi? Bo wydaje nam się, że na całym świecie i w naszej ojczyźnie zrezygnowano z serca. Istnieje wielka nieufność do serca, może nawet wstydzenie się uczuć, uczuciowości i czynów płynących z miłości.

Całemu światu – ojczyźnie, narodowi, rodzinom, wychowawcom w szkołach, urzędnikom, milicjantom, zwierzchnikom, ministrom i premierom – wszystkim potrzeba serca! Otwórzmy więc serce! Dla kogo? Dla własnych braci, dla dzieci jednego narodu, wspólnej ojczyzny, dla mieszkańców jednego miasta i wsi, dla dzieci wspólnej rodziny, dla ludu Bożego parafii, dla sąsiadów, dla otoczenia – dla wszystkich! Ba! Dla całego świata! Tak by się nieraz chciało, aby przykład z Kalwarii powtórzył się, aby nareszcie zostało otwarte serce wszystkich ludzi!

To w takim razie jakie kryterium wskazałby Ksiądz Prymas młodym ludziom decydującym się na kształcenie w określonym kierunku?

> Szczęśliwie, jeżeli wybrany kierunek będzie dla Was jak najmniej zawodem, a jak najbardziej powołaniem. Zawód często sprawia człowiekowi „zawód". Ale gdy patrzeć będziecie na obrany kierunek studiów, a później pracy, jako na powołanie, wtedy łatwiej Wam będzie przezwyciężyć niejeden kryzys czy rozczarowanie, jakie może powstać w wyniku wykonywanej pracy. Gdy rozmawiamy z inteligencją, która ukończyła studia specjalne i oddała się określonemu kierunkowi pracy, spotykamy się nieraz z objawami znużenia, a nawet rozczarowania. Wypełnianie konkretnej powinności życiowej jest zazwyczaj ciężkie. Trzeba na to wielu sił. Trzeba mobilizować swoje energie i duchowe zapasy sił, aby przetrwać momenty krytyczne i nie załamać się pod wpływem narastających trudności, które powstają w toku wykonywanej pracy oraz sprawowanego powołania. (...) Z podobną sytuacją możemy spotkać się na każdym niemal odcinku pracy zawodowej. Jeśli jest ona wykonywana rzetelnie i z zamiłowaniem, przekształca się w powołanie. (...) Trzeba więc bardzo starannie analizować samego siebie i swoje upodobania, a nie nastroje chwili czy modę. Bywa taki „owczy pęd": „Ty idziesz na medycynę? To i ja". – Ty idziesz na architekturę? No to i ja. Nigdy się nie rozstaniemy!" – Nie jest to decyzja dojrzała, bo nie liczy się z własną osobowością.

A w jaki sposób rozpoznać swoją osobowość?

> Właściwości ukryte i nieznane, które są osobistą tajemnicą danej osoby ludzkiej, zostają rozpoznane w kontakcie z innymi. My także, rozpoznajemy swoje „zdolności", gdy dostaniemy w ręce... człowieka. Najłatwiejsza i najmniej realna jest miłość abstrakcyjna, idealna, idealistyczna, a najprawdziwsza – miłość konkretna. Realizuje się oña w odniesieniu do otoczenia, do konkretnego człowieka. Widzimy wtedy, jaka miłość z nas emanuje. Właściwe rozpoznanie człowieka

i siebie samego możliwe jest dopiero przez kontakt z otoczeniem. To głębokie prawo psychologiczne określił Chrystus, mówiąc: „Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu" (J 13,35). Jak odnosicie się do siebie wzajemnie? Co robicie z człowiekiem „podanym" na waszą wolę? Gdy zobaczą, jak traktujecie brata, poznają i dowiedzą się, czyjego ducha jesteście.

Gdy Ksiądz Prymas był dzieckiem, usłyszał od umierającej matki słowa: „Stefek, ubieraj się". Chłopiec założył palto, a wtedy mama powiedziała: „Ubieraj się, ale nie tak! Inaczej się ubieraj!". Dopiero wiele lat później ojciec wytłumaczył mu, co miała na myśli: „Ubieraj się w cnoty, aby przygotować się do swojego przyszłego życia". Jedną z nich jest roztropność – umiejętność podejmowania dobrych decyzji...

Można człowieka ładnie ubrać, ale najlepiej, gdy ktoś ubierze się sam. Gorzej, gdy musimy mówić: — A toś mnie „ubrał"! – O wiele lepiej, gdy czynimy to sami! Idzie o to, aby nas ludzie nie „ubierali" w swoje szatki i piórka, ale byśmy sami umieli znaleźć swój własny, Boży styl! Abyśmy „mieli twarz", na której odbija się światło oblicza Bożego (...) Patrząc na Oblicze Boga, mamy w Nim dostrzec Człowieka. Jednocześnie mamy w Nim zobaczyć, jak w Bożym zwierciadle, własną twarz. Mieć twarz dobrą – mieć w ogóle twarz – to wcale nie jest mała sprawa. Jeżeli dzisiaj tyle się mówi o „robieniu twarzy", trzeba myśleć również o katolickim „kosmetyku", o ukształtowaniu własnej twarzy na obraz i podobieństwo Boże.

A zatem, podejmując konkretne decyzje, człowiek powinien nie tyle myśleć o możliwych zewnętrznych jej efektach ile o jej spójności z własnym sumieniem?

Kiedyś zwiedzałem w Belgii ogromną hutę. Było tam kilkadziesiąt zamkniętych pieców martenowskich. Zauważyłem, że raz po raz ktoś przechodzi od pieca do pieca i przez specjalne szklane okienko

zagląda, sprawdzając termometry, których przy każdym piecu było wiele. Zapytałem: Po co tam ciągle zaglądacie? — Bo trzeba wiedzieć, co się w piecu dzieje — odpowiedziano mi. Oprowadzał mnie jeden stary Polak. Mówię mu: Bracie, żeby tak człowiek ciągle zaglądał do swojej duszy, co się tam warzy, jaka strawa się szykuje, to by dobrze było, co? O, proszę księdza – powiada – jak by to było dobrze! Jak za dwadzieścia godzin piec otworzę i wszystko z niego wyjdzie, to muszę do niego sam wleźć w specjalnym azbestowym ubraniu, aby go wyporządzić. Ta robota trwa cztery godziny. Potem ode mnie czuć, jak z tego pieca. Więc mnie kobieta i dzieci wyganiają z mieszkania. Muszę chodzić nad rzeką, aby troszkę wywietrzeć. – Powiedziałem mu: Bracie mój, w niejednym domu tak czuć jak z tego pieca. – Ano, juści, są takie. I w niejednym człowieku tak jest!

Miarą odpowiedzialności za podejmowane decyzje jest więc ostatecznie czyste sumienie. Czy w tym Ksiądz Prymas upatrywał dla rodaków szansę, by nie powtórzyli błędów swoich przodków, którzy ze „złotej wolności" uczynili narzędzie rozkładu ojczyzny?

Jeżeli się część własnego człowieczeństwa w nas rozwinie i rozbudzi, będziemy pewni, że straszne koszmarne widziadła, wydobywane skrzętnie przez mężów z przeszłości, nigdy nie będą się powtarzać, a każdy z nas będzie błogosławieństwem swego Narodu, stanie się błogosławieństwem swego Narodu. A czego bardziej trzeba, jak nie właśnie tego, aby każdy Polak, który spełni swoje zadanie, odchodził z tej ziemi ojców do Ojca naszego, który jest w Niebie – błogosławiony, aby życie jego błogosławiono.

O WYTRWAŁOŚCI

30. VII. 1954, piątek.

Ukochany mój Synu!

W moim i najbliższych imieniu przesyłam Ci, Najdroższy mój Synu, na zbliżający się dzień Twego Patrona i 30-lecie święceń kapłańskich, najserdeczniejsze życzenia wszelkich łask Bożych i spełnienia pragnień, a zwłaszcza, by Dobry Bóg nie szczędził Ci sił, zdrowia i wytrwałości. Te słowa przeczytał Prymas Wyszyński w liście od ojca 30 lipca 1954 roku, na dzień przed swoimi pierwszymi więziennymi imieninami. Życzenia dotyczą sfery fizycznej (sił, zdrowia), ale też sfery duchowej – wytrwałości. Który ojciec nie pragnie, aby jego dziecko – nawet w trudnych warunkach – okazało konsekwencję i doprowadziło zaczętą rzecz do końca?

Półtora roku później, już w Komańczy, Prymas zapisze:

19.II. 1956.

W I niedzielę Czterdziestnicy[93] nieustannie wraca nam tragiczna scena z Wielkiego Kuszenia Syna Człowieczego. Do dziś dnia powtarza się w dziejach człowieczeństwa, w życiu Kościoła Chrystusowego, w duszy każdego chrześcijanina. Wielką jest łaską, że Chrystus dał poznać na sobie, jakimi metodami posługuje się kusiciel, jakie są jego kusicielskie chwyty. Czyż nie widzę w sobie, jak wrażliwy jestem na pokusę „chleba", na pokusę łatwizny życiowej, na pokusę „świętego spokoju". Czyż nie dobrze podpatrzył kusiciel moje słabości? Jeślim

[93] Dawna nazwa Wielkiego Postu.

nie uległ tym pokusom dotąd, to wcale nie znaczy, żem już bezpieczny. Jeślim wytrwał, to czy nie dlatego, że Bóg walczył za mnie?

„Jeślim wytrwał" – znowu pojawia się na kartach „Zapisków więziennych" sprawa konsekwencji w podjętych decyzjach, sprostania próbom, które mogły odwieść więźnia od kierunku, który sobie wyznaczył, gdy został pozbawiony zewnętrznej wolności. Ale sprawa ta podniesiona zostaje na wyższy poziom. Ojciec życzył mu wytrwałości chyba bardziej jako pewnej ludzkiej zdolności do bycia konsekwentnym. Prymas po dwóch i pół latach od uwięzienia jest świadom, że to nie jego ludzkie siły decydują o wytrwaniu. A raczej – decyduje o nim świadomość, jak te siły są nikłe w obliczu pokus, których doświadcza i zaufanie, że nie jest w tej walce sam. Zdaje sobie jednocześnie sprawę, że życie najeżone jest przeszkodami (pokusami), z których każda może zniechęcić do kontynuowania wysiłku.

Walka dziś toczona z Kościołem zwycięża w wielu ludziach właśnie dlatego, że pieką sobie chleby z kamieni, rzuconych Kościołowi pod nogi; że pozwalają się nosić na rękach złym duchom, że nieustannie padają plackiem na twarz, bijąc służalcze hołdy wszystkim kusicielom.

Ciekawe, że ten silny wewnętrznie mężczyzna, który nie raz dał dowód wierności i konsekwencji, upatruje wzoru dla wytrwałości – w kobiecie. Nikt z artystów nie przedstawił Maryi w postawie oparcia o krzyż – zapisze 26 czerwca 1956. – Ona stała o własnych siłach. Wszystko wokół się chwiało! Ale ktokolwiek spojrzał na Maryję, widział, że Ona się nie chwiała! Zawsze była Virgo Auxiliatrix [Dziewica Wspomożycielka] – wspomagała postawą swoją wszystkich wokół. I wytrwała!

Wytrwał i Prymas. Przez trzy lata więzienia nie stracił nadziei, nie zrezygnował z codziennego, wypełniającego cały dzień szczegółowego planu, nie poddał się machinacjom władz. Wiele siły dodawała mu

myśl, że dzieli on los wielu rodaków i los katolików poddawanych represjom przez stalinowskie władze.

Zarówno w czasie wojny jak i później, w okresie komunizmu, ksiądz Prymas był świadkiem niesamowitej konsekwencji ludzi gotowych wytrwać do końca. Jaki jest motyw takiej postawy?

> Ludzie umieją ginąć za prawdę. To jest postawa prawdziwie chrześcijańska, ludzka i męska. Świadczy o pełnej dojrzałości człowieka, umiejącego nawet cierpieć w obronie prawdy i wiary, która go zrodziła i która ubogaca jego życie. Ale ludzie giną też bez prawdy, giną, gdy jej nie mają. Bo wtedy rodzi się tragedia kłamliwości. Jeżeli na miejsce tych, którzy gotowi są ginąć za prawdę i dać życie w jej obronie, powstanie pokolenie kłamców; jeżeli społeczność ludzka nie doceni wysokiej godności człowieka, obowiązanego do prawdy, i wysokiej godności braci, którym trzeba mówić prawdę, jak upomina Apostoł: „Niech każdy z was mówi prawdę do bliźniego, bo jesteście nawzajem dla siebie członkami" (Ef 4,25) – wówczas rozpoczyna się straszliwa tragedia osoby, narodu i całej rodziny ludzkiej.

Człowiek, który dotrzymuje zobowiązań budzi zaufanie, ktoś kto jest niekonsekwentny takiego zaufania nie zdobywa. A jednak w różnych kontaktach międzyludzkich dostrzega się sporą łatwość do dużej zmienności w podejmowaniu zobowiązań i wypełnieniu ich...

> Ludzie nie tylko myślą, iż w wielu okolicznościach i sytuacjach są upoważnieni do mówienia nieprawdy, ale uważają to nawet za pewną umiejętność życia, za spryt życiowy. „Wykręcili się sianem", coś tam powiedzieli na odczepnego i mają... „święty spokój". – Czy rzeczywiście mają oni „święty spokój"? Czy sumienie nic im nie mówi? Czy ma „święty spokój" z nimi otoczenie, które kilkakrotnie okłamane, zaczyna podejrzewać: a może i tym razem skłaniał? To jest straszne, jeżeli utrzyma się taki właśnie obyczaj sprytnego okłamywania się

wzajemnie. Słowa są wspaniałym narzędziem przekazywania tego, co mamy w sercu, w myślach. Są chlebem pożywnym, którym serdecznie i szczerze łamiemy się, sami pożywamy i dzielimy się z bratem. Wówczas wszyscy widzą: oto człowiek, który sam żyje prawdą i innych nią obdarza, uszczęśliwia i ubogaca.

Z czego wynika niewierność podjętym zobowiązaniom?

Wielkim nieszczęściem niemal całej rodziny ludzkiej jest upowszechniająca się nieprawda, którą bardzo często nazywa się roztropnością. Człowiek „roztropny" ukrywa, co ma do powiedzenia. Po co się narażać? Powstaje pokolenie ludzi nad miarę roztropnych, których niejako dowodem osobistym, sprawdzianem ich roztropności jest, że mają swoje przekonania, z którymi – jak mówią dowcipnie – sami się nie zgadzają, ukrywają je w myślach, a mówią zupełnie co innego. To jest prawdziwa katastrofa! Katastrofa osób, bo człowiek sam zniekształca się w nieprawdzie, i społeczeństwa, bo jeśli społeczeństwo składać się będzie z ludzi rządzących się nieprawdą, wtedy powstanie społeczność wzajemnie się okłamująca. Jakże wówczas będzie wyglądało nasze codzienne życie? Będzie ono trudne, niemożliwe, ciągle trzeba będzie doszukiwać się: czy mówisz prawdę? czy naprawdę tak jest?

Czy Ksiądz Prymas obserwuje wpływ takiej postawy na wychowanie młodego pokolenia?

Nieraz dziwimy się, że ma ono tak mało zaufania do pokolenia starszego. Może młode pokolenie jest przedwcześnie zmęczone atmosferą nieprawdy, kłamstwa, kłamliwości, nieszczerości, faryzeizmu i obłudy, z którą spotyka się tak często? Młode pokolenie jest pełne przedziwnego oczekiwania – jak ongiś pisał Eugeniusz Małaczewski – na „nowych ludzi plemię, jakich jeszcze nie widziano"(...) Dzisiaj, rozglądając się p ulicach, stwierdzamy: jakże współczesna młodzież jest śmieszna, jak się śmiesznie ubiera, jak gdyby cyrk wyszedł na

ulice miast, a wszyscy poprzebierali się za cyrkowców. Czy „śmieszna" młodzież, czy tragiczna – i dlaczego? Czy ona jest prawdziwa, czy też jest to symulowanie, okrywanie jakiejś prawdy bolesnej, którą noszą w sobie, a którą trudno pokazać innym, bo się człowiek boi, by nie ucierpiał z ujawnienie całej swej prawdy? Symulanctwo moralne, ukrywanie swoich przekonań osobistych, społecznych a nawet religijnych – niekiedy z obawy – w stosunkach pracy, jest bodaj większym. nieszczęściem i większą tragedią współczesną, zniekształcającą naród psychicznie aniżeli rozwiązłość, niemoralność, nietrzeźwość i inne bolesne przejawy życia.

Jednak trzeba przyznać, że i w dziejach Kościoła niemało było przykładów niekonsekwencji, zakłamania, niedotrzymywania obietnic. Nawet apostołowie uciekli, gdy Jezus został aresztowany...

Zastanawia nas (...) tajemnica ludzkiego lęku, jego potęgi i siły. Pozbawia nas on wolności i trzeźwości myślenia i to do tego stopnia, że człowiek zapomina o radosnych perspektywach. Bo cóż właściwie łatwiej pamiętać niż to... co będzie. Ludzie bawią się w proroków, pocieszają się jak mogą. Proroctwa zawsze kończą się dobrze. Jest źle, ale wszystko dobrze się skończy... Tak sobie nieraz ludzie dodają otuchy. A uczniowie o wszystkim pamiętali – o tym, że będzie pojmany, ubiczowany i ukrzyżowany, tylko o jednym zapomnieli – że zmartwychwstanie. O tym „na śmierć" zapomnieli!

Oto tajemnica lęku, który odbiera rozsądek, trzeźwość, spokojne myślenie i rozumienie. A lęki bywają różne, nieraz przed wielkimi, niekiedy przed banalnymi rzeczami. Jest lęk przed tym, co o mnie pomyślą? Człowiek chce się bronić, aby o nim przypadkiem źle nie pomyśleli. Trzeba się ratować przed ludzkim myśleniem o nas i to za wszelką cenę. Wynajduje się więc różne sposoby ratunku. Tak samo ratowali się uczniowie Chrystusa.

Apostołowie uciekli, ale Piotr postąpił jeszcze gorzej, zaparł się Mistrza...

> Wiemy, jak się ratował Piotr. – Nie wiem, nie znam, nie słyszałem, co mówicie... – (Mt 26,69-74). Aż tak się zląkł zwykłych kobiet z dziedzińca, które wyleciały od warząchwi i garnków, i zaczęły jedna przez drugą świergotać, jak wróble na dachu: – I tyś był, i tyś był na pewno, i tyś był z nimi! Mowa twoja cię zdradza! – Och, poważny Piotr, który zapewniał: z Tobą, Panie, na śmierć i do więzienia! A teraz służebnych się zląkł! Cały rozsądek, mądrość, wierność przepadły. W tym momencie wszystko by zrobił, aby się przypodobać tej hołocie, hałastrze z podwórka. Wszystko by zrobił, aby się tylko nie ośmieszyć, aby się nie wydało, że i on był z Jezusem... Oto, co może się stać z porządnym i przyzwoitym człowiekiem, z naszym wielkim przyjacielem, który na wszystko jest gotów – na śmierć i więzienie.. A tu masz! Oto tajemnica ludzkiego lęku i zmienności.

Z czego bierze się ten lęk?

> Przyglądałem się wiewiórce, która cała była zielona! Pytali mnie niektórzy: Dlaczego ona jest zielona? – Bo się przystosowała. A dlaczego się przystosowała? – Bo się boi, że ją ktoś połknie. Zmieniła więc kolor, żeby jej nie było widać. Jak się to mogło stać? – Najadła się zielonych szyszek i innych rzeczy. Dotychczas ruda, zmieniła kolor i teraz jest zielona, jak szyszka. Przystosowała się do otoczenia. Na drzewach został już tylko mech. Wiewiórka musi więc być taka sama! Mój Boże, co się dziwić wiewiórce?
>
> Całe gromady takich „wiewiórek" znajdują się wśród ludzi. Każdy na swój sposób przystosowuje się i przemalowuje... Jeden przypnie sobie ogonek dłuższy, drugi krótszy, tak czy inaczej go pomaluje, bo się boi np., aby go za głupca nie wzięli. Tak samo „przystosowali się" Apostołowie. Chociaż widzieli cuda Chrystusa, podziwiali Jego naukę i mądrość, nagle o wszystkim zapomnieli, bo groziło im

niebezpieczeństwo. A zapomnieli tak głęboko, że całkiem nie spodziewali się już – Zmartwychwstania.

Zatem, aby wytrwać trzeba widzieć cel. Jednak wiemy też, że cele po ich osiągnięciu tracą swoją atrakcyjność i człowiek traci też motywację. Jaki cel pozwolił Księdzu Prymasowi być tak konsekwentnym?

Cokolwiek mamy, wszystko mamy dla Boga. Ale nieskończony Bóg może – że się tak wyrażę – wypić całe nasze życie do ostatniej kropelki i jeszcze będzie łaknąć: amplius, amplius! – Więcej, więcej! Sursum corda! W górę serca, wyżej, jeszcze wyżej! Bóg jest przeciwnikiem naszego minimalnego programu, który niekiedy sobie zakreślimy, mówiąc: masz mnie całego i czego chcesz więcej? Tymczasem On powiada: chcę ciebie jeszcze większego, jeszcze wspanialszego. Wymawiamy się powtarzając: nie mogę już więcej! – Jak to nie możesz? Wszak wszystko możesz w Tym, który cię umacnia! – Ale jestem słaby, nieudolny. – To nic! W przeciwnościach, w cierpieniu, w słabościach moc doskonalszą się staje.

Jak się tego nauczyć?

Patrzę na krzyż, który jest wielką szkołą miłości i formacji ludzkiej osobowości. Nie chcę – za nic – aby to wszystko, co stało się na krzyżu, powtórzyło się na kimkolwiek. Nie chcę, aby to samo wycierpiał „drugi Chrystus", mój brat i bliźni... „Będzie wydany, wyśmiany, ubiczowany, oplwany..." (...) Na tym polega szkoła krzyża, który budzi wyrzuty sumienia, jest rachunkiem sumienia, wolą reformy, odmiany (...) Współczucie, które budzi we mnie Chrystus na krzyżu, przeniosę na wszystkich, którzy mnie otaczają. Od razu coś się we mnie „przyhamuje", jakieś zapędy osobiste, nieuporządkowane uczucia, egoizm, samolubstwo, złośliwość, niecierpliwość, popędliwość, osąd zuchwały o innych, nieszczerość wewnętrzna itd.

Czy za takim programem pójdzie dzisiaj człowiek, szczególnie młody?

> Widzimy współcześnie odnawiający się ciągle głód ludzi prawdziwych, to znaczy żyjących w prawdzie, ludzi jasnych, przejrzystych, którzy mają oblicze prawdziwe, nie zniekształcone kłamstwem. Na takich ludzi czeka młode pokolenie.

O PRZECIWNOŚCIACH

W czasie wojny znalazłem się przypadkiem we wsi, gdzie panował tyfus – wspominał Prymas Wyszyński. – Pojechałem tam z pasterską posługą. Znalazłem się w izbie, gdzie rodziła kobieta. Leżała bez prześcieradła, na zmielonej słomie, za poduszkę miała kapocinę. Nie było przy niej nic i nikogo, tylko ja. Co za straszne przeżycie. Nie mogłem jej nic pomóc, bo nie umiałem. Zdołałem tylko zorganizować pomoc. Długo jeszcze potem nie opuszczała mnie myśl, jak ogromny procent Polaków przychodzi na świat w takiej, stokroć gorszej niż betlejemska atmosferze.

Cierpienia cudze i własne towarzyszyły Prymasowi w całym jego życiu. Napatrzył się na nie podczas wojny, doświadczył ich w okresie komunistycznym i to nie tylko wtedy, gdy był uwięziony. Cierpień nigdy na ziemi nie zabraknie – mawiał. – I chociaż ludzie czynią wszystko, aby je zmniejszyć, są one nieuchronne. Gdy więc nieraz znużeni wiekiem, chorobami, codziennością życia, czujemy się przygnębieni – otuchą jest dla nas świadomość, że i Chrystus cierpiał na Krzyżu. A cierpiał niewinnie – za nas i za nasze grzechy. Pociechą są dla nas Jego słowa, że smutek nasz w radość się odmieni.

Czy takie słowa wystarczą cierpiącemu człowiekowi?

> W okresie powstania byłem kapelanem AK i miałem dużo kontaktu z cierpieniem, niedolą i męką ludzką. Pamiętam operację bardzo dzielnego żołnierza, któremu trzeba było odjąć nogę. Powiedział, że zgodzi się na operację pod tym warunkiem, że przez cały czas będę przy nim stał. Złapał mnie za rękę i trzymał ją, dopóki nie zacznie działać środek usypiający. Byłem wtedy strasznie nieuczciwy, bo gdy poczułem, że jego ręka opadła, pobiegłem do innych, których trzeba było spowiadać lub przygotowywać do następnych operacji. Aby zdążyć na czas umówiłem się tylko z lekarzem, że mnie natychmiast wezwie, gdy mój żołnierz zacznie się budzić. W tym wypadku nie było innego wyjścia. Przyszedłem w porę, gdy on już budził się po operacji. Było to dla niego wielką pociechą, podtrzymaniem i otuchą. Wystarczyła sama życzliwość, współczująca obecność, jakieś dobre słowo, trzymanie za rękę.

Dziś – przy wielkim postępie medycyny – wydaje się, że ludzie bardziej cierpią wewnętrznie niż z powodu fizycznych dolegliwości. W Polsce wzrasta liczba depresji i samobójstw, coraz więcej ludzi korzysta z pomocy psychiatrycznej...

> Cierpienie, choroby, udręki ciała są niewątpliwie ciężkim doświadczeniem dla każdego człowieka. Ale większe jeszcze udręki, nie dające się nawet porównać z cierpieniami ciała, przeżywa Kościół i cała rodzina ludzka. Chrystus kazał nam lękać się nie tych, co zabijają ciało, ale tych, co godzą w duszę. Bo chociaż zabić jej nie mogą, to jednak mogą wielce zaszkodzić człowiekowi i stworzyć prawdziwą udrękę, nawet najzdrowszym.
>
> Dużo jest dzisiaj na świecie takich udręk. Pomyślcie, ilu ludzi poddanych jest najrozmaitszym, niekiedy niezawinionym cierpieniom... Jak bolesne dla nas wszystkich jest to, że na całym świecie i w naszej Ojczyźnie żyje tylu ludzi nietrzeźwych, pogrążonych w nałogu pijaństwa, narażających na ogromne straty życie społeczne, zawodowe,

gospodarcze; narażających samych siebie na utratę zdrowia i powodujących liczne wypadki w pracy. Tacy ludzie wyrządzają krzywdę nawet Kościołowi świętemu. Przez straszny bowiem nałóg pijaństwa zniekształcają i poniewierają Boże oblicze człowieka.

Pomyślcie o innej jeszcze udręce. Tak często pisze się dzisiaj o narkomanii, której poddaje się młodzież, odurzając się różnymi narkotykami. Narkomania staje się wielką chorobą społeczną współczesnego świata. I ona doprowadza do wielu cierpień.

Pomyślcie również o tych ludziach, którzy cierpią nędzę materialną na skutek wyzysku; o tych, którzy nawet po ciężkiej i wyczerpującej pracy nie są w stanie wypełnić wszystkich obowiązków wobec swoich rodzin. Mówi się dzisiaj dużo o udręce narodów głodnych, głodujących, niedożywionych. Mówi się o niekończącej się niemal męce ludów ogarniętych wojnami. A chociaż wszyscy walczą o pokój i pragną go – nie ma pokoju na świecie. Bo wielu zapomniało, że prawdziwy pokój może dać tylko Chrystus – nie świat! Jest jeszcze jeden rodzaj udręki, może najbardziej bolesny. To udręka ludzi, którzy nie znają Boga, którzy utracili wiarę.

Chyba wtedy szczególnie trudno zobaczyć sens przeciwności...

[We wrześniu 1939 pewien żołnierz poprosił mnie o spowiedź]. Spowiadałem go w okopie, a w pewnej odległości rolnik siał. Spowiadając, obserwowałem go. Żołnierz płakał i mówił: „Proszę księdza, co oni z nami zrobili? Co oni z nami zrobili?". Potem podszedłem do gospodarza, mówiąc: „Wszyscy uciekają, wszyscy się boją, a pan sieje?". On mówi: „A ksiądz też się boi?" „Na pewno, boję się." „Proszę księdza, gdybym zostawił zboże w spichlerzu, to spłonie, a wrzucę w ziemię, to zawsze ktoś z niego chleb będzie jadł".

Ten rolnik miał nadzieję, bo wiedział, że jego praca komuś się przyda. Co Prymas powie chorym, przykutym do łóżka, nieużytecznym, gorzej jeszcze, będącym ciężarem dla innych?

Wy posiadacie skarb cierpienia, ofiarowanego Bogu. Dlatego możecie wiele pomóc innym. Chciejcie więc dołączyć wasze cierpienie do Męki Chrystusa. Nie tylko Go przez to pocieszycie, nie tylko sami doznacie ulgi, ale jeszcze pomożecie tym, którym świat już nic pomóc nie może. Swoją wiarą i nadzieją możecie pomagać innym, którzy są wokół Was: obok – na łóżku, w innej sali czy w innym szpitalu. Wielu ludzi oczekuje waszej pociechy i pomocy, mimo, iż sami cierpicie. Pamiętajcie i na Kalwarii Chrystus nie był sam, wisiał wprawdzie w sąsiedztwie dwóch łotrów, których pocieszał i niósł im pomoc – „Dziś będziesz ze Mną w raju" – ale i On miał swoją Pomoc. Pod Krzyżem stała Jego Matka, Maryja. Widział Ją, radował się Jej obecnością. I sprawił Jej największą radość, gdy uczynił Ją Matką nas wszystkich. W Jej opiekę oddał umiłowanego ucznia, Jana. Matka i Syn wzajemnie się pocieszali, służyli sobie pomocą.

Chciejcie pamiętać, że smutek wasz w radość się obróci już tu na ziemi, gdy sobie uświadomicie, że waszymi cierpieniami możecie przynieść pomoc innym, zwłaszcza tym, którzy cierpią prześladowanie dla Chrystusa. Możecie przynieść pomoc Ojcu Świętemu, biskupom i kapłanom. Możecie też pomóc tylu ludziom, którym wydaje się, że już nikt o nich nie pamięta.

Wszystkich Was zapraszamy dzisiaj, abyście uważali się za pomocników Matki Chrystusowej, która jest Pomocnicą Jezusa, Jego Kościoła i Dzieci Bożych. Dopiero wtedy zapanuje wśród Was radość. Życie wasze nabierze nowych barw. Zapomnicie o sobie i swoich udrękach, a będziecie pamiętali o innych i o całym Kościele.

Gdy będzie Wam ciężko, pamiętajcie, że i Chrystus cierpiał. Ale idąc na Krzyż uprzedzał uczniów swoich, że trzeciego dnia zmartwychwstanie. Pamiętajcie o tym, że i przed Wami jest zmartwychwstanie i życie. „Smutek wasz w radość się odmieni".

> Przyjmijcie te słowa, Umiłowane Dzieci, jako moją pomoc, którą Wam niosę – nie swoimi, ale wziętymi z Chrystusa siłami, które rozpala w nas Matka Chrystusowa, Matka Kościoła, Wspomożycielka Wiernych.

O ODWADZE

Strach zapukał do drzwi. Otworzyła mu ... odwaga i nikogo tam nie było – to jedno z najbardziej znanych powiedzeń Prymasa Wyszyńskiego, który w swoim życiu miał się czego bać. W czasie okupacji niemieckiej kilka razy o włos umknął aresztowaniu i śmierci, władze komunistyczne zorganizowały zamach na niego już gdy wracał z ingresu w Gnieźnie (1949), a potem – wiemy dobrze: aresztowanie, trzyletnie odosobnienie, perspektywa procesu, być może wywiezienia do Związku Sowieckiego. A jednak, w jego wspomnieniach z okresu więziennego znajdujemy obraz człowieka, który – przy całym niewątpliwym cierpieniu fizycznym i psychicznym – daje sobie radę z obawami przed tym, co może go spotkać.

Największym brakiem apostoła jest lęk – zanotował Prymas w „Zapiskach więziennych", a słowa te zacytował św. Jan Paweł II w swojej książce „Wstańcie, chodźmy!" – Bo on budzi nieufność do Mistrza, ściska serce i kurczy gardło. Apostoł już nie wyznaje. Czyż jest jeszcze apostołem? Uczniowie, którzy opuścili Mistrza, już Go nie wyznawali. Dodali odwagi oprawcom. Każdy, kto milknie wobec nieprzyjaciół sprawy, rozzuchwala ich. Lęk apostoła jest pierwszym sprzymierzeńcem nieprzyjaciół sprawy. „Zmusić do milczenia przez lęk" – to pierwsze zadanie strategii bezbożniczej. Terror, stosowany przez wszystkie dyktatury, obliczony jest na lękliwość apostołów.

Milczenie tylko wtedy ma swoją apostolską wymowę, gdy nie odwracam oblicza swego od bijących. Tak czynił milczący Chrystus. Ale

w tym znaku okazał swoje męstwo. Chrystus nie dał się sterroryzować ludziom. Gdy wyszedł na spotkanie hałastry, odważnie powiedział: „Jam jest".

Gdy tylko w Stoczku Warmińskim przedstawiono mu jego współwięźniów – księdza Stanisława Skorodeckiego i siostrę Leonię Graczyk – zauważył, że lęk zakorzenił się w nich głęboko.

Ma w sobie cały styl psychiki więźniarki: mówi głosem przyciszonym, ogląda się na drzwi, nawet wtedy gdy mówi rzeczy obojętne dla regime'u, używa słów „zastępczych"; jest ostrożna i „na palcach" – pisze Prymas o siostrze. Charakteryzując księdza Skorodeckiego również zauważa styl więźnia. Na wszystko, co się wokół dzieje, zwraca uwagę, wszystko może się przydać, wszystko ma znaczenie. Przygląda się bacznie Siostrze. Bodajże ci oboje starają się w milczeniu badać siebie, jakby chcieli wiedzieć wszystko o sobie.

W liście do Ojca wyraża pragnienie, by z jego duszy zniknął niepokój, aby nie tracił sił na smutek i wątpliwości, Prosi natomiast – by się modlił za swojego syna. Właśnie w modlitwie widzi Prymas pierwsze lekarstwo na niepewność:

Wiem, że w duchu Wiary wszystko zrozumiesz, a modlitwą zgasisz smutek i rozpogodzisz ufnością serce.

Św. Tomasz z Akwinu mówił, że łaska buduje na naturze, więc i Prymas w więzieniu łączył oba te wymiary życia. W tym samym liście czytamy:

W obecnych warunkach swojego życia jestem w pełni spokojny i ufny. Nie mogę dziś Kościołowi i Ojczyźnie służyć pracą kapłaństwa w świątyniach, ale mogę im służyć modlitwą. I to czynię przez cały niemal dzień. Mam radość odprawiać co dzień Mszę św. w kaplicy domowej, korzystam z towarzystwa jednego z kapłanów, który pełni obowiązki „kapelana", i siostry zakonnej, która opiekuje się naszymi potrzebami domowymi. Czas wypełniam lekturą, modlitwą

i spacerem w rozległym parku. Zdrowie mi służy w pełni. Bóg nie odmawia swoich radości i nad wyraz dobrej Opatrzności.

Mogłoby się wydawać, że w Stoczku Prymas wiódł sielankowe życie. Nic bardziej mylnego. Ogród, o którym pisał był zdewastowany, podobnie budynek poklasztorny, w którym było potwornie zimno.

Podziwialiśmy sterty lodu, które wyrąbano z pokojów pod nami – pisze. – Mieszkaliśmy nad lodowniami. Pokoje na dole nie były ogrzewane, i fantastycznie zagrzybione. Nikt nie dbał o to, by je ogrzać. Wszystkie korytarze pokryte były na ścianach białym szronem i zamrozem. Biedni dozorcy siedzieli w kożuchach i ciężkich butach. Męczyli się jeszcze bardziej niż my. Miny im sposępniały.

W takich warunkach zacząłem odczuwać różne dolegliwości. Nóg nie mogłem rozgrzać nawet w ciągu nocy. Ręce mi popuchły. Podobnie oczy mi zapuchły. Odczuwałem wielki ból w okolicy nerek i w całej jamie brzusznej. Każdego dnia przechodziłem bóle głowy.

Nie to jednak zauważał przede wszystkim, lecz dostrzegał w swojej sytuacji wolę Bożą, której może do końca nie rozumiał, ale całkowicie akceptował. To dawało mu dużo pokoju. Pokój ten uzyskiwał również środkami zupełnie naturalnymi, dostępnymi każdemu, nie tylko wierzącemu. Najbardziej znany z nich i do dziś budzący podziw jest jego więzienny plan dnia. To ścisłe zagospodarowanie czasu pozwalało mu z jednej strony przekierować uwagę z próżnych obaw na czynną aktywność a z drugiej zachować równowagę między potrzebami intelektualnymi, emocjonalnymi i fizycznymi:

5.00 Wstanie.
5.45 Modlitwy poranne i rozmyślanie.
6.15 Msza św. ks. Stanisława.
7.00 Moja Msza św.
8.15 Śniadanie i spacer.

9.00 Horae minores i cząstka Różańca.
9.30 Prace osobiste.
13.00 Obiad i spacer (druga cząstka Różańca).
15.00 Nieszpory i kompletorium.
15.30 Prace osobiste.
18.00 Matutinum c. Laudibus.
19.00 Wieczerza.
20.00 Nabożeństwo Różańcowe i modlitwy wieczorne.
20.45 Lektura prywatna.
22.00 Spoczynek

Plan ten pozwalał mu w praktyce realizować znane zalecenie: „nie przejmuj się – zajmuj się" i cierpliwie czekać, nie próżnując, lecz maksymalnie pożytecznie wypełniając dany mu czas.

Czy Ksiądz Prymas nie myślał o tym, aby dążyć do zmiany swojej sytuacji?

> Ponieważ dotychczasowe pytania nie były brane pod uwagę, postanowiłem nie podejmować [już] żadnych kroków, które miałyby na celu moją obronę. Iacta cogitatum tuum in Dominum, et ipse te enutriet, et dabit Tibi petitiones cordis tui [Zrzuć swą troskę na Pana, a On cię podtrzyma; wysłucha próśb serca twego] Chronić się też będę rozważań na tematy mego stanu obecnego. Jedno Ave Maris Stella więcej radości i swobody przynosi niż cała logika samoobrony.
>
> Od dawna już zapadły mi w duszę słowa kard. Merciera, tak często powtarzane przez Ojca Korniłowicza: „Nie lubię myśleć o tym, co było, ani też głupio marzyć o tym, co będzie, bo to rzecz Boga. Zadanie życia sprowadza się do chwili obecnej". – In Te, Domine, speravi, non confundar in aeternum [W Tobie Panie zaufałem, nie zawstydzę się na wieki].
>
> Niechęć do działania, niepewność wywoływane są też przez trudne relacje. Ksiądz Prymas w więzieniu jest otoczony ludźmi, których nie

do końca mógł obdarzyć zaufaniem (siostra i ksiądz) i tymi, którzy są otwarcie na pozycji wrogiej.

Pragnę zachować Treuga Dei [Pokój Bozy] ze wszystkimi. Odnawiam najlepsze swoje uczucia dla wszystkich ludzi. Dla tych, co mię teraz otaczają najbliżej. Nie mam do nich nienawiści ani niechęci. I dla tych dalekich, którym się wydaje, że decydują o moich losach, które są całkowicie w rękach mego Ojca Niebieskiego. Do nikogo nie mam w sercu niechęci, nienawiści czy ducha odwetu. Pragnę się bronić przed tymi uczuciami całym wysiłkiem woli i pomocą łaski Bożej.

Dopiero z takim usposobieniem i z takim uczuciem mam prawo – żyć. Bo tylko wtedy życie moje będzie budowało Królestwo Boże na ziemi.

W Stoczku obchodził Ksiądz Prymas mały jubileusz – w lutym 1954 roku minęło pięć lat od objęcia Stolicy Prymasowskiej w Gnieźnie. Czy, patrząc wstecz na te lata, nie zauważał w tym czasie lęku i niepewności?

Wspomnienie tych pięciu lat pracy każe mi podziękować Bogu za niezwykły zaszczyt, jakiego doznałem od Dawcy wszelkiej pracy i posłannictwa. Byłem pełen lęku wtedy, jak dziś jestem pełen zawstydzenia, że tak niegodnie i nieudolnie pracowałem. Gorliwość i ogrom pracy niekiedy padały swym ciężarem na wartość tej pracy. O ile od strony gorliwości nie mam sobie wiele do wyrzucenia, to jednak ciężar gatunkowy tej pracy bardzo nie dopisał. Pomimo poczucia winy, czegoś niepełnego, myślę o tym, co już minęło, z ulgą. Bo jednak to było niesłychanie ciężkie. Bodaj dopiero teraz, w swoim obozie izolacyjnym, mam chwilę oddechu, który tak trudno było schwytać w ciągu tych pięciu lat. Ponieważ kończę je w więzieniu, ufam, że Miłosierny Bóg policzy mi te miesiące jako zadośćuczynienie za winy, którymi zawiodłem Jego plany. Nie przestaję ufać, że Najwyższy Pasterz dusz ludzkich pozwoli mi lepiej Mu służyć „gdy ustanie nieprawość".

O PRACY

Wszędzie pełno zaniedbań i śmieci. Na drzewach owocowych brak wszelkich śladów owoców. Duże sadzawki rybne — pełne śmieci i błota. Cały parkan jest otoczony od zewnątrz latarniami; festony drutów, kabli przewodników zwisają zewsząd.

Są to obserwacje Prymasa Wyszyńskiego z pierwszego dnia pobytu w Stoczku Warmińskim, gdzie przewieziono go z Rywałdu. Poczynił je 13 października 1953 roku. Prymas spędził dużo czasu na porządkowaniu zastanego bałaganu, na co jego strażnicy patrzyli ze zdziwieniem. Kardynał notował, że prowizoryczne narzędzia, które ze współwięźniem składował w schowku, były używane także przez „opiekunów" i porzucane byle gdzie, także trzeba było ich szukać przed rozpoczęciem pracy. Ze smutkiem myślał jak będzie wyglądać Polska, którą rządzą ludzie pokroju tych, którzy go pilnowali.

Sam, mając nagle tyle wolnego czasu, bronił się przed popadnięciem w gnuśność. Porządkowanie ogrodu było zaledwie małą częścią rozłożonego na cały dzień precyzyjnego planu dnia, który sam sobie ustalił. Zrobił to, bo dobrze wiedział jak niebezpieczny jest przymusowy brak zajęcia. Biorąc pod uwagę biologiczny rytm, potrzeby ciała, umysłu i ducha tak zorganizował swój dzień, aby nie było czasu na próżne i destrukcyjne myśli. Przynosiło to dobry skutek, choć pozornie mogło wyglądać na związanie – gdzież tu dowolność, spontaniczność, dlaczego akurat wtedy należy robić to, a kiedy indziej co innego? Owszem, wymagało to pewnego wysiłku i dyscypliny, które zawsze trochę ciążą, ale czyż ptak, aby ulecieć nie potrzebuje skrzydeł, które nieraz ważą więcej niż jego tułów i głowa?

Podporządkowanie się ustalonemu rytmowi dawało pewien spokój. Wiedział, że robi w danej chwili to, co właściwe i jest wolny od

chwilowych nastrojów, samopoczucia, czy „domowej wariatki", jak św. Teresa z Avila nazywała wyobraźnię.

Czym dla Księdza Prymasa jest praca?

> Jednym ze środków naszego postępu duchowego. Ma ona być tak wykonywana, by w jej wyniku człowiek stawał się lepszy nie tylko w znaczeniu sprawności fizycznych, ale i moralnych. O prawdzie tej niemal zupełnie się nie pamięta. Zwyciężył w nas wszystkich mit zapłaty za pracę: dniówki, akordu, pensji, honorarium. Człowiek jest zagubiony w pogoni za zarobkiem, popędzany „obowiązkiem" pojmowanym nieraz jako poczucie zewnętrznej potrzeby, a nie moralnej oceny. Stajemy się nadto niewolnikami rzeczy. Udoskonalenie działania tak nas pochłania i zniewala, że zapominamy całkowicie o sobie. Uważamy nawet, że nadmiar pracy zwalnia nas właściwie z obowiązku oddziaływania na własną duszę. Człowiek w wyniku tego nic się nie odmienia wewnętrznie. Pius XI zwrócił uwagę w „Quadragesimo Anno" na jedną z wielu współczesnych sprzeczności: oto nieszczęściem dzisiejszego świata jest to, że podczas gdy martwa materia wychodzi z warsztatu gospodarczego uszlachetniona, człowiek staje się w nim gorszy i pospolitszy. (...) Nic dziwnego, że człowiek z pracy rąk swoich nie staje się ani szczęśliwy, ani nie czuje się dobrze.

Czy jest na to jakaś rada?

> Rada jest jedna: zerwać z poglądem, który pracy wyznacza tylko jeden cel – zaspokojenie potrzeb bytowych. Wrócić natomiast do właściwego, jedynego sądu, według którego praca jest nie tyle smutną koniecznością, nie tylko ratunkiem przed głodem i chłodem, ale jest potrzebą rozumnej natury człowieka, który poprzez pracę poznaje w pełni

siebie i całkowicie się wypowiada. I dopiero dzięki temu może oddziaływać na materię w jedynie celowy i prawdziwie użyteczny sposób.

Czy zarobek zatem nie ma się liczyć?

Oczywiście, że owoce pracy zmierzają przede wszystkim do zaspokojenia własnych potrzeb człowieka. To nie jest samolubstwo, ale dobrze uporządkowana miłość. Nie cały jednak owoc pracy należy do człowieka. Dzielimy się nim z rodziną i najbliższymi, z którymi jesteśmy związani przez obowiązek miłości i sprawiedliwości. (...) Dalszy owoc pracy naszej ma przypaść w udziale tym szczególnie, którzy nie są zdolni do pracy i bez własnej winy nie mogą zdobyć sobie koniecznych środków do życia. (...) To porządkuje w nas i oczyszcza intencje pracy, w imię Boże zwraca je ku wszystkim bliźnim. Myśl chrześcijańska w pobudkach pracy każe nam wyjść poza najbliższe kółko domowników. Praca bowiem ma dostarczyć nam środków do pełnienia uczynków dobroczynnych. (...) Oto myśl, która nadaje pracy ludzkiej najwznioślejszy charakter. Oczyszcza ona pracę naszą z samolubstwa, z chciwości zarobku, z zysku, z ducha materializmu i doczesności. W naszej pracy musi się ukrywać duch miłości, ofiary, bezinteresowności, służba tym, którzy pracować nie mogą, ubogim, sierotom, niezdolnym do wysiłku i trudu, zwłaszcza chorym.

Lecz i materia jest ważna. Jak mógłby funkcjonować dzisiaj świat, bez tak mocnego postawienia na technologię?

Chrześcijaństwo (...) oddało ogromną przysługę kulturze i cywilizacji nowoczesnej, bo ogłosiło prymat człowieka – osoby ludzkiej – przed rzeczą, prymat ducha nad materią. Zmieniło się wiele rzeczy, ale to się nie zmienia. „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych" (Mt 4,4). Maleństwo, które jeszcze się kryje pod sercem matki, gdzie je moce Boże kształtują, jest ważniejsze i ma większą wartość w oczach Boga, niż cały kombinat Nowej Huty

(...). To królestwo precyzyjnych cacek nie ma nieśmiertelności, a małe dzieciątko, które wśród tych gmachów po ulicach chodzi, jest nieśmiertelne. Przyjdzie czas, gdy te wielkie gmachy wypełnią swoje zadania i rozsypią się w proch, ale to maleństwo, które po Nowej Hucie chodziło – choćby umarło w pierwszym roczku swego życia – istnieć nie przestanie. Przeżyje Nową Hutę, przeżyje ziemski glob, przeżyje wszystko.

Budzą podziw zdobycze technologiczne XXI wieku. Jednak ten szybki rozwój budzi także lęk. Mówi się, że coraz częściej wytwory ludzkiej pracy mogą stanowić zagrożenie dla samego człowieka. Co zrobić, aby zapobiec temu niebezpieczeństwu?

Pamiętajcie, że one są po to, aby Wam służyły i poprawiały wasz byt. Nigdy nie możecie się stać ich niewolnikami. Człowiek nie jest niczyim niewolnikiem – ani szatana, ani świata, ani nawet Boga. Jest przyjacielem i dziecięciem Bożym. Chrystus nazwał się robakiem a nie człowiekiem, po to, by z nas, robaków uczynić dzieci Boże. Takiej odmiany dokonał. To jest kamień węgielny nowego ładu społecznego. Każdy ład społeczny o tyle jest nowy, o tyle postępowy, o ile umacnia kamień węgielny wszelkiej przemiany i przebudowy społecznej, czyniąc najważniejszą sprawą osobę, a nie rzecz, człowieka, a nie materię.

Bóg powiedział w raju: „Czyńcie sobie ziemię poddaną" (Rdz 1,28). Nie powiedział: „Bądźcie ziemi poddani", tylko „czyńcie sobie ziemię poddaną". (...)

Jak odróżnić człowieka „czyniącego sobie ziemię poddaną" od tego, który jest niewolnikiem wytworów swej pracy?

Wiemy, że ludzie pracują dużo, że nie trzeba nikogo do pracy zachęcać. (...). Ale rzecz znamienna, że można się wiele napracować i nie mieć żadnych rezultatów, żadnej korzyści. Czytałem (...) w jednym z pism reportaż o pewnym hotelu robotniczym. Młody student, który

tam mieszkał, pracując jako robotnik budowlany, opisuje szerzące się wokół pijaństwo. Robotnicy w sobotę po skończonej pracy przepijali całą wypłatę. Pili aż do utraty przytomności. A potem w niedzielę, poniedziałek, a niekiedy i pół wtorku byli nietrzeźwi. Nie tylko to co zarobili poszło na marne, ale niszczyli swoje siły i zdrowie. Nie wystarczy bowiem pracować, trzeba umieć dobrze użyć owoców swojej pracy. A to wymaga wyższego rzędu bodźców – nie tylko ekonomicznych.

Jakie bodźce Ksiądz Prymas ma na myśli?

Człowiek pracujący musi wiedzieć, dlaczego trudzi się i pracuje. Praca jest nakazem Stwórcy. Jeszcze w raju Bóg powiedział człowiekowi: „Rośnijcie, mnóżcie się, czyńcie sobie ziemię poddaną" (Rdz 1,28). Jest to jedno z najpierwszych przykazań, które dał Bóg: „Czyńcie sobie ziemię poddaną". Trzeba pamiętać, że to jest Boże przykazanie. Dlatego Paweł Apostoł upomina nas, że mamy „pracować nie jako ludziom, ale jako Bogu"! (por. Ef 6,7). To jest służba Stworzycielowi nieba i ziemi, Ojcu wszystkich ludzi. Służba Temu, który otwiera miliardy ust ludzkich, który stworzył dłonie człowieka – najbardziej misterny i nie dający się niczym zastąpić instrument pracy. Służba Stwórcy naszemu, który wie, że „pilno potrzebujemy tego, co byśmy jedli, co byśmy pili, czym byśmy się odziewali" (por. Łk 12,22).

Święty Benedykt wprowadził do kultury europejskiej powiedzenie „ora et labora" („módl się i pracuj"). Czy dziś może ono jeszcze mieć zastosowanie?

O wiele wydajniejsza, owocniejsza, spokojniejsza, sumienniejsza i bardziej rzetelna byłaby nasza codzienna praca, gdybyśmy pamiętali, że pracujemy nie jako ludziom, ale Bogu, który otwiera usta ludzkie i napełnia wszelkie stworzenie swoimi darami, a jednocześnie przez Syna swojego upomina: „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych" (Mt 4,4). Połączenie pracy

z modlitwą budzi sumienność i rzetelność. Tak wiele mówi się dzisiaj, Drodzy moi, o nierzetelności w pracy. Trzeba apelować do sumień, ale trzeba też ukazać wspaniały program, który nie tylko zgina nasze karki do ziemi, ale który podnosi nasze głowy od ciężkiej pracy, od żyznej ziemi, od twardego młota – ku Bogu i uczy wołać: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje... Chleba naszego powszedniego daj nam!..." Daj dzisiaj!

Jak w tym kontekście Ksiądz Prymas patrzy na zagadnienie odpoczynku niedzielnego?

Pamiętajmy, że „jeśli Pan domu nie zbuduje, na próżno trudzą się ci, którzy go wznoszą" (Ps 127,1). O ile człowiek trudzący się przez sześć dni nie będzie w możności w niedzielę i święto sam odpocząć, jeśli nie będzie miała wypoczynku jego rodzina, wieś, miasto, jeżeli nie będzie mógł złożyć rąk i dziękować Bogu za to co wypracował i prosić o błogosławieństwo na przyszłość, to taka praca „w światek i w piątek", żadną miarą nie jest pracą wychowawczą. Owszem, jest przemocą, jest iście faraońską metodą, znaną już z opisów Księgi Wyjścia narodu izraelskiego z ziemi egipskiej, z domu niewoli.

A zatem jest wpływ życia wewnętrznego człowieka na jego pracę? Czy istnieje również wpływ pracy na stan duszy człowieka?

Bez pracy zewnętrznej nie moglibyśmy w pełni poznać siebie, gdyż tylko w codziennej pracy mamy doskonałą sposobność przyjrzenia się sobie; wtedy właśnie robimy w sobie odkrycia dobra i zła, widzimy nasze zalety i braki. (...) Dorobek pracy zewnętrznej dla naszego życia wewnętrznego objawia się w tym, że praca ta w pocie czoła obnaża oblicze duszy naszej i odsłania jej właściwy wyraz. (...) Jak w zwierciadle dojrzy człowiek w pracy odbicie swojej wartości, boć ją w pracy rozpoznajemy. Na dziele odbija się twórca. W pracy zatem uwydatni się nasza miłość ku bliźnim, i nasza uległość, i posłuszeństwo,

> pokora, bezinteresowność, duch skupienia, sumienność, roztropność. Ale jest pewien rodzaj cnót, które można by nazwać „cnotami pracy", bo w niej uwydatniją się szczególnie wyraziście, a są tak konieczne, że bez nich trudno prowadzić jakąkolwiek pracę. (...) Przede wszystkim – cierpliwość. Ma ona swój wielki udział w pracy, równie wielki jak cnota wytrwałości. Jednakże cierpliwość raczej przygotowuje człowieka do pracy, podczas gdy wytrwałość jej towarzyszy.

Jakie zatem kwalifikacje powinien mieć dobry profesjonalista?

> Ongiś myślano, że wystarczy być sprawnym rzemieślnikiem, kompetentnym fachowcem. Dzisiaj uważa się, że do wszystkich rodzajów kompetencji trzeba dołożyć jeszcze pion moralny człowieka. Kiedyś uważało się, że ekonomia sama w sobie, ze swoimi – jak się mówiło – naturalnymi prawami, zapewni należyte funkcjonowanie gospodarki narodowej. Dziś już uważa się inaczej. Nie wystarczy sama ekonomia, konieczny jest i w tej dziedzinie życia ład i porządek moralny, konieczne jest poczucie więzi społecznej i świadomość wspólnoty, o której mówi nam Pismo święte: „Jedni drugich brzemiona noście i tak dopiero wypełnicie Zakon Pański" (por. Ga 6,2).